

SOMME SKETCHER



SINNERS
ANONYMOUS #1

SINNERS

anonymous



SOMME SKETCHER

**SINNERS
ANONYMOUS**

SINNERS ANONYMOUS #1

TŁUMACZENIE

EDYTA MISIEWICZ-HULEWSKA

OŚWIĘCIM 2023

Tytuł oryginału
Sinners Anonymous
Copyright © 2021 by Somme Sketcher
All rights reserved
Copyright © for Polish edition
Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne
Oświęcim 2023
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:

Agnieszka Sajdyk

Korekta:

Karina Przybylik

Edyta Giersz

Maria Klimek

Redakcja techniczna:

Paulina Romanek

Projekt okładki:

Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8362-058-9

Spis treści

Od Somme

DZIEWIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ROZDZIAŁ DWUNASTY

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ROZDZIAŁ SZESNASTY

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY
MIESIĄC PÓŹNIEJ
POZOSTAŁE POWIEŚCI AUTORKI
SKONTAKTUJ SIĘ ZE MNĄ

Przypisy

Od Somme

Drogi Czytelniku,

Dziękuję za wybranie *Sinners Anonymous*! Mam nadzieję, że lektura powieści sprawi Ci tak wielką radość, jaką dało mi jej pisanie.

Zanim dasz się ponieść tej opowieści, powinieneś wiedzieć, że to *dark romance*. Poruszam kilka mrocznych kwestii, takich jak samobójstwo czy napaść seksualna. Czytasz na własne ryzyko.

Pozdrowienia
Somme X

DZIEWIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

Angelo

Kobiety z klanu Visconti uwielbiają pokazywać się na pogrzebach. Nie ma znaczenia, czy zmarłą osobą jest ich matka czy ciotka, z którą są spokrewnione w drugim pokoleniu, i tak zawsze biorą udział w cholernych zawodach na najefektowniejsze oplakiwanie nieboszczyka.

Kwilenie, łkanie, pociąganie nosem. Dźwięki tłumione przez pożyczoną, materiałową chusteczkę lub wymiętoloną jednorazówkę. Ledwo mogę je znieść. Ten wymuszony płacz sprawia, że mam ochotę zakopać się w ziemi razem ze zmarłym. Piski, zawodzenia i szlochy.

Odwracam wzrok od biskupa Francisa i przenikam intensywnym spojrzeniem ciotkę Esme.

Pieprzone bulgotanie.

– *Gesù Cristo*¹ – mamrocze siedzący w ławce za mną kuzyn Tor. – Gdy tydzień temu podrzynałem gardło jednemu łajdakowi, wydawał przy tym dokładnie taki sam odgłos.

Z mojego rzędu ławek dochodzi szmer. Zerkam w lewo na swojego brata Rafe'a. Widzę jak zagryza dolną wargę, próbując pohamować śmiech. Chwyta moje spojrzenie i unosi brew w taki sposób, jakby chciał zapytać, w czym problem, bo przecież komentarz Tora był zabawny. Siedzący obok niego Gabe, nasz starszy brat, zaciska szczękę i wpatruje się prosto przed siebie.

Biskup Francis bardzo przynudza, ale powoli zmierza do końca liturgii. Gdy wydawane przez ciotkę Esme dźwięki przybierają na sile, druga kuzynka, która przybyła specjalnie na tę okazję z Sycylii, decyduje, że nie da się prześcignąć. Z piskiem przeciska się przez ławki, zmierzając nawą do ołtarza. Klęka przed trumnami, a potem wydaje z siebie zawodzenie, które brzmi niczym powietrze uchodzące z balonu.

Nawet nie pamiętam, jak się nazywa krewna, która zdecydowała się objąć prowadzenie w tej nieformalnej rozgrywce.

Docierają do mnie wymamrotane łamanym włoskim przeprosiny i gorączkowe spojrzenia rzucone w moim kierunku. Kuzyn depcze jej po piętach, by po chwili zaciągnąć ją z powrotem do ławki, unosząc brzeg jej koronkowej woalki, by ją zbesztać, a jednocześnie pocieszyć.

Przez ten incydent biskup traci wątek, jąka się i przerzuca kartki. Wśród żałobników daje się wyczuć zmianę nastroju.

Rzymskokatolickie pogrzeby są piekielnie długie. A jeszcze rozciągają się w czasie, gdy do pochowania są dwie osoby, z których jedna była diakonem. Z każdą chwilą drewniane ławki stają się coraz twardsze, a myśli żałobników wędrują do hotelu Grand Visconti w Devil's Cove, gdzie odbędzie się stypa.

Nikt nie urządza takich imprez jak niedawno zmarli Visconti, a cóż dopiero ta dwójka.

Biskup zerka w kierunku pierwszego rzędu ławek i napotyka moje spojrzenie. Delikatnie kiwam głową, dając mu przyzwolenie na zakończenie nabożeństwa. Nikt nie pragnie szybciej ode mnie opuścić tych murów. Biskup odchrząkuje i ponownie skupia na sobie uwagę zebranych.

– Moi drodzy, rodzina wyraziła życzenie, abyście towarzyszyli im w ostatnim pożegnaniu, które odbędzie się na dziedzińcu.

Łądują na mnie załzawione i pełne współczucia spojrzenia. Podnosimy się z braćmi z naszych miejsc. Ostatni raz spoglądam przeciągle w kierunku trumien. Przełykam gulę w gardle, kulę ramiona i ruszam na tyły kościoła.

Kroczę wśród morza westchnień, ze wzrokiem wlepionym w rozciągające się przede mną drzwi z kutego żelaza.

Prawie na miejscu. Za chwilę będzie po wszystkim.

Komórka wibruje mi w kieszeni marynarki. Mam nadzieję, że dzwoni mój asystent z informacją, że samolot jest gotowy do powrotnej podróży do Londynu.

Ministrant otwiera ciężkie drzwi. Wychodzę na schody i zamykam oczy. Czuję, jak lodowaty wiatr chłodzi moje policzki, a mróz szczypie mnie w nos. Pogoda na klifie od zawsze była bardziej ekstremalna niż w położonym poniżej miasteczku. Wiatr

niezmiennie wiał tu mocniej, a deszcz zacinał ostrzej. Nasza mama, która była wieczną optymistką, zawsze przypominała nam, że w okresie zimowym jest chłodniej, ale rekompensuje to większe ciepło podczas letnich miesięcy.

W życiu liczy się równowaga, Angelo. Dobro zawsze zwycięża zło.

Otwieram oczy i dostrzegam stojących obok mnie Rafe'a i Gabe'a. Obaj podążają za moim wzrokiem na zwisające nisko napęczniałe chmury, zwiastujące burzę.

– Co za piękny dzień na pochowanie rodziców – syczy Rafe, a Gabe milczy.

Ruszamy żwirową ścieżką między nagrobkami, aż zatrzymujemy się kilka metrów od krawędzi klifu. W rozmięklej ziemi wykopano dwie prostokątne dziury.

Zaciskam dłonie w pięści.

Zawsze razem. Złączeni na wieczność. Mieszcząca się w tych słowach opowieść o ich miłości zostanie wyryta na płycie nagrobnej. Poranni biegacze i zbłąkani turyści, którzy zatrzymują się, by odczytać epitafium, uwierzą, że jest dowodem na to, że miłość istnieje.

Tymczasem grzeszna prawda spoczywa zaledwie sześć stóp pod ziemią.

Nieważne, jaka romantyczna sentencja zostanie umieszczona na marmurowej płycie nagrobnej, prawdziwa miłość i tak nie istnieje. To zwykła nadzieja obleczona w inną formę. Idea, której uczepiają się ubodzy i bezsilni, gdy nie pozostaje im już nic innego.

Mój wzrok wędruje po fali garniturów i koronki, przesączającej się alejkami cmentarza w naszym kierunku. Ludzie mafii wiedzą, że miłość nie istnieje. Wujkowie i kuzyni chwytają swoje żony i dziewczyny mocno za nadgarstki, zamiast trzymać je za ręce. Oferują im surowe pocieszenie w nadziei, że się uciszą, a równocześnie zerkają na zegarki. Kalkulują, kiedy będą mogli wyśliznąć się do swoich kochanek, zrelaksować się i zapomnieć o obowiązkach wobec Cosa Nostry.

Mężczyźni z klanu Visconti nigdy się nie zakochują, ponieważ musieliby zdać się na los, a wszystko w tej rodzinie jest chłodne i wykalkulowane.

Trzęsąca się dłoń zaciska się na moim ramieniu.

– Alonso byłby zachwycony miejscem spoczynku – odzywa się pełnym emocji głosem wujek Alfredo. – Teraz ma okazję spoglądać w górę na swój kościół, a zarazem patrzeć na miasto. Wiesz, że obie te rzeczy wybudował od podstaw?

Wpatruję się w stertę mokrej ziemi, która obciąży grób mojej matki i kiwam mu oschle głową. Wuj klepie mnie po plecach, a natępnie cofa się o krok. Muszę mu przyznać, że umie złapać aluzję.

Mamę opuszczają do grobu jako pierwszą. Czuję, że tonę razem z nią. Jest jedyną kobietą, przed którą kiedykolwiek padnę na kolana. Moje zaciśnięte w pięści dłonie znikają w błocie. Kolejna ręka dotyka mojego ramienia i po błysku złotego pierścienia rozpoznaję Rafe'a.

– Najdroższy Ojczy, ponieważ zdecydowałeś się powołać do siebie naszą siostrę Marię Visconti, powierzamy jej ciało ziemi, gdzie spocznie na wieki. – Biskup Francis ożywia się, lecz jego słowa szybko unosi ze sobą wiatr.

Krew wrze mi w żyłach, a w przełyku znowu pojawia się paląca gorzkość, która smakuje tajemnicą i grzechem. Nieważne, jak dużo whisky wypiję w drodze do domu lub później, i tak wiem, że nigdy nie zdołam się jej pozbyć.

– Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz... – kontynuuje biskup.

Snujące się włókna dymu z płonącego kadziła zlewają się z poranną mgłą. Potem nadchodzi pora na róże. Krwistoczerwone i pełne kolców lądują z głuchym łoskotem na mahoniowym wieku trumny. Rafe przykuca koło mnie, przyciska pięść do ust i dmucha. Jedynym ruchem nadgarstka rzuca parę kostek na wieko. Toczą się po krzyżźnie i wpadają w przestrzeń pomiędzy trumną a ziemią.

– Dla mojej Damy Szczęścia – szepcze, przeczesując dłonią włosy.
– Powodzenia po drugiej stronie, mamó.

Gabe również opada na kolana. Nie rzuca trzymanej w dłoni róży. Pochyla się, przyciska usta do drewna i mamrocze coś długo oraz szczerze.

Od lat nie widziałem, aby tyle mówił.

Gdy żałobnicy kończą pożegnanie zmarłej, ich oczy zwracają się wyczekująco w moim kierunku.

Powoli wygrzebuję z kieszeni szeleszczące opakowanie i umieszczam je ostrożnie na trumnie, uważając, aby się nie

zniszczyło.

Za moimi plecami rozlega się cichutki śmiech.

– Ciasteczko szczęścia – odzywa się słabym głosem Rafe, a smutny uśmiech rozciąga jego usta. – Dlaczego na to nie wpadłem?

Mama wierzyła w los równie gorąco jak w Boga. Lecz podczas gdy nie miało dla niej znaczenia, że nigdy nie ujrzała ani nie usłyszała boskiej istoty, to nieustannie poszukiwała dowodu na istnienie przeznaczenia. Szukała go dosłownie wszędzie, we wróżbie z kart tarota za pięć dolarów na jarmarku, a także w małym breloczku z magiczną kulą, który był przyczepiony do kluczy od domu.

I te cholerne ciasteczka szczęścia. Żyła według nich. Co wieczór po kolacji otwierała jedno i delikatnie wyciągała mały papierek, jakby był cennym artefaktem. Zawsze odnajdywała w nim znaczenie, nieważne jak mglistą przepowiednię zawierało. Po czym pracowała nad ulepszeniem i ukształtowaniem wokół niej swojego życia.

To właśnie ciasteczka szczęścia przywiodły ją z Nowego Jorku do Devil's Dip w stanie Waszyngton.

Poszukaj nadziei tam, gdzie powietrze jest słone, a klify strome.

Uwielbiała to cholerne miasteczko, ponieważ uważała, że sprowadziło ją do niego przeznaczenie. Zastanawiam się, czy spędzając czas w wagonie wróżki, bądź potrząsając swoją magiczną kulą, kiedykolwiek przeczuwała, że to miasto sprowadzi na nią również śmierć.

Zaczęli opuszczać trumnę mojego ojca. Na wieku udrapowano purpurowy welon i złożono zielonozłote szaty. Znowu rozlegają się szlochy. Tym razem są głośniejsze niż przy mamie. Wstaję z klęczek i odwracam się w kierunku morza. Czuję każdą parę oczu członków klanu Visconti, wypalającą mi dziurę w plecach.

Wiem, co myślą. Śmierć mojego ojca zapoczątkuje nową erę dla Cosa Nostry, a zacznie się ona ode mnie.

Jestem nowym szefem mafii w Devil's Dip.

Wpatruję się w unoszące się na falach łódki rybackie i frachtowce. Nagle wyczuwam na sobie również inne spojrzenia. Mój wzrok wędruje przez cmentarz, aż do przeciwnej strony małej publicznej drogi, gdzie pod wiatą autobusową ścieśnia się tłum.

Zaciskam szczękę.

Pieprzeni miejscowi. Niektórzy siedzą na ławce, inni opierają się ze skrzyżowanymi ramionami o budkę telefoniczną. Wszyscy obserwują, jak moi rodzice są opuszczani do grobu i sądząc po ich spojrzeniach oraz kolorowych ubraniach, żadne z nich nie zjawiało się tutaj w celu okazania szacunku.

Krzyżuję spojrzenie ze starszym mężczyzną. Ma żylastą i zniszczoną przez pogodę twarz, przypominającą oblicza pracowników portu, którzy spędzili życie, walcząc z żywiołami. Nosi ceglasty płaszcz i żółty szalik, a usta rozciąga w szyderczym uśmiechu.

Mój ojciec twierdził, że różnię się temperamentem od moich braci. Ich gniew pali się powoli, niczym płomień świecy i łatwo go ugasić. Natomiast mój jest niczym fajerwerki. Wystarczy podpalić lont i wybucham w ciągu kilku sekund, nie zastanawiając się nad nieodwracalnymi szkodami, jakie mogę poczynić. *Jesteś bezwzględny, synu* – zwykł mawiać.

Wspaniała cecha dla szefa mafii.

Nie.

– Angelo, odłóż broń – syczy mi do ucha wujek Alberto, niespodziewanie pojawiając się u mojego boku.

Nawet nie pamiętam, kiedy ją wyciągnąłem, nie wspominając o mierzeniu z niej do znajdującego się po przeciwnej stronie ulicy zadowolonego z siebie dupka. Tłum rozprasza się niczym roztrzęsione stado gołębi, rzucając w panice słowa, które gubią się na wietrze w dźwięku rozbijających się o brzeg fal.

Zerkam za siebie. Biskup Francis milknie, a kobiety z rodu Visconti przestają szlochać. Teraz wszyscy wpatrują się we mnie ze współczuciem, złością i zdezorientowaniem. Wszyscy z wyjątkiem Rafe'a i Gabe'a, którzy sięgają po swoje pistolety. Rafe chwyta mój wzrok i delikatnie potrząsa głową.

To niedobry pomysł, bracie.

Mimo że stoję w pobliżu zmarłych rodziców z cholerną bronią w dłoni, wybucham śmiechem.

Gdyby Angelo skoczył z klifu, ty też byś to zrobił?

Mama pytała o to moich braci za każdym razem, gdy w dzieciństwie wciągałem ich w głupie zabawy. Spalenie starej stodoły przy drodze, zepsucie hamulców w naszych rowerach, aby przekonać

się, który z nas najszybciej dotrze z domu na szczycie wzgórza nad jezioro leżące u jego stóp.

Ich odpowiedzi nie ulegały zmianie. *Zawsze mówili: tak.*

– Przyszli tutaj, aby upewnić się, że on naprawdę nie żyje – warknąłem.

– Nie. Przyszli zobaczyć mężczyznę, który go zastąpi. – Wujek Alberto staje przede mną, łapie mnie za szczękę i blokuje mi widok na uciekających do samochodów miejscowych. W jego oczach pojawia się mieszanka dumy i cierpienia. – Nie mogę się doczekać, aby zobaczyć, co osiągniesz, Bezwzględny. Ojciec na pewno będzie z ciebie dumny.

Pręzę mięśnie zuchwy pod jego uchwytem i w końcu mnie puszca. Ścisza mnie mocno za ramię i prowadzi z powrotem nad grób, a biskup Francis uznaje to za znak, by kontynuować nabożeństwo.

W grobie łąduje więcej kwiatów. Wujek Alfredo kładzie na wieku butelkę limitowanej edycji whisky Smugglers Club, a stojący obok mnie wujek Alberto zdejmuje z nadgarstka Rolexa i rzuca go na trumnę.

– Lata temu wygrałem go od tego starego łajdaka. Twój staruszek nigdy nie był dobry w pokera. – Wyciąga szyję, aby spojrzeć na Rafe'a. – Nie wiem, po kim odziedziczyłeś talent, dzieciaku.

Nadchodzi moja kolej. Nie klękam, tak jak przy trumnie mamy. Zamiast tego, pochylam się nad nią, trzymając w dłoni jego czarny różaniec. Paciorki dwukrotnie owinałem wokół nadgarstka, a krzyż powiewa na wietrze niczym wahadło.

Nigdy się z nim nie rozstawał.

Aż w końcu go z niego zdjąłem.

Zaciskam krzyż w dłoni i wsuwam różaniec z powrotem do kieszeni spodni. Gdy unoszę wzrok, napotykam spojrzenie obserwującego mnie kuzyna Dantego.

Ostatnie pożegnanie dobiega końca. Ziemia przysypuje mamę z ciężkim łoskotem. Każde uderzenie brzmi bardziej ostatecznie niż poprzednie. Gdy odwracam się w stronę morza, spadają pierwsze krople deszczu.

Wyciągam różaniec z kieszeni i przykładam go do ust.

– Wybacz mi, Ojczy – mamrocze do zimnego metalu, gdy samotna kropla deszczu łąduje na moim policzku. – To, że zgrzeszyłem.

Obok mnie pojawia się Rafe. Gabe dołącza do nas chwilę później. Żałobnicy spieszą do sznura oczekujących samochodów, osłaniając się przed deszczem parasolami i modlitewnikami.

Błyskawica przecina horyzont.

Bóg stara się mnie ukarać.

– Jest jak w tej scenie z *Króla Lwa* – mamrocze Rafe, wciskając usta za kołnierzyk koszuli i chowając dłonie do kieszeni. – Czegokolwiek dotknie światło, staje się twoim królestwem, czy coś w tym stylu. Teraz to wszystko należy do ciebie, bracie.

Spoglądam w dół na swoje rzekome imperium. Skrzypiący port po lewej i małe, wtulone w klif miasteczko po prawej. Potem rzucam spojrzenie na dalszą część wybrzeża, na ciemność Devil's Hollow i Devil's Cove, które mimo mgły i deszczu, jest rozświetlone niczym pieprzona choinka.

– Nie chcę tego.

Słowa same wymykają mi się z ust.

Rafe klepie mnie mocno po plecach, jakbyśmy nie stali na krawędzi klifu w ten wyjątkowo wietrzny poranek.

– Wysoko zawieszona poprzeczka, bracie. Lecz jeśli ktoś ma sprostać tej robocie, to tylko Bezwzględny Visconti.

– Za dwadzieścia minut mam samolot do Londynu i nie zamierzam tu wracać.

Ogłuszającą ciszę przesywa wiatr. W końcu napotykam twarde spojrzenie brata i zaciskam szczękę. Unosi brew, a jego oczy poszukują śladu rozbawienia w mojej twarzy. Lecz w przeciwieństwie do niego, ja nie żartuję.

Gabe, jak zwykle, pozostaje milczący.

– Nie wracasz do Devil's Dip?

Nie wracam do tego życia.

Nie tłumaczę się. Zamiast tego kiwam głową w kierunku czekającego na poboczu drogi samotnego samochodu. Kierowca Rafe'a otwiera okno i wpatruje się w nas ze zniecierpliwieniem. Pod drzewem stoi zaparkowany Harley Gabe'a.

– Jedźcie na stypę. Innym razem nadrobimy zaległości.

W skroni Rafe'a zaczyna pulsować żyła, a jego spojrzenie płonie od pytań, których nie odważa się zadać. Odwracam wzrok w kierunku morza, a potem wsuwam różaniec do kieszeni i przeciągam dłonią po mokrej brodzie. Chwilę później chrzęst rozmiękłego żwiru sygnalizuje mi, że bracia odchodzą. Dopiero, gdy ryk motocykla Gabe'a znika z zasięgu mojego słuchu, odwracam się w kierunku grobu rodziców.

Jeden z grabarzy przestaje usypywać ziemię na wieko trumny mojej matki, opiera się o rączkę łopaty i wpatruje we mnie czujnym wzrokiem.

Podchodzę do niego i uderzam go plikiem banknotów w zabłoconą pierś.

– Wykop ją – warczę. – To nie miejsce dla mojej mamy.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Rory

– Nazywam się Rory Carter i czynię zło.

Wiatr porywa moje słowa z krawędzi klifu, by unieść je daleko nad wzburzone morze.

Czasem lubię w samotności wypowiadać te myśli na głos tylko po to, by sprawdzić, jak smakuje prawda.

Nie jestem kryminalistką. Po prostu postępuję źle. Dokonuję moralnie wątpliwych i mściwych czynów. Kiedyś byłam inna, lecz teraz na mojej duszy widnieje mroczna i uporczywa skaza, której nie jestem w stanie zmazać podjęciem żadnej właściwej decyzji. Przestało mi zależeć, aby coś zmienić. W zamian wyznaję swoje grzechy.

Podchodzę bliżej krawędzi klifu. Wstrzymuję oddech, gdy chrzęszczące pod moimi tenisówkami kamyczki znikają w szalejących wodach Pacyfiku. Wiatr wyje niczym wilk i ostrzega mnie przed nadciągającą burzą. Dostrzegam majaczące w oddali czarnoszare smugi, które nisko zwisają nad wodą.

Wirywa mi się gorzki śmiech. To moje przeznaczenie. Od zawsze miałam tak skończyć. Na krawędzi najwyższego klifu w Devil's Dip ze złymi myślami. Co zakrawa trochę na ironię, ponieważ po raz pierwszy od trzech lat postępuję właściwie. Zdecydowałam się na zupełnie bezinteresowny, pełen poświęcenia czyn, którego nikt przy zdrowych zmysłach by się nie podjął, gdyby nie był zdesperowany.

Obracam pierścionek na palcu i przełykam gulę w gardle.

Jak by to było gdybym... skoczyła. Czy bardzo by bolało? Czy wszystko stałoby się czarne? Nie wierzę w Boga, niebo czy piekło, ale zastanawiam się, czy w ostatniej próbie ocalenia duszy nadal wykrzykiwałabym grzechy, uderzając w powierzchnię wody?

Zaciskam dłoń w pięści i wpycham je do kieszeni bluzy. Unoszę stopę, a potem przesuwam ją odrobinę w kierunku krawędzi, dopóki

nie czuję już pod nią gruntu, a jedynie powietrze.

Dreszcz przebiega mi po kręgosłupie. Zamykam oczy, a następnie wystawiam język, smakując sól, wilgoć oraz niebezpieczeństwo. Pozwalam wiatrowi przejąć kontrolę nad moim ciałem.

Czy to jest najbliższe poczuciu wolności, której mogę doświadczyć?

Chwilę później wyczuwam smak czegoś innego. Czegoś gęstego i gorzkiego.

– Masz nadzieję upaść czy się wznieść?

O rety.

Otwieram oczy i cofam się znad krawędzi, czując się jak uczennica, którą przyłapano na niewłaściwym zachowaniu.

Serce wali mi mocno w piersi. Odwracam głowę w kierunku głosu i mój wzrok spoczywa na mężczyźnie.

Stoi niecałe pół metra ode mnie. Jest ubrany w drogi garnitur i ma wydatne kości policzkowe. Tyle udaje mi się dostrzec. Wkłada papierosa do ust, po czym zaciąga się głęboko.

Dym. To był zapach, który poczułam.

Wpatruje się w ocean, jakby wcześniej nie odezwał się słowem. A może przez cały ten czas milczał. *Jezu, od jak dawna on tu stoi? I skąd się tu wziął?* Oblizuję spierzchnięte usta i zerkam na wijącą się za sobą drogę, która ciągnie się równoległe do cmentarza. Dostrzegam chaotycznie zaparkowany, czarny sportowy samochód, którego przednie koła zahaczają o brzeg starego nagrobka.

Początkowy szok zastępuje inne uczucie. To panika. Ostatnią osobą, z którą powinnam stać na krawędzi klifu, jest parkujący w ten sposób mężczyzna. Jeśli nie potrafi okazać szacunku wobec zmarłych, to z pewnością nie posiada go również dla żywych.

A może jest Ponurym Żniwiarzem?

Nie mogę powstrzymać wybuchu śmiechu.

Ponownie mierzę go wzrokiem. Jest ubrany na czarno. Zamiast peleryny ma na sobie drogi płaszcz, a kosę zastępuje trzymany w dłoni papieros. Czerwony żar rozbłyska na tle pochmurnego nieba, gdy ponownie zaciąga się dymem.

Wtykam niesforny lok pod kaptur bluzy i ciaśniej zaciskam sznurek pod brodą. Powinnam się zbierać. Nie tylko dlatego, że ten mężczyzna przyprawia mnie o ciarki, ale przez to, że Alberto ma

wszędzie swoje oczy i uszy. Max, który robi za moją obstawę, nie jest kablem, ale wróci za chwilę i...

– Bo jeśli miałaś nadzieję na upadek... – Celowo robi krok w stronę krawędzi, a serce podskakuje mi do gardła. Cechuje go pewność siebie osoby, która zwyczajnie pochyła się nad basenem, a nie huczącym czterdzieści pięć metrów poniżej wzburzonym oceanem. – To miałybyś długą drogę do przebycia.

Popchnij go.

W mojej głowie tłucze się ta niechciana i nieprzyjemna myśl. Żałuję, że nie mogę jej uciszyć. *Co jest ze mną nie tak?* Nie powinnam mieć takich jadowitych myśli. Wypadałoby powiedzieć mu, aby się cofnął albo chwycić go za ramię. Lecz tego nie robię. Może to strach mrozi mi krew w żyłach albo makabryczna ciekawość nawiedza moją duszę. Pozostaję nieruchoma i milcząca.

Z chorą fascynacją obserwuję jego balansujące na krawędzi skórzane półbuty. Nie tylko nie ma szacunku dla zmarłych, ale również dla śmierci. Gdyby zrobił pół kroku do przodu lub nagły powiew wiatru musnąłby go z niewłaściwej strony... zniknąłby w tej otchłani.

Zaciskam dłonie w pięści. Pulsowanie w skroniach jest tak mocne, że zagłusza ryk wiatru.

Co zrobiłabym, gdyby spadł?

Pytanie opuszcza moje myśli równie szybko, jak się pojawia. Oczywiście, że wiem, jak bym postąpiła. Przecięłabym cmentarz, obeszła kościół i wśliznęłabym się do mojej ulubionej budki przy drodze. Potem, zamiast zadzwonić do Straży Przybrzeżnej, wybrałabym numer, który znam lepiej niż swój własny i wyznałabym, że nie zrobiłam niczego, aby pomóc temu mężczyźnie.

Właśnie tak postępują kompulsywni grzesznicy.

Dopiero gdy cofa się, uświadamiam sobie, że wstrzymuję oddech. To dla mnie duża ulga, że nie czuję się rozczarowana. Tym razem moje jadowite myśli nie wygrały.

Wpatruję się w jego sylwetkę, gdy po raz ostatni zaciąga się papierosem i posyła dym w stronę oceanu. Odwraca się i spogląda mi prosto w oczy, jakby dokładnie wiedział, że się w niego wpatruję.

Serce wali mi jak oszalałe.

O rety. Ale jest przystojny.

Przeszywające zielone oczy i kwadratowa szczęka, równie wydatna jak jego kości policzkowe. Tylko tyle ma czas zarejestrować mój mętny umysł, gdyż po chwili mężczyzna znowu zwraca się twarzą w kierunku ponurego horyzontu.

Mój oddech staje się płytki. Stoi zbyt blisko mnie. Niebezpiecznie blisko. Czuję się, jakbym ponownie znajdowała się na krawędzi. Stoimy obok siebie, ramię w ramię. Staram się zachować milczenie, nie oddychać zbyt ciężko ani się zbyt nie wiercić. Próbuję zignorować nacisk jego ramienia i to, że jego dotyk parzy mnie przez płaszcz. Zapach dymu z jego papierosa spleciony z dębową nutą wody po goleniu sprawia, że twardnieją mi sutki.

Pochyla się nad moim uchem, a ja przygotowuję się na cios.

– Samobójstwo to grzech – rzuca, ocierając się zarostem o mój policzek. – Lecz Devil's Dip ma swoje sposoby, aby sprawić, że człowiek pragnie rzucić się z klifu, nieprawdaż?

Odchodzi. Jego półbuty chrzęszczą na żwirze, gdy zmierza do samochodu.

Moja pierś unosi się i opada, a serce walczy, aby odzyskać naturalny rytm.

W otępieniu wpatruję się w ocean, dopóki nie dociera do mnie mruczenie silnika i pisk opon. Chwilę później roztrzęsiona wypuszczam oddech, padając na kolana w błoto.

Kim on, do diabła, jest i co to miało znaczyć?

Gdy w końcu moje serce zwalnia i spada mi poziom adrenaliny, mój mózg zaczyna z powrotem działać i rejestrować to, co się dzieje wokół. Zerkam na zegarek, po czym mamroczę pod nosem ze złością. Uświadamiam sobie, która jest godzina. Dociera do mnie, że wokół panuje chłód. Za mniej niż trzy minuty Max odbierze mnie sprzed starego kościoła, więc jeśli chcę wykonać mój telefon, powinnam się zbierać.

Odwracam się plecami do krawędzi klifu oraz niebezpiecznego piękna, jakie oferuje, i brnę przez przecinającą cmentarz zarośniętą ścieżkę. Mijam kościół, przechodzę przed drogę, cmokając z dezaprobatą na widniejące na asfalcie czarne ślady opon i wślizguję się do znajdującej się naprzeciwko przystanku autobusowego budki.

Wciskam słuchawkę między ramię a policzek i wybieram numer.

Słyszę trzy sygnały, zanim włącza się poczta głosowa.

– Dodzwoniłeś się do Anonimowych Grzeszników – odzywa się głos. – Wyznaj swój grzech po usłyszeniu sygnału.
Biorę głęboki wdech i pozwalam swojej duszy krwawić.

ROZDZIAŁ DRUGI

Rory

Gdyby ściany jadalni mogły mówić, założę się, że błagałyby Alberta Viscontiego, aby się uciszył.

Jak w każdy piątkowy wieczór, siedziałam obok niego u szczytu stołu. Jedną dłoń zaciskał na szklance whisky, a drugą trzymał, niczym kotwicę, na moim udzie.

Pewnego razu usłyszałam, jak chłopak basenowy nazwał go Alberto Anegdota. Jako że jest szefem Cosa Nostry w Devil's Cove, używa się wobec niego różnych określeń – capo, szef, Duży Al. Lecz Alberto Anegdota zdecydowanie jest najtrafniejszym z nich. Szybko nauczyłam się, jak ignorować jego historie, ale mimo tego jego niski głos nadal wibruje mi w uszach, gdy coś opowiada.

– Merlota, *signiorina*? – Cień służącego pada na moje nakrycie stołowe.

– Dzisiaj wypije tylko jeden kieliszek – warczy Alberto, przerywając swoją opowiastkę. – Nie mam ochoty na powtórkę z ubiegłego tygodnia.

Zapada cisza. Nie taka zwykła, jak przy długim jadalnianym stole, lecz taka, która rozciąga się nad wzgórzami i wąwozami. Czuje rozbawiony uśmiezek Tora opalający jeden z moich policzków oraz piekielne spojrzenie Dantego przypalające drugi.

Podczas ostatniej piątkowej kolacji odkryłam, że jeśli poziom wina spadnie do połowy kieliszka, służący błyskawicznie go uzupełni. Rozmowa przy stole była tak piekielnie nudna, że testując swoją teorię, wypłam o kilka kieliszków za dużo. Gdy po deserze podniosłam się z krzesła, zachwiałam się na szpilkach i pociągnęłam w dół welurową zasłonę, której chwyciłam się, aby uchronić się przed upadkiem. Miedziany karnisz, którym dostałam w głowę, nie był widocznie wystarczającą karą. Alberto ogranicza teraz moje spożycie alkoholu, jakbym była dzieckiem.

Zmuszam się do uśmiechu i potakuję służącemu, jakbym zgadzała się z decyzją narzeczonego. Staram się pohamować westchnienie. Gdy pierwszy raz – a jednocześnie ostatni – westchnęłam przy Alberto, w reakcji szarpnął mnie za kucyk tak mocno, że do oczu napłynęły mi łzy.

Szybko pojęłam, że lepiej wyładowywać swoje frustracje w milczeniu. Zazwyczaj zaciskam dłonie w pięści, aż moje paznokcie odbijają w nich półksiężycy.

Ach, i pluję do jego płynu do płukania jamy ustnej.

Alberto uracza nas właśnie historyjkami z czasów, gdy rzucił wyzwanie do walki na miecze synowi Ala Capone. Odwracam się, by spojrzeć na stół, celowo unikając kontaktu wzrokowego z każdą siedzącą przy nim osobą.

Dzisiejszego wieczoru spotyka się tylko najbliższa rodzina, lecz stół udekorowano, jakby istniało prawdopodobieństwo, że na kolację wpadnie król Anglii. Jedwabny, czarny obrus, ogromne ilości srebrnej zastawy (nawet nie znam przeznaczenia niektórych sztucców) oraz bogato zdobione kompozycje kwiatowe, które znajdują się niepokojąco blisko tańczących płomieni świec. Przed prowadzącymi na plażę szklanymi drzwiami przy wielkim pianinie siedzi pianista. Oczekuje znaku od Alberta, na którym spoczywa przywilej rozpoczęcia kolacji.

Jak ja, do diabła, tutaj wylądowałam?

Dwa i pół miesiąca temu klęczałam na progu kolonialnej posiadłości Alberta, błagając go o litość. Teraz prowadzę egzystencję, której nie poznaję. Odgrywam drugoplanową rolę w historii, której nie rozumiem.

Każdy mieszkaniec Devil's Coast zna klan Visconti. Są posiadaczami niemal wszystkiego na wybrzeżu. Każdy bar, hotel, restauracja i kasyno w Devil's Cove są ich własnością. Nawet fabryka whisky Smugglers Club w Devil's Hollow. Jedynym kawałkiem wybrzeża, jakiego nie dosięgły ich szpony, jest moje małe rodzinne miasteczko Devil's Dip.

I, jeśli Alberto dotrzyma swojej części umowy, tak już pozostanie.

Biorę łyk wody, po czym podnoszę wzrok, przez co napotykam spojrzenie Dantego Visconti. Najstarszy syn Alberta, który jest jednocześnie jego zastępcą, to największy kretyn na wybrzeżu. Jest

wysoki, ciemnowłosy i z niechęcią muszę przyznać, że bardzo przystojny. Nawet mimo goszczących na stałe zmarszczek na jego czole, prezentuje się wspaniale. Jego spojrzenie ciemnieje i dokładnie wiem, co zamierza powiedzieć, ponieważ niezawodnie powtarza te same słowa podczas każdej piątkowej kolacji.

– Szczyt stołu przeznaczony jest dla zastępcy i *consigliere*² – warczy cicho, ignorując monolog swojego ojca. Ściska serwetkę leżącą koło talerza. – A nie dla jakiejś zabaweczki.

I znowu się zaczyna.

– Oduść sobie, brachu – rzuca jego brat Tor, puszczając do mnie oczko. – Aurora nie jest nastolatką. Ma dwadzieścia jeden lat. Jest wystarczająco dorosła, aby pić, a jedynie nie dorosła do tego, by sobie z tym radzić.

Jak na zawołanie służący nalewa mi merlota do kieliszka wielkości naparstka. Czuję zażenowanie i mój wzrok instynktownie wędruje do leżącego schludnie przede mną noża do steków.

Ta myśl wydaje mi się wyjątkowo kusząca.

Lecz zamiast użyć sztuców klanu Visconti jako broni, robię to, do czego przywykłam. Przywołuję na twarzy fałszywy uśmiech i ukrywam rozgoryczenie.

– Duży Al trzyma cię dzisiaj na krótkiej smyczy, co? – rzuca żartobliwym tonem Tor, a jego usta drgają w uśmiechu. Nie czekając na odpowiedź, sięga do marynarki po paczkę papierosów, po czym wyciąga jednego i umieszcza go w kąciku ust.

– Chodź na fajkę, laleczko – burczy, klepiąc w udo siedzącą obok niego dziewczynę.

Tor przechodzi przez jadalnię, a następnie otwiera szklane drzwi, wpuszczając do środka lodowaty chłód, który przyprawia mnie o gęsią skórę. Jego dziewczyna truchta za nim niczym zagubiony szczeniaczek.

Znałam tego Viscontiego na długo przed tym, zanim jego ojciec założył drogi kamień na mój palec. Każda dziewczyna w Devil's Coast go zna, a niektóre z bardziej intymnej strony. Soczyste usta, zmierzwiłone włosy i uśmiech, który mógłby stopić lody Arktyki. Na dodatek jeszcze ten głupi kolczyk w nosie, który połyskuje za każdym razem, gdy przechyla głowę, aby szyderczo się uśmiechnąć.

Wyglądałby kobieco, gdyby nie tatuaże i szerokie niczym boisko futbolowe ramiona.

Biorę łyk wina, a potem obserwuję go przez szklane drzwi. Rozpoznaję dziewczynę, z którą się umówił. Pochodzi z Devil's Dip. Potrafię ją przejrzeć, mimo że sili się na wytworny akcent i przylgnęła do swojej markowej torebki, jakby to było jej koło ratunkowe. Obserwuję, jak okręca swoje długie jasne włosy wokół palca, chichocząc na każde słowo Tora.

Rozumiem ją. Sposób, w jaki on pali papierosa i nosi garnitur (chodzi mi o niezapięty kołnierzyk oraz poluźniony krawat) sprawia, że emanuje powiewem buntu, który działa na dziewczyny niczym lep na muchy. Oczywiście pomaga też to, że prowadzi nocne życie w Devil's Cove. Więc, nawet jeśli nie chce się wylądować w jego łóżku, to przynajmniej pragnie się dostać do jego klubu. Wiem, jak spogląda na dziewczyny, z którymi się umawia. Rzuca im spojrzenia spod ciemnych gęstych rzęs i zagryza dolną wargę. To wydaje im się być milczącą obietnicą, że podaruje im świat. Lecz zawsze kończy się na tym samym: na randkach. Przyprawia je raz lub dwa na kolację, a później znikają z powierzchni ziemi.

– Czy coś panu podać, *signor* Visconti? – mamrocze służący do Alberta, wykorzystując przerwę w jego najnowszej anegdocie.

– Smugglers Club z lodem.

A dokładnie z jedną kostką lodu. Poznałam już trochę klan Visconti i dowiedziałam się o nim dwóch rzeczy.

Po pierwsze, to faktycznie mafia, a nie tylko wpływowa rodzina. Są bezdusznymi, porywczymi, pochodzącymi z Sycylii, Amerykanami, którzy żyją i umierają z glockami zatkniętymi za pas swoich garniturów od Armaniego.

Po drugie, dostają wszystko, czegokolwiek zapragną, włączając w to jedną kostkę lodu do whisky.

– Wkrótce będą się do ciebie zwracać *signora*.

– Słucham? – Odwracam się do siedzącej po mojej lewej stronie Amelii.

Szeroki uśmiech łagodzi jej ostre rysy twarzy.

– *Signora*. *Signorina* to określenie przeznaczone dla niezamężnej kobiety, coś jak „panna”. Zaś ty, za niecały miesiąc, wyjdiesz za mąż, a wtedy staniesz się *signorą*.

Zakłada za ucho brązowy kosmyk jedwabistych włosów i obdarza mnie uśmiechem.

– *Signora Aurora Visconti*. Brzmi nieźle, nie sądzisz?

Czuję, jak przewraca mi się w żołądku. Gdyby te słowa wypowiedział ktokolwiek inny przy tym cholernym stole, podejrzewałabym, że po prostu próbuje mnie sprowokować.

Lecz Amelia Visconti jest inna. Wypowiada się taktownie i życzliwie, lecz moim zdaniem jest z pewnością obłąkana. Weszła do tej rodziny z wyboru – poślubiła Donatella Visconti, drugiego syna Alberto i jego *consigliere*. Jej mąż siedzi u jej boku, przerzucając papiery i, w przeciwieństwie do Dantego, zupełnie nie przejmuje się, że zajęłam jego miejsce przy stole.

Donatello jest czysty w każdym znaczeniu tego słowa. Nosi doskonale dobrany garnitur, krótkie, czarne włosy, a przy tym jest prawdopodobnie jedynym Viscontim, który nie ma biletu w jedną stronę do piekła. Poznali się z Amelią w akademii Devil's Cove jako nastolatkiem i gdy tylko osiągnęli pełnoletniość, pobrali się. Trwają przy sobie od dziesięciu lat. Mam wrażenie, że Donatella nie obchodzi mordercza osobowość Alberto i Dantego. Skończył studia biznesowe na Harvardzie, a Amelia jest z wykształcenia księgową. Wspólnie prowadzą legalny biznes w Devil's Cove. Pewnego razu, po whisky, Alberto wyznał mi, że pozwala Amelii trzymać jaja swojego syna w imadle, ponieważ to właśnie ona zarabia dla rodziny mnóstwo pieniędzy.

Wierzę w to. Przewodnik *Lonely Planet* określa hotel należący do rodziny Viscontich Burj Al Arabem północno-zachodniego Pacyfiku. Natomiast w restauracjach w Devil's Cove przypada więcej gwiazdek Michelin na metr kwadratowy niż w jakimkolwiek innym miejscu na świecie.

– Wkrótce Wielki Dzień – szepcze podekscytowana Amelia, szturchając mnie łokciem.

Czuję, jak niepokój osiada mi w żołądku niczym ciężki kamień.

Amelia poślubiła jednego z Viscontich z miłości. Jestem pewna, że znacznie łatwiej jest, gdy twój małżonek wygląda niczym włoska wersja Ryana Reynoldsa. Wystarczy rzut oka na mojego narzeczonego, aby uświadomić sobie, że mnie nie spotkało to szczęście.

Alberto Visconti z pewnością w czasach świetności był przystojniakiem. Jeśli moja wyobraźnia nie potrafi wznieść się ponad jego żylastą skórę, burzę siwych włosów i ogromne brzuszysko, to wystarczy zerknąć na jego synów, aby domyślić się, jak mógł kiedyś wyglądać. Jestem pewna, że jego pierwsza żona poślubiła go z miłości – może druga i trzecia również. Lecz teraz dobiega siedemdziesiątki i mimo że posiada niezliczone bogactwa, to ciągle życie na celowniku odcisnęło na nim piętno.

Pozostaje jeszcze fakt, że jest najokrutniejszym człowiekiem na całym wybrzeżu.

Mój wzrok spoczywa na pikowanej tapecie nad głową Dantego. Kolejne westchnienie wyrywa się cicho z mojej piersi.

Moje życie miało wyglądać zupełnie inaczej. Dzień przed osiemnastymi urodzinami siedziałam w kajucie i, wykorzystując wycinki ze starych magazynów matki, tworzyłam tablicę inspiracji na kolejne pięć lat. Wycięłam czapkę absolwenta i togę, a obok wcisnęłam ksero mojego listu akceptacyjnego do akademii lotnictwa Northwestern. Tamta dziewczyna... była pełna nadziei i miała czyste serce. Nie dręczyły ją niewłaściwe myśli, a na jej sumieniu nie ciążyły złe uczynki. Nie musiała co tydzień dzwonić na gorącą linię dla Anonimowych Grzeszników.

Co moja mama by sobie pomyślała, widząc mnie jedzącą kolację z potworami?

Sama stałam się monstrem.

Myślę, że nie powinnam obwiniać Alberta za swoje grzechy. Stałam się zła, zanim go poznałam.

Przełykam wino i zerkam przez szklane drzwi, śledząc wzrokiem roześmianą dziewczynę Tora. Wietrzyk przeciska się przez szparę i przynosi ze sobą zapach papierosowego dymu. Nagle ląduję na krawędzi klifu z widokiem na Devil's Dip. Moje ciało zdane jest na łaskę wiatru, a prawa tenisówka balansuje w powietrzu.

Masz nadzieję opaść czy się wznieść?

– O rety! – Ostry ból przenika moje udo. Spoglądam w dół i dostrzegam odwróconą dłoń narzeczonego, który wbija w moje ciało szlifowany klejnot w swoim pierścieniu. – Co do...

– Auroro, Dante zadał ci pytanie – wydusza przez zaciśnięte zęby Alberto, a jego oczy błyszczą ostrzegawczym blaskiem. –

Niegrzecznie jest ignorować rozmówcę.

Mrugam i ponownie spoglądam na swoje udo, z którego sącząca się małym strumyczkiem krew plami lamówkę sukienki.

Tym razem robię znacznie więcej niż rzucenie spojrzenia na nóż do steków. Moje palce przesuwają się w jego kierunku.

Nie. Nie tak. Pamiętaj, dlaczego tu jesteś, Rory.

Uciszam złość, przykładam serwetkę do świeżej rany, po czym zwracam się do Dantego. Rozbawienie widoczne na jego twarzy i wykrzywione w szyderczym uśmiešku usta za każdym razem wzbudzają moją nienawiść.

Zarzuca ramię na oparcie pustego krzesła Tora, unosząc brew.

– Budujemy ośrodek spa na północnym przylądku.

– Bezczesne widoki na morze i ciągnąca się kilometrami pustka.

Rosyjscy turyści uwielbiają takie gówny, zwłaszcza zimową porą – dodaje Alberto, zanim osusza kieliszek i pstryka palcami, żądając dolewki.

Dante go ignoruje.

– Inwestycja jest problematyczna. Oczyszczenie terenu z gęstego lasu zajmie miesiące. Dopiero później będzie można pomyśleć o położeniu fundamentów. – Bierze duży łyk whisky i spogląda na mnie znad szklanki. – Lecz głównym problemem są ptaki. Ćwierkają całymi godzinami, co nie pasuje do spokojnej atmosfery na jaką liczymy. Na szczęście, gdy raz na zawsze unicestwimy ich siedliska i gniazda, znikną z własnej inicjatywy, lecz jeśli nie...

Urywa, pozwalając niedomówieniu zawisnąć w powietrzu.

– Wtedy będziemy potrzebowali bardziej... pewnych sposobów na pozbycie się ich. Może trzeba będzie wykurzyć je dymem albo zatruć poszycie leśne. Pomyślałem, że skoro jesteś taką pasjonatką dzikiej przyrody, Auroro, być może podsunęłabyś nam jakieś inne pomysły?

Mimo chłodu, jaki się we mnie wkłada, krew wrze mi w żyłach.

Próbuję zaczerpnąć powietrza i uciskam zakrwawione udo.

– Co to za ptak? – pytam z całym spokojem, na jaki tylko mnie stać.

Podstawia mi pod nos komórkę.

– Nie mam pojęcia. Jeden z moich ludzi przysłał mi zdjęcie. Może go rozpoznasz.

Mrużę oczy nad ziarnistym zdjęciem w jego telefonie i czuję, że do twarzy napływa mi krew.

– Dante – rzucam. – To owocożer!

– Brzmi egzotycznie.

– Egzotycznie? To gatunek zagrożony wyginięciem! Jest pod ochroną! Nie możesz wyciąć tego lasu! Właściwie powinieneś natychmiast zadzwonić do Ligii Ochrony Przyrody.

Rozpiera się na krześle, a na jego twarzy maluje się triumfalny uśmiezek. Dostarczyłam mu dokładnie tego, czego oczekiwał. Nie obchodzi mnie to. Mój umysł pracuje na pełnych obrotach, starając się rozwiązać zagadkę, jakim cudem owocożery pojawiły się w Devil's Cove. Ten konkretny gatunek jest charakterystyczny dla południowej Australii i Polinezji, regionów o wilgotnym klimacie. Owszem, można je odnaleźć w lasach wtórnych – na obszarach leśnych, które odrosły po pozyskaniu drewna. Znam teren, o którym mówi Dante i pamiętam, jak ojciec opowiadał mi, że kiedyś znajdował się tam obszar wycinki lasów. Było to na długo przed tym, jak klan Visconti zjawił się w Cove i zamienił je w odpowiednik Vegas. Równie dobrze jestem zaznajomiona z lasami namorzynowymi znajdującym się w jaskiniach w okolicy Devil's Hollow.

– Nie.

– Co? – Podnoszę wzrok.

Dante rzuca mi znudzone spojrzenie.

– Nie zamierzam się kontaktować z Ligą Ochrony Przyrody. To banda przykuwających się do drzew hipisów, takich jak ty...

– Chyba nie mówisz poważnie?

– Nie sądzisz, że już i tak wystarczająco wtrąciłaś się do naszych planów budowy? Gdyby to zależało ode mnie, całe Devil's Coast byłoby już cholernym bagnem.

Nie mam okazji się odgryźć, gdyż na tarasie rozlega się łomot. Dante zrywa się na równe nogi i sięga po zatkniętą za pasem broń. Amelia piszczy, łapiąc męża za ramię. Na dalekim końcu stołu Vittoria wypuszcza głośne westchnienie, a potem wraca wzrokiem do swojej komórki.

Szklane drzwi otwierają się na oścież i wchodzi przez nie Tor z uwieszoną na jego ramieniu dziewczyną, która chichocze, chwając się na szpilkach.

Alberto mamrocze coś cicho po włosku.

– Przepraszamy – rechocze Tor i zanurza usta we włosach dziewczyny. – Skyler się przewróciła. Upiera się, że jej szpilki zahaczyły o deski na tarasie, lecz moim zdaniem przyczyna tkwi w zbyt dużej ilości Dirty Martini.

Chichocząca Skyler oddała się chwiejnym krokiem w kierunku łazienki, a Tor rozsiada się na krześle.

– Skyler – mamrocze złowrogo Dante i zerka w stronę wahadłowych drzwi. – *Gesù Christo*. To imię dla striptizerki. Korzystała już trzykrotnie z łazienki, a nawet nie dotarliśmy do przystawek.

– Pewnie denerwuje się, że jest na randce z takim przystojniakiem – wypala Tor, puszczając do mnie oczko. Jedynym, co czyni go bardziej znośnym od Dantego jest fakt, że przynajmniej uwzględnia mnie w swoich żartach i nie robi ze mnie pośmiewiska.

– Raczej próbuje sprawdzić, ile proszku zdoła wciągnąć, zanim zostanie podane ciastko z krabem. Mam nadzieję, że wie, że mieszasz swoją kokę ze środkiem uspokajającym dla koni, ponieważ nie zamierzam pozbywać się ciała z łazienki dla gości.

Pięść Tora łąduje na stole, a na jego twarzy pojawia się przebłysk złości.

– Pieprz się. Moja kokaina jest czystsza niż historia przeglądarki zakonniczy.

– *Basta*³ – syczy Alberto. Jego niski i cichy głos przecina jadalnię niczym sztylet. Gorąca dłoń odnajduje drogę do mojego uda i sprawia, że świeża rana płonie. – Mam dosyć. Ta rodzina nie potrafi zjeść jednej kolacji bez kłótni. Gdyby była tutaj wasza matka...

– Gdyby tutaj była, to przy stole nie siedziałaby łowczyni posagów – wypala Dante.

Zapada cisza.

Tor wydaje z siebie niski świst. Palce Amelii delikatnie muskają moje przedramię, a Alberto wzdycha.

Powinnam wziąć łyk wina i puścić jego komentarz mimo uszu. Lecz bycie taką dziewczyną nie przychodzi mi łatwo.

– Łowczyni posagów? – Moje gniewne spojrzenie przenosi się od noża do steka na Dantego. – Co to niby ma znaczyć?

– Dante, przestań... – Donatello z głuchym łoskotem upuszcza swoje dokumenty na stół.

– To oznacza, że wychodzisz za mojego ojca, ponieważ to twoja jedyna nadzieja na wyrwanie się z wiejskiego miasteczka. W Devil's Dip jest mnóstwo podobnych do ciebie dziewczyn – wypluwa z siebie słowa, wskazując kciukiem w kierunku korytarza. – Założę się, że dziwka Tora pochodzi z tego samego slumsu co ty.

Opiera łokcie na stole i przysuwa się do mnie. Czysta nienawiść, jaką pałają jego oczy, jednocześnie przeraża mnie i ekscytuje.

– Wszystkie jesteście takie same. Cycki większe niż IQ i fałszywy uśmiech. Wiesz, co mnie bawi? Nigdy w życiu nie złamałaś prawa, lecz z radością odwracasz wzrok i rozkładasz nogi, dopóki na twojej karcie kredytowej nie ma limitu, prawda?

– Dante – warczy Alberto. – Jeszcze słowo, a...

– A co zrobisz? – pyta kwaśno Dante, nie spuszczając ze mnie wzroku. – Znajdziesz kogoś innego na moje miejsce?

Alberto wstaje, a Dante podąża w jego ślady.

Nadal nie znam zasad panujących w mafii, lecz nawet ja wiem, że stawianie się szefowi łamie kodeks Cosa Nostry. Nawet jeśli jest się zastępcą, który praktycznie prowadzi cały interes, a szefem jest twój pijany, uganiający się za spódniczkami, ojciec.

Napięcie rośnie. W powietrzu unoszą się ciężkie, niewypowiedziane żale. To silniejsze ode mnie. Zaciskam dłonie w pięści, wbijam paznokcie w skórę i krzyczę w myślach. Jestem zbyt trzeźwa na znoszenie takich sytuacji, a kolacja nawet się jeszcze tak naprawdę nie zaczęła.

To będzie długi wieczór.

W końcu Donatello przełamuje napięcie.

– Dobrze, w porządku – wzdycha, odsuwając ze zgrzytem krzesło. Okrąża stół, aby wcisnąć się między brata i ojca. – Uspokójmy się, żeby móc porozmawiać o jutrze.

Wrywa ojcu szklankę z dłoni i odstawia ją na stół.

– Wszyscy za dużo wypiliśmy, przez co powiedzieliśmy rzeczy, których wcale nie mamy na myśli.

Cała trójka obniża swój ton głosu. Wszyscy zaczynają mamrotać po włosku. Tor wychwytuje moje spojrzenie i posyła mi chytry uśmiešek, a potem wymyka się na zewnątrz na papierosa.

– Aurora? Wszystko okej? – Czuję szturchnięcie w nogę. Odwracam się w stronę życzliwego spojrzenia Amelii i uświadamiam sobie, że nic nie jest w porządku.

Nie jestem sobą.

Nie jestem głupiutką, chciwą blondynką, za którą biorą mnie wszyscy w tej rodzinie. Mam dosyć odgrywania tej roli. Przejadły mi się głupie szpilki i krótkie sukienki, do których noszenia zmusza mnie Alberto. Irytują mnie szydercze uśmiešky, wywracanie oczami i obelgi z ust ludzi, którzy mnie nienawidzą. Dobija mnie planowanie każdego wyjścia, obstawa i bezsenne noce, podczas których wpatruję się w pozłacany sufit w sypialni Alberta, zastanawiając się, czy jego tłusty brzuch udusi mnie, gdy w końcu wespnie się na mnie podczas nocy poślubnej.

Nienawidzę klanu Visconti.

Nie cierpię tego, że nie mam wyboru i muszę zacisnąć zęby, robiąc dobrą minę do złej gry.

– Aurora?

I mam dosyć bycia nazywaną Aurorą. Mam na imię Rory.

– Pozwól, że to odłożę, dobrze? – Dłoń Amelii prześlizguje się po mojej, a następnie delikatnie wyjmuję z moich palców nóż do steków. Posyła mi współczujący uśmiech i dodaje. – Nie słuchaj Dantego. Mają z ojcem własne sprawy, przez co po prostu wciąga cię w te porachunki.

Zanim jestem w stanie wrócić do zachowywania pozorów, by móc odpowiedzieć wymuszonym uśmiechem na jej słowa, wahadłowe drzwi otwierają się z łoskotem i wparowuje przez nie ochroniarz ze słuchawką w uchu. Zmierza prosto w kierunku Alberta, a potem szeptem go o czymś informuje. Nagle mój narzeczony, Donatello i Dante wyciągają zza pasków broń, po czym bez słowa wybiegają przez drzwi.

– O, kurwa. – Z tarasu dochodzi syknięcie. Widzę Tora, rzucającego na wpół wypalonego papierosa w ciemność, przecinającego jadalnię z bronią w ręku i znikającego za pozostałymi mężczyznami w korytarzu.

– Co się dzieje? – Włosy stają mi na karku.

– Wiem tyle, co ty – szepcze Amelia.

Mija kilka ciężkich uderzeń zegara, zanim opryskliwe głosy i wybuchy śmiechu przecinają powietrze. Siedząca obok mnie Amelia odpręża się, rozsiada się swobodnie na krześle i bierze łyk wina. Lekki i wesoły hałas zbliża się do jadalni, a jego źródłem okazują się mężczyźni z klanu Visconti.

– Spójrzcie, kto zjawił się na kolację! – ryczy Alberto z zaróżowioną z zachwyty twarzą.

Zanim odwracam się, aby sprawdzić o kim mowa, moją uwagę rozprasza delikatny dotyk dłoni na ramieniu. Unoszę wzrok i napotykam spojrzenie służącego.

– *Signorina, signor* Visconti prosił, aby pani się przesiadła, by zrobić miejsce dla gościa.

Zerkam na odległy koniec stołu, przy którym Vittoria i Leonardo, dwójka nastoletnich bliźniaków Alberta, spogląda ponuro w swoje telefony. Po prawej stronie Vittori znajduje się wolne miejsce. Dalej siedzi Max, który wychwytuje mój wzrok i szczerzy się w uśmiechu.

Posyłam mu groźne spojrzenie, po czym wzruszam ramionami. Jestem bardziej niż zadowolona, mogąc zniknąć z pola widzenia Dantego i z zasięgu rubinowego pierścienia mojego podstarzałego narzeczonego.

Nagle roi się koło mnie od służących, którzy wyrywają mi sztucce i z prędkością Formuły 1 zastępują je nowym nakryciem. Max szturcha mnie w ramię i obdarza uśmiechem.

– Czyż to nie miła niespodzianka? Teraz mogę podziwiać cię z bliska. – Z błyskiem w oku przebiega wzrokiem po mojej czerwonej sukience i zatrzymuje się na piersiach. Przełyka ślinę. – Przy okazji, wyglądasz dzisiaj uroczo.

Jestem wdzięczna losowi, że do służącego obsługującego ten koniec stołu nie dotarła wiadomość o ograniczeniu ilości serwowanego mi alkoholu. Napełnia mój kieliszek czerwonym winem, a ja zdesperowana upijam dużego łyka, zanim odwracam się do Maxa.

– Wiesz, że jestem zaręczona z twoim szefem, prawda?

– Znasz mnie – mruczy, przyciskając pod stolikiem swoje kolano do mojego. – Lubię życie na krawędzi.

Lecz sposób, w jaki jego oczy gorączkowo odwracają się do szczytu stołu, sugeruje coś zupełnie odmiennego.

Max nie jest jednym z rodziny, ale z pewnością chciałby nim być. Jest kimś, kogo określa się mianem współpracownika – w jego żyłach nie płynie ani kropla włoskiej krwi, lecz mimo tego pracuje dla mafii. Jest marionetką wykonującą dziwaczne robótki, jakimi prawdziwi mężczyźni nie chcą sobie brudzić rąk, włączając w to pilnowanie narzeczonej szefa i eskortowanie jej dwa razy w tygodniu do Devil's Dip.

Max sprawia, że wrze we mnie krew. Gapi się na mnie i lubi mnie obmacywać. Przypomina mi chłopców, którzy sprawili, że stałam się inną osobą. Chodził z nimi do szkoły – prestiżowej akademii Devil's Coast – więc jestem świadoma, że dotarły do niego różne plotki.

Jest starszy ode mnie zaledwie o rok. Ma brązowe oczy i oklapłe włosy, które odgarnia z twarzy, gdy się denerwuje. Nasz układ jest jedynym powodem, dla którego nie wyrzuciłam mu jeszcze krzywdy. Toleruję jego sprośne komentarze i spojrzenia, a on w zamian daje mi dwie godziny samotności podczas naszych wyjazdów do Devil's Dip. Oboje zdajemy sobie sprawę z tego, że wpadłby w poważne kłopoty, gdyby Alberto dowiedział się, że nie podąża za mną krok w krok przez cały czas. Zatem ten mały sekret nas łączy.

Brzdęk, brzdęk, brzdęk.

W jadalni roznosi się dźwięk noża uderzającego o brzeg kryształowego kieliszka. Oczywiście pochodzi od Alberta – jedyną rzeczą, którą uwielbia bardziej niż młode kobiety i anegdoty, są długie i nudne przemowy. Gdy odchrząkuje, spoglądam w jego stronę, ale nagle moje spojrzenie przyciąga mężczyzna, który zajął moje miejsce przy stole.

Dziwne doznanie przebiega przez moje ciało. Umysł stara się nadać temu jakiś sens. Zmuszam się do przełknięcia śliny i skupiam na profilu mężczyzny. Te wystające kości policzkowe, zarost oplatający szczękę...

Jakby wyczuł, że mu się przyglądam, odwraca się i wbija we mnie wzrok.

O rety!

To on. Mężczyzna z klifu. Ten, który palił papierosa i odezwał się do mnie obojętnym tonem.

Samobójstwo jest grzechem.

Obrzuca mnie niezainteresowanym spojrzeniem, które po chwili się zmienia.

Odwracam wzrok i trzęsącymi dłońmi rozkładam na kolanach serwetkę. Moje serce wali, jakby próbowało wyrwać się z piersi. Czuję, jak poca mi się uda. Niemal zsuwam się na krześle. Zanim zbieram się na odwagę, aby ponownie na niego spojrzeć, on odwraca się do Dantego. Wysłuchuje go nieruchomy i milczący, z neutralnym wyrazem na doskonałej twarzy.

Alberto odchrząkuje i stuka w kieliszek z coraz większą siłą. W końcu w pomieszczeniu zapada cisza.

– Proszę o uwagę – grzmi. Unosi kieliszek i z uśmiechem, niczym u rekina, zwraca się do gości. – Mamy nieoczekiwanego, ale bardzo mile widzianego gościa. Powitajmy mojego ulubionego bratanka, Bezwzględneho Visconti!

Bratanek. Bezwzględny.

W pokoju rozlegają się radosne wiwaty.

Przyciągam kieliszek do ust i wypijam do dna czerwony płyn, po czym proszę o dolewkę.

Dręczy mnie niepokojące przeczucie, że będzie mi potrzebna.

ROZDZIAŁ TRZECI

Rory

Napięcie w jadalni zostaje rozładowane, a spór między Albertem a Dantem zostaje zażegnany.

Na znak mojego narzeczonego rozpoczyna się kolacja.

Od pianina dobiega leniwa wersja *Ave Maria*, służąc jako tło swobodnych rozmów. Wino i whisky leją się strumieniami i nie omijają mojego kieliszka. Lecz niestety nie pomaga mi to przytępić niepokoju, jaki czai się pod moją skórą.

Nie mogę oderwać od niego wzroku.

Na początku obserwuję każdy jego ruch, czekając na chwilę, w której oznajmi mojemu przyszłemu mężowi, że mnie rozpoznaje. Samotna dziewczyna w dresowych spodniach, niebezpiecznie balansująca jedną stopą nad krawędzią klifu. Spodziewam się, że Alberto przyspili mnie piekielnym spojrzeniem i zazgrzyta zębami, tak jak postąpił w piątek, kiedy ośmieszyłam go, zrywając zasłony. Tym razem poniosę dużo surowsze konsekwencje niż spoliczkowanie czy gwałtowne szarpnięcie za kucyk.

Wraz z czwartym kieliszkiem wina, które rozgrzewa mój żołądek, strach ustępuje ciekawości.

Angelo prawie się nie odzywa i pozostaje w bezruchu. Gdy serwują przystawki, rozpina marynarkę i odwiesza ją schludnie na oparcie krzesła, odsłaniając kremowy sweter, który przylega do jego ciała jak druga skóra. Od tej pory siedzi wyprostowany, z zaciśniętymi w pięści dłońmi, spoczywającymi po obu stronach nietkniętego talerza, podczas gdy Alberto i Dante nie przestają mówić.

Ani razu nie zaszczyca mnie spojrzeniem.

Może mija początkowy szok albo wino zaczyna wpływać na mój układ nerwowy, lecz pozwalam sobie na nadzieję, że wyobraziłam sobie jego mroczne spojrzenie, kiedy Alberto nas sobie przedstawił. To było przelotne uczucie. Być może znalazłam się na linii jego

wzroku. Zresztą jakie są szanse na to, że mnie rozpozna? Na klifie zerknął na mnie przelotnie, gdy odwracał się, aby odejść. Poza tym przez cały czas miałam na głowie kaptur.

Jest w porządku. Wszystko będzie dobrze.

– Czy ja wprawiam cię w zakłopotanie?

Dociera do mnie szept Maxa. Odrywam wzrok od miejsc u szczytu stołu i zwracam się w jego stronę.

– Hmm?

– Potrząsasz nogą i nie tknęłaś jedzenia. Czy tak na ciebie działałam? – Oblizuje wargi.

Gdybym nie potrzebowała go, by dwa razy w tygodniu odwiedzać ojca, przecięłabym mu przewody hamulcowe w samochodzie.

Ignoruję go i zwracam się do Vittori, która przesuwa mięso z kraba z jednego końca talerza na drugi. Jej jedwabiście czarne włosy opadają na twarz.

– Vittoria?

– Zostaję wegetarianką – ogłasza, odpychając z obrzydzeniem mięso. – Wiedzieliście o tym, że podczas gotowania kraby wydają z siebie wrzaski?

– Zatem dobrze, że zostały usmażone – oznajmia sucho Leonardo, nie podnosząc wzroku znad iPhone'a.

– Kretyn – mamrocze pod nosem Vittoria i odkłada widelec.

Bliźniaki Vittoria i Leonardo w wieku zaledwie szesnastu lat nienawidzą tych kolacji równie mocno jak ja.

– Czy to wasz kuzyn? – Zniżam głos i lekko dotykam jej ramienia.

Rzuca chusteczkę na zmasakrowanego kraba i posyła mi ponure spojrzenie.

– Angelo? Tak. Nie widziałam go od wieków.

Angelo. Przynajmniej nie ma na imię „Bezwzględny”.

– Jest częścią rodziny Hollow? Nigdy wcześniej go nie widziałam.

Przekroczenie progu tej posiadłości było niczym wkroczenie na scenę z filmu *Ojciec chrzestny*. Dość szybko poznałam drzewo genealogiczne rodziny, lecz nadal mam mgliste pojęcie, kto co posiada.

Alberto i jego synowie są często określani mianem klanu Cove, podczas gdy jego brat Alfredo rządzi klanem Hollow w Devil's Hollow, miasteczkiem odległym o dwadzieścia minut drogi stąd.

Mają tam firmę produkującą whisky oraz interesy, o których nie wiem zbyt wiele. Kilka razy miałam okazję spotkać synów Alfredo, lecz ten nowy facet z pewnością nie jest jednym z nich.

– Nie. On jest z Dip.

– Dip? – Mrugam.

– Angelo jest z klanu Devil's Dip. No wiesz, z tego miasteczka, z którego pochodzisz. – Spogląda na mnie, jakbym była tępa.

Krew ścina mi się w żyłach.

– W Devil's Dip nie ma żadnego klanu – mówię szeptem.

To niemożliwe. Nie ma tam żadnego Viscontiego. Na tym właśnie polega moja umowa z Albertem.

– Już nie ma. Angelo miał objąć rządy po śmierci wujka Alonso, ale nigdy tego nie zrobił.

– Wujek Alonso? Alberto ma jeszcze jednego brata?

– Miał. Mówiłam ci, że nie żyje.

– Dlaczego Angelo nie przejął władzy?

Wzdycha głośno w rozwydrzony sposób, w jaki robią to zepsute nastolatki.

– Dlaczego go sama nie zapytasz? Siedzi tam.

– Cicho – syczę.

Przyswajam nowe informacje, popijając wino. Ciężko mi to wszystko przetrawić. Zerkam w stronę nieznanego. *Angelo Visconti*. Zatem tajemniczy mężczyzna ma imię. Obsesyjnie podążam za nim wzrokiem. W końcu porusza się po raz pierwszy, od kiedy podano przekąski, ale tylko po to, by oprzeć się na krześle i potrzeć dłonie w sposób uwydatniający ogromne bicepsy.

Sprawia wrażenie znudzonego.

Służący sprząta talerze i dolewa mi wina. Przy stole toczą się rozmowy, ale docierają do mnie w zniekształcony sposób, jakbym słyszała je spod wody. Przez szczelinę w przeszklonych drzwiach wkrada się wietrzyk i delikatnie łaskocze mnie w kark, szydząc ze mnie i prowokując do ucieczki z tej morderczej kolacji. Nie musiałabym nigdy więcej oglądać jakiegokolwiek Visconti.

Powoli moja odraza do tej rodziny skupia się w szczególności na jej jednym członku. Wzrokiem wypalam dziurę w policzku Angela.

Samobójstwo to grzech. Lecz Devil's Dip ma swoje sposoby, aby sprawić, że człowiek pragnie rzucić się z klifu, nieprawdaż?

Następny łyk wina pozostawia na moim języku cierpki posmak. Teraz, gdy udało mi się przekonać samą siebie, że Angelo mnie nie rozpoznaje, mój lęk, że opowie Albertowi, że natknął się na mnie, gdy byłam w Devil's Dip, przeistacza się w coś mroczniejszego – nienawiść.

Myślał, że mam zamiar skoczyć, a mimo to... nie odwodził mnie od tego. Stwierdził, że droga do upadku jest długa i zostawił mnie stojącą nad krawędzią klifu.

Gdy odchodził, nawet się nie obejrzał.

Jeśli dwa ostatnie miesiące czegoś mnie nauczyły, to tego, że Visconti są okrutni. Lecz ten? Rany boskie, czy w jego wyrzeźbionym ciele nie odnajdzie się grama empatii?

Może właśnie dlatego Alberto mówi o nim: „Bezwzględny”.

– Auroro? Może powinnaś zwolnić. Wydajesz się odrobinę wstawiona.

– Zamknij się, Max.

W uszach czuję niepokojące pulsowanie. Przestaję się hamować i wbijam wzrok prosto w bok głowy Angela. *Co za dupek.*

Nagle słyszę swoje imię.

– Co?

To zuchwałe pytanie wyslizguje się z moich ust tak głośno, że wszyscy przy stole przerywają rozmowy i zwracają na mnie wzrok.

Słysząc skrobanie widelca. Ktoś pokasłuje.

– Mówiłem właśnie Angelowi, że jesteś z Devil's Dip – zaczyna ostrożnie Alberto, taksując mnie czujnym wzrokiem. Rzuca mi spojrzenie typu: „Nie waż się mnie skompromitować”. – On również tam dorastał. Jestem pewien, że znajdziecie wiele wspólnych tematów do rozmów.

Angelo zerka na zegarek, a potem odwraca wzrok na tapetę nad głową Dantego.

– Niezbyt wiele – rzuca. – To miejsce to kompletna dziura.

Tor śmieje się głośno, a siedzący obok niego Dante rzuca mi szydery uśmiezek.

– Co zatem skłoniło cię, aby tam wrócić?

Zapada cisza. Moja riposta zawisa ciężko w powietrzu.

O rety. Co ja właśnie zrobiłam?

Nie tylko przerwałam szefowi mafii w prowadzeniu lekkiej rozmowy, lecz wymusnęło mi się też, że spotkałam jego bratanka w Devil's Dip. Co sugeruje, że moje wyjazdy nie ograniczają się tylko do wizyt u ojca. Moje serce przyspiesza, w gardle mi zasycha i chciałabym cofnąć te słowa równie szybko, jak je z siebie wyrzuciłam. Alberto strzela kostkami i syczy coś po włosku.

Nagle dociera do mnie, że coś jest nie w porządku. Tylko ja patrzę wyczekująco na Alberta. *Co jest z nimi?* Uwaga wszystkich skupia się na Angelo. Z zapartym tchem czekają na jego reakcję.

Z przymusem spoglądam na tego mężczyznę i uświadamiam sobie, że on wpatruje się prosto we mnie. Jego spojrzenie jest ciężkie, oziębłe i obojętne. Taksuje mnie wzrokiem, jakby przyglądał się ofercie McDonald's 2forU, a nie dziewczynie, która rzuciła mu wyzwanie.

Kilka następnych sekund ciągnie się w nieskończoność. W końcu Angelo podnosi szklankę do ust, bierze łyk whisky i odwraca się do Dantego.

– Rafe wspomniał, że odnawiasz hotel. Pewnie to kosztowna inwestycja.

Napięcie opada dzięki rozmowie na temat najnowszych przedsięwzięć biznesowych rodziny Visconti. Wszyscy zapominają o moim małym akcie buntu, lecz ja nie mogę otrząsnąć się z uczucia, że moja cwana pijacka uwaga wpędziła mnie w kłopoty.

Gdy służący sprzątają po deserze, Alberto klepie się po grubym brzuchu i klaszcze w dłoń.

– Pora na przyjęcie! – ogłasza.

Świetnie.

Krzesła odsuwają się i wszyscy udają się do piwnicy. Zamiast podążyć w ich ślady, zataczam się w kierunku znajdującej się obok gabinetu Alberta łazienki dla gości, tej w której przypuszczalnie dziewczyna Tora wciąga kokę z pozłacanego zlewu.

Potrzebuję chwili na zebranie myśli. Muszę też trochę wytrzeźwieć. Wino uderzyło mi do głowy i ledwo mogę utrzymać się w pionowej pozycji na tych głupich szpilkach, na które nalega Alberto. Potrzebuję odpocząć od tej rodziny, posiedzieć w cichym pomieszczeniu, opłukać twarz i...

Nagle silny niczym imadło uścisk pęta mój nadgarstek.

– To boli!

Alberto rzuca mną o ścianę. Pomimo mroku i pijackiej mgiełki, która przyćmiewa mi obraz sytuacji, wyczuwam w jego gorącym oddechu mieszankę papierosów i alkoholu. Odkręcam głowę, próbując złapać oddech, gdy ogromne ciało mojego przyszłego męża mnie przygniata.

Czy tak będę się czuła podczas nocy poślubnej?

– Alberto!

Przyciska swoją grubą dłoń do moich ust, aby mnie uciszyć.

– Nigdy więcej nie waż się mnie tak kompromitować – syczy i pochyła się nade mną tak, że jego wilgotne usta ocierają się o mój nos. – Jeśli chcesz zachowywać się jak bachor, będę cię tak traktował.

Jego uścisk na mojej szczęce się wzmacnia. Obawiam się, że mi ją złamię.

– Pozbawię twojego ojca opieki i zabronię ci odwiedzin u niego. Rozumiesz?

Pomimo bólu nie mogę powstrzymać ogarniającej mnie ulgi. Alberto nie wie, że spotkałam Angela w Devil's Dip. Złości się na mnie za wejście mu w słowo przy stole. Poruszam głowę w jego dłoniach, ponieważ zamyka mnie w tak mocnym uścisku, że uniemożliwia mi jakikolwiek inny ruch.

– Dobrze – mruczy, najwyraźniej zadowolony z mojego nagłego przejawu posłuszeństwa. Już wydawało mi się, że zamierza mnie uwolnić, ale się powstrzymuje. Zamiast tego napiera na mnie z coraz większą siłą.

Czy to... Rany boskie! Wybrzuszenie naciskające na moje udo sugeruje, że jest bardziej niż zadowolony. Żółć podchodzi mi do gardła i walczę z pragnieniem, aby rozwiązać ten problem kolanem.

– A może nie powinienem czekać do nocy poślubnej, aby wziąć to, co mi się należy.

Moje serce zamiera. Groźba starca zawisa w powietrzu. Jego oddech pali mój policzek. Cisza staje się coraz cięższa.

– Zrozumiałam – mamrocę.

Alberto nigdy nie opuszcza przyjąć, więc odsuwa się ode mnie i odchodzi korytarzem.

– Masz być widoczna, ale cicha, Auroro – burczy do siebie. –
Naucz się trzymać swoje małe, śliczne usteczka na kłódkę.

Wbita w ścianę czekam, aż odgłos ciężkich, rozlegających się na marmurze kroków rozplywa się w nicość. Uciekam do łazienki i zamykam za sobą drzwi. Dysząc, opieram się o umywalkę i wpatruję we własne odbicie w lustrze.

Trzy lata złych uczynków. Czy cotygodniowa spowiedź w Anonimowych Grzesznikach nie wystarczy? Może muszę odpokutować za swoje grzechy. Poniekąd karą jest to, że codziennie nie poznaję swojego odbicia w lustrze.

Kim jest ta dziewczyna? Pytam cicho sama siebie. Nie przypominam Rory Carter. Nie, z kilkucentymetrowym makijażem oraz z prostymi jak druty włosami. Pomimo że zgodziłam się na układ z Albertem i sprzedałam mu swoją duszę, to nigdy nie będę Aurorą Visconti. Zawsze pozostanę Rory z Devil's Dip. Tą dziewczyną, która ma kręcone włosy, nosi sportowe ubrania i tenisówki. Tą, która potrafi wzniecić ogień za pomocą puszki z napojem i zidentyfikować ponad trzysta gatunków ptaków, wyłącznie po ich odgłosach.

Pozwalam sobie na długie, desperackie i pełne ulgi, westchnienie. Chwilę potem opadam na brzeg deski klozetowej, chowając twarz w dłoniach. *Cholera jasna, boli mnie szczęka.*

Gdy zawierałam układ z Alberto Visconti, obiecywał mi wszystko, o co poproszę w zamian za moją rękę i dziewictwo. W kontrakcie nie przewidziano nacinania pierścionkiem czy napastowania w ciemnych zakamarkach.

Czuję się osaczona.

Wciągam powietrze, wycieram usta po winie, wygładzam sukienkę i zbieram siły na wyruszenie do piwnicy.

Pamiętaj, dlaczego tu jesteś, Rory.

Nie zapominaj, czemu się tu znalazłaś.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Rory

W skąpanym w słabym świetle barze rozbrzmiewają wesołe rozmowy. Pojawiają się nowi goście, których nie uznano za dość ważnych, aby zaprosić ich do uczestnictwa w kolacji. Muzyka przechodzi z klasycznej w jazz, sącząc się z głośników umieszczonych za barem. Za zielonymi, welurowymi boksami i kanapami znajdują się prowadzące na taras wysokie drzwi. Dostrzegam tam pogrążonych w rozmowie Tora i Donatella.

Rozglądam się w poszukiwaniu Angela. Mój wzrok wędruje po wszystkich zgromadzonych. Ogarnia mnie panika, gdy nie dostrzegam ani jego, ani obleśnej twarzy narzeczonego. Co, jeśli Angelo zaciągnął go do palarni albo pokoju gier i opowiada mu o tym, co widział? Z pewnością po moim wybuchu powiązał wszystko w całość.

Zerkam w kierunku palarni i dostrzegam drepczącego w miejscu przed zamkniętymi drzwiami Dantego. Jedną rękę trzyma w kieszeni, a w drugiej ma szklanę whisky.

Dante Visconti nie jest typem człowieka, który się tak zachowuje.

Z trudem przełykam ślinę, po czym kieruję się do baru, by zająć miejsce koło Amelii. Barman wbija we mnie wzrok i się śmieje.

– Rory Carter – mruczy, wycierając szklanę po piwie. –

Słyszałem, że ostatnio spędzasz czas z rodziną Visconti. Myślałem, że to tylko plotki.

Mrużę oczy w bursztynowym blasku, przez co jestem w stanie stwierdzić, że to Dan. Pracuje z moją przyjaciółką Wren w Rusty Anchor, barze portowym w Devil's Dip.

Instynktownie ściągam z kontuaru dłoń, na której mam pierścionek zaręczynowy.

– Hej, Dan. Co tutaj robisz?

– Dorabiam w prywatnym barze. – Przerzuca ściereczkę przez ramię i mruży oczy. – Nie sądziłem, że jesteś jedną z tych dziewczyn.

Czuję pulsowanie w skroniach. *Jedna z tych dziewczyn.* Nie muszę nawet rozglądać się po barze, by wiedzieć, jaki typ kobiety ma na myśli. W Devil's Dip krąży stały kawał, że życiowym celem każdej dziewczyny jest wyrwanie się z tej dziury albo poślubienie jakiegoś Viscontiego. Jeśli nie uda się złapać jednego z członków tej rodziny, to przynajmniej jakiegoś bogacza, którego stać na częste korzystanie z obiektów będących własnością Viscontich w Devil's Cove.

Zawsze zaliczałam się do pierwszej grupy dziewczyn. Moim celem było wyrwanie się z Devil's Dip z chwilą osiągnięcia pełnoletniości. Jednak życie nie zawsze układa się w taki sposób, jak byśmy tego chcieli.

– Co ci podać?

Cokolwiek, co mnie znieczuli.

– Poproszę dzin z tonikiem.

– Dwa razy – wtrąca siedząca obok mnie Amelia. – Piątkowe wieczory są takie nudne, nieprawdaż? Ledwo jestem w stanie znieść kolację, a te późniejsze przyjęcia... Ciągną się w nieskończoność.

Tłumi ziewanie.

– Wiem – wzdygam, pochylając się, aby pomasować świeży pęcherz na pięcie. – Oddałabym wszystko za puszystą pizamę i odcinek *Chirurgów!*

Wywraca oczami w niedowierzaniu.

– Nie wyglądasz na typ dziewczyny, który posiada taką pizamę. Założę się, że śpisz w Chanel, a na poranną przebieżkę wybierasz się w sukni od Versace.

Brzydko parskam i gdyby Alberto był tego świadkiem, ściągnąłby mi pierścionek z palca razem ze skórą. Kusi mnie, by jej wyznać, że wszystko, co widzi, to wizerunek wykreowany przez tego staruszka. Piekielne stringi wpijają mi się w tyłek i straciłam już rachubę, ile razy przycięłam sobie skórę zbyt ciasnymi zamkami. Mimo że Amelia jest moją jedyną nicią łączącą mnie z rozciągającym się za bramą tej posiadłości normalnym światem, nadal stanowi część tej rodziny. Więc uśmiecham się i potrząsam głową, a moje parsknięcie przemieniam w śliczny chichot, który w przeciągu ostatnich dwóch miesięcy opanowałam do perfekcji.

Bierzemy nasze drinki, a następnie udajemy się w kierunku tarasu. Gdy tylko siadamy na kanapie, zjawiają się szeroko uśmiechnięci Donatello i Tor.

– Szanowne panie, robimy zakład. Chcecie dołączyć? – pyta Tor.

Amelia zerka na męża z grymasem na twarzy.

– Donnie, ile razy ostrzegałam cię, aby nie brać w tym udziału? Twoja rodzina to banda oszustów. Nigdy z nimi nie wygrasz.

Donatello pochyla się i ujmuje ją pod brodę.

– Wyluzuj, *mio amore*. Zakładamy się o to, jak długo Dante wytrzyma przed palarnią, zanim wyważy drzwi.

Zerkam na krążącego w miejscu Dantego, który mamrocze coś pod nosem.

– Jest wkurzony, że nie został zaproszony na spotkanie. – Śmieje się Tor.

– Jakie spotkanie? – dopytuje Amelia.

– Ojca z Angelem. Najwyraźniej chcieli porozmawiać na osobności. – Tor wkłada dwa palce do ust i gwizdże. Dante unosi wzrok i spogląda na niego, a kiedy ten kiwa na niego palcem, podchodzi.

– Co? – rzuca.

Tor zaciska dłoń na jego ramieniu.

– Wiesz, jak żałośnie wyglądasz, warując pod palarnią, brachu? Jakbyś był w szkole średniej, a za tymi drzwiami twoja dziewczyna zabawiała się z innym kołesiem.

Wybuchła fala śmiechu. Czuję ulgę, że chociaż raz nie stroją sobie żartów ze mnie.

– Ojciec zawsze miał na jego punkcie obsesję – warczy Dante, rzucając kolejne spojrzenie w kierunku drzwi. – O czym, do cholery, mogą rozmawiać? On już nawet nie jest członkiem mafii. Mam tego dosyć. Wchodzę tam. – Wychyla resztkę brązowego płynu i z hukiem odstawia szklankę na najbliższym stoliku.

Obserwujemy, jak szybkim krokiem zmierza w kierunku palarni. Tor sprawdza zegarek, uśmiecha się szyderczo i wystawia rękę. Donatello odchrząkuje i wyciąga plik banknotów z kieszeni marynarki. Mamrocze bezgłośnie „przepraszam” do Amelii, która wygląda, jakby chciała przyłożyć im obu.

– Ma pieprzone trzydzieści dwa lata – rechocze Tor, przeliczając pieniądze. – I nadal ma o to do niego żal.

– O co? – Ze zdziwieniem zauważam, że zadałam pytanie.

– Angelo bzyknął jego dziewczynę na balu. – Zerka na mnie z uśmiechem.

– Dlaczego to zrobił?

– Ponieważ to Bezwzględny Visconti – odzywają się jednocześnie z Donatello.

Włoski na karku stają mi dęba.

– Bezwzględny?

– Tak. Jest wrednym dupkiem – rechocze Tor. – A przynajmniej był nim, zanim się zreformował.

Szturcza Donatella między żebra.

– Pamiętasz, jak przestrzelił rękę swojego kierowcy tylko dlatego, że skręcił w niewłaściwą uliczkę? – dodaje.

Donatello potakuje.

– Albo wtedy, gdy zamknął pracowników portu w kontenerze transportowym i wysadził go, ponieważ nie potrafili rozliczyć się z jednego dziennika pokładowego. – Potrząsa głową z niedowierzaniem. – Z wszystkich członków mafii, którzy się nawracali, nigdy nie podejrzewałbym, że padnie na niego.

Tor poklepuje Donatella po plecach.

– Skoro mowa o dziewczynach, prawdopodobnie powinienem odnaleźć Sarah.

– Skyler – poprawia go Amelia, wywracając oczami. – Ma na imię Skyler.

– To nieistotne. Nie widziałem jej od jakiegoś czasu. Pewnie już położyła łapska na rodzinnej porcelanie. – Z tym stwierdzeniem Tor przeciska się wśród uczestników przyjęcia i znika w tłumie. Donatello rzuca przeprasające spojrzenie Amelii i podąża za bratem.

– Za każdym razem to samo – mamrocze Amelia, dźgając rurką kostkę lodu.

Lecz jej nie słucham, gdyż obserwuję, jak Dante wali pięścią w drzwi palarni, które w końcu stają przed nim otworem. Ukazuje się w nich sylwetka Alberta. Odbywają krótką, gwałtowną rozmowę, po czym Dante odwraca się i wbija we mnie ponure spojrzenie.

Zamieram z kieliszkiem przy ustach. Gdy rusza w moją stronę, zacznę się denerwować. *Nie jest dobrze.*

– To z tobą... – warczy, zatrzymując się kilka centymetrów od miejsca, w którym siedzę. – Chce rozmawiać.

Serce wali mi głośno.

– Ze mną? – dopytuję.

Lecz Dante znajduje się już w połowie drogi do baru, zaś Amelia wściekle wali w komórkę. Czuję ciężar w żołądku i przez krótką chwilę rozważam, czy nie powinnam wysliznąć się przez tarasowe drzwi, by zniknąć na plaży. Jednak malujący się na twarzy Alberta grymas zniecierpliwienia mówi mi, że moja obecność nie podlega negocjacji.

Odstawiam drinka i ruszam do palarni. Moje szpilki toną w luksusowym dywanie. Alberto obejmuje mnie w talii i składa zimny, oślizgły pocałunek na mojej szyi. Zachowuje się zwyczajnie. Jakby nie zaciskał dłoni na mojej szczęce i nie opryskiwał mnie śliną oraz jadem niespełna dziesięć minut temu.

Wpycha mnie do pomieszczenia. Jego gospodyni Greta zaznaczała, kiedy oprowadzała mnie po raz pierwszy po posiadłości, że kobiety nie mają wstępu do palarni. *To pokój dla mężczyzn.* Nie ominęło mnie za wiele – to po prostu mniejsza wersja gabinetu mojego przyszłego męża. Mahoniowe szafki i luksusowe fotele toną w ciężkiej chmurze tytoniowego dymu.

Pokój wydaje się jeszcze mniejszy ze spoczywającym w fotelu przy kominku Angelem Viscontim.

– Auroro, podczas obiadu nie miałem przyjemności formalnie przedstawić cię Angelowi.

Drzwi za mną zamykają się. Przez chwilę stoimy pogrążeni w ogłuszającej ciszy.

Od kiedy zaręczyłam się z szefem Cosa Nostry, przechodziłam przez ten rytuał niezliczoną ilość razy. Różni mężczyźni, podobne garnitury. Pocałunek w dłoń i zastygły na ustach uśmiech. Lecz tym razem jest inaczej.

Mam wrażenie, jakbym nie mogła złapać oddechu. Dlaczego? Ponieważ z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu wolałabym rzucić się z klifu w Devil's Dip niż przechodzić przez ten rytuał z Angelem Viscontim. *Bezwzględny Viscontim.*

Biorę głęboki oddech. Siłę się na odwagę i zmuszam do oderwania wzroku od dywanu.

Czuję ciężar w piersi, gdy napotykam jego spojrzenie. *Ach, jaki jest przystojny!* Nie mogę uwierzyć, że na klifie nie rozpoznałam, że jest jednym z Viscontich. Zielone oczy, opalenizna i czarne włosy błyszcząły w słabym oświetleniu gabinetu. Jego szczęka i kości policzkowe są tak wydatne, jak zapamiętałam i nadal zapierają mi dech w piersi.

Ten przystojniak znajduje się poza moim zasięgiem. Nie to, że chciałabym go dotknąć. A nawet gdybym miała na to ochotę, sądząc po wyrazie pogardy malującym się na jego twarzy oraz jego reputacji, złamałby mi palce przy pierwszej próbie.

– Angelo, poznaj moją narzeczoną. Auroro, to mój ulubiony bratanek. Oczywiście ani słowa o tym Raphaelowi czy Gabrielowi – dodaje z rechem.

Nie wiem, kim są ci dwaj i nie mam ochoty dopytywać. Zamiast tego odrywam wzrok od Angela, ponieważ ogarnia mnie niepokojące uczucie. Instykt podpowiada mi, że wydarzy się coś złego, jeśli tego nie zrobię. Lecz po chwili mój wspomagany alkoholem upór zmusza mnie do podjęcia ryzyka. Przełykam gulę w gardle, unoszę wysoko podbródek i nawiązuję kontakt wzrokowy.

– Narzeczoną – rzuca, rozsiadając się w fotelu. Jego oczy przewiercają mnie na wylot i zauważam, że jest jedynym mężczyzną, któremu Alberto przedstawił mnie formalnie, a który nie zwrócił uwagi na moje piersi czy nogi. To sprawia, że jeszcze bardziej nim pogardzam. – Straciłem rachubę. Ile już miałeś żon, wujku?

Mrugam zdziwiona. Pomijając Dantego, nigdy nie słyszałam, aby ktoś zwracał się w ten sposób do Alberta. Żar oblewa moją skórę, lecz zanim odzyskuje panowanie nad sobą, Alberto owija mnie ramieniem w talii i sadza sobie na kolanach.

Wzdycham. Angelo wygląda na lekko zniesmaczonego.

– Ta żona jest wyjątkowa – rzuca mój podstarzały narzeczoną, a jego ramiona zaciskają się na mnie niczym imadło. – Jest dziewicą.

O rety. Czy on naprawdę to powiedział?

Nie mogę w to uwierzyć. Żar pali moje policzki. Ciężko mi zwalczyć pragnienie wbicia mu łokcia w bebech, lecz wiem, że jestem zbyt pijana, a moje szpilki są za wysokie, abym zdołała przed nim

uciec. Zamiast tego odwracam wzrok i wybieram bezpieczne wpatrywanie się w wiszące na ścianie zdjęcie, chociaż wcześniej byłam zdeterminowana utrzymać kontakt wzrokowy z Angelem.

Po kilku chwilach uświadamiam sobie, że wpatruję się w zrobione z lotu ptaka zdjęcie Devil's Coast. Nazwa miejscowości pochodzi od wyszczerbionych ścian skalnych i stromych spadków, które wyglądają, jakby sam diabeł wgryzł się w ten kawał ziemi. Na szczycie, niczym klejnot koronny, połyskuje Devil's Cove. Jasne światła hoteli i kasyn migoczą na obszarze piaszczystego półokręgu. Poniżej leży Devil's Hollow, kraina tak ciemna, że niemal granatowa. Cała radość Hollow została pogrzebana głęboko pod ziemią w majestatycznych jaskiniach, gdzie klan Visconti postarza swoje whisky, trzymając je w beczkach oraz wyprawia niedozwolone przyjęcia dla zdeprawowanych bogaczy. Odrobinę na uboczu rysuje się olbrzymia struktura akademii Devil's Coast, która jest Hogwartem dla elity.

Na zdjęciu widać również Devil's Dip. *Dom*. Mieści się na małym łuku ziemi, dokładnie u podnóża skał. Serce mi pęka, gdy spoglądam na ujęty z lotu ptaka mały port i brukowane wąskie uliczki, osadzone na tle rozłożystego, zalesionego rezerwatu Devil's Preserve. To szalone, że znajduję się mniej niż czterdzieści minut drogi od domu, a czuję, jakby był miliony kilometrów stąd.

Uszczypnięcie w biodro przywraca mnie do rzeczywistości. Zaciskam obolałą szczękę.

– Przepraszam, nie dosłyszałam. Co mówiłeś, kochanie? – rzucam.

Kochanie. Być może granie na chorej fantazji Alberta wybawi mnie od kolejnej kary. Odwracam się do niego i posyłam mu słodki uśmiech. Moja taktyka działa, ponieważ ogień w jego oczach gaśnie. Chwyta moją dłoń.

– Pokaż mu pierścionek.

Przełykam gulę w gardle i ponownie napotykam spojrzenie Angela. Powoli wyciągam przed siebie drżącą dłoń. *To pewnie przez wino*.

Traktuje pomysł oglądania pierścionka zaręczynowego jako nudniejsze zajęcie niż długa podróż autobusem w deszczowy dzień. Bierze leniwy łyk whisky i nie spieszy się z odstawieniem szklanki na stolik. Palą mnie uszy, a przedłużająca się cisza jest dusząca.

Zegar na gzymsie kominka wybija godzinę. Czuję wyrywający się z piersi Alberta świszczący oddech.

Angelo pochyła się podirytowany i zaciska dłoń na moim nadgarstku.

Mój oddech staje się płytki. Nie spodziewałam się, że mnie dotknie. Spoglądam na oplatające mój nadgarstek palce. Są tak długie, że opuszek jego kciuka dotyka kostki mojego palca wskazującego. Przy nim moja niewielka dłoń wygląda dziecinnie.

Nie podoba mi się to uczucie. Jest niewłaściwe. *Niebezpieczne*.

– Wygląda na ciężki.

Obojętność w głosie Angela przyprawia mnie o ciarki, którym towarzyszy dziwne uczucie podekscytowania. Olbrzymi diament obciąża mój palec serdeczny niczym kotwica. Amelia nawet zażartowała, że czystość tego diamentu jest tak wysoka, że nie tylko odbija światło, ale również ciemność. Każdy mężczyzna, któremu musiałam zaprezentować pierścionek, wylewnie go chwalił, a tymczasem Angelo obrzuca obojętnym spojrzeniem tkwiący na moim palcu kamień za milion dolarów. Mimo że go nie lubię, to jego mały akt buntu wobec wszechmocnego szefa mafii, ekscytuje mnie.

Mój narzeczony odchrząkuje.

– Nie jestem pewien, na jak długo wpadłeś do miasta, ale w następnym tygodniu odbędzie się nasze zaręczynowe przyjęcie. Byłoby nam bardzo miło, gdybyś się na nim pojawił. No, wstawaj. –

Ku mojej zgrozie Alberto klepie mnie dwukrotnie w tyłek i zrzuca z kolan, jakbym była cholernym odmawiającym współpracy mułem. – Chodź, Angelo. Chcę ci coś pokazać.

Mija mnie i znika za drzwiami. Odgłosy przyjęcia przelotnie wypełniają pokój, zanim wahadłowe drzwi zamykają się za nim i ponownie zapanowuje cisza.

Zostajemy sami. W pokoju panuje niesłychana duchota.

Zmuszam się, by odwzajemnić jego intensywne spojrzenie.

W jego wzroku pojawia się cień czegoś, czego nie potrafię nazwać.

– Aurora Visconti – mamrocze cicho i pociera palcem wargi.

Czuję galop w piersi. Niedawno przy kolacji usłyszałam już te słowa z ust Amelii. Lecz to jak brzmią one w jego ustach, w wiszącej między nami ciszy, wydaje mi się... niewłaściwe.

Mimo to moje uszy pragną ponownie usłyszeć jego głos.

Podnosi się z krzesła i wyprostowuje. Chociaż mam na sobie głupie szpilki, to mój wzrok spoczywa na wysokości jego szyi. Jestem porażona widokiem jego poruszającego się w cieniu szczęki jabłka Adama.

– Wystarczająco ciężki, aby cię obciążyć.

– Słucham? – Podnoszę na niego wzrok.

Jego spojrzenie wędruje na moją dłoń i zagryza dolną wargę. Czuję niechciane ciepło między udami. Nie mogę tego powstrzymać.

– Twój pierścionek. Wygląda na wystarczająco ciężki, aby cię obciążyć, gdybyś wybrała upadek.

Serce wali mi w piersi i wstrzymuję oddech. Jedyne dźwięki, jakie słyszę w pokoju, to krew pulsująca w moich skroniach. Jestem aż nazbyt świadoma jego obecności. Odczuwam jego każdy ciężki krok, gdy zmierza do drzwi.

Lecz zatrzymuje się przy mnie, tak jak na klifie. Zarost na jego szczęce ociera się o mój policzek, a znajomy zapach przyprawia mnie o zawroty głowy.

– Miło było cię poznać, Auroro.

Delirium, jakie mnie ogarnia, przenosi mnie z powrotem na krawędź klifu.

Po raz pierwszy szczerze żałuję, że nie skoczyłam.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Rory

– Podwójną Smugglers Club – rzucam do Dana, niezdolna spojrzeć mu w oczy. – Bez lodu.

Gwiżdże cicho, po czym przesuwając krysztalową szklankę po kontuarze. Ciepły alkohol uderza w moje gardło, sączy się przez dziko pędzące serce i zamienia w gorycz na dnie żołądka. Nie chłodzi jednak gorączki palącej moje ciało.

Odczuwam ból na wspomnienie uchwytu Alberta na mojej szczęce, a miejsce, w którym jego dłoń obejmowała mnie w talii, piecze.

– Kolejną – żądam. Dan unosi brew, lecz mimo wszystko serwuje mi dolewkę.

Wychylam whisky jednym haustem, wycieram usta, a potem ruszam przez tłum w kierunku Maxa.

Siedzi w samotności w boksie i popija piwo. Gdybym darzyła go choć odrobiną sympatii, byłoby mi go żal, ponieważ poświęca życie rodzinie, którą guzik obchodzi.

– Powiedz mi wszystko, co wiesz o tym nowym Viscontim – rzucam.

– Co chcesz wiedzieć? – mruczy mi do ucha Max, przez co dociera do mnie jego piwny zapach.

Zacznijmy od tego: dlaczego wprawia mnie w podenerwowanie?

– Tak jak mówiłam. Wszystko.

Przysuwa się bliżej, a jego gorące udo sprawia, że czuję dreszcze na skórze.

– Co będę z tego miał?

– Życie, Max. Widział mnie samą w Devil's Dip, gdy miałeś mnie nie odstępować na krok.

Powoli docierają do niego moje słowa.

– Bezwzględny cię widział? Kurwa – wzdycha, przeczesując dłonią włosy. – Alberto mnie zabije.

Pojełam już, że jeśli ktoś z mojego nowego otoczenia tak mówi, to wcale nie ma na myśli żadnej przenośni.

– Dante powiedział, że on nawet nie jest już w mafii. Myślałam, że mężczyźni z klanu Visconti należą do niej z założenia.

Max bierze kilka dużych łyków piwa, obleśnie przy tym posapując, i odstawia szklanekę na stolik.

– W porządku. Oto wszystko, co musisz wiedzieć: Ojciec Angela, Alonso, rządził Devil's Dip. Kontrolował import i eksport w porcie. Wyjątkowo lukratywny biznes. Przy tym, co zarabiał w Dip, Cove to slumsy.

Marszczę brwi, myśląc o wszystkich pięciogwiazdkowych hotelach i efekciarskich kasynach, które znajdują się w Devil's Cove. Potem przywołuję w myślach wizerunek portu w Devil's Dip. Nie ma tam nic poza skrzypiącymi starymi dokami, kilkoma godnymi pożałowania łódkami oraz porzuconym kontenerem transportowym, który zamieniono w bar.

– Naprawdę? A czym handlował?

– Wszystkim i z każdym. Kupował kokainę od Kolumbijczyków, broń od Rosjan. Nie istniało nic poza jego zasięgiem.

Potrząsam głową, nie mogąc w to uwierzyć. Wychowywanie się w małym mieście ma do siebie to, że kojarzy się wszystkich mieszkańców.

– Znam wielu pracowników portu, w tym Billa, najlepszego przyjaciela mojego ojca i starego Riley'a, który ożenił się z mamą Wren. Nigdy nie zaangażowałiby się w nic nielegalnego. Jediną rzeczą wpływającą do portu Devil's Dip i wychodzącą z niego są langusty i puszkowane jedzenie.

Max śmieje się na moje słowa i żartobliwie szturcha mnie ramieniem.

– Nie, czekaj. Nie skończyłem opowieści. – Wyciąga dłoń i ujmuje wyprostowany kosmyk moich włosów. Wzdrygam się na ten gest. – Alonso był cholernie sprytny. Kojarzysz kościół na klifie?

Przez chwilę czuję posmak słonego powietrza, wiatr tańczący w moich lokach, a także dym papierosowy. Potakuję.

– Gdy bracia Visconti przybyli do Devil’s Coast, Alonso natychmiast kupił kościół, otrzymał święcenia kapłańskie i mianował się diakonem parafii. – Krzyżuje ramiona, unosząc brwi, jakby czekał, aż połączę fakty.

– I?

– A po co chodzisz do kościoła? – wzdycha.

– Modlić się?

– Spowiadać. Alonso znał najmroczniejsze sekrety mieszkańców Devil’s Dip. Gdyby groziło im ich ujawnienie, to byliby gotowi, by zrobić wszystko, czego sobie życzył, niezależnie, czy byłoby to legalne czy nie.

W moich uszach pojawia się dziwne dzwonięcie. Próbuje przetrwać to, co właśnie usłyszałam.

– Jezu – mamrocze. – To...

– Genialne.

– Raczej okrutne.

– Również – mówi, pociągając łyk piwa i wzruszając ramionami.

Nagle na moich ramionach, niczym nieprzyjemna wysypka, pojawia się gęsia skórka. Instynktownie odwracam się i natrafiam na wzrok Angela Viscontiego. Pochyla się nad barem i trzyma luźno w dłoni szklanekę whisky. Dante z ożywieniem szepcze mu coś do ucha, podczas gdy on pozostaje nieruchomy i milczący. Wyglądają niczym ogień i lód.

Nasze spojrzenia się spotykają, lecz jego wzrok jest tak chłodny, że mogłabym nabawić się od niego odmrożeń. *Co jest nie tak z tym gościem?* Gdy przyłapie się kogoś na gapieniu się, zazwyczaj taka osoba odwraca wzrok, jeśli nie z zażenowania, to z grzeczności. Lecz on wpatruje się we mnie, jakby miał do tego pełne prawo. Czuję się niczym jeden z obrazów wiszących na ścianie posiadłości lub posągów umieszczonych w korytarzu.

Na dodatek nie taki, który mu przypadł do gustu.

Następnie jego wzrok przenosi się na Maxa. Grymas, jaki pojawia się na jego obliczu, sprawia, że odwracam wzrok.

– Pozwól, że zgadnę. Powód, dla którego nie objął szefostwa po ojcu był taki, że nie zgadzał się z jego podejrzaną taktyką szantażu?

– Odchrząkuję i mamrocze.

Max nie wychwytuje sarkazmu w moim głosie.

– Nie. Spowodowała to śmierć jego matki i ojca w krótkim odstępie czasu.

– Zostali zamordowani? – Włosy na karku stają mi dęba.

– Nie. Maria miała atak serca. A parę dni później Alonso doznał nagłego wylewu krwi do mózgu. Jesteśmy tu jedną wielką rodziną, wiesz? Angelo ciężko to przyjął. Po pogrzebie, zamiast poddać się zaprzysiężeniu na szefa, wrócił do Londynu i od tej pory prowadzi uczciwe życie.

– Uczciwe?

– Tak jak wspomniał Dante, nie jest już członkiem mafii. Przed śmiercią rodziców prowadził bardzo lukratywny interes lichwiarski w Anglii, w oczekiwaniu, aż jego ojciec przejdzie na emeryturę i będzie mógł przejąć rodzinny biznes. Lecz po śmierci rodziców już tu nie wrócił. Wybrał Anglię, gdzie zalegalizował swój interes. Chodzą pogłoski, że nawet nie nosi już przy sobie broni.

Gdy ponownie odwracam się w stronę Angela, postrzegam go w odrobinę łagodniejszym świetle. Obserwuję, jak unosi głowę i powolnym leniwym ruchem nadgarstka kręci płynem w szklance. Odczuwam cień współczucia i dopada mnie poczucie winy.

Jestem naprawdę okropną osobą. Utrata mamy była dla mnie ciężkim doświadczeniem, lecz rak toczył jej ciało powoli, przynajmniej dając nam czas na pożegnanie się. Nie wyobrażam sobie straty obojga rodziców w jednym tygodniu.

Czuję ostre ukłucie w piersi. *To niezupełna prawda*. Gdy zmarła mama, duża część ojca odeszła wraz z nią.

– A jego bracia? – dopytuję, przypominając sobie żart Alberta w palarni. *To mój ulubiony bratanek. Nie mów o tym Raphaelowi i Gabrielowi*. – Dlaczego nie przejęli Devil's Dip?

– Rafe i Gabe? – pyta pełnym animuszem głosem, sugerując, że się przyjaźnią, w co wątpię. – Nie. To wbrew tradycji przekazywać w ten sposób pozycję szefa. Jedynym wyjątkiem jest śmierć lub pobyt w więzieniu. Poza tym bracia Dip...

Wkłada palec do piwa, nabiera pianę i go oblizuje. *Ohyda*.

– Są zażarcie lojalni. Jest między nimi kilka lat różnicy, ale patrząc na ich zachowanie, pomyślałabyś, że są trojaczkami.

– Też mieszkają w Londynie?

– Nie, skądże. Rafe jest właścicielem większości budynków w Vegas. Na pewno go widziałas. Często zjawia się w Cove, żeby zagrać w pokera z Torem i braćmi Hollow. Lecz Gabe... – Śmieje się. – Nigdy go nie spotkasz.

Ukryta w tym stwierdzeniu drwina wzbudza moje zainteresowanie.

– Dlaczego? Co takiego robi?

– Nie mam pojęcia. I nie mam dość odwagi, aby zapytać.

Moje przesłuchanie przerywa Vittoria. Wsuwa się do naszego boksu i kładzie głowę na stoliku.

– Boże, wolałabym sobie wydlubać oko zardzewiałą łyżką niż być tutaj.

Max unosi swoje ciepłe piwo.

– Zaczekaj, aż skończysz dwadzieścia jeden lat. Alkohol czyni te przyjęcia znośniejszymi.

– Jestem pijana – przerywa mu. – Dziewczyna Tora nie jest taka bezużyteczna, na jaką wygląda. Częstowała mnie wódką ze swojej piersiówki. A przynajmniej wydaje mi się, że to była wódka.

– O, nie – mamrocze Max, zrywając się na równe nogi. – Jeśli twoi bracia dowiedzą się, że wiedziałem, że piłaś... Nie widziałas mnie, dobrze? – rzuca nam błagalne spojrzenie i znika w tłumie.

Wywracam oczami i spoglądam na Vittorię. Po kilku chwilach unosi głowę znad zasłony czarnych włosów, by spojrzeć na mnie przekrwionymi oczami.

– Moja sukienka jest za ciasna i bolą mnie stopy. – Siada wyprostowana, po czym chwyta perłowy naszyjnik na swojej szyi. – A ta pieprzona rzecz mnie kłuje.

Jednym zwinnym ruchem zrywa biżuterię i rzuca ją na stół. Nagle blednie, zaciskając usta. Bez słowa wyślizguje się z boksu, by popędzić schodami na górę.

Mój wzrok przesuwa się na naszyjnik i mamrocze przekleństwa pod nosem. Szarpnęła go, jakby to był zwykły, nawleczony na sznurek makaron. To obrzydliwe, że nawet najmłodszy członek tej rodziny nie zdaje sobie sprawy z własnego bogactwa i przywilejów. *Wychowano ją na rozpieszczonego bachora.*

Przesuwam wzrokiem po pomieszczeniu.

Gdy jestem pewna, że nikt mnie nie widzi, wsuwam naszyjnik do stanika.

Przyjęcie trwa w najlepsze. Rozbrzmiewa muzyka i słycać śmiechy. Czasami przebywanie w towarzystwie rodziny Visconti przypomina Boże Narodzenie. Zaglądam przez okno do ich salonu i drzę z zimna w burzy śnieżnej. Jestem outsiderem, który nigdy nie zostanie zaproszony, by zasiąść z nimi przy kominku. To mnie przygnębia, lecz tylko przez chwilę.

Wolałabym czuć przenikliwe zimno i stracić palce w wyniku odmrożenia niż do nich dołączyć.

Obrzucam wzrokiem pomieszczenie i natrafiam na spojrzenie Amelii. Gdy z uśmiechem rusza w moim kierunku, Donatello wyciąga rękę i łapie ją za nadgarstek.

– Kochanie. Willa, którą właśnie kupiliśmy w Toskanii, nie przypadła ci do gustu, zgadza się?

Szczeka Amelii zaciska się, a jej nozdrza drgają. Bierze głęboki wdech i z zastygłym na twarzy uśmiechem odwraca wzrok w moją stronę.

– Auroro, kochanie, wybaczysz nam na chwilę? Muszę przypomnieć mojemu mężowi, że jeśli nadal będzie się zakładał z braćmi, to wkrótce zamieszkamy w pudle pod mostem.

– Pójdę sprawdzić, co z Vittorią – mamrocze, podnosząc się.

Gdy zostawiam ich kłócących się w boksie, znajome ukłucie tęsknoty zapiera mi dech w piersi. Łączy ich to, co moich rodziców – prawdziwa miłość. Złożyłam obietnicę mamie, że wyjdę za mąż z miłości. Gdy myślę o wykropkowanej linii w kontrakcie mojego narzeczonego, echo jej miękkiego głosu rozlega się w mojej głowie. Złamanie tej obietnicy jest grzechem, który wyjątkowo mi ciąży. Nieważne, ile razy się z niego spowiadałam, ciężko mi się z tego otrząsnąć.

Jezu, jestem pijana. Podłoga pode mną tańczy, a bursztynowe światła świecą nisko i mętnie. Każdy mój krok jest chwiejny i ryzykancki. Jeden fałszywy ruch, a wywalę się na tych głupich szpilkach. Muszę uważać, bo nie chcę podsuwać Albertowi kolejnej wymówki, aby mnie karać.

W korytarzu panuje błoga cisza. Jest dla mnie takim samym wytchnieniem, jak zdjęcie biustonosza po długim dniu. Wypuszczam powietrze z płuc i pogrążam się w mroku, po czym opieram się

plecami o zimną, mahoniową boazerię. Pod stopami przyjęcie szumi tak, jakby mieszkańcy piekła walili w sufit, próbując się wydostać.

Przez chwilę pławię się w spokoju, aż w końcu podejmuję decyzję. Postanawiam sprawdzić, co dzieje się z Vittorią. Znacznej części mnie nie obchodzi, że jakiś Visconti – nawet najmłodszy i najbardziej niewinny – może się właśnie krztusić własnymi wymiocinami. Jednak pozostał we mnie mały ułamek człowieczeństwa.

Wyglądam sukienkę i biorę głęboki wdech. Wyruszam na poszukiwanie dziewczyny i w pewnej chwili zderzam się z czymś wielkim i twardym jak skała. Na początku przychodzi mi do głowy myśl, że skręciłam za wcześnie, przez co wpadłam na jeden z tych pstrokatych posągów, które czają się we wnękach posiadłości. Lecz nagle w moim kierunku wystrzeliwuje ręka, która łapie mnie za przedramię i powstrzymuje przed upadkiem.

Angelo Visconti.

Nasze spojrzenia się spotykają. Jestem tak zaskoczona, że zapiera mi dech w piersi. Wyrywam ramię z jego uścisku, jakby jego dotyk mnie palił.

Wsuwa do kieszeni rękę, którą mnie chwycił, a drugą przytrzymuje przy uchu komórkę. Najwidoczniej wyszedł z przyjęcia, aby wykonać prywatny telefon. Słysząc ulotny szum rozmowy po drugiej stronie linii, lecz on nie słucha rozmówcy.

Już nie.

O rety.

Mamrocze słowa przeprosin. Gdybym go ominęła i popędziła z powrotem na przyjęcie, to byłaby szansa, że śmiech, muzyka i kolejny kieliszek alkoholu rozgrzałyby mnie po dreszczach, o jakie mnie przyprawia.

Tymczasem zamieram w bezruchu i wpatruję się w niego.

Na klifie nie wydawał się taki wysoki i dobrze zbudowany. Może ten korytarz jest węższy niż zapamiętałam, a może to sprawka mroku. Potwory zawsze wydają się większe i straszniejsze w ciemności.

Przełykam gulę w gardle i potrząsam głową. *Weź się w garść, Rory. Angelo Visconti nie jest potworem.* Dante oznajmił, że nawet nie jest członkiem mafii, a Max, że nie nosi broni.

Gdy Angelo rozłącza się bez słowa, wsuwa telefon do kieszeni i robi krok naprzód, a ja automatycznie się cofam. Dorastanie w rezerwacie wyostrzyło moje instynkty. Przebywanie sam na sam w ciemnym korytarzu z mężczyzną wzbudza we mnie niepokój tak samo, jak dźwięk szeleszczących liści w poszyciu leśnym albo wycie w oddali.

Może nie jest człowiekiem mafii, ale mam wrażenie, jakbym stanęła twarzą w twarz z drapieżnikiem.

Cisza, która parę minut temu wydawała mi się wytchnieniem, staje się dusząca. Zaczęła przygniatać moją pierś niczym cegła. W końcu Angelo przesuwa wzrokiem po mojej szyi i niżej, aż zatrzymuje się na piersiach. Nawet jego spojrzenie rozpala mnie niczym dotyk. Jest taki zuchwały i bezwstydy. Taksuje mnie wzrokiem, jakby moje ciało należało do niego, a nie do mnie.

– Niegrzecznie tak się gapić. – Z moich ust wyrywa się wyniosła i bełkotliwa riposta, zanim udaje mi się pohamować. *O rety.*

Nie powinnam zwracać się w ten sposób do żadnego Viscontiego, zwłaszcza dwukrotnie w ciągu jednego wieczoru. A co gorsze, on jest tym, któremu powinnam próbować się podlizać, a przynajmniej, którego lepiej byłoby unikać. Mógłby zdradzić Alberto, że widział mnie samą, balansującą na krawędzi klifu w Devil's Dip. Ile razy mój narzeczony sączył mi do ucha ostrzeżenia, że mam go nie kompromitować. Największym upokorzeniem byłoby dla niego to, że jego narzeczona wolałaby rzucić się z klifu niż go poślubić. Nie mam wątpliwości, że spełniłyby swoje groźby. Pozbawiłyby mojego ojca opieki i zakazałyby mi go odwiedzać.

Dlatego powinnam przeprosić Angela, pokajać się, użyć mojego małomiasteczkowego czaru i zachowywać się, jakbym nie miała mózgu. *W końcu tak jestem postrzegana przez narzeczonego i jego rodzinę.*

Lecz w tej chwili czuję, że mogę stać się porywcza. Intensywność jego uwagi przytępia moje zmysły. Gdy nasze spojrzenia ponownie się krzyżują, to moja skóra rozpala się tak, jakbym stała przy otwartym ogniu. To niebezpieczne, ale i pociągające.

Mężczyzna wciąż się do mnie zbliża, a ja się cofam. Znajdujemy się w rozległym foyer, gdzie szkło witrażowe w drzwiach wejściowych rzuca kalejdoskop kolorów na jego twarz. Odcienie zieleni,

niebieskiego i różu ocieplają chłodne rysy jego oblicza, łagodząc ich ostrość.

Przeciąga kciukiem po dolnej wardze i nieznacznie potrząsa głową. Potem wyciąga dłoń w kierunku mojej piersi, a jego kostki ocierają się o jedwabną tkaninę sukienki.

Co do...

Opuszczam wzrok i zamieram w bezruchu. Zanim udaje mi się zaprotestować, jego kciuk i palec wskazujący chwytają wystającą z mojego stanika część naszyjnika.

Perła po perle, ozdoba Vittori wychodzi z mojej bielizny i ląduje w jego dłoni. Nie czuję paniki. Sposób, w jaki bardzo zimne kulki ocierają się o mój sutek, jest pociągający. Pod wpływem jego dotyku czuję płomień między nogami, a mój oddech staje się urywany.

W końcu zapięcie naszyjnika wydostaje się z mojego stanika. Angelo trzyma go za ostatnią perłę w taki sposób, jak ludzie trzymają torebkę na kupę cudzego psiaka. On traktuje mnie właśnie jak takie zwierzątko, a do tego patrzy na mnie chłodno, a jego usta zdobi szyderczy uśmiech, który pogłębia dołek w jego podbródku.

Gula w moim gardle jest zbyt wielka, by ją przełknąć. Mam świadomość tego, że już za późno na fałszywe uśmieszki czy przeprosiny. Powinnam paść na kolana i błagać go, aby nie wspominał o niczym Albertowi. Gdyby to był Tor czy Dante, tak właśnie bym postąpiła.

Lecz z jakiegoś niewyjaśnionego powodu ten mężczyzna sprawia, że staję się uparta. Budzi się we mnie pragnienie, aby stanąć z nim w szranki i udowodnić mu, że to nie ja będę tą, która wycofa się z krawędzi klifu jako pierwsza. Nieważne, jak wiele kamieni pod moimi tenisówkami runie w otchłań oceanu albo jak silnie zawieje wiatr.

W jego tęczęwkach rozbłyska rozdrażnienie, jakbym była natrętną muchą, od której nie może się opędzić.

– Jeśli wyglądałabyś na bardziej rozentuzjasmowaną, siedząc na kolanach narzeczonego, być może kupiłby ci własny naszyjnik z pereł.

Zbliża się do mnie, a ja wstrzymuję oddech.

Jego sylwetka góruje nade mną niczym burzowa chmura. Opanowują mnie dziwne, sprzeczne uczucia. Nie wiem, czy chcę

odwrócić się na pięcie i uciec w poszukiwaniu schronienia, czy odchylić głowę do tyłu, zamknąć oczy i poddać się tym emocjom.

Z pewnością to kwestia wypitego wina. Zbudzę się z pulsującą głową i piersią pełną poczucia żalu. I zapewne jakimiś poważnymi urazami, kiedy Angelo powie o wszystkim wujowi...

Jego dłoń odnajduje mój nadgarstek. To zatrzymuje moje pędzące myśli. Wszystko, na czym mogę się teraz skupić, to paląca obręcz na mojej skórze. Jest niczym jadowita bransoletka. Angelo przyciska moją dłoń do boku, a wtedy oboje spoglądamy w dół.

Instynktownie rozprostowuję palce.

Ku mojemu zaskoczeniu wypuszcza cichy syk, jakby coś w moim zachowaniu go martwiło. Wkłada naszyjnik w moją dłoń, tworząc mały, delikatny zwój pereł i zamyka ją. Czuję na sobie jego wzrok. To ciężkie brzemie. Lecz nie podnoszę spojrzenia znad jego dłoni, która owija się wokół mojej. Ma duże palce, a jego dotyk jest ciężki i gorący.

– Kradzież to grzech, Auroro. – W końcu się odzywa.

Krzywię się na dźwięk swojego imienia w jego ustach.

Potem ocierając się mocno o mnie ramieniem, odchodzi. Podąża korytarzem. Witraże tworzą tęczę kolorów na jego marynarce. W końcu znika w mroku.

Tak jak na klifie, nawet nie ogląda się za siebie.

Zostawia mnie w ciemności ze skradzionym naszyjnikiem z pereł i mocno bijącym sercem.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Angelo

Bar Rusty, Anchor

W znaku, który trzepocze nad drzwiami, brakuje większości liter. Założyłbym się o własne bugatti, że wewnątrz baru jest równie zapuszczone. Od kiedy sięgam pamięcią, to zawsze był rodzaj knajpy, po wyjściu z której chciało się wytrzeć buty.

Tak samo miała się rzecz z Devil's Dip. To miejsce, ci ludzie. *Pieprzona pogoda*. W tej dziurze nigdy nic się nie zmieni. Prosto z szalejącej na zewnątrz burzy wpadam do transportowego kontenera i natychmiast przekonuję się, że miałem rację. To nadal ten sam bar wykonany z odłamków wyrzuconego przez morze drewna. Ci sami staruszkowie podpierają ściany. Nawet ciągle znajduje się tu dziura po kuli w dachu, którą mój ojciec wystrzelił w powietrze, aby przywrócić do porządku sfrustrowanych portowych pracowników.

Na dywaniku widnieje również plama krwi, którą zostawił po sobie pewien łajdak, który nie potraktował poważnie jego groźby.

Z obrzydzeniem wpatruję się w strugi deszczu lejące się do wiadra. Ubiegłego wieczoru Dante musiał dodać mi coś do whisky, ponieważ nie widzę żadnego logicznego wytłumaczenia, dla którego zgodziłem się na spotkanie z nim w takim miejscu.

Albo dlaczego w ogóle miałbym godzić się na rozmowę z nim.

Zapadam się w stojącym koło kominka trzeszczącym fotelu. Obracam głowę w stronę baru i daję znak barmance. Zaskoczona wskazuje na swoją pierś i bezgłośnie pyta czy chodzi o nią.

Chyba jednak w barach utworzonych w opuszczonych towarowych kontenerach nie obowiązuje obsługa stolików.

Gdy strzepuję deszcz z płaszcza i przeczesuję palcami mokre włosy, zjawia się barmanka.

– T... tak?

– Poproszę Smugglers Club z lodem.

W drugim końcu pomieszczenia słyszę syk. Podnoszę wzrok i napotykam spojrzenie starego człowieka. Pochyla się zgarbiony nad stołem wykonanym ze skrzyni. Znam ten typ. Jest zbyt stary, by pracować przy załadunku towarów w porcie. Ale jest stałym bywalcem baru, gdyż pragnie utopić smutki w tanim piwie i obserwować przez rozmyte deszczem okno pracujących w porcie ludzi. W takim miejscu tacy mężczyźni nie mają niczego innego do roboty.

Dziewczyna obdarza mnie przepaszającym uśmiechem. Jest promiennie uśmiechniętą blondynką, lecz w tej chwili jest bardzo nerwowa.

– Przykro mi, ale tego nie podajemy. Fabryka Smugglers Club w mieście jest skończona, a miejscowi nie są zadowoleni z właścicieli.

Ignoruję ją i wytrzymuję spojrzenie mężczyzny. Zagryzam dolną wargę i strzelam palcami. Z łatwością mógłbym pokonać dzielące mnie od niego dwa kroki, owinać dłoń wokół jego gardła i upewnić się, że nigdy więcej nie będzie w stanie syknąć.

Odrywam od niego swoje piorunujące spojrzenie i zwracam się do uśmiechniętej dziewczyny.

– Dla niego też jedna. Niech będzie podwójna.

Chyba jednak nie jestem aż tak lojalny wobec nazwiska Visconti.

Barmanka przestępuje z nogi na nogę i znika na tyłach baru. Odgłos szperania i brzęczących butelek przebija się przez uderzający o blaszany dach deszcz. Zastanawiam się, jaka jest jej historia. Dziewczyny z promiennymi uśmiechami zawsze skrywają najmroczniejsze tajemnice. Poza tym praca w takiej knajpie jest jak pokuta.

– Ty.

Mój wzrok leniwie przesuwają się w lewo. Inny starszy mężczyzna posyła mi pełne fascynacji spojrzenie.

– Czy to naprawdę ty? Jeden z Aniołów z Devil's Dip? Nie widziałem cię od lat, dzieciaku.

A ja od lat nie słyszałem tej ksywki. Wybucham śmiechem, który smakuje gorzką nostalgią i odwracam głowę w stronę ognia.

Aniołowie z Devil's Dip. Tak w dzieciństwie miejscowi nazywali mnie i moich braci. Byliśmy synami diakona i bladymi blondynami o anielskim wyglądem. Wtedy nie wyglądaliśmy, jakby w naszych

żyłach płynął chociaż mililitr sycylijskiej krwi. Dopiero wraz z upływem czasu nasze włosy stawały się coraz ciemniejsze, a skóra zaczęła wydawać się opalona, pomimo, że mieszkaliśmy w miejscu, w którym słońce świeciło może z pół godziny w ciągu roku.

– To zaszczyt spotkać cię znowu w mieście, dzieciaku – odzywa się mężczyzna, zdejmując z głowy czapkę i przyciskając ją do piersi. – Twój ojciec był wielkim człowiekiem.

Dzieciaku. Mógłbym mu powiedzieć, że nie jestem już pieprzonym dzieckiem. Jestem trzydziestosześcioletnim mężczyzną, założycielem i szefem wielomiliardowej firmy inwestycyjnej.

Mógłbym go również oświecić, że mój ojciec wcale nie był wielkim człowiekiem.

Lecz powstrzymuję się. Nie mogę wszystkiego zepsuć. Wdawanie się w bójkę z miejscowymi zawsze było poniżej mojej godności, a poza tym mam inny powód wizyty.

Barmanka stawia przede mną wygrzebaną z głębi magazynu, zakurzoną butelkę i nalewa brązowego płynu do szklanki.

Zerka na mojego Rolexa.

– Jeśli szuka pan Devil's Cove, zjechał pan na międzystanowej dwa skrzyżowania za wcześniej.

– Wren – syczy mężczyzna w czapce. – To syn Alonso Viscontiego.

Nie odrywam wzroku od ognia. Nie muszę, ponieważ słyszę trybiki pracujące w jej mózgu. Mamrocze przekleństwo, a potem przeprosiny, po czym bezpiecznie oddala się do baru.

Odwracam się do mężczyzny, który wcześniej wydał z siebie syknięcie. Obok opróżnionego do połowy kufła piwa stoi wielka szklanka produkowanej przez Viscontich whisky. Z wrednym uśmiechem na twarzy unoszę w jego kierunku szklankę i biorę duży łyk.

Nie krzywi się już w grymasie.

Zarówno on, jak i kretyn o sarnim spojrzeniu, który ceniał sobie mojego ojca, reprezentują populację Devil's Dip. W tym miejscu albo go kochano albo nienawidzono. W wyjątkowych okolicznościach zachowywano bezstronność. Jednak z pewnością był wszystkim znany.

On i jego bracia byli pierwszym pokoleniem sycylijskiej Cosa Nostry, którzy przekroczyli Atlantyk. Nowy Jork wydawał się nazbyt

zatłoczony, a Boston zdominowany przez Irlandczyków. Podróżowali na zachód, aż dotarli do odosobnionego Devil's Coast. Nie istniało tu nic poza trzema głównianymi, rozrzuconymi na długości wybrzeża miasteczkami. Bracia ciągnęli słomki, komu przypadnie dany teren. Mój ojciec wylosował Devil's Dip, rzekomo najgorszy obszar. Tutejsze wody były bardziej wzburzone, klify bardziej skaliste, a ludzie... prostsi niż mieszkańcy pozostałej części wybrzeża. Lecz port? Nadawał się idealnie do przerzucania ładunków z czarnego rynku.

Nikt nie cumuje w Devil's Dip, dopóki nie zmuszają go do tego okoliczności. Fale są tutaj bezlitosne, a krzywizny klifów obejmujące przystań, sprawiają, że staje się niewidzialna dla zbliżających się, zabłąkanych statków. Port jest niewielki, nijaki i nie przyciąga uwagi lokalnych władz. Poza tym ma świetne połączenie z Zachodnim Wybrzeżem, a także wychodzą z niego szlaki handlowe prowadzące do Kanady, a nawet Rosji.

Najmniejsze miasteczka skrywają największe tajemnice, Angelo. Tak mawiał mój ojciec, gdy dorastałem. Gdy spoglądałem na jasne światła Devil's Cove lub obserwowałem kuzynów z Devil's Hollow, przypieczętowujących siedmiocyfrowe umowy na spotkaniach biznesowych z inwestorami z Nowego Jorku, pytałem go, dlaczego wciąż tu tkwi.

Im większe znamy tajemnice, tym większą posiadamy władzę.

Znad brzegu szklanki obserwuję obu mężczyzn. We wzroku jednego dostrzegam błysk nostalgii, a drugi burczy coś pod nosem do szklanki z piwem. Bez wątplenia pierwszy skorzystał na panowaniu mojego ojca, a drugi żył w strachu przed nim.

Innymi słowy, jeden ma większy sekret od drugiego.

Za moimi plecami otwierają się drzwi i razem z piekielnym chłodem do baru wpada głos Dantego. Oba odgłosy wprawiają mnie w niezadowolenie.

– Zjawiłeś się przed czasem, Bezwzględny.

Wywracam oczami na to przezwisko, z łoskotem odstawiam drinka i macham w kierunku baru, dając znak, że poproszę kolejnego. Będzie mi potrzebny. Lecz chwilę później inny głos poprawia mi nastrój.

– Znalazłem je.

– Co takiego? – burczy Dante.

– Najbardziej przygnębiające miejsce na ziemi. Założę się, że nawet karaluchy się stąd zabrały.

Moje usta wykrzywiają się w uśmiechu na dźwięk pewnego siebie głosu Tora. Widzę, jak zbliża się do baru i wali pięścią w kontuar.

– *Bastardo*⁴ – mamrocze, przyglądając się swojej dłoni. – Wlazła mi drzazga.

Z zaplecza wyłania się dziewczyna z butelką Smugglers Club w dłoni. Ma przyklejony do twarzy sztuczny uśmiech i niezbyt dobrze ukrywa czającą się w oczach panikę. Mnie mogła nie znać, ale z pewnością rozpoznaje Tora i Dantego.

– O, spójrzcie. Dobra Samarytanka – drwi mój krewniak.

– Wiesz, że mam imię.

– Tak, tak. Po prostu nam ją daj – burczy Tor, pochylając się nad kontuarem i odbierając jej butelkę.

– Okej. Podać coś jeszcze?

– Tak. Zastrzyk przeciwțęcowy.

Potrząsam głową w lekkim rozbawieniu.

– Przykro mi, ale właśnie nam się skończyły.

Nawet nie zauważyłem, kiedy Dante rozwalił się w fotelu naprzeciwko mnie. Pochyla się w moją stronę i taksuje mnie wzrokiem. Na jego twarzy maluje się spięty uśmieszek.

Przypomina swojego ojca. Reprezentuje wszystko, czego nienawidzę w związku z nazwiskiem Visconti. Cosa Nostra krąży mu w żyłach niczym paskudny wirus. Na dodatek ubiera się, jakby przed chwilą zszedł z planu zdjęciowego do filmu z Marlonem Brando⁵.

Tor stawia butelkę na stoliku.

– Miło cię widzieć, *cugino*⁶. Zazwyczaj zaszczycasz nas swoją obecnością tylko na Boże Narodzenie i pogrzeby, więc byłem zaskoczony twoim pojawieniem się na wczorajszej kolacji. Przyjechałeś na nabożeństwo pamiątkowe rodziców? Przecież to dopiero za dwa tygodnie.

– Nie – odpowiada cicho Dante. – Chce wrócić do domu.

Odwzajemniam się szyderczym uśmiechem. Dociera do mnie, dlaczego w tak nachalny sposób zeszłego wieczoru nalegał, aby się ze mną dzisiaj spotkać. Gdy wszyscy wypytywali mnie, co robię w

miasteczku, odpowiadałem, że wpadłem z wizytą. Lecz moja wymówka nie była dla niego wystarczająco przekonująca.

Myli się. Wolałbym zjeść gówno niż wrócić do Devil's Dip i zająć swoje pełnoprawne miejsce na stanowisku szefa mafii. Jednak sposób, w jaki jego świdrujące spojrzenie przesuwa się po mojej twarzy, gdy dłonie nerwowo zaciskają się na szklance, sprawia, że pozwalam mu podenerwować się chwilę dłużej.

– Czy to powrót Bezwzględnego Viscontiego? – gwizdze Tor.

Zaciskam szczękę. Tak jak Anioły z Devil's Dip, Bezwzględny Visconti jest ksywką z innego życia. Przez ostatnie dziewięć lat nie zrobiłem niczego, aby zasłużyć na ten przydomek. Lecz nie mogę zaprzeczyć, że usłyszenie tego przezwiska z ust Tora, przyprawiło mnie o przyływ adrenaliny.

Dobrze jest czuć się „Bezwzględnym”.

– Nie wracam. Wpadłem tylko z wizytą.

Kłamstwo. Tylko lobotomia mogłaby pobudzić we mnie potrzebę bezcelowej wizyty w Devil's Dip. Tor się nie myli. Przylatuję tutaj tylko na Boże Narodzenie i pogrzeby, a także niezmiernie rzadko w innych nadzwyczajnych okolicznościach. Zostaję wystarczająco długo, aby uścisnąć dłonie wujków, przybić żółwika z kuzynami czy ucałować ciocie w policzek, pozwalając im uszczypnąć mój własny i wysłuchać, jak wyrosłem. Zbyt długie przebywanie w tym miejscu sprawia, że się zatracam. Dodatkowo w kółko słyszę pytanie: „Kiedy wracasz?”.

Każdy chce wiedzieć, kiedy, kurwa, wrócę.

Nie lubię Dantego nawet na tyle, aby powiedzieć mu, że powodem mojego pojawienia się jest cholerne ciasteczko szczęścia.

W jego oczach pojawia się ulga i odczuwam nagłą pokusę, aby ją zgasić.

– Gdy zdecyduję się ponownie przejąć Devil's Dip, dowiesz się pierwszy – dodaję. – Dzięki, że grzejesz dla mnie miejsce.

Prawie się dławi swoją whisky. Wygląda koszulę – bez wątpienia włoską – odstawia szklankę i spogląda na mnie wilkiem.

– Grzeję? Całkowicie je przeobraziłem. Zmodernizowałem infrastrukturę, kupiłem całą flotę statków do własnego użytku, wynajęłem całodobową ochronę patrolującą miasto. Władze portu mam owinięte wokół małego paluszka, przez co zabezpieczyłem

nowe szlaki handlowe do Meksyku i na Środkowy Wschód. – Jego nozdrza drgają. – Zrobiłem znacznie więcej niż „grzanie miejsca”.

Jego wybuch rozchodzi się w powietrzu niczym smród. Pławiąc się w żarze jego spojrzenia, powoli poruszam nadgarstkiem i mieszam brązowy płyn w szklance. Pozwalam mu się denerwować. Gdy napięcie jest zachwycająco gęste, odwzajemniam jego spojrzenie.

– Więc, kiedy zdecyduję się na powrót, pokażesz mi, jak wszystko działa.

– Powrót? To musi być miłe uczucie, móc pojawiać się i znikać, kiedy się ma na to ochotę, podczas gdy ktoś utrzymuje dla ciebie terytorium.

I znowu to samo, to właśnie jeden z wielu powodów, dla których Dante darzy mnie nienawiścią. Odkąd pamiętam, szydercze uśmieški i znaczące komentarze wbijają się między nas niczym klin. Przebywanie na innym kontynencie przez prawie dziesięciolecie niczego nie zmieniło. Wszystko zaczęło się w dzieciństwie. Zawsze uważał mnie i moich braci za dziecinnych z powodu specjalnej zabawy, w jaką graliśmy. Jego pogarda zamieniła się w zazdrość, kiedy gra przerodziła się w zabicie człowieka na długo przed tym, zanim miał możliwość sięgnięcia po broń.

Później przeleciałem jego dziewczynę na balu. Nawet nie mogę sobie przypomnieć, dlaczego to zrobiłem.

Podczas każdej wizyty na Wybrzeżu czuję jego wrogość. Nie znosi tego, że sprzeciwiam się jego ukochanej tradycji. Jednocześnie to właśnie ona powstrzymuje go przed całkowitym przejęciem Devil's Dip, aby zapewnić sobie pełny, bezprecedensowy dostęp do portu.

– Od czego ma się rodzinę, prawda? – Podnoszę szklankę i mrugam.

Zapada grobowa cisza. Jego szczęka drga, a gardło pulsuje, gdy przełyka gorzką ripostę, którą miał ochotę mnie uraczyć.

Spoglądamy na siebie i czuję pojawiający się znajomy mrok oraz przyływ adrenaliny. Oblizuję wargi i próbuję ignorować w sobie Bezwzględного Viscontiego, próbującego wydostać się z klatki. Od kiedy wybrałem uczciwe życie, starałem się zastąpić ten haj szybkimi samochodami i prostytutkami, które nie mają w swoim słowniku słowa „nie”, lecz nic nie zdołało przybliżyć mnie do uczucia, jakie dawało mi bycie okrutnym łajdakiem.

Zamieniłem dawne życie na biuro, sale konferencyjne i pieprzone arkusze kalkulacyjne. To nie było łatwe. Przynajmniej raz w miesiącu muszę ulegać swojej mrocznej stronie. Prawdopodobnie to jedyny powód, dla którego nie wpakuję teraz Dantemu pięści prosto w twarz.

Tor odchrząkuje i zrywa się na nogi.

– Idę zapalić. Chodźcie. Być może chwila w ulewnym deszczu trochę was ostudzi.

Bez słowa podążamy przez bar na mieszczący się na tyłach taras. Wykonano go z czterech listew powiązanych rybacką liną. Jedynym, co osłania nas od burzy, jest para skrzynek, które tworzą prowizoryczny dach. Tor unosi oczy ku niebu, mamrocze coś pod nosem o BHP i zapala papierosa.

Wciśnięty kilka metrów od klifu taras Rusty Anchor oferuje niezmacony widok na port. Pomimo pogardy, jaką dla niego żywię, nie mogę zaprzeczyć, że jest bardziej błyszczący niż za dawnych lat. Rozrósł się dwukrotnie. Trapy i rampy całkowicie odbudowano. Nawet biuro kapitana portu zostało odnowione – kiedyś to była skrzypiąca stara chata, która jęczała na wietrze, a teraz wymurowano budynek, w którym są nawet okna.

Tor proponuje mi papierosa, ale odrzucam jego ofertę.

– Co teraz przierzucacie?

– Nadal to, na co się zgodziłeś. Amunicja wychodzi. Koka i pigułki wchodzi. Oczywiście razem z dostawami do restauracji i hotelu w Cove. – Wydmuchuje dym w deszczu i uśmiecha się do mnie z ukosa.

– Nie martw się, jeśli zdecydujemy się na handel żywym towarem z Rosji, poinformujemy cię jako pierwszego.

– Brzmi lukratywnie.

– Brzmi, jakbyś chciał się wciąć – warczy Dante. Zerkam w jego stronę i dostrzegam, że z dłońmi wepchniętymi do kieszeni opiera się o karbowaną żelazną ścianę kontenera. – O czym wczoraj rozmawiałeś z naszym ojcem?

Nie odgryzam się. Zamiast tego odwracam się w kierunku wzburzonego oceanu i spoglądam w lewo, wchłaniając migoczące w oddali światła Devil's Cove. Przed nimi, niczym mroczny cień, majaczy Devil's Hollow. Nasza stara szkoła, akademia Devil's Coast, króluje na szczycie, niczym trująca wisienka na torcie. Wyciągam

szyję i mój wzrok spoczywa na kościele ojca. Potem moja uwaga skupia się na znajdującym się przed nim cyplu, gdzie w środowu poranek natknąłem się na stojącą zbyt blisko krawędzi klifu najnowsza panią wujka. Ledwie się przyjrzałem tej burzy jasnych włosów wystających spod kaptura bluzy. Przelotnie zerknąłem na jej twarz przed odejściem. Zazwyczaj to byłoby za mało, aby ją rozpoznać. Lecz gdy rzuciła mi spojrzenie z drugiego końca stołu, natychmiast poznałem te oczy w kolorze ciepłej whisky.

Wpycham dłonie do kieszeni płaszcza i kulę plecy przed wyjąłym wiatrem. Trzeba przyznać staremu łajdakowi Albertowi, że z pewnością ma na czym zawiesić oko. *Ta pieprzona czerwona sukienka, w którą się wcisnęła! Jezu, każdemu facetowi stwardniałoby na ten widok.*

– Skoro mowa o waszym ojcu, widzę, że już znalazł sobie kolejną chciwą dziwkę – rzucam, leniwie przenosząc wzrok ze skał na Tora.
– Z roku na rok wybiera coraz młodsze.

– Młodsze i seksowniejsze. Licho wie, gdzie ją poderwał. – Wybuchają śmiechem.

– Co masz na myśli?

– Zazwyczaj dziewczyny Dużego Ala to bywalczyńce moich klubów. Kręcą się w strefie dla VIP-ów, starając się znaleźć źródło utrzymania. Lecz Aurora? Nigdy wcześniej jej nie widziałem. – Wyrzuca niedopałek papierosa na deszcz i ukrywa podbródek w kurtce. – Uwierz mi, wyczułbym taki gorący towar na kilometr.

Przez chwilę przetrawiam tę cenną informację. *Interesujące.* Z pewnością ma te same zalety co jej poprzedniczki, czyli blond włosy, duże cycki, nogi do ziemi, lecz zdecydowanie wydaje się inna. Mądrzejsza. Na moich ustach pojawia się uśmiešek, gdy przypominam sobie, jak wyciągnąłem z jej obfitego biustu naszyjnik z pereł Vivi. *Mała, niegrzeczna złodziejka.*

Zerkam ponownie na krawędź klifu i w mojej głowie pojawia się niechciana myśl. *Dlaczego chciała skoczyć?* Lecz pozbywam się jej równie szybko, jak ją przywołałem. Szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie nowa pijawka wujka. Sam też bym się zabił, gdyby jedynym sposobem na wyrwanie się z Devil's Dip było oddanie dziewictwa siedemdziesięcioletniemu obrzydliwcowi.

W kieszeni Tora wibruje komórka. Spogląda na ekran i jęczy.

– Praca – zrzędzi i wchodzi do środka. Zostajemy sami z Dantem. Uświadamiam sobie, że ten wyjątkowo milczy od kilku minut.

– Jaki jest prawdziwy powód twojej wizyty, Angelo? – Nasze spojrzenia się krzyżują, a w jego wzroku pojawia się mrok.

Odwracam głowę w kierunku wody, przeciągam dłonią po brodzie i zaciskam szczękę.

– Dante?

– Tak?

– Pilnuj swojego pieprzonego nosa.

Bez oglądania się za siebie, wymijam go i wchodzę do baru, po czym ruszam w kierunku drzwi. Gdy przechodzę obok Tora, ten łapie mnie za ramię, odsuwa komórkę od ucha i pyta, dokąd się wybieram.

Wyciągam z kieszeni plik wizytówek z numerem i wrzucam je do miski z napiwkami.

– Na obiad z klanem Hollow.

– Przypomnij Benny’emu, że wisi mi czterdzieści kawałków za ostatniego pokera, dobrze?

Kiwam głową i zmierzam do wyjścia.

– Wpadniesz jutro na niedzielny obiad? – woła za mną.

Staram się stłumić jęk. Klan Cove uwielbia pieprzone spotkania. Wolałbym wsadzić fiuta w drzwi samochodu, zamiast przyznać się, co naprawdę myślę, więc unoszę dłoń, macham mu i wypadam na parking.

Wślizguję się do samochodu i gwałtownie wypuszczam powietrze. Deszcz zalewa strugami przednią szybę, a wiatr grozi wyrwaniem bocznych lusterek. *Ta cholerna pogoda.* Odpalam silnik i ruszam przez burzę. Jadę drogą wykutą w skalnej ścianie. Zmierzam do najwyższej położonego miejsca w Devil’s Dip. Aby dotrzeć do Devil’s Hollow, trzeba dostać się na szczyt klifów i je przeciąć, a następnie wąską wijącą się drogą, która prowadzi w dół, dociera się do położonego tam miasteczka. Miejscowi nazywają tę trasę Drogą Ponurego Żniwiarza, ponieważ najmniejszy błąd może doprowadzić do zawiśnięcia nad przepaścią.

To z pewnością będzie zabawna przejażdżka.

Silnik jęczy, gdy samochód pnie się do góry. Słysząc trzaski w radiu. Bębnię palcami o kierownicę i próbuję przypomnieć sobie

ostatni raz, gdy widziałem Viscontich z Hollow – nie widuję ich tak często, jak mój brat Rafe, który imprezuje z nimi co drugi tydzień.

To było kilka miesięcy temu. Przyjęcie zaręczynowe Castiela. Ożenił się z Rosjanką o kwaśnym wyrazie twarzy, której nienawidzi równie mocno, jak ona jego. To układ biznesowy, gdyż jest dziedziczką firmy Nostrova Vodka. Jedynymi ludźmi w tej rodzinie, którzy pobrali się z miłości, są Donatello i Amelia.

I moja matka.

W oddali na szczycie klifu majaczy znajomy budynek. Z każdym świstem wycieraczek przybliżam się do niego. Jęk wrywa się z moich ust. *Oczywiście.* Zapomniałem, że w drodze do Hollow muszę minąć kościół ojca. Ciężko mi poradzić sobie ze wszystkimi wspomnieniami, jakie do mnie wracają. Gdy w środę przybyłem na wybrzeże, zdecydowałem się zrobić to, co zwykle. Ruszyłem prosto do kościoła, zanim jeszcze zostawiłem torby w należącym do Viscontich hotelu. Wyrzuciłem z siebie całą złość i gorzką nostalgię, po czym wpadłem w wir rodzinnych spotkań, pocałunków w powietrzu oraz pogawędek. Niestety, w moim ulubionym miejscu zastałem obcą osobę, która okazała się być niezłym rozpraszaczem.

Okrażam cmentarz i dostrzegam zaparkowany przy wejściu samochód. *To dziwne.* Jedynymi pogrzebanymi tu w ciągu ostatniego stulecia ludźmi są członkowie rodziny Visconti, a jedynym powodem, dla którego miejscowi mieliby odwiedzać ich groby, to nasikanie na nie. Budzi się we mnie instynkt terytorialny. Pozostałość po tym, że kiedyś obchodziło mnie to miejsce. Zwalniam, a następnie zatrzymuję się pod wierzbą. Zwiększam prędkość wycieraczek, a potem, mrużąc oczy, wyglądam przez szybę i nisko zwieszające się gałęzie. Staram się dostrzec, kto znajduje się w samochodzie. Świejące reflektory rzucają żółty blask na tonące w błocie, przekrzywione nagrobki, a mała smużka dymu wymyka się przez szparę w oknie od strony kierowcy. Męska ręka wyrzuca na zwir popiół z żarzącego się papierosa.

Chwytam kierownicę, marszczę brwi i pochylam się bliżej. Próbuje przyjrzeć się osobie siedzącej w samochodzie, gdy nagle uświadamiam sobie, że jej głowa jest obrócona w prawo. Podążam za jej wzrokiem na drogę. Przystanek autobusowy ziele pustką, ale budka telefoniczna już nie.

Mocniej marszczę brwi. Jezu, kto w tych czasach korzysta z budki telefonicznej? Migocząca, wbudowana w sufit żarówka oświetla sylwetkę kobiety o długich, blond włosach i smukłej figurze.

Wypuszczam powietrze i zapadam się w siedzeniu.

Chyba sobie robisz ze mnie jaja – mamrocę pod nosem. To dziewczyna Alberta, Aurora. Jej włosy wyglądają inaczej – burza loków zamiast prostych jak druty kosmyków – i ma na sobie dresy oraz tenisówki, zamiast seksownej czerwonej sukienki, ale bez wątpienia to ona. Wyłączam trzeszczące radio, jakby to miało mi w magiczny sposób pomóc usłyszeć, co mówi. Obserwuję ją przez chwilę. Owija kabel telefonu wokół palca i z ożywieniem mówi coś do słuchawki. Ktokolwiek znajduje się po drugiej stronie linii, najwyraźniej nie ma za wiele do powiedzenia, ponieważ to ona nieustannie mówi.

Co ty tu robisz, dziewczyno? I z kim rozmawiasz?

Potrząsam głową, a moje palce ocierają się o tkwiący w stacyjce kluczyk. Nie obchodzi mnie z kim rozmawia. To najwyraźniej ktoś, o kim nie chce powiedzieć mojemu wujkowi, gdyż w innym przypadku użyłaby komórki. *Cukiereczek wuja Alberta to nie moja sprawa. Nie obchodzi mnie, co wyprawia za jego plecami.*

Już mam zamiar odpalać silnik, gdy dziewczyna gwałtownie się rozłącza, odwraca w stronę samochodu i puka w szklane drzwi budki. Światła samochodu gasną i wysiada z niego mężczyzna z parasolem. W pośpiechu rusza przez drogę, otwiera drzwi budki i przytrzymuje jedną ręką parasol nad jej głową, a drugą obejmuje ją w talii. Gdy przeprowadza ją przez ulicę, uważnie jej się przyglądam.

To ten dzieciak, pacholek. Max, czy jak tam mu na imię. Pewnie jest jej obstawą. Moje kostki bieleją na kierownicy, a rozdrażnienie drażni skórę. Trzyma się blisko niej, cholernie blisko, a w sposobie, w jaki na nią patrzy w blasku latarni wyraźnie widać, że nie kierują nim bezinteresowne motywy.

To nie mój interes. Nie po to tu jestem.

Lecz nie mogę otrząsnąć się z irytacji, która drażni mnie niczym potówki pod kołnierzykiem. To kwestia instynktu, niczym zazdrość o kościół ojca. Może nie jestem największym fanem Alberta i jego obleśnego życia miłosnego, ale jest moją rodziną.

Poczekam jeszcze chwilę.

Docierają do samochodu i ku mojemu zdziwieniu Aurora nie wsiada do środka. Zamiast tego przez chwilę rozmawiają, po czym Max wręcza jej parasol – ich palce ocierają się o siebie – wsiada do samochodu i odjeżdża.

Niski gwizd wrywa się z moich ust. Zostawia narzeczoną szefa samą na poboczu drogi. W dziurze takiej jak Devil's Dip. Ten dzieciak prosi się o kulkę w łeb.

Gdybym był lepszym człowiekiem, odpaliłbym samochód i odwiózł ją do domu.

Szkoda, że nie jestem.

Zamiast tego obserwuję, jak stoi na poboczu. Jej wzrok podąża za samochodem. Gdy jego światła znikają we mgle, odwraca się w stronę cmentarza.

Zamieram, a lodowate myśli powoli sączą się do mojego mózgu.

Krawędź klifu. Czy zamierza dokończyć to, w czym jej przerwałem?

Czuję guł w gardle i nie jestem pewien, jak się w to wmieszałem. Albo w jaki sposób moja dłoń zsuwa się z kierownicy do klamki. Wielokrotnie widziałem, jak ludzie się zabijali. Nawet zmuszałem niektórych do napisania listu pożegnalnego.

Moje palce opadają z klamki na kolana. *Nie mój problem – wystarczy mi własnych. Nie wysiadam z samochodu.*

Bierze krok do przodu i rusza w kierunku ścieżki prowadzącej przez cmentarz do krawędzi klifu.

Pieprzyć to, wysiadam.

Gdy tylko sięgam po klamkę, ona zatrzymuje się gwałtownie i odwraca. W końcu rusza w dół ulicą.

– Cholera jasna, dziewczyno. Zdecyduj się – zrzedzę do siebie. Odpalam samochód, gaszę światła i powoli się za nią toczę.

Nie należę do cierpliwych osób. Nigdy taki nie byłem. Jako właściciel największej kolekcji nowoczesnych samochodów w Europie, nie jestem przyzwyczajony do takiej prędkości. Do śledzenia młodych kobiet idących wzdłuż pustej drogi również nie przywykłem. To nie moja bajka.

Mija wieczność, zanim dziewczyna skręca, a ja uświadamiam sobie, że kieruje się do rezerwatu. Najpierw budka telefoniczna, a teraz las. *O co tu chodzi?*

Nie mam zamiaru na nią czekać. Mówię sobie, że postoję tylko kilka minut, lecz mija godzina, a ja nadal nie odjeżdżam.

W końcu dostrzegam, jak wyłania się z za drzew. Ulicą toczy się samochód Maxa. Pacholek wysiada, całuje ją w szyję i prowadzi do samochodu.

Gdy odjeżdżają, uświadamiam sobie, że zgrzytam zębami. Na języku czuję posmak czegoś gorzkiego, nieznanego. Wyprostowuję się, odpalam samochód i skręcam do oporu kierownicę, aby zawrócić w kierunku, z którego przyjechałem.

Jest po prostu naciągaczką i złodziejką.

Reprezentuje wszystko, czego nienawidzę w tym życiu. Dla mojego wujka jest tylko ładną cipką i czymś, czym można się przechwalać podczas gry w pokera. Dla niej, mój wujek jest chodzącą i gadającą kartą American Express, wartą rozłożenia przed nim nóg.

Mam ważniejsze sprawy do załatwienia niż szpiegowanie nowego nabytku wujka.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Rory

Sukienka, w którą próbuje mnie wcisnąć Greta, jest o dwa rozmiary za mała. Lecz ona nie jest typem osoby, która wycofuje się z podjętego wyzwania. Kobiety, które noszą tweedowe, ołówkowe spódnice, okulary w kształcie półksiężyca i ściągają swoje włosy w mocny koczek na karku, nigdy się nie poddają. Jedną dłonią uciska moje ciało, a drugą zasuwa zamek.

– O rety – syczę, wpatrując się w nią krzywo w wielkim lustrze. Unosi wzrok i gani mnie spojrzeniem.

– Musisz przestać jeść słodycze – rzuca, pochylając się, aby pociągnąć za lamówkę. To bezcelowe. Sukienka ledwo zakrywa łuk moich pośladków. – Myślisz, że nie widzę tych wszystkich opakowań w śmieciach albo upchniętych w twoich torebkach? Skończ ze słodyczami, a twoja talia będzie ci wdzięczna.

– Możesz też przestać kupować mi sukienki dla dwunastolatek – odgryzam się.

Oczywiście sukienka ma tak głęboki dekolt, że nie nadawałaby się dla nastolatki. Jest również zdecydowanie nieodpowiednia na obiad, ale nie mam dzisiaj siły na standardową niedzielną sprzeczkę. To dzień, który łączy sobotę i środę, czyli dni, w które widuję ojca. Poza tym niedzielne obiady przebiegają w znacznie bardziej kulturalnej atmosferze niż piątkowe kolacje. Wszyscy są cichsi, potulniejsi, zwłaszcza jeśli poprzedniej nocy ostro balowali.

Dłoń Grety zaciska się na moim ramieniu i wskazuje na toaletkę.

– Siadaj.

– No, weź! Czy nie mogę zjeść jednego obiadu, na którym nie muszę...? – Moje serce zamiera.

– Auroro, skończ dyskutować i siadaj na krześle.

Moje nozdrza drgają, gdy powoli opadam przed lustrem.

– Nie wiem, czemu zawsze się awanturujesz – mamrocze Greta, otwierając szufladę toaletki, by wyciągnąć swoje narzędzia tortur: prostownicę i szczotkę. – *Signore* Alberto lubi, kiedy masz wyprostowane włosy. Nie prosi o wiele, a daje ci tak dużo w zamian. Możesz sprawić mu przyjemność i ułożyć włosy tak, jak lubi.

Podkreśla swoją opinię, przeciągając szczotką po moich lokach. Miliony biednych kosmyków wrzeszczy o ratunek. Wciągam powietrze i zaciskam palce na brzegu sukienki.

– Nie masz pojęcia, jakie masz szczęście.

– Skoro tak uważasz, to sama za niego wyjdź.

Moja riposta zostaje skwitowana sprawnym uderzeniem końcówką szczotki w głowę. Zaciskam powieki i mamroczę przekleństwa pod nosem. Gorycz rozlewa się w moim żołądku, a palce aż mnie świerzbują, aby zacisnąć je w pięść i połączyć ją z jej głupią gębą. Lecz Greta jest nie tylko gospodynią szefa mafii, ale także jego zagorzałą zwolenniczką. Ma kompletnie wyprany mózg, dlatego wiem, że bez chwili wahania o wszystkim mu zamelduje. Wolę dostać od niej szczotką po głowie, niż doświadczyć czegoś gorszego ze strony Alberto.

Pracuje dla niego od tak dawna, że z sentymentem opowiada o zmienianiu pieluch Dantemu. To ewidentne, że kocha się w swoim pracodawcy. Mam wrażenie, że jest rozgoryczona, że nigdy nie wzbudziła jego zainteresowania. Może miałyby szanse, gdyby była młodsza, lecz w oczach Alberto już dawno przekroczyła termin przydatności.

– Nie ruszaj się! Muszę przynieść maseczkę przeciwko puszeniu się włosów. – Obraca się na pięcie i zmierza do mieszczącej się przy garderobie łazienki. Mój wzrok przesuwają się na spoczywający na toalecie zegarek Cartiera. Zawsze go zdejmuję, kiedy prostuje moją burzę loków. Pobieżnie zerkam na drzwi łazienki, wyrywam szpilkę z poduszeczki i głęboko rysuję jej szpiczastym końcem tarczę zegarka. Kilkanaście razy rozważałam jego kradzież, ponieważ jest wart sporą sumę, ale skoro to prezent od Alberto, z pewnością zauważyłaby jego brak.

Spoglądam w lustro i pozwalam sobie na westchnienie. Złe uczynki czy dość złe postęпки są tym, co pozwala zachować mi

zdrowe zmysły w nowej, popapranej wersji rzeczywistości. Drobne akty zemsty działają na mnie kojąco. One i słodczy.

Podnoszę torebkę z toaletki i szperam w niej w poszukiwaniu słodczy. Zawsze mam jakąś przekąskę, listek borówkowej gumy do żucia czy paczkę cukierków Nerds. Moje palce ocierają się o na wpół rozpuszczoną babeczkę z masłem orzechowym. Nada się. Na kolana spada mi mała, błyszcząca wizytówka. W roztargnieniu ją podnoszę.

Anonimowi Grzesznicy. Litery wytłoczono na złoto, a poniżej znajduje się numer telefonu wydrukowany jedwabście czarnymi cyframi. Kartka jest zmaltretowana. Na środku znajduje się zgięcie, gdyż raz usiadłam mając ją w tylnej kieszeni jeansów. Jej krawędzie zwijają się, jakby chciały chronić mój wyjątkowy, mały sekret. Nie wiem, czemu ją nadal noszę ze sobą po tak długim czasie. Jestem w stanie wyrecytować ten numer we śnie.

Czy mi się to podoba czy nie, wierzę w los i jestem pewna, że to, że znalazłam tę wizytówkę w najmroczniejszym dniu swojego życia, było czymś więcej niż zwykłym zbiegiem okoliczności.

Pamiętam, jakby to było wczoraj.

Usta pełne krwi, nie tylko mojej własnej, świeże odciski palców na moim gardle i ból między udami, o który się nie prosiłam. Wychodzę chwiejnym krokiem z akademii Devil's Coast na parking. Wsiadam do samochodu i odjeżdżam, aż jej gotyckie iglice znikają we wstecznym lusterku. Gdy docieram do kościoła w Devil's Dip, świadomość tego, co mi zrobili – *i co ja zrobiłam im* – uderza we mnie niczym tsunami. Nie mogę złapać oddechu. Nawet nie jestem pewna, czy chcę. Czy na niego zasługuję? Wytaczam się z samochodu na deszcz, aby poczuć coś zupełnie innego niż duszące uczucie w piersi. Szlochając, opieram się o wiatę przystanku. Moje spojrzenie wędruje w górę i to wtedy ją znajduję. Mała wizytówka przypięta do tablicy w budce telefonicznej.

Anonimowi Grzesznicy.

Słyszałam o nich – zresztą jak każdy w Devil's Coast. Parę lat wcześniej te wizytówki zaczęły pojawiać się w słoikach na napiwki w kawiarniach i barach, były też przypięte do ścian ubikacji w klubach lub wetknięte w rachunki w restauracji. Gdy zadzwoniło się pod ten numer, przekierowywało cię do automatycznej sekretarki, która zachęcała do wyznania grzechu lub sekretu, który ciążył ci na duszy.

Było to owiane taką tajemnicą, że całe wybrzeże tętniło przez jakiś czas z podekscytowania. Lecz moda przeminęła i w końcu Anonimowi Grzesznicy stali się elementem otoczenia.

Pierwszy telefon wykonałam na kolanach, ze słuchawką wciśniętą między podbródek a ramię i trzymając ręce złożone jak do modlitwy. Ten rytuał stał się częścią mojego życia. Podczas gdy religijni ludzie spowiadają się co niedzielę w kościele, ja dzwonię na gorącą linię Anonimowych Grzeszników dwa razy w tygodniu z tej samej budki przy kościele. Wyznaję wszystkie swoje grzechy, od tych lekkich po najcięższe.

Krzążąca się w garderobie Greta sprowadza mnie na ziemię. Kolejna godzina mija mi na bolesnym szarpaniu włosów i przypadkowym poparzeniu szyi. W końcu gospodyni odsuwa się i klaszcze w dłonie. *Jestem dziewczyną, jakiej pragnie Alberto.* Wieczorowy makijaż, krwistoczerwona szminka oraz sukienka, która przylega do mojego ciała niczym druga skóra.

Pora na niedzielny obiad.

Nie odzywam się już słowem do Greta. Wybiegam na korytarz, ale po chwili zatrzymuję się na marmurowej klatce schodowej, gdyż docierają do mnie przytłumione głosy, które przyprowadzają mnie o dreszcze. Coś w tonie rozmowy sprawia, że zamieram, a moja stopa zawisa nad pierwszym schodkiem.

– To standardowy kontrakt. Po prostu dodaj pieprzoną klauzulę i gotowe.

Wstrzymuję oddech, wychylam się nad poręczą i dostrzegam znajomą sylwetkę w kącie korytarza. *Alberto.* Nie widzę z kim rozmawia, ale jego słowa mrożą mi krew w żyłach.

– Już go podpisała. Wiesz, że nie mogę ingerować w podpisane kontrakty, Alberto.

To jego prawnik Mortiz. Ten, który czuwał nad składaniem przeze mnie podpisu pod cyrografem w biurze Alberta.

– No, weź. Obaj wiemy, że jest za głupia, aby go przeczytać. Po prostu przygotuj nowy kontrakt, dodaj jej podpis u dołu i po sprawie. Zapada cisza, a po chwili słychać nosowe westchnienie.

– Potrzebuję kilku dni na znalezienie innego sposobu. W międzyczasie przeczytaj nową klauzulę i daj znać, czy jest coś jeszcze, co chciałbyś dodać. – Słychać szuranie. Odważnie wychylam

się nad barierką. Dostrzegam Mortiza wręczającego mojemu narzeczonemu brązową teczkę. – Rozumiesz, Alberto? Jeśli zorientuje się, że kontrakt nie jest tym, który podpisała, może cię pozwać. A jak wiesz, sąd nie jest w tej chwili twoim największym fanem...

Alberto przerywa mu głośnym wybuchem śmiechu, który odbija się aż od wysoko sklepionego sufitu.

– Ta dziewczyna nie ma centa przy duszy. Jest nikim, Mortiz. Kto by jej uwierzył? Jej ojciec to stary konował, więc łatwo uda się wszystkim przekonać, że jabłko nie pada daleko od jabłoni.

W moich uszach rozlega się głośne brzęczenie, które zagłusza resztę rozmowy. Chowam się we wnęce, starając się oddychać najciszej jak to możliwe. *Co takiego kombinuje Alberto? Zmianę warunków naszej umowy?*

Żar rozlewa się pod moją skórą, a babeczka, którą przed chwilą zjadłam, podchodzi mi do gardła. Wiedziałam, że nie powinnam była mu ufać. Chociaż nie myli się w tym, że jestem nikim, zwłaszcza w tym świecie. Nie trafiłam tu z powodu pieniędzy ani władzy. Jeśli chce mnie wyrolować, to trzysta dolarów na moim koncie bankowym go nie powstrzyma. On i jego rodzina są właścicielami wszystkiego na tym wybrzeżu. Nikt mi nie pomoże.

Mimo dudnienia pulsu, docierają do mnie ciężkie kroki Alberta, który zmierza prosto w kierunku swojego gabinetu. Chwilę później widzę, jak opuszcza pomieszczenie z pustymi rękami.

Napędzana gniewem i determinacją, w ułamku sekundy podejmuję decyzję. Omiatam wzorkiem korytarz, niezdarnie zbiegam po schodach i wpadam do jego biura. W powietrzu unosi się zapach zwietrzałych cygar i zatechłych książek. Ciężkie zasłony w wykuszowych oknach odcinają światło słoneczne i zatrzymują we wnętrzu gabinetu wszystkie tajemnice. Jest tak ciemno, że z trudem udaje mi się dostrzec zarys biurka. Jednak nie mam śmiałości zapalić lampy. Zamiast tego na ślepo przetrząsam dokumenty, podnosząc je na wysokość oczu, aby przeczytać kilka początkowych linijek. Szarpnięciem otwieram szuflady. W sfrustrowaniu kopię umieszczony pod biurkiem cholerny sejf. *Wszystko na darmo.*

– Węszenie jest grzechem, Auroro.

Głos wyłania się z cienia i sprawia, że zastygam w bezruchu. *O cholera*. Zmuszam się, aby podnieść wzrok i dostrzegam spoczywającą w fotelu sylwetkę. Jest jeszcze ciemniejsza niż kąt, w którym się znajduje. *Angelo*. Chryste, co on tu robi?

Łapię nierówny oddech, prostuję plecy i staram się opanować drżenie w głosie.

– Nie węszyć. Narzeczony poprosił, abym coś mu przyniosła – mówię, siląc się na pełen animuszu ton. Nie przerywam grzebania w papierach, zachowując się, jakby jego obecność nie robiła na mnie wrażenia.

Deski podłogowe skrzypią, gdy podnosi się z fotela. Nienawidzę tego, że jestem taka wrażliwa na jego obecność.

Opiera dłonie o biurko i rzuca mi leniwe spojrzenie.

– Doprawdy?

To jedno proste słowo jest jak naładowana broń. Przełykam kulę w gardle.

– Tak.

Opieram dłoń na biodrze, pragnąc wypaść naturalnie. Gdy się denerwuję, instynktownie zawijam kosmyk włosów wokół palca, lecz gdy sięgam do głowy, zamiast loków napotykam proste jak druty kosmyki. Pozwalam swojej dłoni niezdarnie zawisnąć wzdłuż boku.

– Czajenie się w mrocznych zakamarkach nie jest grzechem, ale za to jest diabelnie dziwne.

Jego oczy rozbłyskują w ponurym rozbawieniem. *Cóż, on mnie irytuje, a ja nieznacznie go bawię*. To uczucie sprawia, że czuję się jeszcze bardziej rozdrażniona. Bawię go w umiarkowany sposób. Jestem niczym powtórka serialu komediowego, lecącego w tle podczas gotowania obiadu albo machający maluch w samochodzie na autostradzie.

Z jakiegoś powodu pragnę okazać się czymś więcej niż umiarkowaną rozrywką. *Czymś zupełnie innym*.

– Masz rację. To nie jest grzechem. A wiesz, co nim jest? – Pochyliła się bliżej, zmniejszając odległość między nami. Mój oddech staje się płytki, lecz nie mam śmiałości się wyrwać. Nie dam mu tej satysfakcji. – Zdrada. A zdradzanie szefa mafii z jednym z jego pachołków to życzenie śmierci.

Jego wzrok pada na moje usta i muszę zwalczyć pragnienie oblizania ich.

– Naprawdę lubisz życie na krawędzi, co?

W jego słowach czai się zbyt wiele informacji. Zdrada z pachółkiem? Musi mieć na myśli Maxa, a to oznacza, że widział nas wczoraj w Devil's Dip. Mówiąc o życiu na krawędzi, chyba miał na myśli nasze pierwsze spotkanie na klifie. Z każdą sekundą moje policzki stają się coraz gorętsze. Mam wrażenie, jakbym spalała się w prażącym słońcu, ale mimo to odmawiała ukrycia się w cieniu.

– Jak na kogoś, kto tak bardzo nienawidzi Devil's Dip, bywasz tam zadziwiająco często – rzucam.

Pozostaje nieruchomy i milczący. Jego spojrzenie wędruje po mojej twarzy, jakby oczekiwał czegoś więcej.

Nie podoba mi się to.

– Alberto wie, że spędzam soboty i środy w Devil's Dip, a Max jest moją obstawą. – Mój głos brzmi prawie błagalnie. – Nie zdradzam go.

– I nie wężysz.

– Dokładnie. Nie wężę.

W korytarzu rozlegają się kroki. Stają się cięższe i z każdą chwilą się przybliżają, aż są tak blisko, że złote zdobienia na biurku pobrzękują. Twarz Angela przybiera twardy wyraz i nawet w przyćmionym świetle, dostrzegam, że w jego spojrzeniu czai się dzikość.

– Zapytajmy go.

Klamka się porusza, a następnie widzę, jak światło z korytarza wlewa się do pokoju. Upuszczam trzymany w dłoni stos papierów, po czym odsuwam się od biurka i odwracam twarzą do stojącej w progu ciemnej sylwetki.

Przysięgam, że słyszę rechot Angela.

Alberto zamiera na mój widok. Mruży oczy, po czym zerka na swojego bratanka i z powrotem na mnie.

– Co tutaj robisz? – pyta.

O rety. Mój mózg i język nie potrafią zgrać się wystarczająco szybko, by znaleźć jakąś sensowną wymówkę. Alberto unosi krzaczaste brwi, jego szczęka drga i oczekuje ode mnie odpowiedzi. Lecz wszystko, o czym potrafię myśleć, to sińce na moim nadgarstku

i rany na udzie. Palą mnie wspomnieniem jego brutalności, która z każdym dniem staje się gorsza. Jedyne, co mogę zrobić, to napluć do kilku jego drinków przed snem czy ukraść kilka ważnych dokumentów i ukryć je pod zlewem w łazience.

Alberto postępuje krok do przodu.

– Auroro...

– Złapałem ją w drodze na obiad – reaguje Angelo, zdejmując dłonie z biurka i prostując się. Góruje nad wujkiem i sprawia, że jego biuro wydaje się mniejsze niż pudełko zapalek. – Miałem kilka pytań dotyczących Dip.

Zerkam na niego, ale on z twarzą pozbawioną wyrazu przegląda coś w swojej komórce. Jakby ta rozmowa już go nudziła. Jakby nie był mną zainteresowany.

W uszach dzwoni mi jego kłamstwo, a mój umysł próbuje rozgryźć powody, dla których fatyguje się, aby mnie kryć. Potem uderzenie adrenaliny przebiega przez mój kręgosłup. Przyszło mu to z taką łatwością, jakby kłamstwo leżało w jego naturze, a coś w tym...

Ignoruję żar rozlewający się między moimi udami. *Nie bądź śmieszna, Rory.*

– Mam nadzieję, że dostałeś to, czego potrzebowałeś – rzuca chełpliwie Alberto. – A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym uciąć sobie z tobą pogawędkę przed obiadem.

Spogląda na mnie ostentacyjnie.

– W cztery oczy.

Nie udaje mi się zniknąć wystarczająco szybko. Zanim zamykają się za mną drzwi, czuję na sobie gorące spojrzenie Angela.

Jasność panująca w korytarzu uderza we mnie niczym świeże powietrze. Chwilę zajmuje mi wyrównanie oddechu i wygładzenie sukienki. Chwiejnym krokiem kieruję się do jadalni. Zza wahadłowych drzwi dochodzą śmiechy i beztroskie rozmowy, lecz inny głos przyciąga moją uwagę.

W kuchni ze skrzyżowanymi na piersi ramionami stoi Vittoria. Naprzeciwko niej znajduje się szczupły chłopak w jej wieku. Ma na sobie za duży garnitur i zdmuchuje z oczu nadmiernie oklapłe włosy.

– Ten naszyjnik kosztował mnie całą tygodniówkę, Vivi. Co masz na myśli, mówiąc, że go zgubiłaś? – szepcze.

Dziewczyna wywraca oczami w sposób sugerujący, że pyta po raz setny.

– Nie wiem, Charlie. Byłam pijana. Poza tym mam szesnaście lat. Jaka znana ci szesnastolatka nosi perły?

Jezu. Pora zacząć prowadzić pamiętnik ze spisem grzechów. Inaczej zapomnę, co muszę wyznać.

Wślizguję się do jadalni, z której dochodzi coraz głośniejszy śmiech. Dzisiejszy wystrój nie ma w sobie niczego odpowiedniego dla domu rodziny Adamsów. Bardziej przypomina aranżacje z miesięcznika *Architectural Digest*⁷. Na stole rozłożono biały, koronkowy obrus. Ozdobiono go kraciastymi, jedwabnymi serwetkami i szklanymi koszami, wypełnionymi misternie ułożonymi dyniami. Spoglądam na taras. Niebo jest czyste, a wody oceanu mieniają się w jasno świecącym jesiennym słońcu.

Przy stole znajduje się jedna osoba.

– Hej, piękna – mamrocze Max, ściskając mnie za udo, gdy zajmuję miejsce koło niego.

– Jezu – szepczę, strząsając jego dłoń. – Co ci mówiłam? Bez dotykania.

– Co do niedotykania... – Opiera łokcie na stole.

– Nie zaczynaj...

– Wysłuchaj mnie. – Zerka na szczyt stołu i uświadamia sobie, że jesteśmy sami. – Angelo nie powiedział wujowi o Devil's Dip, prawda?

Potrząsam głową. Nie wspominam mu, że widział nas również wczoraj.

– Dobrze – mruczy. – Lecząc ta stresująca sytuacja skłoniła mnie do myślenia. Zostawianie cię na samotne spotkania z ojcem jest dużym ryzykiem, wiesz? Gdyby Alberto się o tym dowiedział, zabiłby mnie.

Ściskam w pięści serwetkę i rzucam mu groźne spojrzenie.

– Do czego zmierzasz?

– Duże ryzyko wymaga dużej nagrody. – Podąża wzrokiem do moich piersi, a na jego ustach pojawia się obleśny uśmiezek. – Potrzebuję od ciebie więcej, Auroro.

Zajmuje mi chwilę, zanim pojmuję, do czego zmierza. Ogarnia mnie wściekłość. Zaciskam dłoń w pięść i kieruję ją prosto w stronę jego szczęki. Dostrzegam malujący się na jego twarzy szok.

– Co, do cholery? – rzuca, łapiąc moją rękę.

Próbuję się wyrwać z jego uścisku, ale nie chce mnie puścić.

– Wszyscy jesteście tacy sami – syczę, czując jak ogarnia mnie drżenie. Ponownie próbuję się wyrwać, ale mocniej zaciska uchwyt na mojej ręce. – Wszyscy chłopcy z tej głupiej szkoły są tacy sami.

– Auroro, co do diabła...

– Puść mnie – żądam, nie zastanawiając się nad tym, że mój głos staje się coraz donośniejszy i roznosi się echem po pustej jadalni.

Nagle otwierają się wahadłowe drzwi i Angelo zamiera w wejściu. Zerka na mnie, potem przenosi wzrok na Maxa, a następnie na nasze splecione dłonie. Max wydaje z siebie bezgłośny pisk i puszcza moją dłoń, jakby go parzyła. Lecz jest za późno. Dochodzę do siebie po wybuchu. Wytrzymuję spojrzenie Angela, które ciemnieje niczym nadciągająca burza.

To nie to, na co wygląda – chcę krzyknąć. Nie mogę dopuścić, aby powiedział Albertowi, co właśnie zobaczył, a nawet wyraził swoje podejrzenie, że sypiam z Maxem. *Cholera, ten mężczyzna i tak już za dużo o mnie wie.*

Milczę i uważnie wpatruję się w obrus, żałując swojego wybuchu. Nie chodzi o to, że Max zachowuje się niczym kreatura. *Problemem jest to, że szef mafii chce zmanipulować nasz kontrakt oraz to, że Angelo zachowuje się... jak Angelo.*

Jestem uwikłana w działania tej rodziny.

Zanim udaje mi się cokolwiek z siebie wydusić, ponownie otwierają się drzwi i wkracza przez nie Alberto w towarzystwie dwóch mężczyzn.

– Drinki – grzmi mój narzeczony, nie kierując swych słów do nikogo w szczególności. Lecz oczywiście, kilka sekund po tym, jak zapada się na krzesło, zjawia się służący z tacą, na której stoi butelka Smugglers Club i cztery szklanki. Angelo siada na moim zwyczajowym miejscu, a obaj goście po jego bokach.

– Auroro, to moi bratankowie, Raphael i Gabriel – mówi Alberto, nie zaszczycając mnie nawet spojrzeniem.

Podnoszę na nich znużony wzrok. Nie jestem w nastroju do uprzejmości. Max miał rację. Rozpoznaję Raphaela, ponieważ widuję go z Torem i braćmi Hollow. Ma te same błyszczące zielone, a także jedwabiste czarne włosy, jak jego brat, lecz wygląda niczym

błyszcząca wersja Angela. Ma gładką skórę i jest opalony. Posyła mi olśniewający uśmiech. Dołeczki w jego policzkach nadają mu figlarny wygląd. Sprawia wrażenie młodszego od Angela. Jego garnitur jest wyrazisty i idealnie dopasowany, a zamiast krawatu ma szpilkę do kołnierzyka zakończoną po obu stronach diamentowymi kostkami. Gdy unosi drinka do ust, dostrzegam błyszczące i dopasowane do kompletu spinki do mankietów.

– Miło mi cię poznać, Auroro – odzywa się. Podkreśla to mrugnięciem, na które zapewne wabi większość kobiet.

Zmuszam się do uprzejmego uśmiechu i przenoszę uwagę na drugiego mężczyznę, Gabriela. Po moich kręgosłupie natychmiast przebiega dreszcz. Ma takie samo zimne i bezlitosne spojrzenie jak Angelo, lecz kryje się w nim coś mroczniejszego. Coś bardziej złowieszczonego. Nie wiem... może to gęsta broda, groźna blizna przecinająca jego twarz lub tatuaże wypełzające spod jego golfu. Zdecydowanie nie chciałabym go spotkać w ciemnej alejce.

Nie odzywa się słowem.

Stopniowo do jadalni wlewa się reszta klanu Visconti. Zjawia się także kilka osób spoza rodziny, między innymi podążający za Vittorią, niczym skarcony szczeniaczek, nastolatek w za dużym garniturze i, ku mojemu zdziwieniu, ta sama dziewczyna, którą Tor przyprowadził na piątkową kolację.

Zaczyna się niedzielny obiad. Pianista gra jazzowy kawałek, a służba wnosi szynkę zapiekaną w miodzie oraz marynowaną w ziołach jaginięcinę wraz z glazurowanymi warzywami i ziemniaczaną zapiekanką. Whisky i cydr jabłkowy leją się strumieniami. Zważywszy na mój nastrój, odmawiam picia, decydując, że najlepiej dzisiaj zachować trzeźwość. Jedno niewłaściwe skiniecie Viscontiego i mogę się rzucić na nóż do mięsa.

Moją uwagę przyciąga szum u szczytu stołu. Przez zasłonę włosów obserwuję oczarowującego towarzystwo Raphaela. Opowiada tak porywającą historyjkę, że nawet Alberto nie przerywa mu swoimi anegdotami. Moje spojrzenie przenosi się na Angela w porę, aby dostrzec, jak odrzuca głowę do tyłu i się śmieje.

Moje serce zamiera. Jego śmiech jest głęboki, gardłowy i szczerzy. To taki śmiech, który pozostaje w pamięci. Czuję nagły tępy ból pod

mostkiem i przez krótką chwilę pozwalam sobie na myśl, jakie to byłoby uczucie być jego adresatem.

Cholera, Rory. Skończ z tym.

Jego rodzina nie tylko mnie pogrąży, ale jeszcze doprowadzi do utraty zdrowych zmysłów.

– Więc? – Gwałtowne szturchnięcie łokciem między żebra przywraca mnie do rzeczywistości.

– Co takiego? – Przenoszę spojrzenie na Maxa.

– Przemyślałaś moje słowa?

Zaciskam szczękę i czuję narastającą we mnie wściekłość. Pochyliam głowę i przysuwam bliżej krzesło, aby szepnąć mu do ucha, co sędzę na ten temat. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuję to przykucie uwagi Alberta.

– Jedyna okazja, gdy cię dotknę, nadarzy się wtedy, gdy położę dłonie na twoim gardle i uduszę cię we śnie.

Odskakuje zszokowany i wpatruje się we mnie przez kilka sekund.

– Jesteś pijana?

– Nie. Mam cię dosyć. Was wszystkich.

– Nas wszystkich?

– Mężczyzn. Dla was wszystko opiera się na cholernej wymianie. Wiadomość z ostatniej chwili! Gdy kobieta chce czegoś od ciebie, nie powinna płacić za to ciałem. Co się stało ze starą dobrą przysługą? Gdy błagałam szefa mafii, aby nie wycinał rezerwatu w Devil's, mógł się po prostu na to zgodzić, a nie przykuwać mnie do siebie tym cholernym pierścionkiem. A gdy poprosiłam cię, abyś dał mi spokój na kilka godzin w Devil's Dip dwa razy w tygodniu, mogłeś po prostu wyświadczyć mi tę przysługę, a nie kazać za nią płacić pozwoleniem na obmacywanie moich cycków na tylnym siedzeniu lexusa.

Odsuwam się od niego i spoglądam w poślaczony sufit. Biorę głęboki, świadomy oddech. *Czy to wszystko? Czy sięgnął moich granic?*

Gdy moja uwaga ponownie wraca do stołu, krzyżuję spojrzenie z Angelem. Nie śmieje się z opowieści brata ani nie rusza jedzenia. Zamiast tego intensywnie się we mnie wpatruje, a jego zwinięte w pięści dłonie spoczywają po obu stronach nietkniętego talerza. Gdy tylko przyzwyczajam się do chłodu jego spojrzenia, uświadamiam

sobie, że widzi Maxa i mnie, przysuniętych do siebie i odbywających prywatną, zapalczywą rozmowę na końcu stołu.

Panika ściska moje gardło i natychmiast się od niego odsuwam.

– Auroro...

– Nie teraz, Max – mamroczę, zabierając się za kawałek szynki.

– Ale...

Brzdęk, brzdęk, brzdęk.

Jego błaganie przerywa dźwięk uderzającego o kryształ noża. Odgłos, który poznałam aż za dobrze, od kiedy mam nieszczęście być zaręczoną z Albertem Anegdota.

Ze stłumionym westchnieniem podnoszę wzrok i przygotowuję się na długą przemowę. Lecz Alberto siedzi na swoim miejscu i spogląda w lewą stronę.

To Angelo wstał i trzyma szklanekę do whisky w jednej ręce, a w drugiej nóż.

– Czy mogę prosić wszystkich o uwagę? – mówi niskim, ale rozkazującym tonem.

W jadalni natychmiast zapada cisza.

Pławi się w niej przez kilka sekund, po czym przenosi uwagę na mnie.

– Aurora, prawda?

Mrużę oczy. Wiem, że zna moje imię, ponieważ sposób, w jaki je wypowiada, zapisało się w mojej pamięci. Lecz potakuję pod czujnym spojrzeniem Alberta.

– Auroro, wstań.

Delikatny, zabarwiony niepewnością śmiech rozlega się w pomieszczeniu. *W co on pogrywa?* Oczy wszystkich kierują się na mnie. Nie mam odwagi urządzić sceny, więc niechętnie podnoszę się z krzesła.

– Doskonale. Zrób trzy kroki w lewo.

Moje policzki oblewają się szkarłatem. Wszyscy śmieją się coraz głośniej, jakby opowiadał dowcip, a ja byłabym jedyną kretynką, która nie jest świadoma, że jest jego tematem. Z westchnieniem cofam się o krok. Gdy znajduję się za krzesłem Vittori, robię trzy nieśpieszne kroki w lewo.

– Zadowolony?

Lecz nie dociera do mnie odpowiedź Angela.

W jego prawej dłoni dostrzegam błysk. Huk jest ogłuszający, zapach prochu wyjątkowo silny, a smak rozprysniętej na moich ustach krwi niesamowicie cierpki.

Kula trafia Maxa prosto między oczy i wychodzi tyłem czaszki, rozbryzgując przy tym połowę jego mózgu. Głowa ofiary uderza z tęnym łoskotem o stół, a szkarłat plami koronkowy obrus.

Rozlega się kilka westchnień i jeden krzyk, który wydaje dziewczyna Tora, Skyler.

– O, kurwa – mamrocze Vittoria, takim tonem, jakby spóźniła się na autobus. Po pięciu sekundach przy stole zapada cisza.

Słyszę dzwonięcie w uszach i podnoszę wzrok na Angela. Ze spokojem odkłada broń obok serwetki i wpycha sobie do ust widelec z kawałkiem szynki. Przeżuwa mięso, po czym bierze łyk whisky. Gdy napotyka wzrok Alberta, wskazuje widelcem w jego kierunku.

– Dzieciak sprzedawał twoje biznesowe plany Rosjanom. – Rozgląda się wokół stołu i dodaje: – Jedzcie. Wystygnie wam jedzenie.

Rozlega się śmiech Raphaela.

Tor cichutko gwizdże.

Pod powiekami widzę słowo *bezwzględny*.

Tracę przytomność.

Dochodzę do siebie i zauważam, że leżę na kanapie w salonie. Przez okno wpada ostre światło, a gałęzie wierzby drapią o szybę, jakby próbowały mnie subtelnie obudzić. Rozlega się ćwierkanie ptaka. Bez patrzenia rozpoznaję odgłos sikory jasnoskrzydłej. To mały, odporny ptaszek, który nie migruje na zimę. Nigdy nie ucieka z rodzinnych stron, nawet gdy robi się zimno, ciężko i niepewnie. Zostaje z rodziną i za wszelką cenę starają się razem przetrwać.

– Zawsze lubiłam sikory jasnoskrzydłe.

– Jeśli chcesz być częścią tej rodziny, nie możesz być taka przewrażliwiona.

Odwracam głowę w stronę dochodzącego głosu i dostrzegam Leonarda, brata bliźniaka Vittori. Siedzi rozwalony na fotelu i stuka leniwie w telefon. Jego oklapłe włosy zasłaniają jedno oko.

– Hmm?

Wraca mi pamięć, więc zrywam się, ignorując rwący ból w tyle głowy. *Angelo zastrzelił Maxa.* Opuszczam wzrok i widzę czerwony rozprysk na swojej sukni. Podnoszę dłoń do ust. Jestem pewna, że moje palce pokrywa krew, która nie należy do mnie.

– O mój Boże – wzdycham, zanurzając palce w aksamitnej tkaninie i próbując się podnieść. – O mój Boże.

Otwierają się drzwi i do pokoju wkracza Amelia.

– Nie, nie. Nie wstawaj, kochanie. Paskudnie upadłaś, dlatego muszę sprawdzić twoją głowę.

Dotyka mojego ramienia i opada na krzesło koło mnie.

– Boli?

– On zabił Maxa.

To nie pytanie, a Amelia nie udziela odpowiedzi. Zamiast tego delikatnie przechyla moją głowę do przodu i odgarnia mi włosy z pulsującego z tyłu głowy miejsca.

W jednej chwili Max żył, jadł marynowaną w ziołach jagnięcinę i popijał koktajle, a w następnej...

Ostatnią rzeczą, jaką pamiętam, zanim zapadła ciemność, był obraz ciała opadającego na wspaniałą rodzinną porcelanę. Przez pulsujący ból przebija się mały, drobny głosik:

Czy to moja wina?

Lecz odganiem tę głupią, samolubną myśl. Angelo Visconti mnie nie znosi. Nie złapałby mnie, gdybym skoczyła z klifu. I jeśli nawet uwierzył, że zdradzam jego wujka z Maxem, nie sądzę, że rozlewałby krew z powodu czegoś, co nie leży w obszarze jego zainteresowań.

– Nie ruszaj się – mamrocze Amelia. Krzywię się pod dotykiem jej zimnych palców. W końcu odsuwa się i poklepuje mnie w kolano. – Zero krwi, tylko duży guz. Uważaj przez kilka dni, dobrze? Jeśli ogarnie cię senność, daj komuś znać.

– Mówisz poważnie? – Napawam się jej współczującym uśmiechem i spokojnym zachowaniem.

– Tak, nie ma żartów ze wstrząsem mózgu.

Mrugam.

– Amelio, Max właśnie dostał kulkę. Jest martwy. Czyli już nie żyje. A ty...

– Słyszałaś, co powiedział Angelo – mówi cichym głosem, zerkając na Leonarda, który się uśmiecha. – Był zdrajcą.

Powoli potrząsam głową.

– Nie – mamroczę. – Max by nie...

– A jednak – przerywa mi stanowczym tonem. Jej wzrok łagodnieje, jakby żałowała tego, że traktuje mnie ostro. – Przykro mi, Auroro. Pamiętam swój pierwszy raz, jakby to było wczoraj...

Wypuszcza powietrze i kuli ramiona.

– Obiecuję, że z czasem jest łatwiej. Musisz pamiętać, że świat klanu Visconti różni się od tego, do którego przywykłaś. – Poklepuje mnie ostatni raz po nodze i wstaje. – Daj znać, gdybyś chciała porozmawiać. Tymczasem postaraj się odpocząć.

Przechodzi przez pokój i czochra włosy Leo.

– Ale jak dowiedział się, że Max to zdrajca? Przecież mieszka na innym kontynencie.

To pytanie wymyka się z moich ust, zanim uświadamiam sobie, że w ogóle przyszło mi do głowy.

Amelia zatrzymuje się, a potem opiera o framugę.

– W ten sam sposób, w jaki wie o wszystkim.

Potem wyslizguje się z pokoju i słychać stukot jej obcasów na marmurowej posadzce.

– Co to ma znaczyć? – Odwracam się do Leo.

Z westchnieniem odrywa wzrok od telefonu, by na mnie spojrzeć.

– Bracia Dip mają tę gorącą linię. Każdy może zadzwonić i wyznać im swoje sekrety. Pewnie Max zadzwonił. Takie źmije zazwyczaj mają wyrzuty sumienia.

Nie.

Nie, nie, nie.

– Gorącą linię? – dopytuję.

– Tak. Pewnie widziałaś ich wizytówki. Są wszędzie.

O Boże. Proszę, nie.

– Nazywa się: Anonimowi Grzesznicy.

Kolejny raz tego dnia tracę przytomność.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Angelo

Kościół św. Piusa, Devil's Dip

Kościół św. Piusa to mały nowoczesny budynek ze strzelistą iglicą, która w bezchmurny dzień jest widoczna z drogi prowadzącej do Devil's Cove. Wybudowano go w pobliżu krawędzi klifu. Kamienie budowli poddały się erozji za sprawą słonego oceanicznego powietrza i lat zaniedbania. Do kościoła przylega cmentarz, który zagracają pokryte bluszczem nagrobki, włączając w to groby moich rodziców.

Stoję przed gnijącymi dębowymi drzwiami, zaciskam uchwyt na łomie i biorę głęboki wdech. Dziewięć lat temu wyrzuciłem klucz do oceanu, a nie mam ochoty sprawdzać, czy któryś z moich wujków posiada zapasowy. Wciskam łom pomiędzy drewno a żelazny zamek i za pomocą porządnego pchnięcia z łatwością udaje mi się dostać do środka. Proces gnilny zrobił swoje.

Uderza mnie zatęchły zapach. Czuję przypływ gorzkiej nostalgii.

Nie byłem w tym kościele od pogrzebu rodziców. Ruszam główną nawą, a odgłos moich kroków rozchodzi się echem wśród połamanych desek pokrywających sufit. Muskam palcami ławki i zbieram z nich kobierzec pajęczyn.

Ponoszę wyłączną odpowiedzialność za to, że to miejsce popadło w ruinę. Klan Cove oferował, że utrzyma kościół, tak jak port, ale nalegałem, aby spalili budynek do gołej ziemi.

Poszliśmy na kompromis i zamknęliśmy go.

Zajmuję swoje dawne miejsce po lewej stronie przedniego rzędu i czekam.

Chwilę później wiatr przynosi pomruk silnika samochodu. Rozlegają się kroki i słychać jęk drzwi. Gromki śmiech mojego brata wypełnia kościół. Przywołuje to wspomnienia z dzieciństwa.

– Ze wszystkich kościołów na świecie wybrałeś właśnie ten.

– Znajdowałem się w okolicy.

Fascynuje mnie obserwowanie, jak do Rafe'a wracają miliony wspomnień. Jego nie są tak zatrute jak moje. Maszeruje naważką z rękoma wetkniętymi w kieszenie. Na jego twarzy maluje się krzywy uśmieszek. Zerka na łukowe sufity, wbija wzrok w ołtarz i w końcu rozgląda się w poszukiwaniu, znajdującego się w prawym rogu kościoła, konfesjonału.

Potrząsa delikatnie głową i zatrzymuje się koło mnie.

– Spotykaliśmy się przez dziewięć lat, ale mimo to nigdy w tym miejscu – mamrocze z niedowierzaniem. – Niewiarygodne.

Ma rację. Ciężko w to uwierzyć. Opactwo Westminsterkie w Londynie, Bazylika św. Piotra na Watykanie, Sagrada Familia w Barcelonie. Przez ostatnie kilka lat widywaliśmy się w różnych kościołach na całym świecie w ostatnią niedzielę każdego miesiąca. Lecz nigdy w tym, w którym dorastaliśmy. To paradoksalne, ponieważ to właśnie w tym miejscu zaczęła się nasza gra.

Miałem dwanaście lat, Rafe dziesięć, a Gabe osiem, gdy ojciec posadził nas w zakrystii i oznajmił, że najwyższy czas, abyśmy stali się mężczyznami. Przysłuchiwaliśmy się spowiedziom przez miesiące, wczługując się w lukę pomiędzy kamienną ścianą a konfesjonałem. Wyteżaliśmy słuch, aby poznać najmroczniejsze grzechy i sekrety mieszkańców miasteczka. Większość była żałosna. Żonaci mężczyźni opłacający prostytutki, studenci akademii Devil's Coast oszukujący na wstępnych egzaminach. Lecz niektóre przyprawiły mnie o mdłości.

Wśród świec, szat i zakurzonych stosów Biblii ojciec oznajmił, że od tej pory w każdą ostatnią niedzielę miesiąca musimy zdecydować, jakie było najgorsze wyznanie, które usłyszeliśmy.

Później mieliśmy coś na to poradzić.

Nasza specjalna gra połączyła nas nierozzerwalnymi więzami. Mieszkańcy nazywali nas Aniołami z Devil's Dip, ale nie mieli pojęcia, że byliśmy sędziami, ławą przysięgłych i katami w jednym. W okresie dojrzewania buzowaliśmy naszą tajemną mocą.

Kontynuowaliśmy nasz rytuał do czasu, aż osiągnąłem pełnoletniość i wyjechałem do Anglii na studia na Oksfordzie. Rafe i Gabe nie chcieli podtrzymać tej tradycji beze mnie, więc stała się

ona tylko dumnym wspomnieniem, które przywoływaliśmy podczas wakacyjnych powrotów w to miejsce.

A potem zmarli nasi rodzice. Klika miesięcy po pogrzebie Rafe zjawił się bez zapowiedzi w moim biurze w Londynie. Był pijany i miał zaczerwienione oczy. Przyleciał odrzutowcem prosto z Vegas.

– Tęsknię za nami – wybełkotał, opierając się o moje biurko i próbując utrzymać równowagę. – Brakuje mi gry.

Anonimowi Grzesznicy to był jego pomysł. Większa, bardziej błyskotliwa wersja gry, która sprawiła, że staliśmy się mężczyznomi. Napędzany alkoholem i nostalgią obmyślił cały plan podczas lotu nad Atlantykiem. Anonimowa poczta głosowa zamiast kościelnego konfesjonału. Zasięg na cały glob, a nie tylko brukowane uliczki Devil's Dip. Pod koniec każdego miesiąca mieliśmy spotykać się w kościele. Za każdym razem miało to być inne miejsce. Nigdy kościół św. Piusa.

W pierwszym odruchu chciałem mu przerwać. Naprawdę pragnąłem odejść z Devil's Dip i zacząć uczciwe życie. Lecz pod moją skórą pulsowało bolesne pragnienie bycia złym. Doświadczalem syndromu odstawienia, podobnego do uzależnionych od kokainy. Gdy człowiek się poci, trzęsie i wpatruje w sufit o trzeciej nad ranem, zawsze znajdzie sposób, aby usprawiedliwić złe nawyki.

Moje dobrze wyrażało ulubione powiedzonko mojej mamy, które paradoksalnie stało się powodem, dla którego postanowiłem żyć uczciwie. *W życiu chodzi o równowagę, Angelo. Dobro zawsze zwycięży zło.*

Miałem ochotę zagrać w grę mojego brata. Potrzebowałem sobie ulżyć, a byłem też winny mamie walkę ze złem.

Oznajmiłem zatem Rafe'owi, że w to wchodzę.

Teraz opada na ławce obok mnie i słyszę ruch kostki. Przerzuca ją w kieszeni między kciukiem a palcem wskazującym. Nasza zabawa z dzieciństwa ukształtowała go bardziej niż mnie. Właściwie całe jego życie jest grą. Posiada połowę hoteli i kasyn w Vegas, a od tych, których nie jest właścicielem, pobiera opłatę za ochronę. Wygrywa, gdy inni przegrywają, a gdy inni wygrywają, lepiej, żeby zwycięstwo nie było wynikiem przekrętu. Rafe najbardziej nienawidzi oszustwa.

Mój brat jest pieprzonym rekinem. Mimo perłowobiałych zębów i czaru, jaki roztacza, nie pozwala nikomu przeżyć swojego ugryzienia.

Mija kilka chwil i przez otwarte drzwi kościoła dociera do nas znajomy warkot silnika Harley'a Davidsona.

– Oto się pojawił – mamrocze Rafe, a przebiegły uśmiezek rozjaśnia jego twarz.

Ciężkie kroki Gabe'a sprawiają, że stare witraże brzęczą.

– Ja pierdzielę, bracie – warczy Rafe. – Czy masz tylko buty ze stalklapą? Człapiesz niczym wilk z *Czerwonego Kapturka*.

Gabe zmierza w naszym kierunku niczym gradowa chmura i posyła Rafe'owi groźne spojrzenie.

– Takie są najlepsze, aby skopać ci dupę, mój drogi – warczy.

– Cholera jasna, to więcej słów niż usłyszałem od ciebie przez rok.

– Rafe odwzajemnia się swobodnym uśmiechem. – Miło cię widzieć, bracie.

Gabe mamrocze coś niezrozumiale, a potem przenosi wzrok na mnie.

– Niezły wyczyn na dzisiejszym obiedzie.

– Dzięki.

– Powiesz nam czemu go zdjąłeś?

– Nie.

Kiwa głową, a potem wyciąga z kurtki iPada.

– Zatem przejdźmy do rzeczy.

Spojrzenie Rafe'a pali mnie w policzek.

– Wstrzymaj się, do cholery. Jaja sobie robisz, prawda? Rozwaliłeś pomagiera na niedzielnym obiedzie u Dużego Ala, rzucając jakąś marną wymówkę o Rosjanach, i nie zamierzasz nam wyjaśnić, dlaczego tak postąpiłeś?

Wypuszczam powietrze z płuc i przeciągam dłonią po brodzie. Prawdę mówiąc, nie mam zielonego pojęcia, dlaczego tak się zachowałem. Powód, dla którego do tego doszło, wydaje się kompletnie szalony.

Ona.

Żałuję, że nie mogę powiedzieć, że wszedłem do jadalni i ujrzałem w jej oczach strach, gdy dłoń dzieciaka mocno ścisnęła jej nadgarstek. Nie broniłem też honoru wujka ani nie powstrzymałem jego narzeczonej przed ulegnięciem pacholce. Takie stwierdzenia byłyby nieprawdziwe, ponieważ wziąłem broń z biura Alberta i zatknąłem ją za pasek wcześniej, a jedyną informacją, jaką wtedy

posiadałem, a przynajmniej tak myślałem, były moje podejrzenia, że pieprzyła się za plecami Alberta.

Podczas obiadu Rafe opowiadał o ostatnim pokerze z klanem Hollow, a ja ich obserwowałem. Pomagier wujka ją nagabywał, a ona starała się zakłopotana unikać jego dotyku. Wtedy uświadomiłem sobie, że się myliłem.

I tak zamierzałem go zabić.

Jak już wspomniałem, odjęło mi rozsądek.

– Swędział mnie palec wskazujący – rzucam, od niechcienia zerkając na zegarek. – Czy możemy przejść do rzeczy? Mam sprawy do załatwienia.

– W Devil’s Dip? – żartuje Rafe. – Wciskasz nam kit.

Ignoruję go i zwracam się do Gabe’a, który odblokowuje iPada i podtrzymuje go tak, abyśmy obaj mogli zobaczyć ekran.

– Znacie zasady. Wybraliśmy już czterech dzwoniących. – Klika duży przycisk z napisem *Wygeneruj przypadkowe numery*. Pojawia się arkusz kalkulacyjny, a w nim lista nazwisk. – Twoja kolej, Rafe.

Rafe rechocze i wyciąga kostkę z kieszeni.

– Moja ulubiona pora miesiąca – mamrocze, przykładając dłoń do ust i chuchając. Wprawnym ruchem rzuca kostki, pozwalając, aby rozsypały się po drewnianej podłodze i żelaznej kracie.

Zapada cisza. Po chwili Gabe robi trzy kroki, aby sprawdzić wynik.

– Sześć.

– Tak! – syczy Rafe. – Dama Szczęścia nigdy mnie nie zawodzi, dziecinko.

– Więc, kogo my tu mamy? – pytam.

Rafe sięga po iPada i zerka na ekran.

– Phillip Moyers. Stary łajdak z Connecticut. Zadzwoił, aby przyznać się do ucieczki z miejsca wypadku.

– Wielka mi sprawa – mamroczę, wywracając oczami. – Spośród wszystkich telefonów, które odsłuchałeś w tym miesiącu, ten był najlepszy?

– Gość był tak naćpany, że nie zdawał sobie sprawy, że wokół zderzaka owinęła mu się dziewczyna. Przeciągnął ją przez trzy przecznice. Gdy w końcu usłyszał krzyk, oderwał ją i zostawił na śmierć. Patolog stwierdził, że przyczyną zgonu nie był wypadek, ale zostawienie jej na siedem godzin w błocie. – Zbiera swoje kostki,

całuje je i wsuwa do kieszeni. – Ach i... – dodaje, podnosząc się i rzucając mi kwaśne spojrzenie. – Była w ósmym miesiącu ciąży.

– Moja. – Gabe podnosi rękę.

– Twoja? – Przenoszę na niego spojrzenie.

Potakuje, wciska iPada do kieszeni, a potem bez słowa wychodzi z kościoła. Chwilę później silnik jego motocykla ożywa, a Gabe po prostu znika.

Stoimy z Rafem obok siebie i wpatrujemy się w otwarte drzwi.

– Co się z nim stało, człowieku? – pyta mój brat, bardziej siebie niż mnie.

Milczę, bo nie znam odpowiedzi, podobnie jak on.

Gabe jest cholerną tajemnicą. Stał się taki po powrocie na Wybrzeże podczas pewnych świąt Bożego Narodzenia, krótko przed śmiercią rodziców. Wrócił do domu z zupełnie nową osobowością i świeżą, biegnącą od brwi aż po policzek blizną. Nie chciał rozmawiać o tym, co go spotkało. Wszystko, co złożyliśmy w jedną całość, pochodziło z podszeptów Chińczyków i niewydarzonych plotek. Niektórzy opowiadali, że buduje i testuje nową broń w syberyjskiej bazie wojskowej. Inni, że pracuje jako płatny zabójca dla mafii w Palermo. Jedno jest pewne. Ostatniej niedzieli każdego miesiąca pojawia się na naszych spotkaniach, niezależnie od miejsca, w którym się odbywają.

Rafe kuli ramiona, pochyla szyję i się do mnie odwraca.

– Co tu naprawdę robisz, bracie? – Gdy otwieram usta, sprzedaje mi kuksańca w brzuch. – I mnie, kurwa, nie okłamuj. Nie jestem Dantem.

Reaguję na jego uderzenie warknięciem. Ma szczęście, że mu nie oddaję za ten tani strzał. Idę kawałek nawą i spoglądam na predellę⁸. Niemalże dostrzegam stojącego za nią ojca. Widzę, jak wali pięścią w ołtarz, a jego głos rozbrzmiewa w kościele.

Gdyby tu był, a ja miałbym broń, posłałbym mu kulkę między oczy. Potraktowałbym go tak, jak kilka godzin temu Maxa.

– Bracie?

Mój wzrok przenosi się na Rafe'a.

– Nie będę kłamał.

– Wiem.

– Więc nie powiem nic.

Gdy ruszam w kierunku drzwi, czuję jego palące spojrzenie. Wychodzę na piekielny wiatr, lecz w pewnej chwili się zatrzymuję. Rafe ciągle stoi przed ołtarzem z ramionami skrzyżowanymi na piersi.

– Tata nie był bohaterem, za jakiego go uważałeś – mówię cicho.

Milczy z zaciśniętą szczęką.

– A mama?

Unoszę kołnierz, wkładam dłonie w kieszenie i przygotowuję się na spotkanie z jesiennym chłodem.

– Mama była pieprzoną świętą i nigdy o tym nie zapominaj.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Rory

Jest wtorkowy wieczór. Błąkam się bez celu po posiadłości Viscontich. Każdy popełniony w niej grzech i skrywany sekret, włączając w to mój własny, osłabia jej fundamenty i przybliża o krok do ruiny.

Zamartwiam się. Prawie nic nie jadłam od niedzielnego obiadu. W kącikach ust nadal czuję smak krwi Maxa i widzę go osuwającego się na zastawę. Okazuje się, że jestem jeszcze bardziej samolubna niż myślałam, ponieważ jego śmierć wydaje mi się najmniejszym zmartwieniem.

Angelo jest właścicielem Anonimowych Grzeszników. Przez ostatnie dwa dni próbowałam sobie przypomnieć wszystkie złe słowa, myśli, uczucia i czyny, do jakich się przyznałam. Nie tylko gardzę tym, że ma teraz nade mną władzę, ale jestem też śmiertelnie przerażona myślą, że zdradzi Albertowi moje tajemnice.

Jedno wyznanie wystarczy, aby od razu skazać mnie na śmierć.

Co się wtedy stanie z moim ojcem?

Chwile spokoju są ulotne. Zdarzają mi się tylko wtedy, gdy udaje mi się przekonać samą siebie, że wszystko jakoś się ułoży. To Anonimowi Grzesznicy. Anonimowa poczta głosowa, która teoretycznie nie powinna zostawiać śladu, kto dzwonił. W dodatku nigdy nie używałam własnej komórki. Alberto mi ją odebrał. Upiera się przy noszeniu małego jednorazowego telefonu. Z niego również nigdy nie dzwonię.

Szybko odkryłam, że wycofywanie się z danego słowa jest w stylu Viscontich. Do listy rzeczy, które mnie martwią, mogę dodać to, że Alberto już teraz próbuje zmieniać warunki naszego kontraktu.

Ostatnie dwa dni spędziłam na snuciu się po dolnych korytarzach posiadłości. Jednym okiem zerkałam na drzwi wejściowe, obawiając się, że Angelo wparuje przez nie, by ujawnić moje wyznania, a

drugim obserwowałam drzwi do gabinetu Alberta. Podśluchiwałam też jego rozmowy. Byłam świadkiem kilku prowadzonych ściszym głosem dyskusji między nim a Dantem, które dotyczyły powrotu Angela i tego, że to zrujnowałoby wszystkie plany tego drugiego.

Okazuje się, że nie jestem jedyną osobą, którą wstrząsnęło jego nagłe pojawienie się.

Blask zachodzącego słońca przebija się przez witrażowe okna w korytarzu. Siedzę skulona na schodkach, opieram się o balustradę z kutego żelaza i trzymam w dłoni książkę, która służy mi za rekwizyt. Alberto rozmawia przez telefon w swoim gabinecie. Docierają do mnie gniewne włoskie słowa rzucane do kogoś, kogo uważa za mniej ważnego od siebie. Z salonu wyłania się Tor z aktówką w dłoni i wełnianym płaszczem przerzuconym przez ramię.

Zatrzymuje się przede mną.

– Cholera jasna, dziewczyno. Mam dosyć twojego snucia się po domu. Zachowujesz się niczym skopany szczeniak. Na litość boską, to był tylko Max. – Przeczesuje palcami włosy i potrząsa głową. – Wstawaj.

– C...co?

Ignoruje mnie, obraca się na pięcie i bez pukania wchodzi do gabinetu ojca. Szybko zamieniają parę słów po włosku, po czym wraca i kiwa na mnie głową.

– Wstawaj. Idziesz ze mną.

– Dokąd? – Mrugam.

– Do pracy.

– W Devil's Cove?

– Nie. Na Marsie. – Rusza w kierunku drzwi wejściowych, wołając przez ramię. – Ostatnia szansa.

Serce wali mi w piersi dwa razy szybciej, a w mojej głowie powstaje pewien plan.

– Tylko wezmę torebkę – wołam i przeskakuję po dwa schody, pędząc do garderoby.

Kiedy wypadam na okrągły, frontowy podjazd, czuję ulgę, że Tor na mnie zaczekał. Silnik bentleya chodzi, a on, oparty o drzwi auta, pali papierosa. Jego spojrzenie spoczywa na mojej ogromnej torbie.

– Naprawdę potrzebujesz tego wszystkiego?

Zamieram, po czym obejmuję ją obronnym gestem.

– Tak. Mam kosmetyki i portmonetkę...

Urywam, a moje kłamstwo zawisa w chłodnym powietrzu. Tor zaciąga się po raz ostatni, wywraca oczami i rzuca niedopałek na trawę.

– Kobiety – mamrocze pod nosem. – Wsiadaj.

Mocno przyciskam do siebie torbę. Wyjeżdżamy z terenów należących do Viscontich i docieramy do nadbrzeżnej drogi, która biegnie równolegle do plaży. Mieszkam tu przez całe życie, a mimo to, za każdym razem, przejeżdżając przez Devil's Cove, czuję zachwyty, gdyż to miejsce jest olśniewające. Jest zupełnym przeciwieństwem Devil's Dip i Hollow. Po mojej stronie za szybą rozciąga się oaza spokoju. Granatowe niebo stapia się z czarnym morzem, a pas białej plaży wygląda na nietknięty. Jednak turyści nie przybywają do Devil's Cove, aby się wylegiwać w słońcu na lodowato zimnej plaży i zażywać kąpieli we wzburzonym oceanie. Powab Cove widoczny jest po stronie kierowcy. To szereg połyskujących hoteli, kasyn i restauracji z gwiazdkami Michelin. Wszystko łączy wyłożona marmurem promenada, która staje się wyjątkowo śliska podczas deszczu. Rosną przy niej odporne na mróz odmiany palm, które walczą o przetrwanie każdej surowej zimy.

Tor zwalnia i wyciąga szyję, aby spojrzeć na niebo.

– Zuchwały łajdak – śmieje się. Podążam za jego wzrokiem na przecinający nieboskłon samotny samolot. – Bezwzględny coś kombinuje.

– Hmm? – Moje serce zamiera na dźwięk jego przydomka.

– To jego odrzutowiec. – Unosi brew, a na jego ustach gości pełen rozbawienia uśmiech. – Leciabyś taki kawał drogi z Londynu tylko po to, aby wpaść z wizytą?

W mojej głowie pojawia się myśl, że obecność Angela na Wybrzeżu mogłaby zamienić się w stały pobyt. Nie wyobrażam sobie, że musiałabym zawsze oglądać jego wykrzywioną w grymasie twarz podczas piątkowych kolacji i niedzielnych obiadów. W piwnicznym barze czułam na sobie jego ciężkie spojrzenie. Moje tajemnice wiszą nad moją głową niczym gradowa chmura. Opieram swoją rozpaloną twarz o chłodną szybę i przymykam oczy. Nagle świadomość tego wszystkiego zaczyna mnie przytłaczać. *Co się stanie z Devil's Dip, jeśli*

Alberto odda władzę nad miasteczkiem w ręce Angela? Co, jeśli nasza umowa poszłaby na marne?

– Gdyby zachciało ci się wymiotować, daj znać, to zjadę na pobocze. To siedzenia ze skóry nappa⁹ – rzuca Tor, nie odrywając wzroku od drogi. Po chwili dodaje z rechem: – Cholerny Bombardier Global Express¹⁰. Po co mu taki wielki samolot? Nigdy tego nie zrozumie.

– To Gulfstream¹¹ – szepczę do siebie.

– Co? – mężczyzna rzuca mi zdziwione spojrzenie.

– Ten samolot. To Gulfstream, a nie Bombardier. Dziób i skrzydła mają inny kształt.

Przez chwilę w samochodzie panuje cisza, a potem Tor cicho gwizdże.

– A myślałem, że twoją obsesją są ptaki. Masz świra na punkcie wszystkiego co lata, dzieciaku?

Przełykam gulę w gardle i prostuję się.

– Dostałam się do akademii lotnictwa Northwestern.

– Co? Do szkoły dla pilotów?

– Tak.

Uznaje to za tak zabawne, że wali pięściami w kierownicę.

– Zalewasz. I zamiast szkoły wybrałaś poślubienie staruszka?

– Nie. Złożyłam do niej podanie trzy lata temu.

– I co potem? Zdecydowałaś się poszukać sponsora?

Zaciskam szczękę, czując, jak drżą mi nozdrza. Gdy podpisywałam ten głupi kontrakt, Alberto zastrzegł, że tylko Dante zna powód, dla którego zgodziłam się za niego wyjść i ostrzegł mnie, abym nie wyjawiała go nikomu innemu. Twierdził, że to czysty interes, ale gdy go lepiej poznałam, uświadomiłam sobie, że to kwestia władzy. Chce, aby ludzie wierzyli, że jest w stanie zdobyć taką młodą kobietę, pomimo że jest stary i obleśny. Nikogo nie oszuka. Zamiast tego wszyscy traktują mnie jak naciągaczkę.

– Niezupełnie – odgryzam się.

– Co się zatem wydarzyło?

Co się stało? Zapach starych książek i kredy uderza w moje nozdrza. W głowie czuję dotyk silnych dłoni przyszpilających mnie do tablicy. Dźwięk krzyków dochodzących z klasy odbija się w moich uszach.

– Postanowiłam zostać w Devil’s Dip – mamroczę i potrząsam głową.

– Hmm. Devil’s Dip to ślepa uliczka dla marzeń, dziecino. – Gdy milczę, zerka na mnie. – Mogło być gorzej. Mój ojciec trzymał swoją ostatnią żonę zamkniętą w domku na plaży. Technicznie była moją macochą, a spotkałem ją zaledwie dwukrotnie. Raz na Boże Narodzenie i raz, gdy kopniakiem wybiła okno, próbując ucieczki. Właściwie trzy razy, jeśli policzyć otwartą trumnę podczas jej pogrzebu.

Zwalnia i skręca w alejkę.

– Jesteśmy na miejscu.

Spoglądam przez okno. Od razu zauważam, że znajdujemy się przy na wpół wybudowanym budynku. Podpiera go rusztowanie i jest przykryty brezentem. Rzucam znaczące spojrzenie Torowi.

– Czy Alberto prosił, abyś mnie zabił? – Żartuję, ale tylko częściowo.

– Jeszcze nie. – Pochyliła się i otwiera drzwi.

W środku panuje mrok i wilgoć. W powietrzu wiruje zapach trocin oraz cementu. Tor prowadzi mnie przez połamane podłogowe deski pod nisko zwieszającymi się belkami. Z każdym krokiem staje się coraz bardziej nerwowy.

– Leniwi *bastardi* – warczy. – Mieli dokończyć budowę tydzień temu.

Wchodzimy do pomieszczenia, które wygląda, jakby mieściło się w zupełnie innym budynku. Pokój gier wypełnia pięć welurowych stołów do pokera, a w rogu znajduje się w pełni wyposażony bar. Na widok Tora gromada mężczyzn skupionych wokół jednego ze stołów skacze na równe nogi, upuszcza karty i przewraca szklanki do whisky.

Zapada cisza. Po chwili jeden z nich zbiera się na odwagę, by zabrać głos:

– Szefie...

Lecz Tor nie pozwala mu skończyć. W mgnieniu oka pokonuje dzielący ich dystans, wyciąga zza paska broń i uderza mężczyznę kolbą w twarz.

– Za co wam płacę? – warczy, łapiąc go za kark. Rozglądam się i aż skręca mnie na widok krwi mężczyzny, która sączy się z jego skroni.

– Na pewno nie za siedzenie tutaj niczym kupa dupków i...

– *Calmanti, cugino.*¹² – Otwierają się tylne drzwi i pojawia się postać w garniturze. Do pomieszczenia wpada powiew chłodnego powietrza. – W ciągu godziny przegrał dość pieniędzy. Nie musi również tracić życia.

Tor z impetem puszcza mężczyznę.

– Rafe! Nadal tu jesteś?

Wskazuje na znajdujące się za mną drzwi.

– Razem z Bennym planujemy turniej pokerowy na następny tydzień w jaskiniach Hollow.

– *Bastardi.* Beze mnie?

– A od kiedy robimy cokolwiek bez ciebie?

Tor wydaje się rozbawiony. Mamrocze coś pod nosem. Rafe przenosi spojrzenie na mnie, a ja odsuwam się z niepokojem z zasięgu jego promiennego uśmiechu.

– Przyprowadziłeś towarzystwo.

– Tak. – Tor macha w moim kierunku. – Pomyślałem, że może chciałaby zobaczyć coś poza sypialnią Dużego Ala.

Rafe nie śmieje się z jego kiepskiego żartu. Zamiast tego wpatruje się we mnie oczami koloru morskiej zieleni. Są bardzo podobne do oczu Angela. Lecz nie tylko jego podobieństwo do brata wprawia mnie w zakłopotanie. Za jego czarem i uśmiechem kryje się przerażający spokój. Z każdej doskonałej cząsteczki swojego ciała emanuje władzą. Dziś ma na sobie granatowy garnitur, prążkowaną koszulę i uzupełnioną małym łańcuszkiem szpilkę do kołnierza z różowego złota. Zupełnie jak Angelo, stwarza wokół siebie atmosferę nietykalności. Nie mogę go sobie wyobrazić w zwyczajnych życiowych sytuacjach, takich jak stanie w kolejce w Starbucksie czy mycie samochodu w myjni.

Odwraca się do Tora i zaczynają rozmawiać o interesach. Przez kilka chwil stoję w miejscu i niezręcznie ściskam swoją torbę, czekając na właściwy moment, aby się odezwać.

W końcu nadchodzi taka chwila.

– Tor? Czy potrzebujesz mojej pomocy?

Rzuca mi podirytowane spojrzenie.

– Tak. Jeśli umiesz tynkować ściany. – Spoglądam na niego bez wyrazu, a on wywraca oczami i dodaje. – Żartowałem. Możesz się

urwać na chwilę. Lecz bądź gotowa, kiedy zechcę wracać.

Nie czekając, aż zmieni zdanie, pędzę przez rumowisko w korytarzu, a potem wypadam na główną drogę Devil's Cove. Wdycham słone morskie powietrze, starając się uspokoić bicie serca. Skręcam w prawo, w biegu docieram do promenady. Turyści wylewają się z wykwintnych restauracji i barów. Wyłapuję końcówkę bez troskich śmiechów i anegdot rzuconych w obcych językach. Mijam ich z torbą przyciśniętą do piersi. Chowam podbródek w kołnierz kurtki. Po chwili docieram do celu.

Otwieram drzwi do Devil's Ink i dzwonek ogłasza moje przybycie.

Poza sztyldem nic nie wskazuje na to, że to salon tatuażu.

Pomieszczenie jest małe i ma kliniczny wystrój, niczym w poczekalni u wysokiej klasy dentysty. Białe podtynkowe światła odbijają się na nieskazitelnie czystej podłodze. Wszystko lśni czystością. Tayce siedzi na krześle i w dłoni trzyma maszynkę do tatuażu.

– Tylko umówione wizyty – rzuca, nie podnosząc wzroku znad bicepsa mężczyzny.

Jej klient rzuca mi groźne spojrzenie.

– Nie rozprasza jej. Czekałem na to trzy lata.

– Uciszyć się, Blade.

Wypuszczam głęboki oddech.

– Okej, ale naprawdę nie mogę wrócić później.

Warkot maszynki do tatuażu zamiera. Tayce podnosi wzrok i na mój widok jej oczy rozszerzają się w zdumieniu.

– O mój Boże, Rory! – woła, zrywając się z krzesła i podbiegając, by zamknąć mnie w uścisku.

Zaciskam powieki i wdycham znajomy zapach przyjaciółki. Jeśli kiedykolwiek miałabym płakać, to właśnie w tej chwili. Łapie mnie za ramiona i cofa się o krok, aby przyjrzeć się mojej twarzy.

– Wszystko u ciebie w porządku?

Mój wzrok przeskakuje nad jej ramieniem na klienta. Każdy centymetr jego ciała pokrywają tatuaże, począwszy od smoka pełznącego z boku jego szczęki, aż po koraliki różańca wytatuowane na kostce. Tayce jest najlepszą tatuażystką na kontynencie. Niektórzy spieraliby się, że nawet na świecie. Jej lista oczekujących jest długa jak Biblia, a ludzie zabijają się, aby na nią trafić.

Do jej klientów zaliczają się członkowie najpotężniejszych na świecie rodzin mafijnych.

Tacy, którzy noszą imiona w stylu Blade.

Przyjaciółka wyczuwa mój niepokój i wykręca szyję w stronę mężczyzny.

– Blade, będziesz musiał wrócić jutro.

– Jaja sobie robisz? Od wieków czekałem na liście...

– Więc jeden dzień dłużej nie zaszkodzi. Wynocha.

Rozlega się warknięcie. Blade zaciska dłonie w pięści. Tayce nie waha się nawet przez chwilę.

– Masz coś jeszcze do dodania?

Mężczyzna powstrzymuje się od dalszej dyskusji i potrząsa głową. Potem wstaje, obdarzając mnie przy tym groźnym spojrzeniem, i niechętnie opuszcza salon. Zauważam, że na jego bicepsie widnieje wytrawiona połowa Ponurego Żniwiarza.

Tayce podąża za nim do drzwi, by zamknąć je na zamek.

– O mój Boże, Rory. Tak się cieszę, że cię widzę. Ani razu nie zadzwoniłaś. – Robi krok naprzód, a ulgę w jej oczach zastępuje furia. – Dlaczego, do cholery, się nie odezwałaś?

Wzdycham ciężko i siadam na leżance. Przyciskam do siebie torbę. Minęło dwa i pół miesiąca od kiedy wpadłam przez drzwi Devil's Ink i oznajmiłam najlepszej przyjaciółce, że wychodzę za Alberto Viscontiego.

W pierwszym odruchu chciała mnie spoliczkować. Następnie próbowała mnie objąć ramionami i błagała, abym ponownie rozważyła swoją decyzję. Zna dobrze tę rodzinę. Na centymetrze skóry Viscontich nie ma tatuażu, który nie byłby jej dziełem. Właśnie dlatego nie mogłam jej wyznać powodu, dla którego wychodzę za Alberto. Gdyby знаła prawdę, wciągnęłabym ją i jej interes w mrok, w jakim sama się znajduję.

Tayce zna wagę tajemnicy. Poznałyśmy się trzy lata wcześniej. To było w okresie, gdy zrezygnowałam z nauki w szkole lotnictwa i podjęłam pracę w knajpie w Dip. Zjawiała się w niej pewnego deszczowego, czwartkowego popołudnia. Cały dobytek upchnęła w małym worku marynarskim, a na nogach miała martensy. Jej kruczoczarne włosy opadały na czoło, a mocny makijaż spływał po

policzkach. Wyglądała, jak dziewczyna, która właśnie porzuciła dawne życie.

Nalałam jej filiżankę kawy na koszt firmy i zapytałam o imię. Zastanawiała się chwilę, zanim przedstawiła się jako Tayce, a gdy dopytywałam, czy wpadła z wizytą, jej skrepowane spojrzenie przeniosło się na drzwi.

Nigdy nie zapomnę, co mi wtedy powiedziała:

Proszę, nie zadawaj mi żadnych pytań, ponieważ mam dosyć opowiadania kłamstw.

Więcej nie pytałam. Wróćmy jednak do terażniejszości. Tayce ma własny salon tatuażu, pomimo że nawet kropelka atramentu nie kala jej własnej porcelanowej skóry. Tatuażystka bez tatuażu.

– Nie mogłam zadzwonić, ponieważ Alberto zabrał mi telefon, a nie ufam komórce na kartę, którą mi podarował – odpowiadam zwyczajnie. Poruszam szczęką, próbując zignorować ból w piersi. Chciałabym o wszystkim jej opowiedzieć. Lecz co by mi to dało?

– Jezu, Rory, trzęsiesz się.

Zerkam na znajdujący się nad kasą fiskalną zegar i podaję jej torbę.

– Nie mam dużo czasu. Musisz coś dla mnie zrobić.

– Wszystko. Przecież wiesz. – Zagląda do torby i mruży oczy. – Co to jest, do cholery?

Wrzuciłam tam przedmioty, które zdołałam ukraść Viscontim w ciągu kilku ostatnich miesięcy. Naszyjnik Vittori, zegarek Audemars Piguet, który zdjęłam narzeczonemu z nadgarstka podczas snu. Dużo sreber stołowych. Cenne przedmioty, na których mogłam położyć łapska bez wzbudzania podejrzeń.

– Tayce, jeśli cokolwiek mi się stanie, musisz to sprzedać. Użyj tych pieniędzy, aby przenieść gdzieś mojego ojca, gdziekolwiek, poza Wybrzeże. – Napotykam jej spojrzenie i staram się opanować szloch, który chce wyrwać się z mojego gardła. – Do domu opieki.

– Mogę zapytać dlaczego? – Wypuszcza gwałtowny oddech. Obserwuje mnie ze smutkiem w oczach.

Uśmiech, którym ją obdarzam, jest słodkogorzki.

– Nie – odpowiadam miękko. – Ponieważ mam dość opowiadania kłamstw.

Otwiera usta, lecz szybko je zamyka. Moje powtórzenie jej własnej prośby sprzed lat wystarczy, aby załatwić sobie jej współpracę.

– Masz moje słowo.

– Dziękuję. – Łapię oddech, mając wrażenie, jakby zdjęto z mojej piersi przynajmniej część ciężaru. Wstaję, a Tayce robi zdesperowany krok w moją stronę.

– Nie możesz zostać? Chociaż na chwilę? Na zapleczu mam butelkę wódki. Mogłybyśmy jak za dawnych czasów pobujać się do największych przebojów Whitney Houston – szepcze i dodaje z gorzkim śmiechem: – Pamiętasz, jak tańczyłyśmy? Nie znoszę cholernej Whitney.

W kącikach oczu zbierają mi się łzy. *Nie będę płakać. Nie mogę sobie pozwolić na łzy.*

– Nie dam rady, ale zrobię co w mojej mocy, aby wkrótce ponownie do ciebie zajrzeć.

Odwracam się do wyjścia, ale Tayce chwyta mnie za ramię.

– Czekał. A co z otwarciem klubu w Halloween?

– Słucham?

– Kilka tygodni temu Tor był u mnie na retuszowaniu. Zaprosił mnie na otwarcie nowego klubu. Ma się odbyć w następny weekend. Wkrótce zostanie twoim pasierbem, prawda? – Odrzuca nas ta myśl, następuje krępujące milczenie, które dziewczyna w końcu przerywa: – Zjawisz się? Zobaczymy się wtedy?

Mój umysł koziółkuje parę przecznic dalej, do na wpół wybudowanego klubu, który nadal podpiera ją rusztowania. Musiałby wydarzyć się cud, aby został otwarty w następny weekend. Lecz nie mówię o tym Tayce. Zamiast tego potakuję i obdarzam ją pełnym napięcia uśmiechem.

– Postaram się zjawić, ale nie wiem...

Pozwalam niewypowiedzianej końcówce zdania zawisnąć między nami. *Nie wiem, czy Alberto mi pozwoli.* Potakuje ze zrozumieniem i przyciąga mnie w uścisku.

– Nic ci nie będzie, Rory. A gdyby coś ci się przytrafiło, zaopiekuję się twoim ojcem, okej?

– Dziękuję – szepczę, wtulając się w nią. Czuję od niej zapach perfum, które kupiłam jej w Boże Narodzenie. Pachnie jak szczęśliwe czasy. Gdy próbuję się odsunąć, ona przytula mnie mocniej.

– A jeśli coś ci się stanie – mówi, zniżając głos do groźnego szeptu. – Spalę do gołej ziemi każdy ich hotel, restaurację i bar. Nie zostanie nic.

Po plecach przebiega mi dreszcz. Wiem tak dużo o Tayce, a jednocześnie tak niewiele. Jestem pewna, że mówi śmiertelnie poważnie.

Nie chcę się całkowicie załamać, więc wypadam na jasne światła Devil's Cove i ruszam w pośpiechu do na wpół wybudowanego klubu. Gdy skręcam w alejkę, niemal zderzam się z wyłaniającym się z za brezentu Torem.

– Tutaj jesteś. – Otrzepuje swój elegancki garnitur. – Pomyślałem, że może masz na tyle zdrowego rozsądku, aby uciec.

– Twój ojciec raczej nie byłby z tego zadowolony.

– Nonsens. Zamieniłby cię na nowszy, gorętszy model. – Spogląda na moje puste dłonie. – A gdzie masz torbę?

O, *rety*. Przez myśl przebiega mi milion kłamstw. Jednak żadne nie jest dość przekonujące, aby wypróbować je na najinteligentniejszym z braci z klanu Cove.

– Ja...

Żółte światło rozlewa się na ścianie budowli i ląduje na twarzy Tora, który krzywi się w grymasie i podnosi dłoń, aby osłonić oczy.

– Ktoś prosi się o śmierć – warczy.

Odwracam się i podążam wzrokiem za blaskiem. W naszą stronę toczy się samochód. Długa łuna oświetla aleję.

Silnik gaśnie, przez co zanurzamy się w mroku i ciszy. Po chwili imponująca postać wyłania się z samochodu, a grymas Tora zamienia się w jego charakterystyczny uśmiech.

– Dwóch z trzech braci Dip podczas jednego wieczoru? Chyba śnię.

Serce podchodzi mi do gardła. *Angelo*. Instynktownie pragnę uciec. Zerkam w stronę alei, promenady i mrocznego oceanu, zastanawiając się, jak daleko zdołałabym dobiec, zanim by mnie złapano.

Lecz się nie ruszam. Wpatruję się w swoje stopy.

– Rafe tu jest?

– No przecież nie Gabe. Pewnie po niedzielnym obiedzie wpęłzył z powrotem do swojej jaskini.

– Lubię cię Tor, ale wiesz, że nie miałbym problemu ze zwichnięciem ci szczęki.

Opanowanie w jego głosie sprawia, że mój kręgosłup sztywnieje. Rzucam mu ukradkowe spojrzenie. W żółtym świetle latarni jego ciemne włosy błyszczą, a na wysokich kościach policzkowych pojawia się mroczny cień. Jego zielone oczy lśnią niczym szmaragdy. Ma na sobie czarny, wełniany płaszcz i szary golf. Wygląda schludnie, ale bije od niego siła.

To przerażające.

Nasze spojrzenia się krzyżują i natychmiast zwracam uwagę na zwirową drogę.

– Tak się składa, że... – rzuca Tor, wyciągając paczkę papierosów z kieszeni. – To nie jest postawa człowieka, który płaci podatki.

Odpala papierosa i wtyka go sobie w kącik ust.

– Przy okazji, niezły strzał w niedzielę. Nadal masz to coś.

– To jak z jazdą na rowerze – odgryza się Angelo, sprawiając wrażenie znudzonego. – Tego się nigdy nie zapomina.

Czuję mieszanekę rozdrażnienia. Mój żołądek zachowuje się, jak przy zatruciu pokarmowym. Jednak staram się zachować obojętny wyraz twarzy. Ten mężczyzna trzyma w swoich dłoniach moje życie. Nie pora zwracać na siebie uwagę czy bardziej go denerwować.

Tor wypuszcza kłęb dymu i wyciąga paczkę w stronę kuzyna.

– Nie palę.

Wbijam w niego wzrok. *Co? Na klifie palił.* W ten sposób zorientowałam się, że stoi obok mnie.

Wpatrujemy się w siebie. Jego rysy twarzy pozostają jak zwykle obojętne, lecz w oczach czai się coś mrocznego. Wyzwanie. Jakby chciał mnie bezgłośnie podjudzić, abym zdemaskowała jego kłamstwo. Unoszę podbródek, a on brew, jakby niemo nakłaniał mnie: *No dalej. Rzucam ci wyzwanie.*

Włoski na karku stają mi dęba, ale nie ze strachu. To dziwne, lecz odczuwam... podekscytowanie. Czuję się, jak w biurze Alberta, kiedy zostałam nakryta na próbie pozyskania wartościowych informacji na temat mojego kontraktu. Sekret pomiędzy wrogami.

Wątpię, czy traktuje mnie jak przeciwnika.

Mam wątpliwości, czy w ogóle o mnie myśli.

– Rafe oddałby wszystko za twój powrót do Dip – mówi Tor, przerywając moje pędzące myśli.

– Tak ci powiedział? – Uśmiecha się szyderczo Angelo.

– Jest moim najlepszym przyjacielem. Mówi mi wszystko. Wygląda na to, że się nad tym zastanawiasz.

– Tak?

– Tak. Zauważyłem, że spotykasz się z moim staruszkiem.

– Hmm.

– Widziałem wcześniej twojego Gulfstreama.

– Aha.

– Niczego z ciebie nie wyciągnę, co?

– Nie.

Tor rzuca niedopałek i wdeptuje go w żwir.

– Mam nadzieję, że o tym myślisz. Wiem, że w Londynie prowadzisz luksusowe życie, ale dobrze to przemyśl. – Poklepuje kuzyna po ramieniu. – Nawet jeśli tylko po to, aby wkurzyć Dantego.

– Kuszące.

Tor rusza w kierunku swojego bentleya i macha na mnie ręką. Podążam za nim, gdyż nie chcę zostać sam na sam z diabłem. Samotne obcowanie z potworem w ciemnej alejce nie jest dobrym pomysłem.

– Dobranoc, Auroro.

Jego głęboki głos sprawia, że moje ciało się rozpala. Pieką mnie uszy i przymykam na chwilę oczy.

Samochód Tora jest schronieniem, nawet kiedy dodaje gazu i wystrzeliwuje w alejkę.

Nie powinnam spoglądać w boczne lusterko, a mimo tego nie potrafię się pohamować.

Angelo stoi pod latarnią. Zanim znikamy za rogiem, widzę błysk jego zapalniczki. Kłęb dymu wydobywa się z jego rozchylonych ust.

O rety. Przepadłam.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Rory

– Alberto, proszę!

Wbijam paznokcie w skórę dłoni, które z każdą sekundą pocą się coraz bardziej. Niespokojnie przestępuję z nogi na nogę na perskim dywanie, a mój przyszły mąż nawet nie podnosi wzroku znad dokumentów, które przegląda. Odpędza mnie niczym natrętną muchę.

- Już nie masz obstawy.
- Przecież to nie moja wina.
- Moja również.
- Mieliśmy umowę, Alberto!

Złość w moim głosie sprawia, że z trzaskiem odkłada swoje pióro Montblanc i rzuca mi ostrzegawcze spojrzenie.

– Auroro – mówi niskim, ale stanowczym tonem. – Nie będę powtarzał. Nie pojedziesz dzisiaj sama do Devil’s Dip. Wszyscy są zajęci. Nie ma nikogo, kto mógłby cię tam zawieźć. Postaram się znaleźć kogoś na sobotę.

Bierze łyk whisky, nie zastanawiając się, że jeszcze nawet nie ma dziewiątej rano, a na dodatek jest środek tygodnia.

– Jednak nie daję gwarancji, że się uda – dodaje, zerkając znad brzegu szklanki.

Rozglądam się po półkach z książkami. Pierwsze wydania, po które nikt nigdy nie sięgnął, wpatrują się we mnie, a ja staram się powstrzymać od płaczu. Ostatnio udało mi się opanować tę sztukę do perfekcji.

To niesprawiedliwe, że karze mnie za porywczosć swojego bratanka. Max był jedynym pracownikiem Alberta, który ulegał moim prośbom, ponieważ chciał poprawić mi nastrój. Nikt w tej rodzinie nie poświęciłby swojego cennego czasu, aby wozić mnie do Devil’s Dip i czekać około godziny, bym odwiedziła ojca. A nawet

gdyby się zgodzili, to z pewnością nie puściliby mnie do niego samej. Nawet nie chcę sobie wyobrazić, jaki byłby przerażony, gdybym pojawiła się w obstawie Włocha o kwaśnym obliczu i z bronią zatknietą za pasek.

Nabieram powietrza i zastanawiam się nad jakimś rozwiązaniem, które nie skończy się tym, że Alberto zacznie mi wygrażać jednym z tych ciężkich, stojących na biurku przycisków do papieru.

Przypominam sobie zeszłą noc. Leżeliśmy w łóżku. Gdy się do mnie przytulał, jego wyrzucenie naciskało na mój krzyż. Gorący oddech o zapachu whisky połaskotał mnie w ucho, gdy wyznał mi, że nie może doczekać się nocy poślubnej.

Przesuwam wzrokiem na żyrandol i mamroczę przekleństwa pod nosem.

Jaki mam wybór?

Kulę ramiona, zaciskam szczękę, a potem odwracam się w jego stronę. Robię trzy kroki i nachylam się nad jego biurkiem. Jego uwaga pada na mój wycięty top. Wypuszcza z siebie delikatne chrząknięcie.

– Alberto. Co muszę zrobić, aby zobaczyć się dzisiaj z ojcem?

Te słowa brzmią dwuznacznie. Źle się z tym czuję.

– Być może moglibyśmy dojść do... porozumienia.

Przesuwa się w skórzanym fotelu i naciera na mnie groźnym spojrzeniem.

Jego twarz przybiera pochmurny wyraz.

– Byłabyś o wiele bardziej ponętna, gdybyś nie była ubrana jak pieprzony włóczęga. – Odrzuca mnie jad zawarty w jego słowach. – Dlaczego pozwalasz, by twoje włosy tak się puszyły? Wyglądają niczym ptasie gniazdo. I czy zabiłoby cię, gdybyś nałożyła na usta odrobinę szminki?

Odczuwam wściekłość, przez co instynktownie kieruję swoje spojrzenie na przycisk do papieru.

Kusi mnie, by walnąć nim w czaszkę narzeczonego, a tymczasem jego uwagę odwraca coś nad moim lewym ramieniem.

– Angelo. – Odchrząkuje i prostuje się z delikatnym zażenowaniem.

To chyba jakiś żart.

Przez kilka chwil stoję z zamkniętymi oczami, opierając się całym ciężarem o biurko. *Czy ten facet zawsze musi się gdzieś czaić?*

Głęboko wciągam powietrze i odwracam się, napotykając zniesmaczony uśmiech Angela Viscontiego. W ciągu kilku ostatnich dni zdołałam go trochę poznać, więc powinnam się już tego spodziewać. Ja sama już prawie przywykłam do tego, w jaki sposób rozpala moją skórę i sprawia, że mój żołądek zaciska się w niepewny supeł.

Lecz w chwili, gdy przenosi spojrzenie z Alberta na mnie, uświadamiam sobie, że się okłamuję. Kompletnie do tego nie przywykłam. Dzisiaj spogląda na mnie obojętnie i pogardliwie. Jakby wszedł do biura i przyłapał służących na sprzeczce kochanków. Lecz nie mogę oderwać od niego wzroku. Gdy przyglądam mu się intensywnie, odkrywam zupełnie inną osobę pod tą powierzchowną lekceważącą postawą. Pulsująca szczeka. Drgające nozdrza.

Angelo jest zdenerwowany.

Odpycha się od futryny i robi trzy kroki do przodu. Rzuca dokumenty na biurko z takim rozmachem, że rozlega się huk, jakby papiery ważyły tonę.

– Oto nazwiska, o które prosiłeś.

Skórzany fotel starego Viscontiego trzeszczy pod jego ciężarem.

– *Grazie.*¹³

Angelo się nie porusza. Przenosi uwagę na Alberta i przyspila go tak mrocznym spojrzeniem, że natychmiast czuję ulgę, że nie jest skierowane do mnie. Przez dłuższą chwilę pozostaje nieruchomy i milczący. Wisi nad swoim wujkiem niczym chmura gradowa. Patrzę na nich, a z każdą sekundą mój puls boleśnie przyspiesza.

Boję się oddychać.

Po raz pierwszy widzę Alberta... tak małym. Rzucany przez bratanka cień go pochłania. Nagle nie jest już największym szefem mafii, który siedzi u szczytu stołu, żądając posłuszeństwa swoim grzmiącym głosem. Już nie straszy ogromną sylwetką. Przez tę ulotną chwilę nie wygląda jak Wszechmocny Alberto, który rozkazuje mi paść na kolana i przykuć się do siebie kontraktem. Wiem, że pęknie.

Przez moment nie boję się go.

To on przerywa napięcie. Zerka w kierunku drzwi i przez jego twarz przebiega wyraz zakłopotania.

– Wszystko w porządku, dzieciaku?

Mija chwila nim Angelo zabiera dłonie z biurka i wyprostowuje się.

W powietrzu aż skwierczy napięcie. Czuję drażniącą wysypkę pod kołnierzykiem. To wydaje się szalone. Poznałam wielu członków mafii, ale żaden z nich nie przyprawiał mnie o takie podenerwowanie jak Angelo. Czuję się, jakbym stała na krawędzi klifu i znowu mogła posmakować niebezpieczeństwa.

– Auroro. – Podskakuję na dźwięk swojego imienia. – Ja zawiozę cię do Devil's Dip.

– T...ty? – Dzwoni mi w uszach.

Rzucam szybkie spojrzenie narzeczonemu i zauważam mocny rumieniec wypełzający na jego szyję.

– Wybieram się w tamtą stronę.

Angelo wychodzi z pokoju, nawet się za siebie nie oglądając. Stoję zawieszona w próżni pomiędzy dwoma mężczyznami, z których każdy trzyma w dłoniach połamane fragmenty mojego życia.

Alberto może zrujnować życie mojego ojca.

Angelo zna wszystkie moje grzechy.

Odwracam się do narzeczonego i mu się przyglądam. Instynktownie chcę prosić go o pozwolenie, lecz przełykam to pytanie w małym akcie nieposłuszeństwa. Zanim podnosi na mnie wzrok, wpatruje się przez chwilę w miejsce, w którym znajdował się Angelo.

Po chwili kiwa głową. Jest to tak nieznaczne skinienie, że gdybym mrugnęła, przeoczyłabym je.

– Dziękuję – wzdycham, ale cichutko i w połowie drogi do drzwi, więc wątpię, czy zdołał je usłyszeć. Serce wali mi jak szalone. Biegnę korytarzem, wypadam przez drzwi wejściowe i zatrzymuję się na schodach.

Angelo czeka oparty o maskę swojego samochodu. Ręce ma wciśnięte w kieszenie płaszcza i intensywnie wpatruje się w jakiś punkt w oddali. Rozczarowanie zaczyna przejmować władzę nad moim wcześniejszym podekscytowaniem.

Czy mówił na poważnie? Czy jestem tylko pionkiem w dziwacznej grze o władzę, jaką prowadzi z wujem?

Zanim udaje mi się zebrać na odwagę, aby go o to zapytać, odpycha się od maski i podchodzi do miejsca pasażera. Przytrzymuje mi otwarte drzwi.

– Wskakuj.

Nie trzeba mi powtarzać dwa razy. Pędzę schodami. Czuję płomień jego przymrużonych, śledzących moje ruchy oczu. Szybko wślizguję się na miejsce pasażera, obawiając się, że zmieni zdanie.

Mocno trzaska drzwiami. Pogrążam się w ciszy. Staram się ignorować ogarniający mnie jego ciepły, męski zapach – mieszankę skórzanej tapicerki i płynu po goleniu o dębowym zapachu. To potęguje moje doznania, przyprawiając mnie o ciarki. Czuję, jak wyostrajają się moje zmysły.

Niebezpieczeństwo staje się nieuniknione.

Samochód osiada, gdy Angelo wślizguje się na miejsce kierowcy. Wtedy jeszcze bardziej zaczynam żałować swojego pośpiechu. Eleganckie i sportowe wnętrze pojazdu sprawia wrażenie bezgranicznie ciasnego w chwili, gdy zatrząskują się za nim drzwi. Z perspektywy czasu zaczynam się zastanawiać, czy może nie powinnam była poczekać z odwiedzinami u ojca do soboty. Dopóki Alberto nie znalazłby mi do obstawy kogoś bardziej... odpowiedniego.

Przełykam gulę w gardle.

Silnik budzi się do życia i mruczy niczym tygrys. Składam dłonie na kolanach i skupiam wzrok na samotnej kropli wody sunącej środkiem przedniej szyby. Nie śmiem nawet spojrzeć na mężczyznę, który emanuje takim potężnym gniewem, że na oknach zaczyna zbierać się para.

– Wiesz, że bycie dziwką jest...

– Grzechem – wypalam zbyt głośnym tonem. Wzdrygam się, odchrząkuję i zniżam głos. – Tak. Wiem.

Zapada cisza. Czuję, jak moja twarz oblewa się szkarłatem. Orientuję się, że był świadkiem mojej desperackiej próby flirtu z narzeczonym, co oznacza, że widział jak złośliwie zostałam upokorzona. *Jezu, ale żenada.* Czy zgodził się zawieźć mnie do ojca z litości? Nie sprawia wrażenia osoby pełnej empatii.

Wbija kciuki w kierownicę i dodaje gazu, wyjeżdżając z terenów Viscontich z prędkością przeznaczoną dla kierowcy Formuły 1. Zagryzam wargę. Staram się zachowywać obojętnie, jakbym była przyzwyczajona do podróżowania z taką szybkością.

– Zamierzałem powiedzieć, że jest nieatrakcyjne.

Frustracja chwyta mnie za gardło. Zemdleję, jeśli nie wypuszcze powietrza z płuc.

– Nie jestem dziwką.

– Nie jesteś też nieatrakcyjna.

Zamieram.

Co?

Gdy tylko moje serce decyduje się zacząć ponownie bić, rzucam mu ukradkowe spojrzenie. Wpatruje się prosto w drogę, z tak mocno zaciśniętą szczęką, że na pewno nie wymsknie mu się żadne niechciane słowo. Moja wyobraźnia płata mi figle. Z pewnością to był tylko odgłos nisko wiszącej gałęzi, która drapie o przednią szybę albo przejeżdżający samochód z grającym zbyt głośno radiem.

To był jedynie pokręcony komplement z ust Angela Viscontiego.

Lecz mimo że jego następny komentarz jest cichszy od szeptu, słyszę go wyjątkowo wyraźnie.

– Co ma na ciebie?

Wpatruję się przed siebie i wbijam wzrok w otwierającą się ze zgrzytem bramę z kutego żelaza. Przed nami odsłania się nadbrzeżna droga.

Co ma na ciebie? Nagle uświadamiam sobie, że Angelo ma na mnie więcej niż narzeczony.

Muszę się koniecznie dowiedzieć, co dokładnie wie.

Prostuję plecy i wycieram spocone dłonie o legginsy firmy Lululemon. Próbuję poruszyć ten temat.

– Ty też masz różne rzeczy na ludzi.

Unosi brew, czekając, aż rozwinę swoją wypowiedź. Staram się opanować zdenerwowanie.

– Słyszałam o twojej usłudze telefonicznej. To dlatego zabiłeś Maxa?

Na jego ustach pojawia się uśmiezek, który podkreśla jego kości policzkowe.

– Przepraszam, jeśli krew zaplamiła twoją małą, ładną sukienkę – rzuca. Po czym taksuje mnie wzrokiem. Chłodnym spojrzeniem obdarza lok, który nakręcam na palce, zsuwa wzrok niżej, aż spoczywa na moich piersiach. Szybko przerywa wpatrywanie się we mnie, ale mimo to pozostawia mnie bez tchu.

Skupia się na drodze i skręca ostro w kierunku Devil's Hollow.

– Wygląda na to, że ubierasz się w ten sposób tylko wtedy, gdy czegoś chcesz, Sroczo.

Zamieram.

– Sroczo?

Posyła mi kolejny szyderczy uśmieszek. Myśli, że ciągnie mnie do błyszczących przedmiotów, takich jak ostatnia wola narzeczonego czy perłowy naszyjnik Vittori. Nie odgryzam się, ponieważ nie mogę pozwolić, aby krążące w moich żyłach rozdrażnienie odciągnęło mnie od prawdziwego celu.

– Anonimowi Grzesznicy, zgadza się? – rzucam. – Jak to działa?

– Dlaczego pytasz? – Marszczy brwi.

– Po prostu mnie to ciekawi. Widziałam wizytówki i...

Przerywa mi jego mroczny, niski śmiech. Bez wątpienia jest podszyty złymi intencjami.

– Dzwonisz na ten numer.

Spuszczam głowę. *O kurczę.*

Gdy znowu się śmieje, zdaję sobie sprawę, że wypowiedziałam swoje myśli na głos.

– Nie martw się. Żaden z twoich grzechów nie jest na tyle interesujący, abyś znalazła się na moim celowniku.

– Może nie jestem taka niewinna, na jaką wyglądam – odgryzam się. Natychmiast żałuję swojego wybuchu. *Cholewka.* Dlaczego po prostu nie ulżyło mi, że nie wie nic o mojej obsesji na punkcie tej gorącej linii? Przygląda mi się w protekcyjny sposób. Czuję się, jakbym była dzieckiem. Kusi mnie, aby udowodnić mu, że jest na odwrót.

– Pomyślmy. Jesteś dwudziestojednoletnią dziewczyną, która przeklina, używając słowa kurczę. Najgorszy czyn, jakiego się dopuściłaś, to kradzież naszyjnika Vittori. Zresztą już o tym wiedziałem. A mimo to wciąż ci to tak bardzo na sumieniu, że aż chcesz rzucić się z klifu.

– Nieprawda. – Zaciskam dłonie w pięści.

Jego gorące i bezlitosne spojrzenie przypala mi policzek. Gdy próbuję je odwzajemnić, moje serce zamiera.

– Jesteś niegrzeczną dziewczynką, Auroro?

Przełykam ślinę. W jego oczach tańczy mroczne rozbawienie, lecz ton jego głosu zdaje się być złowrogi. Słysząc w nim insynuację, która rozpala ogień między moimi udami.

– Czasami.

Zatrzymuje samochód przed kościołem i gasi silnik, przez co pogrążamy się w ciszy. Słyszę tylko swój płytki oddech oraz czuję na sobie jego spojrzenie.

Cień żartu w jego oczach dawno zniknął.

– Lubisz być zła?

Nasze spojrzenia się krzyżują. Potakuję powoli i lekko.

Wypuszcza powietrze z płuc, a następnie przeciąga dłonią po włosach. Tym ruchem pokazuje kawałek opalonego ciała nad spodniami. Ten obraz sprawia, że nagle zastanawiam się, co jeszcze kryje się pod tym drogim garniturem.

– Wróć za godzinę – rzuca.

Twarz pali mnie z frustracji i zażenowania. Odpinam pas, a następnie łapię za klamkę.

– Czy będziesz mi towarzyszył?

– Jesteś niegrzeczną dziewczynką, więc sama dasz sobie radę.

Zamieram. Zgrzytam zębami, starając się powstrzymać od rzucenia riposty. Sięgam do drzwi, lecz jego dłoń zaciska się wokół mojego nadgarstka.

O kurczę.

Wstrzymuję oddech i zmuszam się, by na niego spojrzeć. Jego wzrok jest niespokojny niczym burza z piorunami widoczna na bezgwiezdnym niebie.

– Bez problemu mógłbym poznać każdy twój sekret.

Mrozi mi krew w żyłach.

– Lecz tego nie zrobisz.

– Ale mógłbym. – Wskazuje głową w kierunku budki telefonicznej. Mojej budki. – Wiem, skąd dzwonisz. Wyśledzenie cię to była bułka z masłem.

Mój oddech przyspiesza. Czuję się rozdarta. Nie wiem, czy błagać go, aby nie wysłuchiwał moich grzechów czy wyrwać się spod jego dotyku.

Zaciska mocniej palce na moim nadgarstku. Tym sposobem eliminuje drugą opcję.

Wbijam paznokcie w dłoń i przełykam ślinę.

– Czego ode mnie chcesz?

– Grzechu.

– C...co? – Mrugam.

– Wyznaj mi jakiś swój grzech, Auroro – rzuca. Jego głos jest lepki i gęsty niczym miód. Można by się w nim rozsmakować. Na moment zamykam oczy i odgradzam się od tej pokręconej przyjemności.

– Mówisz poważnie?

– Śmiertelnie.

Próbuję pozbierać myśli. Zagryzam dolną wargę. Z jakiegoś powodu odczuwam pragnienie, aby powiedzieć mu coś treściwego. Nic złego, lecz wystarczającego, aby udowodnić mu, że nie jestem skończoną idiotką, która używa jako przekleństwa słowa „kurczę”.

– W zeszłym tygodniu ukryłam się w garderobie Alberta i wycięłam dziurki w kieszeniach jego wszystkich garniturów. – Moje spojrzenie napotyka na beznamienne oblicze Angelo. – Takie malutkie, wielkości centa. Lecz wystarczająco duże, żeby cztery razy w ciągu tygodnia zgubił kluczyki do samochodu.

Przytłaczająca cisza zapanowuje między nami. Wydaje się niczym niekończąca się otchłań. Słyszę bicie własnego serca i szum krwi w uszach.

Po chwili ciszę przerywa jego śmiech. Wspaniały, gardłowy śmiech, który mnie rozpala. Nie mogę oderwać od niego wzroku. Twarde rysy jego twarzy miękną, a dołek w podbródku pogłębia się pod wpływem jego szerokiego uśmiechu. Śmieje się, jak wtedy w jadalni, chwilę przed tym, zanim zabił Maxa. Pragnęłam usłyszeć ponownie ten dźwięk.

To bolesne, że jest taki przystojny.

Muszę wysiąść z jego samochodu, zanim stracę rozum. Pozwala mi się wyrwać z własnego uścisku. Wskakuję na drogę i ruszam w kierunku lasu. Cały czas czuję na sobie jego spojrzenie.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Angelo

Jeśli chodzi o kobiety, mam swoje zasady. Lecz wszystkie da się sprowadzić do jednego słowa:

Nie.

Nie posuwaj wariatek.

Nie pozwalaj im zostawać na noc.

I pilnuj się, aby nie zostawiły niczego, co wymagałoby zwrócenia następnego dnia.

Wielka kropla deszczu uderza o przednią szybę, a chwilę później kolejne. W końcu łączą się i zasłaniają mi widok idealnego tyłeczka Aurory, która żwawo oddala się od mojego bugatti.

A, i jeszcze kolejna zasada. Nie pożeraj wzrokiem narzeczonej wujka.

Z moich ust wyrywa się gorzki śmiech. Nie mogę w to uwierzyć.

Duży Al nawet nie zdaje sobie sprawy, jakim jest pieprzonym szczęściarzem. Okazuje się, że jego najnowsza panienka jest czymś więcej niż tylko ucztą dla oka. To nieczyste sumienie uwięzione w pięknym, sprężystym, upartym ciele. Jest cholernie podniecająca, a fakt, że uważa drobną kradzież czy radosną zabawę nożyczkami za wymagające wyznania Anonimowym Grzesznikom dodaje jej uroku.

Zerkam na stojącą naprzeciwko kościoła budkę telefoniczną, a potem na swoją komórkę. Odnalazłbym jej połączenia na gorącą linię w przeciągu kilku sekund. Mógłbym to zrobić dla zabicia czasu, czekając, aż wyłoni się z rezerwatu.

Bawię się tym pomysłem przez kilka minut, obracając iPhone'a pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym. Mój penis drga na myśl, że mógłbym osiąść jakąś informację, nieważne jak trywialną, która by ją zmartwiła. Być może udałoby mi się ją przekonać, że pokuta za grzechy jest lepsza niż ich wyznawanie.

Może pozwoliłaby mi się ukarać. Przerzuciłbym ją przez kolano, ściągnął z niej te nieprzyzwoicie obciste legginsy i dał porządnego

klapsa.

A może przez nakręcanie na palec tych złotych loków, których tak nie znosi mój wujek, wyciągnąłbym z niej kolejne trywialne wyznanie i...

Jasna cholera. Uderzam w kierownicę, próbując wybić sobie z głowy te myśli. Czuję ból penisa, który napręża się w spodniach. Jakbym był cholernym uczniakiem, który nie potrafi zapanować nad swoimi potrzebami.

Weź się w garść, Angelo. Jestem trzydziestosześcioletnim mężczyzną, który przygląda się pożądliwie o połowę od siebie młodszej dziewczynie. *Nie jestem swoim cholernym wujkiem.* Lubię sobie wyobrazać, że nie posiadam sadystycznego genu, jaki cechuje Viscontich z Cove. Dla nich kobiety są walutą. Czymś, co można kupić, sprzedać i wymienić. Alberta rozpierała dumą, gdy pochwalił się, że jego najnowsza z licznych narzeczonych jest dziewicą. Jakby to niesamowicie podnosiło jej wartość. To smutne, ale wszyscy obleśni starcy w jego Klubie Bogatych Chłopców byłiby pod wrażeniem. Z pewnością by mu zazdrościli.

Obraz mojego wujka wspinającego się na jej drobne ciało w noc poślubną powoduje, że natychmiast mi się kurczy. *Cholera.* Teraz czuję się podkrecony w inny sposób. Gorące, swędzące uczucie pod kołnierzykiem dokucza mi jak wysypka. Nie dalej niż dziewięć lat temu doświadczając takich emocji, prawdopodobnie rozpocząłbym wojnę domową, ale się zmieniłem.

Już nie jestem częścią tego świata. Jedynie go odwiedzam. Znalazłem się tu, aby doprowadzić pewne sprawy do końca.

Nie szukam dreszczyku emocji wiążącego się z przemocą ani nie serwuję zemsty, która smakuje o niebo lepiej niż zbrodnia. Nie wybucham z powodu drobiazgów i nie powoduję nieodwracalnych szkód.

Już nie jestem Bezwzględny.

Jest mi koszmarne gorąco. Zdejmuję marynarkę i rzucam ją na siedzenie pasażera. Poluźniam krawat. Pomimo że deszcz leje strugami, uchylam wszystkie okna, aby wpuścić do środka chłodne powietrze i pozbyć się z samochodu słodkiego zapachu waniliowych perfum. *Chryste, ona jest cholernie irytująca.*

Visconti są sadystyczni, ponieważ traktują kobiety niczym walutę. Kim w takim razie jestem ja?

Dla mnie są niczym.

Wilgotną dziurką, w którą mogę go zanurzyć. Ustami do ruchania. Lecz ja przynajmniej nie udaję, że znaczą dla mnie więcej.

Cyfrowy zegar na desce rozdzielczej pokazuje upływające minuty. Sprawdzam maile od udziałowców, informacje od asystentów i odczytuję spanikowane wiadomości z pytaniami o mój powrót. Przeglądam notatki zrobione na spotkaniach, którym powinienem przewodniczyć. Visconti Capital funkcjonuje beze mnie. Moje narożne biuro z widokiem na Hyde Park w głównej siedzibie w Londynie wydaje się takie odległe. Mam wrażenie, jakbym znajdował się o wiele dalej niż po drugiej stronie Atlantyku.

Gdy dostrzegam wyłaniające się spomiędzy drzew blond loki Aurory, ciskam komórkę na deskę rozdzielczą i przekręcam kluczyk w stacyjce. Porusza się zwawo, praktycznie podskakując w zabłoconych tenisówkach. Nadal mocno pada i gdybym był lepszym człowiekiem, wyszedłbym jej na spotkanie i osłonił ją przed deszczem swoją marynarką.

Lecz nie ma we mnie dobra. Obserwuję, jak kropelki deszczu zamieniają jej biały top pod rozpiętą bluzą w przezroczysty materiał, który odsłania zarys stanika.

Różowy. Koronkowy. *Oczywiście, że tak.* Założę się, że zawsze ma dopasowane do kompletu majteczki. Zapewne cała kolekcja jej bielizny jest słodka i głupiutka, tak jak śmieszne są jej złe uczynki. Ta dziewczyna nie poznałaby prawdziwego grzechu, nawet gdyby walnął ją prosto w twarz.

Boże, nie znoszę takich kobiet.

Gdy zbliża się do samochodu, nasze spojrzenia się krzyżują. Zwalnia, a po chwili zatrzymuje się. Przez chwilę stoi w światłach reflektorów, przestępując z nogi na nogę, jakby przypomniawszy sobie, że to ja ją podwożę i zastanawiała się, czy nie byłoby bezpieczniej wrócić do Cove na piechotę.

Po kilku sekundach dopada mnie zniecierpliwienie, więc naciskam klakson. Dziewczyna wydaje z siebie okrzyk i mamrocze pod nosem te swoje śmieszne przekleństwa. Zakrywam dłonią usta, aby ukryć szyderczy uśmieszek. Otwiera drzwi, a potem wciska się do środka.

Tak. Naprawdę jesteś złą dziewczynką.

Opony piszczą, gdy wykonuję pełny skręt i wyruszam w drogę powrotną do Devil's Cove.

– Czy twój ojciec to Stig z Wysypiska¹⁴?

Czuję, że zamiera.

– Słucham?

Zerkam we wsteczne lusterko, gdy tylko las znika za zakrętem.

– Żyje w lesie. Nikt nie mieszka w cholernym lesie.

– Skąd wiesz, że nikt nie mieszka w lesie? Nie jesteś burmistrzem Devil's Dip. – Wierci się na siedzeniu. – Założę się, że nawet nie wiesz, kto pełni tę funkcję w miasteczku.

Kolejny uśmiezek ciśnie mi się na usta i zagryzam od środka policzek, aby go pohamować. Jedyne, co złego potrafi ta dziewczyna, to odgryzanie się.

– Całujesz mojego wuja tymi ustami?

– Niestety.

Coś we mnie drga. Coś, czego nie chcę nazywać.

– Bystre kobiety nie sprawdzają się zbyt dobrze w Cosa Nostrze, Sroczo. – Odchrząkuję.

– Już się o tym przekonałam – mamrocze.

Ton jej głosu przyciąga mnie i natychmiast żałuję, że na nią patrzę. Wpatruje się wprost przed siebie, trzymając moją marynarkę rozłożoną na kolanach, a jej dłonie w roztargnieniu skubią wełniany materiał. Zapomniałem, że rzuciłem ją na miejsce pasażera, a ona nie wspomniała o niej, gdy wsiadała do samochodu. Teraz bez skrępowania używa mojej pieprzonej marynarki niczym koca. Jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie.

Moja dłoń zawisa nad deską rozdzielczą, ale nie podkręcam temperatury. Cofam rękę i ponownie kładę ją na kierownicy. Zgrzytam zębami tak mocno, że aż mnie bolą.

– Jest strażnikiem leśnym.

– Słucham?

Aurora szpera w torebce i wyciąga tabliczkę czekolady. Odwija sreberko i obserwując mnie wielkimi, sarnimi oczami, bierze kęs. Jeśli robi to celowo, to odnosi zamierzony skutek. Przesuwam się na siedzeniu, aby uspokoić małego w spodniach.

– Mój ojciec jest strażnikiem w rezerwacie Devil's Preserve. A właściwie był. Przeszedł już na emeryturę, ale nadal mieszka w chatce nad jeziorem.

– Strażnikiem czego? Kilku gównianych drzew i bagna? – Marszczę brwi.

– Mówisz poważnie? – wybucha. – Devil's Preserve jest światowej klasy rezerwatem przyrody. Znajduje się w nim ponad trzysta różnych gatunków drzew i jest domem dla trzynastu par bielików amerykańskich. Wiesz, jakie jest jedyne miejsce na świecie, które zgłosiło więcej siedlisk tych ptaków niż Devil's Dip? Park Narodowy Yellowstone. A wiesz co jeszcze?

Pochyla się do przodu, by zacisnąć dłonie w pięści na mojej marynarce.

– Rezerwat jest również domem dla innych rzadkich gatunków ptaków. Dla łabędzia trąbiącego, rybołowa, morzyka marmurkowego. Nie wspominając o innych zwierzętach. Występują tu wydry, pумы, szare wilki. – Opada na siedzenie i w zdenerwowaniu wcina kolejny kawał czekolady. – To coś znacznie więcej niż kilka drzew czy bagno.

Deszcz bębni o przednią szybę. Z radia dochodzą szумы.

I nagle wszystko nabiera sensu.

– Alberto chce wybudować hotel w tym rezerwacie.

Aurora sztywnieje, po czym odwraca wzrok i wygląda przez boczną szybę. Wyciera ją nasadą dłoni, gdyż zaparowuje od jej płytkiego oddechu.

Pograżamy się w milczeniu. Ponownie przenoszę uwagę na drogę. Dudni mi w głowie. Kilka miesięcy temu Duży Al zadzwonił do mojego biura z prośbą o pilne spotkanie. Nie miałem ochoty bez powodu lecieć na Wybrzeże, więc on zjawił się u mnie w Londynie, z zatkniętymi pod pachą projektami. Dante podązał za nim niczym wierny piesek. Rozłożył plany na biurku i grubym paluchem dźgnął w sam środek obszernego rezerwatu Devil's Preserve.

Wypoczynek na terenach zalesionych – powiedział, plując z podeksycytowania. – *Rosyjscy i saudyjscy turyści uwielbiają takie gówno.*

Zerknąłem na projekt, a potem na zegarek, by po chwili oznajmić im obu, że nie jestem zainteresowany ich pomysłem. Nie obchodzi mnie Devil's Dip, lecz wiem, jacy są Alberto i jego cwaniacki synalek.

Dam im palca, a wezmą rękę. Nim się zorientuję, jeden hotel w Dip zamieni się w dwa, a Devil's Dip stanie się terytorium klanu Cove, tak jak zawsze pragnął tego Dante.

A co, jeśli tak by się stało? Nigdy tu nie wrócę. Postąpiłbym właściwie, gdybym przekazał ziemię wujowi oraz jego synom i pozwolił im ją wykorzystać tak, jak tego chcą.

Jedynym powodem odmowy jest moja złośliwość, a także upór.

Kilka dni temu w palarni, Alberto ponownie poruszył ten temat. Przyznał, że kontynuują plany, lecz oczywiście nie w Devil's Dip, ale na północnym cyplu Devil's Cove.

Potakiwałem i chrząkałem we wszystkich właściwych momentach, mimo że wcale mnie nie obchodzi, co Alberto wyprawia w granicach Cove. Gdy o tym myślę, wydaje się dziwne, że już nie naciskał na wykorzystanie terenów rezerwatu i nie próbował wywierać na mnie presji. Zauważyłem, że jego zwyczajową zagrywką biznesową jest upieranie się przy swoim i oferowanie w zamian świata.

Tym razem zwyczajnie odpuścił. Dopiero teraz uświadamiam sobie, dlaczego tak się stało. Oszukał Aurorę, że rezerwat to jego terytorium i używa go jako wymówki, aby dostać się między jej nogi.

Moje kostki bieleją na kierownicy. Mógłbym wyznać prawdę i doprowadzić do zerwania zaręczyn. Mój umysł wędruje jednak w mroczniejsze miejsce. Jeśli wychodzi za Alberta, ponieważ pragnie ocalić cenny rezerwat przyrody, to co zrobiłaby dla mnie, gdyby się dowiedziała, że to ja mam tu prawdziwą władzę?

Czuję drganie w spodniach. *Cholera*. Nie marnowałbym czasu na wrabianie jej w małżeństwo. *Zamiast tego zmusiłbym jej cwane usteczka do pracy.*

Nagle jej wzrok spoczywa na mnie.

– Co cię bawi? – rzuca.

Uświadamiam sobie, że parsknąłem ze śmiechu i ciężko mi w to uwierzyć.

Przesuwam językiem po zębach. To, co wyprawia mój wujek to nie mój interes. Poza tym, bądźmy szczerzy, jeśli Aurora nie da mu tego, czego chce, kontrakt czy nie, po prostu się jej pozbędzie. Ta laska nie musi znać mojego zdania. Lecz ciężko mi się powstrzymać i nie poruszyć tego tematu.

– Wychodzisz za Alberta Viscontiego, aby powstrzymać go od wycięcia kilku drzew w rezerwacie. Jezu Chryste. – Przeczesuję palcami włosy i potrząsam głową. – Jesteś głupsza niż na to wyglądasz.

Czekam, aż się odgryzie, lecz uparcie milczy. Kącikiem oka dostrzegam, że jej różowe usta otwierają się i równie szybko zamykają. Wykręca ręce i odwraca się w stronę promenady Devil's Cove, która zamienia się w rozmytą smugę za oknem.

Nieważne. Nie obchodzi mnie, co robi ta laska. Nie interesuje mnie, czy poślubi mojego starego wuja, czy rzuci się z klifu.

Czuję swędzenie pod kołnierzykiem i rozpinam górny guzik. Do tej pory nigdy tego nie robiłem.

Jedziemy w milczeniu, aż docieramy do bramy posiadłości Alberta. Aurora prostuje się na siedzeniu i znowu zaczyna nawijać lok na palec.

– Więc, mamy umowę? – Odchrząkuje.

– Umowę? – Powoli przesuвам na nią wzrok.

– Hmm, moje telefony... nie będziesz ich słuchał, dobrze? Tak powiedziałeś?

Wjeżdżam na frontowy podjazd i gaszę silnik. Tak naprawdę przyglądam się jej dokładnie po raz pierwszy. Tym razem to nie są tylko rzucane skradzione spojrzenia znad szczytu stołu lub w barze.

Z takim wyglądem nigdy nie mogłaby zostać grzeszniczką. Ma za duże oczy. Każdy z jej godnych politowania sekretów wiruje w jej tęczęwkach o barwie ciepłej whisky. Jej skóra jest zbyt blada i doskonała. Najłżejszy grzech sprawiłby, że zabarwiłaby się pięknym odcieniem różu. Moje spojrzenie przesuwa się na jej pełne, rozchylone wargi. *I te pieprzone usta.* W samochodzie słychać jedynie jej ciche, płytkie oddechy.

Znajome uczucie rozchodzi się po moim ciele niczym paskudny wirus. Zagraża zasadom, do których tak ciężko się adaptowałem przez ostatnie dziewięć lat.

Nikogo nie oszukam. Moje zasady moralne są słabe niczym domek z kart. Jeśli Aurora wypuści z siebie więcej takich oddechów, z łatwością go zdmuchnie.

Wskaźnik na desce rozdzielczej wskazuje dziewięć stopni, ale w środku panuje cholerny zaduch. Żałuję, że moje bugatti nie jest

większe. Może wtedy nie czułbym uderzającego gorąca ani słodkiego zapachu jej perfum.

Zwijam dłonie w pięści, odwracam wzrok i wpatruję się w wytłoczone na środku kierownicy logo samochodu.

– Układ obowiązuje obie strony, Auroro. – Jej gorący, płytki oddech zamiera. *Dzięki Bogu.* – Co dostanę w zamian?

– Słucham?

Mój penis reaguje na jej szept.

– Nic na tym świecie nie jest za darmo. W jaki sposób zamierzasz kupić moje milczenie?

Powietrze jest tak gęste, że mógłbym wystawić język i go posmakować. *Co ty, do cholery, wyprawiasz Angelo?* Nie powinienem grać w takie gierki z narzeczoną wujka. Należałoby kopniakiem otworzyć drzwi, kazać jej się wynosić i wypchnąć ją z auta. Pozbyć się z samochodu tego pieprzonego waniliowego i czekoladowego zapachu, ciężkich oddechów i lśniących blond włosów, których kosmyki z pewnością będę odnajdywał wszędzie przez najbliższe kilka dni.

– Czego chcesz? – mówi niskim, zmysłowym głosem.

Do diabła.

Przesuwam wzrok z kierownicy na nią. Obserwuję jej głupią, dziewczęcą twarz i wielkie bursztynowe oczy, które są teraz szeroko otwarte.

Żar wpełza pod moją skórę niczym swędząca wysypka, której nie mogę się pozbyć. Rozpiera mnie duma. Pocieram szczękę. Potem śmieję się lekko i gorzko, zupełnie niepodobnie do siebie.

To jest niedorzeczne. Zjadam takie jak ona na śniadanie. Tyle, że nie mogę tego zrobić w stosunku do dziewczyny wujka. *Nawet, jeśli tym wujem jest Alberto i nawet, jeśli dziewczyna wygląda jak...*

Nie chwycę jej za kark ani nie przyciągnę bliżej, aby sprawdzić, jak smakują te miękkie usta. Nie mogę też wpleść dłoni w jej włosy ani kąsać jej szyi zębami, aż wyjęczy te wszystkie swoje głupiutkie sekrety do mojego ucha.

– Wsiadaj.

Aurora się nie porusza. Jeśli chwilę dłużej posiedzę z nią w samochodzie, poddam się albo przebiję pięścią deskę rozdzielczą. Albo jedno i drugie. Zatem otwieram drzwi, wysiadam i ruszam w

kierunku domu. Spływający po mnie deszcz skwierczy na mojej skórze, lecz nie chłodzi mnie w żaden sposób. Słyszę za sobą dźwięk zatrząskiwanych drzwi.

– Czekaj! – Miękki głos Aurory niesie wiatr. Żwir chrzęści pod jej tenisówkami, gdy stara się ze mną zrównać. – Angelo, proszę, nie...

Spoglądam w górę i uświadamiam sobie, dlaczego urwała w pół zdania. W drzwiach wejściowych czai się jej narzeczony, mój wujek. Przenosi wzrok ze mnie na Aurorę, trzyma dłonie na swoim ogromnym brzuchu i marszczy brwi.

– Jezu Chryste, dzieciaku – mamrocze. – Mogłeś dać dziewczynie parasol.

Dziewczynie. Spoglądam w bursztynowy blask, który roztacza się we foyer za jego plecami i opieram się o kolumnę podpierającą dach ganku.

– Nie jestem twoim współpracownikiem, Alberto.

Przebiega po mnie czujnym wzrokiem.

– Oczywiście, oczywiście. Doceniam twoją pomoc w trudnej sytuacji. Jęczałaby cały tydzień, gdybym nie pozwolił jej spotkać się z ojcem.

Aurora powoli wspina się po schodach. Zerka na narzeczonego, a potem na mnie. W jej oczach widać czystą panikę. Wsuwam dłonie do kieszeni i wytrzymuję jej spojrzenie.

– Kochanie, wróciłaś. – Alberto przekracza próg i przyciąga do siebie jej szczupłe ciało. – Daj buziaka narzeczonemu.

Czuję ciężkie uderzenia swojego serca, ale staram się zachować obojętny wyraz twarzy. Jakby zupełnie mnie to nie obchodziło. Gdy Aurora się cofa, uścisk Alberto się wzmacnia.

– Słucham? – mówi, delikatnie się śmiejąc.

– Całus, Auroro.

Spogląda na mnie, a ja nie odrywam od niej wzroku. Nie pomagam jej. *Sama się wpakowałaś w to bagno, to sama się z niego uwolnij.*

Alberto pochyła się i przyciska swoje pomarszczone usta do jej warg. Moje schowane w kieszeniach dłonie zaciskają się w pięści, lecz zmuszam się, aby patrzeć na to przedstawienie. Czuję się, jakbym odbywał karę za własne grzechy. Aurora odskakuje od narzeczonego, ale on trzyma jej dłonie pod dziwnym kątem i przyciąga ją do siebie. Mijają wieki, zanim się odsuwa.

Czuję nagłą potrzebę uderzenia czegoś. Jeśli w tej chwili nie opuszczę ganku, to strzelę wujka prosto w twarz. A to wywoła wojnę, na którą nie mam ochoty.

Odpycham się od kolumny, a potem truchtem zbiegam ze schodów.

– Zostawię zakochane gołąbki same – rzucam uszczypliwym tonem.

– Jeszcze raz dziękuję, dzieciaku. – Za każdym razem, gdy mnie tak nazywa, mam ochotę wybić mu zęby.

Gdy maszeruję do samochodu, deszcz łaskocze mnie pod rozpiętym kołnierzykiem.

Nie mogę się powstrzymać i w pewnej chwili się zatrzymuję. Odwracam się na pięcie, by rzucić wujowi przez strugi piekielne spojrzenie.

– Będę woził ją do Devil’s Dip co środę i sobotę.

– Co? – Alberto podnosi wzrok znad piersi Aurory.

– Twoją narzeczoną. Będę zabierał ją na wizyty u ojca.

– Dlaczego? – Mruży podejrzliwie oczy.

Wpatruję się w szare niebo majaczące nad posiadłością Viscontich.

– Jest coś, czym muszę się zająć w Devil’s Dip. Miejscowa dziewczyna może mnie oprowadzić i mi pomóc. W zamian podrzucę ją dwa razy w tygodniu do ojca.

Rzuca mi groźne spojrzenie, a potem na jego twarzy pojawia się przebiegły uśmiezek.

– Wracasz, dzieciaku?

Z piersi wyrywa mi się jęk. *Nie ma mowy.* Lecz nie mówię tego na głos. Nabieram pełny haust zatechłego powietrza i zaciskam szczękę.

– Rozważam taką opcję.

Jego brzydki i zniekształcony śmiech przedziera się przez burzę. Macha ręką, odwraca się, a po chwili wchodzi do domu. Ja również się odwracam. Szukam klucza w kieszeni i wydaję go.

Wsuwam go pomiędzy kciuk a palec wskazujący i przeciągam nim po blasze należące do wujka Roll’s Royce’a Phantoma.

Wsiadam do samochodu i nastawiam wycieraczki na największe obroty. Unoszę wzrok i dostrzegam stojącą na ganku Aurorę. Zapada

zmrok, a blask z *foyer* zamienia ją w ciemną sylwetkę. Gdy zawracam, omiatają ją reflektory samochodu.

I po raz pierwszy, od kiedy ją poznałem, widzę jej uśmiech.

I bardzo mi się on podoba.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Angelo

Wychodzę z windy. Na widok rozciągającej się przede mną jaskini ogarnia mnie nostalgia. Taka, która zostawia pustkę w sercu, ale wywołuje też lekki uśmiech na twarzy. Wilgotny i metaliczny zapach przypomina mi jak w dzieciństwie bawiliśmy się tutaj w chowanego. To były czasy na długo przed tym nim Castiel i pozostali bracia Hollow zamienili jaskinię w najbardziej prestiżowy klub świata.

Whiskey Under the Rocks¹⁵. Ten lokal to pogrzebany głęboko pod skałami sekret Devil's Hollow. Zupełnie nie przypomina efekciarskich rozrywek, jakie oferuje Devil's Cove. Tam pieniądze załatwią wejście do każdego klubu czy kasyna. Wstęp do tego miejsca mają tylko zaproszeni. Raz w miesiącu Rafe, Tor i Benny urządzają wspólny wieczór pokerowy. Łączy ich partnerstwo, które w przeciągu ostatnich lat przebiegało nadzwyczaj harmonijnie. Tor sprowadził najlepszych pokerzystów ze swoich kasyn w Devil's Cove. Reputacja Rafe sprawia, że hazardziści błagają o rozgrywkę z nim. A Benny, drugi najstarszy z braci Hollow, jest architektem imprezy. Załatwia wszystko, począwszy od najpiękniejszych rosyjskich prostytutek po najczystsza peruwiańską kokainę. Nie ma niczego, co znajdowałoby się poza jego zasięgiem. Jest w stanie zapewnić swoim gościom najprzedniejszą zabawę.

Dziś wieczorem nie planowano zwyczajowego pokera. Jednak Rafe w ostatniej chwili zdecydował się zebrać nas razem. Spotkanie w kościele ojca oznaczało, że przez tydzień zostanie w mieście. Nie jestem zapalonym hazardzistą i nie zjawiłem się tutaj, aby wesprzeć swojego brata czy kuzynków, których darzę szczerą sympatią. Znalazłem się w klubie, ponieważ klany Cove i Hollow chcą porozmawiać o interesach. Bez wątplenia mają zamiar renegocjować warunki umowy dotyczące użytkowania portu.

Przechadzam się wąskim tunelem i przebiegam palcami po skalistych ścianach, przypominając sobie wszystkie godziny spędzone tutaj w dzieciństwie. Docieram do głównej Sali, gdzie nie mogę powstrzymać się od śmiechu. To zupełnie odmienione miejsce. Odsłonięte ściany jaskini nadal ociekają wilgocią, lecz wbudowane w wyszczerbiony sufit żyrandole oświetlają moje wszystkie dawne kryjówki. Stanowiska ustawiono pod ścianami, a w barze, który wbudowano w najdalszej wnęce, sprzedaje się alkohol z najwyższej półki, włączając w to oczywiście produkowaną kilka jaskiń wyżej whisky.

Znajome warknięcie odbija się echem w pustym klubie. Spoglądam w lewo i leniwy uśmiezek wypełza na moje usta. W sali pojawia się Tor, który od razu wciela się w rolę wielkiego szefa nocnego klubu. Doskonale się przy tym spisuje. Ze znajdującej się za moimi plecami windy dochodzi szum i wylewa się z niej donośny rosyjski głos.

– Castiel, co, do cholery, mam robić przez następne trzy godziny?

Taksuję wzrokiem długowłosą blondynkę w nieprawdopodobnie obcisłej sukni. Mój kuzyn Cas wypada z windy z wściekłym wyrazem twarzy. Wychwytuje moje spojrzenie, mamrocze coś po włosku, a następnie obraca się na pięcie.

– Proszę – rzuca zjadliwym tonem, wyjmując żetony z kieszeni i rzucając nimi pod nogi kobiety. – Idź pograć.

Ta krzyczy do niego coś po rosyjsku i wybiega wzburzona. Sądząc po znużonym spojrzeniu, jakie posyła mi Cas, zdołał już do tego przywyknąć.

– Sprzeczka kochanków? – Unoszę podbródek.

Czuję się przytłoczony.

– Bardziej wojna kochanków. Mój ojciec spoczywa na łożu śmierci i nie pozwala mi przejąć Smugglers Club, dopóki nie znajdę sobie żony. Uważa, że najlepsza będzie ta głupia rosyjska suka.

– Doszły mnie takie słuchy – mówię, zagryzając w rozbawieniu dolną wargę.

– Więc pewnie też słyszałeś, że jeśli nie ożenię się przed jego śmiercią, fabrykę przejmie zarząd inwestorów. – Potrząsa głową i poprawia spinki do mankietów. – Jak tak dalej pójdzie, zejść przed nim.

Poklepuję go po ramieniu.

– Skoro mowa o wujku Alfredo... Zamierzam odwiedzić go przed wyjazdem. Zawsze był dla mnie dobry.

– Tak – odchrząkuje. – Byłoby cudownie, gdybyś przy okazji mógł przycisnąć mu poduszkę do twarzy.

Z trudem przyznaję, że na te słowa w moim żołądku rozlewa się ciepło. Cas jest najstarszym z braci Hollow. Zawsze darzyłem go sympatią i podziwiałem jego smykałkę do interesów. Jest opanowany, skupiony na pieniądzach i własnoręcznie uczynił z będącej początkowo „napojem mafijnym” whisky Smugglers Club, światową markę. Na Wybrzeżu ma kilka ksywek. Silver Fox¹⁶, którą zawdzięcza dobremu wyglądowi w stylu George’a Clooney’a oraz swoim srebrnoszarym włosom i drugą – Mister Moonshine¹⁷. Odkąd sięgam pamięcią, eksperymentuje z nowymi miksturami alkoholowymi, za którymi przepadają członkowie mafii na całym świecie. Posiadanie butelki Smugglers Club z limitowanej edycji, uwarzonej osobiście przez Castiela Viscontiego, jest symbolem najwyższego statusu.

Ruszamy w kierunku baru i Cas nalewa nam whisky. Stukamy się szklankami i znad brzegu swojej dostrzegam jego połyskujące psotnie spojrzenie.

– Kiedy w końcu zawleczesz swój tyłek z powrotem na Wybrzeże i przejmiesz Devil’s Dip, to sam będziesz potrzebował żony.

– Nie dojdzie do tego.

– Do powrotu, czy do znalezienia żony?

– Jednego i drugiego.

Śmieje się, ale ja mówię śmiertelnie poważnie. Ledwo znoszę towarzystwo kobiet zostających u mnie na dłużej niż zajmuje im zaspokojenie mnie, a co dopiero jakaś na stałe. Nie tylko uważam pojęcie miłości za absolutną bzdurę, ale moim zdaniem kobiety są... nudne. Mają słabą wolę i nijaki charakter, zawsze zgadzają się z tym, co mówię i robią to, czego oczekuję. Od tego mam asystentów oraz pracowników. Potrzebuję twardej sztuki w sypialni i poza nią. A zwłaszcza w łóżku. Lubię ostrą zabawę, ale ten styl staje się nudny, jeśli partnerka leży na plecach i tylko się mu poddaje.

Do głowy wskakuje mi nieproszony obraz Aurory klęczącej przy moich kolanach z wypiętym, nagim tyłeczkiem i zaróżowioną twarzą. Zastanawiam się, czy byłaby nieruchoma i mi się poddawała,

czy wiałaby się pod dotykiem mojej dłoni. Czy krzyczałaby, tak jak tego pragnę?

Cholera jasna.

Grzmiący głos przerywa moje brudne myśli.

– Nie mogę znaleźć ci żony na całe życie, lecz mogę zaproponować ci jakąś na jedną noc.

Cas wzdycha. Odwracam się i dostrzegam Benny’ego, średniego z braci Hollow. Spaceruje po klubie z uwieszonym na ramieniu stadkiem półnagich kobiet.

– Jaki jest twój typ, *cugino*? – Puszczą do mnie oczko.

Z kręconymi włosami i niedostępna. Lecz nie odpowiadam na jego pytanie. *Od kiedy w jaskiniach jest tak gorąco?* Tylko się oszukuję. Wychylam resztę drinka, pochylam się nad barem i poluźniam krawat. Wiem, co mnie trawi niczym gorączka – myśl o dawaniu klapsów narzeczonej wujka. *Może powinienem dzisiaj kogoś bzyknąć?* Musiałbym znaleźć blondynkę o kręconych włosach i kazać jej szeptać sobie do ucha świńskie przekleństwa w stylu: „o kurczę”.

– Co cię tak bawi? – Cas unosi brwi.

Nie zdawałem sobie sprawy, że się śmieję. Potrząsam głową i odwracam wzrok w kierunku wyszczerbionego sufitu.

– Nic takiego, stary.

Nie chodzi o Aurorę. Po prostu Wybrzeże zawsze tak na mnie działa. Tracę tu rozum.

Cas zerka ponad moim ramieniem w stronę windy.

– Zaczynają napływać goście. Chodźmy. Prywatny pokój czeka. Możemy się w nim zaszyć, dopóki nie zjawią się pozostali.

Zmuszam się, by z nim pójść. Pomieszczenie urządzono w niszy mieszczącej się poza główną częścią klubu. Ustawiono w nim małe skupisko głębokich foteli dookoła niskiego stolika, a w rogu umieszczono prywatny bar. Zajmuję miejsce, a chwilę później pojawia się Rafe w otoczeniu swoich ludzi.

– Cholera jasna, Rafe – rzuca Tor, wyłaniając się zza niego i klepiąc go po plecach. – Dzisiaj jest sama rodzina. Nie musiałeś przyprować ze sobą kawalerii.

– Jestem ważnym człowiekiem, *cugino* – odgryza się Rafe, puszczając do mnie oczko i zajmując miejsce obok. Kiwa na swoich

ludzi, którzy zajmują wartę przy drzwiach. – Nie spodziewam się, że zrozumiesz.

Zanim Torowi udaje się rzucić ripostę, rozchodzi się dziwne rżenie i słychać kliknięcie bezpiecznika. Unoszę wzrok i na szyi jednego z ludzi mojego brata dostrzegam zaciśnięte grube ramie oraz przyłożoną do jego skroni broń. Jest złota, a wzdłuż cylindra ma wygrawerowanego złotego smoka. Wszyscy w pokoju zrywają się na nogi i wyciągają spluwy, a ja uśmiecham się, spoglądając na dno szklanki.

Wszędzie poznałbym tego paskudnego glocka.

Rozlega się szorstki głos Gabe'a.

– Twoja obstawa jest żalosna. – Rzuca mężczyzną niczym workiem kartofli, a pozostałych odpycha na bok.

Rafe wraca na fotel, spogląda na brata, który zajmuje miejsce obok mnie i pochyla się nad stołem.

– *Grazie*, dupku. Naprawdę musiałeś mnie tak upokorzyć przy całej rodzinie? – syczy.

Nie pamiętam, kiedy ostatni raz widziałem uśmiech na twarzy Gabe'a, lecz mogę przysiąc, że kąciki jego ust się unoszą, zanim podnosi szklankę do ust i za jednym zamachem wychyla whisky. Natychmiast zjawia się kelner i serwuje mu dolewkę.

– Mamy pełną beczkę śmiechu, kiedy w mieście zjawiają się bracia Dip, nieprawdaż? – Zerkam na zbliżającego się Dantego, który, jak zwykle, prezentuje się niczym żalosny palant. U jego boku kroczy szeroko uśmiechnięty Donatello, który taszczy pod pachą gruby stos dokumentów.

– Gdzie podziewa się wujek Al? – dopytuję, zerkając w stronę wejścia.

Spojrzenie Dantego staje się mroczne.

– Został w domu. Prawdopodobnie maca swoją małolatę. –

Wygląda koszulę i zanurza się w fotelu. – Teraz to ja zajmuję się większością spraw. Powinieneś przywyknąć do robienia interesów ze mną.

– Tatus w końcu dał ci klucze do królestwa? – pyta drwiąco Rafe. – Czy tylko pożyczył ci fotelik dziecięcy, abys mógł dzisiaj posiedzieć przy stole? Nie martw się, popilnuję, żebyś nie przegapił dobranocki.

Wszyscy przy stole wybuchają śmiechem. Z wyjątkiem Dantego. Rośnie napięcie pomiędzy nim a moim bratem. Nikt nie cierpi go bardziej niż Rafe. Mój brat zarzeka się, że lata temu przyłapał go na oszukiwaniu przy partyjce pokera. Jedynym powodem, dla którego nie wpakował mu kulki w łeb, jest fakt, że to brat Tora. Niechęć jest wzajemna, lecz nie z powodu tej feralnej nocy. Dante nienawidzi Rafe'a, ponieważ ten reprezentuje wszystko, o czym on marzy. Devil's Cove nigdy nie stanie się Vegas, a taki bandyta jak on nigdy nie zdobędzie władzy, jaką posiada Rafe.

– Już dobrze, dobrze – przerywa Donatello, zmuszając się do uśmiechu. – Przejdźmy do interesów, abyśmy mogli w końcu zagrać. Zamierzam odzyskać od was dużą kasę, dupki. Zacznę pierwszy.

Otwiera teczkę z dokumentami i je przegląda.

– Angelo, potrzebuję zgody, aby otworzyć szlak handlowy do Japonii. Jeden statek tygodniowo, a jedynym ładunkiem są ryby.

Tor prycha, mamrocząc pod nosem coś o tym, że jest frajerem. Prawdopodobnie Donatello jest jedyną osobą przy stole, która nie wie, jakie to uczucie odebrać życie człowiekowi.

Donatello rumieni się i zaciska szczękę.

– Chodzi o rozdymkę tygrysią. Rybę fugu. Oficjalnie nie zezwala się na jej import, ponieważ to jedna z najbardziej trujących ryb. Przygotowane z niej sushi jest najrzadziej serwowanym daniem na świecie. Kucharz musi być w pełni przeszkolony, by mógł ją przyrządzić. Inaczej to nielegalny proceder.

Ucinam jego wywód leniwym machnięciem ręki.

– Pozwalam na twój drobny rybny ładunek, Don. – Zwracam się do Castiela i Benny'ego. – A czego klan Hollow oczekuje w tym roku od Mikołaja?

Cas odchrząkuje.

– Właściwie to nie ma nic wspólnego z portem. – Wskazuje głową na tylną ścianę niszy. – Kilka kilometrów stąd znajduje się sieć jaskiń, do których chcemy dostęp, lecz podpadają one pod terytorium Dip...

– Zgoda. Coś jeszcze?

– Chwileczkę – warczy Dante. – Dajesz im tereny klanu Dip? Lecz kiedy z ojcem prosiliśmy cię o dostęp do rezerwatu, bez chwili zastanowienia odmówiłeś?

- A co, do cholery, mam zrobić z jaskinią?
- A co, do diabła, zamierzasz zrobić z lasem?

Nic. I gdyby to bracia Hollow poprosili o teren rezerwatu, zapewne bym im go dał. Teraz gdy już wiem, że Alberto potrzebuje tego obszaru, aby utrzymać swoją gorącą, młodą narzeczoną, nie ma cienia szansy, że to rozważę. Mój wzrok ciemnieje i rozkładam się w fotelu.

- Wiedziałeś, że w rezerwacie jest trzynaście par bielika amerykańskiego? To coś więcej niż kilka głównianych drzew i bagno.

- Od kiedy to cię obchodzi? - Mruży oczy. - Brzmisz jak ta suka Aurora.

Suka. Nieuzasadniona wściekłość zaczyna pulsować w moich żyłach. Gaszę ją łykiem whisky.

- Dbam o środowisko.

- Powiedz to swojemu prywatnemu odrzutowcowi - dogryza mi ze śmiechem Tor.

Dante rzuca mi wściekle spojrzenie.

- W porządku. Czego chcesz? - pyta bez chwili wahania. Jego wzrok wędruje do Rafe'a. - Pozwolę ci wybudować hotel i kasyno w Cove. Na południowym cyplu znajduje się wspaniała działka z niesamowitymi widokami na plażę.

Śmiech Rafe'a jest głęboki i złowrogi.

- Co za propozycja! Wybudować hotel i kasyno Raphaela Viscontiego na waszej ziemi? Nie miałbyś pojęcia, jak poradzić sobie z nagłym napływem turystów.

Dante wali pięścią w stół. Ludzie Rafe'a wychodzą z cienia. Podnoszę się i kładę dłoń na ramieniu brata.

- Wystarczy! Dante, przemyślę twoją prośbę. - *Kłamstwo.* - Czy jest coś jeszcze, czego chcecie ode mnie, pijawki, zanim zatopimy się w whisky, długach i prostytutkach?

Mieszanka muzyki i śmiechu przebija się spod podłogi, sygnalizując, że gra toczy się w najlepsze. Ramię Rafe'a drga pod moją dłoń i gdy się rozglądam, zauważam, że wszystkie spojrzenia kierują się w stronę odgłosów przyjęcia.

- Uznaję spotkanie za oficjalnie zamknięte.

Wszyscy opuszczają pomieszczenie. Z wyjątkiem Dantego, który zanurza się w fotelu i bawi piórem, które zostawił Donatello. Gdy

tylko za Gabe'em zamykają się drzwi, a muzyka cichnie, odzywa się.

– Jest jeszcze jedna rzecz, o którą chcę cię prosić, Angelo.

Biorę duży haust powietrza, siadam i daję znak barmanowi, aby podał mi whisky.

To będzie długa noc.

Partyjki pokera trwają w najlepsze. Krupierzy rozdają karty z polotem doświadczonych magików, a efekciarskie zegarki błyszczą pod żyrandolami, gdy hazardziści zbierają swoje żetony. Dziewczyny w koronkowej bieliźnie wiją się pomiędzy stolikami w poszukiwaniu kolejnego klienta.

Obserwuję, jak wzrok Rafe'a podąża za filigranową rudowłosą dziewczyną. Po chwili pochyła się nad barem i gwizdże.

– Ta dobrze poradziłaby sobie w Vegas.

– Kupujesz?

Spogląda na mnie z ukosa.

– Czy kiedykolwiek widziałeś, abym płacił prostytutce? – Spogląda nad moim ramieniem, a jego wzrok ciemnieje. – Czego chce od ciebie Dante?

– Nie chcesz wiedzieć.

– Ależ chcę.

Obracam szklankę w dłoni i obserwuję ocierający się o szkło brązowy płyn.

– Chce nagrań wszystkich telefonów, które zostały wykonane do Anonimowych Grzeszników wykonanych z Wybrzeża. Zdjęcie tego głupiego pacholka podczas niedzielnego obiadu podsunęło mu ten pomysł. Chyba sądzi, że to pomoże mu pozbyć się zdrajców i uzyskać informacje o biznesowych partnerach.

Rafe wybucha śmiechem i przesuwa palcem po dolnej wardze.

– Czy on nie jest świadomy tego, że postępuję tak od lat? Mam nadzieję, że kazałeś mu się odpieprzyć.

– Dosłownie, bracie.

Mimo że milczy, czuję promieniującą od niego wściekłość. Obserwuje Dantego pogrążonego w rozmowie z Nico, najmłodszym z

braci Hollow. Nico ukończył właśnie studia na Uniwersytecie Stanforda i dopiero szkoli się na członka mafii.

– Boże, jak ja nienawidzę tego kutasa – syczy Rafe. Wychyla whisky i z trzaskiem odstawia pustą szklanę na kontuarze. – Przysięgam, że jeśli kiedykolwiek zechcesz przejąć władzę w Dip, zjawię się w ciągu godziny i sporządzę plany hotelu i kasyna, które sprawią, że Cove będzie wyglądało przy nich jak Coney Island¹⁸.

– Chodźmy się przejść.

– Czekaj. – Rafe odwraca się w stronę baru, wyciąga z kieszeni garniturę plik wizytówek Anonimowych Grzeszników i wrzuca je do słoika z napiwkami.

– W porządku – mówi, puszczając oczko. – Chodźmy.

Przechadzamy się po klubie i w milczeniu obserwujemy różne rozgrywki. Obserwujemy, jak Donatello przegrywa swój zegarek Omega Seamaster z Bennym w blackjacka. Potem przystajemy przy stoliku do pokera, przy którym krupier rozpoczyna nową rozgrywkę.

– Stawiam na Gabe’a – mamrocze Rafe, wskazując na naszego brata, siedzącego po przeciwnej stronie stołu. Jego skórzana kurtka spoczywa na oparciu krzesła, a na nosie ma swoje popisowe awiatorki. Nie to, żeby ich potrzebował. Nikt nie ma takiej twarzy pokerzysty jak on.

Moje spojrzenie wędruje dookoła stołu. Dante i Nico siedzą po prawej stronie Gabe’a, a dwóch nieznanym młodzieniaszków jest zwróconych plecami do nas.

Jeden z nich, blondyn w za dużym garniturze, pochyła się do kolegi.

– Stary. Granie przeciwko Dantemu Viscontiemu całkowicie cię upokorzy.

Rafe i ja wymieniamy się uśmieszkami. *Jakim cudem te dzieciaki dostały się na przyjęcie?* Nigdy się nie dowiemy, ale przynajmniej zapewnią nam jakąś rozrywkę.

– Wiem – syczy drugi. – Wszyscy Visconti dorastali na produktach pełnotłuszczowych i sterydach. Są cholernymi olbrzymami.

– Wyglądają niczym zawodnicy MMA! – przytakuje mu kolega.

– Hej, podobają mi się te dzieciaki – mamrocze Rafe z krzywym uśmieszkiem. – Może wynajmę ich, aby za mną krążyli i całowali mnie w tyłek.

Kiwam w kierunku jego ochroniarzy w garniturach.

– Już masz ich i tak wystarczająco wielu.

Brat wybucha śmiechem, a potem wracamy do podsłuchiwania:

– Pewnie mają naładowane spluwy – wzdycha blondynek, przerzucając żeton między kciukiem a palcem wskazującym. – I zawsze zdobywają najgorętsze laski.

– Nawet staruch. A ma już pewnie z siedemdziesiąt lat.

– Widziałeś z kim ma się żenić?

Nadstawiam uszu, ale zmuszam się do zachowania pozbawionej wyrazu twarzy.

– O, tak. Z tą laską, Rory? Z Devil’s Dip High? – Cicho gwizdże i przysuwa się bliżej kolegi. – Wiesz, że myśli, że ona jest dziewicą?

Blondyn zerka na Dantego, a potem zasłania dłonią usta. Jednak my stoimy za nim, więc nadal jestem w stanie usłyszeć, co szepcze.

– Wiem. Komiczne. Pamiętasz, jak pozwoliła się przelecieć Spencerowi i jego paczce?

– Kto by o tym zapomniał? Nie chodziła nawet do Akademii Devil’s Coast, a i tak każdy o niej słyszał. Spencer i jego kumple byli najbogatsi w szkole, więc najwyraźniej jest jedną z tych dziewczyn, które robią wszystko, aby zapewnić sobie utrzymanie.

– Dosłownie wszystko.

W dalszym ciągu szepczą, lecz nie słyszę ich z powodu pulsującej w skroniach krwi. Na języku czuję gorzki posmak whisky, a palce swędzą mnie do tego stopnia, że wsuwam dłoń do kieszeni spodni i zaciskam ją w pięść.

Zatem Aurora jest dziwką. Daleko jej do dziewicy, którą udaje przed wujkiem. Przebiegam językiem po zębach i biorę powolny, głęboki wdech. Rafe milczy, lecz czuję na policzku jego palące spojrzenie.

A co mnie to obchodzi? Dlaczego to odkrycie sprawia, że oblewa mnie gorąco i czuję swędzenie? Dlaczego zaciskam szczękę tak mocno, że aż mi strzyknęła?

W końcu uświadamiam sobie, dlaczego te głupie dzieciaki założyły mi za skórę.

Gdy wczoraj odwoziłem Aurorę do domu wujka, przez chwilę pozwoliła mi uwierzyć, że jest inna. Uznałem, że różni się od dziewczyn z Dip, które polują wyłącznie na bogactwo Viscontich.

Oszukała mnie, że poślubi trzykrotnie starszego mężczyznę z kompletnie altruistycznych pobudek.

Śmieję się znad szklanki. Uwierzyłem, że chciała powstrzymać Alberta przed wycięciem lasu. *Jasne*. Sprzedała mi płomienną opowiadkę o cholernych ptakach i wydrach. Dokładnie wiedziała, co robi. Sprawiała, że jadłem jej z ręki. Nie jestem lepszy niż wierzący w jej kłamstwa obleśny staruch.

Mogła nie mówić nic. Nabrała mnie. Zmyliły mnie te wielkie jak u łani oczy, zaróżowiona skóra i żalosne grzechy.

– Każdy obstawia – informuje krupier, wyciągając dłonie po karty i pokazując je do wiszącej nad stolikiem kamery, aby udowodnić, że nie ukrywa niczego w rękawach.

Kupki złotych i srebrnych żetonów przesuwają się po zielonym aksamicie. Moje spojrzenie pada na tył głowy blondyna.

– Angelo, nie...

Lecz głos Rafe'a dochodzi jakby z oddali. Zanim on albo mój zdrowy rozsądek są w stanie mnie powstrzymać, robię krok do przodu, pochylam się nad ramieniem dzieciaka, a potem kładę dłoń na jego stosiku żetonów.

Krzyczy zaskoczony i odskakuje od stołu. Następnie spogląda na moją dłoń, zegarek i zatknięty na małym palcu pierścień z cytrynianem. Przełyka ślinę i niechętnie unosi głowę. Nasze spojrzenia się krzyżują.

W przeciwieństwie do reszty rodziny nie jestem typem hazardzisty, ale założyłbym się o każdy żeton w tym lokalu, że dzieciak właśnie posikał się ze strachu.

– Widziałem, jak to zrobiłeś.

Przy stole zapada milczenie. Dzieciak robi wielkie oczy, a potem rozgląda się wokół stołu i jego spojrzenie ponownie wraca do mnie.

– C...co?

– Wysunąłś te żetony z kieszeni. – Rzucam znaczące spojrzenie w kierunku drugiego koleśka, który plótł bzdury. – Obaj tak robiliście.

Chłopak blednie, a jego dolna warga zaczyna drżeć.

– Nie! Ja nie, przysięgam...

Zgarniam jeden z żetonów i ucinam ich protesty. Jest wykonany z czystego dwudziestoczerokaratowego złota i na środku ma

wytłoczony herb mojej rodziny. Ignoruję zaciekawione spojrzenia wszystkich graczy, podnoszę żeton do niskiego światła i go oglądam.

– To fałszywka – syczę.

– Nieprawda! Niemożliwe! Mam je stąd! – Dzieciak wskazuje trzęsącym palcem kasjerkę. Dziewczyna unosi dłonie w obronnym geście. Wcale jej nie winię, że nie ma ochoty zostać wciągnięta w tę gierkę.

– Zapytajmy gościa, który je stworzył. – Rzucam żeton stojącemu za mną bratu. Łapie go jedną dłonią. – Jak sądzisz, Rafe? Wygląda na prawdziwy?

Brat rzuca mi pytające spojrzenie. Zaciska szczękę i potrząsa nieznacznie głową tak, aby przekazać w ten sposób wiadomość przeznaczoną tylko mnie. Lecz ja trwam przy swoim i czekam. Drgają mu nozdrza, aż w końcu spogląda w dół i przerzuca żeton pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym.

Zapada głucha cisza. W końcu podnosi wzrok, spogląda na mnie na wpół przymrużonymi oczami i zagryza dolną wargę.

– Fałszywy niczym trzydolarowy banknot.

Klub zaczyna ponownie tętnić życiem. Echo roznosi dźwięk przesuwanych po posadzce krzeseł i zabezpieczania broni. Ludzie Rafe'a wyłaniają się z cienia, kładą dłonie na ramionach obu chłopców i odciągają ich od stołu. Ich krzyki dochodzą z oddali, gdy zostają wpakowywani do windy na końcu długiego tunelu.

– *Bastardi* – warczy Tor, otrzepując pyłek z marynarki i siadając ponownie przy stole do blackjacka. – Pracują w Delirium i nieustannie błagali mnie o zaproszenie na prywatnego pokera.

Jego diamentowy wkręt w nosie połyskuje, gdy potrząsa głową.

– Ledwo urosły im włosy łonowe, a już mają jaja, by próbować takich zagrywek.

Ponownie rozlega się muzyka, a incydent zostaje powoli puszczony w niepamięć. Wszyscy wracają do dobrej zabawy. Czuję rozlewające się po plecach gorąco i odwracam się do stojącego w cieniu Rafe'a. Gdy przechodzę obok, wyciąga dłoń z kieszeni i chwyta mnie za ramię.

– Bezwzględny Visconti powrócił – mamrocze mi do ucha. Wpatruję się wprost przed siebie. Czekam, aż mnie puści. W końcu uwalnia mnie z uścisku i miesza się z tłumem.

Może Bezwzględny tak naprawdę nigdy nie oszedł?

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Rory

– Nie ruszaj się.

– Przecież stoję spokojnie.

– Nie. Ciągłe się wiercisz. – Greta podkreśla swoje zdanie, zaciskając kościstą dłoń na moim ramieniu. – Nie biegnij z płaczem do Alberta, jeśli ukłuję cię igłą, ponieważ to będzie twoja wina.

Ponownie wybrała za małą sukienkę. Tak ciasną, że tylni suwak nie chce dopiąć się na moich biodrach. Zamiast pozwolić mi włożyć coś innego, rozwiązanie Greta polega na zaszyciu mnie w kiece. Pewnie będę musiała w niej spać, ponieważ nie mam pojęcia, jak zdołam się z niej uwolnić.

– Jesteś podenerwowana.

Wzrok Greta przeświewa mi jak promienie rentgena. Krzyżujemy spojrzenia w lustrze i przełykam ślinę. W myślach błagam swoją skórę, aby się nie czerwieniła.

– Czym miałabym się denerwować? To tylko piątkowa kolacja.

Rzuca mi groźny grymas i wpatruje się we mnie, jakbym postradała rozum.

– Mówię o następnej sobocie, głuptasku. – Czubek igły draska moje ciało. – O przyjęciu zaręczynowym.

– Ach.

Obserwuję, jak jej spojrzenie przesuwa się na moją lewą dłoń i zaciska mi się żołądek. Dokładnie przygląda się kamieniowi osadzonemu w moim pierścionku.

– Nie wiesz, jaką jesteś szczęściarą – mamrocze miękko.

Trzepoczę rzęsami.

– Już to mówiłaś, Greto. Tysiące razy.

Gdy w następną sobotę przekroczę próg hotelu Viscontich pod ramię z Albertem, rozpocznie się odliczanie do ślubu. Najpierw przyjęcie zaręczynowe, potem odbędą się przymiarki sukni ślubnej,

próbowanie tortów, spotkania z pastorem i kolacje z dalszą rodziną. A dokładnie dwa tygodnie później stanę na ślubnym kobiercu.

Albo, co bardziej prawdopodobne, zostanę zaciągnięta do ślubu główną nawą. Przypuszczalnie będę przy tej okazji kopać i krzyżeć.

Tydzień i dzień. Tyle czasu zostało mi na udawanie, że to się nie wydarzy.

– Zanim wyjdiesz, przypomnij mi, abym przypudrowała ci nos. – Greta prostuje się, mruży oczy i robi krok do tyłu. – Czemu się tak świecisz? Jesteś chora?

– Nic mi nie jest. – Wypuszczam oddech przez zęby i wygładzam przód sukienki.

Od środowej przejażdżki z Angelem nic nie jest w porządku. Od kiedy stałam na ganku i wpatrywałam się w tylne światła jego samochodu rozpływające się w szarzyźnie wieczoru, czuję pod skórą tępy niepokój. Jakby przebywanie z nim w ciasnym samochodzie w deszczowy dzień coś we mnie zmieniło. To niekomfortowe uczucie. Przypomina to, które ogarnia mnie, gdy rano wychodzę na dwór i chociaż niebo jest czyste, a w prognozie pogody zapowiadali słoneczny dzień, mam pewność, że będzie padać. To niewytłumaczalne, a do tego złowróźbne. Sprawia, że włoski na karku stają mi dęba, a nawet czuję napięcie między łopatkami. Mimo to nie potrafię wyjaśnić, dlaczego tak się dzieje.

To tylko deszcz.

A Angelo jest tylko człowiekiem. I to takim, którego nawet nie darzę sympatią.

Siedzę w milczeniu, a Greta męczy moje loki. Mieszanina przypalonych włosów i lakieru drażni moje nozdrza, a skronie pieką od impetu, z jakim mnie czesze. Gdy kończy, cofa się, posyłając mi spięty uśmiezek.

– Wyglądasz jak Marilyn Monroe.

To byłby komplement, gdyby te słowa nie zostały wypowiedziane takim gorzkim tonem.

Zerkam powoli na swoje odbicie. Zazwyczaj nie czuję się zaniepokojona widokiem nieznanym twarzy, która wpatruje się we mnie w lustrze, ale muszę przyznać, że dzisiaj wyglądam szczególnie imponująco. Srebrna suknia połyskuje w oświetlonym lustrze, a moje włosy choć raz nie są nudne i proste jak druty. Greta

ustylizowała je w duże, luźno opadające loki, które kaskadą spływają po moich nagich plecach i podskakują przy każdym kroku.

Zagryzam wargi, aby powstrzymać uśmiech, ponieważ nie mam zamiaru dać tej żalostnej starej wiedźmie satysfakcji. Wychodzę z pokoju, nie oglądając się za siebie.

Dzisiaj pianista rozpoczął grę wcześniej. Zza wahadłowych drzwi jadalni słychać ożywione dźwięki jazzowych kawałków, które wypełniają pomieszczenie po sam wysoko sklepiony sufit. Schodzę powoli po schodach, ponieważ, jak zwykle, moja sukienka jest zbyt obcisła, a szpilki za wysokie, abym mogła pozwolić sobie na pośpiech. Wychylam się nad balustradą i zauważam, że zjawilo się więcej gości niż zazwyczaj. Dostrzegam kilku braci z klanu Hollow. Tłoczą się we foyer i częstują się przystawkami z roznoszonych tac, nawet nie przerywając rozmów.

Rozglądam się po mężczyznach w garniturach i ogarnia mnie przygnębienie, gdy zdaję sobie sprawę, że nie ma wśród nich Angela. Nie podoba mi się moja reakcja.

Przestań, Rory. Przetykam rozczarowanie i prostuję plecy. Pogardzam nim, ale niezaprzeczalnie czyni te nużące spotkania bardziej interesującymi. Nadarza się okazja do obserwowania kogoś innego niż Dante.

Tylko o to chodzi.

Gdy schodzę z ostatniego stopnia, kąciem oka dostrzegam jakiś ruch. Za uchylonymi drzwiami biura Alberta dostrzegam dwie postacie oświetlone blaskiem księżyca, który wpada przez znajdujące się za nimi okna. Zatrzymuję się i spoglądam zza kurtyny włosów, próbując zorientować się, kim są.

Odkrywam, że to pogrążeni w rozmowie Alberto i Mortiz. Moje serce wali jak szalone, gdy przypominam sobie podsłuchaną w ubiegłym tygodniu rozmowę o zmianie warunków kontraktu. Byłam tak rozproszona przez... inne sprawy, że kompletnie wyleciało mi to z głowy.

Zbliża się sądny dzień. Za mniej niż trzy tygodnie zostanę przykuta do tego obrzydliwca na dobre i złe. Muszę dowiedzieć się, co planuje, zanim podejmę decyzję, co dalej.

Zanim postanowię, czy kontynuować swój plan.

Skręcam w prawo w znajdujący się za schodami korytarz. W pokoju gier znajduje się wyjście na basen. Wyślizguję się na zewnątrz. Okrążam dom, by sprawdzić, czy uda mi się podsłuchać rozmowę Alberta i jego prawnika, stojąc pod oknem biura.

O kurczę, ale zimnica. Gdy wchodzę na taras, uderza we mnie jesienny chłód, wywołujący gęsią skórę na ramionach i nogach. Jeszcze nie było Halloween, a mróz już osiada na oślonie basenu, przez co kosmyki mgły tańczą w blasku oświetlonego krajobrazu.

Skradam się, przytulona do muru domu. Skręcam za rogiem i nagle moje szpilki zapadają się w coś miękkiego, a kostka się wykręca.

– Ach – krzyczę. Wyciągam palce, aby chwycić się czegoś, co powstrzyma mnie przed upadkiem. Ocieram się o rynnę i cegły, ale zanim znajduję coś, czego mogę się złapać, coś chwyta mnie. Dłoń. Jest duża, silna i nie powinnam z taką łatwością rozpoznawać, do kogo należy.

Po moich nagich plecach rozlewa się fala ciepła. Czuję przypływ adrenaliny. Odwracam się i staję twarzą twarz z Anielem Viscontim. Znajdujemy się tak blisko siebie, że mogłabym policzyć włókna na jego śnieżnobiałej koszuli. Unoszę wzrok i napotykam jego spojrzenie. Wsuwa w usta papierosa i zaciąga się.

Po czym swobodnie wydmuchuje dym.

Gorąca i ciężka chmura zawisa między nami. Na chwilę przymykam oczy i wygrzewam się w ocierającej się o mój nos i policzki ciepłej mgiełce. Gdy dym rozplywa się w mroku, odsłania się sieć twardych linii, które tworzą pozbawioną wyrazu twarz Angela. Bezgwiazdne niebo zapewnia niewiele światła, więc nie mam pewności, ale w jego spojrzeniu jest coś budzącego niepokój. Może to podirytowanie. Z pewnością jestem ostatnią osobą, na którą miał ochotę wpaść.

– Te niedorzeczne buciki są wyjątkowo... nieodpowiednie.

Duszę się pod intensywnością jego spojrzenia. Zerkam na swoje stopy i przełykam ślinę. Zapomniałam, że na rogu domu taras łączy się z plażą.

– Piasek – mamroczę, próbując kontrolować swój oddech. – Zapomniałam, że w tym miejscu jest piasek.

Z jego piersi wydobywa się niskie i złowrogie burknięcie. Stoimy tak blisko siebie, że mogę je poczuć. Końcówka jego papierosa żarzy się i ponownie otacza mnie dym. Tym razem rozchyłam usta i powoli go zasysam. Jestem oszołomiona, że przed chwilą znajdował się w jego ustach, a teraz trafił do moich. Już sama myśl o tym jest niesłychanie nieprzyzwoita. Moją twarz oblewa rumieniec.

– Nie to miałem na myśli.

Moje serce zamiera na chwilę, zanim dociera do mnie rzeczywiste znaczenie jego komentarza. Wypowiada na głos to, co wszyscy w tym domu o mnie myślą. W piątkowe wieczory ubieram się jak dziwka. Moja spódnica jest za krótka, szpilki za wysokie, a makijaż za mocny. *Wyglądam nieodpowiednio.*

Spojrzenie Angela jest ciężkie do zniesienia. Instynktownie pragnę się od niego uwolnić. Lecz gdy się rozglądam, okazuje się, że nie mam, jak się ruszyć. Przede mną rozciąga się mur domu, a za mną jego imponująca postać. Łapię haust powietrza, wysuwam ramię z jego uchwytu i odsuwam się tak, że moje plecy przylegają do ściany.

Popęłniam duży błąd, gdyż Angelo robi krok do przodu i zmniejsza odstęp między nami równie szybko, jak udało mi się go zyskać. Zmuszam się do zachowania neutralnego i beztroskiego wyrazu twarzy, chociaż jestem pewna, że nie da się na to nabrać. Nigdy nie byłam dobrą aktorką. Skoro słyszę, jak wali mi serce, to ten dźwięk z pewnością dociera też do niego.

– Co tutaj robisz? – Odchrząkuję.

– Palę.

– Myślałam, że nie palisz?

Nasze spojrzenia się krzyżują. Przez ułamek sekundy na jego twarzy pojawia się dezorientacja. Po chwili zdaje sobie sprawę, że odnoszę się do zdarzenia w alejce, które miało miejsce przy klubie Tora.

– Ty zachowasz mój sekret, a ja twoje tajemnice – mówi drżącym głosem.

– Wszystkie?

W chwili, gdy to pytanie wyrzywa się z moich ust, czuję uderzenie adrenaliny. Wzdrygam się na wspomnienie pobytu w jego samochodzie. *Układ obowiązuje obie strony, Auroro.* Błędnie

odczytałam jego myśli. *Niewiele brakowało, a zrobiłabym coś... wysoce nieodpowiedniego.* Najgorsze było to, że nawet przez chwilę to rozważałam i wtedy moje tętno przyspieszyło, a gorąco rozlało się w rozkoszny sposób pomiędzy udami.

To chyba byłaby najlepsza zła rzecz, jaką bym kiedykolwiek zrobiła.

O kurczę, co on musiał sobie o mnie pomyśleć?

Pozostawia moje pytanie bez odpowiedzi. Wpatruje się w moje wargi i zagryza własne usta. Wolałabym, aby przestał tak robić. Przyprawia mnie o zawroty głowy. Starając się odwrócić uwagę od łuku jego wspaniałych warg, zerkam na żarzącego się w jego prawej dłoni papierosa.

Z pewnością to zauważył, ponieważ podnosi go, kierując filtrem w moją stronę.

Chce się podzielić papierosem? Mój puls przyspiesza. Co innego dzielić ten sam kłęb dymu, a co innego włożyć do ust papierosa, który dotykał...

To pachnie niebezpieczeństwem.

Kurczę, jestem żałosna. Prawdę mówiąc, nie mam doświadczenia z chłopcami, a co dopiero z mężczyznami. Przed tym okropnym dniem przed trzema laty nigdy nie byłam blisko z żadnym chłopakiem. Nie miałam ukochanego z dzieciństwa. Wszyscy chłopcy w klasie i mieście wydawali się tacy... swojscy. Znałam się z nimi od przedszkola, tak jak moi rodzice znali ich rodziców. Nie było w nich niczego ekscytującego. Dzieliliśmy te same wspomnienia i doświadczenia. Dlatego czułam się taka podekscytowana perspektywą pójścia do college'u. Nie tylko przybliżyłoby mnie to o krok do spełnienia marzeń o staniu się pilotem, ale również poznałabym chłopców spoza Devil's Coast.

– Nie palę.

– Myślałem, że jesteś złą dziewczynką. – W jego oczach tańczy mroczne rozbawienie.

Zła dziewczynka. Sposób, w jaki wypowiada te słowa – szorstko i zapalczywie – sprawia, że pragnę się nią stać. Z łatwością ignoruję jawną drwinę i bez słowa biorę od niego papierosa. Patrzę, jak mnie obserwuje, gdy wkładam go do ust i zaciągam się.

Natychmiast zaczyna mnie piec tylna ściana gardła. Rzucam papierosa na piasek i zanoszę się atakiem kaszlu.

Jego śmiech tłumią chwytane przeze mnie ciężkie oddechy.

– Jezu Chryste – rzęzę, opierając głowę o mur.

Z uśmiezkiem, który pogłębia dołek w jego podbródku, wyjmuję paczkę z kieszeni spodni i wyciąga świeżego papierosa. Płomień zapalniczki Zippo majestatycznie tańczy w mroku nocy.

– Obserwuj mnie. – *Jakbym ostatnio robiła cokolwiek innego.* Wsuwa papierosa pomiędzy wargi i zaciąga się powoli, zmysłowo. Tym razem wykazuje się kurtuazją i wydmuchuje dym nad moją głową. Czuję się lekko rozczarowana. Wręcza mi papierosa. – Proszę. Ale tym razem nie zaciągaj się tak mocno, Sroczo.

Podoba mi się sposób, w jaki obserwuje moje usta. Kilka sekund później wypuszczam delikatnie dym i przyglądam się jego twarzy.

– Lepiej – mruży.

Z uśmiechem podaję mu papierosa. Przygląda się czerwonej obwódce, którą zostawiła na filtrze moja szminka. Zamiera, a jego jabłko Adama drga. Mogę przysiąc, że widzę, jak pulsuje mu szczęka.

– Ach...

Zanim kończę zdanie, wsuwa papierosa do ust i zaciąga się. Z jakiegoś głupiego powodu moje serce zamiera na widok jego ust stykających się z tym samym miejscem, którego dotykały moje wargi. To wydaje się niewłaściwe. Zbyt intymne.

Stanie z nim sam na sam na zewnątrz również świadczy o zażyłości.

Obejmuję się ramionami i zerkam na ogród.

– Powinnam się zbierać.

– Zostań.

To nie jest sugestia. Pomimo tego, że odciął się od Cosa Nostry, Angelo Visconti nie sprawia wrażenia człowieka, który łagodnie coś sugeruje. Opieram się o ścianę, a moje szpilki zanurzają się głębiej w piasek, zakotwicząc mnie pomiędzy domem, który wybudował mój narzeczony, a mężczyzną, który mógłby go zdmuchnąć jednym sarkastycznym oddechem.

Z domu dochodzi delikatna jazzowa muzyka. Fale rozbijają się gwałtownie o brzeg. Oba dźwięki stanowią scenerię do mojego ciężkiego oddechu.

– Alberto będzie się zastanawiał, gdzie się podziewam.

– Więc mu powiedz.

Śmieję się gorzko.

– Jasne. Na pewno dobrze to zniesie. – Unosi brew, oczekując ode mnie dalszych wyjaśnień. – Jak byś się czuł, gdybyś przyłapał swoją narzeczoną w ciemnym zaułku, dzielącą się papierosem z przystojnym mężczyzną?

Na początku wpatruje się we mnie obojętnie, a potem mruży oczy.

– Uważasz, że jestem przystojny.

O kurczę. Pomimo otaczającego nas chłodu, moja skóra nieustannie płonie z zażenowania. *Powinnam nienawidzić go tak, jak on nie znosi mnie.*

– Nie ekscytuj się nadmiernie. Zazwyczaj noszę okulary. – Zaciskam szczękę.

Jego śmiech poprawia mi nastrój.

– Jestem przystojniejszy od twojego męża?

– O to nietrudno.

– Kogo wolałabyś całować?

Mrugam.

Co takiego?

Mój oddech staje się płytki, aż w końcu całkowicie zamiera. Spalam się pod jego intensywną uwagę, lecz on pozostaje opanowany. Jesteśmy niczym ogień i lód. Zaciąga się ponownie papierosem i traktuje mnie z obojętnością przypadkowo napotkanej osoby.

Nie patrz. Nie patrz. Nie patrz.

Mój wzrok spoczywa na jego ustach.

O kurczę.

Wygląd mówi wszystko, a sądząc po pewnym sobie uśmieszku, który pojawia się na twarzy tego mężczyzny, moje spojrzenie powiedziało mu całą cholerną prawdę.

Czuję potrzebę odzyskania równowagi, a jedynym znanym mi na to sposobem jest złośliwość.

– Nie mam pojęcia. Jesteś prawie tak stary jak on.

Przez jego twarz przebiega niezadowolenie, ale natychmiast je ukrywa.

– Mam trzydzieści sześć lat.

– Jesteś prawie dwukrotnie starszy ode mnie.
– Przypuszczam, że skoro jest się małą, głupiutką dziewczynką, to każdy po trzydziestce wydaje się stary.

Cieszę się, że jest ciemno, ponieważ dzięki temu nie zauważy mojego zdenerwowania.

– Poza tym – kontynuuje coraz twardszym tonem. – Tylko głupiutkie małe dziewczynki mogłyby pomyśleć, że dorośli mężczyźni chcieliby je pocałować.

– A tylko obleśni starsi faceci wypytywaliby narzeczoną wuja o preferencje związane z całowaniem.

Otacza nas cisza, gęstsza niż wydobywający się z jego rozchylonych ust dym.

– Żartowałem, Auroro. – I znowu w ten specyficzny sposób wymawia moje imię. – Alberto to rodzina i może nie zgadzamy się w wielu sprawach, ale zawsze będę go darzył szacunkiem.

Unoszę podbródek. Moje szpilki są do połowy zanurzone w piasku, a on wydaje się jeszcze wyższy niż zazwyczaj.

– Z pewnością nie szanujesz go aż tak bardzo. Widziałam, jak porysowałeś mu samochód.

– Kiedy? – pyta bez wahania.

– W środę, gdy mnie odwiozłeś.

– Środa... – mamrocze, pocierając szczękę i udając, że się zastanawia. – Masz na myśli dzień, kiedy pocałowałeś go na moich oczach?

Mój żołądek zaciska się na to wspomnienie. Czuję się zirytowana jego gierką.

– Tak.

– Hmm. Nie wiem, o czym mówisz.

Jego twarz i głos pozostają bez wyrazu, lecz i tak czuję drżenie w piersi. Byłam dezorientowana tym nagłym pokazem uczuć ze strony Alberta. Ponadto padał tak ulewny deszcz, że zniekształcał sylwetkę Angela, gdy ruszył do samochodu. Myślałam, że wyobraziłam sobie ten szczeniacki akt wandalizmu, lecz teraz mam pewność, że to jednak nie był wytwór mojej wyobraźni.

Porysował wujkowi samochód z powodu tamtego pocałunku.

Czuję się dezorientowana, lecz ignoruję to uczucie na rzecz krążącej w żyłach adrenaliny.

To jest złe, tak samo jak balansowanie na paluszkach kilometr nad ziemią w powietrzu po linii nie szerszej niż nić dentystyczna. Czuję dużą presję, gdyż wraz z moim upadkiem, zniszczeniu uległoby nie tylko moje własne życie.

Ta sytuacja wydaje się ekscytująco niebezpieczna.

Powinnam odczuwać większy lęk przed wysokością.

– Muszę iść – szepczę.

Tym razem nie zatrzymuje mnie. Ostatni raz zaciąga się papierosem i zmniejsza dystans między nami. Instynktownie wciskam się mocniej w ścianę, opierając dłonie o zimne cegły. Góruje nade mną niczym nadciągająca burza. Jedną dłoń kładzie nad moim ramieniem, a drugą przypiera mnie do ściany. Jego usta znajdują się kilka centymetrów od mojego ucha.

Przez chwile trwamy w takiej pozycji. Utrzymuje mnie na uwieży ciężarem swojego ciała i intensywnością spojrzenia. Mijają minuty. Rozchodząca się w tle muzyka spowalnia.

Wcale nie odczuwam potrzeby, aby przyspieszała.

– Wyznaj mi jakiś grzech, Auroro.

Surowy ton w jego głosie ociera mnie w miejscach, w których nie powinien. Przełykam gulę w gardle i zamykam oczy. *Jezu, czy to gorąco promieniuje z jego ciała?* Jest październik, a mimo to wyszedł na zewnątrz w samym garniturze. Czuję się przy nim, jak przy palenisku.

Uświadamiam sobie, że ja również nie odczuwam chłodu.

– Czy teraz już tak będzie? – dyszę. – Będę wyznawać ci grzechy, abys nie przesłuchiwał tych, które wyznałam na gorącej linii?

Przesuwa językiem po zębach i powoli kiwa głową.

Łapię haust powietrza i przenoszę spojrzenie na bezgwiazdne niebo. Próbuję skoncentrować się na czymkolwiek, co zapewni mi wytchnienie od tępego bólu, który umiejscawia się nisko w podbrzuszu. Jednak uniemożliwia mi to jego gorący oddech, który czuję na swojej twarzy.

– Za każdym razem, gdy zmusza mnie do pocałunku, pluję mu do whisky.

Moje wyznanie unosi się w powietrzu, wypełniając niewielką przestrzeń między nami. Gdy jego ciało nieruchomieje, odrywam wzrok od nieba i taksuję go wzrokiem. Niebo jest ciemniejsze niż

nocą i panuje lodowaty ziąb. *O nie*. Moje serce dudni. Chyba przekroczyłam granicę. Może powinnam była wyznać coś innego; może...

Lecz potem z jego rozchylonych ust wydobywa się śmiech będący mieszanką aksamitu i gwoździ. Chrapliwy i surowy. Zdecydowanie poprawia mi nastrój. Czuję się, jakbym słyszała piosenkę, która kiedyś była moim ulubionym kawałkiem, a jednak nie słuchałam jej od lat.

Też się śmieję. I to mocniej i głośniej. Opieram się o jego twarde ciało.

I wtedy nagle dociera do mnie prawda.

Mam totalną obsesję na punkcie Angela Viscontiego. To szalone i nie do przyjęcia.

To bratanek mojego narzeczonego, prawie obca osoba, a jednocześnie powiernik moich najmroczniejszych sekretów.

I nagle mój grzech przestaje być zabawny.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Angelo

Nieważne, jak blisko linii brzegowej się znajdę, nie zdołam uciec przed balladą Whitney Houston, która wylewa się z piwnicznego baru. Od tej dziewczyny też nie potrafię się uwolnić.

Jezu Chryste, jej obecność czuć wszędzie. Wcześniej przekroczyłem granicę, a teraz zmuszam się do utrzymania dystansu, co jest praktycznie niemożliwe, ponieważ dzisiejszego wieczoru jest chodzącą i roztańczoną dyskotekową kulą. Aurora wygląda tak, jakby nałożyła tę cholerną sukienkę specjalnie, aby mnie zirytować. Cekiny mienia się i połyskują przy każdym ruchu. Przyciąga mój wzrok niczym magnes. Przyłapuję się na tym, że nie mogę go od niej oderwać. Spoglądam, jak kołysze biodrami i zarzuca włosami do tandetnej ballady. Obserwuję, jak brzeg sukienki podjeżdża jej pod tyłek, gdy pochyla się nad kontuarem, by porozmawiać z barmanem. Patrzę na nią nawet wtedy, gdy siedzi w cieniu z krzywym uśmiechem na twarzy. Widzę, jak miesza słomką dżin z tonikiem, obserwując Dona i Amelię tańczących do wolnego kawałka. Czuję wewnętrzną potrzebę, aby ją pożerać wzrokiem.

Zbyt łatwo zapominam, że jest chciwą dziwką.

Przyłapuję ją na wpatrywaniu się we mnie. Gdy rozmawiam z Casem czy Bennym, czuję jej ciężkie spojrzenie na plecach. Zaciskam dłonie w pięści i staram się skupić na słuchaniu ich trajkotania. Jednak jest to praktycznie niewykonalne, gdy jej śmiech sączy się nad moim ramieniem albo gdy przechodzi obok i do moich nozdrzy dociera roztaczany przez nią zapach wanilii i gumy balonowej.

Nie mogę już dłużej tego znieść. Wychodzę na papierosa, aby od niej uciec. Jestem żaloszny, gdyż mam nadzieję, że za mną podąży.

Blask księżyca tworzy ścieżkę na tafli oceanu, który wylewa się na brzeg i moczy mi buty. Nocny wiatr zachwycająco mnie ochładza,

wpadając za kołnierzyk koszuli. Wraz z ruchem nadgarstka zapalniczka Zippo ożywa w mojej dłoni i zapalam papierosa.

Prawie udało mi się wydostać.

Nagle na piasku skąpanym w blasku księżycy pojawia się cień. Okazuje się, że to Rafe.

– Od pogrzebu nie widziałem, abyś tyle palił.

Zaciągam się porządnie, wydmuchuję kłęb dymu i podaję mu paczkę.

– Stres.

– Hmm. – Częstuje się papierosem. – Spędziłeś dziewięć lat opierając się pragnieniu zabijania. Tyle samo lat jako szef firmy przynoszącej miliardowe zyski, a nie potrafisz uwolnić się od problemów, grzebiąc je sześć stóp pod ziemią. – Przerywa na chwilę, żeby zaciągnąć się papierosowym dymem. – Ale w ciągu tych lat ani razu nie widziałem, abyś palił – zakończył wypowiedź brat.

– Tak, lecz dokładnie tyle minęło, od kiedy spędziłem więcej niż weekend na Wybrzeżu. Jestem zdumiony, że nie zmieniłem się w fajkę do cracku.

Rafe nie reaguje śmiechem. Zamiast tego staje obok mnie, pali papierosa i obserwuje napływające fale.

– Powiedz mi, dlaczego wróciłeś.

Wypuszczam głośno powietrze nosem. Spoglądam na piasek pod stopami i wzruszam ramionami.

I tak prawda w końcu wyjdzie na jaw.

– W zeszłym tygodniu miałem spotkanie w San Jose. Firma technologiczna, w którą zainwestowaliśmy kilka lat temu, finansowała się niewypłacaną dywidendą. Miałem dosyć ich lekceważącego stosunku, a skoro nie odnosiliśmy żadnych postępów podczas telekonferencji, po prostu tam poleciałem. Chciałem potrząsnąć draniami. – Rzucam niedopałek i wdeptuję go w piasek. – Wyobraź sobie, że pojawia się w biurze w Dolinie Krzemowej i spotykam jakiegoś dupka, który utrzymuje, że jest dyrektorem generalnym. Znasz ten typ – luzak w bluzie z kapturem, który nosi na co dzień japonki.

Kątem oka dostrzegam, że Rafe pociera palcem swoją szpilkę do kołnierzyka i w zde gustowaniu postrząsa głową.

– Gdy prowadził mnie do przeszklonej sali konferencyjnej, poinformowałem go, że ma tydzień na zapłatę. I wiesz co mi powiedział? – Zgrzytam zębami, a w żołądku czuję gorąco. – „Zmusz mnie!”.

Twarz Rafe’a rozciąga się w przebiegłym, krzywym uśmiešku.

– I co potem? Walnąłeś jego głową o biurko i zmusiłeś go do pożarcia własnych japonek?

Śmieję się rozgoryczony.

– Nie. Wyszedłem. Powiedziałem, że odezwą się do niego moi prawnicy, a potem wsiadłem do cholерnej windy i opuściłem budynek. Zero połamanych kości, zero duszenia. – Przebiegam dłońią po włosach i potrząsam głową w niedowierzaniu. – Wyszedłem, Rafe.

Mój brat głośno się śmieje.

– Jezu Chryste. Tak się dzieje, gdy wybierasz uczciwe życie. Spędzasz je na płaceniu podatków i radzeniu sobie z takim gównem.

– Rafe wydmuchuje kłęb dymu i zapada cisza. – Pozwól, że zgadnę. Zdecydowałeś, że masz dość udawania Pana Normalnego i zawróciłeś swojego odrzutowca z trasy do Londynu na Wybrzeże, aby przypomnieć sobie, jak żyje reszta rodziny?

– Nie. Wyszedłem z budynku i spacerowałem chodnikiem. Nie miałem pojęcia, dokąd zmierzam i mnie to nie obchodziło. Musiałem po prostu pomyśleć. Byłem wściekły nie tyle na tego dupka, co na siebie. Na tę rodzinę. Visconti, my wszyscy, jesteśmy zaprogramowani do robienia złych rzeczy, bycia niegodziwymi ludźmi. To jest wplecione w nasz łańcuch DNA i nieważne, jak wiele zasranych arkuszy kalkulacyjnych wypełnię ani ile godzin spędzę w salach konferencyjnych, i tak nigdy nie będę normalny. – Strzelam palcami, a potem zerkam na brata. – Gdy stażysta dodał cukru do mojego Americano, moją pierwszą myślą było to, że powinienem walnąć go w szczękę.

Rafe uśmiecha się.

– Zawsze taki byłeś. Stąd twoje przezwisko. Masz instynkt do dokonywania zemsty, która zawsze smakuje o niebo lepiej niż zbrodnia. – Szturcha mnie ramieniem z uśmiechem. – Jak wtedy, gdy Dante podkablował ojcu, że przegapiłeś dostawę, a ty w rewanżu przeleciałeś na balu jego dziewczynę. Jesteś Bezwzględny i tyle.

Odwzajemniam jego uśmiezek.

– A więc to dlatego. Nie mogłem sobie przypomnieć powodu.

– On z pewnością pamięta. – Rafe wyrzuca niedopałek i wygładza przód koszuli. – Jesteśmy złymi ludźmi, Angelo. Możesz przed tym uciekać, ale się nie ukryjesz. Nawet w Anglii.

– Wiesz, co zwykle mawiała mama – mówię cicho, zapalając kolejnego papierosa. – Dobro niweluje zło.

Przez chwilę mój brat milczy i słyszę, jak trybiki w jego mózgu wskakują na miejsce.

– Dlatego wyjechałeś? Myślałeś, że mama chciałaby, abyś stał się dobrym człowiekiem, ponieważ to zniweczyłoby całe zło popełniane przez resztę rodziny? Wyjechałeś z powodu mamy – nie pyta, a stwierdza.

Potakuję.

– Wróciłem też z powodu mamy.

– Co? – Obraca się w moją stronę.

Wpatruję się w horyzont.

– Tamtego dnia w San Francisco dość długo spacerowałem.

Zamyślam się na chwilę.

– W końcu znalazłem się w China Town. Gdy przechodziłem przez jezdnię, wyskoczyła przede mnie kobieta i zaczęła potrząsać dużym workiem. – Zerkam na niego, rozciągając usta w grymasie. – Sprzedawała uszkodzone ciasteczka szczęścia z fabryki, w której pracowała. Wiesz, że nie wierzę w te brednie, ale właśnie myślałem o mamie, a sam wiesz, jak uwielbiała te cholerne ciasteczka szczęścia...

– Kupiłeś jedno.

– Tak.

– Angelo – mówi poważnym tonem. – Na miłość boską, nie mów, że wróciłeś na Wybrzeże z powodu ciasteczka szczęścia. Chryste... – Wzdycha, odchyła głowę i wpatruje się w niebo. – Żałuję, że zapytałem.

– Mam nadzieję, że nie zadasz mi tego pytania ponownie.

– Co powiedziałeś?

– Nie zwracaj sobie tym głowy.

– Serio?

Lakonicznie potakuję.

Gdybym powiedział mu, jaką przepowiednię znalazłem w ciasteczku, musiałbym wyznać, co skłoniło mnie do powrotu na Wybrzeże. A co za tym idzie, musiałbym zdemaskować kłamstwo, które zbudowałem, aby chronić jego i Gabe'a przed prawdą.

Nasza rozmowa przypomina mi, dlaczego się tu znalazłem. Przyleciałem na Wybrzeże dokładnie tydzień temu z misją i od tamtej pory nic z tym nie zrobiłem. Byłem zbyt... rozproszony.

– Dobrze. To inne pytanie.

– No weź... – Jęcę, przeciągając wierzchem dłoni po szczęce.

– Dzieciaki przy pokerze. W co pogrywałeś, stary?

– Obsmarowywali rodzinę. – Zaciskam szczękę i wsuwam dłonie do kieszeni.

– Obgadywali zabaweczkę wujka Alberta.

– Wkrótce dołączy do rodziny.

Ignoruję ucisk w żołądku.

– Jasne. Dlatego gapisz się na nią przez cały wieczór? Tylko sprawdzasz nowy dodatek do klanu Cove? – Ostentacyjnie przenosi wzrok na wystającą z mojej kieszeni paczkę papierosów.

Chowam dłonie w kieszenie spodni i zaciskam je w pięści. Jego spojrzenie mnie pali. Czeka na odpowiedź, lecz gdy staje się jasne, że nie zamierzam zareagować, wypuszcza z płuc ciężkie westchnienie.

– Ojciec wiecznie pytał mnie i Gabe'a, czy też byśmy skoczyli z klifu, gdybyś ty to zrobił. – Uśmiecha się na to wspomnienie. – Wiesz, co zawsze odpowiadałem?

Za nami ballada Whitney Houston zamienia się w zwawszy kawałek.

Potrząsam głową.

– Bez spadochronu. – Śmieje się i ociera dłonią usta. Potem odwraca się w stronę oceanu i delikatnie szturcha mnie ramieniem. Ścisza głos tak, że ledwo go słyszę. W tle leci piosenka Marvin'a Gaye'a. – Zawsze skoczę za tobą w ogień i wiem, że Gabe również. Jeśli chcesz spalić do cna Wybrzeże, to pożyczę ci zapalniczkę. Ale, proszę, na litość boską, nie każ mi iść na wojnę z kuzynami z powodu jakiejś cipki.

I po tych słowach rusza plażą w kierunku baru, zostawiając mnie na brzegu. Zostaję sam z własnymi grzechami.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Rory

Budzę się przed wschodem słońca z zarzuconym na sobie grubym ramieniem Alberta. Przyszpila mnie do łóżka niczym kotwica. Jego zatechły oddech o zapachu whisky łaskocze mnie w szyję cherlawymi, ale rytmicznymi falami. Reaguję na to całym ciałem, wzdrygając się. Zawsze chce, abyśmy razem kładli się spać. Przytula mnie i szepcze mi świńskie słówka do ucha. Jego brzuch oraz wybrzuszenie uciskają mnie niewygodnie w krzyż. Zawsze leżę nieruchoma i milcząca, czekając aż zapadnie w sen, a potem wyślizguję się z jego objęć, by zwinąć się w kłębek na brzegu łóżka, starając się zająć jak najmniej przestrzeni. Jednakże tej nocy jakoś zdołał mnie przyciągnąć do swojego ciała.

Ogarniają mnie nudności. Ich przyczyną nie jest to, że zeszłej nocy przesadziłam z dżinem. Wyplątuję się spod ciężkiej kołczyny Alberta i zerkam na zegarek na jego nadgarstku. Jest dopiero piąta rano, a jestem już w pełni rozbudzona. Niepokój i niepewność buzują mi w żyłach.

Zatrzymuję się w drzwiach, po czym rzucam ostrożne spojrzenie narzeczonemu. Wyślizguję się z pokoju, a potem gnam na dół do kuchni. Nalewam sobie szklankę zimnej wody i opieram się o zlew, obserwując przez kuchenne okno pierwsze promienie słońca padające na ocean.

Obawiam się, że dzisiaj nie uda mi się spotkać z ojcem. Właściwie wszystko mnie przeraża. Czuję obawę, że Alberto spotka się ponownie ze swoim prawnikiem i martwi mnie, że nie wiem, co knuje. Miałam zamiar dowiedzieć się tego wczoraj wieczorem, ale zostałam... rozproszona.

Biorę powolne głębokie wdychy i poruszam szyją, próbując pozbyć się napięcia. Potrzebuję dać upust emocjom. Jedyne, co mi pomagało, to Anonimowi Grzesznicy.

Ale z oczywistych względów obecnie ta opcja jest niedostępna.

Biorę kolejny łyk wody. Spoglądam znad szklanki w kierunku oceanu. Niewielkie fale uderzają o brzeg, aby za chwilę powoli się cofnąć. Woda wygląda na niezmaconą i chłodną, a ja czuję niepokój wymieszany z podnieceniem.

W mojej głowie lęgną się nieprzyzwoite myśli. Wylewam resztę wody do zlewu i biegnę na górę. Zamiast skręcić w skrzydło domu należące do Alberta, kieruję się do garderoby. Niecałe trzy minuty później zbiegam ze schodów w dresach narzuconych na bikini oraz z zatkniętym pod pachą ręcznikiem.

Przekradam się przez dom, zachwycając się panującą w nim ciszą. Zazwyczaj ktoś się ciągle po nim kręci. Na korytarzach wiecznie rozchodzi się hałas – niski szum zawsze obecnych strażników, pokojówek sprzątających niewidzialny kurz oraz samego Alberta, który wydaje rozkazy bojaźliwym służącym. Tego ranka cisza jest niczym powiew świeżego powietrza.

Gdy wychodzę na taras, a moje bose stopy zanurzają się w lodowatym piasku, prawie żałuję swojej impulsywnej decyzji. Nieprzyjemny chłód smaga moje policzki i wciska się pod ubranie. Ignoruję dzwoniące zęby i cichy głos w mojej głowie, który nakłania mnie, aby wpełznąć z powrotem do ciepłego domu.

Nie ma szansy na odnalezienie ukojenia.

Zdzieram z siebie dresy i brnę w kierunku fal. Gdy docieram tuż nad brzeg, rzucam się biegiem do wody, ponieważ wiem, że jeśli zwolnię, to zatrzymam się i nigdy nie ugaszę żaru wypalającego moje żyły.

Wzdycham, gdy woda omywa moje kostki. Prawie się duszę, gdy rozpryskuje się na mojej piersi, zaciskając lodowate szpony wokół moich płuc. Łapię krótkie, urywane oddechy. Boleśnie kłuje moją skórę, ale to mnie nie powstrzymuje. Brnę dalej, aż całkowicie się zanurzam. Długimi, silnymi uderzeniami walczę z prądem.

To mama nauczyła mnie pływać. Lata później przyznała, że zmotywowała ją do tego zazdrość, że to mój ojciec nauczył mnie wszystkiego innego – jazdy na rowerze, jak rozpalić ognisko, czy zbudować schronienie z wyrzuconego na brzeg drewna. Ona również chciała przekazać mi pewne umiejętności. Zabrała mnie do domku nad jeziorem, zapakowała do łódki i wywiozła na środek jeziora.

Powiedziała, że mam skoczyć, a potem skrzyżowała ramiona i zaczęła w oczekiwaniu się we mnie wpatrywać.

Zaśmiałam się. Mama była znana z nietypowego poczucia humoru. Lecz kiedy nie odwzajemniła uśmiechu, zdałam sobie sprawę, że mówi poważnie i wpadłam w panikę. Sięgnęłam po wiosła, aby ruszyć do brzegu, lecz popchnęła mnie stanowczo na ławeczkę. Powtórzyła swoje polecenie, a potem powiedziała coś, co pamiętam do tej pory:

Ze skokiem jest jak ze spadaniem. Skacząc, odnajdziesz skrzydła.

Zerknęłam na ojca, który wiercił się nerwowo na brzegu, ściskając w dłoni boję ratowniczą. Przełknęłam narastający w gardle strach, zacisnęłam dłonie w pięści i skoczyłam. Nie dlatego, że wierzyłam, że jakimś cudem uda mi się wznieść w przestworza, ale ponieważ wiedziałam, że jeśli zanurzę się i nie będę w stanie wypłynąć na powierzchnię, rodzice mnie ocalą.

Zawdzięczam im obojgu tyle samo. Nie byłam w stanie ocalić mamy od raka, ale z pewnością mogę ochronić ojca przed Albertem Viscontim.

Gdy zaczynają mnie boleć płuca, przestaję płynąć i przewracam się na plecy, pozwalając się nieść falom. Niebo zaczyna się rozjaśniać, przechodząc z ciemnoszarego w jasnoniebieskie. Zastanawiam się, ile potrwa, zanim zacznie się dzień.

Oddycham spokojnie i powoli, zamykam na chwilę oczy i wsłuchuję się w okrzyki wydawane przez krążące nad klifami w poszukiwaniu porannej zdobyczy żurawie. Uświadamiam sobie, że się uśmiecham. To takie dobre uczucie. Czuję się wolna. Chociaż nie mogę uciec od Wybrzeża, tak jak zawsze tego pragnęłam, przynajmniej mój umysł potrafi się stąd oddalić, nawet jeśli tylko na kilka minut.

Przez chwilę czuję pogodę ducha. Mój umysł jest czysty niczym rozciągające się nad moją głową niebo, a sumienie wolne od ciężaru, jak moje unoszące się na wodzie ciało.

Lecz ciemne chmury zbierają się nad Cove, a wraz z nimi nadciągają mroczne myśli. Jedna niepokojąca myśl szczególnie mnie martwi – Angelo Visconti.

Nie, nie, nie.

Lecz jest za późno. Jego obraz pojawia się w mojej głowie. Czuję żar jego ciała na swoim, ciężar jego dwuznacznych pytań.

Kogo wolałabyś pocałować?

Jęczę i zanurzam się ponownie pod powierzchnię, lecz tym razem szok wywołany zimną wodą wcale nie gasi żaru.

Czuję rozlewające się po moim ciele pragnienie, które zaczyna się w podbrzuszu i rozchodzi coraz niżej, aż dociera w miejsce, do którego nie powinno. A potem przypominam sobie sposób, w jaki zagryzał zębami dolną wargę i jak jego ciężkie spojrzenie spoczęło na moich ustach. Gorąco ponownie ogarnia moje ciało. Czuję je w żołądku. Dociera do piersi. W roztargnieniu przesuwam dłoń wzdłuż obojczyka, wsuwam ją pod materiał bikini i pocieram twarde i obolałe sutki. Drzę z podekscytowania, gdy łapię go pomiędzy kciuk a palec wskazujący.

Założę się, że byłoby jeszcze lepiej, gdyby on to robił. Zwłaszcza tymi wielkimi dłońmi i silnymi palcami, w których papieros wygląda niczym igiełka. Myślę, że ma szorstkie dłonie i ciężki dotyk.

A potem zastanawiam się, co by się stało, gdybym wtedy w mroku odpowiedziała szczerze na jego pytanie.

Ciebie.

Przesuwam dłoń po brzuchu i wsuwam ją między nogi. Czuję ciepłą i lepką wilgoć, a gdy wkładam w nią palec, moje ciało się budzi.

Co by zrobił, gdyby to jedno słowo padło z moich ust? Wyobrażam sobie, jak jego kwadratowa szczęka się wyostri, a wzrok ciemnieje. Jedną dłoń unieruchamia mnie przy ścianie, a drugą chwyta brzeg mojej sukienki i niecierpliwie podsuwa ją w górę, odsłaniając moje nagie uda. Nie byłby delikatny, a ja w głębi duszy wiem, że właśnie tego bym chciała.

Wzdycham, wsuwam palec w napiętą łechtaczkę i zaczynam ją pocierać okrężnymi ruchami. Angelo Visconti dotykałby mnie w zupełnie inny sposób. Irytuje go mocno, więc nie siliłby się na delikatność. Zdarłby ze mnie stringi i mocno mnie tam złapał. Nie bawiłby się, aby zapewnić mi orgazm, ponieważ mężczyźni tacy jak on tego nie robią. Wymusiłby go swoimi długimi, potężnymi palcami.

Zagryzam wargę i wsuwam palec w dziurkę, wyobrażając sobie, że to jego dłoń mnie otwiera. Nie mogę się pohamować. Opieram

biodra o dłoń, aby wzmocnić tarcie i gonię za wytchnieniem, którego tak bardzo potrzebuję. Tył mojej głowy aż po uszy wynurza się i zanurza w wodzie, gdy macham nogami, aby utrzymać się na powierzchni. *Boże, ale mi dobrze.* Trzepoczę rzęsami i dostrzegam przelatującą nad głową mewę, lecz gdy moje spojrzenie przesuwa się na brzeg, zamieram.

Na plaży dostrzegam zarys postaci. To mężczyzna. Jest ubrany w elegancki granatowy garnitur i śnieżnobiałą koszulę.

Ten widok mrozi mi krew w żyłach.

Nie. Niemożliwe...

Lecz sylwetki Angela nie sposób przegapić. Wysoki i dobrze zbudowany rysuje się na tle domu. Spogląda prosto przed siebie. Stoi w rozkroku, a dłonie ma wetknięte w kieszenie spodni. Wystarczająco dużo mu się przyglądałam, aby mieć pewność, że to on.

Kurka, kurka, kurka.

Gdy słona woda omywa mi usta, nagle uświadamiam sobie, że już nie pływam i natychmiast poruszam rękami i nogami, aby utrzymać się na wodzie. *Co, do diabła, on tu robi? Czy mnie widzi?*

Oczywiście, że tak. To pierwsza zasada, jakiej podczas biwakowania nauczył mnie ojciec. Gdy widzisz drapieżnika, zakładaj, że on również cię dostrzega.

Fala unosi mnie kawałek w stronę brzegu, ale leżąc na plecach, próbuję się oddalić i wypłynąć dalej.

Zanurzam się głębiej i zerkam na niego spod mokrych rzęs. Moje wspomnienie z zeszłego wieczoru jest owiane mgiełką mroku, dżinu i nikotyny. To czyni go potężniejszym, seksowniejszym i bardziej przerażającym. Być może mogłabym zapomnieć, że przyprawiał mnie o zawroty głowy i pulsowanie łechtaczki w mroku, gdyby nie fakt, że czuję dokładnie to samo w jego obecności w zimnym świetle poranka. Dzieli nas około trzydziestu metrów, a mimo to jego rozmyty kontur wystarcza, aby żar, kłucie i żądza napełniały moje żyły, a sieć nerwów między moimi udami błagała o dotyk.

Już sam jego cholerny obraz pozbawia mój mózg racjonalnego myślenia. Wsuwam dłoń w majtki. Tym razem nie muszę zamykać oczu, aby go sobie wyobrazić. Po prostu wpatruję się w niego przez fale. Wyobrażam sobie, że mnie dostrzega, a jego spojrzenie

ciemnieje i niecierpliwie zrywa garnitur od Armaniego, aby dołączyć do mnie w wodzie. Zapewne świetnie pod nim wygląda. Myślę o tym, jakie mięśnie naprężą się i skurczą na jego plecach, gdy będzie do mnie płynął szybkimi ruchami. Wyobrażam sobie, jak rozpalone i twarde okazałoby się jego ciało w dotyku z moim.

Zrywa się wiatr i jęczę wraz z nim, nie odrywając wzroku od imponującej sylwetki na brzegu. Potem moja dłoń staje się jego dłonią i wsuwa we mnie te wielkie palce. Ścianki mojej pochwy delikatnie pieką, gdy rozciągają się, aby dostosować się do jego grubości i tempa. Jego dotyk jest szorstki, ale dołek między szyją a obojczykiem ciepły. Boże, cudownie pachnie. Ocieram się o jego wilgotną skórę, aby dostać więcej, a właściwie wszystko.

Osiągam szczyt swojej chorej fantazji. Mam w sobie dwa palce, nasadą dłoni ocieram łechtaczkę. Wolną dłonią sięgam pod materiał bikini, ściskam i wykręcam sutki, aż każdy nerw w moim ciele pulsuje nieznaną energią. Jestem bliska orgazmu i spoglądam na Angela zamglonym wzrokiem, przez półprzymknięte powieki, pocierając się mocniej i szybciej. Czuję się rozgrzankowana. Boże, pragnę go. Chcę poczuć go w sobie. Mam ochotę przekonać się, jak to jest się z nim złączyć.

Nadchodzi chwila spełnienia.

Rzucam Angelowi jeszcze jedno ukradkowe spojrzenie. Widzę jego niewzruszone oblicze i dochodzę. Żądza omywa mnie niczym fala. Zanurzam się w niej bez wahania, odrzucając głowę do tyłu i wydając okrzyk na wiatr. Czuję przypływ adrenaliny i uświadamiam sobie, że po to żyję. Gonię za tym hajem. Dlatego nieustannie robię złe rzeczy i pragnę pilotować samoloty. Również z tego powodu balansowałam nad krawędzią klifu, jedną tenisówką ocierając się o nicość.

Masturbuję się na myśl o bratanku Alberta, który stoi zaledwie kilka metrów ode mnie, nieświadomy tego, co dzieje się na jego oczach.

Gonię za niebezpiecznym życiem w miejscu, które ledwo pozwala mi na przetrwanie.

Pulsowanie między udami zamienia się w subtelne łaskotanie, a mój oddech wraca do naturalnego rytmu. Nadal odczuwam haj z powodu tego grzechu i wracam na brzeg z uśmiechem na twarzy.

Gdy robi się wystarczająco płytko, a kamyczki ocierają się o mój brzuch, unoszę podbródek i pozwalam sobie zerknąć w kierunku Angela. Podnosi papierosa do ust, ale jego dłoń nieruchomieje w momencie, gdy wynurzam się z wody.

Wpatrujemy się w siebie. Zupełnie jak w sytuacji, gdy napotyka się po raz pierwszy egzotyczne zwierzę w dziczy. Wyglądam, jakbym nigdy nie widziała mężczyzny w szytym na miarę garniturze, a on jakby do tej pory nie miał do czynienia z prawie nagą dziewczyną. Nagle się zatrzymuję, a moje serce wali szybko. Nogi trzęsą mi się po zabawie w wodzie, lecz nie było to przeżycie, które uniemożliwiłoby mi chodzenie.

Jego spojrzenie staje się surowe, gdy powoli odkłada papierosa do paczki, którą chowa do kieszeni. Pociera szczękę i przełyka ślinę. Potem jego wzrok przesuwa się po moim obojczyku i śledzi ruch kropli wody spływających na moje piersi i znikających pod strojem.

Moje serce łomocze. Czuję, że twardnieją mi sutki. Wiem, że materiał bikini jest na tyle cienki, że to zauważa.

Chcę przerwać ten niezręczny moment, więc przerzucam ciężkie włosy nad ramieniem i wykręcam je niczym sweter. Ten gest wywołuje warknięcie z jego rozchylnych ust.

Czuję się zuchwale po zabawie w oceanie, więc odważam się przerwać ciężką ciszę jako pierwsza.

– Co tutaj robisz?

Zaciska usta i odwraca wzrok w stronę rozciągającego się nad moim ramieniem horyzontu.

– Przecież obiecałem, że w środy i soboty będę zabierał cię na wizyty u ojca.

Z jakiegoś powodu ton jego głosu nie brzmi równie obojętnie co zwykle.

– O, tak. – Siłę się na nonszalancję, lecz moje umiejętności aktorskie nie sięgają aż tak daleko. – To pójdę się przebrać.

Nie odzywa się słowem. Zamiast tego wpatruje się przed siebie z takim żarem tłącym się w spojrzeniu, że wystarczyłoby go, aby podpalić Ocean Spokojny. Robię krok w jego kierunku, a potem przechodzę obok i ocieram się wilgotnym ramieniem o jego suchy garnitur. Nagle czuję silne szarpnięcie za sznureczek fig i gwałtownie się zatrzymuję.

Co, do diabła?

Spoglądam skonsternowana na jego palec wskazujący, który zahacza o cienką wstążeczkę mojego dołu od bikini. Serce zamiera mi tak nagle, jakbym miała zemdleć. *Dotyka mnie*. Jego kostki parzą moją nagą skórę. Nie umyka mi fakt, że jeśli szarpnę się nawet delikatnie, to moje majtki wylądują na piasku.

Krew dudni mi w uszach. Zerkam w górę, lecz on nadal wpatruje się w ocean. Jedyнным ruchem, jaki da się dostrzec w jego ciele, jest pulsująca szczęka.

– Gdybyś należała do mnie i ubierała się tak w otoczeniu innych mężczyzn, zerwałbym z ciebie te skąpe figi, a potem dałbym ci tyle klapsów w tyłek, że nie mogłabyś na nim usiąść.

Jego głos jest stanowczy. Każde słowo jest krótkie i gorzkie, a oblicze nadal pozostaje zagadką. Nie okazuje żadnych emocji.

Stoimy obok siebie przez jakiś czas. Czuję, jakby to trwało wiele minut.

Jego groźba zawisa między nami. W końcu jego dłoń opada i uwalnia mnie.

Próbuję złapać oddech. Potykam się na piasku, zbierając dresy w locie i starając się nie upaść pod ciężarem jego słów.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Rory

Zanim wślizguję się do zaparkowanego na frontowym podjeździe sportowego wozu, udaje mi się przekonać samą siebie, że wyobraziłam sobie tę całą wymianę zdań. Nie ma znaczenia, że moje biodro płonie, jakbym została napiętnowana rozpalonym żelazem, a do tego nie mogę skupić myśli na niczym innym niż jego pulsująca szczeka. Angelo Visconti nigdy nie podnieciłby się taką dziewczyną jak ja. Co najwyżej go denerwuję. Na pewno nie zaprzątam jego myśli.

Wyglądam przez przednią szybę, gdy nagle drzwi stają otworem. Ze strachu aż podskakuję.

Angelo opiera się ręką o dach, pochyla się i przyszpila mnie zirytowanym spojrzeniem. *Sama widzisz, Rory. Jesteś dla niego małą, irytującą dziewczynką.*

– Nie sądzę, że dasz sobie radę z czymś tak dużym.

– Hmm? – Mrugam.

Wskazuje głową na deskę rozdzielczą i dopiero wtedy uświadamiam sobie, że siedzę za kierownicą.

– Ach, o... – Rozglądam się skonsternowana. – Ja...

– To brytyjski samochód. – Odpycha się od auta, by zrobić mi przejście. – Wysiadaj.

Przemykam koło niego, okrążam wóz i niechętnie wskakuję na miejsce pasażera. Gdy grzebię się z pasem, wpatruje się we mnie ze zniecierpliwieniem, wystukując jednostajny rytm o kierownicę. W końcu słyhać kliknięcie, a wtedy napotykam jego spojrzenie.

– Dobrze? – Unosi brew.

Nie.

– Tak.

Wyjeżdżamy z podjazdu i ruszamy zwirową drogą. Czuję bijący od niego żar. Równie dobrze nad jego głową mógłby wisieć neonowy

znak ostrzegawczy: „Nie odzywaj się do mnie”. Napięcie jest namacalne. Jeśli chwilę dłużej będę zmuszona siedzieć w milczeniu i pocierać spocone dłonie o legginsy, to oszaleję.

– To już trzeci samochód, w którym cię widzę. Po co ci tyle aut?

– Z tego samego powodu, dla którego ty nie możesz trzymać swoich lepkich paluszków od rodzinnych klejnotów, Sroczo. – Zwalnia, gdyż przed nami rozciąga się żelazna brama. Czekać, aż się otworzy, niecierpliwie wystukuje o kierownicę rytm. – Lubię dreszczyk emocji.

– Nie kradnę dla frajdy – rzucam.

– Jasne.

– Serio. – Czuję, że palą mnie policzki.

– To jaki masz powód? – pyta w sposób sugerujący, że nie jest zainteresowany odpowiedzią. – Wyjdiesz za bardzo bogatego człowieka, Auroro. Nie potrzebujesz pieniędzy.

Przestaję pocierać dłonie o uda i zaciskam je w pięści.

– Nie wychodzę za twojego wujka dla pieniędzy – syczę. Uderzam głową o zagłówek, zamykam oczy i zgrzytam zębami. *Chryste.*

Nawet jeśli Angelo dostrzega, że moje podirytowanie zaczyna zbliżać się do poziomu jego wściekłości, to udaje, że tego nie zauważa.

– Dlaczego, do cholery, za niego wychodzisz? – odwarkuje z jadem w głosie.

Unoszę brew. Ten facet prawie zieleje ogniem ze złości. Kącikiem oka obserwuję, jak gwałtownie porusza się jego jabłko Adama.

– Czy to dlatego, że lubisz jak świńscy staruszkowie zabawiają się twoją cipką?

W czym, do diabła, ma problem? Mam ochotę go o to zapytać, ale zamiast tego coś innego wyślizguje się z moich ust.

– Czy to życzeniowe myślenie? Sądzisz, że miałbyś szansę, gdyby tak było?

Mija chwila. Cisza odbija się echem od sufitu i sprawia, że się wzdrygam.

Potem Angelo wybucha śmiechem. Swobodnym, beztroskim śmiechem, odsłaniając piękne zęby. Nagle czuję się ośmieszona. Jaka jestem naiwna, że czytam między wierszami za każdym razem, gdy przebywam w jego towarzystwie.

Jestem kretynką, skoro przyszło mi do głowy, że może być zazdrosny. Jak mogłam pomyśleć, że chciałby mnie pocałować.

Czuję nagłe swędzenie pod skórą. To znajome uczucie sprawia, że chcę się zemścić i zrobić coś złośliwego. Mogłabym porysować jego luksusowy samochód albo nafaszerować papierosy cyjankiem. *No, może nie aż tak.*

Czuję pragnienie popełnienia złego uczynku. Obudziłam się już sfrustrowana. Nie mogę zrobić niczego podłego, ponieważ nie mam już możliwości wyznawania grzechów.

Opieram się o szybę. Poranna wilgoć chłodzi moje czoło. Zamykam oczy.

Angelo pędzi niczym szalenciec i udaje mu się skrócić o połowę czas podróży do Devil's Dip. Docieramy na miejsce szybciej niż w pół godziny i zatrzymujemy się przy kościele. Posyłam tęskne spojrzenie w kierunku budki telefonicznej, marząc by się w niej zaszyć i wybrać numer, nawet jeśli tylko po to, aby usłyszeć znajomy głos automatycznej sekretarki. Gotuję się ze złości. Jednocześnie budka służy mi za przypomnienie, że nie mogę być zbyt nieprzyjemna dla Angela. To, że nie odsłuchał moich grzechów, nie oznacza, że nie może tego zrobić. Jestem pewna, że sprawę załatwiłoby wystukanie kilku klawiszy na jego znajdującej się na desce rozdzielczej komórce.

Wyłącza silnik i rozkłada się w fotelu.

– Masz godzinę.

Bez słowa wyskakuję z samochodu. Ruszam w dół, nie oglądając się za siebie.

Co jest z tym mężczyzną? Raz jest rozpalony, raz oziębły. Działa niczym zepsuty grzejnik. W jednej chwili uczy mnie palić w ciemnej alejce, w następnej wyzywa od naciągaczek i złodziejek.

Gdy pod moimi traperami chodnik przemienia się w dywan złotych i czerwonych liści klonowych, wyrzucam komentarze Angela z głowy. Wejście do lasu jest niczym wkroczenie do innego świata. Mojego świata. Takiego, w którym zapominam o wszystkim, co istnieje na zewnątrz.

Wchodzę głębiej w las i zostawiam za sobą panujący na drodze hałas. Towarzyszą mi nowe dźwięki. Opadłe liście szeleszczą pod stopami, topiąc się w papkę. Gałęzie klonów i jesionów stają się gęstsze nad moją głową. Przepuszczają zaledwie odrobinę światła,

które przesącza się przez liście i wskazuje mi drogę. Lecz nie miałyby znaczenia, gdyby było inaczej, ponieważ znam ten las lepiej niż własne ciało.

Gdy zaczynają się drzewa iglaste skręcam ostro w lewo, zbaczam ze szlaku i zanurzam się w gęstwinę lasu. Przeskakuję przez niewielki strumyk, nad którym razem z ojcem bawiliśmy się w misiepatysie¹⁹, gdy byłam mała. Głaszczę pień starego dębu, który stoi samotnie na środku pustej polany. Mama czytywała mi na dobranoc opowieści Enid Blyton z serii *Zaklęty las*²⁰ i twierdziła, że są one oparte na naszym drzewie. Wystawałam pod nim godzinami, mrużąc oczy w okularach i wpatrując się w najwyższe gałęzie, by sprawdzić, czy uda mi się dostrzec znajdujące się tam magiczne krainy.

Gdy zarośla się przerzedzają, zwalniam. Wyjmuję komórkę z kieszeni bluzy i daję znać jednej z trzech osób zapisanych na liście wybranych numerów w telefonie:

Dotarłam na miejsce.

Natychmiast otrzymuję odpowiedź.

Jesteśmy w ambonie.

Jak zwykle przed spotkaniem z ojcem czuję podenerwowanie, ponieważ zawsze istnieje szansa, że dzisiejszego dnia będzie... inny.

Wychodzę na brzeg i obchodzę jezioro, aż docieram do drewnianego molo. Wędruję nim w kierunku znajdującej się na jego końcu niewielkiej chatki zbudowanej nad ziemią. Gdy prawie docieram na miejsce, zdejmuję z palca pierścionek i chowam go do kieszeni.

Wietrzyk wzdłuż molo niesie dobiegający z chatki miękki głos Melanie.

– Chester, zjawiała się twoja córka. Jesteś gotowy na spotkanie?

Brak reakcji. To nie jest dobry znak.

Moje serce zamiera. Przyspieszam, zatrzymuję się przed wejściem i pukam w drewnianą ścianę.

– Cześć, tato! – wołam z szerokim uśmiechem, od którego aż bolą mnie policzki. A potem czekam.

Zgarbiony, w okularach zatkniętych na nosie wygląda przez okno. Nie porusza się na dźwięk mojego głosu. Czekam chwilę dłużej, a mój puls przyspiesza. Melanie posyła mi delikatny uśmiech, a potem jej wzrok przesuwają się na mojego ojca.

– Chester? Przyszła Rory.

Mój ojciec wydaje z siebie westchnienie, po czym zdejmuje okulary, które zawisają na łańcuszku na jego piersi.

– Na litość boską, Mel. Spłoszyłaś rybaczka popielatego. Słyszałem cię za pierwszym razem.

Czuję ogromną ulgę, a moje ciało się odpręża. Potem uśmiecham się szczerze, wchodzę do chaty i obejmuję ojca.

– Przykro mi, tato – mówię do niego, wdychając znajomy zapach jego mydła i dezodorantu Old Spice. – Wiem, jak bardzo kochasz rybaczki popielate.

Klepie mnie po plecach, a jego pierś wibruje od ataku śmiechu.

– Chyba przeszkodził mi w śniadaniu. Przyleciał nad jezioro wcześniej rano, aby schrupać trochę kijanek.

Po chwili odsuwa się.

– Miło cię widzieć, Rorysiu-misiu – dodaje.

Moje serce rozpira radość. Odwracam się, by nie zobaczył zbierających się w moich oczach łez.

Chester Carter. Każdy w Devil's Dip reaguje na jego imię czułym uśmiechem. Jest znany wszystkim jako strażnik leśny. Lecz młodszy mieszkańcy kojarzą go również jako „Człowieka od ptaków”, ponieważ zjawiał się na spotkaniach organizowanych w szkołach na całym Wybrzeżu i nauczał o ptakach zamieszkujących te rejony. Pomimo że przeszedł na emeryturę i nie wykonuje już żadnego z tych zajęć, nadal codziennie zakłada mundur. Pod pikowaną kurtką, jego szara koszula wisi luźniej niż zwykle. Musiałam też wybić nową dziurkę w jego pasku, podtrzymującym czarne spodnie. Mimo tego nadal prezentuje się całkiem nieźle.

– Przegapiłaś czapkę modrą. Widziałem ją wczoraj – oznajmia z dumą, wyglądając przez okno na jezioro. – Pamiętasz, kiedy ostatnio jakąś widzieliśmy? To było razem z twoją mamą.

– Ach – odpowiadam, przełykając gulę w gardle. Potem schodzimy razem na dół. Biorę go pod ramię i wyprowadzam na molo. – Idealny dzień na wyprawę łódką, nie sądzisz?

Klepie mnie po dłoni, śmiejąc się.

– Pewnie. Mogę trochę poćwiczyć. Mel? – Wyciąga szyję, aby ją odnaleźć. – Popływasz z nami?

– Mel chętnie zostanie na molo – mówię, zanim sama zdoła udzielić odpowiedzi. Nawet na nią nie patrzę. Chociaż ona oraz jej pielęgniarki dobrze zajmują się moim ojcem, to jednak zostały wynajęte przez Alberta. Nie wiem, czy mogę jej ufać. Może być kolejną Gretą i zdawać ze wszystkiego raporty. Dlatego zawsze nalegam na wyprawę łódką. Chcę pobyć z ojcem z daleka od wścibskich oczu i uszu.

Skrępowana Mel zostaje na pomoście. Pomagam ojcu wsiąść do łódki i sadzam go na ławeczce naprzeciwko siebie. Macha do niej z uśmiechem, gdy za pomocą wiosł odpycham nas od pomostu, starając się nakierować łódkę na środek jeziora.

– Uroczy dzień – stwierdza ojciec, wpatrując się zmrużonymi oczami w szare niebo. – Nie tak jak w zeszłym tygodniu, gdy lało jak z cebra, a ty zmusiłaś mnie do tej przejażdżki.

Rzuca mi psotne spojrzenie i oboje się śmiejemy.

– Uwielbiasz deszcz.

– Nie. Po prostu przepadam za spędzaniem czasu z tobą – odpowiada miękko, wyciągając dłoń i ściskając moją rękę. Gdy ją zabieram, zdaję sobie sprawę, że wcisnął mi do ręki cukierka o smaku mięty pieprzowej. – Rorysiu-misiu, jak idzie ci w szkole?

Biorę powolny wdech i zmuszam się do uśmiechu. Wmówienie tacie, że w końcu idę do akademii lotnictwa Northwestern było najłatwiejszym sposobem, na jaki wpadłam, aby wyjaśnić mu, czemu nie mogę już z nim mieszkać. Nienawidzę go okłamywać i przyprawia mnie to o bóle brzucha. Lecz to o wiele wygodniejsze rozwiązanie niż wyznanie prawdy.

– Dobrze sobie radzę – chełpię się, wkładając twardego cukierka do ust. – Wszystko świetnie się układa. Opowiedz mi więcej o tej czapli modrej, którą wczoraj widziałeś.

– To bardzo miło z ich strony, że wypuszczają cię dwa razy w tygodniu, abyś mogła mnie odwiedzać – mówi, ignorując moje próby zmiany tematu. – Bardzo elastyczne, jak na taką prestiżową szkołę. Latasz już samodzielnie?

Jego zmarszczki wokół oczu się pogłębiają.

– Ach, Rory. Twoja mama byłaby z ciebie taka dumna.

Słowa ojca spoczywają na mojej piersi niczym tona kamieni, utrudniając mi oddychanie. Mama nie byłaby ze mnie zadowolona z

wielu powodów. Chociaż zawsze odczuwała rozgoryczenie, że to ojciec wpoił mi dużo umiejętności, to ona również nauczyła mnie wiele. Dzięki niej wiem, że kłamstwo jest złe, a najgorzej jest okłamywać rodzinę. Zawsze też powtarzała, że jedynym wartym poślubienia mężczyzną jest ten, którego się kocha.

Zawiodłam ją pod każdym względem.

Czas ucieka w wicherze gorzkiej nostalgii i wspomnień, które przyprawiają mnie o ból serca. Gdy ojciec zaczyna szcząkać zębami, zerkam na zegarek w komórce.

– Lepiej wracajmy, tato – wzdycham.

Wiosłuję z powrotem w stronę pomostu. Rzucam linę do Mel, aby pomogła mi zacumować łódkę.

Mój ojciec zatrzymuje się na końcu mola i rozciera dłonie.

– Chodźmy, kochana. Wracajmy do domu na gorącą herbatę. Zamarzniesz bez odpowiedniej kurtki.

Zatrzymuję się. *Kurka*. Co ja bym dała, aby wrócić teraz z ojcem do domu, posiedzieć przed kominkiem w salonie, przy herbacie i tacy z ciasteczkami, by wysłuchiwać jego opowieści.

Nasze spojrzenia się spotykają. Jego jest ciepłe i oczekujące, a moje grozi zdemaskowaniem.

– Nie mogę – szepczę.

Marszczy gęste brwi.

– Nie? Musisz już lecieć? – Zerka na zegarek. – Ale to jeszcze nawet nie jest pora obiadowa.

Mój żołądek zaciska się w węzeł i tym razem czuję tak ogromną gulę w gardle, że nie dam rady jej przełknąć.

– Rory? – Podchodzi bliżej i kładzie mi dłonie na ramionach. – Co się stało, kochanie?

– Ja...

– W poniedziałek ma bardzo ważny egzamin – przerywa nam Mel, wchodząc między nas i delikatnie dotykając pleców ojca. – Musi się uczyć. Dlatego powinna się już zbierać. Prawda, Rory?

Trzepoczę rzęsami i potakuję.

– Przykro mi, tato. – Za moimi przeprosinami kryje się coś więcej niż to niewinne kłamstewko. – Może następnym razem.

Kolejne kłamstwo. W następnym tygodniu również nie wybiorę się z nim do domu. To, co mamy tutaj, nie ma szansy zaistnieć tam.

Żegnam się tak radośnie, jak tylko mi się udaje i ze wspomnieniem jego pocałunku na policzku wyruszam w drogę powrotną przez gęsty las. Spieszę się, ponieważ nie chcę się rozkleić. Łzy szczypią mnie w oczy, ale nie pozwalam sobie na płacz. Od śmierci mamy nie uroniłam żadnej łzy i nie mam zamiaru tego zmieniać.

Poszycie leśne prowadzi mnie na żwirową ścieżkę, dając znać, że zaraz dotrę do głównej drogi. Mrużę oczy w promieniach słońca, unoszę wzrok i dostrzegam Angela, który opiera się o maskę samochodu i rozmawia przez komórkę. Śledzi mnie wzrokiem, gdy ruszam w jego stronę, a gdy jestem na tyle blisko, że mogę usłyszeć jego rozmowę, gwałtownie się rozłącza.

Wsuwa telefon do kieszeni koszuli i przesuwa wzrokiem po moich stopach.

– Na pewno nie wsiądziesz w nich do samochodu.

Spoglądam na swoje unurzane w błocie buty.

– To przejdę się piechotą.

Gdy odwracam się w stronę Devil's Cove, łapie mnie za nadgarstek.

– Nie ma szans – warczy. Zaciska usta w wąską kreskę i naciska guzik w kluczyku. Kłapa bagażnika się podnosi. – Siadaj.

Jestem zbyt emocjonalnie wyczerpana, aby się kłócić. Siadam na krawędzi bagażnika, a Angelo staje przede mną. Mamrocze przekleństwa pod nosem, podwija spodnie i klęka na jedno kolano. Potem bez ostrzeżenia łapie mnie za udo.

Kurka wodna. Każdy mięsień w moim ciele się spina. Nie wiem, czego się spodziewałam, gdy zażądał, abym wsiadła do bagażnika, ale na pewno nie tego. Zerkam na jego gorącą i ciężką dłoń. Pali mnie przez cienki materiał legginsów. Gdyby przesunął ją pół centymetra wyżej...

Wiruje mi w głowie. Nie chcę pozwolić myślom zapuszczać się w te rejony. Skupiam się na jego ramieniu. On drugą dłonią zdejmuję mojego buta. Zamiera i opada na pośladki. Na jego ustach gości rozbawienie.

– Co? – rzucam.

Lecz potem śledzę jego wzrok przesuwany po moich skarpetkach. Są szare ze wzrokiem w małe, pomarańczowe dynie. Natychmiast oblewam się szkarłatem.

– Jest prawie Halloween – mamroczę. – To odświętne skarpety.
– Odświętne – wzdycha, zasłaniając dłonią uśmiech goszczący na ustach. – Urocze.

Urocze. Z jakiegoś powodu jego słowa sprawiają mi przykrość. Wolałabym być irytująca, a nie urocza. Zasufladkował mnie w taki sposób, że mężczyzna jego pokroju nawet nie fatygowałby się, aby do takiej szuflady zajrzeć.

Zaciskam oczy. *Przestań, Rory.* Przekroczyłam już dzisiaj granicę swoim małym wyczynem w oceanie.

Założę się, że kobiety, z którymi spotyka się w Londynie, wyglądają jak supermodelki. Pewnie odnoszą sukcesy jako prawniczki, lekarki czy księgowe. Przez cały czas noszą szpilki, a nie tylko wtedy, gdy są do tego zmuszane. Pewnie nigdy nie założyłyby puchatych skarpetek. W ich garderobie znajdują się tylko podwiązki i seksowne pończochy.

Czuję ciarki pod skórą. Spoglądam na czubek głowy Angela. Kładzie dłoń na moim drugim udzie, tym razem wyżej i zdejmuje mi drugiego buta. Kiedy się podnosi, ze zgrozą przygląda się swoim brudnym kolanom.

– To dlatego takie dziury jak ta nie nadają się do zamieszkania – burczy, pochylając się i czyszcząc kolano. – Co za syf.

– Też tutaj dorastałeś – rzucam. – Co, do diabła, robiłeś jako dziecko?

Jego twarz przybiera kwaśny wyraz, a uśmiezek rozświetla jego twarz.

– Odliczałem dni, aż będę mógł stąd spieprzyć.

– Na pewno.

– Nigdy nie chciałaś wyjechać?

Wypuszczam powietrze z płuc i kieruję wzrok w stronę nieba. Widzę przelatujący daleko nad klifami samolot. Zanim Alberto odebrał mi komórkę, miałam aplikację do śledzenia trasy przelatujących w pobliżu samolotów. Uwielbiałam z niej korzystać. Ten pewnie leci do Ameryki Środkowej. Przynajmniej zmierza w tym kierunku.

– Oczywiście. Lecz nie dlatego, że to syf. Uwielbiam przyrodę Devil's Dip. – Zakładam zabłąkany lok za ucho i dodaję. – Chciałam wyjechać z powodu ludzi.

- Ludzi takich jak ja i moja rodzina. – Śmieje się ze smutkiem.
- Chodziłeś do Akademii Devil's Coast?
- Oczywiście.
- To tak. Ludzi takich jak ty i twoja rodzina.

Mruży oczy. Otwiera usta, a potem je zamyka. Jakby chciał zadać pytanie, ale w pewnej chwili się rozmyśla.

Szczerze mówiąc, nie wiem, czemu w ogóle wspomniałam o akademii. Moja przeszłość to nie jego sprawa.

– Chodźmy – mamroczę i zeskakuję z bagażnika. Uświadamiam sobie, że wdepnęłam w błoto, którego potem nawlokę do jego cennego samochodu. A wtedy cały pokaz ze ściąganiem moich zabłoconych butów pójdzie na marne. Angelo dochodzi do takiego samego wniosku, ponieważ zwraca uwagę na moje odziane w brudne skarpety stopy, a potem zanurza głowę do bagażnika.

Bez ostrzeżenia bierze mnie na ręce. O kurka. Nagle przez jego bliskość czuję się, jakbym była pijana. Mój policzek ociera się o zarost na jego szyi. Walczę z pokusą, aby się w niego zatopić, wdychać ciepły zapach jego płynu po goleniu i niebezpieczeństwa.

Niesie mnie, jakbym była lekka jak piórko, a potem zaskakująco delikatnie sadza na siedzeniu pasażera.

Staram się złapać oddech, gdy on okrąża samochód i wciska się na miejsce kierowcy. Moje skronie nadal dziko pulsują, więc zajmuje mi chwilę uświadomienie sobie, że nie zawrócił na przybrzeżną drogę do Devil's Cove, ale zmierza do centrum Devil's Dip.

- Dokąd jedziemy? – *Nie odpowiada.* – Hej?
- Ile masz lat, Auroro?
- Dwadzieścia jeden. – Przełykam ślinę.
- Dwadzieścia jeden. Chryste. – Jego szczęka się zaciska.
- Do czego zmierzasz? – odgryzam się, a moja twarz oblewa się rumieńcem.

Zagryza wnętrze ust, gdy wyjeżdżamy na główną ulicę. Samochód trzęsie się i tłucze na wybrukowanej uliczce.

– Chcę, abyś pomyślała o dzieciakach z twojej klasy w szkole. Również z młodszych i starszych roczników. Znasz mężczyznę, który ma bliznę na policzku?

- Co? Dlaczego?
- Ucisz się i odpowiedz na moje pytanie.

Jad w jego głosie wbija mnie w siedzenie. Mrugam, a potem potrząsam głową.

– Wiele osób stąd ma blizny na twarzy. To miasteczko portowe. Każdy wykonuje pracę fizyczną. No i jest jeszcze las... można się w nim trochę poobdzierać.

– A kogoś, kto jest kompletną cipą? – Odskakuję na dźwięk tego słowa. Zerka na mnie i uśmiecha się krzywo. – Mam na myśli osobę, która jest totalną... głupią gęsią?

– Sama użyłabym określenia „głupia gąska”.

– Nie zmuszaj mnie, abym ponownie cię o to zapytał.

Zdmuchuję z twarzy niesforny lok, a moje serce wali mocno.

– Jezu. Okej, daj mi pomyśleć... Ryder Sloane. Ma bliznę. A może to ślad po oparzeniu? Tak czy siak, ma coś na twarzy. W szkole zawsze zachowywał się jak kompletny kretyn. Właśnie wyszedł z więzienia.

– Zamieniam się w słuch. – Unosi głowę.

– Zaatakował kwasem dziewczynę. Swoją byłą. Odeszła od niego, a on wpadł we wściekłość i pewnego wieczoru podążył za nią z baru do domu. – Pocieram gardło, myśląc o biednej Nicole. Nikt nie ujrzał jej przez ponad rok. Niektórzy mówili, że wychodzi tylko nocą, ponieważ ma tak zniekształconą twarz. – Dostał cztery lata.

Angelo kiwa głową i chłonie każde moje słowo, mimo że mówię bezsensownie.

– Okej, Ryder Sloane. Wiesz może, gdzie mieszka?

– Nie. Lecz wiem, że pracuje w sklepie z rowerami u swojego ojca.

– Gdzie?

Wyciągam szyję i zerkam przez tylną szybę.

– Właściwie to przed chwilą minęliśmy ten sklep.

Prędkość, z jaką zawraca samochód, rzuca mnie na szybę. Gdy uświadamiam sobie, co wyprawia, zamieram.

– Angelo...

– Zostań w samochodzie.

Moje serce wali jak szalone, lecz wszystko, na co mnie stać, to gapienie się, jak parkuje na chodniku przed sklepem z rowerami i prawie wjeżdża w skrzynkę pocztową.

Gdy odpina pas i sięga do drzwi, moja dłoń szybko łapie go za marynarkę. Mężczyzna na chwilę zamiera. Jego spojrzenie

prześlizguje się po mojej zaciśniętej dłoni, a potem twardnieje, jakby nie mógł uwierzyć, że mam czelność go dotykać.

Lecz nie warczy na mnie. Zamiast tego robi coś zwyczajnego i małosłownego. Coś, co nie powinno zapierać mi tchu w piersi.

Kładzie swoją dłoń na mojej i podnosi ją do twarzy, po czym pociera ją ustami.

– Zostań w samochodzie, Auroro – mamrocze, nie odrywając mojej dłoni od ust i sprawiając, że każde zakończenie nerwowe w moim ciele buzuje.

Zdyszana wycofuję się i bezradnie obserwuję, jak trzaska drzwiami i wkracza do sklepu. Przez okno dostrzegam wychodzącego zza kasy Rydera.

Co, do diabła, wyprawiasz, Angelo?

Nawet gdy robi trzy kroki w stronę Rydera, nadal nie wiem, co zamierza zrobić. Wymieniają kilka słów, a potem Ryder wywraca oczami. Zanim udaje mu się ponownie otworzyć usta, Angelo łapie go za szczękę i uderza nim o okno wystawowe.

O kurka. Krew dzwoni mi w uszach, sprawiając, że ciche rozmowy w radiu brzmią jak z oddali. Mimo tego, że Ryder jest zwrócony plecami do mnie, potrafię dostrzec jego strach. Młóci ramionami. Wyciąga dłoń, przeciąga nią po szybie i zostawia smugę potu.

Lecz praktycznie na niego nie patrzę, ponieważ nie mogę oderwać wzroku od Angela. Myślałam, że wiem, jakie to uczucie znosić jego piorunujące spojrzenie, ale myliłam się. Mocne rysy jego twarzy wyostrowają się niczym brzytwa i wyszczerza zęby wraz z każdym jadowitym słowem, jakie z siebie wypluwa. Powinnam kogoś ostrzec. Gdybym myślała rozsądnie, może nawet zadzwoniłabym na policję. Lecz to jak z mijaniem wypadku na autostradzie. Chorobliwa ciekawość nie pozwala odwrócić wzroku. W pewnej chwili Angelo podwija rękawy, odsłaniając umięśnione, opalone przedramiona. Moja ciekawość przemienia się w podniecenie.

Pulsowanie między nogami się nasila i twardnieją mi sutki.

Nigdy nie pragnęłam go bardziej niż w tej chwili.

Chryste, Rory. Spalam się, jak w gorączce. Nagle mam wrażenie, że mam na sobie za dużo ubrań, nawet jak na późnojesienny dzień. Zaczynam się ślinić na jego widok niczym pies ze wściekłością.

Zamykam oczy i wypuszczam z płuc powietrze, próbując odzyskać panowanie nad sobą.

I wtedy dociera do mnie huk rozbijanej szyby.

Moje oczy otwierają się i dostrzegam ciało Rydera przelatujące przez wystawowe okno. Szkło rozsypuje się po chodniku. Szarpię się do przodu, a potem zamieram z dłonią na klamce. Zmierzający w kierunku samochodu Angelo blokuje mi widok.

Nadzwyczaj spokojnie zapina pas, odpala samochód i odjeżdża, trzymając dłoń na skrzyni biegów.

– O co, do diabła, chodziło? – Otwieram usta.

– Niewłaściwa osoba. – Zerka do tylnego lusterka. – Jakieś inne pomysły?

Nawet gdyby mój mózg pracował wystarczająco dobrze by myśleć, nie ma szans, abym podała mu kolejne nazwisko. Doskonale zdaje sobie z tego sprawę, ponieważ bez słowa zawraca w kierunku nadbrzeżnej drogi i rusza w drogę powrotną do Devil's Cove.

Moje serce wali gwałtownie, jakby chciało się wyrwać z tego samochodu. Nadal czuję się cholernie rozpalona. Podkrecona. Przyłapuję się na wiciu się na skórzanym siedzeniu i tym, że moja lechtaczka domaga się czegoś więcej.

Jezu.

Opieram się o szybę, lecz tym razem nie gasi to mojego żaru. Obserwuję rozmazane niebiesko-szare barwy mijanego oceanu i staram się nie jęczeć za każdym razem, gdy ręka Angela ociera się o moje udo podczas zmiany biegów.

Jego przezwisko nabiera sensu. Nie wzięło się z pojedynczego czynu bezwzględności w poprzednim życiu. Nie chodzi o to, że przespał się z dziewczyną Dantego na balu maturalnym czy przestrzelił kolano kierowcy za skręcenie w złą uliczkę. To jego cecha osobowości. Wygląda, jakby potrafił to włączyć i wyłączyć niczym przełącznik światła. Na podstawie zwykłego przypuszczenia zastrzelił Maxa, a luźny opis wystarczył mu, aby wypchnąć Rydera przez szybę wystawową. Po wszystkim zachowywał się, jakby nic się nie wydarzyło.

Angelo jest zimnokrwistym zabójcą.

Zanim żelazna brama prowadząca do posiadłości Viscontich otwiera się, mam już odpięte pasy i, jeśli będzie trzeba, mogę

wyskoczyć z tego cholernego samochodu. Angelo zatrzymuje się na okrągłym podjeździe i gasi silnik.

– Podziękowałabym ci za podwózkę do domu, ale...

Urywam w połowie zdania, gdy jego dłoń zaciska się na moim udzie. Wstrzymuję oddech i zerkam w dół. Trzyma ją wyżej niż wcześniej. Właściwie tak wysoko, że jego mały palec ociera się o miejsce, w którym nogawka legginsów łączy się z kroczem.

Przełykam ślinę, a potem wypuszczam powietrze. Jestem oszołomiona.

Wpatruje się przed siebie i z obojętnością obserwuje przez przednią szybę posiadłość.

– Znasz zasadę.

– Ja...

– Grzech – rzuca gwałtownie. – Wyznaj mi grzech.

– Okej. – Oblizuję wargi. – Greta traktuje mnie okropnie. Więc, gdy układa mi włosy, szpilką rysuję jej tarczę zegarka.

– Chcę usłyszeć jakiś prawdziwy. – Pozostaje nieruchomy.

– Ten jest prawdziwy. – Mrugam.

Wrywa mi się westchnienie, gdy mocniej ściska moje udo. O kurczę. Nie cierpię, jak mój umysł stacza się do rynsztoka, gdy zastanawiam się, jak bym się czuła, gdyby dotknął mnie jeszcze wyżej. Zaciskam palce na siedzeniu, aby powstrzymać się od napierania na niego i skoncentrować uwagę na domu.

– Chcę usłyszeć lepszy grzech, Auroro – warczy.

– Ja... – *Nie mogę się skupić, gdy trzymasz tam swoją dłoń.* – Ja... Ja nie tylko ukradłam naszyjnik Vittori, ale też spinki do mankietów Tora, konsolę do gier Nintendo Switch Leonarda i należące do Dantego...

Ponownie ściska moje udo. Tym razem sygnał dociera do mojej cipki, sprawiając, że zaczyna pulsować. Oczekiwanie to za dużo. Nie mogę się powstrzymać, odrzucam głowę do tyłu i jęczę.

– Proszę, przestań.

– Nie przestanę, dopóki nie usłyszę prawdziwego grzechu.

Unoszę na niego wzrok i nawet z profilu widzę, że ma mroczne oblicze.

– Na przykład?

– Dobrze wiesz.

Czuję skurcz w piersi. Doskonale wie, co chce usłyszeć, jakiego wyznania oczekuje. Czyżby przesłuchiwał moje telefony? Natychmiast odrzucam ten pomysł. Gdyby tak było, już byłabym martwa. Do głowy przychodzi mi milion grzechów, które mogłyby go zainteresować, lecz mój oddech staje się coraz bardziej nierówny i nie jestem w stanie żadnego sprecyzować.

Trzepoczę rzęsami. Dostrzegam otwierające się drzwi wejściowe i pojawiający się w nich zarys Alberta. Mruży oczy i zerka w kierunku samochodu, a potem powoli schodzi po schodach.

– Angelo...

Wzmacnia uścisk i przesuwa mały palec o milimetr wyżej.

– Grzech. Teraz.

O kurka. Alberto przecina podjazd, a dłoń Angela praktycznie spoczywa na moje cipce.

– Nie wiem. Nie wiem...

– O, tak. Wiesz.

– Proszę – szepczę, a moje spojrzenie gorączkowo napotyka wzrok narzeczonego. Od samochodu dzieli go parę kroków. – Wypuść mnie.

– Czekam.

– Nie mogę.

– Nie daję ci wyboru, Auroro.

– Nie...

– Już.

Alberto mija przednie koło samochodu.

– Tego poranka w oceanie robiłam sobie palcówkę z myślą o tobie.

Z moich ust wydobywa się szybki, gwałtowny oddech. Angelo odwraca głowę i spogląda na mnie. Dostrzegam niewielki błysk w jego spojrzeniu. *Czy to szok? Może. A może złość?* Nie wiem i nie mam czasu na rozszyfrowywanie tego, ponieważ Alberto pochyła się i zagląda do środka.

Wzdycham i strzepuję dłoń mężczyzny z uda. Na szczęście zabiera ją i przesuwa nieznacznym ruchem na deskę rozdzielczą.

Puk, puk, puk. Odziana w pierścienie pięść Alberta wali w szybę.

Szczęka Angela porusza się w poirytowaniu, a potem niechętnie ją opuszcza.

– Jesteście – przerywa nam mój narzeczoney i przesuwa po nas wzrokiem. – Wszystko w porządku?

- Wszystko gra, wujku Al – odpowiada bez emocji Angelo.
- Dobrze, dobrze. Czy moja narzeczona ci się dzisiaj przydała?
- Bardzo. – Zerka na mnie. – Udzieliła mi świetnej informacji, którą mogę dobrze wykorzystać.
- Świetnie. Wejdiesz na drinka?
- Nie mogę. Mam coś do załatwienia.
- No, dobrze. Zatem... – Stuka dłonią w dach. – Do zobaczenia w następnym tygodniu, dzieciaku.

Rusza do domu, a w mojej piersi ponownie rośnie panika. Muszę wydostać się z tego piekielnego samochodu, z daleka od Angela i od mojego okropnego wyznania. Moje palce wędrują w kierunku klamki. W końcu otwieram drzwi, wysiadam i zatrzasnę je za sobą. Mam w nosie to, że mam na sobie tylko puchate skarpetki z motywem Halloween.

Jego spojrzenie wypala mi dziurę w plecach.

- Aurora.

Niechętnie się zatrzymuję i unoszę głowę.

- Nie obchodzi mnie zdanie Alberta. Nie prostuj włosów.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Angelo

Wynurzająca się z oceanu w skąym czarnym bikini dwudziestojednoletnia narzeczona mojego wujka stanowi uosobienie pokusy. A jej wyznanie, że robiła sobie palcówkę, obserwując mnie stojącego na brzegu?

To wyrok śmierci.

Cholera jasna.

Gdy przypominam sobie, jak tam stała... Prawie naga i ociekająca wodą, to stwierdzam, że jest pełna kontrastów. Ma ciało jak gwiazda porno, przy którym jej łagodne brązowe oczy wyrażają niewinność. Właściwie udawaną niewinność. Podczas gdy ja przyglądałem się jej unoszącym się nad falami blond włosom i dużym oczom, ona się masturbowała. Cieszę się, że nie miałem wtedy o tym pojęcia. Już sam jej widok w oceanie wystarczająco mnie podkręcił. Gdyby przyznała się, że jej cipka jest świeżo po orgazmie, nie byłoby szansy, abym oparł się pokusie, by ją podnieść i zaciągnąć z powrotem do wody, by pokazać jej, jak to się robi naprawdę.

Naruszylibym rodzinną etykietę.

Rafe przerywa moje rozmyślenia. Pochyla się nad kierownicą swojej tesli, po czym spogląda przez przednią szybę, mrużąc oczy.

– Jesteśmy na miejscu?

Odpycham od siebie wszystkie myśli o narzeczonej Alberta i podnoszę wzrok.

– Beaufort. Wiśnie i jabłka. Sady w Connecticut – odczytuję napis na tablicy wiszącej nad bramą.

Za nią rozciągają się wzgórza przetykane czerwienią, zielenią i oranżami. Tworzą spektakularny krajobraz.

– Gabe wybrał to miejsce?

– Też jestem zdziwiony. Gdy przypada jego kolej, zazwyczaj kończymy w betonowej piwnicy. – Rechocze Rafe.

Pocieram zarost.

– Tak, to zupełnie do niego niepodobne. To jest...

– Piękne miejsce – kończy, a przebiegły uśmiezek pojawia się na jego twarzy. Wpatruje się we mnie. – Cieszę się, że wreszcie zaczyna akceptować teatralność gry. Mógłbyś wziąć z niego przykład.

Anonimowi Grzesznicy są dla Rafe'a czymś więcej niż grą. Dla niego to pieprzony pokaz. Gdy to na nim spoczywa wybór lokalizacji, w którą sprowadzamy naszych grzeszników, kończymy w najbardziej szalonych miejscach. Koloseum w Rzymie. Islandzkie fiordy. Zawsze chce dokonać zabójstwa w możliwie najbardziej dramatyczny sposób. Z kolei dla mnie dobre jest każde stare miejsce, dopóki mogę wykorzystać naszego grzesznika jako żywy worek boksinerski. Każda złamana pod moją pięścią kość, każdy wydany z ust ofiary krzyk uwalnia ze mnie napięcie, które kumulowało się przez miesiąc.

Bycie dobrym to duży stres.

Gabe jest inny. To sadysta. Gdyby to zależało od niego, nie zabijałby grzeszników, a znalazł nowy i ekscytujący sposób, aby ich torturować najdłużej, jak to możliwe. Używałby ich jako królików doświadczalnych do testowania nowych dodatków do skrzynki z narzędziami. Z pewnością nie uwolniłby ich od cierpienia, aż oszaleliby od jego psychopatycznego gniewu.

Więc gdy zza tesli Rafe'a do moich uszu dociera dudniący dźwięk silnika, w moich żyłach zaczyna krążyć mieszanina podekscytowania i niepokoju.

– Co, do cholery, planujesz, Gabe? – mamrocę, obserwując go w bocznym lusterku.

Rafe promienieje namacalnym podekscytowaniem.

– Chodźmy, do cholery! – woła z ożywieniem, a potem wyskakuje z samochodu.

Gabe wyłania się z furgonetki, a następnie rusza w naszym kierunku wolnym krokiem. Sprawia wrażenie, jakby miał masę wolnego czasu.

– Witam – rzuca. Obrzuca surowym wzrokiem nasze garnitury. – Nie ubraliście się odpowiednio na polowanie.

– Że co? – Rafe spogląda na mnie.

Gabe bez słowa wraca do furgonetki i wyłania się z niej z trzema przerzuconymi przez ramię strzelbami. Jedną uderza mnie w pierś, a

drugą podtyka naszemu bratu.

– Polowanie. To jest to, co robią prawdziwi mężczyźni.

– Ha, ha – parska Rafe. Lecząc podnosi strzelbę do góry we wczesnoporannym świetle i przygląda się jej z fascynacją. – Kurwa. Co ty z nią zrobiłeś?

– Zmodyfikowałem ją. To karabin Barrett M107A1, ale usunąłem celownik i kupiłem ostre naboje kaliber .50.

– A może tak po ludzku?

Odwracam się do Rafe'a.

– Usunięcie celownika oznacza, że nie ma wizjera, który poprawia celność. A naboje .50 BMG są wystarczająco duże, aby rozsmarować kogoś na drzewie. – Przenoszę wzrok na Gabe'a i dodaję. – Więc chcesz, żebyśmy strzelali na ślepo kulami wielkości pieprzonego granatu. Jesteś psycholem.

– Tylko wykonuję swoją robotę. – Podnosi dłonie w geście poddania. Jego twarz jest pozbawiona wyrazu.

– Czyli dokładnie, co?

Gabe przyspila Rafe'a twardym spojrzeniem. Żaden z nas nie ma pojęcia, czym obecnie zajmuje się nasz brat. Nie wiemy tego od czasu, kiedy wrócił na Wybrzeże na Boże Narodzenie z ogromną, tajemniczą, biegnącą wzdłuż twarzy blizną. Wiemy jedynie, że potrafi mówić po włosku lepiej niż my obaj oraz to, że gdy się spotykamy, za każdym razem ma nowe rany wojenne. Dzisiaj są to głębokie skaleczenia na napuchniętych kostkach i fioletowo-zielony znak pod okiem.

– Warto tego spróbować – mamrocze do siebie Rafe.

– Zachowuje się wyjątkowo cicho. – Unoszę podbródek w kierunku furgonetki.

– Tak. To dlatego, że już się trochę z nim pobawiłem.

– Po cholere jasną...

– Wyluzuj – ucina protesty Rafe'a. – Nadal nadaje się do walki.

Odwraca się i rusza w kierunku samochodu.

– Spotkajmy się na początku dróżki.

Stoimy w miejscu i obserwujemy znikającą z zasięgu naszego wzroku furgonetkę.

– Oszalał. – Potrząsam głową.

– Ale dlaczego? – dodaje Rafe. – Od kiedy?

– Czym się przejmujesz? – Wskazuję na rozciągający się za nami sad. – Twój mokry sen się spełnia.

Lecz wiem, jak się czuje Rafe. Mimo wszystko Gabe jest naszym bratem. Jednym z nas. Ta sama krew. A nawet nie wiemy, gdzie mieszka i co robi oprócz jednej niedzieli w miesiącu, którą spędza z nami. Nigdy nie odbiera komórki. Piszemy do niego, a on się zjawia.

Gdy mijamy bramę i ruszamy do wylotu dróżki, Rafe zagryza policzek i milczy. To długa zwirowa trasa ciągnąca się wzdłuż doskonale przystrzyżonych jabłonek. Pnie się pod górę, a na jej szczycie znajduje się biały dom w kolonialnym stylu.

Poranne powietrze jest łagodne. Zupełnie odmienne od wiecznie chłodnego powietrza Devil's Dip. Wsuwam dłonie do kieszeni spodni i unoszę podbródek w stronę czystego nieba. Nad naszymi głowami krążą małe niebieskie ptaki, które ćwierkają w irytujący sposób.

Założę się, że Aurora wiedziałaby, jaki to pieprzony gatunek ptaka.

– Czemu się uśmiechasz? – rzuca Rafe.

– Cieszę się na zabawę. – Przybieram obojętny wyraz twarzy.

– I to mi się podoba.

Spomiędzy drzew wyłania się czarna furgonetka. Zatrzymuje się na niewielkim zakręcie około trzydzieści metrów od nas. Po kilku sekundach wyskakuje z niej Gabe. Ciągnie ze sobą naszego grzesznika. Mężczyzna ma zaklejone taśmą usta i związane liną nadgarstki. Gabe wyłania się zza niego niczym Ponury Żniwiarz. Nakazuje mu maszerować przed sobą. Zatrzymują się kilka metrów od nas.

Gabe kładzie dłoń na ramieniu mężczyzny i mruży oczy w ostrym słońcu.

– No, dobra, chłopaki. Witam na polowaniu. – Grzesznik piszczy i próbuje wyrwać się Gabe'owi, ale ten tylko zacieśnia uścisk. – Zasady są tak proste, że nawet takich dwóch idiotów jak wy jest w stanie je zrozumieć. Ten oto Phillip dostaje trzydzieści sekund przewagi, a potem staje się zwierzyną łowną.

Kieruję wzrok na Gabe'a, który mamrocze coś do ucha mężczyzny. Ten zaczyna płakać, lecz jego szloch tłumy taśmą. Gabe po raz ostatni klepie go po plecach i staje obok nas.

– Spodziewasz się, że pobiegnie prosto? – Zerkam na niego.

– Aha.

– Gówno prawda. Przy pierwszej lepszej okazji zanurkuje między drzewa.

– Obiecuję, że będzie biegł prosto. – Z jego nozdrzy wyrywa się westchnienie.

Rafe pochyła się do przodu i taksuje wzrokiem mężczyznę, mówiąc:

– Wygląda trochę staro. Mam nadzieję, że ma sprawne nogi, ponieważ chcę, aby zyskał przewagę, zanim zaczniemy.

– Dla ciebie to bez różnicy. I tak zawsze miałeś gówniany cel. – Drażnię się z nim.

W jego wzroku pojawia się gniew. Spogląda na mnie, ale wkrótce złość zastępuje psotne spojrzenie.

– Sto kawałków, że trafię go pierwszy.

– Niech będzie dwa, ale na to, że to nie będziesz ty.

– Założę się o pół bańki, że żaden z was nawet go nie draśnie. – Wcina się Gabe, spoglądając znad swojej broni.

– Umowa stoi – oznajmiamy jednogłośnie z Rafem.

Powietrze jest gęste, a łagodny wietrzyk przynosi stłumione błagania mężczyzny.

– Trzydzieści. – Głos Gabe'a rozlega się bez ostrzeżenia. – Dwadzieścia dziewięć. Dwadzieścia osiem. Dwadzieścia siedem...

Mężczyzna zamiera, gdy Gabe zaczyna odliczanie. Zerka na nas trzech, w końcu odwraca się i zaczyna biec.

– Jezu, założę się, że w ogólniaku nigdy nie trenował biegów – mamrocze do mnie Rafe.

Zatacza się i w próbie ucieczki potyka o własne tenisówki. *Pewnie też nie zaprezentowałbym doskonałej formy, gdyby trzech gości celowało we mnie z karabinów.*

– Dziewiętnaście. Osiemnaście. Siedemnaście...

– Mam nadzieję, że interesy idą dobrze, bracie, ponieważ zamierzam wyczyścić twój portfel do czysta. – Rechocze Rafe, unosząc broń i mrużąc oczy nad osłoną.

– Siedem. Sześć. Pięć...

Pora na zabawę. Znajome uderzenie adrenaliny przebiega przez mój kręgosłup i jestem zadowolony, że doświadczę haju, którym będę się cieszył przez kolejne dni. Zaciskam szczękę, koncentruję się i przygotowuję broń. Mój palec ociera się o spust.

– Trzy. Dwa...

W ostatniej sekundzie mężczyzna ostro skręca w prawo i wbiega między drzewa. Równocześnie z Rafem obracamy strzelby w jego kierunku, lecz Gabe upuszcza swoją na ziemię.

– Co za pieprzony idiota – warczy, uderzając w powietrze.

– Hmm? – odwracam się skonsternowany w jego kierunku.

A potem ogłusza mnie rycząca eksplozja. Czuję przypalający mój policzek żar. Instynktownie osłaniam oczy od palącej żółtej pożogi i opadającego wokół nas żwiru. W końcu płomienie zmniejszają się do trzaskającego ognia, a następnie gęstej czarnej chmury dymu leniwie dryfującej w stronę bezchmurnego nieba.

Odsuwam dłoń od twarzy. Nasza trójka w milczeniu wpatruje się w rozgrywającą się scenę.

– Głupi łajdak – wypluwa z siebie Gabe. – Mówiłem mu, że ma biec prosto.

Unosi na nas wzrok, a na jego ustach maluje się sarkastyczny uśmiešek.

– Wygląda na to, że obaj wisicie mi po pół bańki.

– Co? – Mruga Rafe.

– Nafaszerowałeś drogę środkami wybuchowymi i mu o tym powiedziałeś. Myślałeś, że to skłoni go, aby biec prosto. – Wypuszczam syk przez zęby.

– Musiał pomyśleć, że zalewam.

Cisza potęguje brzęczący w moich uszach dźwięk. Potem Rafe zaczyna się śmiać. Śmieje się coraz głośniejszym, wpatrując się w nadpalony żwir.

– Jezu Chryste, to było niesamowite. – Wciska mi broń do rąk i zaczyna powoli biec ścieżką w dół. – Chcę się przyjrzeć zniszczeniom z bliska!

Odwracam się do Gabe'a i przyszpilam go zirytowanym spojrzeniem.

– Masz posrane we łbie.

– Grałem za dużo w gry video jako dzieciak – mówi oschle i ogląda się za siebie.

Podążam za jego spojrzeniem, które spoczywa na naszym bracie kopiającym kończynę, która wylądowała w połowie drogi.

– Chcę cię o coś zapytać.

– Nie zwracaj sobie głowy.
– Nie o ciebie – mamroczę. – Poddałem się, próbując rozgryźć, co się z tobą dzieje.

– No to dawaj.

Wyglądam przód garnituru, ale wiem, że nie uda się go oczyścić z takiej ilości żwiru i szczątków ludzkich, jakie się na nim rozprysły.

– Myślałem o odnowieniu naszego starego domu.

– W Devil's Dip? – Sztywnieje.

– Tak. Mijałem go pewnego dnia i wygląda jak siedem nieszczęść. Mam dosyć zatrzymywania się w hotelu Viscontich przy każdej wizycie. Nienawidzę przebywać na terytorium klanu Cove – dodaję, wyczuwając rozgoryczenie w swoich słowach.

– Wracasz.

Zaciskam szczękę. Mam dosyć słuchania, jak każdy w tej pieprzonej rodzinie mi to powtarza. Oczekuję, że przynajmniej moi bracia znają mnie lepiej.

– Nie wracam do Dip, Gabe. Wolałbym przyciąć sobie fiuta drzwiami samochodu.

– Wracasz. Tylko jeszcze o tym nie wiesz.

– Nie. Pomyślałem, że byłoby miło mieć bazę wypadową, która nie mieści się pod dachem Dantego...

– Nie. Nie zostawisz jej tutaj, nie z nim.

– Co? Kogo? – Odwracam się, by na niego spojrzeć.

Żaden z jego mięśni nawet nie drgnie.

– Narzeczonej wujka Ala. Nie możesz oderwać od niej wzroku. Wpatrujesz się w nią niczym lew osaczający ofiarę w buszu. Znam cię lepiej niż ty sam siebie. Przyleciałeś na Wybrzeże, ponieważ prześladowały cię niedokończone interesy. Jesteś inteligentnym mężczyzną, więc to, po co wróciłeś, rozpracowałeś w weekend i wrócił do Londynu przy pierwszej nadążającej się okazji. – Skupia na mnie wzrok i przeczesuje dłonią włosy. – Lecz nie tego pragniesz. Zobaczyłeś ją i postanowiłeś zostać. Tylko jeszcze tego nie wiesz.

Potrząsam głową w niedowierzaniu, po czym cofam się kilka kroków w kierunku samochodu.

– Oszalałeś, bracie. Gównu mnie obchodzi, co robi wujek Al i z kim się żeni. – Żar rozlewa się pod moim kołnierzykiem.

Odchrząkuję i dodaję. – Nigdy nie porzuciłbym życia w Londynie dla jakiejś cipki.

– Aha.

– Mówię serio.

Żwir chrzęści pod jego stopami, gdy odwraca się i do mnie dołącza. Klepie mnie po plecach i pochyła się nad moim uchem, mimo że jesteśmy sami.

– Chcesz wiedzieć, skąd wiem? Ponieważ nie potrafisz znieść tego, że ktoś ma coś, czego pragniesz. Nawet jeśli to rodzina. Wiesz równie dobrze jak ja, że wrócisz do Londynu, do eleganckiego apartamentu z widokiem na Hyde Park, położysz się w wytwornym łóżku i wpatrując się w sufit, będziesz rozmyślał o Aurorze. O tym, że pieprzy ją wujek Al. – Jego wargi muskają moje ucho. – Będziesz zastanawiał się, co by było, gdybyś został te dziewięć lat temu i przejął funkcję szefa mafii, tak jak było ci to pisane.

Przesuwam językiem po zębach, zamykam oczy i przygotowuję się na katastrofę. Wiem, co zamierza mi powiedzieć.

– Wtedy błagałaby ciebie, a nie wujka, o to, aby nie wycinać lasu.

Delikatnie go od siebie odpycham.

– Czy to obecnie porabiasz? – warczę. – Szkolisz się na pieprzonego doradcę?

Pełen satysfakcji uśmiezek przecina jego twarz.

– Ja nie bez powodu wyjechałem z Dip. Nie wracam, a na pewno nie po to, by ukraść laskę wujkowi Ałowi. – Brat jawnie ze mnie drwi, ale w końcu przerywa. Zerka na Rafe'a i zniża głos o oktawę.

– Wiem, co zrobiłeś.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. – Zaciskam dłonie w pięści.

– Masz. Wiem, co zrobiłeś i dlaczego wyjechałeś z Devil's Dip. – Robi krok w moim kierunku, przyszpilając mnie spojrzeniem zbyt podobnym do mojego własnego. – Popełniłeś większy grzech niż którykolwiek z tych popaprańców dzwoniących na gorącą linię.

W moich skroniach pulsuje krew. Wściekłość rozlewa się po moim ciele.

Jakim cudem dowiedział się, co zrobiłem?

Kurwa.

Jeśli zostanę tu chwilę dłużej, walnę go w szczękę. Odwracam się i zaczynam szybko iść do samochodu, gdy dłoń Gabe'a ląduje na mojej

piersi, by mnie powstrzymać.

– Dziękuję – rzuca.

Skonsternowany patrzę mu w oczy. Odnajduję w nich coś miękkiego, nietypowego dla niego. Nie pasuje to do jego ciągle gniewnego spojrzenia i podbitego oka.

– Gdybyś tego nie zrobił, sam bym się tym zajął. – Przełyka ślinę i odwraca wzrok. Mamrocze coś ponuro pod nosem. – Lecz z innego powodu.

Czuję się, jakby mnie coś użądliło. Biorę jego głowę w dłonie i przytykam do niego czoło.

– Co ci się stało, bracie? – syczę. – Co on ci zrobił?

Odpycha mnie, jego wzrok twardnieje i pojawia się jego charakterystyczne spojrzenie.

– Gdy uświadomisz sobie, że wracasz, daj znać. – Drży mu szczeka. – Gdy ukradniesz dziewczynę wuja Alberta, będziesz potrzebował wsparcia pieprzonej armii.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Rory

Piątkowy wieczór

Kolacja zbliża się do końca. Zerkam ostatni raz przez ramię na *foyer* i pędzę schodami, zmierzając prosto do samochodu Tora.

– Czekał – syczę. Moje obcasy stukają o żwir, gdy biegnę truchtem w jego kierunku. – Zaczekał na mnie!

Tor opiera się o drzwiczki od strony pasażera i wystukuje coś w komórce. Odrywa wzrok od ekranu telefonu, mrużąc oczy w ciemności. Nieruchomieje ma mój widok. Przebiega wzrokiem po moim ciele i odpycha się od samochodu.

– O cholera, dziewczyno.

Pospiesznie wskakuję na miejsce kierowcy i zatrzasnę za sobą drzwi, zanim udaje mu się do nich dosięgnąć.

– Jadę z tobą.

– Nie ma mowy. Nie dzisiaj i nie w takim stroju. Przesuń się. – Kiedy się nie ruszam, jego oczy się zwężają. – Czy to życzenie śmierci?

– Proszę, Tor. Alberto nawet nie zauważył mojej nieobecności. Ma wokół siebie staruszków z klubu i gra z nimi w brydża.

– Jeśli zauważy, że cię nie ma, to mam przerąbane. Już, wysiadaj.

– Dobrze – wzdycham. – Czego chcesz?

Milknę, unosi brew, a jego wzrok wędruje po moich piersiach. Śmieje się cicho, jakby właśnie powstrzymał się od powiedzenia czegoś, co nie powinno paść z jego ust.

– Nie kuś mnie, dziewczynko. Zejdź mi z drogi.

Gdy chwyta mnie za ramię, łapię go za nadgarstek. Wpatruję się w wysuwające się spod jego rękawa kolorowe tatuaże. Rozciągają się aż do paska zegarka. Moje serce bije w ożywieniu.

– To robota Tayce.

W jego tęczęwkach pojawia się irytacja.

– Oczywiście. Nikomu innemu nie pozwalam się tatuować. Do czego zmierzasz?

– Nawet ty nie potrafisz ominąć listy oczekujących. – Na mojej twarzy gości uśmiezek.

– Sam Bóg nie zdołałby uniknąć tej pieprzonej kolejki.

– Ja potrafię.

Unosi ramię i zaciska usta.

– Masz pół sekundy, aby przejść do sedna.

– Tayce jest moją najlepszą przyjaciółką. Mogę umówić cię od ręki.

– Strzelam palcami, aby podkreślić łatwość, z jaką mogę to załatwić, lecz on spogląda na moją dłoń, jakby chciał mi ją odgryźć.

Nadal świdruje mnie wzrokiem, lecz nagle zamiera i jego opór słabnie.

– Poza listą oczekujących?

– Aha.

– Nigdy więcej czekania?

Zamieram. *Kurka*, Tayce mnie za to zabije.

– Nigdy więcej.

Mruży oczy i cofa się.

– Wsiadaj do cholernego samochodu. – Wskazuje na mnie palcem i dodaje. – Nie ma gadania z mężczyznami, którzy nie noszą nazwiska Visconti. A właściwie, to nawet nie wolno ci patrzeć w ich stronę. Nie więcej niż trzy drinki. A Amelia odwiezie cię o północy do domu. W przeciwnym razie znowu zamienisz się w Kopciuszka.

Wślizguje się na miejsce kierowcy.

– Dzięki, dzięki, dzięki.

– Tak, tak – burczy, wysyłając email, gdy wyjeżdżamy z okrągłego podjazdu. – Nie sądzisz, że w tym tygodniu wyświadczyłem ci wystarczająco dużo przysług?

Mój żołądek się kurczy. W środę rano zesłam ze schodów i zastałam czekającego na mnie w korytarzu Tora. Dreptał w kółko podirytowany. Powiedział, że Angelo wyjechał z miasta i poprosił go o zabranie mnie do Dip. Oczywiście nadal cieszyłam się na spotkanie z ojcem, ale od tamtej pory nie jestem w stanie otrząsnąć się z wpełzającego pod moją skórę niepokojącego uczucia.

Pewnego dnia Angelo bez ostrzeżenia wyjedzie na dobre. Ta myśl nie powinna mnie niepokoić, ale wprawia mnie w złe samopoczucie.

Gdy pędzimy nadbrzeżną drogą, rozpinam torebkę i wyjmuję pudełko cukierków Nerds. Tor obrzuca mnie wzrokiem pełnym obrzydzenia, lecz potem wyciąga rękę w stronę opakowania.

– Cholera jasna, nie jadłem ich od lat – mamrocze, wciskając je sobie do ust. – Dostałaś je podczas zbierania słodyczy w Halloween? Jesteś na to jeszcze wystarczająco młoda, nieprawdaż?

– No weź. – Śmieję się.

Mija kilka sekund. Gdy zwalniamy przed czerwonym światłem, dostrzegam jego spoczywające na mojej sukience ogniste spojrzenie.

– Wydaje mi się, że mam kilka zapasowych koszul w biurze – mamrocze. – Będziesz musiała założyć jedną z nich.

– Nie ma mowy.

– Nie przeginaj, Auroro. Nie wejdiesz do klubu w takim stroju. To wieczór otwarcia i Halloween. Będę zbyt zajęty kręceniem się wśród seksownych pielęgniarek i zdzirowatych Lar Croft, aby odpędzać od ciebie mężczyzn. A tak w ogóle za kogo się przebrałaś?

Zerkam na swoją skórzaną sukienkę. Jest gładka, bez ramiączek, a jej środkiem od góry do dołu biegnie ogromny srebrny suwak. Kompletu dopełniają para masywnych, aksamitnych kozaków i niewielki, wpięty w moje loki, spiczasty kapelusik.

– Czy to nie oczywiste? – rzucam. Gdy przyszpila mnie obojętnym spojrzeniem, z westchnieniem wyciągam z torebki pomarszczony gumowy nos i nasuwam go na mój własny. – A teraz?

Po chwili Tor wybucha śmiechem.

– W porządku. Załóż nos na całą noc, a pozwolę ci obyć się bez koszuli.

Uśmiecham się triumfalnie, rozsiadam w fotelu i obserwuję przesuwany za szybą granatowy obraz oceanu. Gdy wjeżdżamy w aleję, spinam się i czuję buzującą w moich żyłach energię.

Nie jestem typem dziewczyny, która ubiera się seksownie na Halloween i wiem, że jedynym powodem, dla którego tak postąpiłam, jest Angelo. Będę go oczywiście unikać. Czuję się zbyt upokorzona swoim zeszlotygodniowym wyznaniem, aby z nim normalnie rozmawiać. Lecz mimo tego wyobrażam sobie, że widzi mnie wchodzącą do klubu. Obserwuje, jak tańczę i piję z Tayce oraz dobrze się bawię. Chcę jeszcze jeden ostatni raz poczuć, jak jego wzrok śledzi każdy mój ruch. Wiem, że postępuję niewłaściwie i

pogrywam niebezpiecznie, lecz pragnę, aby przekonał się, że nie jestem jedynie głupiutką, małą dziewczynką, za jaką mnie uważa. Taką, która nosi puchate, odświętne skarpetki, ekscytuje się głupimi złymi uczynkami, jakie popełniła i nie wypowiedziała w życiu prawdziwego przekleństwa.

Tylko raz. Tylko tej nocy. Jutro odbędzie się moje przyjęcie zaręczynowe, które oznacza początek reszty mojego nieszczęśliwego życia.

Tor parkuje przed wejściem. Na jego miejscu postojowym stoi tabliczka z jego nazwiskiem wytłoczonym złotymi literami. Wyglądam przez szybę w kierunku wejścia do klubu i moje podenerwowanie rośnie.

Przed wejściem wyczekują tłumy. Dostrzegam ludzi przebranych za koty, diabły, szkielety. Wszyscy pragną dostać się do klubu, z którego dochodzą głośne dźwięki ciężkiej muzyki.

– Dotarliśmy na miejsce – rzuca podekscytowany Tor. Gasi silnik, pociera dłonie i wygląda przez szybę w kierunku dziewczyny w kabaretkach i wysokich kozakach. – Halloween przebija Boże Narodzenie.

– Hej, a gdzie twój kostium?

– Mam go na sobie.

Podziwiam jego trzyczęściowy garnitur, jedwabną chusteczkę, która jest misternie złożona i tkwi w górnej kieszonce, oraz mały diamentowy kolczyk w nosie.

– Za kogo się przebrałeś?

– Za członka mafii – odpowiada, po czym puszcza do mnie oczko.

Okraża samochód i pomaga mi wysiąść, a potem lekko naciskając na mój krzyż, popycha mnie w kierunku wejścia do klubu. Mijamy kolejkę, by po chwili zatrzymać się przed murem postawnych, odzianych w garnitury, mężczyzn ze słuchawkami w uszach. Tor klepie jednego w klatkę i wskazuje na mnie.

– Widzisz tę dziewczynę? To narzeczona Dużego Ala. – Mężczyzna w zdumieniu otwiera szeroko oczy. – Masz nie spuszczać jej z oczu, jasne? Jeśli ktokolwiek ją tknie, daj mu po łapach.

Przełykam gulę w gardle. Wątpię, by miał na myśli subtelne trzepnięcie po łapach. Odwraca się do mnie i wskazuje głową w kierunku wnętrza klubu.

– Chodźmy.

Ruszamy niewielkim korytarzem, a po chwili otwiera się przed nami ogromne pomieszczenie.

Zamurowuje mnie, a moje oczy próbują się przystosować do gwałtownych, jasnych światła. Przede mną rozciąga się ogromna, okrągła przestrzeń z przepastnymi sufitami. Lustrzana podłoga połyskuje w przeczesujących salę stroboskopowych światłach, które rzucają srebrzysty połysk na czarne ściany i aksamitne kotary oddzielające główne pomieszczenie od prywatnych boksów. Wszystko koncentruje się wokół podwyższonego i zajmującego środek sali parkietu tanecznego. Mrużę oczy i zdaję sobie sprawę, że się obraca. Nagle coś ponad parkietem przykuwa moją uwagę. O *kurka*. Tancerze w czarnych, skórzanych trykotach wiją się i zsuwają z pomarańczowo-zielonych wstęg, zbliżając się do głów tłumu. W końcu seksownymi ruchami podciągają się z powrotem w górę.

Zaledwie dwa tygodnie temu stałam w tym miejscu. Wyglądało niczym plac budowy. Byłam przekonana, że nie ma najmniejszej szansy na otwarcie klubu w Halloween.

Tor łapie mnie za podbródek.

– Na pewno nie chcesz wracać do domu, maleńka?

Potrząsam delikatnie głową. Czuję coś za plecami, a gdy podnoszę wzrok, zauważam jednego z tęgich ochroniarzy, który zerka mi przez ramię.

– Moi ludzie zaprowadzą cię do sekcji dla VIP-ów. Spotkasz tam znajome twarze. – Omiata ręką teren, wskazując na balkon, który wije się przez cały klub. Potem jego palec ląduje na mnie i obdarza mnie poważnym spojrzeniem. – Pamiętaj, co ci mówiłem. Żadnych mężczyzn. Trzy drinki.

Gdy chce się oddalić, łapie go za ramię.

– Czeka. Możesz poprosić swoich ludzi, aby przyprowadzili do mnie Tayce, gdy zjawi się w klubie?

Tor szepcze coś ochroniarzowi do ucha i kiwa głową.

– Załatwione – przekrzykuje muzykę. – A teraz wybac mi, muszę... interesy czekają.

Znika za drzwiami głównej sali w otoczeniu kolejnych dwóch ochroniarzy, którzy nagle pojawiają się znikąd.

Zerkam pytająco na przydzieloną mi obstawę i oczekuję od nich wskazówek. Ochroniarz otacza mnie ramieniem, a następnie przeprowadza przez tłum. Docieramy do przeszklonej windy na drugim końcu sali. Wznosimy się wysoko ponad morze imprezowiczów i wyłaniamy na balkonie.

Na górze jest odrobinę ciszej i panuje tu zdecydowanie mniejszy tłok.

– Tędy, *signora*.

Wzdrygam się na to określenie. Nagle przypominam sobie słowa Amelii sprzed kilku tygodni, że wszyscy będą nazywać mnie *signora Aurora Visconti*.

Już wkrótce. Za dwa tygodnie. Ta myśl powoduje ucisk w mojej piersi i mam wrażenie, że eksplodują mi płuca. Lecz gdy w zasięgu mojego wzroku za czerwoną liną wraz z kolejnym ochroniarzem pojawia się Amelia i grupka Viscontich, spycham na bok panikę i zmuszam się do uśmiechu.

– Nie spodziewałam się tutaj ciebie. – Śmieje się Amelia, przerzucając swoje czarne, długie włosy peruki przez ramię i omijając postawnego mężczyznę, który tu dzisiaj pilnuje porządku. Składa na moim policzku pocałunek.

– Uroczy kostium – przekrzykuje hałas i prztyka mnie w sztuczny nos. Szeroko się uśmiecham i komplementuję jej czarną uwodzicielską sukienkę.

– Morticia Adams, zgadza się? Co oznacza, że... – Odwracam się, by odszukać wzrokiem Donatella. Unosi w moją stronę kieliszek szampana, a pod jego cieniutkim wąsikiem pojawia się szeroki uśmiech. – Donatello jest Gomezem. Nieźle. Jak udało ci się namówić go na przebranie się za tę postać?

– Poprzedniego wieczoru przegrał w pokera nasz jacht – cedzi przez zęby Amelia. – Więc, tak naprawdę, nie miał wyboru. Alberto wie, że tu jesteś?

– Nie. I się nie dowie, jeśli mu nie powiesz. – Posyłam jej nieśmiały uśmiech.

– Albo dopóki ja mu nie powiem. – Odwracam się w stronę dochodzącego zza moich pleców lodowatego głosu. *Dante. O kurka. Zapomniałam o nim.* Siedzi na kremowej kanapie z wlepionym we mnie wzrokiem. – Nie powinno cię tu być, Auroro.

– Nie bądź kapusiem, *cugino*. – Benny, jeden z braci Hollow, siada koło niego i sięga po chłodzącą się w kubie z lodem butelkę szampana Dom Perignon. – Za dwa tygodnie będzie jedną z nas. A my nie donosimy na swoich.

Puszczą do mnie oczko i wręczą mi kieliszek szampana.

– Witaj w rodzinie, *bella*²¹.

Uśmiecham się, czując, że policzki palą mnie pod wpływem serdeczności jego słów. Nie słyszę takich zbyt często z ust żadnego z Viscontich, a tym bardziej od jej najbardziej przerażających członków, do których zalicza się Benedicto. Tacy jak Tor, on i jego młodszy brat Nicolas, słyną na wybrzeżu ze stereotypowego podejścia do kobiet. Mają inną matkę niż Castiel, ponieważ wyróżnia ich jaśniejsza karnacja, ciemnobrązowe włosy i stalowoszare oczy. W okolicy znani są jako egzekutorzy Hollow. Krzywdzą każdego, kto śmie stanąć na drodze ekspansji Smugglers Club.

Jeden kieliszek szampana zamienia się w dwa, a potem w trzy. Bąbelki wchodzi mi z łatwością i łagodzą moje emocje, a także ostre srebrne światła. Razem z Amelią śmiejemy się i tańczymy do tandetnych piosenek. Po jakimś czasie wychylamy się przez balkon i wskazujemy w tłumie kostiumy, które najbardziej przypadają nam do gustu. Gdy Donatello klepie mnie po plecach i wyciąga butelkę, aby nam dolać szampana, dziwię się, że boksy na balkonie zapełniły się w błyskawicznym tempie. Po tej stronie czerwonej linii bawią się tylko członkowie rodziny Visconti, lecz pozostałe rozmieszczone dookoła balkonu boksy wypełniają się mężczyznami w eleganckich garniturach i kobietami w zdzirowatych strojach.

– Kim są ci wszyscy ludzie? – dopytuję Amelię, przekrzykując muzykę.

– Obrzydliwie bogaci goście hotelu i kasyna – odpowiada. – Płacą trzydzieści kawałków za boks.

Wzdrygam się na tę sumę i czuję ucisk w żołądku. Devil's Cove pławi się w bogactwie, podczas gdy czterdzieści minut drogi stąd, w Devil's Dip, mieszkają ludzie, którzy pracują na dwunastogodzinnych zmianach, wykonują ciężkie prace, a i tak ledwo wiążą koniec z końcem.

Życie nigdy nie będzie sprawiedliwe.

Ta myśl opuszcza mnie w chwili, gdy rozpoznaję zmierzającą w moim kierunku w towarzystwie ochroniarza Tayce. Uśmiecham się szeroko i nurkuję pod czerwoną liną, wychodząc jej na spotkanie.

– Udało ci się! – Śmieje się do mojego ucha i przytula mnie mocno. – Spiknęliśmy się w strefie dla VIP-ów. Podwójna wygrana!

Odpycha mnie na długość ramienia i taksuje wzrokiem mój strój.

– Co, do cholery, Rory? W ubiegłym roku przebrałaś się za dinozaura. Rok wcześniej za gigantyczną tubkę pasty do zębów. Co tak seksownie w tym roku?

Wyśmiewam się z jej pytania, lecz moje policzki oblewają się szkarłatem.

– Ty, jak zwykle, zdecydowałaś się na minimalistyczne podejście – odpowiadam.

Dziewczyna okręca się, popisując się swoim czarnym gorsecikiem, kabaretkami i ciasną spódniczką tutu. Gdyby nie zebrała swoich długich czarnych włosów w dwa warkoczyki i nie namalowała kresek po obu stronach ust, nigdy nie zgadłabym, że przebrała się za *dead doll*²². Zatrzymuje się, a chwilę później jej wzrok przesuwają się nad moim ramieniem, a jej oczy otwierają się szeroko.

– Cholera jasna, czy to Bezwzględny?

Po moim kręgosłupie przebiega dreszcz. Taniec z Amelią i spotkanie z Tayce pomogło mi o nim zapomnieć. Lecz na dźwięk jego ksywki, włoski na ramionach stają mi dęba.

Przełykam ślinę i próbuję zachować obojętny wyraz twarzy. Staram się nie odwrócić.

– Skąd znasz Angela? – pytam, z udawanym spokojem. Tayce przeprowadziła się na Wybrzeże trzy lata temu, czyli już dawno po tym, jak wyjechał.

– Każdy zna Angela – mówi ze śmiechem, nie odrywając od niego wzroku, nawet gdy Benny przynosi jej kieliszek szampana i niezdarnie się nad nią pochyla. – Chryste, jest zdecydowanie najgorętszym z Viscontich. Widziałaś te mięśnie?

– A ty jakim cudem widziałaś jego mięśnie? – rzucam wściekle.

Ton mojego głosu przykuwa jej uwagę. Marszczy brwi.

– Nie widziałam. Jest jedynym Viscontim, który nigdy nie przekroczył progu mojego salonu.

– Naprawdę? – Ze zdziwienia niemal obracam się w jego stronę. Lecz zaciskam mocniej dłoń na kieliszku. – Nie ma tatuaży?

Gdy podejrzliwie mruży oczy, odchrząkuję.

– To dziwne. Każdy Visconti jest taki wytatuowany – dodaję.

– Tak – wzdycha, obrzucając Benny’ego krzywym spojrzeniem. – Na przykład ten idiota, który nie ma milimetra skóry bez tatuażu. Czego chcesz, Benny?

– Tak odnosisz się do wszystkich swoich klientów? – Posyła jej olśniewający uśmiech.

– Tylko wobec tych, którzy wiszą nade mną w wolny dzień. – Zanim udaje mu się odpowiedzieć, Tayce staje na paluszkach i zatyka mu dłonią usta. – Nie rozmawiam o interesach po godzinach pracy. A tę zaczynam o dziewiątej rano w poniedziałek.

Chyba to jednak nie jest dobra pora, aby powiedzieć jej o obietnicy, jaką złożyłam Torowi. Łapie mnie za ramię, prowadzi na balkon i opiera się o barierkę.

– Czemu mężczyźni są tacy irytujący?

– Jesteś jedyną osobą, która odzywa się w ten sposób do Viscontich i nie zarobiła kulki w łeb.

Śmieje się chełpliwie.

– Oni są niczym kociaki poprzebierane za lwy. – Jej wzrok ciemnieje i bierze łyk drinka. – Znałam gorszych.

Jej uwaga przyprawia mnie o dreszcze. Desperacko pragnę drążyć temat, ale znam Tayce. Kompletnie się w sobie zamknie, jeśli zacznę się dopytywać.

Nie udaje mi się poruszyć tematu nowych oczekiwań Tora odnośnie jej listy oczekujących, gdyż coś za moimi plecami przyciąga jej uwagę do tego stopnia, że nieustannie zerka w tamtym kierunku.

– Wygląda na to, że dostałyśmy miejscówki w pierwszym rzędzie na to przedstawienie.

Odwracam się i widzę wyprostowanego Dantego, który wpatruje się z grymasem na twarzy w Angela, który stoi dosłownie kilka kroków za czerwoną linią. Opiera się niedbale o barierkę, a długonoga kocica z ożywieniem szepcze mu coś do ucha. Jego twarz przybiera obojętny wyraz i sprawia wrażenie znudzonego. Bierze leniwy łyk whisky i wpatruje się w tłum.

Podnieca mnie jego widok.

– Kim ona jest? – mamroczę bardziej do siebie niż do Tayce, która oczywiście zna odpowiedź.

– To Lucy. Jedna z dziewczyn z klubu go-go Burlesque. Wszyscy wiedzą, że sypia z Dantem od ponad roku, ponieważ opowiada o tym każdemu, kto tylko chce słuchać. – Rechocze nad kieliszkiem. – Przypuszczam, że w końcu wzięła na celownik grubszą rybę.

Kręci mi się w głowie, lecz nie z powodu wypitego szampana. Nie tak miał wyglądać ten wieczór. Miałam naiwną fantazję, że Angelo będzie mnie obserwował przez cały wieczór, podczas gdy ja będę udawać, jakbym nie czuła żaru jego spojrzenia na każdym milimetrze swojego ciała. Nawet nie wiedziałam, że jest w klubie. Zresztą nie spojrzał na mnie ani razu.

Dokucza mi gorąco. Moja sukienka jest za obcisła, a żołądek zacisnął się w supeł.

– Muszę skorzystać z łazienki – rzucam do Tayce.

Nim zareaguje, ruszam na tyły obszaru dla VIP-ów. Gdy przechodzę obok Donatella, ten łapie mnie za ramię.

– Dokąd wybierasz się sama?

– Tylko do łazienki! Jezu!

Wskazuje na aksamitną zasłonę.

– W biurze Tora jest łazienka. Możesz z niej skorzystać.

Zgrzytam zębami, przytakuję z przymusu i wślizguję się za kurtynę. Wędruję niewielkim korytarzem, aż trafiam na drzwi ze złotą tabliczką z nazwiskiem Tora. Zauważam, że lubi takie sposoby prezentowania swojej własności. Wchodzę do środka i przez chwilę pławię się w ciszy. Uświadamiam sobie, że kręci mi się w głowie i dzwoni mi w uszach.

Niech to.

Szybko korzystam z łazienki i opłukuję nadgarstki pod zimną wodą w próbie ochłodzenia się. Jednak nic mi to nie pomaga. Wzdycham sfrustrowana i otwieram drzwi.

Napotykam na przeszkodę.

Po drugiej stronie biurka Tora stoi ciemna postać. Opiera się o blat na kostkach dłoni i kiedy otwieram drzwi, podnosi na mnie wzrok znad współprzymkniętych powiek. Nie spieszy się i taksuje każdy milimetr mojego ciała, aż w końcu jego spojrzenie spoczywa na mojej twarzy.

Angelo Visconti.

Ledwo słyszalne westchnienie wydobywa się z jego ust.

– Nie wyprostowałaś włosów.

Moje serce zamiera. Jestem w szoku, ale biorę głęboki wdech, wyprostowuję się i kieruję swój wzrok na drzwi. Jedyne, co muszę zrobić, to zmusić nogi, aby ruszyły w ich kierunku. Jeden krok. Dwa kroki. Czuję na sobie ciężkie spojrzenie Angela. *Tego chciałam, nieprawdaż?* Lecz teraz nie mam ochoty na pławienie się w nim. Nie po tym, jak widziałam go rozmawiającego z tą blondynką o wyglądzie supermodelki.

Mijam go, a mój oddech się uspokaja. Najtrudniejszą część mam za sobą. Znajduję się tak blisko drzwi, że dociera do mnie szum muzyki.

– Nie! – szepczę.

Lecz Angelo nie słucha mojego słabego sprzeciwu. Łapie mnie za nadgarstek i obraca tak szybko, że światła wirują mi przed oczami. Mrugam i uspokajam się. Moje plecy ocierają się o drzwi, a ciężkie ciało Angela mnie w nie wciska.

Wzdycham i ośmielam się podnieść na niego wzrok. Nie przygląda mi się jak seksualnej zabaweczce. Coś mroczniejszego i niebezpiecznego czai się w jego oczach.

Nienawiść.

Angelo napiera na mnie. Zaciskam oczy, przygotowując się na nieznane, ale jedyne, co słyszę to kliknięcie przekręcanego zamka.

– Co miałaś na myśli, mówiąc, że dotykałaś się w oceanie z myślą o mnie? – warczy. Jego gorący oddech o zapachu whisky ociera się o mój nos i czuję, że uginają się pode mną kolana. Ledwo jestem w stanie złapać oddech, nie mówiąc o udzieleniu mu odpowiedzi. Reaguję milczeniem, a on wplata dłoń w moje włosy i pociąga do tyłu moją głowę.

Nie jestem w stanie powstrzymać jęku.

Szepcze coś do siebie po włosku.

– Kurwa, jesteś irytująca.

– Nie brzmisz na przekonanego.

Otwieram oczy i wychytuję jego wzrok, który pożądliwie przesuwa się po moim gardle. Wilgotny żar pojawia się pomiędzy

moimi udami, a pulsowanie w łechtaczce jest mocniejsze od bicia serca.

Zacieśnia dłoń na moim karku. Czuję jego uchwyt, jakby w tym miejscu znajdowały się wszystkie zakończenia nerwów.

– Powiedz mi, co miałaś na myśli – cedzi przez zęby Angelo.

Zagryzam wargę, wiedząc, że nie powinnam się bawić tą sytuacją. Lecz buzujące w moim ciele szampan i adrenalina są niebezpieczną mieszanką. Sprawiają, że zachowuję się lekkomyślnie i gorączkowo.

Trafia się ostatnia szansa na zrobienie czegoś dzikiego. Po dzisiejszym wieczorze zaczną się przygotowania do ślubu i spędzę reszta życia w pętach starucha.

Przełykam gulę w gardle i zaciskam szczękę.

– To, co powiedziałam. Robiłam sobie palcówkę w oceanie z myślą o tobie.

– Co takiego o mnie myślałaś? – Przymyka oczy.

– Wyobrażałam sobie twoje palce we mnie. Zastanawiałam się, jakie to byłoby uczucie.

Jego jabłko Adama pulsuje.

– I? – rzuca gwałtownie. – Do jakich wniosków doszłaś?

Przebiegły uśmiezek rysuje się na mojej twarzy. Wiję się pod jego spojrzeniem, które ląduje na moich ustach.

– Że byłoby niesamowicie.

Wzdycham ponownie, gdy jego pięść uderza w drzwi kilka centymetrów od mojej głowy. Odpycha się od nich i odwraca. Przeczesuje dłonią włosy. A potem stoi nieruchomo i wpatruje się w ścianę.

Oszołomiona podchodzę bliżej i zaciskam dłonie w pięści.

– Na początku używałam jednego palca, ale potem... – waham się i czuję skonsternowanie.

– A potem? – Unosi ramiona.

– Zdałam sobie sprawę, że twój palec jest jak moje dwa.

– Kurwa, Auroro. – Gdy się odwraca, w jego oczach błyszczy dzikość i głód. – Jesteś narzeczoną mojego wujka. Nie mogę cię tknąć.

– Kogo próbujesz przekonać? Mnie czy siebie?

Żyła w jego skroni pulsuje, a spojrzenie staje się zamglone. Jednym susem zbliża się do mnie.

– Nie... kuś... mnie – cedzi przez zęby.

Wpatrujemy się w siebie. Sekundy płyną niczym minuty. Delektuję się każdą chwilą, ponieważ mam wrażenie, jakbyśmy ponownie znaleźli się na krawędzi klifu. Praktycznie jestem w stanie poczuć dym i tamten smak niebezpieczeństwa. Każdy nerw w moim ciele wyrzywa się do skoku.

Wiem, że on również to czuje. Widzę to w sposobie, w jaki zaciska szczękę. Słyszę to w wydobywającym się z jego nozdrzy ciężkim oddechu.

Mówią, aby być ostrożnym z pragnieniami, ale dziś wieczorem moje życzenie się spełniło. *Angelo Visconti pragnie mnie tak bardzo, jak ja jego.*

Jego spojrzenie ześlizguje się po moim obojczyku do srebrnego zamka podtrzymującego sukienkę. Powoli wyciąga rękę i sięga do zamka.

– Pokaż mi.

Nasze spojrzenia się spotykają.

– Co? – Oddycham płytko.

– Pokaż mi, co sobie robiłaś.

Moje serce wali jak szalone. Pierwszą myślą jest ucieczka, a drugą, że eksploduję z podekscytowania.

Nigdy nie robiłam tego w niczyjej obecności. Pewnego razu jeden chłopak robił mi placówkę, lecz wszystko odbyło się w pośpiechu i przypominało bardziej eksperyment kliniczny niż seks.

Moja uwaga skupia się na jego potężnym palcu zaciśniętym na moim suwaku. Rumienię się i nagle czuję zażenowanie. Pewnie był z milionem kobiet, które to dla niego robiły... co, jeśli robię to źle? Albo co gorsze, jeśli tylko ze mną pogrywa? Co, jeśli zdejmę sukienkę, a on obdarzy mnie protekcyjnym uśmiechem, którego tak nie znoszę? *Jesteś głupiutką, małą dziewczynką, Auroro.*

– Mówiłeś, że nie możesz mnie tknąć.

– Nie zrobię tego – mówi niskim głosem. – Zamierzam popatrzeć.

A potem pociąga za zawieszkę. Suwak rozsuwa się milimetr po milimetrze, odkrywając moje piersi, brzuch, majtki. W końcu sukienka opada na podłogę.

O kurka. Przełykam ciężko ślinę i przymykam oczy. Słyszę jego urywany oddech i czuję na ciele jego palący wzrok.

Potrząsa głową w niedowierzaniu.

– Zawsze nosisz różowe majteczki?

Unoszę powiekę i mój wzrok ląduje na jego ustach. Cieszy mnie, że nie uśmiecha się szyderczo. Jego spojrzenie zapiera mi dech w piersi. Jest zmałowane rozpaczą i pragnieniem. Ma ochotę na mnie.

Nowo zyskana pewność siebie krąży w moich żyłach. Nie przerywam kontaktu wzrokowego i siadam na skórzanej kanapie. Bez mrugnięcia okiem unoszę stopy na siedzenie i powoli wślizguję dłonie do środka majteczek.

Angelo syczy. Pociera dłonią szczękę.

– Zdejmij je.

Z drżącymi palcami unoszę biodra i ściągam bieliznę. Spogląda na cienką różową koronkę lądującą na dywaniku Tora.

– Chryste – mamrocze. Potem jego spojrzenie wędruje na moją twarz. Moje oczy i ciało podążają za nim, gdy przesuwa się na brzeg kanapy i opiera się dłońmi o podłokietniki.

– Połóż się – rozkazuje. – I... pokaż... mi.

Zagryzam dolną wargę, ześlizguję się na kanapie i rozkładam kolana, odsłaniając się przed nim. Gdy z jego piersi wydobywa się jęk, omywa mnie fala przyjemności.

– Cholera jasna, Auroro. Jesteś doskonała. Wiedziałem, że tak będzie.

Moja cipka pulsuje tak, jakby zareagowała na ten komplement i zaczynam pocierać łechtaczkę dwoma palcami, robię okrężne ruchy.

– To robiłaś? W oceanie? – wydusza z siebie Angelo.

– Od tego zaczęłam – jęczę i potakuję.

– Zaczęłaś? – Bierze głęboki oddech.

Ja również zaczerpuję haust powietrza i ponownie kiwam głową.

– Tak – dyszę. – A potem...

Moje palce torują sobie drogą przez mokre wargi do środka.

– A potem włożyłam palec.

– Pokaż.

Wsuwam palec i gorąco zalewa mnie od środka. Wytrzymuję jego pożądliwe spojrzenie.

– A potem wsunęłam do środka dwa palce – mówię.

Wpatruje się w moją cipkę z oczekiwaniem. Wsuwam w nią drugi palec, jęcząc w przyjemności. Jej ścianki rozciągają się i dopasowują.

– Dobrze ci, dziecinko?

Dziecinko. Żar rozlewa się po mojej pulsującej łechtaczce.

– Tak – jęczę, poruszając szybciej palcami. Potem wyłapuję jego spojrzenie i uśmiecham się nieśmiało. – Założę się, że byłoby o niebo lepiej, gdybyś ty to robił.

Mroczne rozbawienie przebiega przez jego twarz. Zaciska dłonie na ramionach. Widać, że się powstrzymuje. Szaleję na widok jego podniecenia.

– Powiedz, co byś mi zrobił.

Jego nozdrza przez chwilę pulsują. Odnoszę wrażenie, że odzyska zdrowy rozsądek i zakończy naszą gierkę. Lecz nie robi tego. Odpycha się od podłokietnika i pochyla nad moimi biodrami.

O kurka. Znajduje się tak blisko, że czuję jego płyn po goleniu i bijący od niego żar. Gdy jego rękaw ociera się o moje nagie udo, moje serce podskakuje z podniecenia. *Proszę, dotknij mnie. Na miłość boską, dotknij mnie.* Lecz Angelo zaciska dłonie i opiera łokcie na udach. Wpatruje się we mnie intensywnym wzrokiem.

– Po pierwsze, ściągnąłbym ci ten głupiutki biustonosz – warczy.

Wyginam plecy w łuk, sięgam do tyłu i rozpinam stanik. Z psotnym uśmieszkiem rzucam mu go na kolana. Jęczy, ściska go w pięści i przyciąga do twarzy. Mocniej wciskam palce w cipkę i wpatruję się w jego duże dłonie zaciśnięte na mojej bieliźnie.

– I co potem? – szepczę.

Jego spojrzenie spoczywa na mojej piersi. Zagryza zębami dolną wargę.

– A potem wziąłbym te doskonałe cycki do ust, aby sprawdzić, czy smakują tak słodko, jak wyglądają.

Jęczę i pociągam mocno za sutek.

– Lubisz ostro, dziecinko? – Jego oczy błyszczą.

Podnoszę ramiona, wyciągam palec i rozprowadzam wilgoć dookoła łechtaczki.

– Nie wiem – szepczę nieśmiało.

– Tego chciałbym się dowiedzieć – warczy, przysuwając się bliżej. Unoszę biodra tak, aby miał lepszy widok na to, co dzieje się między moimi nogami. – Klepnąłbym tę wąską małą cipkę, aby usłyszeć twój krzyk.

Tłumię szloch i klepię się między nogami. Jestem zdumiona falą przyjemności, jaka rozchodzi się od mojej łechtaczki aż do podbrzusza. *O kurka.*

– Mocniej – żąda.

Ponownie daję sobie klapsa czuję zbliżający się orgazm.

– O kurczę – mamroczę, odwracam głowę i wgryzam się w poduszkę.

– Nie waż się odwracać ode mnie wzroku, Auroro. Chcę widzieć twoją twarz, gdy będziesz dochodzić. – Odwracam się do niego, a on usatysfakcjonowany unosi głowę. – Dobra dziewczynka. A teraz potrzyj swoją łechtaczkę tak mocno, jak tylko zdołasz.

Gorączkowo potakuję, pocierając się z coraz większą siłą i wijąc z przyjemności pod ciężkim spojrzeniem Angela. *Zbliża się orgazm.* Mam zawroty głowy, a do tego brakuje mi tchu.

– Nie waż się przerywać – warczy, pochylając się nad moim kolanem i nie odrywając wzroku od mojej cipki. – Chcę zobaczyć, jak dochodzisz.

Moja łechtaczka pulsuje rytmicznie. W końcu każdy mięsień w moim ciele zaciska się i eksploduję czystą przyjemnością.

– O Boże! – krzyczę, a moje ciało przejmuje nade mną kontrolę. Ocieram się o dłoń, aby dojść do końca.

Zamykam oczy i próbuję złapać oddech, a eksplozja w moim brzuchu i pomiędzy udami powoli gaśnie.

Po kilku sekundach przez przymknięte powieki widzę, jak Angelo wstaje. Dostrzegam wybrzuszenie w jego spodniach. Obrzuca ostatnim, głodnym spojrzeniem moje ciało i na końcu jego wzrok ląduje na mojej twarzy. Mroczny uśmiezek pojawia się na jego ustach.

– Myliłem się co do ciebie, Sroczo – mówi ochryple, oblizując wargi. – Jesteś złą dziewczynką.

Z ostatnim przeciągłym spojrzeniem odwraca się w moją stronę i odblokowuje drzwi. Zanim się przez nie prześlizguje, dostrzegam coś różowego i koronkowego w jego dłoni.

Mój stanik.

Subtelnie wsuwa go do kieszeni i zostawia mnie leżącą na kanapie.

Kompletnie nagą i wyczerpaną.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Angelo

Mam wrażenie, że obraz nagiej i masturbującej się narzeczonej mojego wuja tkwi wypalony w mojej siatkówce. Widzę go przed oczami, gdy tylko je zamykam.

Wspomnienie jej płytkiego oddechu nadal brzmi w moich uszach. Prześladowuje mnie wilgotne plaskanie jej dłoni, klepiącej się po opuchniętej cipce. A gdy się zarumieniła, a jej ciałem wstrząsnęły dreszcze orgazmu, wiedziałem, że muszę się stamtąd wynosić, zanim zrobię coś, czego nie da się cofnąć.

Sam Chrystus nie ma w sobie tyle powściągliwości co ja.

Po przygodzie w biurze Tora wyszedłem z klubu. Nie dlatego, że miałem wzwód, który nie zamierzał szybko minąć, ale dlatego, że przeżyłem już szczytowy moment wieczoru. Nie byłem w stanie wrócić do obserwowania wijącej się w tej obscenicznie obcistej sukience Aurory, gdy wiedziałem, w jakim odcieniu różu jest jej cipka. Poza tym nie byłem w nastroju, aby użerać się z Dantem, który z jakiegoś powodu wlepił we mnie zabójcze spojrzenie z drugiego końca boksu dla VIP-ów. Czuję się, jakbym w kółko pieprzył jego dziewczynę na balu.

Brama z kutego żelaza powoli się otwiera. Mój mały drga w oczekiwaniu. Martwię się tym, że pogrywam niebezpiecznie. Chcę ją po prostu zobaczyć, nawet w pełni ubraną. Wystarczy mi czerpanie przyjemności z tego, że będzie się wiała z zażenowania na myśl o obnażaniu się przede mną zeszłej nocy.

Toczę się w kierunku wejścia. Nagle dostrzegam duże poruszenie dookoła posiadłości. Służący kręcą się, ładują pudła do ciężarówek i rozmawiają w ożywieniu przez telefony.

We foyer również panuje spory ruch. Dostrzegam kobiety ze słuchawkami w uszach, a Greta trzyma notatnik i warczy na stadko młodych służących. *Co się, do cholery, dzieje?*

Podnoszę wzrok, a wtedy dostrzegam stojącą na szczycie schodów Aurorę. Gdy mnie zauważyła, zamiera, a jej stopa, gotowa zsunąć się na następny stopień, zawisa w powietrzu. Kobieta ze słuchawką szepcze jej coś do ucha, lecz po rumieńcu wyłaniającym się spod jej jedwabnego szlafroka zgaduję, że jej nie słucha.

– Nie jesteś ubrana. – Zagryzam wargi w uśmiechu, a potem unoszę głowę.

– A ciebie nie powinno tu być – szepcze. Jej wzrok kieruje się w stronę zamkniętych drzwi biura Alberta. Zbiega po schodach i zatrzymuje się przede mną. Unosi wzrok i odskakuje, jakby zapomniała, jaki jestem wysoki. A może przypomniała sobie zeszłą noc tak wyraźnie jak ja.

– Nie chcesz się dzisiaj spotkać z ojcem?

– Nie mogę. – Spuszcza wzrok na nagie stopy. Oczywiście paznokcie ma pomalowane na różowo. – Dziś wieczorem odbywa się... moje przyjęcie zaręczynowe.

Kotłuje mi się w żołądku. Jestem zdumiony, jak szybko jej komentarz załazł mi za skórę, rzeźbiąc w moim ciele gorzką, bolesną drogę. Zagryzam szczękę w próbie zachowania obojętnego wyrazu twarzy.

– Super, ale dopiero wieczorem.

Zerka na morze ludzi uwijających się jak w ukropie.

– Jest dużo do zrobienia.

– Dlatego masz służbę.

– Ale...

Kładę dłoń na jej szczęce, aby ją uciszyć. Otwiera szeroko oczy i zerka w stronę biura Alberta.

– A co się stało z zasadą zero dotykania? – szepcze.

Zaśmiewam się i niechętnie cofam dłoń, przesuwając kciukiem po jej miękkim policzku.

– Racja – mówię oschle. – Mogę popatrzeć, ale nie mogę dotykać.

Zeszłego wieczoru tak mnie podniecił jej widok, że wymyśliłbym każdą wymówkę, aby zobaczyć, co kryje się pod tą zdzirowatą sukienką.

– Chcesz spotkać się z ojcem czy nie?

– Nie mogę...

– Nie o to pytałem.

Ponownie posyła spojrzenie w kierunku biura wuja. Czuję, że moja skroń pulsuje. Nienawidzę władzy, jaką nad nią posiada.

– Dzisiaj mi nie wolno.

Bez słowa odwracam się na pięcie i bez pukania wparowuję do biura starca.

Na jego twarzy maluje się wściekłość, dopóki nie podnosi wzroku znad dokumentów i nie uświadamia sobie, kto mu przeszkadza. Przesuwa się w swoim skórzanym fotelu i unosi głowę.

– Ach, cześć, dzieciaku. Jesteś za wcześnie. Przyjęcie rozpoczyna się wieczorem i odbywa się w hotelu rodzinnym. – Jego pomarszczone usta formują się w wąski uśmiezek. – Nie musiałeś przebywać takiego szmatu drogi. Wystarczyło zjechać windą do sali balowej.

Nie daję się wciągnąć w tę beztronską pogawędkę. Kopniakiem zamykam drzwi i podchodzę do biurka. Nie rozumiem, dlaczego odskakuje.

– Potrzebuję dzisiaj Aurory.

– To nasze przyjęcie zaręczynowe...

– Myślałem o twojej ofercie odnośnie do rezerwatu Devil's Preserve. Może masz rację. To taki duży obszar niewykorzystanych terenów. Może powinniśmy coś z tym zrobić.

W jego oczach pojawia się błysk, a przebiegły uśmiezek przecina jego oblicze.

– W końcu. Kurwa, ile razy o tym rozmawialiśmy w tym tygodniu?

Cholernie dużo. Za każdym razem, gdy Albertowi udało się dopaść mnie na osobności, wypytywał mnie o cholerny rezerwat.

– Dużo – przyznaję kwaśno. – Chciałbym zbadać sytuację, zanim to przedyskutujemy. Aurora zna las jak własną kieszeń, więc chciałbym ją tam zabrać.

– Świetny pomysł. Ale... – Jego spojrzenie pada na drzwi i ścisza głos o kilka tonów. Unosi dłonie w udawanym geście poddania. – Powinieneś wiedzieć, że ona wierzy, że rezerwat jest moją własnością. Wiem, wiem. Niegrzeczny ze mnie chłopiec. Robi się, co trzeba, nieprawdaż? Więc, hmm... Doceniłbym, gdybyś nie wspominał jej, że należy do ciebie.

Jak on mnie denerwuje! Oblizuję językiem zęby i kiwam sztywno głową, po czym odwracam się na pięcie.

– Angelo? – Zamieram. – Razem dokonamy na tym Wybrzeżu niezwykłych rzeczy, dzieciaku.

Zamknij się, kurwa. Otwieram zamasyżycie drzwi i bezpośrednio za nimi znajduję Aurorę. Wykrzykuje te swoje śmieszne przekleństwa, a następnie odskakuje na bok.

– I co? – szepcze, wpatrując się we mnie uroczymi, wielkimi oczami.

– Ubieraj się. Spotkamy się w samochodzie.

Niecałe dziesięć minut później wskakuje na miejsce pasażera w moim Astonie Martinie w szarych legginsach i obszernej bluzie. *Kurwa.* Nie znam dziewczyny, która by tak dobrze wyglądała zarówno w dresach, jak i skórce. Jej włosy opadają lokami na ramiona. Musiała je właśnie umyć, ponieważ zapach wiśniowego szamponu wypełnia cały samochód, co przyprawia mojego małego o udrękę.

Wyjeżdżam z podjazdu, starając się skoncentrować na drodze, lecz jest to prawie niemożliwe. Jedyne, o czym mogę myśleć, to kształt jej rysujących się pod bluzą cycków i niewielki pasek złotych włosów na wzgórku łonowym.

Szarpię się za kołnierzyk i bębnię palcami o kierownicę.

– Masz kaca?

Aurora się spina.

– Nie. – Jej spojrzenie omiata mój policzek i podnosi głos. – Nawet nie byłam zbyt pijana.

– Okej.

Odkasłuje, wierci się, a potem wyciąga paczkę cukierków Mike&Ike z torebki i wrzuca sobie garść do ust. Gdy podaje mi pudełko, posyłam jej szyderczy uśmiezek i potrząsam głową.

– Jak sobie chcesz – mamrocze. – Gdzie byłeś w środę?

– Czemu pytasz? Tęskniłaś?

– Tak. – Jej odpowiedź jest szybka i dwuznaczna. Zaśmiewa się uroczo.

Gdy zatrzymujemy się przed bramą, opieram głowę o zagłówek i zamykam oczy.

– Nie testuj dzisiaj mojej cierpliwości, Auroro. Spędziłem dziewięć lat opierając się pokusom. Ty sprawiasz, że bardzo trudno będzie mi dobić do dekady. – W chwili, gdy ośmielam się na nią spojrzeć,

natychmiast tego żałuję. Spogląda na mnie zza tych gęstych rzęs, ciężko oddychając przez swoje pełne, rozchylone wargi. Moje spojrzenie staje się poważne. – Mówię serio.

Wytrząsa z pudełka kolejną garść cukierków i wpatruje się w nie.

– To, do czego doszło zeszłej nocy było złe... bardzo złe. – Zagryza dolną wargę. – Nie powinniśmy byli tego... robić.

– My? Ja niczego nie zrobiłem.

Rzuca mi groźne spojrzenie, a jej blada cera przybiera odcień głębokiej purpury.

– Ty patrzyłeś. Tak czy siak, to się nie może powtórzyć. – Przełyka ślinę, obraca się na siedzeniu i spogląda na mnie z zaskakującym jadem. – Przysięgam, że jeśli powiesz o tym swojemu wujowi, to podpale ci samochód.

– Że co, proszę? – Śmieję się.

– Dobrze słyszałeś.

– Rety. Kim jesteś i co zrobiłaś Aurorze? Mniej niż dwa tygodnie temu byłaś na skraju łez i błagałaś mnie, abym nie odsłuchiwał twoich sekretów.

– Wiem, że dotrzymasz tajemnicy, ponieważ gdybyś się wygadał, oboje wpadlibyśmy w takie same tarapaty.

– Do niczego nie doszło, Auroro. Nie tknęliśmy się palcem. Wyluzuj. – Staram się zachować obojętny wyraz twarzy, lecz wrze we mnie krew.

Kiwa głową, wyraźnie się odprężając, jakbym udzielił jej zapewnienia, którego potrzebowała.

– Masz rację. Nie dotykaliśmy się. Wszystko gra. Wszystko się ułoży. Przy okazji, mam na imię Rory.

– Hmm?

– Mam na imię Rory. Pomyślałam, że powinieneś wiedzieć. No wiesz, widziałeś mnie nagą i w ogóle...

Co?

Gryzę się w język, potrząsam głową i skupiam na nadbrzeżnej drodze. Kurwa, to był zły pomysł. Wiedziałem, że nie powinienem dzisiaj po nią przyjeżdżać, lecz chora, pokręcona część mnie chciała ją zobaczyć, aby pławić się w jej zażenowaniu. Myślałem, że będzie się rumienić i wić, niezdolna spojrzeć mi w oczy, wiedząc, co robiła

zeszłego wieczoru. Sądziłem, że poczuje się zaniepokojona i przerażona, że w końcu ma na koncie prawdziwy grzech.

Lecz ta dziewczyna? Nagle staje się „Rory” i pokazuje pazury. To irytująco podniecająca sytuacja.

Resztę drogi przebywamy w milczeniu. Jak zwykle, zatrzymuję się przy kościele.

– Godzina – przypominam jej. Kiwa głową i wyskakuje z samochodu, biegnąc w stronę lasu bez oglądania się za siebie.

Jakiś czas później wyłania się zza drzew z ponurym wyrazem twarzy. Jej kroki są szybkie, a dłonie trzyma zaciśnięte na rękawach bluzy.

Zamieram i łapię kierownicę, gdy zbliża się do samochodu.

– Co się stało? – pytam, gdy otwiera drzwi.

Zapada się w fotelu i tępo spogląda przez szybę.

– Nic. Po prostu jedźmy.

Mrużę oczy.

– Auroro, spójrz na mnie. – Potrząsa głową. – Nie zmuszaj mnie, abym zapytał ponownie.

Spina się, ale nadal wpatruje się przed siebie. Czuję się poirytowany. Podążam za jej spojrzeniem i uświadamiam sobie, że patrzy w kierunku budki telefonicznej.

– Myliłam się. To nie jest w porządku. – Jej delikatny głos jest ledwo słyszalny, ale trafia mnie prosto w brzuch niczym cios. – Mam zbyt dużo do stracenia, aby wyprawiać z tobą takie rzeczy.

– Zapomnij o tym...

– Nie potrafię – przerywa mi pewniejszym tonem. – To tak nie działa. Nie potrafię poradzić nic na to, że czynię zło. Zawsze wychodziłam na prostą, ponieważ to wyznawałam i oczyszczałam się z winy.

Przełyka ślinę i odsuwa lok z twarzy.

– A teraz nie mogę wyznać grzechów, ponieważ ty jesteś właścicielem mojego „konfesjonału”.

Opieram się na siedzeniu i pocieram dłonią szczękę.

– Powiedziałem ci, że nie będę słuchał, Auroro. Mam większe zmartwienia niż twoje głupie wyznania. Dzwonź na linię. Nie obchodzi mnie to.

– Ale ty nie jesteś jedyną osobą, która ma dostęp do Anonimowych Grzeszników, prawda? Twoi bracia również go mają.

I oto mnie ma. Bez wątpienia chciała porozmawiać o tym, co się wydarzyło zeszłej nocy, a jeśli Rafe czy Gabe się o tym dowiedzą, dodadzą dwa do dwóch i rozpęta się afera. Słowa Rafe'a odbijają się echem w mojej głowie: *Nie zmuszaj mnie do pójścia na wojnę z powodu jakiejś cipki*. A Gabe? Wydaje mu się, że jest jakimś medium. Nie mam ochoty usłyszeć od niego: „a nie mówiłem”.

Jęczę przytłoczony tą sytuacją.

– A nie mogłabyś tak jak wszyscy prowadzić pieprzonego pamiętnika?

Śmieje się gorzko.

– Nie wolno mi nawet mieć hasła na telefonie. Jak sobie wyobrażasz ukrywanie pamiętnika?

Powoli tli się we mnie furia.

To nie mój problem. To nie mój problem. To nie mój problem.

Nie mogę się przywiązać do tej dziewczyny. Już samo pozwolenie sobie na tę myśl jest niedorzeczne.

– Co się dzieje, jeśli nie możesz wyznać grzechów?

Mógłbym przysiąc, że na chwilę jej spojrzenie przesuwają się w lewo. Za cmentarz. Za kościół.

Na klif.

Mrozi mi krew w żyłach. *Kurwa*. Ma niewyparzoną gębę, a nie potrafi poradzić sobie z wyrzutami sumienia? Cholera, słyzałem próbkę jej grzechów i już z samej definicji zaliczają się do drobnych przewinień. Jeśli nie potrafi sobie poradzić z takimi, gdy nie ma możliwości ich wyznać, to jak da sobie radę z przewinieniem z ostatniej nocy?

– Wsiadaj.

Zawracam samochód, gaszę silnik i wybiegam na ścieżkę przy kościele. Gdy nie słyszę zamykanych drzwi, odwracam się zdenerwowany.

– Potrzebujesz smyczy?

Zanim docieram do kościoła, ona podąża już za mną w mroku.

– Rety – wzdycha, zwalniając i zatrzymując się na środku nawy. – Wiesz, że to miejsce było zamknięte, odkąd skończyłam dwanaście lat.

Na tę myśl przechodzą mnie ciarki. Kurwa, dziewięć lat temu ona nawet nie była nastolatką.

– Zawsze zastanawiałam się, jak wygląda w środku.

– Nie straciłaś wiele – chrząkam. – Chodź.

Podąża za mną nawą. Omijamy ołtarz i zmierzamy do znajdującego się po prawej stronie konfesjonału. Uderzam pięścią w mahoniowe drzwi, a potem opieram się o nie plecami.

– Proszę. Oto prawdziwy konfesjonał. Śmiało.

Lecz ona nie słucha. Jest zbyt zajęta wspinaniem się po schodach na ołtarz. Przebiega palcami po wyrzeźbionych na nim ornamentach.

– Dorastałeś tutaj?

– Tak. Mój ojciec był diakonem. – Zamieram.

– Tak słyszałam – mówi z kwaśnym grymasem. – Najwyraźniej miał znaczącą pozycję w mieście.

Przystaje, a potem obraca głową tak szybko, że jej loki formują falę na plecach.

– Zaraz. – Jej oczy spoczywają na konfesjonale. – Twój ojciec wysłuchiwał spowiedzi. Wy robicie to samo. Zmodernizowaliście konfesjonał ojca.

– Rety. Złota gwiazda dla detektywa Aurory.

Mruży oczy, lecz potem jej spojrzenie mięknie.

– Czy Anonimowi Grzesznicy są hołdem dla zmarłego ojca?

– Nie – wypluwam z siebie więcej jadu niż potrzeba. Odpycham się od konfesjonału i dołączam do niej w prezbiterium. – Gdy dorastaliśmy, razem z braćmi spędzaliśmy niedziele, podsłuchując cudzych grzechów.

Odwracam się i wskazuję palcem na ścianę za konfesjonalem.

– Znajduje się w niej niewielka szczelina. Nasza trójka była w stanie się tam wcisnąć i podsłuchiwać spowiedzi. Musieliśmy się zająć... tym, co uznaliśmy za najgorszy grzech.

Taksuję jej twarz w oczekiwaniu na reakcję. Na początku jest skołowana, a potem, gdy docierają do niej moje słowa, jej brwi się unoszą.

– Masz na myśli...

– Tak.

Wypuszcza z siebie syk i spogląda na kopulasty sufit.

– Nie sędę, żeby Bóg to pochwałał.

Śmieję się i potrzęsam głową.

– Bóg nie byłby zadowolony z wielu rzeczy, które zrobiłem. Tak czy siak, po śmierci rodziców Rafe wpadł na pomysł, jak zmodernizować grę z dzieciństwa. W ten sposób narodzili się Anonimowi Grzesznicy.

Jej ciało się spina i instynktownie odsuwa się ode mnie. *Dobrze. Lepiej dla niej, jeśli będzie się trzymać ode mnie z daleka.*

– Więc nadal podsłuchujesz, a to co uznacie za najgorszy grzech...

– Zajmujemy się nim. Raz w miesiącu.

Zatacza się do tyłu, jakby waga tego odkrycia była dla niej za duża do udźwignięcia. Ledwo udaje mi się ukryć uśmiezek. Ta laska nie poznałaby zła, nawet gdyby uderzyło ją prosto w twarz. Lecz chwilę później prostuje się, a przez jej twarz rzebiega wyraz ożywienia.

Robi krok do przodu.

Też ruszam w jej kierunku.

– Ciężko jest ci być dobrym.

Moje spojrzenie spoczywa na jej ustach. Potrzeba dotknięcia jej dolnej wargi sprawia, że swędzą mnie dłonie.

– To dla mnie niemożliwe.

Wpatrujemy się w siebie. Przełyka ślinę i kładzie dłoń na policzku, jakby sprawdzała swoją temperaturę.

– A w śróde? – wzdycha. – Czy wy... zajmowaliście się tym?

Przez chwilę pozwalam pytaniu zawisnąć między nami, a potem powoli kiwam głową.

– Jak? – bierze chrapliwy oddech.

– Nie zadawaj pytań, na które nie chcesz znać odpowiedzi, Auroro.

– Chcę wiedzieć.

Jej głos brzmi zaczepnie i kusząco. Wystarcza, aby mój penis zareagował. Obserwuję ją baczniej i uświadamiam sobie, że ma urywany oddech, a źrenice jej cyrkonowych oczu się rozszerzyły.

Podoba jej się to.

Kurwa.

Biorę głęboki wdech i przeczesuję dłonią włosy. Zerkam na sufit w nadziei, że Bóg ocali mnie od pokusy. Jasne. Jakbym kiedykolwiek

dał mu powód, aby mi pomagał. Gdy ponownie zwracam uwagę na Aurorę, moje spojrzenie ciemnieje.

– Wysadziliśmy go.

– Podobało ci się? – Przymyka na chwilę oczy.

Robię kolejny krok w jej kierunku, opuszczając głowę tak, że moje usta prawie ocierają się o czubek jej złotych loków.

– Tak.

– Myślałam, że prowadzisz uczciwe życie. – Czuję jej oddech na swojej koszuli.

– Prowadziłem.

Ośmiela się na mnie spojrzeć, a jej spojrzenie wyraża dezaprobatę.

– Ale...

– Potrzebuję ujęcia, Auroro. Pomsta za grzechy daje mi taką samą ulgę jak ich wyznawanie.

Kiwa powoli głową, a jej wzrok spoczywa na moim jabłku Adama. W końcu odzywa się ledwo słyszalnym szeptem.

– Niektóre moje grzechy są tak ciężkie, że nie czuję już ulgi nawet, gdy je wyznaję.

Odpowiadam jej uśmiechem. Jest taka urocza.

– Co na przykład? Powiedzenie nauczycielowi, że pies zjadł ci pracę domową, podczas gdy tak naprawdę jej nie odrobiłaś?

W jej oczach pojawia się błysk złości. Odsuwa się ode mnie. Nie jestem w stanie się powstrzymać i wyciągam dłoń, po czym przyciągam ją do swojej piersi. Czuję potrzebę, by mieć ją blisko przy sobie. Zerka znacząco na moją trzymającą ją za ramię dłoń.

– O, tak – rzucam, przyciągając dłoń do siebie. – Bez dotykania. Zapomniałem.

Wzburzona spuszcza wzrok na moje buty.

– Nie jestem taka niewinna, za jaką mnie bierzesz.

Czuję ucisk w piersi, a jedno pytanie nasuwa mi się na usta: *Nie jesteś takim niewiniątkiem, ponieważ pieprzyłaś się z połową akademii Devil's Coast?* Hamuję się z tą ripostą. Nieważne, jak bardzo mnie to wkurza, jej życie seksualne to nie moja sprawa.

– To powiedz mi, co zrobiłaś.

– Nie mogę – mamrocze. – Ponieważ jeszcze tego nie zrobiłam.

Śmieję się.

– Co? Co zatem masz do wyznania?

– Tylko to, że o tym myślę, wiedząc, że w końcu to zrobię. To wystarczająco złe.

Otwieram usta, aby rzucić kolejny sarkastyczny komentarz, ale hamuje mnie sposób, w jaki zaciska dłonie w pięści. Cokolwiek to jest, naprawdę ją prześladowuje. Przesuwam dłonią po jej policzku i podnoszę jej głowę tak, aby spojrzała mi w oczy.

– Jesteś małą głupiotką dziewczynką, Auroro – dokańczam.

Jej spojrzenie twardnieje. Czuję, jak jej szczęka napręża się pod moim kciukiem.

– Nie to mówiłeś zeszłej nocy.

Wypuszczam syk przez zęby.

– Wygląda na to, że nie możesz wyrzucić z głowy zeszłego wieczoru.

Przyszpila mnie stalowym spojrzeniem i milczy. Unoszę głowę na konfesjonał. Pocieram kciukiem jej miękki policzek.

– Czy to jest grzech, który tak desperacko chcesz wyznać? To, że było ci dobrze, gdy obserwowałem cię, jak robiłaś sobie palcówkę? – Wzmacniam swój chwyt, tłumiąc jęk. Jej gorący i mocny oddech pełza po mojej dłoni. – A może to, że robisz się wilgotna na myśl, że to mogłoby się powtórzyć?

Milczenie wypełnia przestrzeń między nami. Duszę się od lepkiego, słodkiego napięcia.

– Jedno i drugie – szepcze w końcu.

Czuję budzący się we mnie mrok. Biorę oddech i natychmiast go wypuszczam. Podnoszę wzrok nad głowę Aurory, ponieważ zdenerwuję się, jeśli będę wpatrywał się w udrękę widoczną w jej wielkich, pieprzonych oczach. Nie jestem już tym kołesiem. Nie jestem Bezwzględny Viscontim. On tkwi zamknięty w pudełku gdzieś głęboko w mojej głowie. Lecz teraz słyszę, jak dobija się do jego wieka, desperacko próbując się uwolnić.

– Wiesz, że jest alternatywa dla spowiedzi – wypowiadam te słowa ochryłym głosem.

Nasze spojrzenia się krzyżują. Jej słodkie i niewinne, a moje mroczne i zepsute.

– Co to takiego? – rzuca. Lecz wiem, że ona już wie, po tym, jak szybko unosi się i opada jej pierś.

– Pokuta.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Rory

Pokuta.

To jedno słowo brzmi tak piekielnie głośno, że odbija się od sufitu i sprawia, że palą mnie uszy.

Zerkam na Angela przez półprzymknięte powieki i przełykam ślinę. W jego oczach widzę wściekłość, a linia jego zaciśniętej szczęki wyostri się. Robi krok do przodu, a ja cofam się o jeden do tyłu. To go bawi. Zaciska usta w kreskę, a jego spojrzenie przypomina ciemną otchłań.

W końcu odzyskuję głos, chociaż nie brzmi tak mocno, jak miałam nadzieję.

– Masz na myśli...? – dopytuję.

Zamiera i unosi brew. Palą mnie policzki. *Czeka, aż ja to powiem.* Lecz nie mogę. Pomysł jest tak nieprzyzwoity, że nie potrafię zmusić się, aby o tym porozmawiać.

– Czy masz na myśli, to, co mi się wydaje?

– Nie jestem medium, Auroro. Jak sądzisz, o co mi chodzi?

Zaciskam szczękę, zarówno poirytowana, jak i rozbawiona. Nie dam mu tej satysfakcji. Biorę pełny haust powietrza, wzruszam ramionami i spoglądam na niego.

– Dawanie mi klapsów – odpowiadam.

Jego jabłko Adama drga, lecz oblicze pozostaje obojętne.

– Kolejna złota gwiazdka dla Rory.

Zamykam oczy na dźwięk mojego prawdziwego imienia. Wypowiedział je po raz pierwszy i w moim żołądku rozlewa się ciepło.

– I? – pyta.

Moje spojrzenie ponownie ląduje na nim.

– Co takiego? – odpowiadam pytaniem na pytanie. – Nie możesz dawać mi klapsów. Chryste, nawet nie wolno ci mnie dotknąć.

Lecz kiedy z moich ust wydobywają się słowa protestu, serce zaczyna mi mocno walić i pojawia się nieznane mi dotąd pulsowanie w łechtaczce. Na swój chory, pokręcony sposób ten pomysł mnie ekscytuje.

Angelo sprawia wrażenie znudzonego, jakbym wydawała się za głupia, aby ze mną współpracować.

– Więc tego nie zrobię – rzuca.

Przez chwilę na mojej twarzy pojawia się skonsternowanie, ale potem uświadamiam sobie, co miał na myśli i zamieram. Instyktownie opuszczam wzrok na jego pasek. Potem na wybrzuszenie wyprężające się przez materiał spodni.

O kurka. Angelo Visconti chce dać mi klapsa swoim pasem i twardnieje na tę myśl. Kręci mi się w głowie, więc opieram dłonie na ołtarzu, aby utrzymać się w pionie. Wpatruję się w lśniącą drewnianą powierzchnię i staram się nad sobą zapanować.

Lecz nie jestem w stanie się skupić. Czuję się, jak w malignie, pijana na myśl o ocierającym się o moje pośladki, zimnym pasku Angela. *Dlaczego ten obraz tak mnie podkręca?* Czuję wilgoć przesiąkającą przez materiał spodni.

– Okej. – Zgadzam się, zanim do głosu dojdzie zdrowy rozsądek. Jakby w moim imieniu odzywała się desperacka i głęboko ukryta we mnie instyktowna potrzeba.

Czuję żar na plecach. Sprawia, że twardnieją mi sutki. Angelo opiera swoje ogromne dłonie na ołtarzu tuż obok moich.

Jego oddech ociera się o moje ucho.

– Okej? – pyta.

Przełykam ślinę i potakuję.

Powolny, mroczny rechot dochodzący z za moich pleców przebiega po moim kręgosłupie. To sprawia, że włosy na karku stają mi dęba.

– Rory. – Głos Angela ocieka słodyczą. – Okej nie wystarczy.

– Nie rozumiem.

– Głupiutka dziewczynko – mamrocze. – Czy mama nie nauczyła cię słowa „proszę”? – Wstrzymuję oddech, zamykam oczy i łapię się brzegu pulpitu.

– Naprawdę zmusisz mnie, abym poprosiła cię o klapsa? – pytam z delikatnym śmiechem. – Mówisz poważnie?

– Śmiertelnie – warczy.

Powinnam go od siebie odepchnąć. To, co robimy jest złe z wielu powodów. Lecz zabrnęłam już za daleko i nie ma odwrotu, co mnie bardzo ożywiło.

W skroniach pulsuje mi krew. Wpatruję się w wiszący nad ołtarzem wizerunek Matki Boskiej i potrząsam głową w niedowierzaniu. *Wybacz mi.*

– Chcę, abyś dał mi klapsa. Proszę.

Stojący za mną Angelo łapie głęboki oddech i niewielkie poczucie satysfakcji dźga mnie w żołądek. Najwyraźniej nie przypuszczał, że ta „głupia, malutka dziewczynka” sobie z tym poradzi. Nie wierzył, że będę zdolna posądzić go o blef.

Lecz moje zadowolenie z siebie jest przelotne. Wyparowuje w chwili, gdy dociera do mnie brzęk jego sprzączki oraz dźwięk wysuwającego się ze szlufek w jego spodniach skórzanego paska.

– Pochyl się. – Coś szorstkiego pojawia się w jego głosie.

Mój puls przyspiesza. Powoli pochylam się nad ołtarzem i przyciskam policzek do zimnego drewna.

Angelo odchrząkuje. Potem jego głos obniża się o oktawę.

– A teraz musisz spuścić w dół legginsy i majtki.

Moje mięśnie się opierają. Zamykam oczy. *O kurka. To się naprawdę dzieje.* Teraz już nie mogę się wycofać. Nawet, gdybym chciała. Wiem, że w głębi duszy właśnie tego pragnę.

Nikt się nie dowie.

Z drzeniem wsuwam kciuki pod pasek legginsy, aby zsunąć je z pupy.

Wypinam się i wystawiam na widok Angela. Nigdy nie czułam się jednocześnie tak bezbronna i podniecona. Z oczekiwania swędzi mnie skóra. W końcu wypuszczam z siebie niski, pełen żądy jęk i pławię się w nim, pozwalając jego ciepłu, niczym promieniom słonecznym, ogrzewać moją skórę.

– Kurwa – wzdycha, chwytając tył mojej bluzy. – Twoja cipka jest najdoskonalszą rzeczą, jaką kiedykolwiek widziałem.

Przód jego ud muska tył moich, a ocierający się o mnie zimny, miękki materiał przesyła falę przyjemności do mojej łechtaczki.

Jego głos twardnieje.

– To będzie bolało. Jeśli zechcesz, abym przestał, mów. Jeśli się nie odezwiesz... – Drzę, gdy przesuwa zwiniętym pasem po moim

kręgosłupie. – To przestanę, kiedy uznam za stosowne. Zrozumiano?
Potakuję.

– Nie – warczy, przyciskając się do mnie i pochylając tak, że jego oddech pali mnie w ucho. – Używaj słów.

– Tak – rzucam. – Rozumiem.

Do moich ust napływa ślina. Moje serce wali mocno. Oczekiwanie jest bolesne i...

Pas śwista w powietrzu. Po czym szybko i nieoczekiwanie spada na mój tyłek. Pośladki eksplodują bólem, a ślad po uderzeniu jednocześnie pulsuje i kłuje. Z mojego gardła wydobywa się krzyk. Opadam na ołtarz.

Stojący za mną Angelo zamiera.

– Używaj słów, Rory.

Zaciskam zęby trzonowe i chwilę zajmuje mi uspokojenie oddechu. Pulsowanie na moim pośladku zamienia się w tępy ból i ku mojemu zdziwieniu omywa mnie fala przyjemności.

– Jeszcze raz.

Gdy z piersi Angela wyrywa się jęk, moja cipka się zaciska. Mężczyzna bez słowa wkłada mi stopę między nogi, zmuszając do rozstawienia ich szerzej, a potem jego pas ponownie łąduje na mojej pupie. Tym razem wyrywam się do przodu i jęczę, gdy moje sutki ocierają się o materiał bluzy. Moja cipka kurczy się i odkrywam, że stoję na paluszkach, wypinając się w łuk w kierunku pasa.

– Myślę, że lubisz być karana – mówi przeciągle Angelo. Ponownie rozsuwa mi nogi. Tym razem rozstawiam je tak, że zimny wietrzyk owiewa moje wilgotne wargi. Pod nami skrzypi podłoga. Czuję jego oddech na łechtaczce, a jego zarost ociera się o wnętrze mojego uda.

O kurka. Angelo klęczy przede mną, a jego usta znajdują się milimetry od mojej cipki. Instynktownie wyginam plecy w łuk i wypinam się w jego stronę. Lecz silny chwyt łapie mnie za uda, zanim udaje mi się poczuć żar jego ust na łechtaczce.

– Oj, Rory, Rory – sapie głosem pełnym pożądania. – To byłoby dotykanie. A nie mogę cię tknąć, nieprawdaż? Jesteś zajęta. Rozsuń porządnie pośladki i zaprezentuj mi się w pełni.

Jęczę i robię, co każe. Kolana uginają się pode mną na wibracje wywołane przez jego jęki przy mojej cipce.

– Lubisz odbywać pokutę za grzechy, dziecinko? – Zagryzam zębami wargi. *Chryste, uwielbiam, kiedy mnie tak nazywa.* – Wiesz, po czym to poznaję?

– Po czym? – pytam, chociaż wiem, co powie. Czuję to. Po moim udzie płynie wilgotny, gorący płyn.

Słysząc szelest i nagle coś miękkiego, jedwabistego chwytam moją cipkę i przesuwam się po łechtaczce i wargach. Silny palec rozdziela wejście do mojej dziurki, a każdy nerw w moim ciele płonie.

Angelo się prostuje, a potem rzuca na ołtarz swoją poszetkę. Ku mojemu zażenowaniu na bladoniebieskim materiale widnieją ciemne plamy moich soków.

– Stawać się tak wilgotną dla mężczyzny, który nie jest twoim narzeczonym? – Pochyliła się, trzymając materiał i podstawiając mi go pod twarz. – Zasługujesz na kolejnego klapsa.

Smaga mnie kolejny raz bez ostrzeżenia i bolesne odczucie przesuwa mnie w najbardziej finezyjny sposób. *Co się, do cholery, dzieje?* Poczulałam w żyłach mieszankę bólu z przyjemnością i... pragnę więcej.

Wietrzyk omiata moje ciało, a Angelo podnosi do góry pas. Przygotowuję się na ból. Lecz on zaledwie smaga mój tyłek.

– Myślę, że wystarczy ci kary na jeden raz, Rory – szepcze Angelo ze złościwością w głosie.

Już?

– Nie – błagam. Zaciskam oczy i czuję, że nadchodzi orgazm. Dałabym dosłownie wszystko, aby do niego doszło. – Nie przerywaj.

– Jeszcze jedno smagnięcie paskiem i zaczniesz chodzić do kościoła. Żadna ilość spowiedzi nie ocali przed tym twojej duszy.

W bolesnej ciszy słyszę, jak zakłada spodnie. Towarzyszy temu dźwięk zapinanego paska. Potem docierają do mnie jego ciężkie i cichnące na schodach kroki. Zmierza w kierunku drzwi.

Czy on naprawdę mnie tak zostawi?

Jego głęboki, rozkazujący głos odbija się od nawy.

– Zrób, jak uważasz! Zdecyduj, czy dokończysz sama, czy użyjesz konfesjonau. Spotkamy się w samochodzie – rzuca surowym tonem.

Z głuchym łoskotem zamyka za sobą drzwi i znika.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Angelo

Sala balowa w hotelu Viscontich jest tak tandetna jak sam Alberto. Na ścianach wiszą oprawione w złote ramy portrety zmarłych przodków. Centralna kopuła jest podróbką fresków namalowanych przez Michała Anioła w Kaplicy Sykstyńskiej, a złoto zdobi każdą możliwą powierzchnię.

Ten wystrój przyprawia mnie o ból głowy. To kolejny pieprzony powód, dla którego nie powinno mnie tu być.

Stoję zwrócony plecami do granatowego oceanu, opierając się o drzwi na taras i gniotę tkwiącą w kieszeni smokingu paczkę papierosów. Jednak nie jest za późno, aby wyjść z przyjęcia. Jestem pewien, że Alberto nawet nie zauważyłby mojej nieobecności. Będzie zbyt zajęty popisywaniem się swoją gorącą, młodą narzeczoną przed każdym starym piernikiem, który zechce go słuchać.

W gardle pali mnie gorycz i drzę pomimo słonego chłodu owiewającego moje ramiona.

Delikatne uderzenie w ramię sprawia, że zgrzytam zębami. Przesuwam powoli wzrok i zauważam uśmiechającego się przebiegle Benny'ego. Z zatkniętym w kąciku ust papierosem wygląda, jakby właśnie zmierzał na taras, by zapalić.

– Zaczynasz bywać u nas regularnie, *cugino*. A gdzie podziewa się dwóch pozostałych muszkieterów?

– Rafe'a zatrzymały interesy w Vegas, a Gabe jest... – Waham się i przebiegam językiem po zębach. Gabe zjawił się w moim apartamencie dwa dni temu, żądając kluczy do domu naszych rodziców. Od tej pory obdziera ściany z tapety, wykonuje różne naprawy, a wszystko to robi słuchając takiego rodzaju rocka, że moje uszy krwawią. – Jest zajęty.

Wybuch śmiechem, wychodzi na taras i zapala papierosa. Chce mnie poczęstować, ale potrząsam głową.

– Gabe jest zawsze cholernie zajęty. Mam nadzieję, że zjawią się na następnym.

Marszczę brwi, odrywam wzrok od sali balowej i skupiam uwagę na nim.

– Czym następnym?

Zaciąga się porządnie, a potem wskazuje papierosem w kierunku gości zapełniających parkiet.

– To nie pierwsze przyjęcie zaręczynowe Dużego Ala i jestem cholernie pewien, że nie ostatnie. Pewnie Rafe i Gabe dadzą radę zjawić się na kolejnym.

Czuję podirytowanie. Benny ma rację. Rory nie jest pierwszą młodą, gorącą laską, w którą zanurzył swoje szpony Alberto. Kiedy dostanie od niej to, czego pragnie, odstawi ją na bok i następna zajmie jej miejsce.

– Hej, dokąd idziesz? – pyta kuzyn.

Lecz głos Benny’ego pozostaje zaledwie szeptem na wietrze. Przechodzę przez salę balową, a potem schodzę na plażę. Szybkim krokiem zmierzam byle jak najdalej w mrok, w którym nie dosięgną mnie złote światła przyjęcia. Gdy pod moimi stopami beton zamienia się w piasek, zatrzymuję się i opieram o drzewo.

Wypuszczam ciężki oddech, a z moich ust wydobywa się para.

Nie znoszę tego miejsca. Nie cierpię klanu Cove, a także nienawidzę Rory.

Zwłaszcza jej. Denerwuje mnie, że jest uosobieniem mojego ideału kobiety. Nie wycofuje się, gdy postępuję z nią nikczemnie. Nie cierpię dźwięku, jaki z siebie wydawała, gdy mój pasek stykał się z jej pupą. Nie mogę znieść odcienia czerwieni, jaką przybiera jej skóra i jak ten pieprzony pierścionek błyszczy na jej palcu, gdy z przyjemności zaciska dłoń w pięści.

Nie znoszę, że zasada „patrz, ale nie dotykaj” jest twarda i bezwzględna. Musi taka być, ponieważ wiem, że gdybym skosztował jej warg – czy obu ich zestawów – w życiu nie wróciłbym do Londynu.

Wiem, że musiałbym zostać i o nią walczyć.

– Jezu pieprzony Chryste – syczę w mrok. Jestem na Wybrzeżu od ponad trzech tygodni i nie potrafię stwierdzić, czy mój pobyt umacnia mur, jaki wzniosłem pomiędzy sobą a pozostałymi

członkami rodziny Viscontich, czy Aurora łagodzi naszą chłodną relację.

Gdy wpatruję się w mroczny ocean, coś znajdującego się na brzegu przykuwa moją uwagę. Instynktownie sięgam dłonią za tył paska, lecz natrafiam na pustkę. Zamykam oczy i przeklinam pod nosem. Wybrzeże działa destrukcyjnie na mój mózg, zmuszając mnie do nawrócenia się na bycie typowym członkiem mafii. Sięganie po broń, której się już nie nosi, jest tego czystym dowodem.

Powiniennem jak najszybciej wracać do sal konferencyjnych i arkuszy kalkulacyjnych. Obrzucam surowym spojrzeniem znajdującą się na brzegu postać. To dziewczyna siedząca na ogromnym kamieniu z podciągniętymi pod brodę nogami. Moje serce przyspiesza i pocieram palcami szczękę.

Rory.

Czuję łagodną irytację. Udało się jej wyśliznąć niezauważonej na własnym pieprzonym przyjęciu zaręczynowym. Wszystkie zgromadzone tam dupki bardziej troszczą się o szampana i dryfujący na złotych półmiskach kawior niż o jej bezpieczeństwo. Założę się, że Alberto zauważy jej nieobecność dopiero, gdy spije się na umór i zapragnie macanek.

Wsuwam dłonie do kieszeni, a po chwili ruszam plażą w jej kierunku. Gdy się przy niej zatrzymuję, dostrzegam, że wsuwa do ust wielki pasek gumy do żucia Big Red. Podążam za jej wzrokiem w kierunku oceanu i słyszę jak jej oddech zamiera.

– Czy po dzisiejszym poranku boli cię tyłek? – Siłę się na nonszalancję. Jakby dawanie jej klapsów było czymś, co mam przyjemność robić codziennie. Jakbym nie musiał uciekać po zaledwie trzech smagnięciach pasem.

Po powrocie do domu musiałem sobie ulżyć.

– Nie za bardzo.

Uśmiecham się na jej niezdarną próbę dorównania mi obojętnością. Wygląda cholernie uroczo, gdy próbuje zachowywać się niewzruszenie. Jednak zawsze zdradza ją mowa ciała.

– To pewnie następnym razem muszę zaserwować ci mocniejsze klapsy – próbuję zmusić ją do reakcji.

– O kurka – syczy. – Angelo, to się nie może powtórzyć.

Moja szczęka zaciska się, ponieważ uświadamiam sobie, że ma rację. Jest narzeczoną mojego wuja. Poza tym mieszkam za oceanem.

W końcu ośmielam się na nią spojrzeć i natychmiast tego żałuję. Tak jak podejrzewałem jest irytująco piękna. Byłem pewien, że będzie wyglądała zniewalająco podczas swojego przyjęcia zaręczynowego. Materiał jej czerwonej sukni rozlewa się na kamieniu, na którym siedzi, a długie blond włosy opadają na ramiona drobnymi loczkami. Robi balona i napotyka mój wzrok.

Czuję skurcz w piersi.

– Dlaczego patrzysz na mnie takim wzrokiem? – pyta.

Wzdycham cicho i potrząsam głową.

– Nie wyprostowałaś włosów.

Nawet w blasku księżyca widzę wypęłzający na jej skórze rumieniec.

– Tak. Alberto nie był z tego powodu zbyt zadowolony.

– To dobrze.

Czując na sobie jej oszołomione spojrzenie, zrzucam marynarkę i zarzucam ją na jej ramiona. Zamiera, otwiera szeroko oczy, a potem owija się nią, ukrywając niewielki uśmiech za materiałem klapy.

Bez słowa siadam koło niej, wyciągam paczkę papierosów z kieszeni i wsuwam jednego pomiędzy rozchylone usta Rory. Gdy moja dłoń ociera się o jej policzek, zwalczam instynktowną potrzebę, aby ująć go w dłonie. Płomień mojej zapalniczki *Zippo* rzuca miękką cień na jej twarz. Gdy odpalam papierosa, ona bierze powolny, zmysłowy wdech, który dociera aż do mojego penisa.

– Wyznaj mi grzech, Auroro.

Żałuję tych słów, gdy tylko wychodzą z moich ust. Gdy każdorazowo namawiałem ją na wyznanie grzechu, miałem nadzieję, że przyzna się do swojej zdirowatości. Lecz jeśli powie mi o tym dzisiaj, mogę wpaść we wściekłość. Odczuwam dziwne pragnienie, aby wydobyć od niej głębsze wyznanie. Chcę wiedzieć, co dzieje się w jej głowie.

Spogląda na mnie przez chmurę dymu. W jej źrenicach gości smutek. Między nami zapada długa cisza. W końcu podaje mi papierosa i wspierając się na dłoniach, pochyla się do tyłu i wpatruje w bezgwiazdne niebo.

– Moja mama zmarła dwa lata temu. Na raka. Zaczęło się od niewielkiej plamki na płucu, lecz potem pojawiły się przerzuty na wątrobę i mózg. Walczyła z całych sił, lecz w końcu lekarze byli bezradni. Jedyne, co mogli zaoferować, to zapewnienie jej ulgi w cierpieniu, więc odesłali ją do domu. – Przełyka ślinę. – Złożyliśmy w salonie szpitalne łóżko, a dwa razy dziennie przychodziły pielęgniarki. Gdy zostawała sama, miała do dyspozycji dzwonek, którym w razie potrzeby mogła wezwać mnie lub ojca. Pewnej nocy rozległ się jego dźwięk. Wskoczyłam z łóżka i pognałam do salonu, aby sprawdzić, co się z stało. Stwierdziła, że wszystko jest w porządku. Właściwie to wyglądała na bardziej ożywioną niż przez kilka ostatnich tygodni. Wcisnęła dzwonek, ponieważ chciała ze mną porozmawiać. Życzyła sobie, abym złożyła jej obietnicę.

Moje plecy napinają się, gdy przysuwa się bliżej. Opiera głowę na moim ramieniu. Na chwilę przysmykam oczy i przełykam gulę w gardle. Powinienem jej powiedzieć, że to zalicza się do dotykania, lecz tego nie robię.

– Co jej obiecałaś? – dopytuję.

Czubek jej głowy ociera się o moją szczękę. Gdy się odzywa, czuję jej miękkie, gorące oddechy na szyi.

– Że wyjdę za mąż tylko z miłości. – Załamuje mnie. Czuję wszechogarniające pragnienie wzięcia jej w ramiona i przyciągnięcia do piersi. Próbuję odwrócić od tej myśli uwagę, zaciągając się porządnie papierosem. – Tej samej nocy odeszła we śnie.

Spuszczam głowę i wdycham jej szampon o wiśniowym zapachu.

– Przykro mi – mamroczę, a moje usta ocierają się o jej złote kosmyki.

– Zawsze myślałam, że dotrzymam obietnicy. Zresztą każdy sądzi, że wyjdzie za mąż z miłości, prawda? Poczucie winy obudziło się we mnie po tym, jak podpisałam ten piekielny kontrakt z Albertem. I nieważne, ile razy dzwoniłam na gorącą linię, nigdy nie byłam w stanie otrząsnąć się z tego okropnego uczucia, że ją tak zawiodłam.

– Nabiera powietrza w płuca i wypuszcza drżący oddech. – Dlatego nie możemy tego ciągnąć, Angelo. On w końcu się dowie, a gdy tak się stanie, zabije mnie i zrobi co zechce z rezerwatem. Nie mogę na próżno łamać obietnicy danej mamie.

I tak cię zabije.

Przez chwilę siedzimy w milczeniu, podając sobie w tę i z powrotem papierosa. Zbliża się przypyływ, a fale delikatnie rozbijają się o skałę, na której spoczywamy. Dochodzą do nas dźwięki akustycznej wersji przeboju Steviego Wondera *Isn't She Lovely*, którą gra orkiestra. Wiwaty i śmiechy płyną schodami, niosąc się między drzewami. W chwili, gdy rozbijają się o cichy brzeg, brzmią złowrogo.

Woda dociera do miejsca, w którym siedzimy. Wsuwam papierosa w kącik ust, pochylam się i rysuję linię na mokrym piasku.

– Tutaj.

– Co to jest? – Rory zerka na dół.

– Linia w piasku.

– Rozumiem. Nie możemy jej przekroczyć. – Jej usta drgają.

Fale leniwie omywają linię i ją zacierają.

– Wiem, jakie to uczucie zawieść własną mamę.

To stwierdzenie z łatwością wypływa z moich ust. Nie jestem w stanie się powstrzymać. Rory prostuje plecy i przyszpila mnie ciekawskim spojrzeniem.

– Poważnie? – szepcze.

Ciężar spoczywający na mojej piersi staje się przytłaczający. Odchylam się na łokciach. Mojej uwadze nie umyka to, w jaki sposób śledzi mój tors.

– Dziewięć lat temu moja mama zmarła na atak serca. –

Spoglądam na nią i gdy zdaję sobie sprawę, że nie jest zszokowana, uśmiecham się gorzko. – Pewnie już o tym wiedziałaś, ponieważ jedyna rzecz, w jakiej jest dobry klan Cove, to plotkowanie. Lecz nie wiedzą, że atak serca nie nastąpił z przyczyn naturalnych.

Teraz sprawia wrażenie zszokowanej.

– Miałem dwadzieścia siedem lat i właśnie przyleciałem do Devil's Dip na święta. Nie chciało mi się w tym roku przyjeżdżać do domu, ponieważ wiedziałem, że ojciec i wujkowie planują ze mną poważnie porozmawiać o przejęciu roli szefa mafii. Zawsze wiedziałem, że to w końcu się wydarzy, ale mój biznes w Londynie kwitł i nie czułem się gotowy, aby porzucić wszystko, co miałem. W dniu przyjazdu postanowiłem zabrać mamę na jarmark. Pamiętasz ten, który mieścił się na północnym cyplu? – Wskazuję podbródkiem na prawą stronę brzegu. – Ten, który spłonął? – *Ten, który puściłem z dymem.*

Potakuje.

– Gdy wracałem do domu, zawsze ją tam zabierałem. To była nasza tradycja. – Śmieję się gorzko, po czym przebiegam dłonią po twarzy. – Uwielbiała ten jarmark. Nie z powodu przejażdżek i gier, ale wagonów z wrózkami przepowiadającymi przyszłość za pięć dolarów. Łykała wszystko, co wiązało się z losem i fortuną. Żyła według przepowiedni.

Smaga nas chłodny powiew wiatru znad Pacyfiku. Rory szczeka zębami. Instynktownie odwracam do niej twarz i owijam ją szczelniej własną marynarką.

– W końcu mama odwiedziła wszystkie wróżki, więc mogliśmy wracać. Zaczęło się ściemniać, a na jarmarku robiło się coraz tłoczniej. Brnęliśmy w kierunku przeciwnym do napływającego tłumu. Nie było więc niczym niezwykłym, gdy jakiś dzieciak wylał jej kawę na bluzkę. – Zgrzytam zębami na samo wspomnienie tamtej chwili. Po tych wszystkich latach nadal wywołuje to we mnie wściekłość.

– Oczywiście pierwszą moją myślą było to, by mu przywalić w zęby. Lecz mama błagała mnie, abym się powstrzymał. – Moje kostki ocierają się o skałę, gdy zaciskam dłonie w pięści. – Zawsze nienawidziła przemocy. Dlatego była pieprzoną świętą. Wierzyła, że jej dobroć jest w stanie wymazać złe czyny reszty członków rodziny. Poszła do łazienki, a ja delikatnie wystraszyłem dzieciaka, lecz go puściłem.

Odwracam twarz do Rory. Moje nozdrza drgają.

– Puściłem go, kurwa – warczę.

Jej drobne dłonie zaciskają się na mojej pięści. Są ciepłe i delikatne.

– I co się stało twojej mamie? – szepcze.

– Poszła do damskiej toalety, aby wyczyścić bluzkę. Czekałem na nią. Minęło pięć minut. Potem dziesięć. W końcu zacząłem się niepokoić. Czuję, że coś nie gra. Wszedłem do środka, wyłamałem drzwi do kabiny i... – Zerkam w niebo i potrząsam głową. – Po prostu tam leżała. Oparta o toaletę. Martwa.

– Kawa... – W uszach dzwoni mi oddech Rory.

– To była trucizna, która powodowała atak serca w kilka minut.

– O kurka. Angelo. Przykro mi – wzdycha. – A potem twój tata...

– Miał wylew krwi do mózgu trzy dni później. – Prostuję się. Nie mam ochoty rozmawiać o moim pieprzonym ojcu. – Tak czy siak, nie mogłem znaleźć tego gnojka z jarmarku. Starłem się za wszelką cenę. To na pewno był ktoś miejscowy, ponieważ na szyi miał tatuaż z drużyną futbolową Red Devil's. Lecz nikt na Wybrzeżu nie chciał puścić pary z ust, zwłaszcza gdy pytał Visconti.

– Czy to był powód twojego wyjazdu?

– Wyjechałem, ponieważ mama odeszła. Ktoś inny w rodzinie musiał stać się dobry, aby wymazać całe zło. Tego właśnie by sobie życzyła. Nie zrozum mnie źle. Daleko mi do świętego. Lecz żyję zgodnie z prawem i staram się być porządnym człowiekiem, mimo że to prawie niemożliwe w obecnych czasach.

– Lecz Anonimowi Grzesznicy...

– Tak, wiem. – Obrzucam ją spojrzeniem i oblizuję wargi. – Wszyscy mamy swoje wady, Rory. Pociąganie za spust czy pobicie jakiegoś dupka na miazgę raz w miesiącu to jedyne, co trzyma mnie przy zdrowych zmysłach. Usprawiedliwiam to, ponieważ każdy, kogo zabijamy, zasługuje na to. Zdołałem przekonać samego siebie, że mama by to pochwałała. Jej synowie robią coś dobrego, aby wymazać zło.

Pomiędzy nami zapada cisza. Praktycznie słyszę pytania tłoczące się w jej głowie. Liczy, że na wszystkie uzyska odpowiedzi. Lecz gdy krzyżujemy spojrzenia, zadaje mi tylko jedno.

– Dlaczego wróciłeś, Angelo?

Nie potrafię powstrzymać się od śmiechu. Ile pieprzonych razy zadano mi to pytanie, odkąd moja stopa stanęła na Wybrzeżu? A jednak Rory jest jedyną osobą, która pozna prawdę.

– Przez ostatnie dziewięć lat moje poczucie winy było niczym wysypka, której nie byłem w stanie podrapać. Muszę znaleźć mężczyznę, który zabił moją mamę i się zemścić. – Na jej doskonałej twarzy maluje się szok, lecz znika równie szybko, jak się pojawia.

Kiwa głową i chowa podbródek w kołnierzyk mojej marynarki.

– Gdy powiedziałeś Albertowi, że będziesz zabierał mnie dwa razy w tygodniu do Devil's Dip w zamian za pomoc, to właśnie to miałeś na myśli?

– Brzmisz na rozczarowaną – mówię drżącym głosem.

– Bo jestem. – Śmieje się cichutko.

W mojej piersi ponownie pojawia się to pieprzone ciężkie uczucie. Napiera na mnie, jakby miało połamać mi kości. Przebywam już zbyt długo na Wybrzeżu i na dodatek uwikłałem się w relację z narzeczoną wuja.

Rory patrzy na mnie w oczekiwaniu.

– Pomóż mi go odnaleźć, a złapię następny lot. Nigdy więcej nie będziesz musiała się zamartwiać, że zrujnuję twój układ z Albertem. Nie przekroczę linii na piasku – rzucam. Zmuszam się do każdego słowa i zachowania obojętnego wyrazu twarzy. Lecz nie mogę oprzeć się pragnieniu, aby przesunąć dłonią po jej szczęce i ująć jej podbródek. Pragnę, aby na mnie spojrzała. – Obiecuj mi coś, Rory.

Czuję jej puls pod swoim kciukiem.

– Co takiego? – szepcze.

– Znajdziemy go przed twoim ślubem.

– Dlaczego? – Przerzywa mi.

– Ponieważ patrzeć na ciebie na waszym przyjęciu zaręczynowym jest wystarczająco trudne. A oglądanie cię w sukni ślubnej? – Wydaję z siebie warkot i wzmacniam chwyt. – To będzie pieprzona tortura.

Kilka minut później stoję u szczytu kamiennych schodów z rękami w kieszeniach i obserwuję wracającą na przyjęcie Rory. Zabiera ze sobą jakąś część mnie.

Mój wzrok przykuwa przesuwający się za drzewami cień.

– Kto tam jest? – warczę i sięgam ponownie po pieprzoną wyimaginowaną broń.

Z zarośli wynurza się Tor. Zapina rozporek, dostrzega mnie i się zatrzymuje. Jego spojrzenie się zwęża, a oczy przesuwają się w górę schodów, w porę, aby wychwycić ślad czerwonej sukni znikającej w hotelu Rory.

Z cienia wyłania się rozchichotana blondynka, która poprawia swoją sukienkę. Opiera się na ramieniu Tora, lecz on strzepuje jej dłoń, nie odrywając ode mnie wzroku.

– Idź na górę – warczy do niej.

Spogląda na niego, potem na mnie i potykając się, bez słowa wspina się po schodach.

Pomiędzy nami zapanowuje cisza. Zaciskam szczękę.

– Aurora to dobre dziecko – mówi lodowato Tor. – A mój ojciec to gnój. Ale nie każ mi wybierać.

– Co masz na myśli? – Zaciskam zęby na dolnej wardze.

– Szanuję cię, Angelo. Jesteś dla mnie niczym brat. Znaczysz dla mnie więcej niż moje rodzeństwo. A Rafe jest moim najlepszym przyjacielem. Lecz Duży Al jest moim ojcem. – Zaciska pięści, a w jego spojrzeniu pojawia się mrok. – Nie ubiegaj się o tę dziewczynę. Nie każ mi wybierać.

Przez dłuższą chwilę spoglądamy sobie w oczy. W końcu wspina się po schodach i wraca na przyjęcie.

Powinienem był zapewnić go, że do niczego nie dojdzie i nie będzie musiał dokonywać wyboru, ponieważ narysowaliśmy na piasku linię.

Lecz z liniami na piasku jest tak, że w końcu się zmywają i zapominasz, gdzie je narysowałeś.

A gdy nie ma granic, żadnych linii, które by cię ograniczały, dzieją się złe rzeczy. Zdarzają się wojny, morderstwa. A ja, aby im zapobiec, muszę wyjechać. Dzięki temu, zamiast rysować linię na piasku, wyryję ją w betonie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Rory

– Nazywam się Rory Carter i czynię zło.

Te słowa ledwo wychodzą z moich ust, a już chwyta je wiatr i unosi nad wzburzone morze. Wypowiadam je nie głośniej od szeptu, gdyż mam świadomość, że parę metrów za mną znajduje się tłum.

Dzień Wszystkich Świętych. Pierwsza niedziela listopada przeznaczona na uczczenie pamięci ukochanych, którzy odeszli. Już zmówiłam modlitwę za mamę. Teraz stoję wśród grona Viscontich, którzy przybyli z całego świata, aby zebrać się na grobie rodziców Angela.

W powietrzu wisi nadciągający deszcz. Grafitowe chmury zwisają nisko nad naszymi głowami. Można wyczuć znajomą mieszankę wilgoci i chłodu. Gdy unoszę oczy ku niebu, dostrzegam przelatującego nad moją głową kruka, a wielka mokra kropla ląduje na moim policzku.

Chwilę później na ramieniu czuję ciężką dłoń. Sposób, w jaki wzdrygam się w reakcji, sprawia, że ponownie bolą mnie żebra. Tego ranka Greta dała mi garść środków przeciwbólowych i oznajmiła, że mnie ostrzegała. Tabletki nieznacznie wyciszyły ból. Greta miała rację. Przestrzegała mnie, abym nie wybierała się w niewyprostowanych włosach na przyjęcie zaręczynowe, lecz ją zignorowałam. Najwidoczniej ten mały akt nieposłuszeństwa sprowokował Alberta do zepchnięcia mnie ze schodów po powrocie do posiadłości.

Teraz stoi obok mnie i zaciska palce na moim obojczyku.

– Chodź tutaj – warczy mi do ucha. W jego głosie nadal słychać złość. Przebiega mnie dreszcz obrzydzenia. Kropelki deszczu stają się coraz bardziej lodowate. Zamykam oczy.

Mam na imię Rory Carter i dam radę postąpić bardzo źle.

Zaciskam zęby, by po chwili przywołać swój doskonały uśmiech. Alberto rozkłada parasol, a jego grube ramię obejmuje mnie w talii. Prowadzi mnie w kierunku tłoczącego się przed grobem tłumem żałobników. Pomnik jest piękny, wyrzeźbiony w marmurze i przykryty ogromną ilością świeżych czerwonych róż.

Stojący nad grobem ksiądz wygładza sutannę i spogląda niezręcznie w stronę płaczącej kobiety. Nigdy wcześniej jej nie spotkałam. Szłocha za koronkową woalką, zduszając odgłosy jedwabną chusteczką.

– *Dio mio*²³... – mamrocze pod nosem Alberto. – Znowu to samo.

Jego dłoń zsuwa się z mojej talii. Wciska mi parasol do ręki.

– Spróbuję ją uciszyć – chrząka, wychodząc na deszcz i przemieniając się w dżentelmena. Obejmuje kobietę i gładzi ją po plecach.

Zawsze musi być w centrum uwagi.

Ciepło muska moje kostki, gdy czyjaś dłoń wyjmuje rączkę parasola z mojej ręki. Mój wzrok spoczywa na dłoni i nagle moje serce zamiera.

Zawsze tak na mnie działa obecność Angela.

– Odwaliła ten sam numer na pogrzebie.

Bez podnoszenia wzroku zaciskam pięści na piersi.

– Kim jest?

– Nie mam pojęcia. Prawdopodobnie to macocha kuzyna cioci, jakaś siódma woda po kisielu.

Nie czuję bólu w piersi ani zdenerwowania. Próbuję pohamować śmiech.

– Mamy deszczowy dzień w listopadzie. Czemu masz okulary przeciwsłoneczne? – Jego spojrzenie pali mój policzek.

Serce wali mi mocno. Nasuwam okulary na nos i wpatruję się w błotnistą trawę pod szpilkami. Zanim Alberto zepchnął mnie ze schodów, próbował uderzyć mnie w twarz, ale był tak pijany, że chybił i tylko zarysował mój policzek powierzchnią swojego pierścienia.

To niewielki znak, lecz taki, który wzbudza ludzką ciekawość i jest ciężki do ukrycia nawet pod grubą warstwą podkładu.

Staram się z całych sił nie patrzeć na Angela, ponieważ to niebezpieczna gra. Ma siłę przyciągania, której nie potrafię opierać

się zbyt długo. Podziwiam go w szarości tego dnia. Jego potężny profil nigdy nie przestanie mnie kręcić. Ma na sobie czarną marynarkę, inną niż ta, którą zarzucił mi na ramiona zeszłej nocy, i miękki golf w tym samym kolorze. Jego szczęka jest napięta, a kości policzkowe rzucają cień. Wpatruje się wprost przed siebie.

Nie jestem w stanie sprecyzować, na co tak uporczywie spogląda.

– Ty też nosisz okulary przeciwsłoneczne – odgryzam się, unosząc podbródek w kierunku jego awiatorek. – Jaką masz wymówkę?

– A jak inaczej mogę się gapić na twój tyłeczek bez bycia przyłapanym?

Jego szybka i nieoczekiwana riposta jest niczym smagnięcie biczem, zwłaszcza po umowie, jaką zawarliśmy zeszłego wieczoru. Instyktownie rzucam mu spojrzenie i spoglądam na tłum, by sprawdzić, czy nikt nas nie słyszał.

Po mojej prawej stronie pod parasolem stoi starsza kobieta, a obok Angela znudzeni Vittoria i Leonardo klepią coś w telefonach.

– Chryste, Angelo – mamroczę, zaciskając usta, aby pohamować uśmiezek. – Co stało się z linią na piasku?

– Zapytaj mnie o grzech.

Włoski na karku stają mi dęba.

– Słucham?

– Grzech, Auroro. Wiem, że to znany ci termin – mówi twardym głosem.

Zimne uczucie dezorientacji, przyprawione szczyptą rozdrażnienia zadomawia się w moim żołądku. W surowy sposób nazywa mnie formalnym imieniem. Zgrzytam zębami i wpatruję się w poruszające się usta kapłana, nie będąc w stanie usłyszeć nawet słowa.

– Wyznaj mi grzech, Angelo.

– Zabiłem własnego ojca.

Jego słowa mrożą mi krew w żyłach. Mrugam i potrząsam głową. Lecz nic nie jest w stanie sprawić, abym wyszła z szoku.

– Myślałam, że zmarł z powodu wylewu krwi do mózgu?

– Tak. Strzeliłem mu w głowę, a potem się wykrwawił.

– Dlaczego? – syczę, a emocje ściskają mnie w gardle.

– To on zlecił zabójstwo mojej mamy. Kilka dni później dowiedziałem się, że miał na boku dziwkę w Devil's Dip i chciał się pozbyć żony. – Zerkam na niego, a nonszalancki sposób, w jaki o tym

mówi, przyprawia mnie o dreszcze. Pochyla głowę w moją stronę, a wyraz jego twarzy jest niemożliwy do odczytania zza okularów.

– Zabiłem też jego dziwkę. Jednak to nie jest mój najgorszy grzech.

– Nie? – Dławię się.

– Nie. Najgorsze jest to, że nie powiedziałem prawdy braciom. Nie mają o niczym pojęcia.

Wypuszczam z ust obłok dymu. Deszcz przyniósł ochłodzenie i lodowaty chłód chłosta dekolt sukienki, drażniąc moją skórę. Chociaż klif jest wysmagany przez deszcz i wiatr, wydaje się bezpieczniejszym rozwiązaniem niż przebywanie pod parasolem z kimś takim jak Angelo Visconti.

– Czemu mi o tym mówisz? – Moje spojrzenie kieruje się w stronę błotnistej ziemi.

Angelo obniża parasol i się do mnie przysuwa, jakby chciał mnie uwięzić w świecie mroku i oszustwa. Pochyla się bliżej, a jego ciepły oddech ociera się o mój policzek.

– Ponieważ powinnaś wiedzieć, do jakiej rodziny wchodzisz. Visconti nie dotrzymują obietnic, a w szczególności klan Cove – stwierdza z goryczą. – Gdy ci uścisną dłoń, musisz sprawdzić, czy nadal masz zegarek na nadgarstku.

Czuję pulsowanie tętna. Gdy jego miękkie wargi ocierają się o mój zimny policzek, moja cała wiedza o dobru i złu wyparowuje z mózgu.

– Jesteś dla Alberta jednorazówką – warczy, jeszcze mroczniejszym tonem. – Popieprzy cię, a później zrobi, co zechce. To ludzie mafii, Auroro. Oszuści i kłamcy.

– A ty? Też jesteś oszustem i kłamcą? – Odwracam do niego tak szybko twarz, że moja dolna warga ociera się o jego usta, wysyłając dreszcz docierający do mojego podbrzusza. Zapomniałam, że jest tak blisko. Cofam się, jakby mnie poraziło.

Angelo zamiera. Wpatruję się w swoje zniekształcone odbicie w jego okularach, żałując, że nie widzę jego oczu.

– Jaki ojciec, taki syn, Auroro. Zdradzałem każdą dziewczynę, a do tego wszystkich okłamywałem. – Przełyka ślinę. Potem prostuje się i odwraca do księdza. Złość dopada go falami. – Miałaś rację, że chciałaś narysować linię na piasku, ponieważ nie jestem od nich lepszy.

Mam nudności. Jakbym została uderzona w tył głowy i doznała wstrząsu mózgu. Moje oczy pulsują i nawet kiedy je zamykam, nie zmniejsza to bólu, który mnie dopada.

Czuję, że moje serce tonie w otchłani. *Lecz to dobrze, prawda?* Jeśli Angelo jest taki jak pozostali, to łatwiej będzie mi go nienawidzić. Lecz nie potrafię zignorować niepokoju wpełzającego pod moją skórę i pustki zalegającej w mojej piersi.

Jak mówi stare powiedzenie: „Z najgłębszego pragnienia bierze się najbardziej śmiertelna nienawiść”.

Gdyby Angelo został dłużej na Wybrzeżu, znienawidziłabym go najbardziej z nich wszystkich.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Angelo

Środa

Denerwuje mnie, że wyczekuję każdej środy z taką cholerną niecierpliwością.

W czasie czterdziestominutowej podróży z Devil's Cove do Devil's Dip zamieniliśmy z Rory nie więcej niż pięć słów. Jednakże każde z nich było uprzejme i w profesjonalnym tonie. Odmówiłem, gdy bezgłośnie zaproponowała mi gumę Big Red, a potem bez dyskusji zgodziła się wrócić od ojca w ciągu godziny.

Obserwuję, jak podskakuje na drodze i znika w mroku między drzewami. Wydaje z siebie bezgłośny pomruk. Taki, który nie jest ani grzeczny, ani profesjonalny.

W schowku tkwi rozpuszczający się batonik Kit-Kat o smaku Wasabi. To pozostałość po mojej podróży do Tokio sprzed kilku tygodni. Gdy zobaczyłem go wetkniętego w boczną kieszonkę walizki, od razu na myśl przyszła mi Rory. Uśmiechnąłem się do siebie. *Cholera, uśmiechnąłem się, wyobrażając sobie uroczy wyraz malujący się na jej twarzy, gdy wgryzłaby się w niego.* Przeraża mnie żar moich myśli. Przecież na jej przyjęciu zaręczynowym narysowaliśmy linie.

Ona narysowała pierwszą. Dość płytką. Rumieniec wypełził na jej skórę, a oczy szukały moich ust, gdy tylko się odzywałem. Wiedziałem, że rozpłynęłaby się w moich ramionach, gdybym przekroczył granicę.

Drugą linię wyznaczyłem sobie po rozmowie z Torem. Upewniłem się, że wzmocniłem ją znakami ostrzegawczymi i płotem z drutu kolczastego podczas nabożeństwa z okazji Wszystkich Świętych, gdy wyznałem jej swój najmroczniejszy sekret. Dodatkowo okrasilem go kilkoma kłamstwami na temat tego, że jestem oszustem. Chciałem w ten sposób przypieczętować umowę. Teraz nie będzie odczuwała

pokusy, aby przekroczyć granicę, ponieważ postawiłem sprawę jasno. Uświadomiłem ją, że u mego boku trawa nie będzie zieleńsza, a wręcz czeka na nią zimna, mroczna i jałowa gleba.

Lepiej jej będzie beze mnie.

Muszę wynieść się z Wybrzeża. Powinienem wrócić do prawdziwego życia, z daleka od Rory i pokusy, jaką stanowi. Gdy czekam na jej powrót od ojca, wzmacniam swoje postanowienie, odpowiadając na biznesowe emaile i przeglądając notatki ze spotkań. Robię wszystko, co pomoże mi nawiązać ponowną więź z moim londyńskim życiem.

Wydaje się, że oddala się ono dużo dalej niż na drugą stronę oceanu.

Gdy Aurora w końcu wynurza się z lasu, wysiadam z samochodu, a następnie opieram się o maskę. Obrzuca mnie czujnym spojrzeniem, a potem zwalnia kilka kroków przede mną.

– Nie lubię, kiedy patrzysz się na mnie w ten sposób. – Mruży oczy.

Powstrzymuję się od komentarza i przybieram obojętny wyraz twarzy.

– Musisz zrobić listę każdego degenerata, jakiego znasz w Devil's Dip.

– Osób, które byłyby w stanie zabić twoją mamę? – Unosi brew.

Kiwam głową.

– Okej.

Gdy omija samochód, odpycham się od maski i blokuję jej drogę. Zatrzymuje się, unikając mego spojrzenia.

– Mam to zrobić teraz?

Przytakuję.

– W tej chwili. Im szybciej pomożesz mi go znaleźć, tym szybciej będę mógł zniknąć z Wybrzeża.

W jej tęczęwkach pojawia się rozczarowanie, lecz udaję, że go nie dostrzegam. Jakby nie było to dla mnie niczym cios w brzuch. Szybko przybieram twarde wyraz twarzy. Grzebie w torebce i wręcza mi garść pełną opakowań po cukierkach. Czuję rosnące rozbawienie. Po chwili wyciąga ulotkę z pozaginanymi rogami.

– Właściwie to mam mapę Devil's Dip. – Wręcza mi jeden jej koniec, rozwija ją i wygładza na masce samochodu.

– Po jaką cholere ci ona potrzebna? Gubisz się w miejscu, w którym mieszkasz całe życie?

– Nie – syczy, szperając w torebce w poszukiwaniu długopisu. – Byłbyś zdziwiony, ile razy natknęłam się na turystów, którzy zgubili się w lesie. Raz na jakiś czas opuszczają swój pięciogwiazdkowy hotel w Devil's Cove i zbaczają z drogi w poszukiwaniu odprężającego spaceru na łonie natury. Nigdy nie zdają sobie sprawy, że to nie jest typowy park. Lubię mieć punkt odniesienia, aby pomóc im wydostać się z lasu.

Staję za jej ramieniem, a moja pierś ociera się o jej plecy.

– Brzmi jak coś, co zrobiłaby porządna dziewczyna.

Spina się i znowu szepcze pod nosem te śmieszne przekleństwa. Potem pochyla się nad mapą i roztrzęsioną dłonią zaczyna bazgrać na niej brzydkim charakterem pisma.

Gdy się wyprostowuje, prawie się dotykamy. Stoję znacznie bliżej niż się spodziewała. Wystarczająco blisko, aby usłyszeć wydobywające się z jej ust westchnienie, gdy jej tyłek ociera się o moje krocze. Na tyle blisko, aby mój mały drgnął.

– Postawiłam krzyżyk przy adresie każdej znanej mi w Dip osoby, która pasuje do opisu mężczyzny, który zabił twoją mamę. Właściwie żaden z nich nie jest przestępcą, lecz nie są też modelowymi obywatelami. – Wzdycha i przesuwa palcem po mapie.

Ledwo jej słucham. Jestem zbyt zajęty zgrywaniem sędziego w sporze pomiędzy moim mózgiem a penisem. Zdrowy rozsądek bierze górę, więc cofam się o krok.

– Dziękuję – odchrząkuję, a następnie zwijam mapę, by po chwili wsunąć ją do kieszeni marynarki.

Zmierzam w kierunku samochodu, lecz coś szarpie mnie za klapę marynarki i powstrzymuje od ruchu. Rzucam gniewne spojrzenie w dół i dostrzegam zaciśniętą na moim ubraniu niewielką pięść Rory. Przesuwam wzrok na jej twarz.

– Chcesz coś dodać? – pytam lodowatym tonem.

W moim głosie słychać groźbę, lecz ona nawet nie drgnie. Z przekorą wytrzymuje moje spojrzenie.

– Ja... hmm. Myślę, że powinniśmy zostać tu na chwilę.

Cholera. Dlaczego jej głos zaciska się na moim penisie niczym imadło? Jest niski i słodki. Pełen żaru i złych intencji.

Moje spojrzenie tężeje, zgrzytam zębami.

– A ja uważam, że powinniśmy wsiąść do samochodu i poszukać mężczyzny, który zabił moją matkę.

Zagryza zębami dolną wargę i powoli kiwa głową.

– Albo... moglibyśmy zostać tutaj na chwilę.

Czuję przyływ pożądania, które jest zbyt przytłaczające, aby udało mi się go szybko pozbyć. Wiem, czego pragnie. Ma to wypisane na tej doskonałej buźce. Mój mózg protestuje, lecz czuję mrowienie w penisie.

Jej wzrok spoczywa na kościele.

– Wyznawanie grzechów jest świetne, ale hmm... pomyślałam, że skoro jesteśmy na miejscu... może mogłabym znowu odbyć pokutę za grzechy.

– Być może mogłabyś. Jak chcesz to zrobić?

– Z twoją drobną pomocą. – Stara się zachować obojętność.

Jezu Chryste i jego wszystkie pieprzone zasady. Jej pewność siebie mnie zaskakuje i powala. To najgorętsza cecha, jaką widziałem u kobiety.

Przyszpilam ją piekielnym spojrzeniem i staram się nie odrywać wzroku od jej twarzy, chociaż mam ochotę zerknąć na jej cycki. Wygina plecy w łuk i wypina je w luźnej bluzie. Muszę przypomnieć jej, że takie zachowanie oznacza przekroczenie linii. Tej, którą wzmocniłem wczoraj znakami ostrzegawczymi i drutem kolczastym.

Na litość boską. Jestem tylko człowiekiem.

Odchrząkuję i przebiegam językiem po zębach.

– Rozumiem. Jakie grzechy popełniłaś od soboty?

– Hmm... – Zamiera i ucieka wzrokiem w bok.

– Tak myślałem – rzucam przeciągle, a moje rozbawienie rośnie. – Nie ma grzechów, nie ma klapsów, Auroro.

Biorę głęboki wdech i czuję, że w końcu zaczynam sobie radzić z tą sytuacją. *Muszę wsadzić dziewczynę do samochodu, aby nie mogła mi się w ten sposób przyglądać.*

– Porządne dziewczynki nie dostają klapsów – dodaję.

W jej oczach połyskuje coś mrocznego i niebezpiecznego. Widziałem u niej to samo spojrzenie w nocy, podczas której dotykała się dla mnie. Bez ostrzeżenia odpycha się od maski samochodu, po czym wkłada dłoń do kieszeni moich spodni.

Zamieram, ponieważ cała krew w moim ciele nagle biegnie do penisa. *Cholera jasna*. Jej palce są gorące i ocierają się delikatnie o moje udo. W końcu pociera mojego twardego jak skała penisa. Jej pewność siebie słabnie na chwilę. Wyłapuję ten moment, gdyż nie jestem w stanie oderwać od niej oczu.

– Ups – rzuca, a na jej ustach gości wstydlivy uśmiezek. – Nie tego szukałam.

Zagryzam język, nie poruszam się i milczę. Moje serce wyrwa się z piersi. Walczę ze zwierzęcym instynktem, aby chwycić ją za kark i zetrzeć jej z twarzy ten uśmiezek.

Gdy wyjmuję rękę z moich spodni, coś srebrnego połyskuje w jej dłoni. Moje oczy podążają za jej pięścią, gdy podnosi ją z wyrazem triumfu na twarzy.

Moje kluczyki do samochodu.

– Masz rację – rzuca gorączkowo. – Nie ma grzechu, nie ma klapsa. Przypuszczam, że powinnam jakiś popełnić. Może coś niewielkiego. – Otwiera szeroko oczy i robi minę, która zapewniłaby jej szybką drogę do nieba, gdyby słabym punktem Boga były blondynki o wielkich oczach.

Dostrzegam jej uśmiezek, gdy prześlizguje się pomiędzy mną a maską samochodu i maszeruje do drzwi od strony pasażera.

Moje spojrzenie przemyka pomiędzy kluczem w jej dłoni a matową czernią karoserii mojego Astona Martina. Dzieli ich zaledwie centymetry.

– Chyba musiałybyś postradać rozum. – W moim spojrzeniu pojawia się mrok.

Zagryza wargę i spogląda na mnie w oczekiwaniu.

– To jest grzech, prawda? – szepcze. – Taki, dzięki któremu zasłużę na klapsa?

Zaciskam szczękę, a chwilę później pięści tak mocno, że aż bieleją mi kostki.

– Sądzę, że pomyliłaś mnie z kimś, z kim można sobie pogrywać, Auroro – warczę.

– Okej. – Przerywa. – Nie porysuję ci samochodu, jeśli dasz mi klapsa. Umowa stoi?

– Nie negocjuję z terrorystami.

– No to... ups... – mówi ponownie. Tylko że tym razem jej szczebiotowi towarzyszy dźwięk skrobania. Żar uderza do mojego mózgu i penisa, sprawiając, że w obu miejscach na równi pulsuje krew. *Jest irytująca. Jest podniecająca.*

Robię krok w jej kierunku, a ona się cofa.

– Chodź tutaj.

Potrząsa głową, a jej brwi unoszą się aż po linię włosów.

– Zmusz mnie, abym ponowił swoją prośbę, Auroro. Ośmiel się.

Łapię ją za nadgarstek, przyciągam z powrotem do samochodu i przyciskam twarzą do maski. Zwierzęce warknięcie wydobywa się z mojej piersi. Udami przyszpilam jej nogi do zderzaka i wsuwam kciuki za pasek jej legginsów.

A później ciągnę za materiał.

– Co wyprawiasz? – Zamiera.

– Daję ci to, czego chciałaś.

– C...co? – Kręci głową w proteście, a ja zanurzam dłoń w jej loki i przyciskam jej policzek do maski. – Nie tutaj, Angelo...

– Zamknij się – warczę, brutalnie zsuwając do kolan jej legginsy i majtki. Zgrzytam zębami na widok jej doskonałego tyłeczka w brzoskwiniowym odcieniu oraz jej różowej szczelinki.

Czerwone ślady, które zadałem jej w sobotę paskiem, są nadal widoczne.

– Ktoś nas zobaczy – piszczy, a z jej ust wydobywa się chmura zimnego powietrza. – Ja...

Zanim udaje jej się dokończyć zdanie, wyszarpuję jedwabną poszetkę z kieszonki marynarki, zwijam ją i tłumię resztę jej zdania, wpychając jej knebel do ust. Na chwilę zamiera, a potem zaczyna dyszeć mocniej i bardziej podniecająco niż poprzednio.

Pochyliłam się nad nią, ocierając się wargami o jej ucho. Przyciskam twarde wybrzuszenie w spodniach do jej dupci. Muskam palcami jej szyję. Chryste, ale ma gładką, jedwabistą skórę. Aż prosi się, aby ją posiniaczyć.

– Chcesz się zachowywać jak zwierzę, to będziesz kneblowana jak zwierzę.

Nadal przyszpilam ją do samochodu. Sięgam w dół i wyciągam ze spodni pasek.

Słyszeć nasze ciężkie oddechy. Moja skóra jest rozżarzona niczym przewód pod napięciem. Spala mnie niebezpieczna mieszanka wściekłości i żądy. Czuję przyływ adrenaliny i wiem, że za chwilę wezmę odwet na jej doskonałej pupie.

Tym razem nie mogę złożyć obietnicy, że jej nie dotknę. Lecz jestem pewien, że wytrzymam więcej niż trzy uderzenia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Rory

Mocno wali mi serce. Czuję niedowierzanie. *To się nie dzieje naprawdę.* Listopadowy chłód chłosta mój nagi tyłek. To przypomina mi, że ta sytuacja nie jest wytworem mojej wyobraźni. Naga od talii w dół i z prowizorycznym kneblem zatkniętym w ustach pochylam się nad samochodem w chłodnym świetle dnia. *Jestem wystawiona na widok publiczny.*

Czuję wściekłość Angela Viscontiego.

O kurka. Co bym dała, aby cofnąć czas o kilka minut i nie popełnić drugi raz tego głupiego aktu nieposłuszeństwa. Prowadził mnie żar pomiędzy nogami, a nie logika. Zdrowy rozsądek kazałby mi zapanować nad żądzą, uśmiechnąć się, wsiąść do cholernego samochodu i nigdy nie przekraczać tej głupiej linii.

Wzdycham, gdy spodnie Angela ocierają się o moje nagie uda. Nie wiedziałam, że to możliwe, aby pragnąć tak mocno czegoś, czego się nigdy nie doświadczyło. Moje ciało potrzebuje dotyku Angela, tak jak płucom niezbędny jest tlen. Coś zupełnie odmiennego od dotyku smaga ogniem wszystkie końcówki moich nerwów. Czuję zamęt w głowie. Od kiedy dowiedziałam się, że zabił własnego ojca, jeszcze intensywniej zastanawiam się, jakie to byłoby uczucie poczuć jego dłonie na własnym ciele.

– Jesteś głupiutką, małą dziewczynką, Auroro. A teraz dowiesz się, że nie jesteś gotowa zabawiać się z prawdziwym mężczyzną.

Czuję tętnienie między udami. Przeraza mnie, że ślinię się na myśl o całującym moją skórę pasie Angela.

Pierwszy trzask nadchodzi bez ostrzeżenia i litości. Żądli moje pośladki. Zamieram, a nagły ból sprawia, że moje serce niemal się zatrzymuje.

– Agr... – mamroczę. Instynktownie podrywam dłonie do góry, aby wyrwać mu pas, lecz Angelo łapie mnie za nadgarstki i wykręca mi

ręce za plecami.

– A teraz, mała dziewczynko – mówi przeciągle, głosem zabarwionym grozą. – Za każdą próbę walki, zarobisz kolejne smagnięcie.

Zaciskam zęby na jedwabnym kneblu i przygotowuję się na kolejne uderzenie. Tym razem skórzany pas trzaska w powietrzu, świszcząc ostrzegawczo. Po chwili ląduje na moich pośladkach. Mam wrażenie, jakby w to jedno smagnięcie włożył całą siłę. Czuję tak mocne szarpnięcie, że czubek mojej głowy dotyka przedniej szyby.

Tym razem uderzenie przemienia się w niskie i powolne palenie. Odczuwam je bardzo wyraźnie. Chłód owiewa tętniące na mojej skórze pręgi. Nie chłodzi mnie, a jedynie przypomina mi jaka jestem napalona i odsłonięta. Znajdujemy się przy głównej drodze prowadzącej z Devil's Dip do Hollow i Cove. Niezbyt wielu ludzi można na niej spotkać w środku dnia, ale nie jest przecież zupełnie wyludniona. Najgorsza jest myśl, że jeśli zjawi się ktoś ze strony Devil's Dip, istnieje wysokie prawdopodobieństwo, że go znam.

Chyba jestem pokręcona, ponieważ podnieca mnie myśl o byciu przyłapaną.

– Dobra dziewczynka – mruczy Angelo, nagle przyszpilając mnie do maski swoim ciałem. – Ten raz też dobrze przyjęłaś.

Jęczę, czując jego ogromną erekcję, która napiera na moje pośladki przez materiał spodni. Odczuwam podekscytowanie na myśl, że jestem w stanie sprawić, że staje się taki twardy. *Z mojego powodu, głupiutkiej dziewczynki z głupiutkimi grzechami i śmiesznym podejściem do życia.* Nie mogę się powstrzymać, aby nie napierać na niego. Staję na palcach i ocieram się nagim tyłkiem o jego wybrzuszenie. Technicznie go nie dotykam. Dzieli nas cienki pasek materiału...

Angelo łapie mnie za tył bluzy i brutalnie przyciska moje biodra do samochodu.

– Kto pozwolił ci się ruszać? – Nagle wrywa chusteczkę z moich ust, a ja szybko nabieram do płuc świeżego, chłodnego powietrza. – Zasłużyłaś na kolejnego klapsa. Tym razem sprawię, że będziesz krzyczeć tak głośno, że usłyszysz cię całe miasto.

– C...

Lecz zanim zdążę zaprotestować, mężczyzna serwuje mi dwa kolejne smagnięcia pasem. Prawie dławię się powietrzem i wydaję z

siebie długi, głośny krzyk.

Śmieje się niskim tonem i w końcu gładzi czubek mojej głowy.

Gdy słyszę jego głos tuż przy swoim karku, jest dużo bardziej miękki.

– Kurwa, Auroro. Uwielbiam, kiedy dla mnie krzyczysz. To sprawia, że mam ochotę wsunąć się w tę doskonałą cipkę, aby dać ci prawdziwy powód do krzyku.

Jego gorące usta torują sobie drogę od mojego karku do ucha. Czuję je całym ciałem. Gdzieś w mrocznych obszarach mojego mózgu cichutki głosik szepcze mi, że przekraczamy granicę. I to nie klapsami. Moje chore rozumowanie pozwala mi usprawiedliwić się przed sobą. Skoro w ten sposób odbywam pokutę za grzechy, niewyobrażalna radość, jaką mi to sprawia, jest tylko efektem ubocznym. Wiem, że to niewłaściwe, że dotyka mojej skóry w tak intymnym miejscu.

Lecz w tej chwili mnie to nie obchodzi.

Wyciągam szyję, aby poczuć go dłużej na sobie, nawet jeśli zasłużę tym na kolejnego klapsa. Czuję jego oddech na szyi. *Kurka, co ja bym dała, aby poczuć ten żar na mojej cipce. Pragnę, by znalazł się na mnie.*

– Chciałabyś tego, zgadza się, Auroro? Żeby mi go włożył.

Z moich ust wydobywa się słodki jęk i urywane westchnienie, gdy jego zęby szczypią płatek mojego ucha. To zdecydowanie zakrawa na przekroczenie linii. Gdy nie reaguję, w niemej groźbie przeciąga paskiem po moim kręgosłupie. Serce wali mi coraz mocniej. Potakuję.

– Powiedz to.

– Tak – wzdycham. – Chcę, abyś mi go włożył.

W jego niskim i gardłowym tonie słychać niezadowolenie.

– Jesteś zajęta, Auroro – warczy, przeciągając pasem po moim tyłku i pomiędzy udami. – Co zrobiłby twój przyszły małżonek, gdyby dowiedział się, że pragniesz poczuć w sobie mojego penisa? Czy sprawiałoby ci taką samą frajdę, gdyby to on przesuwiał swoim pasem po twoim kręgosłupie?

Potrząsam głową. Lekkie ostrzegawcze klepięcie pasa o moją lechtaczkę sprawia, że niemal zwalam się na samochód.

– Nie – krzyczę.

– Jestem jedyną osobą, od której masz ochotę dostawać klapsy, prawda?

– Tak!

– Jedyną, z którą chcesz się pieprzyć. – Podkreśla swoje słowa kolejnym smagnięciem mojej łechtaczki. Tym razem uginają się pode mną nogi.

– Tak, tak! – jęczę, przyciskając dłonie mocno do maski, jakby to miało złagodzić napięcie powstałe między moimi udami. Lecz wiem, że jedynym sposobem na poczucie ulgi jest to, że Angelo nie przerwie naszej gry.

– Gdy mąż będzie cię pieprzył w noc poślubną, będziesz myśleć tylko o mnie. – Czuję kolejne mocne smagnięcie pasa. – Będziesz żałować, że to nie mój penis rozciąga twoją wąską cipkę.

– Tak – szlocham. – Boże, jak bardzo bym chciała, abyś to był ty. Błagam, Angelo, nie przestawaj. Proszę.

Milknie i jedyne, co słyszę, to krew pulsująca w moich uszach.

– O to prosisz? – syczy, dając mi kolejnego klapsa.

– Tak – jęczę, rozstawiając nogi szerzej i zachęcając go do mocniejszego klepania mojej cipki. Wargi i łechtaczka pulsują w podnieceniu i czuję spływającą po moich udach wilgoć.

– Złe dziewczynki nie osiągają orgazmu, Rory – mówi tonem graniczącym ze złośliwością.

– Błagam cię.

– Nie słyszę cię.

– Proszę, Angelo. Proszę, błagam cię, abyś pozwolił mi dojść.

– Kurwa, dziecinko – warczy.

Kolejny klaps łąduje na mojej łechtaczce, szarpiąc mnie do przodu. Czuję mieszankę bólu i rozkoszy. Napięcie parzy mnie niczym żar.

Spada na mnie kolejny klaps.

– Tak – wzdycham. – Proszę, nie przestawaj.

Prawie dochodzę. Gonię za hajem, jaki może zapewnić mi tylko on i jego skórzany pas.

Ponownie daje mi klapsa. A gdy uginają się pode mną kolana, a milion fajerwerków wybucha w moim podbrzuszu i wysyła falę rozkoszy do całego mojego ciała, Angelo oferuje mi chłodne, twarde pocieranie pasem.

Opadam na maskę. Łaskoczą mnie sutki, a mój nagi tyłek i cipka płoną. Mogę sobie tylko wyobrazić, jaki ma teraz widok. Moja pupa jest pewnie czerwona i spuchnięta.

Gdy tylko łapię oddech, a napięcie opada wokół mnie niczym pył, podnoszę się na łokcie, a głowę spuszczam pomiędzy ramionami.

– Pójdziemy do piekła, Angelo.

Milczy. Po chwili ciszy powoli i delikatnie naciąga moje majtki na palące pośladki. Tak samo postępuje z legginsami. Potem czuję coś miękkiego, opadającego na moje ramiona.

Zerkam w dół. Uświadamiam sobie, że narzucił na mnie swoją marynarkę. Jego dłonie przesuwają się z moich ramion na przedramiona i zatrzymują, niosąc ciepło i pocieszenie.

Na krótką chwilę zamykam oczy i opieram się plecami o jego pierś, pławiąc się w tym uczuciu. W oddali fale rozbijają się o skały. Rzędy drzew tworzą wejście do rezerwatu, a ich liście szeleszczą na wietrze.

Jego usta ocierają się o czubek mojej głowy.

– Ja już się w nim znajduję.

Na moim ciele pojawia się gęsia skórka, pomimo że Angelo mnie ogrzewa. Bez słowa puszcza mnie i rusza w stronę drzwi od strony kierowcy. Kształt jego penisa nadal zarysowuje się przez materiał spodni.

– Wsiadaj. Zbiera się na deszcz.

Gdy odpala samochód, z nieba spadają pierwsze krople. Wielkie i ciężkie lądują na szybie, tworząc zasłonę. Angelo dźga przycisk na desce rozdzielczej, podkręcając ogrzewanie mojego fotela. Uśmiecham się miękko, wdycham jego zapach i rozkoszuję się ciepłem jego marynarki.

Przez kilka minut jedziemy w milczeniu. Angelo trzyma kierownicę w jednej dłoni. Położył sobie na kolanach mapę i co raz na nią zerka.

– Otwórz schowek. Znajdziesz tam coś dla siebie.

Marszczę brwi i wykonuję jego polecenie.

A potem moja twarz rozciąga się w szerokim uśmiechu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Angelo

– Deski w piwnicy próchnieją, w salonie zagnieździła się pleśń, a jedna z rur w pralni pękła, więc na razie musimy obyć się bez pralki i suszarki.

Podnoszę wzrok znad papierkowej roboty, by zerknąć na Gabe'a, który stoi w progu starego biura naszego ojca. Jest listopad, a do tego leje jak z cebra, tymczasem mój brat jest bez koszulki i cały się spocił. Pomimo tego wygląda niczym model z cholernego kalendarza chippendalesów.

– Dobra wiadomość jest taka, że wszystkie moje ubrania nadają się wyłącznie do prania chemicznego.

Wywraca oczami i odpycha się od framugi.

– Z pewnością, księżniczko – odchrząkuje, a potem wraca na korytarz.

Próbuję ukryć rozbawienie i ponownie skupić się na kontraktach, które z dnia na dzień podesłała mi moja asystentka Elle. Spędziłem nad nimi cały poranek. Ustawiałem też spotkania z prawnikami i bankierami na następny tydzień. Planowanie spraw w Londynie daje mi poczucie, że mam jakiś ostateczny termin. Odnajdę zasrańca, który zabił mamę, a potem opuszczam Wybrzeże w ciągu tygodnia. Z całą pewnością załatwię to przed ślubem wuja.

Z zewnątrz rozlega się charczenie silnika. Marszczę brwi, podchodzę do okna i patrzę na podjazd. Gabe porzucił wilgoć i zgniliznę domu na rzecz denerwowania się ukochanym firebirdem ojca, który stał porzucony w garażu przez prawie dekadę. Mój brat nie przejmuje się ulewnym deszczem spływającym po jego plecach. Jest nazbyt zafrapowany zagładaniem pod maskę. W dłoni trzyma latarkę, a brudna szmatka wystaje z tylnej kieszeni jego jeansów.

W zeszłym tygodniu zjawił się u mnie i oznajmił, że na moją prośbę pomoże mi w odnowieniu domu. Przebywa tu od tamtego

dnia, zajmując się remontem i przewodzką. Przy okazji usuwa każdy ślad działalności naszego łajdackiego ojca z domu dzieciństwa. Zjawiłem się tu zeszłego wieczoru po odwiezieniu Rory i zauważyłem, że Gabe wyrzucił do śmieci humidor²⁴ na cygara ojca. Tego ranka ten sam los spotkał stertę obrazów pędzla Giorgio Morandiego. Pocięte płótna stoją niedbale oparte o drzwi na taras.

Nasz ojciec kochał te pieprzone obrazy.

Wsuwam dłonie do kieszeni spodni i przez chwilę przyglądam się bratu. Mój umysł powraca do sadu wiśniowego w Connecticut, a jego słowa tłuką mi się po głowie.

Wiem, co zrobiłeś.

Nie mam pojęcia, jak dowiedział się, że zabiłem naszego ojca i dlaczego mi za to podziękował. Nie wiem o nim wielu rzeczy. Dlaczego, do cholery, ma obsesję na punkcie wypatroszenia domu i co innego by normalnie robił w tym czasie? W ciągu ostatnich lat nie widywałem go przez długi okres i dawno nie widziałem go równie szczęśliwego. Nie mam zamiaru tego rujnować.

Odwracam się i obrzucam chłodnym wzrokiem gabinet. To jedyne pomieszczenie w domu, do którego Gabe jeszcze się nie dobrał. Gdy zapytałem go o powód, jego spojrzenie pociemniało.

– Sam możesz się tym zająć – odpowiedział.

W gabinecie od dziesięciu lat nie zmieniło się nic. To samo mahoniowe biurko i pasująca do niego biblioteczka. Identyczne ramki wypełnione tymi samymi zdjęciami. Jediną różnicę stanowi gruba warstwa kurzu pokrywająca szafki oraz ciemna plama na dywanie za biurkiem.

To pamiątka po miejscu, w którym wykrwawił się mój ojciec.

Spaceruję po pokoju powolnym krokiem, okrążam biurko i staję plecami do drzwi. Moje spojrzenie wędruje w stronę okna, z którego roztacza się widok na strome wzgórza ciągnące się aż do leżącego poniżej miasteczka.

To wszystko miało należeć do mnie. Coś nieznanego iskrzy w moim żołądku. Nim jestem w stanie to nazwać, na frontowy podjazd wtacza się samochód.

Co, do diabła, robi tu Tor?

Z zamiarem zdobycia tej wiedzy, zbiegam po schodach i wychodzę na frontowy ganek. W tej samej chwili kuzyn ochoczo wyskakuje z

samochoodu na podjazd, używając pliku dokumentów jako parasola. Wymija Gabe'a, klepie go w ramię i zatrzymuje się pod zadaszeniem.

– Kurwa mać – chrząka, wyciągając szyję, aby rzucić okiem przez drzwi wejściowe do foyer. – Czyż to nie podmuch przeszłości? Próbujecie go odnowić?

– Tak. Będziemy go używać jako bazy, gdy wpadniemy do miasta. Mam dosyć waszego hotelu i twojego brata jako sąsiada.

– Rozumiem. Założę się, że Dante również nie przepada za wpadaniem na ciebie w windzie. Proszę. – Przyciska do mojej piersi brązową kopertę. – Duży Al poprosił, abym ci to podrzucił.

– Co to jest? – Zerkam na kopertę.

– Kto to wie. Od kiedy zastrześliłeś Maxa, stałem się jego nowym sługusem. Każe mi dostarczać ci dokumenty i...

Rozlega się trzaśnięcie drzwiami. Obaj spoglądamy w kierunku wysiadającej z samochodu Tora Aurory.

– ...niańczę jego cukiereczka.

Serce podskakuje mi w piersi. Subtelnie przebiegam wzrokiem po jej ciele. Co ona robi w tej ciasnej spódniczce? Ledwo zakrywa jej tyłek. Chęć posiadania i żądza załazą mi za skórę. Muszę zacisnąć szczękę, aby zachować obojętny wyraz twarzy.

Tor zerka na mnie i nasze spojrzenia się krzyżują. Jego szczęka drga, ale nie wspomina o sytuacji, której był świadkiem na przyjęciu zaręczynowym.

– Dokąd się wybieracie? – pytam, siląc się na nonszalancję w głosie.

– Podrzucam ją na przymiarkę sukni.

– Dlaczego? Jakie to kolejne wielkie wydarzenie planuje klan Cove?

– To przymiarka jej sukni ślubnej, cholerny idioto. – Rzuca mi dziwne spojrzenie.

Czuję gulę w gardle. Aby powstrzymać się od zaciśnięcia dłoni w pięści, rozdieram kopertę. W środku znajduję dwa dokumenty. Mój gniew rośnie, gdy je przeglądam.

– Co to takiego? – Tor wyciąga szyję, aby się im przyjrzeć. – Czekaj, czy to...

Przerywam mu, wpychając papiery z powrotem do koperty i wkładając ją pod pachę.

– To nie twój interes. W innym przypadku już byś wiedział, o co chodzi.

Jego spojrzenie staje się surowe.

– Nie wkurzaj mnie, *cugino*. Czy to był wniosek o pozwolenie na budowę w rezerwacie Devil's Preserve?

Cień ulgi przebiega przez moje ciało. Przynajmniej nie widział drugiego dokumentu.

– Myślałem, że już powiedziałaś ojcu i Dantemu, aby się odwalili...

– Zgadza się. – Zaciskam zęby. – Ale to było przed tym, zanim przekonał Aurorę, aby za niego wyszła.

– Tak? A co to ma do rzeczy?

– Aurora wychodzi za twojego ojca, aby powstrzymać go przed budową w rezerwacie. – Czerpię satysfakcję ze zmieszania malującego się na jego twarzy. – Zgadza się. Nie wiedziałaś o tym?

Milknie i opiera się o mur.

– Nie wiedziałem – mamrocze do siebie, przesuwał kciukiem po wardze. – Po prostu wziąłem ją za naciągaczkę, taką jak inne laski.

– Nie. Ona jest tylko hipiską.

Zerka na mnie i mruży oczy.

– Ta ziemia należy do ciebie, a nie Dużego Ala.

– Bez jaj, Sherlocku.

– Więc dlaczego ona myśli, że jest odwrotnie?

– Ponieważ twój ojciec to zawszony zboczeniec, który nie potrafi zdobyć dziewczyny w jej wieku bez uciekania się do kłamstwa czy szantażu.

Tor mruży oczy i uświadamiam sobie, że to, co mi się wymknęło, przekracza granicę tego, na co mogę sobie pozwolić.

– Zamierzasz jej wyznać prawdę?

– Nie. Ponieważ on ją zabije.

– Dokładnie – mamrocze. Muszę przyznać, że ta rewelacja wytrąciła go z równowagi. Rozgląda się po dziedzińcu i chrząka. W końcu jego spojrzenie ląduje na moim bracie. – Czyż to nie stary Pontiac Firebird wujka Alonso?

– Tak.

– Człowieku, muszę mu się lepiej przyjrzeć. Jako dzieciak nigdy odpowiednio go nie doceniałem.

Uświadamiam sobie, że nigdzie w deszczu nie dostrzegam Rory.

– Dokąd ona poszła?

Tor odpycha się od ściany i rusza w kierunku Gabe'a. Wychodzę za nim na dziedziniec. Rzuca mi psotny uśmiezek nad ramieniem.

– Po drodze zauważyła hangar – mówi i dźga mnie palcem, a jego spojrzenie ciemnieje. – Nie rób niczego, za co musiałbym odrąbać ci dłonie.

– Zamknij się, Tor.

Jego rechot tonie w deszczu. Ruszam w poszukiwaniu Rory. Zmodernizowałem stary hangar, w którym stał helikopter ojca i poszerzyłem prywatny pas startowy, aby zmieścił się na nim też mój odrzutowiec. Przyleciałem nim kilka tygodni temu. Wolę go mieć pod ręką niż na komercyjnym pasie startowym.

Odnalezienie Rory zajmuje mi kilka sekund. Dostrzegam, jak balansuje na cholernym skrzydle i zagląda do kokpitu.

– Czy to życzenie śmierci? – warczę, krocząc w jej stronę. – Natychmiast złaż.

Zerka na mnie z góry i dostrzega, że mój wzrok przesuwają się po całej długości jej opalonych nóg aż do zarysu tyłka widocznego pod kusą spódniczką. Alberto musi być szalony, że pozwala jej wychodzić z domu w takim stroju.

– Na pewno mam zejść? – szczebiocze z wstydliwym uśmiezkiem.

Gryzę się w język i obrzucam ją ostrzegawczym spojrzeniem. Gdy uśmiecha się szerzej, podciągam się na skrzydło, by złapać ją za uda. Wzdycha, gdy przerzucam ją sobie przez ramię niczym strażak. Mój kciuk ociera się o brzeg jej majtek, gdy ściągam ją na ziemię.

Wydaje z siebie jęk i spogląda na mnie nieśmiało. Staram się pohamować, aby nie patrzeć na wypęłzający spod jej bluzki rumieniec. Niestety to praktycznie niemożliwe.

– Nie wspinaj się jak pieprzona małpka, Auroro.

– Dlaczego? Obawiasz się, że zniszczę ci lakier? – szczebiocze z błyskiem w oku.

Zagryzam policzek i delikatnie potrząsam głową. Cholernie niewiarygodne. Ta laska naprawdę wierzy, że rysując mi samochód i zmuszając do sprania jej tyłka, zdobyła nade mną przewagę.

– Nie. Bardziej martwi mnie to, że możesz złamać nogę i nie będziesz w stanie w sobotę pójść do ołtarza – rzucam, wpatrując się w nią.

Wygina delikatnie brwi, a sposób, w jaki wydyma dolną wargę sprawia, że mam ochotę ją ugryźć.

– Pieprz się – mamrocze i odwraca się na pięcie.

Łapię ją za nadgarstek i obracam. Znajduje się blisko mnie, ale jednocześnie tak daleko. Wystarczy, że wyciągnie szyję, a nasze spojrzenia się spotkają.

– Dlaczego zakradasz się do mojego odrzutowca? Trochę trudniej go skubnąć niż naszyjnik, Sroczo.

Opiera się na biodrze, a rumieniec wypęła na jej porcelanową skórę.

– Wiesz, że to mit?

– Co?

– Że sroki kradną błyskotki? W rzeczywistości te ptaki bardzo boją się błyszczących i świecących rzeczy. Z pewnością gromadzą różne przedmioty, ale są to z reguły gałązki i małe kamyczki, a także wszystko, co nadaje się do budowy gniazda. Sądzę, że ta cała sprawa z błyskotkami wzięła się z europejskiego folkloru... – Cofa się i mruży oczy. – Dlaczego tak na mnie patrzysz?

Dopiero wtedy zdaję sobie sprawę, że na mojej twarzy gości głupi uśmiešek.

– Niby jak?

– Jak... – Przełyka ślinę i spuszcza wzrok na moje usta. – Jakbyś chciał mnie pocałować.

Ponieważ wszystko, czego, kurwa, pragnę to twoje usta, nawet gdy wylewa się z nich to gównno o ptakach, które zupełnie mnie nie obchodzi. Ignoruję żar, który czuję w penisie i wskazuję podbródkiem drzwi do odrzutowca.

– Chcesz zobaczyć jak wygląda w środku?

– O kurka! Pewnie! – W jej oczach pojawia się blask.

– Chryste, Rory. Czy ty kiedykolwiek wypowiedziałaś jakieś przekleństwo?

– Nigdy w życiu – szczebiocze radośnie, depcząc mi po piętach, gdy rozkładam schodki.

Pochylam się nad barierką i ponownie obrzucam wzrokiem jej nogi.

– Panie przodem.

Jest zbyt podekscytowana, aby zauważyć moje chytre spojrzenie. Wspina się po schodkach i pozwala mi dostrzec kolor swojego tyłka.

Biorę głęboki wdech i mamroczę do siebie pod nosem. Podążam za nią i opieram się o drzwi kokpitu, gdy ona się po nim rozgląda.

– O kurka. Wyświetlacz radaru jest olbrzymi.

– Wszystkie dziewczyny mi to mówią.

– Założę się – mamrocze bez podnoszenia wzroku. – Twój czytnik VOR jest dotykowy? To niewiarygodny luksus.

Odwraca się.

– Czy to G700 czy G800? – pyta.

– G800. Skąd wiesz tyle o samolotach? – Unoszę brew.

– Nie jestem taka głupia, jak ci się wydaje. – Wzrusza ramionami.

– Wcale nie uważam cię za głupią – mamroczę, zanim jestem w stanie się powstrzymać.

Nasze spojrzenie spotykają się na chwilę. W jej dużych oczach dostrzegam oczekiwanie, a moje spojrzenie staje się surowe w chwili, gdy uświadamiam sobie, że to, co powiedziałem zabrzmiało prawie jak komplement.

– Czy twój ojciec lata?

– Nie. Dostałam się do szkoły dla pilotów.

– Zalewasz.

Groźne spojrzenie, jakie mi posyła, sugeruje, że mówi prawdę. Zapada się w skórzanym fotelu pilota i zakłada kosmyk włosów – niestety, dzisiaj wyprostowanych – za ucho.

– Nie. Podeszłam do wstępnych egzaminów do szkoły dla pilotów, która jako jedyna w okolicy oferuje takie zajęcia. Zdałam wszystkie egzaminy i dostałam wstępną propozycję podjęcia studiów na akademii lotnictwa w Northwestern.

To naprawdę dobra szkoła.

– I co potem?

Zakłada jedną smukłą nogę na drugą.

– Nie przystąpiłam do egzaminu końcowego.

Marszczę brwi.

– Dlaczego nie? – Ukończyłam kurs, o którym mówi. Lecz zamiast akademii lotniczej wybrałam wydział biznesu na Uniwersytecie Oksfordzkim. Wylatywałam godziny w weekendy. Zdobyłem licencję

pilota samolotowego jakieś pięć lat temu. Pamiętam egzamin, o którym mówi. Był zaskakująco łatwy.

– Nie miałam ochoty.

– Auroro!

Wzdycha i zaciska na chwilę powieki.

– Proszę, nie wymawiaj w ten sposób mojego imienia. To cholerny grzech sam w sobie.

– Powiedz, dlaczego nie przystąpiłaś do egzaminu.

– Ponieważ w twojej dawnej szkole było wielu kretynów – rzuca. Gwałtownie zrywa się na nogi i odwraca w stronę kokpitu.

Przebiegam językiem po zębach. No jasne. Jakże mógłbym zapomnieć! Jeśli wierzyć chujkom z wieczoru pokerowego, pieprzyła się z połową akademii. Gorycz i wściekłość uderzają mnie niczym cios w brzuch. Gdy mój oddech staje się ciężki, tłumię w sobie pragnienie zapytania o nazwiska wszystkich, z którymi się kiedykolwiek pieprzyła. Dodałbym je do listy chłopaków, których muszę zabić przed opuszczeniem Wybrzeża.

Biorę głęboki wdech i obserwuję deszcz przez okno hangaru. *To nie mój interes.* Naprawdę niepotrzebny mi kolejny powód do złości. Kątem oka dostrzegam, jak Rory sięga do wskaźnika wysokości.

Mój wzrok ląduje na brzegu jej spódniczki, która podjeżdża do góry i ukazuje fioletowo-czerwone ślady na obu pośladkach. Nadal wyglądają na świeże. Naprawdę przyjęła razy po mistrzowsku. Niemal straciłem rozum, gdy błagała mnie, abym klepnął też jej łechtaczkę. Czuję się cholernie zdesperowany, gdyż pragnę zobaczyć, jak po naszej zabawie opuchnięta jest jej cipka.

Wypuszczam z siebie cichy jęk i chwytam długopis leżący na dzienniku lotów. Używam jego końcówki, aby podsunąć jej spódniczkę do góry i odsłonić majtki.

– Co robisz? – Zamiera.

Przymykam oczy. *Sam chciałbym wiedzieć.*

– Masz na sobie te same majtki co w Halloween – rzucam.

Czuję pulsowanie w penisie, gdy wsuwam długopis pod ich cienki materiał i delikatnie spycham je na bok.

– Wiesz, chyba mam gdzieś pasujący do nich stanik – dodaję oschłym tonem.

– Tak? Czy mogę go odzyskać?

– Nie. To pamiątka.
– Czego? – szepcze.
– Wieczoru, podczas którego niemal przeleciałem najgorętszą
laskę, jaką kiedykolwiek poznałem.

Końcówką długopisu delikatnie rozdzielam jej wargi. Wydaje z
siebie ten subtelny dźwięk, któremu nie potrafię się oprzeć i który
natychmiast dociera do mojego penisa. *O kurwa, ile bym dał, aby to
usłyszeć, gdy ją posuwam.*

– Rozstaw nogi trochę szerzej, Auroro – mamroczę, a mój głos
ocięka żądzą.

Jak przystało na dobrą dziewczynkę, wykonuje moje polecenie. Jej
ramiona drżą, gdy opiera się o kokpit. Walczę z pragnieniem
zerwania z niej tych głupich majtek i zanurzenia się w niej. Jednak
nie potrafię ignorować wkradającego się do moich myśli małego
przebłysku złośliwości.

Dostrzegam okazję, aby zabawić się jej kosztem. Zamieram, a
potem powoli wysuwam z niej długopis.

– Myślę, że to liczy się jako dotykanie.
– C...co? Nie, to jest...
– Tak. Właściwie jestem tego pewien. To zdecydowanie dotykanie.
Chowa głowę między ramiona.
– Poważnie? – jęczy.
– Niestety.
– Ale to przecież tylko długopis!
– Tak. Lecz dotknąłem go, zanim on dotknął ciebie... – Waham się
i zagryzam wargi w rozbawieniu. – To nie jest dobry pomysł.
Wkrótce zostaniesz mężatką, Auroro.

Obraca się, wygładza spódniczkę i przyszpila mnie groźnym
spojrzeniem.

– Mówisz poważnie?
– Śmiertelnie.
– Czy robisz to dlatego, że porysowałam twój samochód?
– Nie. – *Tak.* – Upewniam się, że nie przekroczę granicy.
Wpatrujemy się w siebie.

Bum, bum, bum. Dźwięk pięści walącej w bok odrzutowca sprawia,
że Rory podskakuje.

– Możecie się pospieszyć, gołąbeczki? – Głos Tora rozlega się na schodkach prowadzących do kokpitu. – Mam dzisiaj do roboty jeszcze inne rzeczy niż tylko bycie pomagierem ojca.

Usta Rory otwierają się szeroko, gdy dociera do niej komentarz Tora. Ja się tylko szyderczo uśmiecham. Mój kuzyn jest dupkiem. Pochyliam się, upajając się słodkim zapachem jej perfum i żarem jej zażenowania.

– Wyjdę pierwszy, aby dać ci chwilę na... pozbieranie się.

Z mrocznym i pełnym satysfakcji uśmiechem schodzę po schodkach, używając brązowej koperty do ukrycia mojego wzrodu przed kuzynem. Rory wyłania się kilka sekund później i jestem pod wrażeniem, jak nagle chłodne staje się jej zachowanie.

– Jestem gotowa do drogi – rzuca, po czym mija mnie szybko i nie ogląda się za siebie.

– Dobrze – chrząka Tor. Wychodzi z hangaru i macha mi na pożegnanie. – Widzimy się wkrótce, *cugino*.

– Do zobaczenia.

Z uśmiechem na ustach stoję w wejściu do hangaru, obserwując znikający za wzgórzem samochód Tora. Zastanawiam się, co jeszcze muszę dzisiaj zrobić.

Po pierwsze, muszę sobie ulżyć, ponieważ widok różowych majteczek Rory i jej wilgotnej cipki mnie podkręcił. Potem wyruszę do miasteczka z jej mapą i złożę wizyty dzieciakom, do których nie zdołaliśmy dotrzeć wczoraj.

Wychodzę na deszcz i uświadamiam sobie, że mój telefon został w kokpicie. Wciskam dokumenty pod pachę i przeskakuję po dwa schodki na raz. Wyciągam rękę w kierunku siedzenia pierwszego pilota.

Nagle coś przykuwa moją uwagę. Coś różowego i koronkowego wisi na drążku. Zajmuje mi chwilę, zanim orientuję się, że to jej bielizna.

Pod majteczkami na dzienniku lotów znajduje się nabazgrana dziewczęcymi zawijasami notka.

Do twojej kolekcji.

Potrząsam głową z niedowierzaniem, ściskam w pięści majtki Aurory i przykładam je do ust. Nadal są ciepłe i wilgotne.

Biorę głęboki wdech, napełniając swoją duszę zapachem dziewczyny, która nigdy nie będzie należała do mnie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Rory

Piątkowy wieczór, kolejna kolacja u Viscontich

Nadarza się rzadka okazja, abym przebywała w garderobie bez Grety, która brzęczy mi nad uchem niczym natrętna mucha. Dante wysłał ją do miasta, aby załatwiła parę sprawunków. Niespiesznie biorę prysznic i delikatnie wcieram balsam w obolałe pośladki.

Gdy moja dłoń ociera się o skórę albo gdy siadam ze zbyt dużą siłą, szokująca fala przyjemności przebiega przez moje podbrzusze. To nieustanne przypomnienie Angela i łączącego nas brudnego sekretu. Wraz ze zbliżającym się wielkimi krokami dniem ślubu, staję się coraz bardziej lekkomyślna. Nie jestem w stanie zachowywać się przyzwoicie, gdy spoczywa na mnie ciężkie spojrzenie zielonych oczu tego mężczyzny. Wczoraj poczułam przerażenie, gdy stałam w białej sukni ślubnej, w której pomaszeruję do ołtarza, w sali bankietowej w nadmorskiej posiadłości Donatella i Amelii.

Uczucie, jakie towarzyszy mi na myśl o zbliżającym się dniu, w którym poślubię Alberta, przypomina emocje, jakie przeżywają ludzie, którzy wiedzą, że umrą i nie mają na to wpływu. Słyszysz się opowieści o tym, że takie sytuacje wydobywają prawdziwą naturę człowieka. W ostatnich chwilach życia deklarują wieczną miłość czy wyjawiają najgłębsze, najmroczniejsze sekrety, których nie chcą zabrać ze sobą do grobu.

Ślub wydaje się moim końcem. Wraz z upływem czasu ujawnia się moja prawdziwa natura.

Jestem Rory Carter i czynię zło.

Lubię tak postępować.

Z uśmiechem zakładam bieliznę, a potem owijam się jedwabnym szlafrokiem. Nie czekając na powrót Grety, ruszam w kierunku szafy w próbie znalezienia czegoś, co sprawi, że nie będę wyglądać jak zdzira pierwszej klasy. Nagle słyszę walenie do drzwi.

Zatrzymuję się w pół kroku. Pukanie jest ciężkie i niekonwencjonalne.

– Słucham? – wołam.

Brak odpowiedzi sprawia, że serce podskakuje mi w piersi. Przechodzę przez pokój w kierunku drzwi, które nagle się otwierają, gdy do środka wpada Alberto.

Odskakuję zszokowana i przylegam do lustrzanej ściany.

– Co ty wyprawiasz? – rzucam.

Potyka się na środku pokoju i chwieje, próbując się wyprostować.

– Dobry wieczór, *signora* Visconti – mamrocze, prześlizgując pełny żądzy wzrok po moim ciele.

– Jesteś pijany. – Mrużę oczy.

Bardzo pijany. Uważnie obserwuję, jak opada na fotel w rogu pokoju. Nie spuszcza ze mnie wzroku. Cały dzień spędził grając w brydża w klubie w Devil's Cove. Nawet gdyby był w stanie utrzymać się w pionie bez chwiania się, domyśliłabym się, że jest pijany po kwaśnym odorze whisky, jak wniósł ze sobą do pokoju.

– Chodź i usiądź mi na kolanach, maleńka. – Z dziwnym chrząknięciem poklepuje tłustą dłonią swoje jeszcze grubsze udo.

Uśmiecham się zdegustowana.

– Nie ma mowy. Poproś kogoś, aby przyniósł ci kawę i Advil.

Czuję gorycz w gardle. Opieram się pragnieniu, aby walnąć go w głowę cholerną lampą. Minał prawie tydzień od kiedy zepchnął mnie ze schodów i mimo że ból żeber zamienił się w tępe pulsowanie, złość, jaką czuję na jego widok, nadal mnie spala. Udawało mi się go unikać przez większą część tygodnia, ale to nie znaczy, że mój umysł nieustannie nie gonił za wymyślaniem sposobów, aby się na nim zemścić.

Być może tym razem dopuszczę się czegoś innego niż tylko drobnego aktu zemsty.

– Usiądź mi na kolanach, Auroro – warczy ponownie. – Chcę poczuć twój jędrny tyłeczek na swoim kutasie.

Obniża ton głosu, a następnie oblizuje już i tak wilgotne usta.

– Nie mogę się doczekać, gdy poczuję tę wąską cipkę.

Po moim kręgosłupie przebiega dreszcz. Alberto przyprawia mnie o mdłości. Żar oblewa moje policzki. Próbuje go ignorować, tak jak ignorowałam prześladowców, którzy w końcu się znudzili i odpuścili.

Mam nadzieję, że rada z przedszkola da się zastosować do członka mafii z nadwagą oraz kompleksem Boga.

Siedzę przed toaletką. Zaczynam nakładać makijaż, gdy widzę w lustrze jego pożądlive spojrzenie.

– Nie mogę uwierzyć, że za tydzień i dzień będę pieprzył dziewczycę.

– Wygląda materiał spodni i rechocze. – W tak sędziwym wieku. Powiedz mi, Auroro. Czy ta dupcia też jest nietknięta?

Na moje policzki wpełza żar, lecz nadal nie reaguję na jego zaczepki. Nakładam podkład gąbeczką, przejeżdżając kilka razy po siniaku pod okiem, który staje się ledwo widoczny pod grubą warstwą makijażu.

– Hmm. No wiesz... – Fotel skrzypi, gdy się porusza. – Mógłbym ruchać cię w dupę i nadal byłabyś dziewczicą, prawda?

Zamieram na kilka sekund. Moje oczy otwierają się szeroko i dostrzegam w lustrze swoje odbicie.

– Może zrobię to dzisiaj, aby dać ci mały przedsmak tego, jak wygląda życie małżeńskie.

– Wypchaj się – syczę. Jad wylewa się ze mnie, zanim udaje mi się powstrzymać. Kulę się na dźwięk własnych głośnych słów, lecz chociaż raz nie żałuję, że nie mogę ich cofnąć. Jestem zbyt wściekła. Moje skronie pulsują, a skóra mnie pali. – Jeśli się do mnie zbliżysz, kopnę cię w jaja tak mocno, że twoje dzieci nie będą mogły mieć potomstwa.

Zapada ogłuszająca cisza. Łapię drżący oddech i próbuję nie okazywać strachu. Nie mam dość odwagi, aby na niego spojrzeć. Spuszczam wzrok na kosmetyczkę i zaciskam pięści na jedwabnym szlafroku.

Lecz jeszcze nie skończyłam. Otworzyłam tamę i wylewa się ze mnie więcej jadu.

– Tak czy siak, może nie będę tu czekać, aby dowiedzieć się, jak wygląda życie małżeńskie. Podśluchałam twoją rozmowę z prawnikiem o zmianach w kontrakcie. Co planujesz, Alberto? Bo jeśli zamierzasz pogrywać ze mną niezależnie od tego, co ci oferuję, nie wyjdę za ciebie i z pewnością nie będę uprawiała z tobą seksu.

Teraz ośmielam się podnieść na niego wzrok. Wytrzymuję jego wściekłe spojrzenie. Wydaje z siebie westchnienie, dźwiga się z fotela i przechodzi przez pokój. Jest szybszy niż podejrzewałam. Gdy

zaciska dłonie na moim karku, by unieść ku sobie mój podbródek, uświadamiam sobie, że zapomniałam, jaki jest silny.

Nawet jak na pijanego starucha.

– Węszyłaś – rzuca, a jego chwyt zmusza mnie do wygięcia pleców i spojrzenia mu w oczy. – Kiedy w końcu nauczysz się pilnować swojego pieprzonego nosa, Auroro? Inaczej to małżeństwo będzie dla ciebie dużo bardziej bolesne niż jesteś w stanie to sobie wyobrazić.

– Powiedz mi – mówię, czując, jak coraz mocniej ściska moje gardło.

– Naprawdę chcesz wiedzieć? – wypluwa z siebie.

Udaje mi się skinąć głową.

Złowieszczy, krzywy uśmiech rozciąga jego pomarszczone usta. Wygląda demonicznie.

– Dodałem do kontraktu klauzulę, która stwierdza, że nasza umowa staje się nieważna w momencie, w którym przestajesz być dziewczyną.

Mrugam. Ciężki cios trafia mnie w pierś.

– Jeśli będę uprawiać z tobą seks, to przestanę być dziewczyną.

Ta świadomość zawisa w gęstym powietrzu. Alberto się śmieje, a ja czuję ucisk w brzuchu.

– Teraz rozumiesz – mruczy.

Napędzana wściekłością próbuję wyrwać się z jego uścisku, lecz on szarpie mnie do tyłu. Przelatuję przez oparcie krzesła i upadam na podłogę. Garderoba wiruje mi przed oczami odcieniami bieli. Nagle Alberto siada na mnie, a jego ciężki brzuch wciska się w mój własny.

O kurka. Teraz naprawdę wpadłam w kłopoty. Otwieram usta do krzyku, mając nadzieję, że jeśli usłyszą mnie chociażby Vittoria czy Leonardo, to zjawią się na pomoc. Gorące i spocone łapska Alberta zaciskają się na mojej szczęce, zanim jestem w stanie wydać z siebie jakikolwiek dźwięk.

– Naprawdę sądziłaś, że ten kontrakt cokolwiek znaczył? Devil's Preserve nie jest nawet moim terytorium, ty głupia dziwko.

Czuję pod sobą jego cielsko i widzę malujący się na jego twarzy przebiegły, pełen zadowolenia uśmiešek.

– To teren Devil's Dip. Terytorium Angelo.

Okropne uczucie gości w moim żołądku, sprawiając, że chce mi się wymiotować. *Jak mogłam to przeoczyć?* Las jest terytorium Devil's Dip. Nie miałam pojęcia, że Alberto nie posiada władzy nad tym obszarem, ponieważ do niedawna nawet nie zdawałam sobie sprawy z istnienia Angela. A nawet gdybym wiedziała, nie złożyłabym tego w całość, ponieważ pierwszą rzeczą, jakiej się o nim dowiedziałam było to, że wybrał uczciwe życie. Poza tym rzadko odwiedza miasto, nie wspominając już o posiadaniu nad nim władzy.

– Myślałam, że przekazał ci ten teren – szepczę, nie przejmując się nawet tym, że mój głos brzmi desperacko.

– Chociaż nie jest obecnie szefem mafii, to jego terytorium. – Starzec zaciska mocniej kciuki na mojej szczęce. – Musisz nauczyć się wiele o Cosa Nostrze, głupia suko.

Nie mogę złapać głębokiego oddechu i to nie dlatego, że Alberto przyciska mnie swoim cielskiem.

– Dał ci pozwolenie na budowę?

– Nie. Poprosiłem go, lecz odmówił. Pracuję nad tym.

– Kiedy? – dyszę i omywa mnie świeża fala niepokoju. – Kiedy go o to poprosiłeś?

Jego oczy błyszczą radośnie i jestem pewna, że nie może doczekać się, aby odpowiedzieć na moje pytanie.

– Dwa dni przed tym, jak podpisałaś umowę.

– Więc wiedziałeś – rzucam, walcząc z jego cielskiem. – Już wtedy miałeś pewność, że nie będziesz mógł budować na tym terenie, a mimo to zmusiłeś mnie do podpisania tego piekielnego kontraktu!

Angelo również wiedział. Miał świadomość, że wychodzę za jego obrzydliwego wujka, aby powstrzymać go przed budową na terenie rezerwatu, a mimo to nie zrobił niczego, by zmienić mój los. Do oczu napływają mi łzy. Z jakiegoś powodu zdrada Angela boli znacznie bardziej.

– Przestań się ruszać – syczy mi do ucha mój oprawca, pochylając się i przyszpilając moje ręce nad głową. – Czego nie rozumiesz? Kontrakt niczego nie oznacza. Jestem Alberto Visconti. Nie potrzebuję pieprzonej umowy, aby rościć sobie do ciebie prawo. Poza tym mam wrażenie, że Angelo wkrótce zgodzi się na przejęcie rezerwatu.

Ma przeczucie? Co to, do diabła, oznacza?

– Więc nie jestem ci potrzebna – wypluwam z siebie słowa. – I tak zamierzasz zrównać ten teren z ziemią.

Moje serce rozdziera się na myśl o moim biednym ojcu. *Zrobiłam tyle, a mimo to nie zdołam go ocalić.*

– Nie. Nie potrzebuję cię – mówi zwyczajnie. – Lecz pragnę cię i tylko to się liczy.

Gdy się pod nim wiercę, mocniej zaciska dłonie na moich nadgarstkach. Obawiam się, że popękają mi kości.

– Jeśli spróbujesz czegoś głupiego, zabiję cię i twojego ojca. I to... – dodaje z szyderczym uśmieszkiem. – Jest jedyna obietnica, jakiej dotrzymam.

Moje serce kołacze się w piersi, a wściekłość pulsuje we mnie niczym niekontrolowana choroba. Czuję palenie w gardle. W końcu robię coś, o co nigdy bym siebie nie podejrzewała. Nigdy w życiu...

– Pierdol się – syczę, delektując się każdą nutą jadu, wydobywającą się z moich ust.

Alberto zamiera na chwilę. A potem bez ostrzeżenia czuję gorący, przeszywający moją głowę ból i białe gwiazdki rozmazują mi się przed oczami.

Ten mężczyzna uderzył mnie w twarz.

O mój Boże. Uderzył mnie.

Obraz wiruje mi przed oczami, a usta mnie palą. Krew sączy się po moim policzku. Głośno dzwoni mi w uszach, a z daleka dociera do mnie skrzypienie otwieranych drzwi.

– Czego? – warczy Alberto i podnosi wzrok.

– Przepraszam najmocniej, *signore*. Lecz jeśli mamy zdążyć na czas, muszę przygotować *signorinę* do obiadu – mówi opanowanym, lecz twardym tonem Greta.

Przyszły mąż przyszpila mnie ostatnim zamglonym spojrzeniem i szuka ściany, aby podeprzeć się w próbie wyprostowania się. Gdy opuszcza pokój chwiejnym krokiem, nadeptuje mi na włosy. Chociaż moja skóra głowy pulsuje, ledwo to czuję.

Greta podnosi mnie z podłogi i popycha w kierunku toaletki. Całe moje ciało, a najbardziej rozwalone usta, jest odrętwiałe.

Greta nie robi niczego, aby przełamać milczenie. Grzebie w mojej kosmetyczce i podnosi do góry przedmiot, którego szukała, tak, abym zobaczyła jego odbicie w lustrze.

To szminka.

– Myślę, że ten odcień dobrze zamaskuje ranę.

Powietrze w jadalni jest gęste i nieruchome. Wszystko wskazuje na to, że czeka nas nieznośnie długa noc. Pianista gra zniewalająco wolny kawałek. Służący serwują rozcieńczone drinki, a szklanki do whisky pozostają nietknięte. Nawet ocean, który znajduje się rzut beretem od drzwi wychodzących na taras, zapadł w śmiertelne milczenie.

Ponownie awansowałam. Wróciłam na szczyt stołu i znajduję się w zasięgu ręki tego obleśnego starego bandziora, za którego wychodzę oraz na linii ognia jego najstarszego syna.

Ignoruję ich obu, wpatruję się w połączaną tapetę i przez słomkę popijam Long Island²⁵. Moje wargi pulsują, ale odcień pomadki, którą wybrała dla mnie Greta, idealnie maskuje ranę.

Dante ze złością rzuca serwetką.

– Gdzie podziewają się Don i Amelia? – Jego spojrzenie przesuwa się po pustych miejscach. – I pozostali, skoro o tym mowa.

Pięść Alberto uderza w stół, o włos omijając talerz z przystawkami.

– Ukrywają się – rzuca mój narzeczonny, unosząc szklankę whisky.
– W tej pieprzonej rodzinie nikt nie chce spędzać czasu z ojcem.

– Czy ty... – Dante zamiera i przygląda się ojcu spod przymrużonych oczu.

Przerywa mu trzask otwieranych wahadłowych drzwi.

– Przepraszam za spóźnienie – rzuca przeciągle Tor i zajmuje miejsce obok Dantego. – Nic mnie nie zatrzymało. Po prostu nie chciało mi się przychodzić.

Opada na siedzenie i unosi brwi, rozglądając się po pustym pomieszczeniu.

– Najwidoczniej nie mnie jednemu – dodaje.

Śmiałabym się z jego beznadziejnego dowcipu, gdyby nie to, że moja warga zaczęłaby wtedy krwawić.

Dante wygląda krawat i ciągle posyła ojcu groźne spojrzenia.

– Powinniśmy poczekać?

– Dlatego nigdy nie będziesz dobrym szefem mafii, synu. Ciągłe polegasz na ojcu, czekając, aż udzieli ci wszystkich odpowiedzi – mamrocze Alberto, pociągając łyk whisky.

Tor gwiżdże cicho, ale zanim Dantemu udaje się odgryźć, otwierają się drzwi i nadciąga nowy powód do wzmocnienia napięcia.

– Czy w czymś przeszkadzam? – Głos Angela wywołuje dreszcz na mojej skórze. Na krótko zamykam oczy i żałuję, że gdy je otworzę, nadal tu będę.

– Nie. Przybyłeś w porę, aby zobaczyć, jak Duży Al poucza Dantego – mówi Tor, unosząc szklankę nad moją głowę i czekając, aż służy ją napełnią.

– Oto on – grzmi Alberto. – Mój ulubiony bratanek. Zawsze się zjawiasz, nieprawdaż, dzieciaku? Nigdy mnie nie zawodzisz.

Kroki Angela cichną. Zerkam na Alberta i uświadamiam sobie, że wpatruje się w bratanka, desperacko próbując mu coś przekazać niepewnym spojrzeniem.

Wzrok Dantego przesuwają się pomiędzy dwoma mężczyznami i ciemnieje.

– Zalewasz, prawda? Angelo nigdy cię nie zawiódł? On dosłownie odwrócił się do naszych plecami. Opuścił Devil's Dip. Co masz na myśli, mówiąc, że nigdy cię nie rozczarował?

– Angelo dotrzymuje słowa, synu. Powiedział, że decyduje się na uczciwe życie i tak zrobił. Wiesz, co jeszcze? Nie prosi mnie o pieprzone pozwolenie na każdy drobiazg. Dowiedział się, że ten młodzik Max jest wtyczką i zajął się tym. Zgadza się, dzieciaku?

Angelo milczy niczym czający się na ofiarę drapieżnik. Odsuwa krzesło po lewej, ale Alberto go powstrzymuje.

– Nie. Dzisiaj usiądziesz tutaj. – Poklepuje miejsce Dantego i mamrocze pod nosem. – To powinieneś być ty, Bezwzględny. To zawsze powinieneś być ty.

– Co to miało znaczyć? – warczy Dante.

– Dante... – wtrąca się Tor.

– Zamknij się, bracie. Chcę usłyszeć, co ma do powiedzenia ojciec.

Wszystkie oczy w oczekiwaniu zwracają się w stronę Alberta. Z wyjątkiem moich. Skupiam wzrok na obrusie i błagam, by ziemia rozstąpiła się pode mną i mnie pochłonięła.

– Powinien być moim zastępcą. I gdyby zdecydował się na powrót, właśnie to bym mu zaoferował.

– Nie jestem niczym zastępcą – wcina się Angelo. Jego spokojny głos natychmiast studzi atmosferę w jadalni.

Alberto przerywa i przenosi na niego wzrok.

– Masz rację. Urodzony z ciebie przywódca. Stworzylibyśmy świetną drużynę i wzmocnilibyśmy naszą organizację. – Jego powieki opadają, ale szybko się reflektuje i otwiera je szeroko. – Nigdy nie jest za późno, dzieciaku. Zwłaszcza, jeśli rozważasz moją ofertę...

– Jaką ofertę? – warczy Dante. Gdy nie dostaje odpowiedzi, podnosi się. – Czy robicie interesy za moimi plecami?

Odwraca się do Tora.

– Czy ty, kurwa, coś o tym wiedziałeś? – rzuca.

– Mnie nie pytaj. Ostatnio jestem chłopcem na posyłki – mamrocze, wyciągając paczkę papierosów z kieszeni, po czym rusza w kierunku tarasu. Trzaska drzwiami tak, że aż brzęczą w nich szyby.

W pokoju zalega cisza, a jedyny dźwięk dochodzi od strony pianina. Dante przesuwając swoim palącym spojrzeniem po wszystkich zgromadzonych przy stole, a potem z powrotem spogląda na ojca.

– Jesteś pijany – mówi szyderczym tonem. – Nie zamierzam tu siedzieć przez całą noc i wysłuchiwać, jak wylewasz z siebie to gówna. Mam lepsze rzeczy do roboty, takie jak prowadzenie całej organizacji, podczas gdy ty pławisz się w alkoholu i kobietach, które mogłyby być twoimi wnuczkami.

Siorbię drinka przez słomkę, a ponieważ ciężko mi pić z powodu rozwalonych ust, po podbródku ścieka mi ślina. Wycieram ją nasadą dłoni. Pełne obrzydzenia spojrzenie Dantego ląduje na mnie.

– Powodzenia, Auroro. Jedyną gorszą rzeczą niż urodzić się w tej rodzinie, jest się w nią wżenić.

Z tymi słowami wybiega na korytarz i kilka sekund później słychać odgłos zatraskiwanych drzwi.

Tor wtyka głowę do jadalni, rzucając papierosa w kierunku plaży.

– A zatem zostało czworo.

Wychylam resztę drinka i spojrzeniem poszukuję służby, ale nawet oni usuwają się dzisiaj w cień. Mimo nalegań Alberta, żeby zająć miejsce Dantego, Angelo opada na krzesło koło mnie.

– Wszystko gra? – Jego chłodne kostki ocierają się o moje udo, rozgrzewając mnie, co tylko z pozoru jest niedorzeczne. Zmuszam się, aby zignorować to uczucie i wpatruję się prosto w tapetę. Jego ciężkie spojrzenie spoczywa na moim policzku, lecz milczy.

Na stole pojawiają się przystawki. Przegrzebki z czosnkiem i cytryną. Obserwujemy w milczeniu, jak Alberto rękami wpycha jednego do ust, a drugiego opuszcza na podłogę. Angelo łapie za nadgarstek przechodzącego służącego i przyciąga go bliżej.

– Nie dolewaj mu – mamrocze mu do ucha.

– Ale...

– Nie dolewaj mu albo utnę ci pieprzoną rękę.

– Natychmiast tego dopilnuję, *signore*.

Tor posyła mi rozbawiony uśmieszek i sadowi się na swoim miejscu, jakby przygotowywał się na pokaz. Rozumiem, co czuje. W powietrzu wisi napięcie, które może w każdej chwili eksplodować. Podczas gdy on chce mieć miejsce w przednim rzędzie, aby to obserwować, ja pragnę uciec i się ukryć.

Ciężka dłoń Alberta bez ostrzeżenia ląduje na moim udzie, sprawiając, że się wzdrygam. Siedzący po mojej drugiej stronie Angelo zamiera, a potem wypuszcza ostry syk.

– Wznieśmy toast – grzmi Alberto. Jest tak pijany, że nie uświadamia sobie, że popija powietrze z pustej szklanki. – Za moją przyszłą żonę.

Tor podnosi szklankę z sarkastycznym uśmieszkiem.

– Za Aurorę – mamrocze cicho. – Jedyłą, na tyle głupią laskę, aby poślubić obrzydliwego starucha i moczymordę dla ocalenia kilku akrów ziemi.

Mrugam. On wie? Skąd, do diabła, się dowiedział? Myślałam, że Dante jest jedynym członkiem klanu Cove, który wie, że nie wychodzę za ich ojca dla pieniędzy. Nawet nie udaje mi się pomyśleć o tym, aby go o to zapytać, gdy Alberto ponownie wali pięścią w stół.

– Pospieszcie się z daniem głównym – ryczy w stronę kuchni. – Chcę zjeść i iść pieprzyć swoją przyszłą żonę!

Jego słowa mrozą mi krew w żyłach, a żar wypęła na moje policzki. Znowu się zaczyna. Wiedziałam, że to tylko kwestia czasu, zanim przyszły mąż zwróci na mnie ponownie uwagę. Zamykam oczy i przygotowuję się na upokorzenie.

– Idź spać, Alberto.

Nutka groźby w głosie Angela sprawia, że unoszę powieki.

– Co to było, dzieciaku?

– Angelo, nie...

Lecz on już wstaje, a nieśmiały protest z mojej strony zostaje zignorowany.

– Idź spać. – Jego głos szumi mi w uszach. – Albo sam cię uśpię.

Zaciskam palce na brzegu sukienki. Napięcie wiszące w powietrzu jest namacalne, gęste i gorzkie. Martwię się, że jeśli wezmę oddech, to się nim udławię.

Muszę się stąd wydostać.

Odsuwam krzesło i ruszam w stronę drzwi na taras. Moje imię dzwoni mi w uszach, ale nie jestem pewna, kto je wymawia i nawet mnie to nie obchodzi. Wybiegam na taras, skręcam w lewo i rzucam się biegiem w kierunku plaży. Gdzieś po drodze gubię w piasku szpilki, ale to mnie nie zatrzymuje. Nie przestaję uciekać od tego domu, dopóki nie docieram do ściany skał, które stanowią granicę Cove.

Czuję rozrywający ból w płucach. Padam na skały i zamykam oczy. Delikatnie zderzające się ze skałami fale zgrywiają się z moim ciężkim oddechem. Po kilku minutach mój oddech się uspokaja.

Nie dam rady. Jak mogę wywołać uśmiech na posiniaczonych, zakrwawionych ustach i trwać przy planie poślubienia mężczyzny, którego nienawidzę najbardziej na świecie, wiedząc, że robię to wszystko na próżno? Przez cały czas mając świadomość, że nie ma nade mną realnej władzy? Oczywiście poza życiem i śmiercią. Nie tylko moim, ale też mojego ojca.

To, co boli mnie bardziej niż wiedza, że kontrakt nigdy nic nie znaczył, jest świadomość, że Angelo również o tym wiedział. Dzieliliśmy się sekretami. Mrocznymi i pokręconymi. Myślałam...

Wbijam paznokcie w dłonie.

Sądziłam, że jest inny.

Jego zdrada mnie boli. Gdy otwieram oczy, widzę zmierzającą w moją stronę wzdłuż brzegu wielką, ciemną sylwetkę.

Wolałabym wejść do Pacyfiku z cegłami przywiązanymi do kostek niż rozmawiać z Anielem Viscontim. Zbieram brzeg sukni i ruszam

w kierunku domu, starając się go uniknąć. Lecz gdy go wymijam, jego dłoń wystrzeliwuje i chwyta mnie za nadgarstek.

– Zatrzymaj się, Rory.

– Zostaw mnie – syczę. – Jesteś ostatnią osobą, którą mam ochotę spotkać tego wieczoru.

– Tak? – Otacza nas blask księżyca. Jego spojrzenie mnie pali.

– Tak.

Staram się wyrwać rękę, ale on tylko zacieśnia uchwyt.

– Nie jesteś dobrą kłamczuchą. – Moja obolała warga zaczyna drzeć coraz mocniej, gdy ujmuje mój podbródek w dłoń. – Spójrz na mnie.

Jego głos jest stanowczy, ale gdy nasze spojrzenia się spotykają, dostrzegam miękkość w jego spojrzeniu.

– Powiedz mi, co się stało.

– Co cię to obchodzi? – odgryzam się i odwracam wzrok.

Przyciąga mnie bliżej za nadgarstek, aż mój nos ociera się o jego twardą pierś.

– Zależy mi na tobie – warczy. – Sądzę, że wyraziłem się wystarczająco jasno.

– Tak, oczywiście. Gdybym cię obchodziła, powiedziałabyś mi, że jesteś właścicielem rezerwatu Devil's Preserve, gdy wyznałam ci, że to jedyny powód, dla którego zamierzam poślubić twojego odrażającego wujka. Ale było ci to obojętne. Tak samo, jak nie obchodziło cię, że skoczę z klifu. Jest ci obojętne, że wyjdę za niego bez cholernego powodu.

Zamiera. Milcząca wściekłość ulatnia się moimi porami.

– Naprawdę sądzisz, że nie powiedziałem ci o tym, ponieważ mi nie zależy?

– Widziałeś we mnie jedynie zabaweczkę, chwilową rozrywkę na czas pobytu na Wybrzeżu. Założę się, że to było dla ciebie ekscytujące doznanie, że mogłeś mieć narzeczoną wujka na skinienie cholernego palca.

– Oszalałaś – mamrocze, chwytając mnie za szczękę. – Jeśli uważasz, że za tobą nie szaleję, to jesteś walnięta.

– To dlaczego mi nie powiedziałeś? – krzyczę.

Zaciska szczękę.

– Co byś zrobiła, gdybym wyznał ci prawdę?

Otwieram usta, aby rzucić kolejną gorzką ripostę, ale nic się z nich nie wydostaje. Zastanawiam się przez chwilę.

– Odeszłabym od niego.

– A wtedy zabiłby ciebie i twojego ojca. – Jego silne przedramię owija się wokół mojej talii. Przyciąga mnie bliżej. Pragnienie oparcia głowy na jego piersi i zanurzenia się w jego ciepłym zapachu jest przytłaczające. Jednak równie silnie odczuwam potrzebę uderzenia go w szczękę. – To Costra Nostra, Rory. Rządzi się własnymi zasadami. Alberto cię pragnął, więc sobie ciebie wziął. A umowa, którą zawarliście, była iluzją. Mężczyźni, tacy jak on, nie dają. Oni tylko biorą. A każdy, kto nie przestrzega ich zasad, zostaje zabity.

– Mogłeś go powstrzymać.

– Zrobiłem to. Jeszcze zanim cię poznałem, odrzuciłem jego prośbę o zgodę na budowę. Wczoraj zapytał mnie ponownie, ale również mu odmówiłem. – Jego kciuk ociera się o mój policzek i mówi miękkim głosem. – Nigdy nie oddam mu rezerwatu. Masz moje słowo.

– Nie to miałam na myśli.

Złość w moim głosie sprawia, że zamiera. Wpatrujemy się przez chwilę w siebie, aż w końcu dociera do niego prawda.

– Zostań – mówię szybko.

Lecz westchnienie wydobywające się z jego ust mówi mi wszystko. Moje ciało drży na samą myśl, co usłyszę. Wiem, że nie potrafię stawić czoła współczującemu spojrzeniu, jakim mnie obdarzy, gdy sprowadzi mnie na ziemię. To będzie delikatne odrzucenie, wypowiedziane miękkim, ale protekcyjnym tonem. Wolałabym wydrapać sobie gałki oczne niż słuchać, jak mnie odpycha.

Pieką mnie oczy, a moje policzki płoną z zażenowania. Wykręcam się z jego uchwytu i gonię w stronę domu. Chryste, to był głupi pomysł. Nawet nie powinnam była o tym wspominać. Jakby z mojego powodu był w stanie porzucić swoje życie w Londynie i wrócić do małego miasteczka, które tak bardzo go prześladowało.

– Rory, zaczekaj...

Lecz zrywam się do biegu, a moje stopy uderzają w piasek, gdy zmierzam do posiadłości Cove. Nic dobrego mnie tam nie czeka, ale wolę cokolwiek, naprawdę cokolwiek, niż pozostanie na plaży z Angelem.

Łapię urywany oddech, gdy wpadam przed tarasowe drzwi. W jadalni przebywa wyłącznie samotny Tor, który obraca w dłoni szklankę do whisky. Wygląda na zmęczonego. Podnosi na mnie mroczne spojrzenie.

– Twój posiadacz cię szuka.

Jak na zawołanie zza wahadłowych drzwi rozlega się grzmiący głos Alberta, wykrzykującego moje imię.

– Z pewnością chodzi o ciebie, a nie o mnie – mamrocze Tor, biorąc łyk alkoholu.

Chwilę później na tarasie rozlegają się ciężkie kroki. Nie oglądając się za siebie, popycham drzwi na korytarz. Dwóch zmartwionych służących ociąga się na dole schodów, wpatrując się w półpiętro.

– Może powinniśmy go odurzyć – mamrocze jeden.

– Albo mieć nadzieję, że spadnie ze schodów i złamie kark. – W odpowiedzi śmieje się drugi.

Gdy mnie dostrzegają, zamierają, a potem usuwają się w cień, szepcząc do siebie.

Nadal dyszę po biegu. Zmuszam się, by podnieść wzrok i na szczycie schodów dostrzegam nagiego Alberta. Stoi w pełnej chwale, przykryty jedynie swoim olbrzymim, zwisającym aż do ud brzuszyskiem.

– Tu jesteś – woła, kiwając na mnie podkulonym paluchem. – Do mojej sypialni. I to już.

Moje serce zamiera. Wygląda na to, że wybrałam bardzo złą drogę. Odwracam się, aby wparować do jadalni, ale cień Angela zasłania mi przejście.

Wpatruje się we mnie z rękami włożonymi do kieszeni.

– Przestań przede mną uciekać, Rory.

– Ja...

– Aurora! – Zniecierpliwiony głos Alberta brzmi coraz głośniej. – Nie każ mi czekać.

Zdezorientowany Angelo zerka na szczyt schodów. Jego oczy rzucają błyskawice w kierunku zataczającego się na półpiętrze w kierunku sypialni nagiego wujka.

– Nie ruszaj się.

Unoszę głowę w przekorze i mówię:

– Nie będziesz mi rozkazywał.

– Nie bawię się w żadne gierki. Nie pójdziesz na górę. – Jego nozdrza drgają.

– Nie mam wyboru.

– Ponieważ ci go nie dają.

Mój oddech drży, lecz jestem zdeterminowana, aby obstawać przy swoim. Zerkam w stronę zamkniętych drzwi do sypialni Alberta. Wiem, że jeśli przekroczę ich próg, to nie minie dużo czasu, jak to tłuste, spocone cielsko na mnie wlezie.

Wbijam paznokcie w dłonie.

– Zostajesz?

– Rory...

– Zostajesz? – powtarzam, tym razem głośniej. – Zamierzasz zostać na Wybrzeżu, przejąć Devil's Dip i chronić mnie, mojego ojca i rezerwat przed twoim wujkiem? Czy skążesz mnie na samotną walkę?

Jego milczenie jest ogłuszające. Gdy na niego zerkam, przesuwa językiem po zębach i ciężko oddycha.

– Użyj słów, Angelo – wypluвам z siebie złość, naśladując to, jak często do mnie mówi.

– Wiesz, że nie mogę.

Zaciskam powieki i czuję, jakbym dostała cios w brzuch. Lecz się nie załamuję. Jestem na to zbyt rozgoryczona. Pragnienie zemsty rozchodzi się po moim ciele. Chcę, aby poczuł chociaż ułamek bólu, jaki przeżywam.

Robię krok w stronę schodów.

– Przed obiadem powiedział mi, że chce odbyć ze mną stosunek analny. Zgaduję, że to właśnie czeka mnie za tymi drzwiami.

Robię kolejny krok.

– Jeśli będzie trzeba, pozwolę mu wykorzystać swój tyłek, a nawet cipkę.

Robię kolejny krok.

– Wyjęczę jego imię, tak jak twoje. Lecz w przeciwieństwie do ciebie, jego dłonie znajdą się na całym moim ciele. Gdziekolwiek zechce.

Na samą myśl do oczu napływają mi łzy, lecz mrugam uparcie i zacynam powoli wspinać się na schody.

– Aurora.

Czysta, nieokiełznana złość w głosie Angela powstrzymuje mnie w pół kroku. Odwracam się do niego. Stoi na dolnym schodku i wpatruje się we mnie z zaciśniętymi dłońmi.

– Bóg mi świadkiem, że jeśli zrobisz kolejny krok, nie odpowiadam za siebie.

– Już nie jesteś członkiem mafii. Pamiętasz? – wypluwam z siebie.
– Tylko ubierasz się jak oni.

Jego spojrzenie wypala mi dziurę w plecach. Wspinam się po schodach i wślizguję do sypialni. Zanurzona w mrok, opieram się plecami o zimne drzwi i wypuszczam z siebie drżący oddech.

Puścił mnie.

Niczym się od nich nie różni. Sam mi o tym powiedział na nabożeństwie żałobnym ku pamięci swoich rodziców. Traktuje mnie jak jednorazówkę, zupełnie jak jego wujek.

Byłam naiwna myśląc, że Angelo Visconti jest rycerzem w lśniącej zbroi. Uspokajam swój oddech, podnoszę wzrok i mrużę oczy w mroku. Dzięki wlewającemu się przez okno srebrzystemu blaskowi księżycy, jestem w stanie dostrzec ogromną sylwetkę spoczywającego na łóżku Alberta. Ma ciężki i równy oddech. Pomimo nudności, jakie odczuwam, natychmiast robi mi się lżej na sercu.

Upił się tak, że zemdlał. *Dzięki Bogu.* Jedynym, co mogłoby uczynić tę noc koszmarniejszą, byłoby musieć przechodzić przez to z...

Nagle ściany sypialni rozświetla biało-pomarańczowa poświata. Chwilę później głośna eksplozja gwałtownie wstrząsa szybami w oknach. Instynktownie padam na podłogę i zasłaniam dłońmi głowę. Mija chwila i zapanowuje ogłuszająca cisza.

Co, do diabła?

Unoszę się na drżących nogach i zerkam na Alberta. Jest tak zalany, że nawet nie drgnął podczas eksplozji. Przez chwilę świta mi myśl, że może jest martwy. Lecz potem rozlega się głośne chrapanie. Odwracam się z powrotem w stronę okna. Srebrny blask księżycy zastąpiła świecąca jasnym blaskiem pomarańczowa poświata.

Dziwne uczucie przenika moją skórę. Przecinam pokój i odsuwam zasłonę.

Mój wzrok pada na frontowy podjazd.

Widzę dużo ognia, nadpalony żwir i czarny kłębiący się dym. Mrugam, starając się przystosować wzrok. Gdy uświadamiam sobie, na co patrzę, moje serce zamiera.

Pali się należący do Alberta rolls royce. Wściekłe płomienie uciekają przez okna i przednią szybę, liżąc drzwi i dach. Zza samochodu wyłania się ciemna postać.

Angelo. Patrzy na mnie zupełnie bez wyrazu.

Przełykam kulę w gardle, nie mając śmiałości zaczerpnąć powietrza.

Angelo Visconti nie jest rycerzem w lśniącej zbroi. To potwór w garniturze od Armaniego.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Rory

Zegar z kurantem wybija dwunastą. Lecz melodia tylko na chwilę przerywa panującą w apartamencie ciszę.

Amelia siedzi w fotelu naprzeciwko mnie i z obojętnym wyrazem twarzy wpatruje się w stronę tarasu. Wiem, że obserwuje męża, znajdującego się po drugiej stronie szklanych drzwi.

– Gdyby to zależało ode mnie, już łapalibyśmy następny lot do Colorado.

Przerywam obskubywanie leżącej na moich kolanach poduszki.

– A co takiego jest w Colorado?

– Nie chodzi o to, co znajduje się w Colorado. – Niechętnie przesuwa na mnie spojrzenie. – Auroro, każdej nocy śpię z bronią pod poduszką. Zaczynam panikować, gdy tylko Donatello spóźnia się pięć minut.

Delikatnie przesuwa palcami po swoim brzuchu.

– Nieustanny stres mi nie służy.

Spoglądam na jej brzuch, ale się nie odzywam. Odwracam wzrok i patrzę w stronę tarasu. Bracia Cove stoją zbici w ciasnym kręgu. Na twarzy każdego maluje się surowy wyraz. Dante o czymś rozprawia, a jego usta wykrzywają się w grymasie. Obok niego poważny Donatello pociera podbródek i okazjonalnie kiwa głową w zgodzie. Tor wygląda na znudzonego, jakby wolał znajdować się w zupełnie innym miejscu. Tymczasem tkwi ze swoją rodziną w apartamencie mieszczącym się na najwyższym piętrze hotelu Grand Visconti.

– Wiesz, co jest w tym wszystkim najgorsze? – pyta Amelia. Odwracam się w jej stronę. – To, że ta rodzina ma tak wielu wrogów. Odnalezienie sprawcy jest prawie niewykonalne.

Ostatnią osobą, jaką będą podejrzewać, jest członek rodziny.

Zgrzytam zębami i potakuję, a potem wracam do skubania poduszki.

Jestem zmęczona. Boli mnie warga, a głowa pulsuje mi przez brak snu i natłok myśli. Zeszłej nocy stałam zszokowana przy oknie, aż cała horda strażników wparowała do sypialni, by zabrać nas opancerzonym wozem do hotelu. Od tamtej pory przebywamy w rodzinnej kryjówce, czyli apartamencie z ukrytym wejściem i kuloodpornymi szybami. Tymczasem ochroniarze dwoją się i troją, aby złożyć elementy układanki w całość.

Alberto odsypia kaca w jednym z pokoi. Moje oczy nerwowo wędrują od ustawionych murem przed drzwiami ochroniarzy do znajdującego się na tarasie Tora. Być może mój narzeczony był zbyt pijany, by zapamiętać sposób, w jaki zwracał się do niego Angelo. Lecz Tor był trzeźwy. Z pewnością domyśla się, że Angelo jest jedynym logicznym sprawcą. Posiadłość jest jak forteca. Nikt nie wtargnie na jej teren ani się z niej nie wydostanie bez zwrócenia na siebie uwagi strażników. To daje pewność, że musiał to być ktoś z wewnątrz.

Czuję niepokój, mimo że wmawiam sobie, że mnie to nie obchodzi. *Czemu miałoby tak być?* Angelo Visconti nie troszczy się o mnie, więc powinnam postępować względem niego tak samo.

Podskakuję na dźwięk rozsuwających się drzwi na patio. Zerkam z kąta kanapy, przybierając obojętny wyraz twarzy.

Amelia zrywa się na równe nogi i staje u boku Donatella, który obejmuje ją w talii, a następnie całuje w czubek głowy.

– I co? – rzuca. – Strażnicy coś widzieli?

Donatello zerka na mnie i przełyka ślinę.

– Przy bramie pracuje tylko jeden ochroniarz, a sprawca zastrzelił go podczas ucieczki z posiadłości.

Amelia zamiera.

– A w drodze wejściowej? Czy kamery go uchwyciły?

Potrząsa głową.

– Kimkolwiek jest, dobrze wiedział, co robi. Wyrwał przyczepioną do ściany domu skrzynkę z bezpiecznikami. To odcięło dostawę prądu do całej posiadłości, włączając w to kamery, co oznacza, że nie odzyskamy nagrań.

– Chryste – mamrocze Amelia, opadając na podłokietnik kanapy.

– To oznacza, że ktokolwiek to był, zna rozkład domu.

– To był Angelo.

Moje serce zamiera na słowa Dantego. Wszyscy obracają się w jego stronę. Wpatruje się wprost we mnie, a ja czuję, jak mój puls przyspiesza.

O kurka. Zaczyna się.

– Angelo? – wykrzykuje Amelia. – Dlaczego miały robić coś takiego?

– Zeszłej nocy on był jedyną obcą osobą w domu. Razem z ojcem rozmawiali o tajemniczym nowym interesie. Sądzę, że po moim wyjściu coś poszło nie tak i odezwał się w nim stary Bezwzględny Visconti. – Wskazuje na mnie, a jego wzrok ciemnieje. – Gdy ktoś raz zachowa się jak dupek, zawsze nim pozostaje. Nieważne, jaki podatek płaci.

– Zamknij się, Dante. – Odwraca się Tor i przyspila go zdenerwowanym spojrzeniem. – Już to przerabialiśmy. To nie mógł być Angelo, ponieważ wyszliśmy razem i pojechaliśmy do miasta.

Pałą mnie uszy. *Dlaczego Tor go kryje?*

– Masz na to dowód?

– Twierdzisz, że kłamię? – Tor robi krok do przodu i wysuwa szczękę.

– Mówię tylko, że kryłbyś go, aby utrzymać dobre stosunki z jego bratem. – Jego spojrzenie zamienia się w szyderczy uśmieszek. – Siedzisz tak głęboko w dupie Rafe’a, że możesz zobaczyć jego pieprzone migdałki.

– Jeśli mi nie wierzysz, zapytaj Aurory. Pojechała z nami.

Mrugam. *Co?*

Wszystkie oczy zwracają się w moją stronę i rumienię się z powodu skupionej na mnie uwagi.

– Co? – warczy Dante. – Tak było?

Zamieram, a moje spojrzenie wędruje od krzywego spojrzenia Dantego do przeszywającego wzroku Tora. Nie mam już powodu, aby kłamać dla Angela, lecz odpowiedź instynktownie wyślizguje się z moich ust.

– Tak.

– Widzisz – rzuca bez wahania Tor. – Sprawiasz wrażenie, jakby zależało ci na tym, aby wszyscy uwierzyli, że to Angelo jest sprawcą zajścia.

Donatello rozładowuje napiętą sytuację, jaka powstaje między braćmi.

– Co masz na myśli?

– Zeszłej nocy ojciec powiedział Dantemu, że jest głównianym zastępcą i że wolałby pracować z Angelem, a nasz brat oburzył się i wściekły wybiegł z domu. Godzinę później pali się auto ojca. Dodajcie dwa do dwóch – wypływa z siebie Tor.

Wszystkie spojrzenia przesuwają się na Dantego.

– Czy to prawda? – Wzrok Donatella ciemnieje.

– Jeśli przez chwilę pomyślisz...

Protesty Dantego zostają szybko ucięte przez rozlegające się przy wejściu odkasływanie. Wszyscy odwracają wzrok w stronę stojącego tam strażnika.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale przybyli Raphael i Angelo – informuje.

Ta wiadomość mrozi mi krew w żyłach. *Co on, do cholery, tu robi?* Myślałam, że po zeszłej nocy złapie lot do Londynu albo przynajmniej będzie miał odrobinę zdrowego rozsądku, aby się przez chwilę nie wychylać. Lecz on działa zupełnie inaczej. Pojawia się w apartamencie z bratem u boku, a na jego twarzy maluje się obojętność.

Zatrzymuje się za kanapą i rzuca na mnie mroczny cień. Włoski na karku stają mi dęba, a moja skóra iskrzy od napięcia. Jego bliskość zawsze tak na mnie działa.

Zgrzytam zębami i wpatruję się w leżącą na moich kolanach poduszkę, próbując z całych sił ignorować zdenerwowanie.

– Cóż za urocze rodzinne spotkanie! – stwierdza przeciągle Rafe, przysiadając na podłokietniku. – Czuję się nieco urażony, że nie zostałem na nie zaproszony.

– Myślałem, że wróciłeś do Vegas – rzuca Tor.

Rafe wyciąga ramiona i kącikiem oka dostrzegam połyskujące w jego zegarku diamenty.

– Cuda współczesnych podróży lotniczych, *cugino*.

– Co tutaj robisz? – warczy Dante. Czuję, że Angelo się porusza, a wraz z jego ruchem zmienia się atmosfera.

– Spokojnie, Dante. Może zechciałbyś spuścić z tonu, zważywszy na to, że wiem, kto popełnił ten niewielki akt wandalizmu zeszłej

nocy.

Oddycham płycej.

– Wiecie, kto to był? – Amelia odwraca się w stronę Rafe’a.

– Ktoś zadzwonił na gorącą linię. Namierzyłem numer i okazało się, że należy do czyściciela basenów. Nie wiem, co takiego zrobił mu Duży Al, ale gdybym musiał odsiewać codziennie z basenu jego włosy łonowe, też prawdopodobnie wysadziłbym jego rollsa.

Zapada cisza.

– To sprawka Emilio? – W głosie Dantego słychać podejrzliwość.

– Najwidoczniej.

– Chcę usłyszeć to nagranie.

– Niezłe zagranie, *cugino*. Prędzej piekło zamarznie niż dam ci dostęp do Anonimowych Grzeszników.

Moje serce wali dziko i panikuję, że wszyscy je usłyszą.

– Donatello, Tor. Muszę zamienić z wami słowo na zewnątrz – rzuca Dante.

Podnoszę wzrok w doskonałym momencie, by uchwycić jego wściekłe spojrzenie. Po chwili klan Cove wraca na taras.

– Amelio, bądź tak miła i zrób nam kawę – mówi Rafe.

Amelia obrzuca go niezadowolonym spojrzeniem, lecz podnosi się z kanapy i bez słowa znika w kuchni.

Wzrok brata Angela pali mnie w policzek. Zmuszam się do odwzajemnienia jego spojrzenia. Przeszywa mnie oszałamiającym uśmiechem. Takim, który zupełnie nie pasuje do jego gniewnego wzroku.

– Sprawiasz kłopoty, dziewczyno.

Jego spokojny i jednocześnie złowieszczy głos przyprawia mnie o dreszcze. Wyczuwam w nim zawołaną groźbę. Uświadamiam sobie, że za czarem i łamiącym serca wyglądem Raphaela Viscontiego kryje się przerażające oblicze.

– Zamknij się, Rafe. – Angelo kładzie ciepłe i silne dłonie na moich ramionach. Zamykam oczy pod jego dotykiem. – Rory, wychodzimy.

Unoszę powieki i odwracam się w jego kierunku. Żałuję, że to robię. W jego oczach płonie ten sam ogień wściekłości, co zeszłej nocy. Przez chwilę moje serce przyspiesza na jego słowa.

– Tak?

– Jest sobota. Zabieram cię na spotkanie z ojcem.

Mrugam, z podenerwowaniem wyrywam się z jego uścisku i wstaję.

– Nigdzie z tobą nie pojedę – wypluwam z siebie. – Mogłeś mnie zabić zeszłej nocy. – *I powiedziałaś mi coś, czego nie chciałam słyszeć.*

– Chciałem cię zabić wczoraj – warczy bez wahania. – Dzisiaj również tego pragnę.

Sposób, w jaki patrzy na moje usta, przeczy temu, co mówi.

– Bierz płaszcz. Nie każ mi się powtarzać.

Moje spojrzenie przenosi się na Rafe'a, który przygląda się naszej wymianie zdań z rozbawieniem.

– Nie mogę tak po prostu wyjść. – Wskazuję na taras, na którym stoją pogrążeni w zapalczą rozmowę Dante, Tor i Donatello. – Nie sądzisz, że wyrządziłeś już wystarczająco dużo szkód jak na jeden weekend?

– To nie zmuszaj mnie do kolejnych. Wychodzimy. Już.

Spoglądamy na siebie. Jestem rozdarta pomiędzy obstawaniem przy swoim, a wzięciem płaszcz z kanapy. Żałuję, że nie mogę powiedzieć, że robię to tylko z powodu tego, że chcę się spotkać z ojcem. W głębi duszy boję się tego, co mógłby zrobić Angelo. W jego oczach dostrzegam szaleństwo. Rozdaje zemstę niczym cukierki, a ja nie mogę dostarczać Albertowi kolejnych powodów do złości.

Wysuwam szczękę, łapię płaszcz i staję twarzą w twarz z Amelią, która wchodzi przez kuchenne drzwi, niosąc w dłoniach cztery kubki kawy.

– Wybieram się do ojca – mówię bez tchu, unikając jej podejrzliwego spojrzenia. – Proszę, przekaż to Albertowi, kiedy się obudzi.

Ignoruję uśmiezek Rafe'a i ruszam w kierunku frontowych drzwi. Angelo depta mi po piętach.

Zjeżdżamy windą w piekielnej ciszy. Gdy wślizguję się na miejsce pasażera w jego samochodzie, czuję gorące i pełne złości łzy napływające mi do oczu. Nie będę płakać. Nigdy sobie na to nie pozwalam. Angelo nie zdobędzie nade mną władzy. Nie, jeśli nie zamierza mi pomóc. Nie, jeśli nie zostanie i nie podejmie walki u mojego boku.

– Powstrzymałem cię od pieprzenia się z nim. – Wyczuwam wściekłość w jego głosie. Zaciska dłonie na kierownicy tak, że aż bieleją mu kostki. Prowadzi swojego Astona Martina, jakby go ukradł.

– To nie ma znaczenia, bo i tak w końcu będę musiała to zrobić.

Wali pięścią w deskę rozdzielczą, sprawiając, że się wzdrygam.

– Więc pewnie to nie ma znaczenia. Tak czy siak, to nie będzie pierwszy raz, kiedy się puścisz.

Jego słowa mrożą mi krew w żyłach. Moje serce na chwilę zamiera.

– Słucham?

– Dobrze słyszałaś – warczy, wpatrując się prosto w drogę. Przedzieramy się do Devil's Dip, a on zwiększa prędkość, klucząc między samochodami. Towarzyszy nam melodia wściekłych klaksonów. – Myślisz, że nie wiem, że pieprzyłaś się z połową facetów z akademii Devil's Coast? Początkowo w to nie wierzyłem, ale gdy zeszłej nocy zobaczyłem, jak szybko wbiegasz na górę po schodach, to opuściły mnie wszelkie wątpliwości.

Zaciskam oczy i wstrzymuję drżący oddech.

– Co, twoim zdaniem, powinnam była zrobić, Angelo? Odejść z tobą?

– Tak.

– Po co? Aby obnażać przed tobą tyłek? Pokazywać ci, jak dotykam samą siebie? – Uderzam głową w szybę i zgrzytam zębami. – A potem co? Miałabym wrócić do Alberta i mierzyć się z kolejną karą, z kolejnym pobiciem?

Angelo naciska gwałtownie hamulec, a opony piszczą na mokrej drodze. Czuję szarpnięcie do przodu, a pas wbija się w moją szyję. Gdy odwracam się do niego, aby zapytać, w co, do diabła, pogrywa, przyszpila mnie groźnym spojrzeniem.

– Powtórz, co powiedziałaś.

Jego lodowaty ton sprawia, że czuję gulę w gardle.

– Co?

Zaciska dłonie w pięści i kładzie na kolanach.

– Kolejne pobicie. Co to ma znaczyć? – Jego spojrzenie jest tak gorące, że kulę się, aby od niego uciec. – Co on ci robi, Rory?

Codzi słowa, jakby sam nie był w stanie sobie zaufać.

– Powiedz mi, co on ci robi.

Oblewam się rumieńcem. Mija kilka sekund, zanim oblizuję kciuk, by przesunąć nim po czułym miejscu nad okiem. Opuszką palca ścieram grubą i tłustą warstwę korektora. Potem ostrożnie wycieram nasadą dłoni usta, zmazując pomadkę. Szarpnię niechcący ranę i krzywię się z bólu.

Jego spojrzenie przesuwa się po mojej twarzy. Przygląda się mojemu podbitemu oku i napuchniętym wargom. Jego milczenie jest ogłuszające. Nagle sięga do klamki i wyskakuje z samochodu. Obserwuję z zapartym tchem przez przednią szybę, jak rusza w dół drogi i przystaje. Zakłada dłonie na tył głowy i unosi twarz w stronę szarego nieba. Jego ramionami wstrząsają gwałtowne dreszcze.

Bez chwili zastanowienia wysiadam z samochodu i zmierzam w jego kierunku. Wiatr niesie jego twardy i poważny głos.

- Wracaj do samochodu, Rory.
- Angelo...
- Wracaj do pieprzonego samochodu.

Gdy kładę dłoń na jego ramieniu, odwraca się i łapie mnie za nadgarstek. W jego oczach płonie wściekłość, a intensywność jego złości sprawia, że mam ochotę obrócić się na pięcie i uciec. Gdybym nie była taka przerażona, to bym się zdenerwowała.

Angelo Visconti nie ma prawa się tak złościć.

Jego spojrzenie ponownie wędruje na moje usta, przez co nagle mięknie. Unosi drugą dłoń i delikatnie przebiega kciukiem po mojej dolnej wardze. Czuję podenerwowanie, które rozchodzi się aż pomiędzy moje uda.

– On ci to zrobił – mamrocze, bardziej do siebie niż do mnie. – Dlaczego mi nie powiedziałaś, Rory?

– Czy to robiłoby jakąś różnicę? – szepczę. – Czy dzięki temu byś został?

Zaciska szczękę i unosi wzrok w górę. Gdy ponownie na mnie zerka, w jego oczach pojawia się zdeterminowanie.

- Wracasz ze mną do domu.
- Domu? – Moje serce drży.
- Do Londynu. Ty i twój ojciec.
- Nie mogę. – Potrząsam głową i wstrzymuję oddech.
- Zatem gdziekolwiek zechcesz. Wszędzie, poza tym pieprzonym Wybrzeżem. Nowy Jork? Wyglądasz na dziewczynę, która polubiłaby

to miasto.

– Nie możemy opuścić Wybrzeża, Angelo.

Jadowity syk wydobywa się z jego ust, gdy przesuwa dłonią po moim karku i mnie chwyta.

– W porządku. Lubisz naturę. Chryste, Rory. Wszędzie jest przyroda. Kupię ci ziemię. Jeśli zechcesz to nawet całą pieprzoną wyspę.

– Nie rozumiesz. Ja nie mogę zostawić rezerwatu...

– Co jest w nim takiego wyjątkowego? – warczy, bardziej wściekły niż kiedykolwiek. – I nie waż się wmawiać mi, że pieprzone orły.

Zamykam oczy, aby uniknąć jego spojrzenia. Biorę głęboki wdech i unoszę powieki.

– Chodź. Pokażę ci.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Angelo

W milczeniu zanurzamy się w przyrodzie rezerwatu. W mojej głowie panuje chaos. Czuję, jak furia liże moją skórę. Całą siłą woli hamuję się, aby nie wsiąść do samochodu, nie popędzić do Devil's Dip i nie wsadzić kulki w łeb Albertowi.

Muszę się jednak powstrzymać, ponieważ bezwzględne czyny niosą ze sobą konsekwencje. Muszę myśleć nie jak Bezwzględny Visconti, a bardziej jak moi bracia. Ich gniew spala się powoli, niczym płomień świecy, podczas gdy mój jest niczym fajerwerki. Mój lont się zapalił, ale jeszcze nie mogę eksplodować.

Nie bez planu.

Jedynym powodem, dla którego zgodziłem się pójść do lasu z Rory, jest to, że mam nadzieję, że ta wyprawa mnie trochę ostudzi i da mi czas, by zacząć myśleć racjonalnie. Nie mogę oderwać od niej wzroku. Purpurowa plama koło oka i krwawe rozcięcie na wardze nieustannie przyciągają moją uwagę.

Mam ochotę puścić z dymem całe Wybrzeże.

– Stój! – Filigranowa dłoń Rory zaciska się na mojej marynarce.

– Co? – Marszczę brwi.

Spogląda na mnie, jakbym był szalony.

– Poważnie? Zaraz wpakujesz się prosto w ruchome piaski.

Jestem tak roztargniony, że chwilę zajmuje mi uświadomienie sobie, co mówi, po to by podążyć za jej spojrzeniem. Przede mną rozciąga się bagniste bajoro. Wygląda wystarczająco źle, abym zniszczył buty, ale nie aż tak znowu groźnie.

– Hmm?

– Chryste, nie miałeś w szkole geologii? Ruchome piaski. Błoto jest podmokłe, więc jeśli w nie wejdziesz, wciągnie cię. W środku lasu jest jezioro i gdy się do niego zbliżasz, możesz natrafić na kilka łat ruchomych piasków. Uważaj.

Posyła mi urocze, zmartwione spojrzenie. Puszczą moją marynarkę i palcami ociera się o moją pięść. Jej ręka jest ciepła i delikatna. Nagle otwieram pięść i ujmuję jej dłoń. Pieprzyć zasadę: „bez dotykania”. Wyrzuciłem ją do kosza w chwili, gdy zobaczyłem jej rozwaloną wargę.

– No dobrze, Davidzie Attenborough²⁶ – zrządzą, próbując ukryć uśmieszek. – Prowadź.

Przebija się błotnistym szlakiem, nie zwracając uwagi na to, że jej białe tenisówki i jeansy są uwalane błotem. Mnie też to nie przeszkadza. Skupiam się jedynie na przyjemności, jaką sprawia mi trzymanie jej dłoni. Nie do końca przestrzegałem zasady „bez dotykania”. Lecz teraz w końcu dotykam jej celowo. W najbardziej dziecinny sposób. Jednak jest to niesamowite przeżycie.

Chryste. Ta dziewczyna zamienia mnie w dwunastoletniego prawiczka.

Wkrótce drzewa się przerzedzają i docieramy do jeziora. Omiotam wzrokiem wodę.

– Jakie by to nie były rzadkie gatunki ptaków, ryb czy pieprzonych insektów, które chcesz mi pokazać, to nie wystarczy, aby przekonać mnie do pozostania w tym miejscu.

– Nie dlatego tu jesteśmy – mówi cicho. Wyrywa dłoń, a ja niechętnie ją puszczam. Wyławia komórkę z torebki i pisze wiadomość.

Obserwuję ją.

– Denerwujesz się – stwierdzam.

Spogląda na mnie spod gęstych rzęs.

– Nigdy nie przedstawiłam żadnego mężczyzny ojcu.

– Rory, ja... – syczę i wciągam głęboko powietrze.

– Proszę – szepcze. Zdenerwowanie zagnieżdża się w mojej piersi, gdy zdejmuję z palca pieprzony pierścionek i wsuwa go do kieszeni.

– Po prostu poczekaj.

Wkładam dłonie w kieszenie spodni, opieram się o drzewo i patrzę na wodę. Mija kilka minut, zanim odzywa się komórka Rory. Sprawdza ekran, wypuszcza drżący oddech i kiwa głową.

– Chodźmy.

Prowadzi nas do biegnącego dookoła jeziora pomostu. Na jego końcu znajduje się mała chatka, w której poruszają się dwie postaci.

Gdy się zbliżamy, wyłania się z niej kobieta i rusza nam na spotkanie. Gdy mnie dostrzega, zamiera i blednie.

– *Signor Visconti* – mówi powoli, wpijając wzrok w Rory. – Nie spodziewałam się...

– Wszystko w porządku, Melisso. Jest ze mną – mówi spiętym głosem Rory. Przechodzi koło niej i dodaje. – Mogłabyś dzisiaj zaczekać tutaj?

Usta Melissy się otwierają, lecz szybko je zamyka i kiwa głową.

Zmierzam w kierunku chaty i zrównuję się z Rory.

– Kto to jest?

– Jedna z opiekunek mojego ojca. Jest dość miła i tata ją uwielbia, ale wynajął ją Alberto, więc...

Urywa zdanie, a ja potakuję. Nie musi mi tego wyjaśniać. Mimo tego nie zdawałem sobie sprawy, że jej ojciec wymaga opieki.

W drzwiach chaty wyciąga dłoń, zatrzymując mnie przed wejściem. Zerka w niebo i bierze głęboki wdech, po czym przykleja do twarzy oszałamiający uśmiech i puka w drewniany panel.

– Cześć, tato! – woła.

Ze środka dochodzi chrząknięcie, a potem z chaty wyłania się mężczyzna. Jest niski, nosi bojówki i ciężką kurtkę. Na jego szyi wiszą okulary. Wyciąga ramiona i zamyka Rory w uścisku.

Staram się w niego nie wpatrywać. Nie jest... tym, kogo się spodziewałem. Żaden z niego młodzieniaszek, ale zdecydowanie nie wygląda na tyle staro, aby potrzebować opiekuna. Wydaje się być w dobrej formie fizycznej. Odwraca się w moją stronę i mruży oczy.

– A to kto?

– Tato, to jest...

– David – mówię i wyciągam do niego dłoń.

Czuję wwiercające się w mój policzek spojrzenie Rory, lecz je ignoruję. Jej ojciec jest wystarczająco stary, aby pamiętać panowanie mojego ojca w Devil's Dip i z pewnością skojarzy, kim jestem. Z jakiegoś powodu nie chcę być wrzucany do tego samego worka co reszta Viscontich.

Pragnę wyrzucić dobre wrażenie, dlatego uruchamiam swój czar i udaję, że nie jestem potworem.

Przeciąga wzrokiem po moim szytym na miarę garniturze i włoskim wełnianym płaszczu. W końcu rzuca mi gniewne spojrzenie.

– Jesteś za stary, aby być chłopakiem mojej córki.

Śmieję się. *Jeśli uważasz, że ja jestem stary, to powinieneś zobaczyć jej prawdziwego pieprzonego chłopaka.*

– Tato! – rzuca Rory, a na jej twarzy pojawia się uroczy rumieniec.

– Jesteśmy tylko przyjaciółmi. On... wpadł do miasta z wizytą.

– Ach. Przyjaciel z college'u?

– Tak. David... uczęszcza na ten sam kurs lotnictwa.

Uśmiecham się z przymusem, a moje spojrzenie wędruje do Rory. *Jej ojciec sądzi, że ona nadal się uczy, aby zostać pilotem?* Coś pęka w mojej piersi, coś nieznanego, czego nie potrafię nazwać.

Na twarzy jej ojca pojawia się blask zachwytu.

– Inny pilot! Wspaniale! Jestem Chester. Miło mi cię poznać. Witam w rezerwacie Devil's Preserve. Chodźmy. – Wskazuje koniec pomostu, gdzie na wodzie unosi się mała łódka. – Wspaniały dzień na wyprawę na jezioro. Zapraszam.

Wsiadam pierwszy, pomagając Rory i jej ojcu dostać się do łódki. Chester podnosi wiosła, ale mu je odbieram.

– Nalegam – mówię.

Zerka na swoją córkę i unosi brwi.

– Dżentelmen z niego, prawda? – Rzuca kolejne przelotne spojrzenie nad moimi ramionami. – Jesteś potężnym mężczyzną. Mam nadzieję, że nie zatopisz łodzi.

– Tato! – Śmieje się Rory. Spogląda na mnie i potrząsa głową z wyrazem zakłopotania na twarzy.

Gdy dopływamy na środek jeziora, wkładam wiosła w dulki.

– Zatem dobrze – mamrocze Chester, poklepując liczne kieszenie w swojej kurtce. – Gdzie, do kurki, włożyłem cukierki?

– Ty też używasz tych śmiesznych przekleństw. – Śmieję się.

Szczerzy się w uśmiechu, wyciągając z kieszeni garść landrynek i oferując mi kupkę. Częstuję się jedną z grzeczności.

– Zanim z żoną doczekaliśmy się Rory, miałem niewyparzoną gębę. Kląłem jak szewc. Gdy ona się urodziła, żona strzelała mnie po uchu za każde przekleństwo, więc musiałem szybko przestawić się na bardziej przyjazny dzieciom język. – Kuksa córkę łokciem i posyła jej psotne spojrzenie. – Również edukacyjny.

Rory opiera głowę na jego ramieniu i ujmuje jego dłoń.

– Myślę, że moje pierwsze słowo było związane z ptakami.

– O, tak. – Rechocze Chester i całuje jej loki. – Powiedziałem ci, że zbliża się pora snu, a ty powiedziałaś mi, że powinienem gdzieś „lecieć”.

Rory napotyka mój wzrok i nieśmiało się uśmiecha. Nie potrafię się powstrzymać i oddaję jej uśmiech. Coś ciepłego i miękkiego gasi wściekłość w mojej piersi. Nie mogę oderwać od niej oczu, gdy jest taka radosna i żartuje z ojcem. Zachwyca mnie, gdy z podekscytowania buja łodzią, aby pokazać mi przepływającą rybę albo chwytą okulary ojca, aby mieć lepszy widok na szybujące nad naszymi głowami ptaki.

Wydaje się, jakby przy ojcu budziła się do życia. Jakby las zapalał gdzieś głęboko w niej jakąś iskierkę. Lecz w mojej piersi pojawia się coś gorzkiego, coś, czego nie mam prawa odczuwać.

Żałuję, że to nie za moją sprawą tak ożywa.

Przełykam tę myśl wraz z czwartą landrynką. Wydaje się, że ptasie dowcipy i zamiłowanie do przyrody nie są jedynymi cechami, jakie odziedziczyła po ojcu. Jeśli zjem więcej cukierków, to wypadną mi zęby.

Gdy przychodzi pora powrotu na brzeg, zauważam, że Rory milknie. Rozmawiamy we dwóch, a ona owija się wokół ramienia ojca i wpatruje przed siebie niewidzialnym wzrokiem.

– Wszystko w porządku? – szepczę jej do ucha, gdy pomagam jej wysiąść z łodzi.

Kiwa głową, lecz unika mojego wzroku.

Melissa rzuca mi skryte spojrzenia z końca pomostu. Zastanawiam się, co ona tutaj robi i po co wynajął ją wujek Al. Nie wygląda na pielęgniarkę i zdecydowanie nie jest rodzajem opiekunki, jakie ma w zwyczaju wynajmować Cosa Nostra. Gdyby nią była, to byłaby mężczyzną ze słuchawką w uchu i glockiem zatknętym za pas, a nie nieśmiałą kobietą w czapce.

Gdy do niej docieramy, Chester zerka na niebo i klaszcze w dłonie.

– Wygląda na to, że zbiera się na deszcz. Wracamy do domu na herbatę i ciasteczka?

Czuję, że coś wisi w powietrzu. Rory zamiera i wymieniają z Melissą nerwowe spojrzenia.

– Rory musi nadrobić zaległości w szkole, Chester – mówi Melissa nadopiekuńczym tonem. – Może następnym razem...

– Chętnie napiję się z tobą herbaty, tato – mówi cichym, ale stanowczym głosem Rory.

– Hmm, jesteś pewna? – Melissa unosi brwi.

Rory kiwa głową.

– Cudownie. – Chester obraca się na pięcie i rusza w kierunku drzew. – Zatem pora wracać do domu!

Rozmiękłe liście chlupoczą pod naszymi stopami. Spieszący przed nami Chester pogwizduje starą melodię szanty, a Rory ciężko wypuszcza powietrze z płuc.

– Co się stało? – mamroczę, pochylając się tak, że przytykam usta do jej ucha.

– Zobaczysz. – Potrząsa głową.

Ocieram się o jej dłoń i przypominam sobie, że nie obchodzi mnie, że złamię zasadę niedotykania jej. Ujmuję jej dłoń. Jest zimna i drżąca. Żałuję, że nie mogę jej zabrać daleko od tego, co wprawia ją w takie przerażenie.

Po kilku minutach spaceru błotnista ścieżka przeradza się w kamienny podjazd, który prowadzi do stojącej na polanie dużej chaty z bali. Jej skośny dach porasta mech, a okna połyskują ciepłym bursztynowym blaskiem. To ten rodzaj lokalu, jaki serwis Airbnb²⁷ skategoryzowałaby jako rustykalny i czarujący. Trzy zaparkowane przed domem błyszczące samochody zupełnie nie pasują do otoczenia.

Chester zatrzymuje się pod markizą i grzebie w kieszeniach w poszukiwaniu kluczy.

– Nie mam pojęcia, dlaczego zawracam sobie głowę zamykaniem domu – mamrocze, poklepując kieszenie. – Przecież nie mam niczego, co warto byłoby ukraść.

Zanim odnajduje klucze, drzwi stają otworem i w wejściu pojawia się kobieta. Za nią wyłania się kolejna. Obie mają na sobie stroje pielęgniarek i przyklejone do twarzy przyjazne uśmiechy.

– Czemu po prostu nie zapukałeś, Chester? Przecież wiesz, że zawsze tu jesteśmy – szczebiocze jedna z nich. Jej wzrok spoczywa na Rory i można wyczuć jej wahanie.

– Rory – mówi miękkim tonem, zerkając ukradkiem na Melissę. – Przyszłaś do domu.

– Oczywiście, że tak – mówi Chester, wchodząc do przedpokoju. Druga pielęgniarka pomaga mu zdjąć kurtkę. Ojciec Rory siada na schodku i zaczyna rozsznurowywać buty. – To też dom Rory, Lizzy! Mieszkała tu swoje całe życie. I nawet się tu urodziła. Przed kominkiem w salonie! Zgadza się, kochanie?

Rory nadal stoi pod markizą i przestępuje z nogi na nogę.

– Tak, tato – szepcze.

Chester zrzuca buty i spogląda na nią. Jego uśmiech zamienia się w grymas.

– Zgubiłaś się? – pyta.

Instynktownie zerkam przez ramię, a szorstkość w jego głosie sprawia, że sięgam po broń, której już nie noszę. Nikogo tam nie ma. Gdy się odwracam, uświadamiam sobie, że mówi do córki.

Melissa staje między nimi.

– Chester, to Rory. Twoja córka. – Opiera dłoń na balustradzie i przykuca. – Wpadła z wizytą, pamiętasz?

Rozgorączkowany i przerażony wzrok Chestera wędruje po naszych twarzach.

– Nie mam córki. – Podnosi się na nogi. Dostrzegam kruchość, jakiej nie zauważyłem u niego wcześniej w lesie. – Wynocha! Idź stąd!

Melissa sięga do jego ramienia, ale on strząsa jej rękę.

– Wezwę policję! – krzyczy coraz głośniejszym i bardziej spiętym tonem. – Odejdź!

Melissa z bólem podnosi wzrok.

– Rory, chyba powinnaś...

Zanim kończy zdanie, Rory odwraca się na pięcie i rzuca do biegu. Znika pomiędzy drzewami, a ja bez chwili wahania ruszam za nią. Doganiam ją w kilka chwil, lecz przerzucam się na powolny bieg, aby dać jej chwilę na uspokojenie się. Z głośnym rżeniem wypada na drogę pod kościołem.

Przebiegam dłonią po włosach. Nie wiem, czego się spodziewałem, ale na pewno nie tego. Rory próbuje uspokoić swój oddech, który staje się coraz cięższy.

– Rory, spójrz na mnie. – Unoszę jej podbródek i przekręcam jej twarz w swoją stronę. – Oddychaj.

– Ja... ja nie mogę...

– Dasz radę. – Przebiegam kciukiem po jej rumianym policzku. – Patrz na mnie i oddychaj.

Jej zamglone spojrzenie napotyka moje. Dotyka mojej duszy. Bierze głęboki wdech i wypuszcza drżący oddech.

– Dobra dziewczynka – mamroczę, głaszcząc jej twarz, zanim zaciskam dłonie na jej karku. – Wszystko będzie dobrze.

Jej dłoń odnajduje mój nadgarstek i uczepia się go. Przyciska twarz do mojej dłoni i zamyka powieki. Nienawidzę tego, że wymiana takich prostych gestów sprawia, że ciepło rozlewa się w moim żołądku. Jednocześnie oddałbym wszystko, aby robiła tak częściej.

Gdy jej oddech zwalnia, spogląda na mnie spod mokrych rzęs.

– Demencja. Przypadek, w którym pamięć długotrwała pacjenta funkcjonuje tylko w określonym znajomym środowisku. Dla mojego taty jest nim las. Spacerując po nim czy będąc nad jeziorem jest po prostu moim ojcem. Lecz... – Czuję, jak ciężko przełyka ślinę. – Z chwilą, gdy opuszcza rezerwat, albo nawet wchodzi do własnego domu, jego pamięć długoterminowa znika.

Zaciska szczękę i próbuje powstrzymać się od szlochu.

– Nie rozpoznaje mnie poza terenem lasu, Angelo. Dlatego nie mogę dopuścić do jego wycięcia i dlatego nie możemy wyjechać. Moja więź z ojcem nie istnieje na zewnątrz.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Rory

Mimo że jest dopiero połowa listopada, to z radia sączy się staroświecka piosenka świąteczna. Gorące powietrze dmucha z otworów wentylacyjnych w desce rozdzielczej, a para na szybie, do której przyciskam ciało, nieznacznie chłodzi moją rozpaloną skórę.

W samochodzie panuje tak gęsta atmosfera, że przebiłby ją jedynie szpikulec do lodu. Instynkt przetrwania podpowiada mi, aby oddychać tak płytko jak to możliwe, aby się nim nie zadławić. Angelo milczy. Prowadzi samochód z nadmierną szybkością i oddycha bardzo ciężko.

Zastanawiam się, czy słyszy, jak mocno bije mi serce oraz jak nerwowo zaciskam raz po raz zęby. Zastanawiam się, czy mu zależy. Czuję się niekomfortowo i do szału doprowadza mnie sposób, w jaki się obnażyłam. Moja bezbronność wyryta jest na każdym centymetrze skóry i jest widoczna dla wszystkich. A on nadal milczy.

Nie zareagował nawet wtedy, kiedy wyznałam mu prawdę. Ani gdy w końcu moje oczy wypełniły się łzami. Był niewzruszony także wtedy, gdy nalegałam na powrót do Devil's Cove. Wracając do samochodu na niepewnych nogach, oczekiwałam, że chwyci mnie za nadgarstek i przyciągnie do siebie. Lecz to się nie wydarzyło. Z każdym kilometrem przybliżającym nas do domu Alberta ciężar w moim żołądku stawał się coraz większy.

Gdy zobaczyliśmy bramę posiadłości Alberta, zacisnęłam powieki. Nagle jestem zmuszona je otworzyć. Rozlega się głośny pisk opon, a pas wbija mi się w szyję.

– Co, do diabła? – Duszę się, uderzając dłonią w deskę rozdzielczą.

Angelo milczy i wpatruje się przed siebie nieobecny wzrokiem. Schodzące z niego napięcie wsysa to, co zostało w niewielkiej przestrzeni samochodu. Zaciska dłoń w pięść na kierownicy, a potem ją puszcza i przeciąga jej nasadą po brodzie.

– Nie wracasz tam. – Jego rzeczowy ton kontrastuje z wściekłością, jaką emanuje. – Za żadne skarby.

W głębi serca odczuwam ulgę. *Dzięki Bogu.*

Biorę głęboki wdech i zerkam w kierunku rezydencji. To kolonialna klatka w swojej pełnej, chorej, pokręconej chwale. To więzienie. Jeśli nie przekroczę dzisiaj dobrowolnie jego progu i nie zamknę się sama za jego kratami, to tylko pogorszę sytuację swoją i ojca.

– Angelo, ja...

– Ani słowa. – Ostrość jego tonu przerywa mój protest. Jedną ręką zawraca samochód. Niemal zjeżdżamy na pobocze. W końcu ustawia auto w kierunku, z jakiego przybyliśmy.

– Zatrzymaj się, Angelo. – Szybko łapię go za biceps, który pręży się pod moim dotykiem. Teraz to mój głos jest najbardziej bezbronną częścią mnie. – Proszę. Zachowujesz się samolubnie.

Zaciska szczękę i delikatnie potrząsa głową. Gdy nasze spojrzenia się krzyżują, mój oddech drży pod wpływem jego brutalności.

– Chyba się zjarałaś, jeśli myślisz, że pozwolę ci tam wrócić, by ten pijany łajdak mógł tobą poniewierać.

Wbija spojrzenie w moją rozwaloną wargę, a ja instynktownie ją zaciskam. Czuję podirytowanie, gdy nagle przypominam sobie, że Angelo Visconti nie ma prawa tego ode mnie żądać. Nie, jeśli zamierza rozpętać burzę i zostawić mnie samą na polu walki. Unoszę podbródek.

– Planujesz zostać?

W jego oczach pojawia się błysk. Mija chwila.

– Zamierzam cię z tego wyciągnąć.

– Nie o to pytałam.

Przebiega językiem po doskonałych zębach. Każda mijająca w ciszy sekunda jest niczym kolejna kula wpakowana w moją dumę. Z gorzkim westchnieniem sięgam do klamki, jestem zażenowana. Jednak nieustępliwa dłoń mężczyzny, niczym żelazne kajdanki, zaciska się wokół mojego nadgarstka.

– Słyszałaś, co powiedziałem. Nie wracasz tam.

Moja skóra płonie, gdy próbuję wyrwać się z jego uchwytu.

– Puść mnie. Tylko pogarszasz sytuację. – Nie porusza się. Zerkam na niego zdenerwowana. – Nie myślisz jasno.

– Tak. Właśnie tak na mnie działasz.

Przymykam oczy, lecz odmawiam sobie złamania się pod wpływem rzuconego od niechcienia komplementu.

– Jak sądzisz, co mi zrobi Alberto, jeśli nie wrócę? – Unoszę brew i czekam na jego odpowiedź. Jedyne, co dostaję to warknięcie i drżenie nozdrzy. – Myślisz jak zbir. Nie dbasz o konsekwencje.

Jego naprężone ramiona powoli opadają. Uświadamiam sobie, że zyskałam przewagę.

– Potrzebuję planu – mamrocze posępnie, wyglądając przez przednią szybę. – Muszę poczekać na właściwy moment.

Wygląda na to, że mówi bardziej do siebie niż do mnie, ale i tak mu odpowiadam.

– Dokładnie – szepczę. – Musisz pozwolić mi odejść. To da ci czas, którego potrzebujesz.

Angelo mruży oczy, lecz nie udaje mu się mnie uciszyć.

– Myśl jak biznesmen, a nie bandzior – dorzucam.

W milczeniu przełyka ślinę. Potem delikatnie kiwa głową i wbija spojrzenie w sufit samochodu.

– Chyba oszalałem – wzdycha. – Kompletnie mi odbiło.

Przesuwa na mnie wzrok. Coś mrocznego i zdecydowanego połyskuje w jego szmaragdowych oczach.

– Otwórz schowek.

Trzęsącymi się dłońmi otwieram skrytkę i dostrzegam srebrny pistolet. Angelo sięga po niego i kładzie go pomiędzy nami na desce rozdzielczej.

– Zbliź się.

Wpatruję się w niego skonsternowana. W samochodzie jest niewiele przestrzeni i nie ma gdzie się ruszyć. Przez jego twarz przebiega zniecierpliwienie. Z ledwo słyszalnym sykiem odpina pas i jednym płynnym ruchem sadza mnie sobie na kolanach. Ten ruch jest delikatny jak jedwab, lecz to wystarczy, by pobudzić mnie do życia. Czuję silne bicie serca. Sposób, w jaki otacza mnie jego męskość przyprawia mnie o utratę zmysłów.

Jego ocierające się o moje biodro palce wzbudzają we mnie pożądanie. Czuję jego pełzający po moim gardle oddech. Po kilku chwilach ponownie podnosi broń, a magazynek ląduje z głuchym łoskotem na siedzeniu pasażera.

– Jeśli nie mogę cię chronić, to nauczę cię, jak masz się bronić sama – wzdycha. Jego podbródek spoczywa na moim ramieniu. Ujmuje moją prawą dłoń i wkłada w nią pistolet, zaciskając moje palce na rękojeści broni.

– Najpierw ręka dominująca – mówi, a jego usta ocierają się o moją szyję. Dłonią ociera się o moje udo, gdy sięga po moją drugą rękę i podnosi ją, aby pokazać mi, jak podtrzymać kolbę. – Rozłóż ciężar na drugą rękę.

Puszcza moją dłoń. Podnoszę pistolet z kolan, aż zatrzymuje się na wysokości piersi. Moje sutki twardnieją i zwalczam pragnienie, aby chwycić jego dłoń i włożyć ją do miseczki mojego stanika. Kurczowo wzmacniam chwyt na broni i cofam się. Opieram się o niego, gdy moja głowa spoczywa na jego piersi, a tyłek wciska się w jego krocze.

Jego serce bije mocniej. Coś porusza się w spodniach. Ciężkie oddechy i napięcie wypełniają samochód. Mam wrażenie, że zaraz umrę. Nigdy nie czułam się bardziej podniecona. Jego dłonie zaciskają się na moich żebrach. Ustami ociera się o moją szyję.

– Jakie to uczucie?

Nie wiem, czy mówi o broni czy swoim penisie, który napina się pomiędzy moimi pośladkami.

– Duży. – Przełykam ślinę.

Wybucha śmiechem, chuchając w mój kark i przyprawiając mnie o gęsią skórę. Opuszcza dłonie kilka centymetrów niżej, aż dotykają moich bioder. Przyciąga mnie do siebie i powoli pociera się o mnie. Napięcie iskrzy między nami.

– A teraz? – mamrocze, obniżając głos o oktawę.

Odpowiadam mu, wyginając plecy i ocierając się o niego. Wydaje z siebie gardłowy jęk, a sposób, w jaki jego oddech wibruje na mojej szyi, przyprawia mnie o zawroty głowy. Upuszczam broń na kolana i zamykam oczy, spijając każdą kroplę tej rozkosznej chwili.

Mam poczucie bezpieczeństwa i jestem podekscytowana.

Nagle z prędkością światła uderza mnie świadomość, że to powinien być on.

To do drzwi Angela powinnam była zapukać, gdy usłyszałam o wycince rezerwatu. Powinnam klęczeć na jego progu. Powinnam podpisać kontrakt z nim. Lecz jakieś pokręcone zrządzenie losu

sprawiło, że on znajdował się daleko za oceanem, a ja zostałam zmuszona do zawarcia nic nieznaczącej umowy z mężczyzną, który napełnia mnie strachem.

To powinien być on. Z pewnością byłyby to pokręcony początek naszej historii, lecz wiem po sposobie, w jaki na mnie działa, że czekałoby nas szczęśliwe zakończenie.

Unoszę powieki i biorę głęboki, drżący wdech. Zaczyna mnie mdlić. Angelo zamiera.

– Nie jest za późno, Sroczo – mamrocze ponuro. – Mogę zabrać cię do Devil’s Dip.

Jego zęby ocierają się o płatek mojego ucha.

– Wyglądałabyś dobrze w moim łóżku.

Z moich ust wydobywa się jęk rozkoszy. *W innym życiu. Teraz muszę ocalić siebie i swojego ojca.* Zgrzytam zębami, jakby to pomagało mi myśleć rozsądnie. Podnoszę broń i układam ją w dłoni.

– Dlaczego mi go dajesz?

– Jeśli cię tknie, zastrzel go. Potem uciekaj i zadzwoń do mnie. Zrozumiałaś?

Kiwam głową.

– Zapiszę ci swój numer w komórce. – Gdy nie odpowiadam, dotyka kciukiem mojego brzucha i odzywa się do mnie miękkiem głosem. – Rory.

Coś w sposobie, w jaki wymawia moje imię, zwraca moją uwagę. Obracam się i napotykam jego mroczne spojrzenie. Błyszczą w nim coś, czego nie rozpoznaję.

– Wyrwę cię stąd. Muszę ułożyć sobie w głowie plan. Ufasz mi?

Zagryzam ranną wargę. Z każdą mijającą chwilą milczenia w jego oczach rośnie gniew. Bacznie mnie obserwuje. Mam wrażenie, że najmniejsza iskierka mogłaby doprowadzić do wybuchu napięcia pomiędzy nami.

Lecz nie myślę o tym, czy darzę go zaufaniem. Nie zastanawiam się, skąd mam pewność, że tak jest.

Po prostu mu ufam. Ma dostęp do moich wszystkich grzechów, a ani jeden nie wysliznął mu się z ust. Zaufanie mu w sprawie wyrwania mnie z przeklętych szponów Alberta można porównać do skoku z urwiska. Wierzę, że będzie stał na jego dnie, aby mnie złapać.

Tak naprawdę zdaję sobie sprawę z tego, że byłabym bezpieczniejsza, gdybym wcale nie skoczyła.

Potakuję delikatnie.

– Nie. Użyj słów. Muszę usłyszeć, jak to mówisz.

Moje spojrzenie spoczywa na jego ustach. Nadzieja wypełnia moją pierś i modlę się do Boga, aby to nie było kłamstwo.

– Ufam ci – szepczę.

Na moment zamyka oczy. Gdybym mrugnęła, przegapiłabym tę chwilę.

– Rory?

Przesuwa kciukiem po mojej szczęce i zatrzymuje się przy kąciku moich ust. Odwracam głowę i biorę jego palec do ust. Wypuszcza cichy jęk, obserwując mnie spod półprzymkniętych powiek. W jego wzroku pojawia się żądza, gdy powoli go oblizuję.

– Tak?

W jego oczach dostrzegam błysk niebezpieczeństwa. Wpycha palec głębiej, a pomiędzy nogami czuję wilgoć. Otwieram usta szerzej, aby go wpuścić.

– Ze wszystkich moich grzechów, ty jesteś moim ulubionym.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Rory

Jaskrawe słońce wisi nisko na niebie. Wpada przez okno sypialni i pali mnie pod powiekami. Przebudzam się. Naciągam kołdrę na głowę i się przeciągam.

To niesamowite, jak smacznie spałam z naładowaną bronią pod poduszką. A może mój solidny nocny wypoczynek spowodowany był tym, że po raz pierwszy od miesiący nie miałam przy boku przyciskającego się do mnie tłustego, spoconego ciała Alberta.

Gdy zeszłej nocy wróciłam do posiadłości, broń Angela spoczywała w mojej torebce pogrzebana głęboko pod papierkami po słodyczach. Alberto czekał na mnie w korytarzu. Na jego widok napiął się każdy mój mięsień, lecz ku mojemu zdziwieniu nie był na mnie zły. Wydawał się zakłopotany. Wielki Don z zażenowaniem wykręcał ręce.

– Jesteś kusicielką, Auroro – oznajmił. – Będzie lepiej, jeśli do ślubu będziesz nocowała w skrzydle dla gości. To pozwoli mi uniknąć pokusy. Zwłaszcza, że mam teraz na głowie całe to bagno.

Przez „bagno” ma na myśli wysadzenie swojego auta. Zagryzłam ranną wargę, aby stłumić ulgę. Cieszę się, że tak się stało, ponieważ nie wiedziałam, czy byłabym w stanie spędzić kolejną noc, wpatrując się w pozłacany sufit bez pragnienia wsadzenia mu kulki w łeb.

Dzisiejszego poranka wita mnie zegar z kurantem. Gdy rozlega się jego bicie, naliczam jedenaście uderzeń. Prostuję się zaskoczona. *Spałam do jedenastej?* Nie pamiętam, kiedy ostatni raz mi się to przydarzyło. Z pewnością nie miało to miejsca w tym domu.

Wyskakuję z łóżka i gonię prosto pod prysznic. Buzuje we mnie nerwowa energia. Do niedzielnego obiadu została mi niecała godzina. Niedługo spotkam się z Anzelem. Nie mogę się doczekać, aby usłyszeć, co wymyślił, żeby uwolnić mnie od swojego wuja. Mam wrażenie, że koniec tej historii jest blisko.

Wczoraj, późnym wieczorem, zabrałam trochę ubrań z garderoby, aby nie musieć przebierać się w towarzystwie Grety. Nie widziałam jej od kiedy była świadkiem tego, jak Alberto przyspilał mnie do podłogi, by się do mnie dobrać. Jedyne, co wtedy zrobiła, to znalazła odcień pomadki, który mógł zamaskować to, co mi zrobił ten potwór.

Jeszcze nie wiem, w jaki sposób się zemszczę, ale wiem, że to będzie coś bolesnego.

Pozwalam swoim włosom wyschnąć bez suszenia i wybieram prostą, aksamitną, zieloną sukienkę, którą powiesiłam wcześniej na oparciu fotela. Nadchodzi zima i mam wrażenie, że mój strój dobrze zgra się ze szronem na oknach i utrzymującą nisko nad ziemią mgłą.

Gdy schodzę na dół, słyszę, że ktoś woła mnie z salonu. Krew ścina mi się w żyłach, gdy zdaję sobie sprawę, że ten głos należy do Amelii. To niemożliwe, żeby usłyszała moją wczorajszą kłótnię z Angelem. Jest miła, ale mimo tego należy do rodziny Viscontich. Nie mogę jej zaufać. Nie mam pewności, że będzie trzymać buzię na kłódkę.

Moje serce bije mocniej, gdy wkładam głowę przez drzwi. Jestem zbyt zaskoczona, aby przywołać na twarz sztuczny uśmiech. Amelia siedzi na dywaniku przed kominkiem otoczona górą katalogów i tablicami inspiracji. W chwili, gdy podnosi wzrok i wita mnie oszołamiającym uśmiechem, wiem, że niczego się nie domyśla.

– Cześć. Chodź! Chcę ci coś pokazać.

Podchodzę do kominka i opadam na kolana obok niej. Dwukrotnie stuka czerwonym paznokciem w jedną z tablic.

– I co myślisz?

– Zależy od tego, na co patrzę.

Amelia wybucha śmiechem.

– Taki wystrój planujemy w *Le Salon Privé* w sobotę.

Moje obojętne spojrzenie napotyka ulotny grymas przebiegający przez jej twarz.

– Przyjęcie ślubne, Auroro. Odbędzie się w naszej francuskiej restauracji na plaży, pamiętasz? To piękne miejsce, lecz pracowałam z organizatorką ślubów nad tym, aby wyglądało odpowiednio do tej okazji. – Wpatruje się we mnie. – Opuściłaś każde umówione z nią spotkanie.

Wskazuje na górny róg.

– Białe lilie i groszek pachnący w kolorze pudrowego rózu?

Zanim udaje mi się udzielić odpowiedzi na jej pytanie, pochyła się i podnosi kolejną tablicę. Ze zdjęcia wpatruje się we mnie szereg modelek z pięknymi, falistymi włosami.

– Zebrałam też trochę pomysłów na fryzury i makijaż. Zostawiam ci to do przemyślenia. Uwielbiam złote cienie do powiek. A ty? Co sądzisz o wianku?

Żar ognia grzeje mnie w plecy. Uśmiechnięta i radosna Amelia wpatruje się we mnie z szeroko otwartymi oczami. Dostrzegam w nich iskierkę desperacji, przez co nagle uświadamiam sobie, że myliłam się co do niej. Nie jest niewinną obserwatorką, która wierzy, że wychodzę za Alberta z prawdziwej miłości. Ona jest świadomą ignorantką. Dokładnie wie, co się dzieje, a mimo tego woli siedzieć beczynnie i pozwolić mi tonąć, niż wtrącić się, by trochę namieszać.

Dzisiaj nie mam maskującego makijażu. Ślad podbitego oka jest doskonale widoczny i nie ma mowy, żeby nie dostrzegła rany na moich niepomalowanych ustach. Lecz nie zadaje pytań ani o rany, ani siniaki, ponieważ już wie, skąd się wzięły.

Niczym nie różni się od Grety.

Gdy unosi głowę, czuję pokusę, aby zrobić coś złego. Przełykam gorycz i wstaję, odpędzając od siebie tą myśl.

– Auroro?

– Innym razem.

Bez oglądania się za siebie wychodzę z salonu. Nie obchodzi mnie, czy ją obraziłam i czy przekaże Albertowi, że brak mi entuzjazmu.

Jest mi to obojętne. To wyzwalające uczucie.

Tak czy siak, nie zabawię tutaj długo.

Wpadam do jadalni w trochę lepszym nastroju. Dzisiejszy wystrój stołu, podobnie jak moja sukienka, jest inspirowany nadejściem zimy. Stół ozdabiają matowe kieliszki do szampana, połyskujące sztucce i bieżnik z wytłoczonym błyszczącym wzorkiem. Wśród zebranych panuje zaskakująco pogodny nastrój. W pomieszczeniu rozlega się śmiech, a w tle płynie odważna muzyka z pianina. Służba uwija się pomiędzy zapełnionymi miejscami, serwując dolewki.

Dzisiejszy dzień stanowi jaskrawy kontrast do złowrogiej pustki, jaka panowała w jadalni w piątkowy wieczór.

Natychmiast rozglądam się w poszukiwaniu Angela, lecz widzę, że jeszcze się nie zjawił. Nie ma też Tora, ani Amelii, która jest zbyt zajęta planowaniem w salonie mojego fikcyjnego ślubu. Alberto jak zwykle zajmuje miejsce u szczytu stołu. Trzyma w dłoni szklanę whisky i zanudza Donatella jakąś anegdotą. Odnoszę wrażenie, że wszyscy zapomnieli o eksplozji. Staram się wtopić w tapetę i podkraść do samego końca jadalni, bez zwrócenia na siebie uwagi swojego okropnego narzeczonego. Jednak nie udaje mi się umknąć przed czujnym spojrzeniem Dantego. Jego wzrok pali mnie w policzek i podąża za mną niczym laser. Zajmuję miejsce koło Vittorii.

– Co ci się stało w usta? – rzuca od niechcienia.

– Twój ojciec sprął mnie na kwaśne jabłko. Dzięki, że zauważyłaś.

Prawda z łatwością wyslizguje się z moich ust. Ma dobry smak. Brwi Vittorii unoszą się pytająco, a ja podnoszę w geście toastu kieliszek do szampana i osuszam go do dna. Gdy bąbelki dotykają tylnej ściany mojego gardła, czuję znajomy przypływ adrenaliny.

– Jezu, mój ojciec jest do bani – mamrocze do siebie, po czym wyjmuję komórkę i błyskawicznymi ruchami pisze wiadomość. *Ma rację*. Alberto jest beznadziejny nawet dla własnej córki. Bycie drugoplanową postacią w sadze rodzinnej Viscontich oznacza, że często zostawiają cię w ciemnych zakamarkach i zapominają o tobie. Kilka razy podsłuchałam rozmowy, które nie dotyczyły mnie. Tematem jednej z nich było to, że Alberto zawarł układ ze swoją córką. Pozwolono jej zrezygnować z uczęszczania do akademii Devil's Dip na rzecz szkoły publicznej, lecz pod warunkiem, że... będzie gościć potencjalnych kandydatów na męża, których on dla niej wybierze. Uważa, że jego jedyna córka powinna dobrze wyjść za mąż, więc zaczął jej szukać odpowiedniego młodzieńca.

Wychyłam drugi kieliszek szampana. Czuję przyjemne buzowanie i pozbywam się niechcianych wspomnień. Prawie żałuję, że nigdy więcej nie zobaczę tego pomieszczenia.

Po chwili do jadalni wpada Tor. Ma pochmurny wyraz twarzy, a w dodatku, jak nigdy, nie towarzyszy mu żadna rozchichotana dziewczyna. Wkrótce po nim zjawia się Amelia. Rzuca mi ostrożne spojrzenie i siada koło męża, który jest wdzięczny, że uratowała go

od wysłuchiwania ojca. Jednak ja nie patrzę ani na Amelię, ani Tora, czy nawet na siedzącego u szczytu stołu starca, który ma zostać moim mężem. Moje spojrzenie przyciąga puste miejsce po jego prawej stronie.

Palą mnie uszy, ale przełykam narastającą we mnie panikę. *Uspokój się, Rory. Zjawi się. Na pewno się pojawi. Jeszcze jest wcześniej i...*

Dzyń, dzyń, dzyń.

Srebro uderzające o kryształ przerywa grę pianisty. Przenoszę wzrok na Alberta, który podnosi się, trzymając w dłoniach kieliszek do szampana i nóż do steków.

– Cóż za wspaniała okazja! – grzmi, rozciągając swoje zwiędłe usta w sztucznym uśmiechu. – Czuję ogromną radość, że udało mi się zebrać w jednym pokoju większość rodziny. A teraz, jedźmy!

Pianista wygrywa kilka radosnych akordów. Zerkam ponownie na miejsce Angela, jakbym jakimś cudem zdołała ominąć jego imponującą postać, gdy patrzyłam w tamtym kierunku za pierwszym razem.

– Czekać – wypluwam z siebie, zanim udaje mi się powstrzymać. Zamierzający właśnie usiąść Alberto, obrzuca mnie surowym wzrokiem. Przełykam ślinę. – Nie powinniśmy zacząć dopiero wtedy, gdy zjawią się wszyscy goście?

Wszyscy milkną. Ktoś odkasłuje. Siedząca obok mnie Vittoria wypuszcza z siebie głośne westchnienie.

– Nie zjawi się.

Odkręcam się w stronę głosu i dostrzegam Tora. Wpatruje się w tapetę nad głową Amelii. Jego kolczyk w nosie połyskuje, gdy unosi podbródek, aby dopić whisky.

Moje serce pęka, ale staram się tego po sobie nie pokazywać.

– Kto się nie zjawi? – pytam, tak nonszalancko, na ile pozwala mi ból między zębami.

– Angelo. Wyjechał z miasta. – Przenosi na mnie wzrok.

Dzwoni mi w uszach. Pęknięcia zamieniają się w złamania, grożąc, że moje serce rozprysnie się na drobne kawałeczki. Spuszczam wzrok na stojący przede mną pusty talerz. Nie chcę, aby ktokolwiek zobaczył, jak dotknęły mnie jego słowa.

– Ten dzieciak zawsze przybywa i znika, gdy mu się podoba. Z pewnością pojawi się ponownie w okolicy Bożego Narodzenia – rechochże Alberto.

Lodowata dłoń zaciska się na moim gardle, grożąc odcięciem dopływu powietrza. Aż mnie świerzbi, aby dowiedzieć się, skąd Tor wie, że Angelo wyjechał, i czy to prawda.

Nie zostawiłby mnie tutaj. Obiecał. To nie może być prawda.

Czyżby?

Środa.

Znajduję się w salonie i jestem poszturchiwana i dżgana. Za oknem niebo przybiera mroczniejszą barwę niż mój nastrój. W kominku trzeszczy ogień. Wyje wiatr. A moja dusza woła o to, aby samochód Angela wtoczył się na okrągły podjazd.

W niedzielę wieczorem czułam odrętwienie, ale nadal trwałam w fazie zaprzeczenia. W poniedziałek poczułam się niepewnie. We wtorek zwinęłam się w kłębek w łazience, oparłam plecami o drzwi, a mój palec wędrował po ekranie telefonu. Czterdzieści pięć minut zbierałam się na odwagę, by wcisnąć słuchawkę. Jedyłą gorszą rzeczą od niewiedzy było poznanie prawdy – uświadomiła mi to automatyczna sekretarka. Okazało się, że numer, pod który zadzwoniłam, został odłączony.

Minęło kilka dni, a ja nadal czuję złość i rozgoryczenie. Pałaca wściekłość płynie w moich żyłach. Zgrzytam zębami za każdym razem, gdy krawcowa kłuje mnie igłą lub gdy Greta potrząsa głową i uśmiecha się szyderczo na mój widok w sukni ślubnej. To końcowa przymiarka i marzę tylko o tym, aby zedrzeć ten jedwab i koronki ze swojego ciała, by wrzucić je do ognia.

Otwierają się drzwi i pojawia się Tor. Obrzuca moją sukienkę obojętnym spojrzeniem i opiera się o futrynę.

– Jesteś gotowa?

Wpatruję się w niego bez wyrazu. Gdyby w pokoju nie znajdowało się pięć innych kręcących się koło mnie osób, powiedziałaabym mu, aby szedł do diabła.

– Jakbym kiedykolwiek miała być – rzucam przez zaciśnięte zęby.

– Nie na ślub, idiotko. Na wizytę u ojca. – Marszczy brwi.

– Co? Teraz? – Moje serce przyspiesza.

Tor ziewa i zerka na zegarek.

– Jest środa. W sobotę raczej nie uda się wam spotkać, zgadza się?

Bez słowa schodzę z podestu i zataczam się przez pokój. Potrącam należące do krawcowej pudełko z pasmanterią.

– Tak – wzdycham. – Jestem gotowa.

Mam dość rozumu, aby zostać w pokoju na tyle długo, aby wyciągnięto mnie z tej piekielnej sukni. Po chwili gnam po schodach do swojego pokoju, by narzucić na siebie bluzę, legginsy i tenisówki. Waham się przez chwilę, zanim sięgam pod poduszkę i chowam broń do torebki. W mojej głowie rysuje się niedopracowany plan. Ze strachu serce podchodzi mi do gardła. Gdy wbiegam na podjazd, brakuje mi tchu.

Tor zerka na mnie z mieszanką rozbawienia i obrzydzenia. Bez słowa otwiera mi drzwi od strony pasażera, po czym okrąża samochód i sadowi się za kierownicą.

– Czy Angelo prosił cię o wożenie mnie do ojca?

Silnik mruczy pod moimi nogami.

– Nie – odzywa się po chwili.

Zapadam się w skórzane siedzenie, po czym wzdycham rozdrażniona. Niewielka przestrzeń w moim sercu, w której jeszcze skrywałam nadzieję, zaciskała się z każdą chwilą. Łudziłam się jeszcze, że Angelo mnie tak nie zostawi, gdy Tor zjawił się w salonie. Gdy wyjechał ostatnim razem, poprosił go, aby zawiózł mnie do ojca i myślałam, że może to się powtórzyło.

– Po prostu staram się być miły. – Zerka na mnie z ukosa, gdy otwiera się przed nami brama.

Zaciskam szczękę i wyglądam przez przednią szybę. Jestem szczęśliwa, że spotkam się z ojcem, ale mam poczucie winy, że jednocześnie czuję się taka rozczarowana. Ciężką ciszę podkreśla jedynie bębnienie jego palców o kierownicę.

Gdy zwalniamy na czerwonym świetle, ponownie na mnie zerka.

– Nie masz dzisiaj dla mnie cukierka?

Potrząsam głową.

– No weź. Zawsze masz coś w tej torebce. – Sięga do torby spoczywającej na moich kolanach, lecz natychmiast mu ją wrywam.

Krzywi się w grymasie i mruży oczy. – Co się dzieje? Złóścisz się?

Nie odpowiadam.

– On wyjechał, Auroro. Zapomnij o nim.

– Skąd wiesz?

– Tak mi powiedział.

Czuję narastający we mnie niepokój. Nie chcę w to wierzyć. Nie opuściłby Wybrzeża bez poinformowania mnie o tym. Lecz przypominam sobie, że jego telefon został odłączony...

Muszę sama się przekonać.

– Zabierz mnie do domu Angela w Devil's Dip.

– Nie ma mowy – rzuca. Samochód przyspiesza, a jego rozdrażnienie stopniowo wzrasta. – Już i tak kryłem go za wlepianie w ciebie wzroku. Nie chcę się pakować w większe kłopoty. To rozpęta wojnę.

– Ładnie cię proszę.

– Możesz prosić na wszelkie sposoby, dziewczyno. To nie jest zwyczajna rodzina, Auroro. Gdy zdradzi cię członek rodziny, to nie wykreśla się go z listy do wysyłania kartek świątecznych, a staje się to sprawą życia i śmierci. Lojalność jest wszystkim.

Napina szczękę i przeczesuje dłonią włosy.

– Musisz wybrać stronę i się jej trzymać.

Mam wrażenie, że to nie moja dłoń sięga do torebki i wyciąga spluwę. Obcy kciuk wędruje do bezpiecznika. Nie moje palce przyciskają lufę do skroni Tora. Przemawia przeze mnie obcy głos.

– Powiedziałam, żebyś zabrał mnie do Devil's Dip.

Desperacja. To ona zakrada się do mojego ciała niczym paskudny wirus, zmuszając mnie do zrobienia czegoś niewyobrażalnego. Do niedawna nigdy nawet nie trzymałam broni w rękach, a teraz używam jej jako straszaka. *Może naprawdę jestem złą dziewczynką?*

Zajmuje mu chwilę, zanim uświadamia sobie, co się dzieje. Błyskawicznie zjeżdża na chodnik, po czym wrywa mi broń z dłoni, by przycisnąć ją do mojej głowy. Ewidentnie to nie pierwszy raz, kiedy znalazł się po niewłaściwej stronie lufy.

Słysząc jego gardłowe warknięcie i uderza pięścią o deskę rozdzielczą. Zaciskam powieki. Ciężar mojego głupiego wybryku opada niczym pył.

– Oszalałaś? – syczy. Puka mnie lufą w skroń. – Powiniennem cię za to kropnąć. Skąd to w ogóle wytrzasnęłaś?

Moja dolna warga drży. Tor to dostrzega i jego warczenie zamienia się w mamrotanie.

– Nie myśl sobie, że się z tego wywiniesz, stosując na mnie dziewczynskie triki.

Po chwili odchrząkuje i odkłada broń na bok.

– Zwariowałaś – mamrocze. Wyjeżdża na drogę i delikatnie potrząsa głową.

Wypuszczam z płuc powietrze. Po długiej chwili zbieram się na odwagę i przerywam milczenie.

– Ty już wybrałaś stronę.

– Co?

– Piątkowej nocy. Wiedziałeś, że sprawcą wybuchu był Angelo i go kryłeś. To oznacza, że dokonałeś wyboru.

Jego szczeka pracuje. Ponownie zaczyna wybijać rytm na kierownicy, jakby kilka minut temu nie miał przystawionej do głowy broni.

– Każdy miewa chwile szaleństwa. Zdecydowałem się zamieść to pod dywan, zanim dojdzie do najgorszego.

– Alberto jest twoim ojcem.

Na jego twarzy pojawia się mrok.

– Tak. No więc... Duży Al sprowadził mnie na świat. Lecz to Angelo mnie wychował. Jest ode mnie starszy zaledwie kilka lat, ale zawsze był ogarnięty – przerywa. – Dante nauczył mnie, jak posługiwać się bronią, jak skatować człowieka na tyle, by utrzymać go przytomnym, aby był zdolny mówić. Całe to mafijne gówno. A Angelo? On nauczył mnie, jak być mężczyzną. Jak zawiązać krawat. Jak zagadać do dziewczyny. Wpoił mi, abym nie pieprzył lasek bez wcześniejszego urabiania ich.

Na moich policzkach pojawia się rumieniec. Nawet gdy zniknął, a moja wściekłość wobec niego z każdą chwilą narasta, drażni mnie myśl, że wie wszystko o podrywaniu kobiet. Wciskam ręce w rękawy bluzy i skupiam się na deszczu, który płynie strugami po przedniej szybie.

– Naprawdę odszedł? – szepczę.

Przełyka ślinę i kiwa głową. Unika mojego spojrzenia.

– Muszę się sama o tym przekonać.

Wzdycha ciężko i zwalnia. Pochyliła głowę i nią potrząsa.

– Dobrze – mamrocze. – Lecz, jeśli jeszcze kiedykolwiek przystawisz mi splotę do głowy, połamię ci wszystkie palce.

– Umowa stoi.

Jedziemy w ogłuszającej ciszy. Jedynym słyszalnym dźwiękiem jest moje mocno bijące serce i nasilający się deszcz. Kręcę pierścieniem na palcu, aż boli mnie skóra.

Złożył mi obietnicę.

Ufam mu.

Będzie tam.

Mój oddech staje się płytki, gdy naszym oczom ukazuje się dom na szczycie wzgórza. Rozciąga się nad nim niebo w odcieniach szarości. Podjazd usłany jest materiałami budowlanymi. Brezent trzepocze gwałtownie na wietrze, a przed domem stoją zaparkowane niedbale ciężarówki.

Naprężam się i mrużę oczy, aby mieć lepszy widok przez przednią szybę. Wymijamy stojące auta. Nie dostrzegam żadnego z jego samochodów. Ani astona martina ani bugatti. Rozum podpowiada mi, że Angelo nie pozostawiłby swoich nowych aut na ulewnym deszczu, lecz ta nadzieja szybko się rozplywa.

Gdy Tor gasi silnik, zauważam otwarte drzwi do garażu i sylwetkę pracującego pod maską samochodu mężczyzny. Mój puls przyspiesza, lecz tylko na ulotną chwilę. Gdy przesuwa się w bok i wyciąga szyję w naszym kierunku, uświadamiam sobie, że to Gabe. Pomimo przeszywającego chłodu, nie ma na sobie koszulki. Wyciąga z ucha słuchawkę i zerka w naszym kierunku.

– Nie ma go tutaj, Auroro. Szykuj się do ślubu i zapomnij, że cokolwiek się wydarzyło. – Głos Tora jest delikatniejszy, niż kiedykolwiek wcześniej i z jakiegoś powodu złości mnie to jeszcze bardziej. Muszę zrobić coś, dzięki czemu będę mieć pewność. Bez słowa wyskakuję z samochodu i biegnę w lodowatym deszczu za dom. Krople pełzają po mojej szyi, a loki stają się śliskie i lepią mi się do czoła.

Gdy docieram do hangaru, obawiam się, że nogi odmówią mi posłuszeństwa.

Zyje pustką.

Jego samolot zniknął.

Nie ma go.

Moje serce rozpryskuje się na tysiące drobnych kawałeczków. Łzy napływają mi do oczu. Tak długo się powstrzymywałam, ale teraz pozwalam im płynąć. Gorące i wielkie toczą się po moich policzkach. Czuję frustrację i ból w sercu. Tama rozpacz puściła. Teraz nie będę w stanie jej pohamować.

Jestem wściekła zarówno na samą siebie, jak i na niego. *Nie mogę zostać, Rory.* Więcej niż raz ostrzegał mnie, że odejdzie, i że wcale nie planuje zostać moim rycerzem w lśniącej zbroi. Lecz, gdy ktoś jest zdesperowany, a przy tym pełen nadziei, to kurczowo trzyma się tego, co chce usłyszeć. Chciałam uwierzyć w jego obietnicę, że mnie stąd wydostanie. Pragnęłam mu zaufać.

Chyba miał rację. Cała rodzina Viscontich to banda oszustów i kłamców. Byłam głupia, wierząc w ich jakiegokolwiek słowo.

Za moimi plecami rozlegają się ciężkie kroki.

– Nie ma go tutaj – rzuca szorstkim tonem Gabe.

– A gdzie jest?

– Nie mam pojęcia. Prawdopodobnie w Londynie. Nie wspominał, że wyjeżdża.

– Twój własny brat się nie pożegnał? – Odwracam się wkurzona.

– Nie jesteśmy tego typu rodziną – wzdycha.

Czuję pustkę i tępy ból w piersi. Lecz nagle coś cieplejszego rozlewa się w moim żołądku. Jest niczym mój stary przyjaciel, mroczny, rozgoryczony i niebezpieczny. Iskra zamienia się w płomień. Rozprzestrzenia się w moich żyłach niczym nieokiełznany ogień.

Zaciskam szczękę i wbijam paznokcie w dłonie. Obracam się na pięcie i chcę wydostać się ponownie na deszcz, lecz Gabe mnie powstrzymuje.

Nutka strachu pojawia się na mojej twarzy. Jest równie potężnej budowy jak jego bracia, lecz nie posiada ich uroku. Nie ma w nim niczego, co pozwoliłoby rozluźnić atmosferę. Na dodatek ma jeszcze tę gniewną bliznę, która rzeźbi jego twarz...

Przełykam ślinę i czekam ze zniecierpliwieniem.

Kropelki wody spływają po jego umięśnionej piersi. Potężną dłonią strząsa je z torsu.

– Nasza gorąca linia jest przeznaczona dla popełnionych grzechów, a nie takich, o których się myśli – mówi oschłym i obojętnym tonem.

Jego słowa przyprawiają mnie o rumieniec.

– Ja... ja nie rozumiem.

– Doskonale rozumiesz. – Robi krok do przodu, a ja instynktownie się cofam. Spoglądam mu przez ramię w poszukiwaniu Tora, ale nigdzie go nie dostrzegam.

– Słuchałeś moich...? – Łapię drżący oddech.

– Wysłuchuję każdej spowiedzi. – Stuka w słuchawkę tkwiącą w uchu.

O kurka. Wpatrujemy się w siebie, a domysły, niczym burzowe chmury, zbierają się w powietrzu. *On wie*. Gabriel Visconti zna mój najgłębszy, najmroczniejszy sekret, a teraz znajduję się z nim sam na sam w opuszczonym hangarze.

Powinnam go błagać, aby nikomu nie wyjawiał prawdy, ale nie potrafię się do tego zmusić. Nie mam na to siły. Przeciągam nasadą dłoni po swoim mokrym policzku i się wzdrzgam.

– Okej – rzucam.

Tym razem przepuszcza mnie. Lecz nagle jego dłoń szybko ląduje na moim nadgarstku, po czym obraca mnie do siebie.

W jego oczach dostrzegam mrok i błysk niebezpieczeństwa. Tli się niczym słońce odbijające się w morskiej toni.

– Jeśli Angelo nie wróci, spodziewam się kolejnego telefonu.

Czuję pulsowanie w skroniach. *Co? Jak chory i pokręcony musi być ten mężczyzna?*

Za mną rozlega się trąbienie. Gabe zerka ponad moim ramieniem, a na jego twarzy maluje się irytacja.

– Lecz mam nadzieję, że tym razem twój grzech nie będzie czysto hipotetyczny.

Z ociąganiem mija mnie i wybiega w deszcz. Obserwuję, jak znika za domem. *Kurka wodna*. Niedobrze mi i przez krótką chwilę zastanawiam się, czy nasza krótka wymiana zdań nie była tylko gorączkowym snem.

Tor ponownie naciska klakson. Tym razem dłużej. Rzucam jeszcze jedno spojrzenie na opuszczony hangar, przełykam kulę w gardle i wybiegam na deszcz.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Rory

Piątkowy wieczór.

Z mieszczącej się dwa piętra pod moim apartamentem piwnicy dochodzą odgłosy dobrej zabawy. W moim pokoju panuje śmiertelna cisza.

Zaciskam dłonie na kubku gorącego kakao i siadam na parapecie. Strugi deszczu spływają po oknie. Żółte reflektory pojawiają się i znikają za rozmazaną szybą. Goście, których nawet nigdy wcześniej nie spotkałam, przybywają na mój wieczór panieński.

To wydarzenie zostało pieczołowicie zaplanowane na mojej tablicy marzeń. Tej którą zrobiłam, gdy miałam osiemnaście lat. Lecz teraz to wszystko nie ma znaczenia. Wycięłam wspaniałą czerwoną satynową sukienkę z magazynu Vogue. Przyczepiłam do niej zdjęcia wszystkich swoich przyjaciół, których zaprosiłabym na swoje przyjęcie. Lecz na tym polega problem z planami: ulegają zmianom.

Opieram czoło o okno, gdy kolejny samochód wtacza się na podjazd. Nagle rozpoznaję obrzydliwie donośny głos Alberta. Nie jest sam. Używam rękawa szlafroka, aby zetrzeć parę z szyby i patrzę na podjazd. Wyłania się z samochodu z uwieszonymi na jego ramionach dwiema kobietami w moim wieku. Przebiegam językiem po zębach i czuję posmak goryczy. Jego wieczór kawalerski odbywał się w klubie ze striptizem w Devil's Cove. Bez wątpienia poderwał jakieś pracownice i przyprowadził je na afterparty, które, tak się składa, jest jednocześnie wieczorem panieńskim jego narzeczonej. Nie obchodzi mnie, że obmacuje inne dziewczyny – lepiej że robi to im niż mnie – lecz jest to rażący przejaw braku szacunku. *A to mnie irytuje.*

Z moich ust wrywa się gorzki śmiech. Biorę kolejny łyk letniego kakao.

Plany ulegają zmianom, ponieważ życie rzuca nam ciągle kłody pod nogi. Dlatego uknułam kilka koncepcji. Pierwsza była prosta. Zamierzałam poślubić Alberta, aby powstrzymać go od budowy w rezerwacie i tym samym nie zmuszać swojego cierpiącego na demencję ojca do przeniesienia się do zewnętrznego świata, którego już nie rozpoznaje. Ten plan uległ modyfikacji, gdy dowiedziałam się, że Alberto nawet nie jest cholernym właścicielem tej ziemi, lecz tak czy inaczej planuje mnie do siebie przywiązać.

Drugi plan, który zakładał poleganie na innym Viscontim, okazał się naiwny i głupi. Był napędzany żądzą i adrenaliną. Budowałam go na fałszywych obietnicach i przyspieszonym biciu serca. Jedyne plan, jaki może się sprawdzić, sprowadza się do mnie. Dlatego wracam do jednego z pierwotnych pomysłów. Tego, który wymyśliłam, stojąc nad krawędzią klifu w Devil's Dip.

To będzie ciężki grzech. Coś zupełnie odmiennego od plucia do płynu do płukania ust czy rysowania drzwi samochodu. Gdy pomyślałam o tym po raz pierwszy, nie było to niczym więcej niż chorą fantazją. Lecz teraz wszystko się zmieniło. Zahartowała mnie zdrada i upokorzenie. *Czuję się gotowa.*

Odstawiam kubek na komodę, przechodzę przez pokój i zamykam porządnie zamek. Zdejmuję szlafrok i wślizguję się pod kołdrę. Pode mną szaleją uczestnicy przyjęcia, lecz w mojej głowie panuje cisza. Odnalazłam spokój, uświadamiając sobie, że gdy spadnę, nie będę potrzebowała Angela, aby mnie złapał.

Zanurzę się w mroczną otchłań, a ona przywita mnie z otwartymi ramionami.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Rory

– Pobudka, panno młoda!

Na dźwięk radosnego głosu Amelii, unoszę powieki. Stoi w nogach mojego łóżka z kieliszkiem szampana w dłoni i szerokim uśmiechem na twarzy.

– W końcu nadszedł wielki dzień!

Kurka wodna. Chcę się przekręcić na drugi bok i zagrzebać głowę między poduszkami, ale niestety nie taki jest plan. Zaciskam zęby, by po chwili wstać. Czuję palącą wściekłość. Gdy w drodze do łazienki mijam Amelię, wrywam jej kieliszek z dłoni i wychylam jego zawartość. Dzisiaj będzie mi potrzebna duża dawka alkoholu dla kurażu.

Pod jej krokami trzeszczą deski podłogowe, więc szybko zamykam drzwi łazienki na zamek.

– Hej, gdzie zniknąłeś wczoraj? – woła przez dziurkę od klucza. – Nie mogłam cię znaleźć już koło dziewiątej.

Nie chce mi się wymyślać jakiejś beznadziejnej wymówki. Wchodzę pod prysznic i pozwalam gorącemu strumieniowi parzyć moją skórę. Odkręcam jeszcze cieplejszą wodę i zamykam oczy, próbując się nie krzywić, gdy mnie piecze.

Zastanawiam się:

Czy tak będę się czuła w piekle?

Osuszam się i wskakuję w świeżą pidżamę z nadzieją, że Amelia złapie aluzję i odejdzie. Niestety tak się nie dzieje. Nadal waruje pod drzwiami, ale teraz z uśmiechem zastygłym na twarzy.

– O dwunastej mamy stawić się w hotelu.

Nie reaguję na jej słowa.

– Auroro...

Sięga do mojego nadgarstka, gdy ją mijam, ale sprawnie wymykam się z jej zasięgu. Wzdryga się na moją ostrą reakcję.

– Zostaw mnie – rzucam. – Powiedz mi, co mam zrobić i to zrobię. Lecz nie mam zamiaru udawać, że to najszcześniejszy dzień mojego życia. Wołałabym, abyś skończyła z tymi bzdurami i przestała udawać, jakby tak było.

Wpatruje się we mnie zszokowana. Unoszę brwi.

– Zrozumiałaś? – syczę.

Kiwa głową.

– Dobrze. A zatem dokąd mam iść?

Mija kilka chwil.

– Fryzjerka i kosmetyczka czekają już w salonie.

Łapię torebkę i wybiegam bez słowa z sypialni.

Na dole panuje chaos. Wszędzie kręcą się dostawcy, wszyscy wykrzykują głośno polecenia, a każdy, kto pojawia się we *foyer*, biega rozgorączkowany. Zatrzymuję się na szczycie schodów i przestępuję z nogi na nogę. Mój plan opiera się na okazji, więc muszę jej wypatrywać. Drzwi wejściowe otwierają się szeroko i moim oczom ukazuje się gromada mężczyzn w garniturach. Jeden z nich obraca się, a słuchawka tkwiąca w jego uchu połyskuje w ostrym zimowym słońcu.

Jeszcze nie, Rory. Jeszcze nie.

Biorę głęboki wdech, a następnie powoli schodzę do salonu, w którym rozchodzi się fala oklasków, chór okrzyków i gwizdów wydawanych przez kobiety, które ledwo znam. Wizażystka, stylistka fryzur i krawcowa już na mnie czekają. Wszystkie odbyły więcej rozmów z Amelią niż ze mną. W pokoju zastają również kuzynki z rodu Viscontich. To opalone kobiety o jedwabiście czarnych włosach, krytycznych spojrzeniach, a także doskonale zrobionych paznokciach. Pojawiły się na pierwszej przymiarce sukni, gdzie mamrotały wyłącznie po włosku.

Poszturchują i dźgają mnie niczym krowę, którą przygotowuje się do licytacji. Moje włosy wołają o ratunek podczas plecenia. Twarz kłuje mnie od grubej warstwy makijażu, jaką mi nakładają. Potem zaszywają mnie w gorset i sukienkę. Wszystkie kobiety chichoczą i wrzeszczą, gdy krawcowa nasuwa na moje udo koronkową podwiązkę.

Zaciskam szczękę i przebiegam wzrokiem po pokoju. *Wszystkie są współniczkami.* Pragnę wrzucić tu granat, a potem uciec.

Krawcowa przestaje się kulić nad brzegiem mojej sukni i siada wyprostowana.

– Skończone! Wyglądasz pięknie – grucha, klaszcząc w dłonie. – Tylko spójrz.

Delikatne dłonie spoczywają na moich ramionach. Obraca mnie do lustra, zanim udaje mi się zaprotestować. Moje spojrzenie zderza się z odbiciem i czuję, jakbym dostała cios w brzuch. Naprawdę wyglądam pięknie. Każda osoba z zewnątrz pomyślałaby, że jestem niewinną panną młodą, która rusza nawą na spotkanie miłości swojego życia. Moje włosy ustylizowano w długi francuski warkocz i ozdobiono diamentami. Suknia jest obszerna, a górę ozdabiają bufiaste, koronkowe rękawy. Spódnica jest wystarczająco duża, aby ukryć pod nią bombę.

Wyglądam pięknie, ale nie jestem w tym stroju sobą.

Szorstki materiał drażni moją skórę. Opanowujący moje ciało żar rozlewa się wzdłuż obojczyka niczym wysypka. *To powinien być on. On powinien stać na końcu nawy. On powinien nałożyć mi pierścionek na palec.*

Uciszam narastające we mnie emocje. *Nie powinien.* Jednak z jakiegoś żalnego powodu chciałabym, aby tak było. Gdyby to on czekał na mnie na końcu nawy pomimo tego, że mnie wykorzystał, przeżuł i wypluł oraz złamał daną mi obietnicę, nie szukałabym okazji do ucieczki.

Jak dar od losu, szansa pojawia się w chwili, gdy otwieram oczy. Moje spojrzenie przesuwają się z odbicia w lustrze na frontowy ganek za oknem, który w tej chwili ziele pustką.

Opanowuje mnie spokój. Przywołuję na twarz fałszywy uśmiech, wyglądam sukienkę i myślę kreatywnie.

– Dziękuję, wszystkim. Muszę skorzystać z łazienki.

– Pójdę z tobą...

Posyłam Amelii zabójcze spojrzenie.

– Dam sobie radę – odgryzam się uszczypliwym tonem.

Łapię torebkę z fotela i wychodzę z pokoju, zostawiając za sobą zamieszanie. Z mocno bijącym sercem ruszam prosto w kierunku drzwi. Późnojesienny wiatr napiera na mnie, próbując wcisnąć z powrotem do domu, ale chwytam materiał sukni, pochylam głowę i rzucam się do biegu.

Żwir rozbryzguje się pod moimi obcasami, a krew pulsuje mi w skroniach. *To się dzieje. To naprawdę ma miejsce.* Lecz moje pokręcone podekscytowanie przerywa widok pary błyszczących męskich butów.

Zamieram. Staram się opanować panikę i podnoszę wzrok, by sprawdzić, do kogo należą.

Tor. Opiera się o bok samochodu. Doskonale prezentuje się w smokingu. Zamiera z papierosem w połowie drogi do ust i obrzuca mnie podejrzliwym spojrzeniem.

Wpatrujemy się w siebie przez kilka mozolnie mijających chwil. Cmoka, bierze głęboki wdech i rzuca mroczne spojrzenie w kierunku domu. Potem odpycha się od samochodu, rzuca papierosa i upuszcza coś pod moimi stopami.

– Ups – rzuca obojętnym tonem, nie spoglądając w moją stronę. – Wydaje mi się, że właśnie upuściłem kluczyki od samochodu.

Jego ramię ociera się o moje, gdy mnie wymija. Czuję nad uchem jego gorący oddech.

– Mam nadzieję, że nie zostaną znalezione przez uciekającą pannę młodą.

Zostawia mnie zdyszana i oszołomiona. W zniekształconym odbiciu drzwi samochodu widzę, jak maszeruje w kierunku domu. Ani razu nie ogląda się za siebie.

Mój wzrok spoczywa na połyskującym w żwirze srebrnym przedmiocie. *Dziękuję, dziękuję, dziękuję.* Mieszanka niedowierzania i adrenaliny krąży w moich żyłach. Łapię kluczyki, po czym wślizguję się za kierownicę. Ciskam torebkę i szpilki na siedzenie pasażera.

Nigdy nie prowadziłam niczego poza poobijanym land roverem ojca i wózkiem golfowym. Takie doświadczenia nie mogą równać się z kierowaniem tak eleganckiego auta o dużej mocy. Gdy bosą stopą naciskam pedał gazu, silnik protestuje. Pochylam się do przodu. *O kurka.* Mój wzrok spoczywa na trzech lusterkach w celu upewnienia się, że nie przyciągnęłam niechcianej uwagi. Próbuję ponownie, ale tym razem wolniej. Muszę prowadzić tak, aby nie wzbudzić podejrzeń, dopóki nie wydostanę się z ich terenu, a potem to będzie już wyścig z czasem, aby dostać się na klif.

Kolejne zrzędzenie losu. Brama stoi otworem, pewnie z powodu dzisiejszych nieustannych dostaw. Ochroniarze są tak skupieni na

tym, co wjeżdża, że nawet nie zwracają uwagi na wyjeżdżający samochód Tora.

Okej, udało się. Czuję ulgę i opada ze mnie napięcie, gdy pędzę drogą nadbrzeżną, a Devil's Cove pozostaje jedynie plamką w lusterku wstecznym. Podróż mija mi w odrętwieniu, gdyż jestem mocno skupiona na celu. Jadę z prędkością, która nawet nie zbliża się do tej, z jaką jeździ Angelo. Mimo tego mam wrażenie, jakbym dotarła do wierzby rosnącej obok cmentarza w ciągu kilku minut.

O to chodzi. Realizuję plan, który wydawał się nierealny. Nie sądziłam, że będę musiała się do niego kiedykolwiek uciec. Samochód wypełnia się moim gorzkim śmiechem. Przypominam sobie, że do tej chwili to była jedynie moja chora fantazja. Wydawała mi się taka nierealna, że zadzwoniłam do Anonimowych Grzeszników, aby wyznać, że ją rozważam.

Pomyślałam, że będę czuła się inaczej, że będą mi się trzęsły nogi, gdy ruszę w stronę klifu. Sądziłam, że ogarnie mnie przerażenie. Lecz gdy stoję nad urwiskiem, moje szpilki zanurzają się w błocie, a kamyczki toczą się pod butami, to czuję, że żyję.

– Mam na imię Rory Carter i czynię zło.

Jak zwykle wiatr unosi moje słowa daleko poza klif, nad wzburzone morze. Zawsze to mówię w tym miejscu, pragnąc posmakować prawdy, a dzisiaj ma ona wspaniały smak.

Robię kolejny krok do krawędzi. Materiał mojej sukienki kłębi się, a podmuchy wiatru wciskają mi się pod spódnice.

Gdy pierwszy raz stałam w tym miejscu, wiedziałam, co się stanie. *To zawsze miało się tak skończyć. Nad krawędzią najwyższego klifu w Devil's Dip ze złymi myślami.*

Próbowałam zrobić coś dobrego, lecz dobro nie zawsze wymazuje złe uczynki.

Zaciskam pięści na koronce sukienki i zamykam oczy. Przesuwam stopę dalej nad krawędź, aż zawisa w powietrzu.

Czuję przypływ adrenaliny. *Jestem gotowa.* Unoszę powieki, lecz zanim udaje mi się rozejrzeć za torebką, odrzuca mnie do tyłu siła, która pozbawia mnie oddechu.

Co do diabła?

Gorące dłonie parzą mnie w mostek. Są silne i ciepłe. Czuję znajomy zapach. Kojarzy mi się z niebezpieczeństwem. Atakuje moje

zmysły.

– Przysięgam na Boga, Rory. Lepiej żebyś wiedziała, jak latać, ponieważ jeśli spadniesz, to pociągniesz mnie ze sobą.

Dopada mnie panika, lecz szybko zastępuje ją tak silna ulga, że brakuje mi tchu. *To Angelo*. Opieram głowę o jego pierś, ujmuję jego dłonie i wzdycham. Biorę głębokie, desperackie łyki słonego powietrza. Guziki jego koszuli chłodzą mój kręgosłup, lecz jego ciężki oddech łaskocze mnie w szyję.

– Co tutaj robisz? – wzdycham.

Unoszę się w powietrze, gdy łapie mnie za biodra i odciąga od urwiska. Nawet gdybym miała skoczyć, to teraz jego ciało jest tak mocno przyciśnięte do mojego, że nigdy nie udałoby mi się wyrwać z tego uścisku.

– Upewniam się, że nie zrobisz niczego głupiego – warczy mi do ucha. W jego głosie słychać jad.

Zostawia mi wystarczająco dużo przestrzeni, abym mogła okręcić się w jego ramionach i spojrzeć mu w twarz. Przez chwilę delectuję się jego przystojną twarzą, na której maluje się mroczna wściekłość. *O kurka*. Moje ciało wyrywa się do pocałunku. Odzyskuję nadzieję.

Jego spojrzenie jest jednocześnie pochmurne i rozdarte, lecz gdy przesuwa się na moje usta, mięknie na tyle, by mnie do siebie dopuścić.

– Cholera jasna, Rory. – Przyciska mój kark tak, że ocieramy się nosami. – Czy próbujesz przyprawić mnie o atak serca?

– Zapytaj mnie o grzech.

Zamiera. Jego wzrok kieruje się w stronę rozszalałego oceanu. Potem powoli potrząsa głową.

– Nie chcę. – Jego dłonie zaborczo ujmują mój kark. – Nie tutaj.

Nabieram głęboko powietrza w płuca i wyjawiam mu prawdę.

– W dniu, kiedy mnie tu spotkałeś, nie zamierałam skoczyć. – Przełykam ślinę. – Nigdy nie miałam takiego zamiaru. Ani wtedy, ani dzisiaj.

Mruży oczy. Nie wierzy w moje zapewnienia.

– Sprawdzałam, czy jest wystarczająco wysoko. Ponieważ muszę mieć pewność, że gdy zepchnę Alberta, to zginie.

Mój grzech wisi ciężko między nami. W jego twardym spojrzeniu dostrzegam pustkę.

– Zamierzasz zabić Alberta – stwierdza.

Dziwnie usłyszeć swoje myśli wypowiedziane na głos z cudzych ust. Potakuję. Emocje, których nie potrafię nazwać, przebiegają po jego twarzy. Nadal milczy. Przyszpila mnie intensywnym spojrzeniem i czeka.

– Myślę, że gdzieś w głębi duszy wiedziałam, że ten kontrakt to ściema. Skoro małżeństwo nie zapewniłoby bezpieczeństwa mojemu ojcu, potrzebowałam planu awaryjnego. – Odwracam się i wpatruję w nadchodzący przypływ. – Miałam do niego zadzwonić, aby po mnie przyjechał. Wiem, że pofatygowałby się osobiście, ponieważ byłby przerażony, że ktoś inny dowiedziałyby się, że jego panna młoda uciekła. A potem...

Przełykam ślinę i odwracam się do Angela.

– Zrobiłabym to. Zepchnęłabym go.

Zapada milczenie. Angelo zagryza dolną wargę.

– Ja byłem twoim planem awaryjnym – rzuca, przebiegając twardym kciukiem po mojej kości policzkowej. – Powiedziałem, że cię z tego wydostanę. Mówiłaś, że mi ufasz.

– Tak było, ale potem zniknąłeś!

– Ponieważ opracowywałem plan, Rory. Tak, jak ci obiecałem. Takich spraw nie załatwia się z dnia na dzień.

– Tor powiedział, że nie wracasz!

– Tor?

Gdy potakuję, jego oblicze staje się twarde.

– Łajdak. Poprosiłem go, aby cię chronił, gdy mnie nie będzie, więc, w co on, kurwa, pogrywał?

Zanim udaje mi się odpowiedzieć, kładzie mi dłoń na karku, a jego nozdrza drgają.

– Kurwa, dziecinko. Wiesz, jakie to uczucie zabić człowieka?

– Takiego jak Albert? Pewnie dość dobre.

Zamiast furii, na jego twarzy pojawia się rozbawienie. Powoli potrząsa głową w niedowierzaniu.

– Moja zła dziewczynka.

Daję się porwać radości. Nie wierzę, że do mnie wrócił. Zrobił to dla mnie. Unoszę podbródek.

– Więc jaki masz plan?

Jego chwyt zaciska się na moim karku.

– Pamiętasz, jak powiedziałaś mi, abym myślał jak biznesmen, a nie bandyta?

Potakuję. Mięśnie jego szczęki napinają się, gdy przenosi wzrok na moją dłoń przyciśniętą do jego piersi. Zakrywa ją swoją, dotykając pierścionka na moim palcu. Po chwili zrywa go gwałtownym i szybkim ruchem.

– Co ty...?

Diament połyskuje na tle pochmurnego nieba, gdy Angelo ciska nim ponad krawędzią klifu. Nasze spojrzenia się krzyżują. Dostrzegam ostrzegawczy błysk w jego oczach.

– Przykro mi, Sroczo. Jestem bandytą do szpiku kości.

Zanim jestem w stanie zareagować, podnosi mnie i przerzuca sobie przez ramię, ostro chwytając materiał sukienki. Jego dłonie są ciepłe i zaborcze. Natrafiają na moje udo. Chwyta mocno za podwiązkę i wydaje z siebie zwierzęcy warkot.

– Spalę tę cholerną sukienkę, gdy tylko dotrzemy do domu.

Dom. To słowo sprawia, że przyspiesza mi puls.

– Co się dzieje? – wzdycham. Kręci mi się w głowie od nagłego ruchu i tego, że mnie dotyka.

– Biorę, co moje.

– Twoje?

Sadza mnie na siedzeniu pasażera i pochyla się w drzwiach.

– Tak. Szef mafii potrzebuje żony. I tak się składa, że wybrałem ciebie.

Żar rozlewa się po moim ciele. Czuję, jak rozbite kawałki mojego serca składają się w całość.

– Doprawdy? – szepczę, zerkając na niego przez rzęsy.

Łapie mój podbródek. Delikatnie przesuwa palcem po mojej dolnej wardze.

– Tak. Wiedziałem to od początku.

Drzwi samochodu przycinają fałdy mojej sukni. Lecz mnie to nie obchodzi. Moje serce bije w innym rytmie, od kiedy scaliło się w jedność i napełniło nadzieją. *Nie poślubię Alberta.*

Mam ochotę zadać Angelowi milion pytań. Jednym z nich jest to, czy naprawdę go poślubię?

Lecz milczę. Obserwuję, jak wyciąga zza paska jeden pistolet, a potem drugi z kieszonki marynarki i kładzie je ostrożnie obok siebie.

– Naprawdę wracasz?

– Tak.

– Na dobre?

Jego dłoń odnajduje moje udo i ściska je, dodając mi otuchy.

– Na dobre.

Odpala samochód i pędzi przez wiejskie dróżki, aż na horyzoncie pojawia się dom. Nie mogę oderwać od niego wzroku. Obawiam się, że jeśli to zrobię, obudzę się w apartamencie dla gości w posiadłości klanu Cove i uświadomię sobie, że to wszystko było jedynie gorączkowym snem.

– Dlaczego nie zadzwoniłeś? – szepczę. – Nie uwierzyłabym Torowi, gdybyś po prostu zadzwonił.

Odwraca wzrok. Wygląda na sfrustrowanego.

– Dałem ci mój telefon na wszelki wypadek, ale ja nie mam twojego numeru.

– Dzwoniłam na niego i był odłączony.

Zastanawia się nad moimi słowami.

– Kurwa, masz rację, dziecinko. Odłączyłem go, przygotowując się do roli szefa mafii. Potrzebuję linii nie do namierzenia. Nawet nie przyszło mi to do głowy. Byłem tak cholernie zajęty. – Przełyka ślinę i ściska moje udo. – Przepraszam.

– A nie mogłeś wrócić parę dni temu? No wiesz, przed dniem ślubu?

– Zdajesz sobie sprawę, przez co musiałem przejść w tym tygodniu, Rory? Co musiałem zrobić?

– No, co?

– Powołać nowego dyrektora generalnego w firmie, sprzedać apartament w Londynie. Kompletnie wywrócić swoje życie do góry nogami i przeprowadzić się do Devil's Dip. – Jego szczęka się napina. – Wybrałem się również do San Fran. Miałem tam... niedokończoną sprawę.

– Ale ty nienawidzisz Devil's Dip. – Powoli kiwam głową.

– Ale nie czuję nienawiści do ciebie. – Jego spojrzenie twardnieje, gdy wygląda przez przednią szybę.

Opieram czoło o zimne szkło w próbie ochłodzenia się. Gdy zjeżdżamy ze wzgórza, zanurzam się w nazbyt znajomym zapachu

samochoodu, który wypełnia mieszanka jego płynu po goleniu i skóry. To działa na mnie jak narkotyk.

Wjeżdżamy na szczyt wzgórza i ze zdumieniem odkrywam, że w domu panuje taki sam zgiełk jak w posiadłości Cove, mimo że dzisiaj na pewno nie planuje się tu ślubu.

A może?

Pomimo niepewności w moim sercu pojawia się nadzieja. Gdy zerkam na Angela, on wskazuje na wylewających się z domu postawnych mężczyzn.

– Ludzie Gabe’a zapewnią ci ochronę. Proszę cię, abyś robiła wszystko, o co poprosi cię mój brat. Aż do mojego powrotu.

– Powrotu? A dokąd się wybierasz? – Rozglądam się.

– Zamierzam poinformować Alberta, żeby się ciebie nie spodziewał na ślubie. – Przybiera ponury wyraz twarzy.

Strach sączy się w mojej piersi.

– Nie – mamroczę, przykrywając jego dłoń. – Zostań ze mną. Przynajmniej dzisiaj. Wkrótce się zorientuje.

Jego uśmiech jest chłodny i wykalkulowany. Bezwzględny. Najmroczniejsza część mnie pragnie zacisnąć usta i się tym nacieszyć.

– To nie wszystko, co muszę mu powiedzieć, dziecinko.

Słabo mi na myśl, że Angelo wejdzie do posiadłości klanu Cove i ogłosi, że mnie odbił i że żąda zwrotu Devil’s Dip.

– Nie powinieneś wziąć ze sobą Gabe’a? Tak na wszelki wypadek?

Przez jego twarz przebiega podirytowanie.

– Na wypadek czego? Uważasz, że sobie nie poradzę?

Wiem, że da sobie radę. Angelo może i przez dziewięć lat prowadził uczciwe życie, ale nigdy nie spotkałam bardziej przerażającego człowieka. Podąża za nim cicha groza. Emanuje od niego niczym mroczna aura, która od razu zmienia atmosferę.

Wychowano go na członka mafii, ale jego przeznaczeniem było zostać królem.

– Pocałuj mnie.

– Co? – Jego wzrok instynktownie poszukuje moich ust.

– Od kiedy po raz pierwszy pojawiłeś się na piątkowej kolacji, zastanawiałam się, jakie to byłoby uczucie cię pocałować. Więc pocałuj mnie teraz. Jeśli cokolwiek ci się stanie, to przynajmniej

będę wiedziała, jakie to uczucie. – Przełykam ślinę i przesuвам się na siedzeniu. – Dowiem się, jak całuje Angelo Visconti.

Zapada ciężka cisza.

Angelo nie puszcza kierownicy i pochyla się ku mnie. Uwodzi mnie jeszcze bardziej swoim zapachem. Moje serce zamiera, gdy ociera się o mnie ustami, a jego zarost przesuwa się po moim podbródku.

Nagle przerywa.

– Jeśli cię pocałuję, to będzie oznaczało, że nie jestem pewien, czy dam radę do ciebie wrócić. – Szczypie mnie w dolną wargę, co prowokuje mnie do wydania z siebie żalostnego jęku. – A jestem cholernie pewny, że mi się uda, Sroczo.

Baczenie mi się przygląda, gdy niechętnie opuszczam samochód. Gabe rusza w moim kierunku żwirową ścieżką i zatrzymuje się w pobliżu.

– Zajmij się przez chwilę moją dziewczyną. – Angelo wita brata twardym spojrzeniem.

– Tak, szefie.

– Chodź tutaj. – Spojrzenie Angela przesuwa się na mnie.

Przełykam ślinę, robię krok w kierunku samochodu i opieram się o drzwi. Mężczyzna przeczesuje palcami włosy.

– Lepiej żebyś zdjęła tę cholerną kieckę, zanim wrócę i zerwę ją z ciebie zębami.

Słyszając jad w jego tonie, mam dość rozumu, aby pokiwać bezradnie głową.

– Dobra dziewczynka. – Jego głos mięknie.

Razem z jego bratem, ramię w ramię, obserwuję, jak aston martin znika za wzgórzem i zabiera ze sobą jakąś część mnie.

– Szkoda. – Porusza się obok mnie.

– Czego? – Odwracam się w stronę brata Angela.

– Z niecierpliwością oczekiwałem na twój telefon. Nigdy nie lubiłem wujka Alberta.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Angelo

W schowku leży brązowa koperta. Broń mam ukrytą za pasem. Bardzo mi się spieszy, żeby zerwać z niej tę cholerną suknię ślubną i wepchnąć ją Dużemu Alowi do gardła, aby się nią udławił. Widok Rory w tej kreacji daje mi wystarczający powód, aby rozpocząć wojnę. *Choć byłoby to małostkowe.*

Szefowie mafii nie mogą być pamiętliwi ani impulsywni. Dlatego pozbieranie się zajęło mi aż tydzień.

Moja wściekłość rośnie wraz z przekroczeniem bramy posiadłości klanu Cove. To pewne, że ostatni raz stoi dla mnie otworem.

Zatrzymuję się na końcu podjazdu, gaszę silnik i wpatruję w dom. Bawiłem się w chowanego w jego najciemniejszych zakątkach. Przepłynąłem milion okrążeń w basenie tej posiadłości. Jej mieszkańcy są moją rodziną, a ja zamierzam przerwać łączące nas więzi w najbardziej brutalny sposób.

Kto by pomyślał, że do tego dojdzie? *Na pewno nie ja.* Zawsze myślałem, że jeśli wrócę do Devil's Dip, to zrobię to, wplatając tę informację w zwyczajną rozmowę przy cygarach i whisky, po czym skwituję niezdecydowanym wzruszeniem ramion. Wyobrażałem sobie, że każdy będzie się z tego cieszył i wzniesie za mnie toast. Sądziłem, że Bezwzględny Visconti zostanie przyjęty z otwartymi ramionami.

Ale niestety będzie inaczej. Cała rodzina przekona się, jaki potrafię być naprawdę.

Wypinam pierś i maszeruję zwirową drogą. Wbiegam szybko po schodach. Za progiem panuje nerwowe poruszenie. Amelia chwyta mnie za ramię.

– Widziałeś Aurorę? Zgubiliśmy ją! – Nasze spojrzenia się krzyżują, a wtedy kobieta natychmiast odskakuje na widok mojego wyrazu twarzy.

Wchodzę gwałtownie do jadalni. Alberto zrywa się z miejsca, lecz nie ukrywa rozczarowania na mój widok. Tor stoi obok niego i sili się na obojętność, ale zdradza go pulsujące jabłko Adama. Miałem przez chwilę ochotę wpackować mu kulkę w łeb, ale wściekłość, jaką wobec niego odczuwałem, szybko osłabła. Podczas drogi do rezydencji uświadomiłem sobie, dlaczego powiedział Rory, że opuściłem miasto. Nie chciał wybierać pomiędzy mną a ojcem. Sądził, że Rory po prostu przystanie na ślub, jeśli pomyśli, że nie wrócę. Chciał, aby wszystko wróciło do normy. Lecz fakt, że dał jej samochód i powiedział mi o tym, gdy tylko zjawiłem się w domu, świadczy o tym, że zmienił zdanie.

Nadal mam zamiar skopać mu tyłek, ale na pewno go nie zabiję.

– Ta mała, głupia dziwka dała nogę – warczy Alberto, wygładzając przód kamizelki. – Wiesz, jakie to dla mnie upokarzające?

Swędzą mnie palce, aby chwycić go za gardło. Chryste, nie wierzę, że Rory przez cały czas planowała zepchnąć go z klifu w Devil's Dip, ale wcale jej nie winię.

– Alberto. Ty, Tor i Dante musicie spotkać się ze mną w twoim biurze. – Napotykam na puste spojrzenie. – W tej chwili.

Bez czekania na odpowiedź, ponieważ nie zadawałem pieprzonego pytania, obracam się na pięcie i wychodzę do *foyer*, skąd udaję się do biura Alberta. Kilka sekund później wchodzi mój wujek, a zaraz za nim Tor.

– Co, do cholery, dzieciaku? Lepiej, żeby to było ważne, bo mam teraz na głowie większe problemy.

Wyciąga ramiona.

Zerkam ponad jego ramieniem na stojącego w korytarzu Dantego. Dostrzega mnie i zamiera, a jego oczy stają się czarne jak smoła.

– Powinienem był się domyślić.

– Czego? – warczy Alberto. – Niech ktoś mnie oświeci! W tej chwili!

Drzwi otwierają się ponownie i pojawia się Donatello oraz obejmująca go za ramię, spanikowana Amelia.

– Pomyśl o dziecku! – syczy.

Blokuję drzwi stopą.

– Donatello, będę z tobą szczery. Jesteś uczciwym człowiekiem, masz piękną żonę i z tego, co słyszę, dziecko w drodze. – Amelia kuli

się ze strachu, kładąc obronnie dłoń na brzuchu.

– Wolałbym nie musieć pakować w twoją głowę kulki. Dzisiaj nie odbędzie się żaden ślub i jeśli nie będziesz się wtrącał, to pozostaniemy w dobrych relacjach. – Zniżam głos. – A zaufaj mi, chciałbyś pozostać ze mną w poprawnych stosunkach.

Zanim udaje mu się odpowiedzieć, zatrzasnę drzwi i je rygluję. Gdy się odwracam, wpatruję się w lufę pistoletu Dantego.

– Kurwa, wiedziałem – syczy. – Widziałem, jak na nią patrzysz. Naprawdę rozpoczniesz wojnę w rodzinie o jakąś cipkę, Angelo?

Alberto wydaje z siebie jęk. Opada na krzesło za biurkiem i pociera grubymi dłońmi twarz.

– Chyba sobie stroisz żarty – mamrocze, zasłaniając usta dłonią. – Angelo, powiedz mi, że to nieprawda.

Nie spuszczam wzroku z Dantego, a moje milczenie mówi wujkowi wszystko, co musi wiedzieć.

– *Gesù Cristo*. Jesteś moim bratankiem. Traktowałem cię jak syna. Nigdy byś czegoś takiego nie zrobił.

– Zawsze ci, których najmniej się spodziewasz, nieprawdaż? – mówię przeciągle, a potem omijam spluwę Dantego i zbliżam się do biurka. Kładę dłonie na blacie, pochylając się nad nim.

– Możemy załatwić to polubownie albo w nieprzyjemny sposób. Przejmuję Devil's Dip. Terytorium rezerwatu jest moje, a Aurora jest teraz moją dziewczyną. Zaakceptuj to, a pozwolę ci na handel w moim porcie i nic się nie stanie. – Zwracam uwagę na Dantego, który nadal celuje do mnie z broni. – Cholera, nawet uścisknę ci dłoń, jeśli ci się poszczęści.

Alberto wali w biurko pięścią i rzuca mi groźne i pełne jadu spojrzenie. W jego oczach błyszczy wywołana moją zdradą uraza.

– Cholera, nie mogę w to uwierzyć.

Za mną rozlega się odgłos odbezpieczenia broni.

– Wybieram ten drugi sposób – mówi wuj.

Powoli odwracam twarz w stronę kuzyna, lecz podczas gdy jego broń jest skierowana na mnie, to jego spojrzenie już nie. Zbyt absorbuje go wpatrywanie się w Tora, który siedzi cicho w mroku.

– Nie zamierzasz wyciągnąć cholernej spluwy? – woła do brata.

Tor nie rusza się nawet o milimetr.

– Mi też pasuje ten sposób. – Wyciągam brązową kopertę z kieszeni i podnoszę ją, jakbym prezentował dowód na sali sądowej.

Z Alberta schodzi powietrze i wygląda na podenerwowanego. Nigdy nie widziałem go równie bezradnego.

– Nie – mamrocze, unosząc się z krzesła. – Nie, nie, nie. *Basta!* Proszę. Bierz ją, weź dziewczynę...

– Nie proszę cię o pozwolenie – warczę podirytowany. Odwracam się ponownie do Dantego i widzę dezorientację łagodzącą grymas malujący się na jego twarzy.

– Co się dzieje? – pyta.

– Twój ojciec był dość nieustępliwy w dążeniu do zdobycia zgody na budowę w rezerwacie. Tak bardzo, że jego ostateczna próba zawierała małą łapówkę. – Macham kopertą. – Modyfikację jego testamentu.

Dante blednie.

– Czy to prawda? – Gdy Alberto nie odpowiada, Dante przesuwa broń w kierunku ojca. – Czy ty...?

– Tak, wykreślił cię z testamentu... – mówię przeciągle, udając znudzenie. – Was wszystkich. Gdy Duży Al umrze, całe imperium Cove przechodzi w moje ręce.

Z jego ust wyrywa się warknięcie. Tor nadal siedzi w kącie w milczeniu.

– Ojczy, czy to prawda?

Ciało Alberto napina się w obronie, ale potem jego ramiona opadają.

– To tylko interesy. M... mój prawnik doradził mi, że to zadziała. Miałem zamiar wpisać was z powrotem zaraz po tym, jak dostałbym rezerwat...

Lecz Dante tego nie kupuje. Nie po piątkowym pijackim wybuchu ojca. Wściekłość i upokorzenie czają się w jego oczach, gdy przenosi wzrok z Alberta na mnie. Zaciska szczękę.

– O co ci chodzi, Angelo? Testament nie jest wart więcej niż świstek papieru, na którym go zapisano, dopóki mój ojciec żyje.

Nadchodzi doskonały moment, aby to zmienić. Wyciągam broń i oddaję jeden strzał. Po tak długim czasie nadal mam dobre oko, bo kula przechodzi prosto przez skroń Alberta. Nie dostrzegł, że się

zbliża. *Zupełnie jak mój ojciec.* Myślę, że człowiek nigdy nie spodziewa się kulki w łeb od członka rodziny.

– I co teraz?

W moim głosie pobrzmiwa obojętność, lecz czuję, że żyję. Buzuje we mnie podekscytowanie, ponieważ świerzbiło mnie, by to zrobić, od kiedy dostrzegłem podbite oko Rory.

Teraz Tor podnosi się z fotela i wyciąga broń.

– Co, do cholery, Angelo? – Zszokowany Dante zamiera i wpatruje się we mnie o jedną chwilę za długo. I to jest dokładnie ten moment, w którym uświadamiam sobie, że Alberto miał rację. Ten łajdak nigdy nie będzie dobrym szefem mafii. Z łatwością mógłbym również jemu wsadzić kulkę w łeb.

Na wszelki wypadek cofam się swobodnie do tyłu.

– Właśnie zabiłeś mojego ojca – rzuca w końcu Dante. Jego spojrzenie przesuwa się po leżącym na biurku ciele. Rozbity przycisk do papieru leży na podłodze, a krew kapie na dywanik. W pomieszczeniu unosi się zapach żelaza i niebezpieczeństwa. Spijam każdą pieprzoną sekundę tej chwili.

– Tak. Chyba tak – odpowiadam.

Kuzyn ponownie kieruje na mnie broń, a na jego twarzy maluje się determinacja. Bierze głęboki wdech.

– Co mnie powstrzymuje przed zabiciem cię? – ryczy, plując śliną.

– Wpakuję ci cholerną kulę w łeb, a potem znajdę tę głupią dziwkę i ją też załatwię!

– I widzisz. Tutaj przydaje się bycie biznesmenem. W przypadku mojej śmierci Rafe i Gabe zostają beneficjentami mojego testamentu. Co teraz... – Podnoszę ponownie kopertę. – Dotyczy wszystkich barów, restauracji, kasyn i hoteli w Devil's Cove.

Robię krok w jego stronę z ręką swobodnie wiszącą przy broni.

– Czy ruszysz również na nich? Według mnie to niezbyt dobry pomysł, zwłaszcza że wygląda na to, że Tor również zamierza opuścić tonący okręt.

Dante zerka z grymasem dezaprobaty na brata, który nadal wpatruje się w zwłoki ojca. Z jego wyrazu twarzy ciężko cokolwiek odczytać.

– Idź na układ, Dante – mówi w końcu Tor.

Przez chwilę panuje ciężkie milczenie. Wydaje się trwać w nieskończoność. Od zaciskania zębów boli mnie szczęka. W końcu Dante niechętnie kiwa głową.

Wykonuje tak nieznaczne skinienie, że gdybym mrugnął, to bym go nie dostrzegł.

Również potakuję, wsuwam kopertę do kieszeni i ruszam w kierunku drzwi.

Zatrzymuję się w progu i rzucam uśmiezek w stronę Dantego.

– Gratulacje z okazji przejścia funkcji szefa mafii. Może będziemy się czasem wymieniać wskazówkami.

W jasnym korytarzu panuje cisza. Wpatrują się we mnie nieruchomi służący i dalecy krewni, którzy usłyszeli wystrzał z broni. Ignoruję każde ich spojrzenie i ruszam prosto do samochodu.

Czuję zmęczenie, wracając do Devil's Dip. Odłączam się od ciała, podążając w myślach za tym, co właśnie wydarzyło się w biurze Alberta. Jego krew rozpryskująca się na mojej białej koszuli. Dźwięk wystrzału dzwoni mi w uszach.

Gdy wjeżdżam na podjazd, otwierają się drzwi frontowe i spod markizy wybiega Rory. Serce kurczy mi się w piersi na jej widok. Jest na bosaka i założyła jeden ze swetrów, który jej zostawiłem. *Dzięki Bogu pozbyła się tej pieprzonej sukni ślubnej.* Wpatrujemy się w siebie. Oddziela nas przednia szyba. Składam sobie cichą przysięgę: Nikt ani nic jej nigdy więcej nie skrzywdzi. Ani Alberto, ani Dante. Ani ja.

Nie udało mi się ocalić przed Viscontimi mamy, ale jestem pewien, że uratuję Rory.

Jej pierś faluje pod wpływem oddechu, a doskonałe usta otwierają się szeroko, gdy wysiadam z samochodu i ruszam w jej kierunku. Podąża za mną do kuchni, gdzie gromadzą się ludzie Gabe'a. Niektórzy grają w karty przy stole, a inni w cieniu wykonują prywatne telefony.

Zmierzam do barku i nalewam sobie dużą porcję whisky. Rory staje po jego drugiej stronie i ściska w dłoniach rękawy swetra.

– Czy już po wszystkim?

Do tego długa droga. Właściwie to dopiero początek. Oddałbym jednak wszystko, aby wymazać z jej pięknej buźki panikę, więc delikatnie kiwam głową.

Kładzie dłonie na blacie, opuszcza głowę i spogląda na mnie spod gęstych rzęs.

– I co teraz? – szepcze.

Gdy nasze spojrzenia się spotykają, w powietrzu unosi się napięcie. Odstawiam szklanę na wyspę i poluznięm krawat.

– Macie pięć sekund, aby wynieść się z mojego domu – rzucam do wszystkich, którzy znajdują się w pobliżu.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Rory

Jego słowa, wypowiedziane tak władcym tonem, zapierają mi dech w piersi. Kuchnia pustoszeje i staje się cicho. Uświadamiam sobie, że opieram się o blat wyspy, by utrzymać dystans z Angelem. Moje spocone dłonie spoczywają na gładkim marmurze.

Mężczyzna bacznie mnie obserwuje.

– A więc utknęłaś z innym starcem.

– Chyba tak.

– Mam wystarczająco dużo lat, aby być twoim ojcem. Jak się z tym czujesz? – Dostrzegam błysk w jego oku.

Serce bije mi mocno, lecz udaję znużenie. Zerkam na niego spod rzęs.

– Czy to oznacza, że mogę nazywać cię tatusiem?

Na jego twarzy maluje się mroczne rozbawienie. Delikatnie potrząsa głową.

– Chodź tutaj.

O kurka.

Mam wrażenie, jakbyśmy ponownie znaleźli się w mrocznym korytarzu posiadłości Alberta, gdzie wyciągnął z mojego stanika perłowy naszyjnik. Wtedy instynkt podpowiadał mi, aby przed nim uciekać i teraz odczuwam to samo, mimo że stoimy w jasnym świetle kuchennych lamp. Mimo że ocalił mnie przed najgorszym możliwym losem. Mimo że widział mnie nagą i bezbronną.

Moje serce walczy o odzyskanie naturalnego rytmu. Okrążam dookoła wyspę i zbliżam się do niego. Gdy tylko znajduję się w zasięgu jego ramion, wyciąga do mnie ręce, by ująć mnie za kark. Jego potężne palce wplątują się w mój warkocz. Zanurza twarz w mojej szyi i wydaje z siebie rozkoszny zwierzęcy dźwięk, który dociera aż pomiędzy moje uda. Prawdziwy dotyk. Rozpływam się pod nim, a moje piersi ocierają się o jego koszulę. Sutki twardnieją

mi w oczekiwaniu na spełnienie. Szaleję na samą myśl, że będziemy się dotykać.

Angelo pociera nosem moją szyję, jakby sycił się moim zapachem. Jego jęk wibruje na mojej skórze.

– Kurwa, dziecinko. Za długo na to czekałem.

Jedną dłonią obejmuje mój kark, podczas gdy drugą rękę trzyma wokół mojej talii. Zręcznym ruchem sadza mnie na blacie. Moje nagie uda ocierają się o chłodny marmur, rozsyłając dreszcz podniecenia po moim ciele. To jaskrawy kontrast z jego ciepłymi biodrami, które wpycha między moje nogi.

Ulegam fali podniecenia. Mam wrażenie, że się rozpływam, gdy przyciska do mojej szyi ciepłe usta. Odchylam głowę, aby miał do mnie lepszy dostęp. Pragnienie, aby czuć jego usta na każdym kawałku ciała doprowadza mnie do szaleństwa.

Angelo gorączkowo przebiega ciężkimi dłońmi od moich żeber do bioder. Wsuwa je pod mój sweter, rzeźbiąc palącą ścieżkę na mojej nagiej skórze. Właściwie to jego sweter. Znalazłam go w koszu na brudną bieliznę w piwnicy. Przez całą godzinę zadreślałam się myślą, że zapach pozostawiony na jego włóknach będzie po nim ostatnią pamiątką. A jednak jestem tutaj z nim. Mogę upajać się jego męską wonią w nieskończoność.

Chwytam się krawędzi blatu i wypinam biodra, a moje ciało błaga, aby się zbliżył. Czuję jego męskość na swoim udzie. Trzepoczę rzęsami. Niby jest tak blisko, ale mi to nie wystarcza. Mam dosyć drażnienia się. Ciągle to robimy. Przesuwał skórzanym pasem po moim kręgosłupie. Czułam jego gorący oddech w pobliżu łechtaczki. *Bez dotykania, bez odczuwania.* Przesuwam się centymetr do przodu, aż jego wybrzuszenie znajduje się dokładnie w miejscu, w jakim chcę je poczuć. Wciska się w wilgotny punkt na moich majtkach. Nagle jego chwyt na mojej talii się zacieśnia i powstrzymuje mnie. Nasze spojrzenia się krzyżują, a w jego oczach błyszczy mroczna irytacja. Dokładnie w tym momencie uświadamiam sobie, że on mnie pragnie, ale na swoich własnych zasadach.

Jego przesuwające się po moich piersiach spojrzenie przyprawia mnie o drżenie.

– Zdejmij to.

– Sam zdejmij – odgryzam się z czystej złości. Pomimo wszystkiego, co dla mnie zrobił, część mnie jest nadal rozgoryczona, że zniknął bez słowa. Nie może zwyczajnie z powrotem wparować do mojego życia i żądać, abym się przed nim rozebrała.

Mruży oczy. Wzdrygam się, gdy odsuwa się o krok. Zahaczam palcami o jego szlufkę i przyciągam go do siebie. Lecz on otwiera szufladę i z szaleństwem widocznym w oczach wyciąga kuchenne nożyce.

Wydaję z siebie westchnienie, a on pociąga tkaninę i tnąc ją nożyczkami od brzegu aż po ściągacz przy szyi. Sweter zsuwa się z moich ramion, a potem opada na wyspę.

Wpatruję się w niego zszokowana. Czuję jak moja łechtaczka gorączkowo pulsuje.

– Ten sweter mi się podobał.

– Możesz sobie wziąć wszystkie moje swetry.

Obrzuca mnie intensywnym spojrzeniem. Mój brzuch i dekolt napinają się, gdy dotyka mojej nagiej skóry. Mam na sobie jedynie białe stringi i dopasowany biustonosz. Bez chwili zastanowienia rozpinam go, a następnie rzucam na podłogę.

Jego twarz pozostaje obojętna, lecz widok jego zaciskających się w pięści dłoni daje mi mały wgląd w jego myśli. Oblizuje wargi, a potem sięga po whisky. Bierze długi, powolny łyk i nadal przygląda się mojemu ciału znad szklanki.

Czuję się upojona jego uwagą. To moje najbardziej podniecające doświadczenie. Jest znacznie lepsze niż jakikolwiek popełniony przeze mnie grzech. Lepsze niż balansowanie na krawędzi klifu.

Angelo Visconti robi krok do przodu, chwytając mnie za brodę i przyciąga do siebie moją twarz.

– Rozłóż dla mnie nogi. – Jego rozkaz jest nieczuły i szorstki. Przesuwa się po moim kręgosłupie niczym papier ścierny.

Mam świadomość tego, co się dzieje, kiedy nie wypełniam jego rozkazów.

Rozsuwam uda. Jego dłoń przebiega po moim ciele, aż dociera do moich koronkowych majtek. Łapie mnie mocno końcówkami palców. *O kurczę.* Napięcie jest namacalne. Osuwam się na łokcie, aby wygrzewać się w jego ciepłe. Twardy opuszek kciuka Angela odnajduje drogę do mojej łechtaczki. Pociera ją, rozsyłając sygnały

pożądania do mojego ciała. Mój jęk przeradza się w szept, gdy jego gorące usta zaciskają się na moim sutku, a twardy i wilgotny język go okręża.

O kurka. Nigdy nie czułam się taka podniecona, tak cholernie ożywiona, taka wolna. Nie obchodzi mnie, że wydaję z siebie zenująco gardłowe dźwięki. Interesuje mnie tylko to, że czuję go na sobie. Z niskim warknięciem zahacza palcem o moje stringi, które po chwili ze mnie ściąga, jakby ich widok go denerwował. Mocniej rozkładam nogi, a zimne powietrze liże moje wargi, przypominając mi, jaka jestem wilgotna.

Oddycha długo i ciężko. Rzuca przekleństwo niskim i zduszonym tonem, który trafia mnie niczym cios. Kładzie dłonie na moich udach, przyciąga mnie bliżej i klęka. Moje serce zamiera w oczekiwaniu. Jego gorący, twardy język dotyka mojej łechtaczki. Drzę, a fala podniecenia zalewa moje ciało. Moje mięśnie zaciskają się na każde powolne, delikatne muśnięcie jego języka.

– Dobra dziewczynka – warczy, gdy łapię go za włosy.

Dobra dziewczynka. To, co teraz robi, mocno kontrastuje z ostrymi smagnięciami pasa. Jest raczej nagrodą niż karą. *Jeśli to dostają dobre dziewczynki, to może jednak już nie chcę być zła?*

Twarde, wściekłe uderzenie w cipkę natychmiast przegania tę myśl. *Kurka wodna.* Ukłucie musuje w mojej krwi niczym wstrząśnięty szampan. *Może mogę być i dobrą, i złą?*

Dla Angela Viscontiego mogę być wszystkim.

Wsuwa we mnie silny i szorstki palec. Od dawna zastanawiałam się, jak byłoby go w sobie poczuć. Rzeczywistość bije na głowę moje najśmielsze marzenia. Kołyszę się na jego palcu, desperacko pragnąc, aby włożył go dalej, lecz on trzyma moje biodra w taki sposób, że jest panem sytuacji. Przyciska mnie do marmurowego blatu i nie pozostawia mi wyboru. Muszę zdać się na jego łaskę.

Nie spieszy się, wsuwając i wyjmując palec. Potem wkłada kolejny, a ja zaciskam się na nim. Jego broda ociera się o mnie, co sprawia, że niemal eksploduję. Napięcie powoli rośnie, a ja jęczę i drzę. Jesteśmy niczym ogień i lód, szaleństwo i opanowanie. Tyle presji, tyle napięcia. Robi się niebezpiecznie. Jakaś dziwna część mnie zaczyna odczuwać panikę. Czuję się przytłoczona ilością doznań. Pragnę przerwy na złapanie oddechu.

Lecz gdy skumulowane napięcie eksploduje w mojej łechtaczce, całe wahanie znika niczym chmura dymu i pyłu.

Rozpływam się. Walczę o oddech. Angelo wyjmuję ze mnie palce i rozsmarowuje wilgotny sok po moim udzie, a potem całuje ten ślad.

Mimo że czuję się naga i bezbronna, bo leżę rozebrana i rozłożona na blacie kuchennym, gdy on nawet nie zdjął krawata, to cisza wypełniająca powietrze jest dla mnie komfortowa. Można w niej wyczuć spokój porównywalny do tego po burzy.

Angelo podnosi się z kolan i opiera dłonie po moich bokach. Wpatruje się w moje ciało z malującym się na twarzy podziwem. Końcówka jego jedwabnego krawatu muska moje piersi.

– Smakujesz znacznie lepiej niż to sobie wyobrażałem – mamrocze zafascynowany, odsuwając z mojego policzka zabłąkany lok. Unosi głowę, a na jego ustach tańczy uśmiech. – Już chociażby z tego względu warto było rozpocząć wojnę z własną rodziną.

Jego spojrzenie opada na moją falującą pierś. Potrząsa głową w niedowierzaniu, a potem mamrocze pod nosem jakieś przekleństwa i wychodzi z kuchni.

Siadam i zasłaniam się ramionami. Czuję się dziwnie. Dokąd poszedł? Czy wróci? I czy po domu nadal kręcą się mężczyźni? Ta myśl wywołuje we mnie panikę. Moje spojrzenie wędruje do leżących na podłodze majtek. Zeskakuję z wyspy i naciągam je na siebie, starając się zachować jakiś strzępek skromności. Angelo wraca z kuchni, niosąc w dłoni ręcznik kąpielowy.

– Chodź tutaj. – Wyciąga go.

Owiają mnie nim. Miękkie włókno muska moją skórę i otula mnie ciepłem.

– Przygotowałem ci kąpiel – mamrocze, wtulony w moje włosy.

– Dlaczego? – Zamieram.

– Wolałabyś prysznic? – Czuję gorący podmuch na skórze.

– N...nie, ja po prostu...

– Więc się ucisz – warczy niskim, zmysłowym tonem i kąsa mnie w ucho.

Prowadzi mnie do łazienki. Stoi oparty o futrynę i wpatruje się we mnie z łagodnym rozbawieniem. Piana wystaje poza staromodną wannę, a płonące świece rzucają pomarańczowe cienie na ściany.

Gardło zaciska mi się z emocji i zagryzam zęby, aby powstrzymać się od wykrzyczenia tego, co czuję. Biorę głęboki oddech i opieram się o wannę.

– Dziękuję, Angelo.

– Hmm.

– Dołączysz do mnie?

Zagryza zębami dolną wargę, a potem jego wzrok przesuwają się w kierunku okna.

– Chciałbym, Sroczo. Lecz mam coś do załatwienia. – Wskazuje ręcznik owijający moje ciało. – Chętnie popatrzę, jak wchodzisz do wanny.

Wzdycham głośno, a na moich policzkach wykwitła rumieniec. Lecz jego pełne pożądania spojrzenie łaskocze moją skórę tak, że bez wahania zrzucam ręcznik i urządzam pokaz, pochylając się i wchodząc do wanny.

Wyrywa mu się gardłowy jęk. Wygląda krawat.

– Podtrzymuję swoje stanowisko – mamrocze.

– Odnośnie do czego? – rzucam, zanurzając się w ciepłej wodzie.

– Warto rozpętać dla ciebie wojnę.

Jego mrugnięcie smaga mnie między nogami. Otwiera drzwi i słyszę jego oddalające się kroki. Z westchnieniem zanurzam się w pianie.

Kurka wodna. To szalone, jak szybko zmienia się życie. Tego ranka byłam zdeterminowana, by się zemścić, gotowa w desperacji zepchnąć Alberta z klifu. Moje serce przyspiesza. Ciekawe, co teraz robi? Co Angelo powiedział albo zrobił, że z taką łatwością zmusił go do wypuszczenia mnie ze swoich szponów? Nie było go niecałą godzinę i wrócił bez draśnięcia.

Albo jest urodzonym mówcą, albo najbardziej przerażającym człowiekiem, jakiego znam.

Zanurzam się całkowicie w wodzie, niezdolna pohamować pojawiający się na moich ustach mroczny uśmiech.

Podoba mi się ta druga opcja. Ekscytuje mnie.

Na półce przy wannie znajduję żel pod prysznic i szampon, oba przeznaczone dla mężczyzn, którzy nie wiedzą nic na temat pielęgnacji skóry. Śmieję się, namydlając zapachem Angela. Gdy wychodzę z kąpieli, owijam się ręcznikiem i w roztargnieniu

wyglądam przez okno. Wychodzi na tylne podwórze. W jego dalekim kącie wściekły ogień bucha wysoko w granatowe niebo. Mrużę oczy i uświadamiam sobie, że ciemna sylwetka należy do Angela, a wystająca z płomieni bryła zwęglonej bieli to moja suknia ślubna.

Coś ciepłego i satysfakcjonującego rozlewa się w moim podbrzuszu. Opieram się o okno i obserwuję przez chwilę, jak Angelo wpatruje się w płomienie, popijając ze szklanki whisky.

Chyba go Kocham.

Szybko otrząsam się z tej myśli, ponieważ wydaje mi się zupełnie niedorzeczna. Nigdy nie byłam zakochana, lecz wiem, że to za wcześnie, by mieć pewność. Pomimo wszystkiego, co się wydarzyło, znam Angela zaledwie od kilku tygodni i przez większość tego czasu mnie nie znosił. Chciałabym móc powiedzieć, że nienawiść była obopólna, ale tak naprawdę tylko go nie lubiłam, ponieważ miał dostęp do moich sekretów i grzechów. Teraz chętnie, a nawet bez wahania bym się nimi z nim podzieliła.

Rozglądam się po pomieszczeniu w poszukiwaniu czegoś, co mogłabym na siebie założyć. Dostrzegam niewielki stosik ubrań na komodzie. Znajduję parę dresów firmy Nike i bluzę pachnącą jego proszkiem do prania. Mimo że wyglądam w nich komicznie, bo są bardzo duże, wsuwam się w nie, wypadam na korytarz i zbiegam na dół. Angelo czeka na mnie u szczytu schodów.

– Kąpiel się udała?

– Pewnie. – Potakuję.

Jego śmiech jest uzależniający. Nagle nad jego ramieniem coś rzuca mi się w oczy. Cień, który zniekształca matowe szkło w drzwiach.

Rozlega się dzwonek do drzwi.

Krzyk, jaki wyrywa się z moich ust, odzwierciedla czystą panikę, jaką odczuwam. W oczach Angela pojawia się troska, a potem gniew. Przyciąga mnie do piersi.

– Spokojnie – mówi kojącym głosem, czochrając mi włosy. – To pizza. Tylko pizza.

Gdy wraca do *foyer* ze stosem pudełek do pizzy w dłoni, nadal wstrzymuję oddech. Posyła mi uważne spojrzenie, po czym układa pizzę na przedramieniu i łapie mnie zaborczo za rękę, wciągając do pokoju, w którym jeszcze nie byłam. To salon. Jest urządzone

minimalistycznie. Przypomina mi puste płótno. W powietrzu nadal unosi się delikatny zapach farby.

Angelo odkłada pudełka na stolik kawowy i rozsiada się na kanapie.

– Chodź tutaj – wzdycha, poklepując się po kolanach.

Wspinam się na niego bez chwili zastanowienia. Obejmuje mnie. Jedną dłoń trzyma na mojej talii, a drugą kładzie na moich udach.

– Spójrz na mnie, Rory.

Napotykam burzliwe spojrzenie jego zielonych tęczówek.

– Nikt po ciebie nie przyjdzie, a jeśli tak, będzie musiał przebić się przez całą cholerną armię, a potem przeze mnie. Alberto odszedł. – Wygląda krawat. – Zabiłem go.

Mówi to takim rzeczowym tonem, że ciężko uwierzyć, że jeszcze jakiś czas temu był kimś innym niż szefem mafii. Obserwuje uważnie moją twarz. Jego uścisk na mojej talii zacieśnia się i czeka na moją reakcję.

Jego słowa przez chwilę pulsują w moich skroniach, a potem z serca spada mi ogromny ciężar.

Przełykam ślinę i dotykam jego piersi. Milion pytań ciśnie mi się na usta: Jak to zrobił? Czy Alberto błagał go o litość? Czy stanął do walki? Czy to był powolny, bolesny koniec czy nawet nie wiedział, że się zbliża? A co z resztą rodziny? Nie potrafię sobie wyobrazić, że Dante zaakceptował to bez walki. I w tej chwili uświadamiam sobie, że Angelo mnie okłamał.

To jeszcze nie koniec.

Jednak żadne z tych pytań nie wychodzi z moich ust.

– Dziękuję – zmuszam się do wypowiedzenia tych dwóch prostych słów.

Rozbawienie tli się w kącikach jego ust.

– Nie ma za co. A teraz musisz jeść. – Wskazuje na stolik kawowy.

– Nie wiem, jaką lubisz, więc zamówiłem każdy rodzaj.

Śmieję się przytulona do jego piersi. Pachnie ogniskiem i ciepłą whisky.

– Z szynką i ananasem.

Marszczy nos.

– Jasna cholera. Już za późno, aby cię zwrócić? – Z pogardą zagląda do kilku pudełek, aż odnajduje pizzę hawajską.

– Już za późno. Ukradłeś mnie, pamiętasz?

Jego uśmiech jest mroczny i rozkoszny.

– Zgadza się. – Bierze kawałek i przykłada mi do ust. – Jedz.

Zamieram na chwilę i wyciągam dłoń po pizzę, a tymczasem Angelo zabiera ją z mojego zasięgu. *Chce mnie karmić?* Na moich policzkach rozlewa się rumieniec i czuję żar między udami. To tylko pizza, na litość boską, ale karmienie wydaje się takie... intymne.

Biorę kęs, nie odrywając od niego wzroku. Czuję, jak jego penis drga w spodniach i instynktownie poruszam udami.

– Niegrzeczna dziewczynka – warczy. – Najpierw jedzenie. Będziesz potrzebowała energii na później.

Mój puls przyspiesza i chociaż brzmi to bardziej jak groźba niż obietnica, uświadamiam sobie, że nie mogę się tego doczekać. Biorę kolejny kęs, chcąc zjeść pizzę i przejść do tego enigmatycznego „później”.

– Więc, hmm. Jakie konsekwencje pociąga za sobą uprowadzenie mnie?

Usta Angela drgają.

– Nie jestem pewien. Jestem nowicjuszem.

– Ach! Więc jestem twoim pierwszym jeńcem?

– Hmm – mamrocze, obserwując mnie z mrocznym rozbawieniem.

Wiję się tak, by czuć jego wzwód. Sposób, w jaki drga jego szczęka, a oczy zamykają się na krótką chwilę, sprawia, że czuję, jakbym miała władzę nad światem. Jego dłonie zaciskają się mocniej na moich biodrach, po czym wypuszcza z siebie delikatny syk.

– Nie powinieneś być taki delikatny wobec swoich jeńców.

– Nie? – Zaciska język między zębami.

Biorę kolejny kęs.

– Nie – mamrocze nad pizzą. – Sądzę, że nie.

Obserwuje, jak kończę kawałek i karmi mnie kolejnym w milczeniu. Jego wzrok wędruje po moim ciele, a szczęka drga w zamyśleniu.

– Myślę, że masz rację.

– W czym?

– W byciu za delikatnym. – Łapie za pasek moich dresów i mnie podnosi. Pudełko z pizzą ląduje na podłodze, gdy przerzuca mnie przez ramię i wybiega z pokoju.

– Co robisz? – piszczę, figlarnie uderzając pięściami o jego plecy.
– Idę przykuć cię do łóżka – warczy, dając mi mocnego klapsa w tyłek. – To wydaje się bardziej odpowiednie, zgadza się?

Przez moje ciało przebiega dreszcz podniecenia. Jego groźba brzmi niczym mroczna obietnica i pragnę, by się spełniła. Wpada do pokoju na górnym piętrze i rzuca mnie na łóżko. Udaje mi się szybko zerknąć na stojącą w rogu pokoju walizkę, a potem Angelo mnie pochłania, przyszpilając do łóżka swoją wagą.

Z jego ust wydobywa się zwierzęcy warkot, który wibruje na mojej piersi, sprawiając, że stają mi sutki.

– Wkurza mnie, że wyglądasz tak podniecająco w moich ubraniach
– warczy sfrustrowany, podciągając bluzę, którą założyłam po kąpieli. – Może nie kupię ci nowych ubrań. Zmuszę cię do noszenia moich starych szmat.

Mój śmiech zamienia się w jęk, kiedy rozwiera moje uda i pociera mocno moją lechtaczkę.

– Zamierzam pieprzyć cię tak ostro, że nie będziesz w stanie chodzić prosto przez tydzień.

Moje mięśnie się napinają. Jestem zdziwiona, że łączy nas taka harmonia, ponieważ on również zamiera. Podpiera się na rękach i przyszpila mnie spojrzeniem.

– Co się stało? – rzuca. Moje usta otwierają się i zamykają. Przybiera twardy wyraz twarzy. – Powiedz, o co chodzi.

Czuję napięcie pod skórą, gdy uświadamiam sobie, że pora wyznać temu mężczyźnie mój najgłębiej skrywany grzech.

W ustach mi zaschło, ale przełykam ślinę.

– Ja, hmm. Ja robiłam to tylko raz.

Rzuca mi gniewne spojrzenie i szarpie za pasek moich spodni.

– No jasne.

Uderzam go dłonią w pierś i niechętnie przerywa. Zirytowany podnosi wzrok.

– Mówię poważnie, Angelo. Nie uprawiałam seksu z tymi chłopakami... to tylko plotka.

Siada i wpatruje się we mnie. W moim wyrazie twarzy jest coś, co mu się nie podoba. Wiem, ponieważ jego spojrzenie mięknie, gdy sięga po poduszkę, którą podkłada mi pod głowę.

– Opowiedz mi o tym.

– Musiałam się przygotować do egzaminu końcowego z lotnictwa na akademii Devil's Coast. Zajęcia odbywały się raz w tygodniu po lekcjach. Każde budziły moją grozę, ponieważ uczestniczyło w nich pięciu chłopaków, którzy przyprawiali mnie o gęsią skórkę. – *Nawet po tak długim czasie w moich żyłach płonie złość. To przez nich zaczęłam popełniać grzechy.* – Zawsze poklepywali mnie po tyłku albo próbowali mi zrobić zdjęcie pod spódnicą.

Angelo syczy gorzko, a jego pierś napina się pod moją dłońią.

– Na ostatnich zajęciach przed egzaminem panowała dziwna atmosfera. Jakby to wszystko było jednym wielkim żartem, którego nie byłam częścią. Próbowалам się ulotnić, gdy tylko wyszedł profesor, ale jeden z chłopaków zaryglował drzwi. – Przenoszę wzrok na sufit. Czuję się niekomfortowo z powodu furii, która zaczyna ogarniać Angela. Lecz skoro już zaczęłam, to muszę skończyć. To jedyne, czego o mnie nie wie, a chcę by miał kompletny obraz mojej osoby. – Prowodyrem był Spencer. On i jego banda uchodzili w szkole za bogów. Nikt nie uwierzyłby, że mogli mieć cokolwiek złego na sumieniu. Spencer poinformował mnie, że rozmawiali i chcą wiedzieć, jak wygląda nago dziewczyna z Devil's Dip... – przerywam. Lecz to nadal nie wystarczy. Muszę to z siebie wydusić. – Próbowali mnie zgwałcić.

Staram się zachować panowanie nad własnym głosem.

– Starali się przytrzymać na biurku i zgwałcić.

Zapada ogłuszająca cisza. Zerkam na Angela. Przeraza mnie jego obojętny wyraz twarzy. Wzdrygam się, kiedy nagle wstaje, łapie komórkę i kluczyki do samochodu ze stolika nocnego.

– Dokąd się wybierasz? – Prostuję się.

– Podaj... mi ... nazwiska.

– Angelo...

– Nazwiska, Rory. – Jego głos jest szorstki i zduszony, jakby próbował – i przegrywał z tym – tłumić swoją wściekłość. – Daj mi też adresy. W tej chwili.

Na klęczkach łapię go za tył marynarki. Zamiera i spina się na mój dotyk.

– Proszę – błagam.

Zamiera, a potem opada koło mnie i łapie mnie za kark.

– Zabiłem każdego mężczyznę na tym wybrzeżu, który niewłaściwie cię dotknął. Począwszy od Maxa, a skończywszy na moim pieprzonym wujku. Te dzieciaki są następne w kolejce, a jeśli ktokolwiek poza mną tknie cię palcem, to też będzie martwy.

Przez moje ciało przebiega dreszcz, naładowany zarówno strachem, jak i podekscytowaniem. Tak naprawdę boję się dzisiaj zostać sama.

– Jutro – szepczę, przesuwając palcem po jego twardej piersi. *To szalone, że nadal nie wiem, co kryje się pod jego koszulką.* – Dzisiejszy wieczór chcę spędzić z tobą. Proszę.

Mięknie i wiem, że udało mi się go urobić. Jednym płynnym ruchem sadza mnie na kolana i łapie za szczękę.

– Jutro z samego rana. Napisz mi dzisiaj listę.

– Dziękuję – szepczę, wtulając się w jego szyję. – Jeśli to ci poprawi humor...

– Nic, co powiesz nie poprawi mi nastroju, Rory.

– Jednemu z nich odgryzłam ucho. – Angelo zamiera. – Więc łatwo go będzie znaleźć.

Mija kilka chwil, a potem mroczny rechot przetacza się nad moją głową.

– Serio?

– Aha. A innemu wcisnęłam kciuk tak mocno w oko, że jest częściowo ślepy.

– Jakie to było uczucie? – Jego silna, ciepła dłoń pociera moje plecy.

– Ekscytujące. – Uśmiecham się.

Odsuwa mnie od siebie i mi się przygląda. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że moje słowa wcale nie zgasiły jego ognia, pomimo że się uśmiecha.

– Powiedziałaś, że już raz to robiłaś. Jego nazwisko też chcę poznać.

– Nie. On nie ma z tym nic wspólnego. To miły chłopak ze szkoły.

– Potrząsam głową.

Szczęka Angela drga.

– Nie podoba mi się ta odpowiedź. Kochałaś go?

– Nie! Prawdę mówiąc, po tym zdarzeniu chciałam mieć to za sobą. Nie podobał mi się pomysł, że miałam coś, czego pragnęli

mężczyźni i że z taką łatwością mogą mi to odebrać.

– Alberto też był taki. Jemu też się tak wydawało.

– Dokładnie.

Jego nozdrza drgają, ale potakuje kurtuazyjnie.

– Nie ma seksu – ogłasza nagle. – Nie dzisiaj.

– Co...?

Spycha mnie na łóżko, wstaje i znika w garderobie. Czuję rozczarowanie, lecz gdy wraca z olbrzymią torbą, wzbudza moją ciekawość.

– Mam coś lepszego od seksu.

– Wątpię – mamroczę.

Angelo śmieje się, przechyla torbę i wysypuje na łóżko stertę słodyczy.

Grzebię w nich zdezorientowana, przeglądając różne batony i opakowania. Nie rozpoznaję niczego.

– Co to takiego?

– Brytyjskie słodycze. Wybrałem je dla ciebie, gdy dogrywałem sprawy w Londynie. Pomyślałem, że może chciałabyś spróbować czegoś, czego nie znajdziesz w lokalnym supermarkecie.

Wsuwa się za mnie, obejmuje mnie ramieniem w talii i przyciąga do siebie tak, że oblewa mnie rumieniem.

– Próbowowałaś żelek owocowych *Wine Gums*? – Pochyla się i mi je podaje. – Nie wiem, skąd wzięła się ta nazwa. Nie ma w nich alkoholu, ale świetnie smakują.

Bez ostrzeżenia wkłada mi jedną do ust i dotyka zaborczo mojego brzucha.

– Smakuje ci?

Potakuję. Lecz to nie o cholernych słodyczach myślę, lecz o nim. O nas. O tym.

Złe rzeczy przytrafiają się złym ludziom. Więc jakim cudem tak mi się poszczęściło?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Angelo

Siedzę w starym fotelu ojca. Ruszam szyją, ale to wcale nie uwalnia mnie od napięcia, jakie czuję w ramionach. Niepokój zakrada się pod moją skórę i drażni mnie niczym wysypka. Uświadamiam sobie, że spędziłem więcej czasu na zerkaniu przez drzwi gabinetu niż przeglądaniu rejestrów dostaw w porcie. *To dlatego, że nieustannie myślę o Rory.*

Mógłbym całymi dniami obserwować, jak śpi. Ciepła skóra, rozchylone usta i rozrzucone na poduszce złote loki. Zachowuję się niczym pieprzony pies obronny, w dodatku cierpiący na wściekliznę. To nie jest wcale takie proste.

Chrząkam sfrustrowany, łapię się za kark i zmuszam do ponownego spojrzenia w rejestr handlowy. Na litość boską, spędziłem dziewięć lat przewodnicząc firmie inwestycyjnej. Przywykłem do pracy z arkuszami kalkulacyjnymi wypełnionymi liczbami sto razy większymi niż te, lecz mimo to nic mi się tu nie klei.

Obsesja na punkcie Rory doprowadza mnie do szału.

Gdy udaje mi się wreszcie skupić na dokumentach, słyszę jak skrzypią deski podłogowe na końcu korytarza, przez co moje mięśnie brzucha się zaciskają.

Rory pojawia się w drzwiach. Mieszanka snu i skonsternowania odbija się na jej doskonałych rysach. Opieram się i obserwuję jej ciało. Muszę szybko kupić jej ubrania, ponieważ paraduje po domu w moich swetrach i koszulach jak w sukienkach. Doprowadza mnie tym do obłędu.

– Dlaczego mnie nie obudziłeś?

– Po co? – Na moich ustach pojawia się rozbawienie, gdy marszczy brwi. – Chodź tutaj.

Okręża biurko, a gdy znajduje się na wyciągnięcie moich ramion, biorę ją na kolana i się nią delectuję. Wdycham jej ciepły zapach, a następnie przebiegam dłońmi po jej nagich udach. Jest taka filigranowa i delikatna. Taka krucha. Czuję skurcz w piersi i mocniej zaciskam dłonie na jej talii. Mam wrażenie, jakby ktoś chciał tu wejść, by mi ją odebrać. Nie mogę się pozbyć tego uczucia.

Spędziłem dziewięć lat pragnąc dla siebie nowego życia. Takiego, które znajdowałyby się możliwie najdalej od Devil's Dip. A w ciągu zaledwie kilku tygodni porzuciłem to wszystko. Wróciłem do miasta, którego nienawidzę, by zacząć wojnę domową ze swoją cholerną rodziną. A wszystko dla niej. Dziewczyny, która przeklina, używając nazw ptaków, je wystarczająco dużo cukru, aby nabawić się cukrzycy i jest uzależniona od drobnych, złych uczynków.

Nie wspominając o tym, że jest wystarczająco młoda, aby być moją córką. Czasami myślę, że brakuje mi piątej klepki. Niczym szalencie wstałem o świcie i poświęciłem poranek, aby zapewnić jej możliwie najlepszą ochronę. Opiekunki jej ojca są teraz na mojej liście płac, a łajdacy, którzy ją napastowali, chłodzą się na dnie Pacyfiku z kilkoma cegłami przywiązanych do kostek. Nagle uświadamiam sobie, że odszedłem od zabijania jednego człowieka miesięcznie w ramach tradycji Anonimowych Grzeszników i przeszedłem do jednego zabójstwa tygodniowo. Wszystko sprowadza się jednak do niej.

Jej oddech pełza po mojej szyi. Wkurza mnie fakt, że to tak pobudza mojego penisa. Nie znoszę tego, że ma nade mną taką władzę. Przez nią czuję się słaby i żałosny. Klepię ją w udo, a następnie szczypię w płatek ucha.

– Musisz zakładać więcej ubrań w domu, dziecinko. Jeśli zobaczę, że którykolwiek z ludzi Gabe'a zerka w twoim kierunku, to odetnę mu jaja.

– Okej – chichocze sennie i z zadowoleniem.

Przeczესuję palcami jej gęste włosy, a następnie zanurzam w nich dłonie.

– Dzisiaj popołudniu umówię dla ciebie osobistego stylistę na zakupy. – Przerywam. – Mają ich tutaj?

Śmieje się i z rozbawieniem poklepuje mnie po piersi. Chwytam jej rękę i przesuвам ustami po jej dłoni.

– To Devil’s Dip, a nie Nowy Jork. Sama wybiorę się na zakupy. Zamieram i wiem, że to wyczuwa, ponieważ spogląda na mnie spod gęstych rzęs.

– Nie wyjdiesz z tego domu, dopóki nie będzie bezpiecznie, Rory.

– Dlaczego jest niebezpiecznie? – Prostuje się.

– Nie zwracaj sobie tym głowy, dziecinko. Upewnię się, że niczego ci nie zabraknie.

Odpycha się od mojej piersi i przyszpila mnie wściekłym spojrzeniem.

– Nie. Masz mi natychmiast powiedzieć, co jest grane. Chcę być informowana na bieżąco. Mam dość tego, że niczego nie wiem. Nie miałam pojęcia, że Alberto nie miał uprawnień, aby wyciąć rezerwat ani że szykowałeś się, by mnie stąd wyrwać, gdy zniknąłeś na cały tydzień. Nie ukrywaj przede mną prawdy! Już nigdy!

W jej tonie słychać frustrację, a ja myślę o tym, że ta dziewczyna złości się w uroczy sposób. Czuję neodparte pragnienie, aby położyć ją na biurku i klapsami wybić jej z głowy ten zuchwały ton. Lecz nie mam teraz na to czasu, więc odsuwam się i gładzę jej policzek.

– Nie mogę powiedzieć ci wszystkiego, Rory. – Otwiera usta, aby zaprotestować, lecz łapie ją za szczękę i warczę. – To nie podlega negocjacji. Powiem ci to, co powinnaś wiedzieć. Zgoda?

Na jej twarzy maluje się rozdrażnienie. Wiem, że to jej nie wystarcza, lecz niechętnie się zgadza.

– Zabiłem Alberta, a Dante został nowym szefem mafii w Devil’s Cove. To nie będzie spokojny czas i o ile go znam, zemsta będzie chłodna i wykalkulowana. Posiada własną armię i zawsze miał na oku Dip.

Na jej twarzy pojawia się panika. Mocniej zaciskam dłonie na jej szczękę.

– Nie ma się czym martwić, dziecinko. Gabe buduje armię dwukrotnie większą niż ta należąca do Dantego. Zaś Rafe uosabia wszystko, czym Dante zawsze pragnął być.

Bawi się końcówką mojego krawata i zagryza dolną wargę.

– Zanosi się na wojnę?

Instynktownie czuję pokusę, aby zaprzeczyć, lecz gdy wpatruje się we mnie swymi wielkimi oczami o barwie whisky, nie jestem w stanie kłamać.

– Tak – odpowiadam zwyczajnie. – Nie wiem kiedy, ale nadejdzie. Będę pracował do późna i nie będę mógł wracać do domu co noc.

Przez chwilę obserwuję ją w napięciu, oczekując jakiejś reakcji. Jestem zdziwiony, gdy na jej twarzy pojawia się nieśmiały uśmiech.

– To nawet ekscytujące.

Kręcę głową w niedowierzaniu, pstrykam ją w noski i przyciągam bliżej. Jej słowa są niewinne. To jedna z jej najseksowniejszych cech.

– Nie dla ciebie. Ty będziesz czekała.

Po jej twarzy przebiega rozczarowanie pomieszane z żalem.

– Rory, spójrz na mnie. – Nie daję jej wyboru, wplatam palce w jej włosy i ujmuję policzki w dłonie. – Nie jestem Albertem. Nie jesteś moim jeńcem, lecz należysz do mnie. Muszę cię chronić i zrobię, co w mojej mocy, aby dać ci wszystko, czego zapragniesz.

Przesuwam kciukiem po jej miękkiej dolnej wardze.

– O tyle, o ile mieści się to w tych czterech ścianach. Okej?

Potakuje i wyrywa się z mojego uścisku. Gdy ociera się wargami o moją szyję, jęczę w jej włosy i zaciskam dłonie na jej karku.

– Nie drażnij się ze mną, dziewczynko. Nie mam na to czasu.

Zamiera.

– Dlaczego? Dokąd się wybierasz?

– Mam spotkanie z Gabem i Rafem.

– Ach. Czy mogę...?

– Wyduś to sobie, Rory.

Odsuwa łok z twarzy i spogląda na mnie nerwowo.

– Mogę zaprosić przyjaciółkę?

– Kogo? – Moje spojrzenie ciemnieje.

– Tylko Tayce.

– Dziewczynę od tatuażu?

Potakuje, a ja przez chwilę się zastanawiam.

– Daj Gabe'owi listę przyjaciół, a on ich sprawdzi i będą mogli odwiedzać cię, kiedy tylko zechcą. Tayce może wpaść z wizytą.

– Dziękuję – wzdycha, a jej twarz rozświetla radość. Mam ochotę podarować jej wszystko, o co mnie poprosi. Wiem, że w końcu tak się stanie. – Czy mogę skorzystać z twojej komórki?

– A gdzie masz swoją? – Mrużę oczy.

– Mam tylko jednorazówkę, którą dostałam od Alberta.

Zapomniałem na jakiej krótkiej smyczy trzymał ją Duży Al. Wyjmuję z kieszeni telefon i kładę na biurku.

– Kupię ci własną komórkę. Zrób listę, czego jeszcze potrzebujesz.

Uśmiecha się, zaciskając dłoń na moim iPhone.

– Listy, listy, listy. Prawdziwy z ciebie biznesmen.

Wypuszczam powietrze z płuc i ściskam w dłoni jej sweter. Oczy Rory rozszerzają się, gdy nagle się podnoszę, przyszpilam ją udami do biurka, po czym wplatom dłoń w jej włosy i pochylam się.

Chrzanić to, znajdę czas.

Wyciągam ze spodni pasek.

– Pokażę ci dokładnie, jakim jestem typem człowieka, dziecinko.

Szukaj nadziei tam, gdzie powietrze jest słone, a klify strome.

Taką przepowiednię znalazłem w ciasteczku szczęścia. W tym, które kupiłem od laski z chińskiej dzielnicy w San Francisco. Zawierało dokładnie taką samą przepowiednię, która przekonała moją mamę do przeprowadzki na Wybrzeże.

Wszystkie wykonuje się w tych samych fabrykach. To raczej zbieg okoliczności niż przeznaczenie. Lecz właśnie to doprowadziło mnie do Rory i lubię myśleć, że mama miała z tym coś wspólnego.

Stoję na krawędzi klifu, bawiąc się wciśniętą do kieszeni spodni paczką papierosów. Nagle dociera do mnie, że nie paliłem, od kiedy sprowadziłem Rory do domu. Nie czuję się już taki zestresowany, od kiedy mam pewność, że jest bezpieczna.

Grafitowe chmury wiszą nisko na niebie. Coś złowieszczonego unosi się w powietrzu. Wiatr przynosi znajomy warkot silnika sportowego samochodu i chwilę później ramię Rafe'a ociera się o moje.

Dźwięk rzuconej kostki towarzyszy jego słowom.

– Oddaję się do twojej dyspozycji, bracie.

Wybucham śmiechem, podążając za jego spojrzeniem skierowanym na leżące u naszych stóp miasteczko.

– Poradzę sobie z portem. Wszystko pozostałe należy do ciebie.

– Nawet nie wiesz, jak długo czekałem na te słowa.

Doskonale wiem. Pomimo że jest jednym z najpotężniejszych ludzi na Zachodnim Wybrzeżu i ma całe Vegas na wyciągnięcie dłoni, Rafe

od zawsze miał dziwną obsesję na punkcie Devil's Dip. Interesuje go historia rodziny, fascynuje się domem. Zawsze wiedziałem, że w mgnieniu oka przeprowadziłby się z powrotem na Wybrzeże. Zresztą ja sam, co dość dziwne, odczuwam mroczne podekscytowanie z tym związane. Teraz spoglądam na Devil's Dip i nie męczy mnie już pragnienie, aby spalić to miasteczko do gołej ziemi.

Może udziela mi się entuzjazm Rafe'a, a może chodzi o to, że teraz Devil's Dip ma coś – a właściwie kogoś – kogo potrzebuję. To nowy początek. Początek nowej ery.

Lecz nie mogę rozpoczynać czegoś nowego obciążony sekretami.

Zerkam z powrotem na drogę i gdy dostrzegam, że nadal nie widać na horyzoncie harleya Gabe'a, pochodzę do grobu rodziców. Rafe do mnie dołącza.

– Muszę ci coś wyznać.

– Nie. Nie musisz tego robić...

– Muszę...

– Nie – przerywa mi ostrym i lodowatym tonem brat. Przyglądam mu się ze zdumieniem. Wbijają wzrok w grób. – Ja już wiem. Wiem, że mamę zamordowano i wiem, kto zabił ojca.

– Jak się dowiedziałaś? – Dopada mnie przerażenie.

– W noc zabójstwa zadzwoniłam do Anonimowych Grzeszników.

Marszczę brwi, zerkam na kościół i próbuję przypomnieć sobie szczegóły tamtej nocy. Wyraźnie pamiętam ciało ojca, a także silny zapach żelaza i mroczną satysfakcję, która popłynęła w moich żyłach. Jednak nie pamiętam, co wydarzyło się w okresie pomiędzy tym, jak siadłem przy jego biurku, a tym jak opróżniłem butelkę *Smugglers Club*.

– Nie wspomniałaś o tym.

Zapada cisza. Rafe pociera kciukiem usta, a jego diamentowy kolczyk połyskuje.

– Zadzwoniłam na gorącą linię, ponieważ chciałam, abyśmy się dowiedzieli, a nie abyśmy zareagowali. Wiedziałem, że powiesz nam o tym sam w odpowiednim czasie.

– Nie jesteś na mnie wkurzony.

Jego wzrok ciemnieje i nagle przypominam sobie, jakim atutem jest mieć Rafe'a po swojej stronie.

– Po tym jak usłyszałem, co zrobił mamie? Cieszę się, że zabiłeś łajdaka. A co z dzieciakiem?

Lodowata dłoń zaciska się na moim sercu. Potrząsam głową.

– Pracuję nad tym.

Kiwa głową.

Przez jakiś czas stoimy w ciszy, dopóki z oddali nie wyłania się motocykl Gabe'a. Rafe poklepuje mnie po plecach, a mroczny rechot wyrywa się z jego ust.

– Anioły z Devil's Dip znowu razem. Kurwa, zawsze tego pragnąłem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Rory

– Cholera jasna, Rory. Twoje życie jest niczym gotycka powieść.

Właśnie skończyłam opowiadać Tayce wszystko, co mi się przytrafiło, począwszy od podpisania kontraktu z Albertem, aż do momentu, w którym Angelo przywiózł dla mnie słodycze z Londynu. Oczywiście pominęłam mroczniejsze momenty, takie jak kląpsy w kościele oraz rozważanie zepchnięcia starego Viscontiego z klifu. Chyba lubię mieć na sumieniu grzechy, które dzielę tylko z Angelem.

Tayce siedzi naprzeciwko mnie na kanapie, zwinięta pod kocem, ze stertą brytyjskich słodyczy na kolanach. Jej usta są otwarte w niedowierzaniu.

– Nie mogę uwierzyć, że Angelo Visconti się w tobie zakochał.

– Nie zakochał się. – Na samą myśl palą mnie uszy.

– Daj spokój, Rory. Zostawił dla ciebie życie w Londynie i wrócił do Devil's Dip. Jest w tobie zakochany tak bardzo, że aż mi niedobrze.

– Ma rację, że jestem zakochany.

Obie podskakujemy na dźwięk jego głosu. Przesuwam na niego wzrok. Z szerokim uśmiechem opiera się o framugę.

Moja twarz płonie z zażenowania. *Czy on właśnie przyznał się, że jest we mnie zakochany?* Nasze intensywne spojrzenia się spotykają, na co w odpowiedzi głośno przełykam ślinę. Coś zmienia się w powietrzu i Tayce to czuje, ponieważ wstaje, wrzuca do torebki garść słodyczy i posyła mi znaczący uśmiezek.

– Ja... już będę się zbierać.

– Przydzielę ci obstawę do domu, Tayce.

– Nie ma takiej potrzeby. Potrafię o siebie zadbać – rzuca szyderczym tonem.

– To nie podlega negocjacji – odparowuje Angelo. Nie odrywa ode mnie wzroku i potrząsa głową.

Tayce wzdycha i wywraca oczami.

– Widzisz? To dlatego powinnaś była przyjść do mnie, zanim tak skwapliwie rzuciłaś się w objęcia członka mafii. Powiedziałabym ci, jacy są walnięci! – Gdy mija Angela, poklepuje go po ramieniu i dodaje. – Lecz tak na poważnie, to dziękuję za ocalenie mojej przyjaciółki przed tym tłustym obleśnym staruchem.

– Do usług. – Angelo obdarza ją uśmiechem.

– I jeśli usłyszę o czymś w salonie, to dam wam znać.

– Doceniam to. – Angelo poważnieje.

– A, i jeśli kiedykolwiek zechcesz sobie wytatuować imię Rory w serduszkach na piersi, służę pomocą. Przyjmę cię poza listą oczekujących.

– Brzmi niczym oferta nie do odrzucenia.

Żegnamy się i Tayce znika przez wejściowe drzwi z jednym z krzepkich ludzi Gabe'a, który podąża za nią niczym cień.

Nasze spojrzenia znowu się krzyżują i nagle ogarnia mnie nieśmiałość.

– Chodź tutaj – nakazuje Angelo.

Potrząsam głową.

– Ani mi się waż jeszcze raz mi odmówić. – W jego oczach błyszczą rozbawienie.

Udaję, że wzdycham, podnoszę się i zmierzam w jego kierunku. Z każdym krokiem moje serce bije coraz szybciej. Mężczyzna spogląda na mnie spod przymrużonych powiek, nie wyciągając rąk z kieszeni. Wygląda, jakby oczekiwał jakiegoś ruchu z mojej strony.

– Czy to miałeś na myśli? – wyduszam z siebie. Pytanie zawisa w powietrzu.

Zaciska zęby na dolnej wardze i potakuje. Ten nieznaczny ruch sprawia, że się rozplwam.

Nie sądziłam, że można czegoś tak mocno pragnąć i jednocześnie się tego obawiać. Najbardziej na świecie pragnę, by obdarzył mnie uczuciem. Jednak chwilami na samą myśl o tym mam ochotę zwać przez najbliższe okno.

Moje serce wali w piersi. Świerzbią mnie palce, aby go dotknąć.

– My nawet się nie całowaliśmy – szepczę. To brzmi żałośnie. W głębi duszy jestem przekonana, że pocałunek by niczego nie zmienił.

– Zatem mnie pocałuj – rzuca mi wyzwanie.

– Okej. – Zamieram.

– Dobrze.

Przełykam ślinę, kładę mu dłoń na karku, a chwilę później przyciągam go do siebie. Czeka nieruchomo w milczeniu, przyglądając mi się spod przymrużonych powiek. Staję na palcach, a mimo to muszę wyciągnąć szyję, aby w ogóle znaleźć się w pobliżu jego ust. Na moment zamieram, wsłuchując się w nasze ciężkie oddechy. Przysuwam się jeszcze bliżej, by nasze usta ocierały się o siebie. Wargi Angela są miękkie i ciepłe. Przez chwilę wydaje mi się, że nie zareaguje, lecz potem rozchyła wargi. Przyciskam się mocniej do jego ust i wsuwam język do środka. Mój idealny mężczyzna wydaje z siebie gardłowy jęk, wywołując między moimi udami uczucie gorąca. Kładę dłoń na jego piersi i próbuję się odepchnąć, aby powiedzieć coś seksownie kąśliwego, lecz napotykam jego spojrzenie. W końcu łapie mnie za włosy i przyciąga do siebie.

Jego pocałunek jest głęboki, mokry, niepokojący i zdesperowany. Jest niczym jałowa pustynia, która potrzebuje deszczu. Jego dłonie wędrują po moim ciele, aż w końcu zatrzymują się na tyłku. Łapie mnie za pośladki, podnosi moje biodra i przyciska mnie do swojego twardego penisa. Jest ostry i nieustępliwy, ale wcale nie chciałabym, aby zachowywał się w inny sposób. Nawet gdy drapie zębami moją dolną wargę, klepie mnie w tyłek i zduszonym głosem syczy mi do ucha słowa pełne jadu.

– Masz dziesięć sekund, aby znaleźć się w moim łóżku. Inaczej stracę cierpliwość.

Zerkam ukradkiem na jego rozpaloną twarz, po czym odwracam się i podążam na górę. Zanim docieram do jego sypialni, dogania mnie, obejmuje dłońmi w talii, a następnie rzuca na łóżko.

Brakuje mi tchu. Upajam się podnieceniem, które mnie ogarnia. Angelo góruje nade mną, przekręca na plecy, a następnie rozchyła moje uda. Przesuwa wzrokiem po własnych ubraniach, które mam na sobie i pociera szczękę, jakby próbował kontrolować swoje pragnienie.

– Kurwa. Wiedziałem, że będziesz dobrze wyglądała w moim łóżku – rzuca.

Decyduję się nie ułatwiać mu zadania, ponieważ jestem uzależniona od jego spojrzenia. Za jednym zamachem ściągam

sweter i wypinam biodra. Zanurzam się w jego spojrzeniu, a on opuszcza się nade mną na łokciach, odchyła miseczki mojego stanika i przyciska się do moich piersi. Pożądanie uderza we mnie z siłą pioruna i umiejscawia się między udami. Pociągam go mocno za włosy. Gdy zajmuje się moimi piersiami, jego ręka wsuwa się pod moje stringi.

Jego dłoń jest szorstka i spragniona. Chwyta mnie z desperacją, która przyprawia mnie o gęsią skórkę. Jego palce zaciskają się na moich mokrych wargach. Gdy pociera palcem wskazującym łechtaczkę, wydaję z siebie okrzyk. Śmieje się wtulony w moje piersi.

– Jesteś taka wilgotna, dziecinko. – Wsuwa we mnie jeden palec, potem kolejny i rozciąga mnie, sprawiając, że płonę. – Pragnę spić każdą kropelkę twoich soków.

Sunie ustami wzdłuż mojego brzucha, aż jego wargi docierają do paska moich stringów. Warczy jak zwierzę, zaciska zęby na koronce, jakby chciał ją rozerwać niczym ofiarę.

– Przestań – wyduszam z siebie, chociaż każda cząsteczka mojego ciała pragnie tego, co robi.

– Co? – Zamiera, a w jego spojrzeniu pojawia się błysk.

– Ja... – jęczę i podnoszę się na łokciach.

Gdy końcówka zdania wisi nad nami, wydaję z siebie warknięcie i zirytowany pociera moją łechtaczkę.

– Wyduś to z siebie, dziecinko.

– Widziałeś i dotykałeś każdą część mojego ciała, ale ja nie widziałam ciebie. – Przełykam ślinę i czuję, że serce podchodzi mi do gardła. – Pragnę cię zobaczyć.

Zamiera na chwilę. Jego spojrzenie się zwęża, a potem na jego twarzy pojawia się psotny wyraz. Bez słowa siada na piętach i zsuwa się z łóżka. On zna każdy łuk mojego ciała i wszystkie moje grzechy, a ja nadal nie mam pojęcia, co kryje się pod włoskimi garniturami i kaszmirowymi swetrami.

Nie odrywając ode mnie wzroku poluźnia krawat i rzuca go na bok. Następnie zdejmuję koszulę i odkrywa opalony, jędrny brzuch oraz mięśnie. Wygląda jak marmurowa rzeźba.

– Kurka wodna – mamroczę, bardziej do siebie niż do niego, ale moja uwaga wywołuje delikatny uśmiech na jego ustach.

Zdejmuje pasek, a potem spodnie. Czuję się speszona na widok jego wzrodu rysującego się pod czarną bielizną od Calvina Kleina.

Nieznane jest jednocześnie przerażające i kuszące. Praktycznie ślinię się w oczekiwaniu na to, co kryje się pod materiałem.

Podnosi ramiona, po czym przeczesuje palcami włosy. W jego oczach błyszczą złe intencje.

– Chodź i przekonaj się sama.

Najpierw pocałunek, a teraz to. Jego zachowanie jest zupełnie odmiennego od tego, gdy dominował nade mną przy naszej zabawie z pasem. Lecz nagle uświadamiam sobie, że to z powodu mojego braku doświadczenia chce, aby wszystko odbyło się na moich, a nie jego warunkach. To ja mam kontrolę. Po sposobie, w jaki zaciska dłonie w pięści, mogę powiedzieć, że walczy ze sobą.

Łapię ciężki oddech i wyplątuje się z biustonosza oraz majtek. Rzucam je na stertę ubrań. Potem zsuwam się na brzeg łóżka, kłękam i przesuwam jednym palcem wzdłuż jego brzucha. Napięcie wstrząsa nim falami, a gdy mój palec dociera w okolicę jego bielizny, zamyka powieki i zaciska szczękę. Zatrzymuję się na chwilę, pocieram jego ciemne owłosienie, lecz on wydaje z siebie warknięcie i łapie mnie za nadgarstek.

– Nie czas na gierki – rzuca. – Dotknij go.

Wzdycham na jego zjadliwy ton, wsuwam dłoń pod pasek majtek i ujmuję w dłoń jego penisa.

Wypuszcza z siebie syk i odrzuca głowę do tyłu. Jego mięśnie brzucha zaciskają się.

O kurka. W chwili, gdy owijam wokół niego palce, czuję, że to ponad moje siły. Przeraża mnie jego wielkość, żar i grubość. Budzi się we mnie chorobliwa ciekawość, ale też wątpliwości, jak się we mnie zmieści.

Sfrustrowany Angelo zagryza wargi, popycha mnie na łóżko i wspina się na mnie. Rozdziela kolanem moje uda. Jedną dłonią obejmuje mnie za szyję, a drugą przysuwa penisa do mojej cipki.

– Zapytaj mnie o grzech, Rory – warczy i szczypie mnie w płatek ucha.

– Wyznaj mi grzech – jęczę i unoszę biodra, lecz odpycha mnie na łóżko.

– Myśl o pieprzeniu cię zdominowała mój dzień do tego stopnia, że stanął mi już w drodze do domu.

Jęczę, czując jak się we mnie wsuwa. Jest gładki i delikatny. Zupełnie inny niż jego głos.

Zaciskam dłoń na jego szczęce, a on się zatrzymuje. Przyciskam do niego usta. Mieszanka bólu i przyjemności płynie w moich żyłach niczym narkotyk.

– Jeszcze jeden – błagam.

Angelo napiera na mnie coraz mocniej, trzymając mnie silną dłonią za kark.

– Te majteczki, które zostawiłaś w samolocie. Pieprzyłem je tak wiele razy, że straciłem rachubę.

– Tak?

– Tak – chrząka. Przysuwa się jeszcze bliżej. – I ten pieprzony dopasowany biustonosz.

Jęczę pod jego ciężarem i po każdym wyszeptanym mi do ucha postępkowi. Wypełnia mnie nimi. Jego biodra ocierają się o moje, wzniecając pożar pożądania w moim wnętrzu.

– Zabiłem Maxa, ponieważ nie podobał mi się sposób, w jaki cię dotykał.

– Nigdy nie byłem wierny żadnej dziewczynie. Gdybyś знаła mnie wcześniej, to nienawidziłabyś mnie – wymienia kolejny grzech.

– W Halloween musiałem zjechać na pobocze i ulżyć sobie na myśl o tobie. Nie udało mi się wytrzymać do domu – kontynuuje.

Jego wyliczanka mnie podnieca. Jestem rozdarta, utknęłam w desperackim stanie zawieszona pomiędzy pragnieniem, aby to się nigdy nie kończyło, a gorączkową pogonią za osiągnięciem orgazmu. Cała drzę, gdy w końcu szczytuję. Angelo zamiera, jego penis we mnie drga i obserwuje mnie zafascynowany, gdy wymawiam jego imię.

– Kurwa – jęczy mi do ust, poruszając się we mnie powoli. Szczypie moją dolną wargę. – Jesteś najbardziej podniecającą kobietą, jaką spotkałem.

Jego gorące, lepkie nasienie spływa między moimi udami. Wciąga mnie na siebie. Leżę na jego piersi. Jego serce bije mocno i szybko, dopasowując się do ciężkiego oddechu.

– Też cię kocham.

Zamiera. Przestaje zataczać kółka palcem na moich plecach. Jestem taka otumaniona podnieceniem, że te słowa same mi się wymknęły. Moje serce uderza raz, drugi. A potem uświadamiam sobie, że wcale nie chcę ich cofnąć.

– Powtórz, co mówiłaś.

– Kocham cię. – Uśmiecham się.

Jego pierś podnosi się i opada. Wypuszcza z siebie długi syk.

– Jestem złym człowiekiem, Sroczo.

– A ja niegrzeczną dziewczynką. W czym rzecz?

Rechocze, potem ujmuje moją dłoń i pociera kciukiem mój palec serdeczny. Wpatruje się w niego w zamyśleniu.

– Gdy powiem, że należysz do mnie, to na zawsze. Żadnych ale. Nie możesz się rozmyślić. Na pewno tego chcesz?

Unoszę się na łokcie i spoglądam na niego. Mija chwila, a żadne z nas nie odwraca wzroku.

– Dajesz mi wybór?

– Nie. – Mruży oczy. – Chyba, że chcesz?

Z uśmiechem splatam nasze palce. Jego są potężne i szorstkie, a moje kruche i miękkie. Już zawsze pragnę czuć dotyk tych dłoni na ciele. Nadal mam wrażenie, jakby to nie działało się naprawdę. Nie jestem w stanie uwierzyć, że mogę go dotykać, kiedy tylko zapragnę.

– Myślałam, że szefowie mafii biorą, co zechcą.

Chrząka, a przez jego twarz przebiega wyraz podirytowania.

– Pragnę, abyś była szczęśliwa. – Już mam rzucić wredną ripostę, lecz przerywa mi, chwytając mnie za włosy i przyciskając swoje usta do moich. – Nie tak zwyczajnie szczęśliwa. Mam na myśli prawdziwe cholerne szczęście.

Warczy mi do ust, ujmuje w dłonie mój tyłek i wciąga mnie na siebie.

– Tak szczęśliwa, że nie będziesz mogła powstrzymać się od śmiechu, a przy tym nie będziesz chciała kłaść się spać, ponieważ rzeczywistość będzie lepsza niż marzenia. Chcę, abyś była tak nieziemsko szczęśliwa, żeby dostrzegali to inni. – Lekko sfrustrowany szczyplenie mnie w dolną wargę, a jego palce zanurzają się głęboko między moje uda. Wsuwa je do środka. – Jeśli chcesz do mnie należeć, właśnie tak cię uszczęśliwię, Rory.

Na samo wspomnienie jego penisa między moimi udami w moim ciele rozlewa się ciepło.

– A jeśli nie zechcę?

Zamiera, podnosi mój podbródek i nasze spojrzenia się krzyżują.

– Klęknię i będę cię błagał, aż będziesz miała mnie tak dosyć, że zgodzisz się należeć do mnie.

Rozbawienie widoczne w jego oczach mówi mi, że częściowo żartuje, lecz intensywność jego głosu sugeruje, że mówi śmiertelnie poważnie. Zagryzam wargi i poruszam się na nim.

– Hmm. Angelo Visconti na kolanach. – Udaję, że to rozważam. – Jak to by wyglądało?

Mruży oczy i potrząsa głową. Pełne niedowierzania westchnienie wyrywa się z jego ust. Potem jego dłonie odnajdują moją talię i bez trudu ściąga mnie z kolan. Zanim zadaję pytanie o to, co wyprawia, ląduję na brzegu łóżka, a mój idealny kochanek gwałtownie rozsuwa moje uda i zanurza się między nimi, klęcząc na dywanie.

Wydaję z siebie jęk. Wpatruje się w moją cipkę, jakby go wkurzała. Potem wbija we mnie wzrok pełen żądz i czegoś mroczniejszego.

– Pokażę ci, jak to wygląda. A teraz bądź dobrą dziewczynką i wyjęcz moje imię, podczas gdy ja się tobą zajmę.

Wszystkie pyskate komentarze wyparowują z mojej głowy, kiedy jego głodne usta zanurzają się między moimi udami.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Rory

Następnego poranka budzi mnie rozlegający się pod oknem głośny odgłos wiercenia. Rozglądam się za Anżelem. Nie ma go w łóżku. Pomimo satysfakcjonującego bólu pomiędzy nogami i wypełnionego radością serca, dopada mnie uczucie podirytowania.

Przerzucam nogi za łóżko i maszeruję prosto do okna. Dzisiejszego poranka chmury wiszą wyjątkowo nisko. Gabe pochyla się nad stołem stolarskim w ogrodzie i znęca się nad trzymanym w dłoni narzędziem. Zerkam na ekran swojej nowej komórki. Już prawie ranek.

Narzucam na siebie sweter Angela, po czym schodzę na dół, aby go odszukać. Zastaję go na kanapie w salonie ze słuchawkami w uszach i laptopem na kolanach.

Z kawą w dłoni, ubrany w garnitur, wygląda jak typowy biznesmen, którego udawał przez ostatnie dziewięć lat.

Staję za nim, wyjmuję jedną słuchawkę z jego ucha i przyciskam do niego usta. Nawet nie drgnie, jakby wyczuł moją obecność znacznie wcześniej.

– Obudziła mnie obsesja twojego brata na punkcie odnawiania domu. Jestem w nastroju do robienia złych rzeczy.

Dostrzegam, że się uśmiecha. Powoli zwraca twarz w moim kierunku, tak że jego wargi ocierają się o kącik moich ust. Ledwo mnie dotyka, ale i tak uginają się pode mną kolana.

– Już nie musisz czynić zła, dziecinko. Ja cię wyręcę.

Okrażam kanapę i zatrzymuję się przed nim. Wyjmuje drugą słuchawkę, zamyka laptopa i rzuca wszystko na stolik kawowy. Kładę dłoń na biodrach. Cieszy mnie sposób, w jaki się porusza i przesuwa wzrokiem po całym moim ciele. Mam wrażenie, jakbym była jego ulubioną striptizerką w ukochanym klubie, w którym czeka, aż przed nim zatańczę.

– Doceniam to, ale lubię czynić zło. To poprawia mi nastrój. Unosi głowę, a w jego oczach błyszczą rozbawienie.

– Co masz na myśli?

– Zamierzam zawiązać na węzeł zaciskowy sznurówki w butach twojego brata. Nie da się go rozwiązać. – Wzruszam ramionami i trzepoczę rzęsami. – To będzie pomniejsza niedogodność. Nie chcę go za bardzo wkurzać. W końcu zostanie moim szwagrem.

Angelo milczy i wpatruje się we mnie z dumą w oczach. Jego twarz mówi: „to moja dziewczyna”.

Przeciąga dłońią po moim udzie i pobudza mnie. *Czy kiedykolwiek zdołam przywyknąć do jego dotyku?* Nie wyobrażam sobie brania go za pewnik. Staję między jego nogami. Czekam, aż pokaże, czego pragnie. Już zdecydowałam, że cokolwiek by to nie było, zrobię to. Jest tyle rzeczy, których nie robiłam z żadnym mężczyzną, że czuję przemożne pragnienie, aby on był tym pierwszym.

Gdy jego palce ocierają się o brzeg moich majtek, wypuszcza z siebie niskie westchnienie.

– Co ci mówiłem o paradowaniu w takim stroju, gdy w domu są inni mężczyźni? – Zanim udaje mi się odpowiedzieć, owija przedramieniem moje nogi i sadza mnie sobie na kolanach.

Dzieli nas kilka centymetrów. Zanurzam się w jego spojrzeniu. Moje ubrania są szerokie i luźne, a jego eleganckie i szyte na miarę. Mój ciężki oddech kontrastuje z jego lodowatym bezruchem.

Ociera się o mnie nosem i zatapia w mojej szyi. Wdycha poranny zapach i pojękuje. Sposób, w jaki jego pierś unosi się pod moją dłońią, daje mi poczucie władzy.

– Nadal jesteś pewna co do tego, o czym rozmawialiśmy zeszłej nocy, dziecinko? – szepcze mi do ucha. – Od ręki mogę cię zabrać do lekarza.

Przełykam ślinę, a moje powieki drżą, gdy czuję jego gorący oddech na skórze. Po trzecim razie Angelo uświadomił sobie, że kochamy się bez zabezpieczenia. Nagle poczułam się głupia. Byłam nim tak pochłonięta, że nawet do głowy nie przyszło mi, że powinniśmy się zabezpieczyć. Lecz to ulotne uczucie wkrótce zastąpiło nieznane mi dotąd rozkoszne ciepło na dnie żołądka.

Ogarnęła mnie tak wielka satysfakcja i zadowolenie, że mogłyby wypełnić mnie do końca życia. Może jestem młoda i głupia, bo mam

zaledwie dwadzieścia jeden lat, ale wiem, czego pragnę. Chcę Angela. Chcę wszystkiego, co się z nim wiąże, włączając w to małżeństwo, dzieci i nieustanną groźbę wojny. Pragnę jego wszystkich grzechów i sekretów. Marzę, by poznać jego każde wspomnienie i żeby połączyły nas miliony wspólnych przeżyć.

Gdy mu o tym powiedziałam, pocałował mnie tak mocno, że myślałam, że się rozpadnę.

– Jestem pewna – mówię, potwierdzając odrzucenie propozycji wizyty u lekarza.

Dostrzegam malującą się na jego twarzy ulgę. Wplata dłoń w moje włosy i przyciąga mnie do piersi.

– Dzisiaj jestem zajęty, dziecinko.

– Zatem zostawię cię samego – mamroczę, wtulona w jego białą koszulę, nie mając zamiaru się ruszyć.

Jego dłonie przebiegają po moim kręgosłupie i zatrzymują się w dole pleców. Pociera pasek moich majtek i je ze mnie zsuwa.

– Nie, dopóki nie wyrucham cię do utraty zmysłów. Dopiero wtedy będziesz mogła odejść.

Kładę dłoń na jego piersi i odchylam się, aby na niego spojrzeć.

– Jestem obolała – mówię nieśmiało.

– To lepiej scałuję to miejsce – rzuca bez emocji i wahania.

Milczę. Jego spojrzenie przesuwa się po mojej zarumienionej twarzy, gdy próbuję rozpiąć guziki jego koszuli. Z niecierpliwym westchnieniem dwoma palcami ujmuje mój podbródek i go unosi.

– Nie pragnę cię dla twojej wąskiej szparki, Sroczo. Chcesz leżeć na mojej piersi i oglądać film, podczas gdy ja będę cię karmił gumą do żucia niczym współczesną Kleopatrze? Mi to pasuje.

– Nie. Nie o to chodzi. – Nie potrafię ukryć uśmiechu.

– Zatem o co? – W jego wzroku pojawia się mrok.

Moje drżące dłonie przesuwiają się po jego koszuli, a jego mięśnie brzucha zaciskają się pod moim dotykiem. Chwytam jego sprzączkę od paska i spoglądam na niego.

– Chcę...

Zamiera, a potem powolny uśmiech pojawia się na jego twarzy.

– Czego pragniesz, Rory? Użyj słów.

Zgrzytam zębami, zaciskam szczękę i przełykam ślinę.

– Chcę possać twojego penisa, ale nigdy wcześniej tego nie robiłam. Okej? – W moim głosie słychać mieszkankę frustracji i zażenowania.

– Nigdy nie robiłaś loda? – Wzdrygam się na śmiech Angela. Wyśmiewa się głośno z mojej niewinności. Każdy może to usłyszeć.

Czuję, że palą mnie uszy.

– Zapomnij – rzucam.

Próbuję zejść z jego kolan, lecz łapie mnie w tali i przyciąga do krocza.

– Nigdy tego nie zapomnę – rzuca, a wszelkie ślady wesołości nagle wyparowują. Zastępuje je mroczna żądza w jego głosie. – Mówisz poważnie?

– Przecież mówiłam ci, że byłam tylko z jednym chłopakiem i to było...

Zaciska potężną dłoń na moich ustach i mi przerywa.

– Wspomnij jeszcze raz o tym facecie, a wrzucę go do Pacyfiku razem z kilkoma cegłami przywiązanymi do kostek.

Wypowiada tę groźbę takim lekkim tonem, że nie mam wątpliwości, iż już to przerabiał. Opanowanie w jego tonie wciska się ciężko pomiędzy moje uda, które zaczynają pulsować od żaru pożądania. Przebiega kciukiem po mojej dolnej wardze.

– Wyssiesz mi, dziecinko? – szepcze, wpatrując się w moją twarz.

– Czy zamierzasz stać nieruchomo niczym uwięziona w światłach reflektorów sarenka?

Strącam jego dłoń.

– Nie wiem, jak to się robi – mamroczę.

Jego usta drgają.

– Dopóki będzie w twoich ustach, będzie zadowolony. – Wpatrujemy się w siebie przez chwilę. W jego wzroku tańczy rozbawienie, a moje spojrzenie płonie, tak że mogłoby wypalić w nim dziurę. W końcu odchrząkuje. – Proszę.

Jego dłoń ponownie zbliża się do moich ust i wsuwa palec między moje rozchylone wargi.

– Ssij – żąda.

Bez zrywania kontaktu wzrokowego przebiegam językiem od kostek od końcówki palca, a potem ssę. Jego oczy rzucają ostrzeżenie

i mamrocze przekleństwa, które nie do końca są dla mnie zrozumiałe.

– Widzisz? Przychodzi ci to z łatwością – mówi zduszonym głosem.

Wypina biodra, a jego twardy penis mocniej naciska na moją łechtaczkę. Mimo obojętności malującej się na jego twarzy, dostrzegam, że zaczyna się niecierpliwic. Zaciska dłonie w pięści.

Biorę głęboki wdech i osuwam się przed nim na kolana. Szybko wyjmuję z kieszeni komórkę i przystawia ją do ucha. Słysząc trzy sygnały. Potem w oddali milknie odgłos wiercenia.

– Powiedz swoim ludziom, że salon jest niedostępny, dopóki tego nie odwołam.

Nie czekając na odpowiedź, upuszcza komórkę na kanapę i spogląda na mnie.

– Nie mam całego dnia, Sroczo – pojękuje z niezadowoleniem.

Zwracam uwagę na rysujące się pod materiałem spodni wybrzuszenie.

Jednym płynnym ruchem rozpinam jego pasek i suwak. Napięta linia ramion i szczęka świadczą, że jest spięty, lecz zachęca mnie delikatnym ruchem.

Drżą mi dłonie, gdy zsuwam jego majtki i ujmuję w dłoń penisa. O kurka. Uprawialiśmy seks kilka razy, ale nigdy nie widziałam go z bliska. W jasnym świetle dnia wydaje się większy. W dotyku jest gładki, gruby i onieśmielający.

Staram się opanować narastającą panikę. *Oglądanie filmów i bycie karmioną gumą do żucia nie brzmi tak źle...*

– Possij go.

Drgam, słysząc w jego głosie mieszankę jadu i desperacji. Nie jest mężczyzną, który toleruje, gdy ktoś się z nim drażni. Rozsuwa mocniej uda i zarzuca ramię na oparcie kanapy. Wpatruje się we mnie z oczekiwaniem.

No dalej, Rory. Tak jak z palcem. Więc tak to traktuję. Wysuwam język, aby polizać go od podstawy do koniuszka. Gdy docieram do główki, jego mięśnie brzucha się napinają i prawie bezgłośnie syk wyrywa się z jego ust. Ten dźwięk mnie podnieca do tego stopnia, że podnosi mi włoski na karku. Robię to ponownie. Tym razem

napinam język i drażnię nim końcówkę jego penisa, co wywołuje cichszy jęk.

– Tak. Dokładnie tak – mamrocze, ściskając i rozprostowując pięść. – A teraz pokaż mi, jak głęboko dasz radę go włożyć.

Siadam na piętach, wycieram dłonią wilgotne usta i wpatruję się uważnie w jego penisa. Boję się, że się nim udławię. Opieram się dłońmi o jego uda i wkładam go do ust, zatrzymując się na długości dwóch trzecich, kiedy jego końcówka dotyka mojego gardła.

Wydaje z siebie gardłowy jęk. Doprowadza mnie do szaleństwa.

– Spokojnie – oddycha. Wplata dłonie w moje włosy i delikatnie odpycha moją głowę. – Dasz radę włożyć głębiej.

Opieram się, ale jego chwyt się tylko zaciska. Zerkam na niego.

– Myślałem, że jesteś niegrzeczną dziewczynką? – mówi z niebezpiecznym uśmiechem na ustach.

Te dwa słowa mają tak potężną moc, że moja łechtaczka zaczyna pulsować nowym, gorączkowym i desperackim rytmem. Rozluźniam gardło, a wtedy wsuwam go trochę głębiej. W oczach stają mi łzy i boli mnie szczęka. Lecząc rozlewający się między moimi udami przyćmiewa wszelkie inne doznania. Rozluźniam żuchwę i pozwalam Angelowi kontrolować rytm. Góra, dół. Jego oddech staje się coraz szybszy, a oczy ciemnieją z każdym uderzeniem penisa o tylną ścianę mojego gardła.

– Kurwa, dziecinko – mówi szorstkim tonem, odrzucając głowę na kanapę. – Przez ciebie zacznę za szybko dochodzić.

Nie mam pojęcia, o czym mówi, dopóki z jego ust nie wydobywa się zduszony jęk i dreszcz nie przebiega jego ciała. W końcu czuję szarpnięcie, a gorąca, słona ciecz wypełnia moje usta. Wstyd się przyznać, ale łapczywie ją przełykam. Podnosi moją głowę jedną dłonią, a drugą ujmując nasadę penisa, jakby chciał wycisnąć go do ostatniej kropli.

Przez kilka chwil jęczymy w tym samym rytmie. Mój policzek spoczywa oparty o wnętrze jego uda. Czochra mi włosy.

Nagle zamiera. Kanapa jęczy, gdy siada wyprostowany.

– Połknęłaś?

– Tak. – Rzucam mu nieśmiałe spojrzenie.

Oblizuje wargi i potrząsa delikatnie głową.

– Jesteś niesamowita. Chodź tutaj.

Wdrapuję się na kanapę i zwijam koło niego. *Ta-dam. Ta-dam. Ta-dam.* Słyszę jak bije mu serce i czuję się wspaniale, mając pewność, że to moja zasługa.

– Przypuszczam, że powinnam pozwolić ci kontynuować pracę – wzdycham, niechętnie wysuwając się z jego objęć.

– Właściwie zasłużyłaś, aby pomagać – odpowiada gardłowym tonem.

Zanim zdążam zapytać, co ma na myśli, podnosi ze stolika kawowego słuchawki i mi je wręcza. Potem otwiera laptopa i stuka w kilka klawiszy.

Znajomy głos rozlega się w moich uszach.

– *Dodzwoniłeś się do Anonimowych Grzeszników. Wyznaj swój grzech po usłyszeniu sygnału.*

Krew ścina mi się w żyłach. Prostuję się.

– Czy to...?

– Tak – odpowiada Angelo z uśmiechem goszczącym na ustach.

– Lista wszystkich grzechów, jakie wyznano na linii w tym miesiącu. Chcę, abyś wybrała trzy najgorsze na nasze comiesięczne spotkanie.

Przebiega kciukiem po mojej kości policzkowej, a potem pochyla się, by uszczyptać mnie w dolną wargę.

– Chcę najmroczniejszy i najbardziej niemoralny, jaki zdołasz znaleźć – warczy, a każde jego słowo niczym ostrze wbija się w mój kręgosłup. – Możesz to zrobić dla mnie, dziecinko?

Czuję przypływ adrenaliny i mrok. Sadowię się w zgięciu ramienia Angela. On wysyła e-maile i odbiera telefony, których nie słyszę. Tymczasem ja pozwalam wypełnić się swojej duszy grzechami, które nie należą do mnie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Rory

Następny tydzień spędzamy zajmując się seksem i ogólnie pojętym „grzechem”. Czasem kochamy się powoli i zmysłowo. Angelo delectuje się wtedy każdym pchnięciem, liże mnie i ssie, sprawiając, że zapamiętuję każdy dotyk. Innym razem posuwa mnie mocno i gorączkowo, a pas lub dłoń, lub jedno i drugie, zostawiają znaki na moim tyłku oraz szyi. Po wszystkim jest delikatny. Uwielbiam to prawie tak samo jak klapsy.

Mogę odwiedzać ojca, kiedy mam ochotę, dopóki towarzyszą mi ludzie Gabe’a. Nie ogranicza mnie żaden limit czasu. Na szczęście Melissa i pozostałe opiekunki chętnie zgodziły się pracować dla Angela. Gdy on jest zajęty, czasem odwiedza mnie Tayce. Oglądamy wtedy filmy lub przeglądamy „Architectural Digest” w poszukiwaniu inspiracji do urządzania domu. Angelo pozostaje nieugięty w kwestii tego, że mogę robić z tym miejscem, co tylko zechcę. Nie mam pewności, czy to dlatego, że chce mnie czymś zająć i oderwać moje myśli od zagrożenia, czy chce pozbyć się z każdego centymetra domu znaków obecności ojca. To miejsce nadal ziele pustką niczym nagie płótno. Jednak nie czuję się tutaj stłamszona tak jak w posiadłości Cove. To mój dom, a nie więzienie. Mam szafę pełną ubrań w moim stylu, a na horyzoncie nie widać zgorzkniałej Grety, która zmuszałaby mnie do noszenia strojów w za małych rozmiarach. Formalne kolacje nie mają racji bytu. Pizzę i makarony zjadamy na kanapie. Czysta rozkosz.

Nadszedł piątek. Siedzę po turecku na łóżku i tworzę tablicę marzeń, gdy Angelo wślizguje się do pokoju. Moje serce przyspiesza, jak zwykle, gdy zjawia się w domu. Czuję mieszaną ulgi i podekscytowania, że wrócił w jednym kawałku.

Poluźnia krawat i sadowi się za mną. Zerka mi przez ramię, podziwiając moją pracę.

– Kiedy skończysz to przyklejanie i wycinanie, i zaczniesz zamawiać prawdziwe meble?

– Gdy zatwierdzisz moje projekty!

Śmieje się głęboko i gardłowo.

– Już ci mówiłem, dziecinko. Cokolwiek zechcesz, będzie mi się podobało.

– Hmm. – Obracam się w jego ramionach, po czym składam miękki pocałunek na jego ustach. – Jak minął ci dzień?

– Jeszcze się nie skończył.

Moje serce zamiera, ale silę się na nonszalancję w głosie.

– Nie?

– Nie. Mam spotkanie z kapitanem portu w Rusty Anchor.

– Ach.

– Chcesz się wybrać?

Nagle moje rozczarowanie przemienia się w podekscytowanie.

– Naprawdę mogę?

– Tak. Przyjaźnisz się z dziewczyną, która tam pracuje, prawda? To terytorium Dip i będą tam też moi ludzie.

– Super! – Wstaję na równe nogi, kopiąc stertę magazynów po drodze.

Oparty o poduszkę Angelo obserwuje mnie z rozbawieniem.

– Cholera jasna. Można by pomyśleć, że zabieram cię na bal.

– Żadnych balów, proszę – jęczę, grzebiąc w szafie i ściągając z wieszaka parę jeansów. – Nigdy więcej nie chcę widzieć żadnej sukni balowej.

– Umowa stoi – mówi przeciągle, podnosząc się i klepiąc mnie w tyłek. – Spotkamy się na dole za pięć minut.

Kilka minut później czeka u szczytu schodów z termosem w dłoni i ubraniami w drugiej ręce.

– Bierz – wręcza mi termos. – To gorące kakao.

– Zrobiłeś je dla mnie? – Przyciskam je do piersi.

– Tak – mamrocze pośpiesznie. – Ale nie jestem pieprzonym szefem kuchni. Potrzebna nam pomoc, kilku służących i asystent. Szalik.

Zawiązuje mi go ciasno na szyi.

– Czapka, rękawiczki, płaszcz.

– Jezu, Angelo. Wybieramy się do baru, a nie na narty.

Zarzuca mi płaszcz na ramiona i przyciąga mnie za kłapy do pocałunku.

– Na zewnątrz jest zimno.

– Kto by pomyślał, że Don Cosa Nostry potrafi być taki słodki?

Pochyliła się, łapie mnie za pośladki i ściska je mocno.

– Jeszcze jeden taki tekścik, a przypomnę ci, jaki jestem słodki – warczy z błyskiem w oku.

Samochód już się nagrzał. Wślizguję się na miejsce pasażera i z niecierpliwością sprawdzam schowek. Angelo wypełnił go brytyjskimi żelkami *Wine Gums*, które tak bardzo polubiłam. Jego ciężka i zaborcza dłoń spoczywa na moim udzie, gdy przejeżdżamy niewielką odległość w eskorcie dwóch samochodów z ludźmi Gabe'a. Czuję podekscytowanie, gdy parkujemy przy Rusty Anchor. Jest prawie tak jak za dawnych czasów. Nie spędzam piątkowego wieczoru przy staroświeckim stole z ludźmi, którzy nienawidzą mnie tak bardzo, jak ja ich, ale w barze z przyjaciółmi.

Tylko że tym razem mam na karku członka mafii, który śledzi każdy mój ruch.

Ciepło z kominka ogrzewa moją twarz, gdy wkraczamy do środka. Angelo ujmuję moją dłoń, a ja wyrwam się do przodu w chwili, gdy rozpoznaję znajomą twarz.

– Bill!

Podbiegam i rzucam się na szyję najlepszemu przyjacielowi taty. Pachnie cygarami i skórą. Budzi we mnie wspomnienia z dzieciństwa. Nie widziałam go od wieków. Nadal prawie codziennie odwiedza mojego ojca w rezerwacie, lecz zawsze w innych godzinach niż ja.

– Moja malutka Rory! Wielkie nieba, jak się miewasz? – mówi, przytulając mnie.

Gdy się odwracam, Angelo obserwuje nas z progu spod przymrużonych powiek.

– Angelo, poznaj Billa. To najlepszy przyjaciel mojego taty.

Jego usta drżą. Robi krok do przodu i wyciąga dłoń do Billa.

– Najlepszy przyjaciel i kapitan portu. Devil's Dip to naprawdę małe miasto.

Odwracam się z szeroko otwartymi oczami.

– Zostałeś kapitanem portu, Bill?

– Pewnie. – Szczerzy się w uśmiechu.

Przyszpilam Angela groźnym spojrzeniem.

– Lepiej bądź dla niego supermiły. – Kiwam mu groźnie palcem i ruszam do baru. – Będę cię obserwować.

Potrząsa głową z niedowierzeniem, nieprzyzwyczajony do tego, że na początku spotkania jego autorytet zostaje podważony przez jego własną dziewczynę. Zanim przysporzę więcej kłopotów, wślizguję się na miejsce przy barze i uderzam w dzwoneczek. Po krótkiej chwili z zaplecza wyłania się Wren. Zamiera zaskoczona i nagle na jej twarzy pojawia się szeroki uśmiech.

– Rory Carter. Mamy tyle do nadrobienia.

Śmieję się radośnie.

– To prawda. Lecz teraz nalej mi mojego ulubionego koktajlu *White Wine Spritzer*²⁸ i poudawajmy, że wszystko jest jak za dawnych czasów?

– Pewnie. – Stawia szklanke na barze i wskazuje nad wiszący nad jej głową żółkniejący i zwijający się na brzegach znak. Każdy bywalec baru zna jego treść, ponieważ znajduje się tutaj, odkąd pracuje tu Wren. Brzmi następująco:

Zamawiając więcej niż dwa drinki masz obowiązek oddać kluczyki do samochodu obsłudze.

– Dotyczy to również twojego przerażającego mężczyzny. – Kładzie dłonie na barze i zerka w kierunku Angela. – Dopóki nie jest właścicielem miejsca. A może jest? Jest moim nowym szefem?

– Szczerze? Nie mam pojęcia. Lecz nie martw się. Jest potulny jak szczeniaczek. – *Kłamstwo.*

Zerkam na Angela pogrążonego w głębokiej rozmowie z Billem. Jego spojrzenie przesuwają się po mnie. Gdy puszcza do mnie oczko, czuję drganie w piersi. Staram się ukryć uśmiech, biorę łyk wina i zwracam uwagę na Wren.

– Co mnie ominęło w Dip? – Dziewczyna stuka palcami o kontuar i się zastanawia. – No weź. Ty wiesz wszystko.

Wren jest dobrym źródłem informacji. Nie tylko pracuje w Rusty Anchor, ale codziennie przebywa w Devil's Cove. Ludzie z sympatią określają ją mianem Dobrej Samarytanki, ponieważ po zmianie w barze wsiada do autobusu zmierzającego do Devil's Cove i wystaje na głównej promenadzie, aż do zamknięcia wszystkich barów i klubów.

Wręcza japonki i wodę pijanym turystom. Wzywa taksówki tym, którzy ich potrzebują. Postępuje tak co wieczór.

– A, tak! – rzuca, a jej niebieskie oczy nagle się rozjaśniają. – Pamiętasz Spencera Gravelty i jego bandę?

Zmuszam się do okazania obojętności. Wiem, że słyszała plotki, ale jest zbyt taktowna, aby je powtarzać.

– Wszyscy zniknęli. Cała piątka!

Pałają mnie uszy. Zerkam z ukrycia na Angela. *Zrobił to.* Wren opowiada mi o ich ostatnim spotkaniu i tym, że coś złego mogło się zdarzyć podczas ich wyprawy kempingowej, lecz ledwo jej słucham. *Angelo Visconti zabił ich dla mnie, jakby to był drobiazg.*

Jestem zakochana na zabój w tym mężczyźnie. Nie tylko dlatego, że jest przystojny, opiekuńczy i kochający, ale ponieważ jest zły. Jego prawdziwa natura przyciąga moją mroczną stronę. Spencer i jego koledzy mogli stać się motorem do popełnienia przeze mnie pierwszego grzechu, ale myślę, że najzwyczajniej obudzili istniejący już we mnie mrok. To Angelo podsyca ogień. Pragnienie bycia złym u jego boku załazi mi za skórę.

Drzwi do baru stają otworem. Do środka wkracza mężczyzna, a wraz z nim lodowaty chłód. Po kontenerze rozchodzą się nierówne kroki.

Nagle budzi się we mnie niepokój.

– O, nie. Tylko nie on – rzuca Wren.

Kątem oka dostrzegam, że Angelo przerywa rozmowę i wpatruje się w przybysza. Przenoszę wzrok na przyjaciółkę.

– O co chodzi?

Delikatnie potrząsa głową i wyciera ścierką szklanekę do piwa.

– Od tygodnia przychodzi prawie codziennie i opowiada o tym, jak dobrze wrócić do domu.

– Jest miejscowy? Nie rozpoznaję go.

– Ja też nie.

Angelo wbija wzrok w mężczyznę w obszarpanej, zniszczonej kurtce do biegania i jeansach. To ubranie zupełnie nie pasuje do późnojesiennego chłodu. Mężczyzna zbliża się chwiejnym krokiem. Gdy pstryka, aby przyciągnąć uwagę Wren, Angelo podnosi się z miejsca.

– Codziennie siedzi przy barze, pije jasne piwo i udziela mi lekcji chemii. To dziwaczne. Mam nadzieję, że nie jest miejscowy, a wylądował tu tylko przejazdem.

Mężczyzna odwraca się w stronę Angela, odsłaniając dużą bliznę na twarzy. Krew zamarza mi w żyłach. Bez chwili namysłu ześlizguję się ze stołka i zmierzam w kierunku swojego mężczyzny. Ludzie Gabe'a wychodzą z cienia, lecz ja docieram do niego pierwsza. Kładę mu dłoń na piersi. W jego spojrzeniu dostrzegam błysk szaleństwa. Nie patrzy na mnie. Skupia się na przybyszu.

– Angelo.

– Przesuń się...

Jad w jego głosie zapiera mi dech w piersi. Cofam się. Wypełnia bar swoją imponującą sylwetką, a oczy płoną mu od furii. Obraca się i kiwa głową w kierunku znajdującego się za gościem postawnego mężczyzny.

– Angelo – syczę, zerkając gorączkowo w stronę Billa. – Nie tutaj. Proszę.

Jego pierś napina się pod moją dłoń. Zatrzymuje się i urażony kiwa głową.

– Na zewnątrz z nim. – Odwraca się do mnie ze wzrokiem, w którym płonie niekontrolowany gniew. – Ty tu zostań.

– Czekał...

Odwraca się, by po chwili złapać mnie za nadgarstek.

– Nie pogrywaj ze mną, Rory. Zostań tutaj.

– Nie! – Mój głos drży. Brzęmi żałością, ale zaciskam pięści i upieram się przy swoim. – Nie. Idę z tobą. Muszę.

Angelo warczy i odwraca się, aby ponownie odejść. Łapię go za kurtkę.

– Ty pozbyłeś się moich demonów, a ja chcę pomóc ci pozbyć się twoich.

Obserwuje mnie. Na jego twarzy pojawia się wściekłość i rozdrażnienie, ale potem szybko kiwa głową.

Serce niemal wyskakuje mi z piersi. Wychodzę za nim z baru. Biegnę, próbując nadążyć za jego szybkimi krokami.

– Wsadźcie go do bagażnika – warczy, wpatrując się w mężczyznę, który jest zbyt pijany, by nawet delikatnie zaprotestować.

Ludzie Angela bez dyskusji wrzucają mężczyznę na tył jednego z samochodów.

Gdy jedziemy, wściekłość mojego ukochanego wzrasta do niebezpiecznych rozmiarów. Nie odzywam się, gdyż jestem zbyt przerażona. Mija kilka minut, zanim uświadamiam sobie, dokąd zmierzamy.

Siadam prościej i przełykam gulę w gardle.

– Jesteś pewien, że to on? – szepczę.

Delikatnie potakuje.

Nie bywałam nocą nad klifem. Zapewne jest jeszcze bardziej niebezpieczny, a rządzące nim żywioły surowsze. Spadek prowadzący do szalejącej wody wydaje się bardziej stromy. Angelo parkuje samochód na ulicy i gasi silnik. Reflektory odbijają w lusterkach oślepiające światło.

– Zostajesz w samochodzie.

– Nie. Chcę na to patrzeć. – Z nowo odnalezionym przypływem pewności siebie, unoszę podbródek i dodaję. – Chcę patrzeć, jak zabijasz mężczyznę, który zamordował twoją matkę.

Jego kostki bieleją na kierownicy. Warczy, a ja się wzdrygam. Lecz gdy wysiada, podążam za nim i ku mojemu zdumieniu nie karze mi wracać do samochodu.

Jego ludzie przyprowadzają mężczyznę na krawędź klifu. RzUCA obelgami, aż w końcu zaczyna panikować, krzyczy i wymachuje nogami. Doganiam Angela, który zmierza prosto nad krawędź urwiska. Jego sylwetka rzUCA złowieszczy cień, a jego opanowanie jest przerażające. Ładuje broń i poleruje lufę rękawem.

– Przygotujcie go.

Czuję swój własny puls.

Dwóch mężczyzn ciągnie go przez błoto. Stoi do nas plecami. Niebo jest bezgwiazdne, morze wzburzone, a fale rozbijają się o skały. Ich dźwięk brzmi niczym ostrzeżenie i przypomnienie, że nie powinno się podchodzić zbyt blisko krawędzi.

Ku mojemu zdziwieniu Angelo się do mnie odwraca i w ciemności widzę goszczący na jego przystojnej twarzy sardoniczny uśmiešek.

– Co o tym sądzisz, Sroczo?

– C...co?

– Spadnie czy się wzniesie?

Mój ciężki oddech zamienia się w parę w chłodnym powietrzu. Czuję przyływ adrenaliny w ciele. *Kurka wodna*. Przez moje ciało przebiega dreszcz podniecenia. Kręci mnie niebezpieczeństwo tej sytuacji.

– Spadnie – wyduszam z siebie. – Prosto do piekła.

Angelo potakuje.

– Miejmy taką nadzieję – wydusza przez zęby.

Płynnym ruchem odwraca mnie tak, abym ujrzała znajdujący się za nami kościół. Stary, podupadły budynek, w którym mężczyzna, którego kocham, nauczył się czynić zło. Wystrzał jest głośniejszy niż sądziłam, a białe światło przez sekundę oświetla brukowane ściany kościoła, zanim ponownie osłania je mrok.

Nie słysząc krzyku ani huk. Zostaje tylko zapach prochu i dzwonięcie w uszach.

Gdy Angelo wypuszcza długi syk, wsuwam ramiona pod jego płaszcz i trzymam go mocno. Pomimo że się nie porusza i milczy, to gwałtowne bicie jego serca ujawnia prawdziwe emocje.

– Kocham cię – wzdycham przytulona do jego koszuli. – Tak bardzo cię kocham.

Nagle dociera do mnie prawda. To czysta ironia, że Angelo nazywa mnie „Sroczką”. Wcale nie ciągnie mnie do błyszczących przedmiotów. Pociąga mnie mrok. Teraz wyczuwam, jak emituje w kierunku mojej ciemnej strony, niczym delikatny pomruk pod powierzchnią jego opalonej skóry. Mija kilka chwil i jego dłoń odnajduje tył mojej czaszki, zanurza się w moich włosach i unosi moją twarz w swoją stronę.

– Też cię kocham, dziecinko.

Całuje mnie desperacko i bezlitośnie, ocierając się zębami o moje usta. To pocałunek zabójcy, który właśnie dokonał największej zemsty w życiu.

Gdy się odsuwa, jego rysy łagodnieją. Pociera mój policzek szorstkim kciukiem, a jego spojrzenie krzyżuje się z moim.

– Mama mawiała, że dobro zawsze wymaże zło. – Przełyka ślinę, a jego jabłko Adama porusza się gwałtownie. – Lecz co się dzieje, jeśli dwie osoby są równie złe? Obie stanowią tę samą stronę monety?

Ocieram się o niego nosem i się uśmiecham.

– Czasem cuda się zdarzają, kochanie.

MIESIĄC PÓŹNIEJ

Angelo

Zatrzymuję się przed drzwiami na dźwięk rozlegającego się za nimi śmiechu Rory. Przyciskam czoło do framugi i uśmiecham się. Przez ostatni miesiąc ta dziewczyna zdołała wypełnić każdy zakamarek mojej duszy i serca. Znajduję jej cząstkę w każdym kącie domu. Natykam się na jej długie jasne loki na siedzeniu samochodu. Wyczuwam unoszący się godzinami w pokojach zapach perfum, których używa.

Wiem, że nadchodzi wojna, lecz dzięki Rory znam tylko pokój.

Bardzo chciałbym spędzać z nią całe dnie, lecz muszę zająć się ważnymi sprawami. Pukam i rechoczę, słysząc jak jej śmiech zamienia się w pisk. Tayce wysuwa głowę zza drzwi.

– Nie powinno cię tu być! To przynosi pecha.

Unoszę brew i wsuwam stopę w drzwi.

– Jest już ubrana?

Mruży oczy i spogląda na mojego buta.

– Nie. Czy to pilne?

– Gdyby było inaczej, nie marnowałbym czasu na rozmowę z tobą.

Z dramatycznym westchnieniem krzyczy przez ramię i Rory pojawia się w drzwiach.

Nasze spojrzenia się krzyżują i moje gardło się zaciska. Nie mam pojęcia, jak to zrobić. Jeszcze nawet nie ma na sobie sukni ślubnej, ale jej włosy i makijaż sprawiają, że chcę walnąć pięścią w ścianę, ponieważ nie wiem, jak poradzić sobie z opanowującymi mnie emocjami.

Oblizuję wargi i potrząsam głową w niedowierzaniu.

– Czasem mam wrażenie, że wyczarowałem cię ze swojego mokrego snu.

Śmieje się uroczo gardłowym tonem, od którego szybko się uzależniłem.

– Wiesz, że nie wolno ci oglądać mnie przed ceremonią. To wbrew tradycji.

– Nie jesteśmy typową, tradycyjną parą, dziecinko.

Jej uśmiezek jest zniewalający. Nasza mała sieć grzechów i tajemnic wiruje wokół nas. Wie, że mam rację. Od wykradzenia jej wujkowi po wybijanie z niej grzechów pasem. Nigdy nie byliśmy normalni. Nawet sposób, w jaki się jej oświadczyłem, nie należał do typowych. Zrobiłem to w łóżku po szczególnie długiej, upojnej nocy. Całkowicie pochłonęło mnie pragnienie, by przykuć ją na zawsze do siebie. Nie prosiłem, ale wręcz błagałem ją o poślubienie mnie. Pozwoliłem jej wybrać pierścionek zaręczynowy. Pragnąłem wręczyć jej największy diament, jaki udałoby mi się kupić. Taki, który głośno i wyraźnie krzyczałby, że należy do mnie. Lecz wiem, że by go nienawidziła. Pragnęła czegoś prostego, co pasowałoby do jej spodni do biegania i obszernych bluz.

– Zamierzasz mi powiedzieć, o co chodzi, czy będziesz się we mnie wpatrywał przez cały dzień? – pyta, a jej oczy błyszczą pod sztucznymi rzęsami.

Zgrzytam zębami, ignorując jej zuchwałość, ponieważ mam dzisiaj ważniejsze rzeczy na głowie niż klapsy.

– Chodź. Chcę ci coś pokazać.

– Ale...

– Obiecuję, że to nie zajmie dużo czasu.

Zerka mi przez ramię i wychodzi z pokoju. Wsuwa swoją dłoń w moją, pozwalając sprowadzić się po schodach. Budynek powoli zamienia się w dom, w nasze rodzinne gniazdko, a w każdym kącie widać dłoń Rory. Docieramy do tylnych drzwi, owijam ją grubą kurtką i wyprowadzam na grudniowy chłód.

– Kurka wodna – chrząka, obejmując się ramionami. – Żałuję, że nie wybrałam sukienki z rękawami. Przypomnij mi, dlaczego nie czekaliśmy ze ślubem do lata?

W odpowiedzi podnoszę ją, obejmuję ramionami i niosę do ogrodu na tyłach.

– Nie dałbym rady czekać kolejny tydzień. A do lata zostało kilka miesięcy. Zamknij oczy – mamroczę, zanurzając nos w jej włosach.

Mijamy staw i małą chatkę do obserwacji ptaków, na której budowę nalegała. Gdy docieramy do niewielkiej altanki ukrytej za

krzewami w dole ogrodu, delikatnie stawiam ją na ziemi.

– Okej. Możesz otworzyć oczy.

Unosi powieki i wzdycha. Nagle moje serce drga i czuję napięcie w piersi.

– Czy to naprawdę...?

– Tak. – Uśmiecham się, pocierając jej ramiona. – To budka nad klifu.

– Ale... jak?

– Nie martw się o szczegóły. Spójrz. – Otwieram drzwi i wpycham ją do środka. Okna natychmiast zaparowują od naszych ciepłych ciał i oddechów. Bez słowa podnoszę i przykładam jej do ucha słuchawkę, obserwując jak jej twarz rozpływa się w czystym uniesieniu, gdy słyszy głos automatycznej sekretarki.

– Nie jest podłączona do prawdziwej gorącej linii. To replika prywatnego połączenia. Tylko dla ciebie.

– Nie wiem, co powiedzieć. – Śmieje się, dławiąc z emocji.

– Miłej zabawy. – Pstrykam ją w doskonały nosek.

Wiem, jak bardzo brakuje jej wyznawania drobnych grzeszków, a od teraz będzie popełniać tylko takie, ponieważ ja zajmę się każdym prawdziwym grzechem. Udało mi się jakoś zapełnić pustkę, pozwalając jej słuchać wyznawań na gorącej linii. Uważa to za fascynujące zajęcie. Raz w tygodniu po kolacji siadamy na kanapie i wsłuchujemy się w rozmowy obcych ludzi. Pozwalam jej wybrać grzechy, które przedstawiam braciom w ostatnią niedzielę każdego miesiąca.

Wspina się na palce i ociera o mnie ustami. Łapię ją za tył głowy i mocno całuję, kradnąc ciężkie oddechy, które wydobywają się z jej płuc. Należą teraz do mnie. Jak ona cała. To szalone, jak coś tak prostego jak pocałunek sprawia, że twardnieję. Jęczę jej do ust i niechętnie odsuwam ją od siebie.

– Muszę się przebrać.

Spogląda na mnie z nieśmiałym wyrazem twarzy.

– A ja prawdopodobnie muszę poprawić czerwoną szminkę. Dziękuję – dodaje. Daje mi szybkiego całusa i wysuwa się z budki. – Do zobaczenia pod ołtarzem!

Godzinę później docieram nad jezioro w rezerwacie. Od razu wiedzieliśmy, że to jedyne rozsądne miejsce na ślub. Nie tylko dlatego, że znaczy wiele dla Rory, ale ponieważ jej ojciec naprawdę może poprowadzić ją do ołtarza i zapamiętać ten dzień. Do ślubu została godzina, ale zjawiłem się wcześniej, aby sprawdzić zabezpieczenia i upewnić się, że wszystko będzie przebiegało bez niespodzianek.

Ludzie Gabe'a są wszędzie, rzucają rozkazy przez słuchawki i nieustannie przeczesują każdy centymetr terenu. Gabe maszeruje samotnie z twardym wyrazem twarzy i przewieszonym przez ramię AK-47. Tłumię w sobie rozbawienie. Nie mam pojęcia, jak w ogóle mogłem poczuć niepokój, że klan Cove zechce wziąć odwet za zabicie Alberta. Mój brat to prawdziwy psychopata i czuje się w swoim żywiole na czele armii. Nawet Dante nie jest na tyle głupi, aby stawać z nim do walki.

Gwiżdżę w jego stronę. Rzuca mi groźne spojrzenie i rusza w moim kierunku, obrzucając srogim spojrzeniem mój smoking.

– Musimy odwołać ślub.

– Nie ma mowy. O co chodzi? – Teraz ja wpatruję się w niego groźnym wzrokiem.

Zerka na rząd białych krzeseł, znajdującą się na końcu przystani, przybraną różami altankę oraz tuziny palących się i pływających po jeziorze świec.

– Mam złe przeczucia.

Biorę głęboki wdech i potrząsam głową.

– Cholera jasna. Nie mieliśmy wieści od klanu Cove od chwili, gdy zostawiłem martwego Alberta w biurze. Wiem, że to nie koniec, ale szanse, że dzisiaj coś się wydarzy, są nikłe.

Jego szczeka drga w zamyśleniu. Poklepuję go w spięte ramię.

– Czy na godzinę możesz wyłączyć tryb zabójcy i stać się moim drużbą?

Mija kilka chwil. Na jego twarzy toczy się walka. W końcu potakuje i przykłada komórkę do ucha.

– Na godzinę i ani minuty więcej.

Obserwuję go, jak odchodzi, z niedowierzaniem. Opadam na jedno z krzeseł dla gości i patrzę na chaos, który towarzyszy doskonałemu weselu. Obsługa zajmuje się zamówieniami z ostatniej chwili i

sprzątaniem. Na dalekim końcu jeziora dostrzegam rozmawiającego w ożywieniu przez telefon Rafe'a. Mimo że zgodził się zająć rozrywką na weselu, ledwo widywałem go w tym miesiącu. Był zbyt zajęty tworzeniem planów na wybudowanie ekskluzywnego kasyna i klubu w sieci jaskiń pod Devil's Dip. Początkowo zgodziłem się podarować tę przestrzeń klanowi Hollow, lecz byli bardziej niż szczęśliwi, wycofując się z naszej umowy, gdy tylko dowiedzieli się o naszym sporze z braćmi Cove. Nawet odwieczny biznesmen Cas wykazał się stanowczością w tym temacie. Nie chcą się mieszać w żadne waśnie i pragną pozostać neutralni niczym Szwajcaria.

Potrafię to uszanować.

Powoli zaczynają napływać goście. Żadni pieprzeni kuzyni z Sycylii. Tylko ludzie, na których zależy mi i Rory. Pojawia się klan Hollow, życzliwi nam Benny i Nico. Za nimi podąża kapitan portu Bill oraz inne znajome twarze. Gdy Rafe rusza prosto w moim kierunku, podnoszę się z krzesła, by go przywitać. Nagle unosi wzrok i zamiera z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Moje serce przyspiesza, gdy podążam za jego spojrzeniem.

Tor.

Jest sam. Wystrojony w trzyczęściowy, granatowy garnitur. Jego kolczyk w nosie połyskuje we wczesnym blasku księżyca. Nasze spojrzenia się krzyżują i przez chwilę wpatrujemy się w siebie.

Kiwa głową w powietrzu. Potakuję i odwracam się do Rafe'a, który uśmiecha się niczym rekin.

– Wybrał nas.

– Dante mógł go przysłać. Dzwon do Gabe'a. Chcę, by go sprawdzono.

Przez twarz Rafe'a przebiega podirytowanie.

– Tor by nam tego nie zrobił.

– Rób, jak mówię – rzucam ostrym tonem.

Odwracam się i ruszam w kierunku baru. Mam nadzieję, że Rafe nie myli się co do Tora i że nikt ani nic nie zdoła zrujnować Rory tego pieprzonego wieczoru. Biorę głęboki oddech w nadziei, że ugaszę dopadający mnie niepokój. Zatrzymuję się, aby w zamyśleniu obserwować obsługę wykładającą na tacę kieliszki do szampana.

Moją uwagę przykuwa dziewczyna na końcu baru. Ewidentnie nigdy w życiu nie nalewała szampana. Nawet nie przechyla kieliszka

i głośno przeklina, gdy bąbelki wylewają się za brzeg. Moje spojrzenie ciemnieje i ruszam prosto w jej stronę. Ani klan Cove ani główniana obsługa nie zrukuje mi ślubu.

Drżącymi dłońmi podnosi tacę, a kryształę pobrzękuje niebezpiecznie. Ruszam w jej stronę.

– Zwalniam cię – warczę. – Odłóż to i wracaj do domu.

Mój zjadliwy ton tak ją przestraszył, że się wzdryga, a kieliszki rozsypują się niczym domek z kart. Kolejne głośne przekleństwo wyrywa się z jej ust, a potem rzuca mi groźne spojrzenie.

– Na litość boską, gdzie nauczyłeś się tak straszyć ludzi?

Moje serce zamiera, gdy nasze spojrzenia się krzyżują.

– Ty.

Wpatruje się we mnie z przymrużonymi oczami.

– Czy my się znamy?

Duże, niebieskie oczy. Niezwykle rude włosy. Piegi, które zbiegają się, gdy marszczy nos.

Poznałbym tę dziewczynę wszędzie. W ciężkiej ciszy jej twarz mięknie, a podirytowanie przemienia się w panikę. Mija chwila. Bez słowa upuszcza tacę, obraca się i puszcza biegiem do ucieczki. Nie dociera daleko, ponieważ Rafe wyłania się z cienia i łapie ją za ramię, a potem ciągnie z powrotem do mnie.

– Puść mnie! – syczy, próbując wyrwać się z jego uchwytu.

– Straszysz moją obsługę, Angelo? – rzuca Rafe przeciągłym tonem. – Wiem, że to twój ślub, ale spróbuj nie robić scen, przynajmniej do początku ceremonii.

– Ty zatrudniłeś tę laskę? – warczę.

Marszczy brwi, słysząc wściekłość w moim głosie. Ledwo jestem w stanie się opanować i gdyby była mężczyzną, moja dłoń już zaciskałaby się na jej gardle.

– Dlaczego pytasz? Pieprzyłeś się z nią?

– Nie. To ona. To dziewczyna, która sprzedała mi ciasteczko szczęścia w San Francisco – odgryzam się i potrząsam głową w niedowierzaniu. Nie mam wątpliwości, że to ona. Lecz wtedy miała przerażenie i desperację w oczach. Próbowwała zebrać tyle ile się dało, sprzedając połamane ciasteczka w China Town. Wcisnęła mi opowiadanie o tym, że musi coś jeść.

Rafe zamiera i spogląda na nią spod przymrużonych powiek.

– Czy to prawda?

Dziewczyna kolejny raz bezowocnie próbuje wyrwać ramię, lecz dłoń Rafe'a zaciska się jeszcze mocniej na jej rękawie.

– Nie wiem. Imiałam się wielu zajęć. A teraz mnie puść!

Przyciąga ją bliżej i szepcze jej coś do ucha. Zarówno goście, jak i obsługa, wpatrują się w rozgrywającą się na ich oczach scenę.

– Sprzedawałaś ciasteczka w San Fran czy nie? To proste pytanie, dziewczyno. Nie zmuszaj mnie, abym połamał ci palce, aby uzyskać odpowiedź.

– Tak! – krzyczy.

– Więc co tutaj robisz? – cedzi słowa przez zaciśnięte zęby. – Dla kogo pracujesz?

– Co? Właśnie się przeprowadziłam! Dostałam pracę w agencji eventowej i przydzielili mnie do tego ślubu! Jezu – wypluwa z siebie, rumieniąc się na twarzy. – Nigdy nie słyszałeś o zbiegu okoliczności?

– Zbiegiem okoliczności jest to, że mam w dłoniach małą kłamliwą smarkulę, a w komorze została mi jedna kula. – Rafe podnosi wzrok i srogo kiwa głową. – Zajmę się tym.

– Co to ma znaczyć? – wzdycha, strzelając oczami pomiędzy mną a moim bratem. – Proszę, po prostu mnie puść, ja...

– Puść ją, Rafe.

Zamiera i obrzuca mnie wzrokiem, który sugeruje, że oszalałem.

Śmieje się gorzko, a moje oczy wędrują w stronę granatowego nieba.

– Mama zawsze wierzyła w los. To ciasteczko szczęścia sprowadziło ją na Wybrzeże i dokładnie ten sam pieprzony los przywiódł mnie tutaj z powrotem. Myślałem, że chodziło o to, abym odnalazł łajdaka, który ją zabił, lecz teraz uświadomiłem sobie, że jednak nie. To prowadziło mnie do Rory. Mama daje mi w ten sposób znać, że jest tu dzisiaj z nami.

Oboje wpatrują się we mnie, jakbym postradał rozum. Uśmiecham się szyderczo i kiwam do dziewczyny.

– Pozwól jej odejść, Rafe.

Mój brat niechętnie wypuszcza ją z uchwytu. Dziewczyna wygładza strój i odsuwa się od niego na drżących nogach. Rafe nadal nie jest przekonany, że to zbieg okoliczności i uważnie ją obserwuje.

- Opuść teren rezerwatu. A jeśli masz trochę zdrowego rozsądku, dziewczyno, to wyjedź z Devil's Dip.
- A co? Jesteś jego właścicielem, czy coś? – odgryza się.
- Czy coś. – Na jego ustach pojawia się demoniczny uśmiech. Odskakuje na jego słowa. Pobieźnie zerka w moim kierunku i rzuca się biegiem, znikając w gęstwinie drzew.
- Rafe odwraca się do mnie i potrząsa głową.
- Zmiękleś, braciszku.

Rory

- Wkrótce wszyscy będę się zwracać do ciebie *Signora Aurora Visconti*.

Z moich ust wyrywa się śmiech, formując ulatującą w ciemne niebo chmurę pary. To szaleństwo, że kilka miesięcy temu na samą myśl o byciu określaną takim mianem mój żołądek się kurczył i ogarniały mnie mdłości. Teraz czuję radość. Wsuwam rękę pod ramię ojca i składam całusa na jego zimnym policzku.

- W sercu zawsze pozostanę Carterem, tato.
- Zawsze. – Szczerzy się w uśmiechu, a jego oczy błyszczą.

Tayce poprawia mały i prosty tren mojej sukni. Cały mój strój jest skromny. Elegancka satynowa suknia podkreśla moją figurę, ale nie odślania za wiele. Oczywiście mam na sobie również białą ocieplaną kurtkę, ponieważ jest niesamowicie zimno. Gdy odwracam się, aby podziękować przyjaciele za pomoc, coś miga za drzewami.

Mój oddech staje się płytki.

- Amelia?

Widzę, jak wychodzi z cienia i rozgląda się nerwowo po polanie. Na przystani powoli zaczyna się ruch. Goście zajmują miejsca, a stojący pod altanką kapłan ćwiczy przemowę.

- Przepraszam was na chwilę – mówię do ojca i Tayce, aby wyjść na spotkanie nieoczekiwanego gościa.

Dziewczyna oddycha ciężko i łapie mnie za przedramię.

- Ach, Auroro! Wyglądasz pięknie! – mamrocze. Rzucam jej spojrzenie. Ma na sobie dużą pikowaną kurtkę i jeansy. Nie jest ubrana stosownie na ślub. Nie została też zaproszona. Nikt z klanu

Cove nie otrzymał zaproszenia. Nie widziałam jej od czasu, gdy miałam na sobie zupełnie inną suknię ślubną.

– Co tutaj robisz? – pytam.

– Nie martw się. Nie zostaję tutaj. – Wręcza mi pięknie zapakowany prezent. – Ode mnie i Donniego. Wpadłam tylko, aby złożyć gratulacje i przeprosić.

Drży mi szczęka.

– Za co? – pytam złośliwie.

– Za przemykanie oczu na to, co dotyczyło ciebie. Oczywiście wiedziałam, że to niemożliwe, żebyś wychodziła za Alberta z miłości. Lecz jako członek tej rodziny widziałam tyle strasznych rzeczy, że trzymałam się skrawka nadziei, że jest inaczej. – Przełyka ślinę i ociera łzy z policzka. – Zasługiwałaś na coś lepszego.

Milczę przez kilka chwil, zmagając się z emocjami. Dochodzę do wniosku, że nie odczuwam nienawiści do Amelii i że nigdy nie żywiłam do niej negatywnych uczuć. Jest jedną z ofiar klanu Cove. W pomieszczeniu pełnym ludzi, którzy mną pogardzali, ona zawsze okazywała mi życzliwość. Przytulam ją.

– Dziękuję. Ty też zasługujesz na więcej, Amelio.

Odsuwa się i kiwa pewnie głową.

– Masz rację. Donatello też tak uważa. W końcu opuszczamy Wybrzeże! – Z delikatnym uśmiechem pociera brzuch i dodaje. – Ja, Donnie i dziecko zaczynamy nowe życie w Kolorado!

– Gratulacje!

– Dziękuję, Auroro. Donnie chce, abyś podziękowała Angelowi w jego imieniu.

– Za co?

Jej spojrzenie ciemnieje.

– Za zabicie Alberta. Donnie nigdy nie chciał być członkiem mafii, a teraz jest w końcu wolny.

Uśmiecham się, a moje serce przepełnia szczęście.

– Ten niegodziwiec nie żyje. Mam nadzieję, że będziesz szczęśliwa – odpowiadam.

Jej śmiech tonie w dźwiękach granej przez orkiestrę muzyki, która rozlega się w oddali i daje znać, że rozpoczyna się ceremonia.

– Ty też zaznasz teraz szczęścia. – Amelia ostatni raz ściska moje ramię, posyła mi delikatny uśmiech i wraca do lasu. – Baw się

dobrze. Idealnie do siebie pasujecie.

Patrzę, jak znika za drzewami. Odwracam się w stronę jeziora.
Zgadza się. Doskonala z nas para.

– Być może zakładanie szpilek w wilgotny grudniowy wieczór nie było najmądrzejszym pomysłem – mamrocze Angelo, podnosząc mnie, aby przenieść mnie przez następny błotnisty odcinek ścieżki.

– A co niby innego miałam założyć?

– Tenisówki? Albo te głupie gumowce z puchatymi skarpetami?

– W dniu naszego ślubu?

– Twoja suknia jest wystarczająco długa. Nikt by się nie dowiedział.

Śmieję się, gdy delikatnie upuszcza mnie na pewniejszy grunt i ujmuje moją dłoń. Pogodny szum ślubnego przyjęcia powoli rozplywa się w tle. Brniemy przez las w stronę głównej drogi.

– Teraz jestem żoną szefa mafii w Devil's Dip. Przypuszczam, że ciągle będę musiała nosić sukienki i szpilki.

– Nie. Wystarczą twoje dresy i tenisówki.

– Tak?

– Tak. – Angelo całuje mnie w czubek głowy i zniża głos. – Lecz nie będę narzekał, jeśli zechcesz założyć do łóżka tę skórzaną sukienkę, którą miałaś na sobie w Halloween.

Żądza rozlewa się pomiędzy moimi udami, rozpalając moją skórę mimo chłodnego powietrza. Mijamy kościół, przemykamy przez cmentarz i docieramy nad krawędź klifu. Zamykam oczy i opieram głowę o jego pierś. Wygrzewam się, słuchając bicia jego serca i rozbijających się u naszych stóp fal. Przyjęcie weselne jest wspaniałe, ale wykradzione samotne chwile z mężem, by pobyć w miejscu, w którym się poznaliśmy, jest jeszcze lepsze.

Rozlega się dźwięk zapalniczki Zippo. Na języku czuję smak dymu. Unoszę powieki, wyciągam szyję i dostrzegam, jak Angelo wsuwa papierosa między wargi.

– Nie mogę sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz paliłeś.

– Za dawne czasy – mruczy, wsuwając go w moje usta. Zaciągam się powoli i długo, a on obserwuje mnie zafascynowany. Gdy

wypuszczam powietrze, łapie dym w swoje usta. Mój oddech łączy się z jego oddechem. Ta chwila splata nasze serca w jedną całość.

– Wkrótce to będziesz ty. – Jego spojrzenie wędruje w kierunku nieba.

Podążam za jego wzrokiem i dostrzegam ślad, jaki ciągnie się w chmurach za samolotem. Uśmiecham się, a w moich żyłach buzuje podekscytowanie. Parę dni temu Angelo zaskoczył mnie listem z akademii lotnictwa Northwestern, w którym władze uczelni dały mi znać, że moje miejsce w szkole jest nadal ważne pod warunkiem, że zdam końcowy egzamin, do którego nigdy nie przystąpiłam. Nie wiem, ilu ludzi musiał przekupić czy zastraszyć mój mąż. Moja mroczna strona nie dba o to.

Angelo zaciąga się po raz ostatni i rzuca papierosa w kierunku oceanu.

– Wiesz, że to szkodzi środowisku.

– Tak jak ty mnie – warczy, szczypiąc mnie w płatek ucha. Obraca się i kładzie dłonie na moim tyłku, przyciskając mnie do swoich bioder.

– Jesteś gotowy. – Uśmiecham się, ocierając o jego krocze.

– Widzisz? Nie służysz mi. Od kiedy cię poznałem stale mam wzwód. – Ociera się o moje usta, otaczając mnie zapachem tytoniu, skóry i ciepłej whisky. – Mam do ciebie pytanie.

– Kolejne? Już się zgodziłam.

Śmieje się w moje usta i rozdziela je językiem.

– Masz nadzieję upaść czy się wznieść?

Odsuwam się od niego i przenoszę spojrzenie na krawędź klifu. Jego uchwyt zaciska się na mojej talii, jakby obawiał się, że silny podmuch wiatru może mnie zwać.

– Wznieść się – ogłaszam.

Odwracam się do niego. Uwielbiam, jak jego oczy połyskują w blasku księżyca.

– Tak?

– Tak. Dzięki tobie. – Zamieram, by ta chwila nabrała znaczenia. – Zakochałam się w tobie.

Potrząsa głową.

– Cholera jasna, to najbardziej tandetna rzecz, jaką kiedykolwiek powiedziałaś.

Śmieję się, przyciskam do niego usta i przyciągam go za kark. Pełen żądry warkot wibruje w jego piersi. Kładę dłoń na jego żebra, aby go lepiej poczuć.

Nagle pod powiekami widzę wybuch bieli. Chwilę później rozlega się ogłuszająca eksplozja.

Angelo gwałtownie odsuwa mnie od krawędzi klifu i zakrywa sobą.

– Co do...?

Lecz ucinam pytanie, gdy dostrzegam, co się dzieje. Wściekłe pomarańczowe promienie liżą port. Mglisty kłęb dymu unosi się i rozwiewa na tle czarnego nieba. Serce podchodzi mi do gardła, gdy uświadamiam sobie, co się dzieje.

– Ktoś wysadził port – szepczę.

Angelo stoi bez ruchu i milczy. Jego zachowanie stanowi jaskrawy kontrast wobec krzyków płynących z leżącego u naszych stóp miasteczka. Ma napięte ramiona i gdy się powoli obraca, wyraz jego twarzy zapiera mi dech w piersi.

Jest mroczny i niebezpieczny. *Bezwzględny*. Płomienie tańczą w jego tęczęwkach.

– Jesteś gotowa ruszać na wojnę, dziecinko?

Mieszanka żądry i adrenaliny przebiega po moim kręgosłupie.

– Z tobą, zawsze.

POZOSTAŁE POWIEŚCI AUTORKI

Seria **Sinners Anonymous:**

Sinners Condemned – wkrótce

Sinners Atone – wkrótce

Seria **East Coast Devils:**

The Devil's Keepsake

The Devil's Deal

The Devil's Obsession

SKONTAKTUJ SIĘ ZE MNA

Możesz zapisać się na mój newsletter w celu otrzymywania zapowiedzi oraz fragmentów moich nowych powieści.

Jeśli masz ochotę na dyskusję, możesz dołączyć do *Somme Sketcher's Sin Room* na Facebooku. Ewentualnie zapraszam na moją stronę autorską na Facebooku!

Znajdziesz mnie na Instagramie albo TikToku

@authorsommesketcher

Możesz też po prostu do mnie napisać:

somme@authorsommesketcher.com

-
- ¹ *Gesù Cristo* (z wł.) – Jezu Chryste (przyp. tłum.).
 - ² *Consigliere* (z wł.) – doradca w mafii (przyp. tłum.).
 - ³ *Basta* (z wł.) – Dostyc (przyp. tłum.).
 - ⁴ *Bastardo* (z wł.) – drań, łajdak (przyp. tłum.).
 - ⁵ Marlon Brando – aktor, który grał główną rolę w filmie *Ojciec chrzestny* (przyp. tłum.).
 - ⁶ *Cugino* (z wł.) – kuzyn (przyp. tłum.).
 - ⁷ *Architectural Digest* – miesięcznik o wystroju wnętrz (przyp. tłum.).
 - ⁸ Predella – część ołtarza we wnętrzu kościoła będąca podstawą nastawy ołtarzowej w postaci skrzyni spoczywającej na mensie, często dekorowana malowidłem lub płaskorzeźbą (przyp. tłum.).
 - ⁹ Skóra nappa – pierwotnie była nazwą zarezerwowaną dla wyrobów skórzanych rękawic oraz odzieży z Nappa Valley w USA. Obecnie wytwarzane są z niej nawet skóry samochodowe. Określenie „nappa” jest terminem, który odnosi się do skóry przetwarzanej od warstwy mięsnej, przez co posiada otwarte pory. Dzięki temu tego rodzaju skóry są wyjątkowo miękkie, gładkie oraz przyjemne w dotyku (przyp. red.).
 - ¹⁰ Bombardier Global Express – luksusowy odrzutowiec biznesowy na czternaście miejsc (przyp. tłum.).
 - ¹¹ Gulfstream – samolot dyspozycyjny dalekiego zasięgu (przyp. tłum.).
 - ¹² *Calmanti, cugino* (z wł.) – Spokojnie, kuzynie (przyp. tłum.).
 - ¹³ *Grazie* (z wł.) – Dziękuję (przyp. tłum.).
 - ¹⁴ Stig z Wysypiska – nawiązanie do postaci z książki *Stig of the Damp* autorstwa Clive’a Kinga. Tytułowy bohater żył w jaskini pełnej wyrzuconych przez ludzi przedmiotów (przyp. tłum.).
 - ¹⁵ *Whiskey Under The Rocks* (z ang.) – Whisky pod skałami (przyp. tłum.).
 - ¹⁶ Silver Fox - określenie oznaczające atrakcyjnego siwiejącego mężczyznę w średnim wieku (przyp. tłum.).
 - ¹⁷ *Mister Moonshine* (z ang.) – w dosłownym tłumaczeniu Pan Bimber (przyp. tłum.).
 - ¹⁸ Coney Island – dzielnica Nowego Jorku słynąca z parków rozrywki (przyp. tłum.).
 - ¹⁹ Misie-patysie – gra opisana w książce *Chatka Puchatka* autorstwa A. A. Milne, polegająca na jednoczesnym wyrzucaniu patyków po jednej stronie mostu i sprawdzaniu, czyj patyk wypłynie pierwszy z drugiej jego strony (przyp. tłum.).
 - ²⁰ *Zaklęty las* Enid Blyton – opowieści o przygodach trójki dzieci w zaczarowanym lesie, w którym znajduje się magiczne drzewo. Jego gałęzie sięgają chmur i mieszczą małe domki, dzięki którym dzieci odwiedzają magiczne krainy (przyp. tłum.).
 - ²¹ *Bella* (z wł.) – ślicznotka, lalunia (przyp. tłum.).

- ²² *Dead doll* – unikatowa seria lalek przypominających wyglądem zmarłych (przyp. tłum.).
- ²³ *Dio mio* (z wł.) – O mój Boże! (przyp. tłum.).
- ²⁴ Humidor – specjalny pojemnik na cygara, zapewniający odpowiednią wilgotność do ich przechowywania (przyp. red).
- ²⁵ Long Island - napój alkoholowy na bazie wódki, tequili, ginu i rumu (przyp. tłum.).
- ²⁶ David Attenborough – biolog i podróżnik popularyzujący wiedzę przyrodniczą (przyp. tłum.).
- ²⁷ Airbnb – serwis internetowy zajmujący się wynajmem lokali od osób prywatnych (przyp. tłum.).
- ²⁸ *White Wine Spritzer* - koktajl z białego wina, wody gazowanej i cytryny (przyp. tłum.).